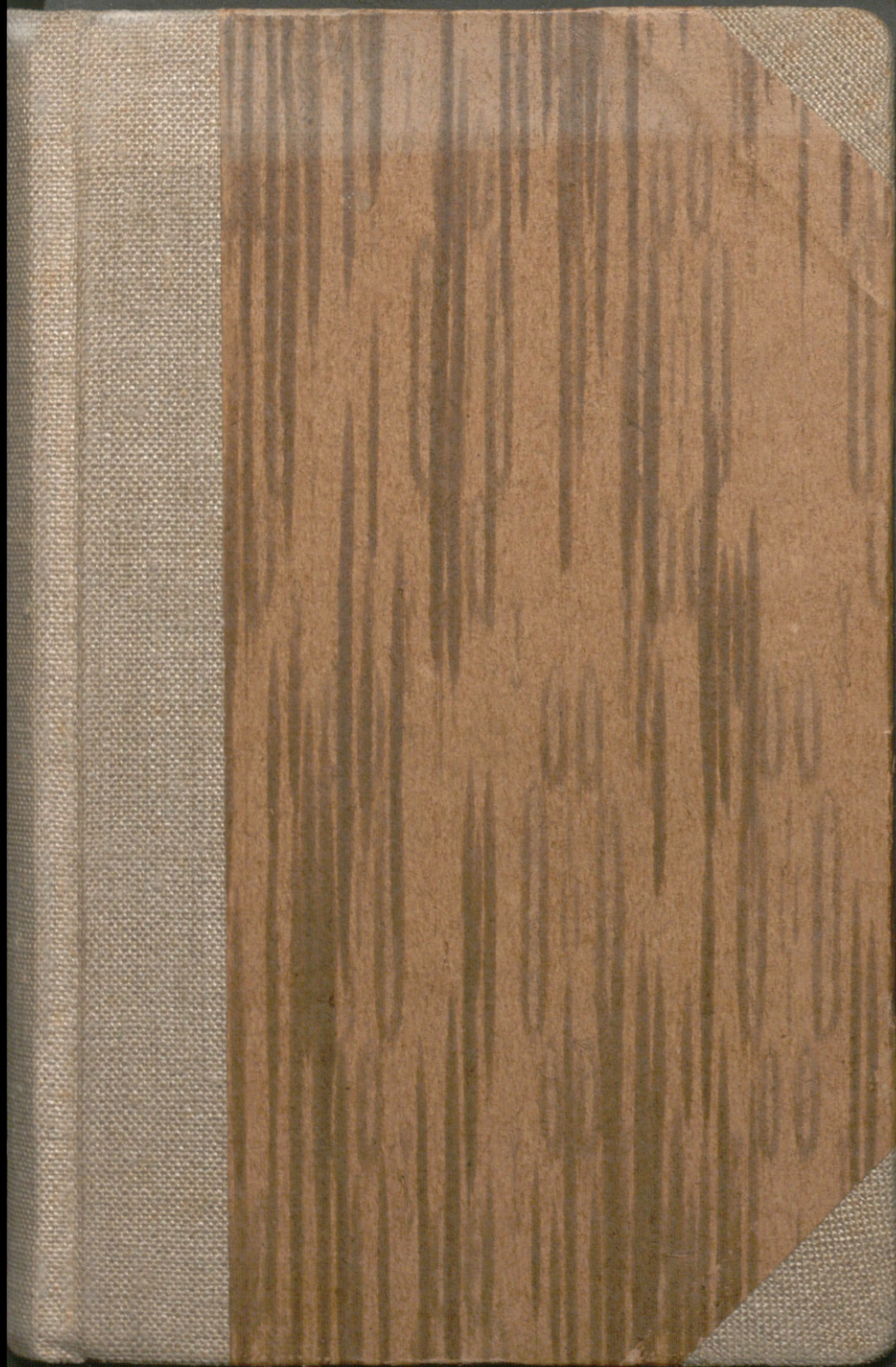


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19



STUDYA POLITYCZNE.

ST. TARNOWSKI.

STUDYA POLITYCZNE.

TOM II.

W KRAKOWIE,

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

1895.

8986

1

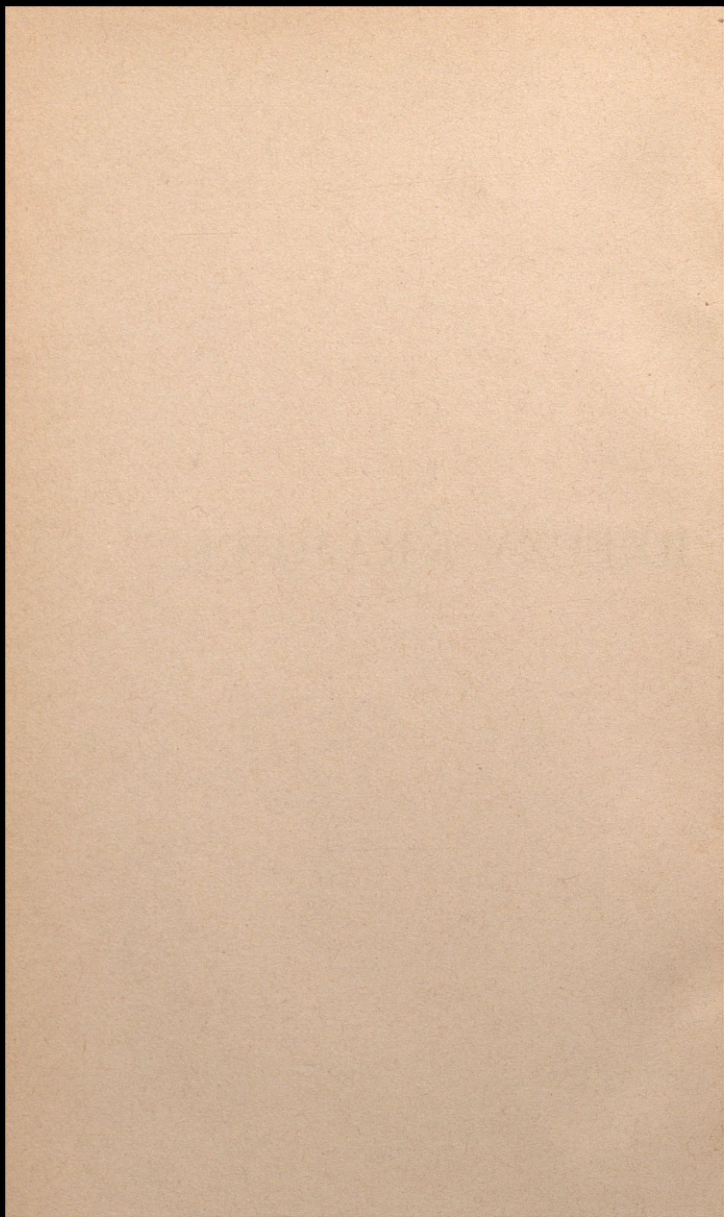


W KRAKOWIE W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

NAKŁADEM AUTORA.

I.

RZECZY KRAJOWE.



PRÓBY ROZSTROJU.

Artykuł ogłoszony w *Przeglądzie Polskim* 1 czerwca 1889 roku. Autor chciał skorzystać z chwili wyborów do Sejmu i mającej się rozpocząć nowej jego sześcioletniej kadencyi, żeby zwrócić uwagę ogółu na wewnętrzny stan kraju, jego niebezpieczeństwa i jego potrzeby.

„Bądź strojem w rozstroju“.

Krasiński — *Resurrecturis*.

Dawno nie zabieraliśmy głosu w kwestyach politycznych, z wyjątkiem chyba koniecznych dla pisma bieżących sprawozdań sejmowych. Powody tego milczenia były następujące: Zdawało nam się, że po długiem i głośnem mówieniu lepiej ucichnąć na czas jakiś, bo powszednie głos ustawicznie powtarzany i zużywa się jego wpływ. Lepiej przeczekać trochę, niech się odleży ta skiba: może skruszeje przez czas, a może znajdą się jakie nowe ręce, co ją odwracać zechcą. Do takiej nadziei uprawniał nas widoczny i szerzący się wpływ tych myśli i zasad, których byliśmy sługami i obrońcami, objawiający się tam nawet, gdzie nasze osoby lub pisma budziły zawsze jakąś nieufność i niechęć. Skoro tak, to lepiej nie narzucać się niechętnym. Jeżeli sami mniej lub więcej, ale ogółem wzięwszy bez znacznych zbroczeń trzymać się będą drogi, którą my mamy za dobrą, to pocóż ich na nią nawoływać? a nawoływaniem naprzykrzać się lub może drażnić i gniewać! Bo i to wyrzucano nam czasem, z pomiędzy bliskich nawet przyjaciół, że zimnej krwi mamy niedosyć, a namiętnem, porywczem słowem szkodę przynosimy tam, gdziebyśmy służyć i pomagać chcieli. Od szkodenia niech nas Bóg zachowa, jak nasza własna wola zawsze od

niego była i jest daleką. Nieraz, cprawda, zauważyliśmy mowy lub uczynki, zdaniem naszym złe i potrzebujące odparcia; ale nie widząc nic takiego, na co sumienie i przekonanie byłoby nam konieczne powstać kazało, woleliśmy milczeć, żeby oporem złego nie drażnić, a rzeczom małym nie przydawać większej wagi. Dobrześmy robili, czy złe? sami dziś nie jesteśmy pewni; dość, że te były powody, dla których *Przegląd* od wielu lat trzymał się zdala od politycznych spraw i dyskusyi.

Teraz jednak, choć niezaszło nic takiego coby stan kraju i społeczeństwa znacznie zmieniało, a nas stanowczo do mówienia zmuszało, przechodzi *tempus tacendi* a *tempus loquendi* wraca; nie ciągłego sądzimy mówienia i powtarzania, ale odezwania się przynajmniej raz jeden. Skończyło się sześć lat kadencyi sejmowej; warto zobaczyć, co się w tym ciągu czasu u nas albo w nas zmieniło.

Ciężkie one były bardzo. Nie dla nas tu w Galicyi, gdzie przeszły bez żadnego nieszczęścia, a może i cokolwiek pożytku przyniosły; ale ciężkie dla całego świata, gniotły swoim brzemieniem bez wytchnienia i ulgi, gniotły coraz okropniej naród polski po za granicami państwa austriackiego. Logika rzeczy postępuje swoim nieubłagany porządkiem, a skutki dawniejszych przyczyn objawiają się coraz zupełniej. Prawa publicznego niema i niema równowagi sił w Europie; jest tylko samowola mocniejszego i strach przed mocniejszym. Skutkiem tego jest powszechna dla wszystkich konieczność tych uzbrojeń potwornych, które w razie wojny, kto wie, czy państwa same zdołałyby kierować, a których w każdym razie ludność żadnego kraju długo

niezdola wytrzymać. A kiedy ofiary nad słuszość i siły na cele państwa i wojska, muszą wychodzić na korzyść socjalizmu i rewolucyi, to znowu gwałcenie wszelkich praw bez przeszkody i oporu, przeczenie wszelkich zasad a uznawanie jednej tylko, własnego interesu, bezkarność tego stanu rzeczy, i więcej, bo ciągle jego powodzenie i tryumf, psują ludzkość samą: bo tępią w człowieku sumienie, a uczą go, że wszystko jest fałszem lub złudą, rzeczywistością i prawdą jedna tylko siła, i jedna tylko własna wola każdego, kto dość mocny by drugiego zgnębił. Jest też w naszym świecie widoczny i wielki postęp nieszczęścia, i postęp nیکczemności; a gdy wiemy, kto dziś nad światem panuje, nie możemy się dziwić, że ten postęp nieszczęścia nigdzie nie jest tak wielki i widoczny, jak u nas. Rosya i Prusy odkąd przestały się bać opinii — a bały się jej zawsze o tyle, o ile czuły za nią siłę — wywarły swoją wszechmoc na nas. Przed laty jeszcze dwudziestu żaden rząd w Europie nie byłby śmiały przyznać się głośno, że jego celem jest wytępienie jakiegoś narodu; dziś znikły resztki tego wstydu, jaki został po dawnym honorze i dawnem chrześcijańskim wychowaniu europejskiego świata: i niemiecka czy rosyjska *historyczna misya*, nie potrzebuje osłaniać się pozorami prawa. Jedna jak druga żąda żeby Polaków nie było, to dosyć. Nie wyliczamy tu tych wszystkich mniemanych praw, od wypędzenia tysięcy spokojnych ludzi i zmuszania małych dzieci do pacierza i katechizmu w języku, którego nierozumieją, aż do zakazu dziedziczenia, nabywania i posiadania własności, i krwawego nawracania unitów na prawosławie. Zapisywać te rzeczy na papierze dla drugich nie zda się na nic, a dla naszej pamięci nie trzeba, bo w niej zapisane

są głęboko: jak są i w rachunku Tego, kto przeklinać i mścić się nie pozwolił, bo sobie zemstę zachował. Dość, że bezkarność przemocy, upojona tryumfem, doszła w tych latach do szczytu bezczelności i wściekłości, a postęp nieszczęścia znaczył się u nas jak milowemi słupami, wyjątkowemi ustawami Izb pruskich i ukazami rosyjskiego samowładcy. Nawet wojny, która przed rokiem zdawała się bliską, nie mogliśmy pragnąć jako wyjścia z tego stanu ucisku, bo w tej wojnie jedno lub drugie z tych państw zwyciężyć musiało, a które z nich gorsze, tego my sami nie wiemy.

Dla nas w Galicyi nie były te lata szczególnie ciężkie, owszem w porównaniu do tego co znoszą drudzy, szczęśliwe i godne zazdrości; były jednak trudne, a w dobre skutki nie tak jakby należało obfite. Na trud i walkę skarżyć się próżno, bo te zawsze być muszą i nie dobrego nigdy łatwo nie przychodzi: a na skutków niedostateczność także trzeba być z góry przygotowanym i wyrozumiałym, bo tak nigdy na świecie nie jest, iżby wszystkie usiłowania plon swój wydały a z ziarna zasianego nie nie przepadło. Toteż kiedy statystyczne wykazy dowodzą nam, że przez te lat kilka przybyło nam niemało szkół wiejskich, niemało kilometrów dróg i choć trochę robót około rzek dla zabezpieczenia brzegów od wylewów; że w miastach przybywa domów, w kasach oszczędności złożonych kapitałów, mówimy sobie z niejaką otuchą, że postąpiliśmy cokolwiek naprzód. W piśmiennictwie przybyło przez ten czas kilka dzieł trwalej wartości; w sztukach pięknych urodzaj raczej się wzmagal na ilość, a na jakość nie sądzimy iżby się gorszym stawał. W życiu politycznem, prawda, że jedna tylko była otwarta przed nami droga, i nie

było sposobności ni pokusy do szukania innych, ale nie widzimy dotąd ani większych popelnionych błędów, ani też ich skutków. W życiu religijnem wreszcie, jeżeli z jednej strony są straty widoczne w tradycyjnem uczuciu i uszanowaniu, to z drugiej jest przyrost świadomości i statecznych przekonań, i jest dzięki niektórym zgromadzeniom religijnym, i dzięki zwłaszcza doborowi biskupów tak szczęśliwemu, jak nie był od bardzo dawna, oczywisty postęp gorliwości, postęp działania rozpoczętego i wpływu szerzącego się w różnych kierunkach.

Zdawałoby się zatem, że wynik obrachunku jest niezgorszy, i że skoro nigdy tak być nie może, iżby wszystko stało dobrze i jak najlepiej, a ten lub ów kierunek życia stoi nieźle — lepiej niż stał, to tylko Bogu dziękować, cieszyć się i swoje robić przystoi, nie zaś frasować się tem, że wiele do zrobienia pozostaje, że to lub owo mogło być lepiej zrobionem.

A jednak frasunek taki jest, usunąć się nie da: owszem, niepowinniśmy usuwać go od siebie. Społeczeństwo tak zagrożone jak nasze, oddechające jak człowiek chory na suchoty jedną tylko częścią swoich płuc, a w jednej tylko części swego organizmu mające krążenie krwi mniejwięcej normalne, ma większą niż każde inne odpowiedzialność za utrzymanie w sobie zasobu zdrowia i siły, za przysporzenie ich, bo od tego zależy większa lub mniejsza siła i zdolność życia organizmu całego. Nie ma też ono czasu do tracenia: a jeżeli coś zaniedba lub robi źle, niepowinno uspokajać się i pocieszać uwagą, że nie wszystko zaniedbano i źle zrobiono, ale pytać, czy znajdzie czas i sposobność do naprawienia tego co źle zrobione, do zrobienia tego co

zaniedbane, i z każdej chwili korzystać, żeby swój byt zabezpieczyć i pokrzepić. Nasz bilans okazuje w niejednym jakiś dokonany postęp, to prawda, i w tem mamy powód i prawo do jakiejś otuchy; że z ekonomicznego upadku, z umysłowego zacofania, z politycznej niedojrzałości, ze społecznego rozstroju, z religijnej obojętności, nie można odrazu wydobyć się na szczybel wysoki, ale skromnym postępowaniem już cieszyć się trzeba, to także prawda. Ale jeżeli zapytamy, czy przez te ostatnie lat sześć korzystaliśmy z położenia tak jakieś mogli; czyśmy nie stracili wiele czasu i wiele pomyślnych warunków; czyśmy ich owszem nie marnowali w bezpotrzebnych, bezużytecznych, szkodliwych rozprawach lub zabiegach; czyśmy swój byt zabezpieczyli, swoje zdrowie wzmocnili, swój fundusz żelazny pomnożyli tyle ile było można; lub też czy zajęci każdodziennymi zewnętrznymi oznakami i wypadkami życia, dawaliśmy mniej baczenia na jego trwale istotne warunki? jeżeli tak zapytamy, to odpowiedź może nas cokolwiek zaniepokoić w sumieniu. Dróg przybyło i rosłą kapitały składane w różnych finansowych instytucjach, dzięki Bogu za to: ale ziemi wiele już wyszło z rąk polskich? wiele większych majątków upada pod ciężarem zaległości i dwa razy do roku ze drżeniem czeka fatalnego końca? lud wychodzący do Ameryki musimy zatrzymywać policyjnymi środkami, a zyski z ziemi oddajemy nierzadko dobrowolnie do kieszeni dzierżawcy żyda. Domy rosły po miastach, ale nowe jak stare, czy niezadłużone tak, że ich właściciel jest często tylko ich dzierżawcą? Szkół więcej, to prawda, ale czy dość zrobiono na to, by ten, co ze szkół tych wyjdzie, był dobrym obywatelem, miał jasno w głowie, a dobrze i uczciwie w sercu; żeby był

w zgodzie sam z sobą, ze swoim losem i ze światem, w którym żyć musi? Niektórzy dobrze lub nawet bardzo dobrze piszą, ale my czy dobrze, a nawet czy dosyć czytamy, i czy dbamy o to, byśmy w rozumie, wiedzy, oświacie stali wyżej od poprzednich pokoleń? Nasz Sejm zrobił niejedno dobrze, ale czy tego co zrobił nie mógł zrobić prędzej i prościej, i czy nie mógł zrobić więcej, zaprowadzić nas dalej niż jesteśmy, gdybyśmy lepiej byli brali się do dzieła? Nie w ostatnich latach i nie w naszym tylko kraju tkwią przyczyny tego stanu rzeczy, który nam złemi skutkami grozi, ani w naszej mocy jest czy było w tym czasie przeciagu wszystko usunąć lub naprawić. Ale o to chodzi, by w przyszłym okresie podobnym ustrzedz się podobnych, jeżeli były, pomyłek i zaniedbań.

I.

Kto baczny i rozważny, ten czuć i widzieć musi, że społeczeństwo nasze przeżywa teraz trudną ciężką epokę przeobrażenia. Zmieni się na lepsze albo na gorsze? wyjdzie z tego procesu silniejszym i zdolnym do nowego działania? lub też tak zemdlnem, że się już opierać niezdola, ale da się pomału chemicznie rozłożyć i strawić? tego wiedzieć nie możemy; ale to ma być naszą pierwszą myślą i troską, to nasz obowiązek główny, żebyśmy oddzielność, osobistość swoją narodową zachowali nietkniętą, owszem wzmocnioną. Jeżeli zaś dla każdego narodu takie chwile przeistoczenia są ważne i często niebezpieczne, to cóż dopiero dla takiego, który sobą nie rozporządza i losów swoich sam nie ma w ręku. Ale po czemże wnosić i poznawać mamy, że się u nas i w nas przeistoczenie jakieś odbywa? Po

wszystkich oznakach, jakie tylko przejście takie znamionują i zapowiadają; po naszym położeniu nazewnątrz i naszym stanie wewnętrznym; po tem, że przetwarza się nasz skład społeczny, a nasz środek ciężkości przenosi się na jakiś punkt nowy; po tem, że posiadanie ziemi, które przez cały ciąg naszych dziejów było podstawą i pierwiastkiem stanowczym naszego narodowego życia, zmienia swoje odwieczne warunki; po tem, że do świadomości siebie, do życia, do znaczenia przychodzą pierwiastki nowe, przedtem zaledwo w naszym składzie społecznym widoczne; po tem wreszcie, że nie u nas tylko, ale w całej Europie zmienia się świat moralny, przynajmniej zmieniają się uczucia i pojęcia moralne, dążności i ideały w rzeczach politycznych. Lat temu trzydzieści, kiedy było zagranicą wspomnieć Polskę, jedni słuchali o niej z zapalem i wzruszeniem, drudzy z niechęcią i wstrętem, ale i z tych nawet, z nader małemi wyjątkami, ci co odbudowanie jej uważali za rzecz niemożliwą, nie śmieli mówić, jakoby ona nie była słuszną. Dziś ludzie wolni od namiętności i nienawiści, uważają jej rozbiór za rzecz naturalną i nieuniknioną, uzasadnioną w koniecznej logice historyi: „byli słabsi, upadli, muszą ustąpić miejsca innym silniejszym, rzecz najprostsza w świecie, której dziwić się lub na nią oburzać byłoby dzieciństwem“. I kiedy Prusy w imię swojej *historische Nothwendigkeit* i swojej idei wyrokuja, że niema nas być na świecie, kiedy Rosya mówi, że ma misję od Boga sobie daną, rozłożyć nas i strawić, kiedy jedne i druga spełniają na nas gwałty wołające o pomstę do Boga: reszta świata, o ile o tem myśli, tłómaczy sobie te fakta filozoficznie, prawem walki o byt, albo historycznie, mówiąc, że Rosya jest w stanie formacyi

i dziś po tysiącu lat tak formuje różne ludy i kraje w jedną całość, jak przed tysiącem lat z nieorganicznego drobiazgu formowały się średniowieczne państwa. Wszystko to jest niby naturalne i w porządku rzeczy! Co więcej: pośród nas samych najnieszczęśliwszych i zawiedzionych sto razy, zdarzają się już tacy, którzy tego procesu rozkładu i assymilacji nie uważają za uprawniony i dobry wprawdzie, ale jednak za naturalny i logiczny. Gdyby takich miało się zdarzać więcej, to przemoczenie doszłoby w następstwie do samego szpiku naszych kości, do samej rdzeni naszego jestestwa i ducha.

Nie tu miejsce przypominać, a bez koniecznej potrzeby niewarto, bo zbyt boleśnie, ileśmy sami przyczynili się do takiego zepsucia świata przez to, żeśmy nierozważnym krokiem sobie cios śmiertelny zadali, a Prusom i Rosyi podali szczebel, po którym wyszły do swojej dzisiejszej potęgi, której znowu skutkiem jest, że świat europejski coraz więcej traci wiarę w prawo i świadomość prawa, a godzi się na to, by za jedyne prawo brać siłę, a za jedyną zasadę korzyść i dogodność każdego. Chodzi nam o to tylko, by stwierdzić, że zmienia się w naszym świecie — nie w naszym kraju jeszcze — to, co było przez cały wiek prawie jego ideałem, formą, pod którą wyobrażał sobie postęp, zwycięstwo sprawiedliwości, wyższy stopień bytu, zasługi, cywilizacji i szczęścia ludzkiego rodu. Od roku 1815 była tem powszechnie ojczyzna; dla każdego narodu jego własna i wolna ojczyzna. Dziś, jak żeby z przegraną Polską, typowej spraw takich wyobrazicielki, idea i zasada sama była przegrała przed trybunałem historii — celem, do którego zwracają się pragnienia i usiłowania staje się coraz więcej ród ludzki jako taki, jego nieokreślone jakies

i od różnic narodowych niezależne braterstwo, jego na równości praw uzdolnień i używań zasadzająca się pomysłość. Nie chcemy tu ani przypominać, że doktryny socjalizmu są utopią, która może stać się rzeczywistością, ale nie zdoła nigdy długo trwać; ani też nie chcemy przeczyć, że te Stany Zjednoczone Europy, o których niejedni marzy, może staną się przyszłą formą jej bytu; tembardziej przeczyć nie chcemy, że lepsze szczęśliwsze warunki życia dla ogółu, dla wielkiego mnóstwa ludzi ubogich, są wielkiem żądaniem i zadaniem, wielkim obowiązkiem cywilizacji chrześcijańskiej, w którą jedną wierzymy i której służymy. W to tylko nie wierzymy, iżby ogrom ludzkości mógł żyć i rozwijać się organicznie inaczej, jak w formie wielu części składowych, z których każda jest całością i jednością dla siebie; iżby można służyć i pomagać ludzkości całej inaczej, jak służąc i pomagając tej jej części, w której każdego z nas Bóg stworzył a los postawił. Jakakolwiek zresztą ma być przyszłość, dziś to daje się dostrzegać wyraźnie, że jak u schyłku wieków średnich wyrabiała się w naszym świecie narodowe świadomości, organizmy, i patryotyzmy, tak dziś zdają się one ustępować miejsca jakimś pojęciom i związkom jeszcze niewyraźnym, ale bardzo odmiennym od tego co było. „W wiekach średnich — mówi Klaczko w *Wieczorach Florenckich* — pierwiastki społeczne łączyły i układały się w warstwy *horyzontalne* (jeżeli się tak wyrazić wolno) podług wspólności pojęć i ich mocy. Od tego czasu łączenie to i ten układ stał się *wertykalnym*, zwróconym w głąb gruntu, zawartym w pewnych terytoryalnych granicach... zdaje się, że teraz zbliżamy się znowu do tego *horyzontalnego* układu warstw, i że pchają nas

do niego właśnie korzyści i interesa. Związki i stowarzyszenia robotnicze nie zważają już wcale na narodowość, oderwały się od niej zupełnie; a kosmopolityczny radykalizm, kto wie, czy nie zmusi konserwatyzmu, że i ten także z czasem rad nierad kosmopolitycznym się stanie“. Wiemy dobrze, że u nas nie jest to jeszcze dokonaniem, a spodziewamy się, że w zupełności nigdy urzeczywistnić się nie da: ale tego nie czuć i nie widzieć nie możemy, że przebywamy okres jakiegoś wewnętrznego przetwarzania się. O to zaś chodzi, żebyśmy z niego wyszli lepsi i tężsi, żeby to przetworzenie było i utworzeniem jędrnego, rozumnego społeczeństwa. Ale pod tym względem właśnie nie jesteśmy bez obawy. Rozumiemy doskonale fakt, że się świat demokratyzuje, i przyjmujemy go daleko szczerzej, niż to się może niektórym wydaje. Ale to wiemy, że są pewne prawa i warunki życia, z pod których żadne społeczeństwo wylamać się nie może, jeżeli chce żyć trwale i prawdziwie. Choćby najbardziej demokratyczne, zawsze ono jak każde inne musi być organicznem, nie może być anarchicznem; musi mieć i szanować stały punkt ciężkości i stałą równowagę. A jeżeli zechce bez takich się obchodzić, albo mając je, chwiać nimi i zaprzeczać je ustawicznie, to będzie musiało rozpaść się i rozłożyć. Otóż tak jak niegdyś, w wieku XVI, kiedy się formowała demokracja szlachecka, uformowała się krzywo i źle, bo sama niedoświadczona, politycznie niewyrobita, dostała się pod kierunek bieglejszych, zręczniejszych, a mniej od siebie uczciwych wyzyskiwaczy, tak nie jesteśmy bez obawy, by pierwiastki tej dziś się formującej demokracji miejskiej, nie wpadły w ręce podobnych dawnym rozkładowych sił i dążności, które gdyby potrwały, wyszłyby na

zle jej samej, i narodowi jako takiemu. O tem więc ostrzedz mamy sobie za obowiązek. A to tembardziej, że podobnego negacyjnego rozkładowego działania stała się ofiarą dawna Rzeczpospolita; tembardziej, że coraz rozszerza się koło ludzi, należących czynnie do życia publicznego, a przynajmniej wołą swoją i zdaniem wywierających na nie jakiś wpływ. Z większą zaś liczbą ludzi rósć musi w stosunku prostym procent takich, którzy myślą, ale niedosyć rozważnie i głęboko, a przeto łatwo mogą do błędnych pojęć nachylić się, do szkodliwych działań dać się pociągnąć.

Wydaje nam się rzeczą niewątpliwą, że w ciągu ostatnich lat sześciu wzmógł się u nas na sile i wpływie ten kierunek, który się sam nazywać lubi liberalnym, postępowym i demokratycznym. Nie dziwimy się temu bynajmniej. Sprzyja mu choćby tylko sam coraz większy napływ młodzieży do szkół, i to młodzieży z warstw najliczniejszych i najuboższych. Rzecz prosta, że dla młodych wogólności, cóż dopiero dla takich, słowo lud, postęp, demokracja, mają wielki urok, a u nich powagę i wiarę; że w późniejszym wieku te wyobrażenia już osiadły i ustaliły się w duszy, i utworzyły w niej warstwę podstawną wszystkich dążeń i działań człowieka. Równie naturalnem jest to, że tylko umysły głębsze i silniejsze umieją w wieku dojrzałym rozróżnić złe od dobrego w tych teoryach, kiedy większość zostaje względem nich łatwowierną nazawsze; że tylko prawdziwie wyższe szlachetne charaktery umieją ustrzedz się od tych społecznych namiętności i nienawiści, które często w ślad za temi teoryami iść zwykły. Mamy to więc za zjawisko psychologicznie zupełnie zrozumiałe, a w historii bardzo częste i powszednie, że znajduje

wzięcie u ludzi ten, kto się postępowym mieni i postęp obiecuje; i gdyby sposób postępowania tego postępu był inny, gotowibyśmy sami do niego się przyłączyć i pomagać. Ale taki jak jest, nie jest on ani postępem, ani demokracją, ani politycznym programem i działaniem, jest tylko negacją działania i (świadomem lub nieświadomem) sztucznem utrzymywaniem społeczeństwa w stanie chwiejnym, niedopuszczającym go do osadzenia się w równowadze. Od najrozumnieszego z polskich peryodycznych pism *postępowych*, petersburskiego *Kraju*, aż do najniższych i najostatniejszych, których wymienić niewarto, wszystkie mają ten sposób działania, który gdyby miał wydać wszystkie swoje logiczne następstwa, prowadziłby naród nie do demokracji, ale do dezorganizacji; nie do jedności i siły, ale do anarchii; nie do odrodzenia, ale do nicości.

Będzie temu mniejwięcej ćwierć wieku, słyszeliśmy rozinową dwóch młodych ludzi, którą jako charakterystyczną pozwalamy sobie przytoczyć. Starszy, prawie trzydziestoletni, uczył młodszego (nieukończonego studenta), że ludzkość dzieli się na dwa rodzaje ludzi; jedni są jak prości żołnierze lub wyrobownicy, przeznaczeni na to, by chodzili w jarzmie czy w kieracie wszystkich spraw, których społeczeństwo ludzkie tak potrzebuje jak człowiek pokarmu i powietrza. Te biedne kreatury są konieczne potrzebne, są pożyteczne, obejść się bez nich nie można. Ale ponad nimi jest dopiero drugi rodzaj ludzi, wyższych zdolnością i przeznaczeniem, którzy w społeczeństwie są tem mniejwięcej, czem generałowie w wojsku. Tych zadaniem i obowiązkiem jest nie robić nic, tylko wszystko ganić, wszystkiemu przeczyć, wszystko obalać, co robią tance. Z przeczenia bowiem

i przeciwieństwa tryska ożywcze źródło wiedzy i postępu: negacya jest pierwiastkiem życia. Ma więc taki *generał* przeczyć i przeszkadzać wszystkiemu, co robią tamci, choćby to było najlepszem i najpożyteczniejszem: sam zaś ma czekać. I dopiero kiedy okoliczności dostatecznie przygotują mu piedestał, ma nań wskoczyć, objawić swoją zasadę, rozpocząć swoje wstępne dodatnie działanie.

Z natury, z wychowania, z przekonania, liczący się zawsze do owego pierwszego pośledniejszego gatunku ludzi, do *szeregowców*, uczeni przez drugich i przez własne sumienie, że gdzie się coś dobrego robi, tam pomagać a nie przeszkadzać winien człowiek, który sam chce być dobrym, uważaliśmy tę całą naukę za prosty wybryk umysłu zarozumiałego a niejasnego, dziwiąc się jedynie, że postępowy demokratą głosił taką naukę, która nam się extra-arystokratyczną zdawała. Nie sądziliśmy jednak, iżby nauka mogła być głębiej zakorzenioną i bardziej rozpowszechnioną, ani też by mogła praktycznie iść się w działaniu. Z czasem jednak przyszło nam poznać, że to, co braliśmy za indywidualne dziwactwo jednej głowy, jest zupełnym filozoficznym systemem, i przekonać się, że system stosuje się owszem w praktycznym życiu. Człowiek zawsze jest ciekawy poznać choć trochę to, o czem wiele słyszy, i ta ciekawość przywiodła nas do poznania, że jak wcielona dziś w praktykę *sila przed prawem*, tak i owa *negacya* ma swoją filozofię: że jest pierwiastkiem bodaj nie głównym całego systemu Schoppenhauera; że dla Maxa Stirnera naprzykład negacya wszystkiego, co nie jest człowiekiem samym, jego wolą, zachceniem czy żądzą, jest jedynem pierwszym prawem i obowiązkiem,

z czego jako logiczne następstwo wynika *rozkosz niszczenia*. Herzen znowu pisze, że tylko „przeczenie jest rozumem, a rozum przeczącym. Duch przeczenia musi wszystko niszczyć, bo jest wiecznym a niezbadanym pierwiastkiem życia i siłą twórczą. Rozkosz niszczenia jest rozkoszą tworzenia. Tajemnicze a straszne słowa: wolność, równość i braterstwo, oznaczają zagładę politycznego i społecznego porządku świata“.

Nie sądzimy wcale, iżby wszyscy nasi *postępowi* czytawali Schopenhauera i opierali się na filozoficznych systemach, ani też żeby wszyscy byli tak logicznie rewolucyjni jak Herzen; ale pewnej zgodności między tą filozofią, a ich postępowaniem niepodobna jest niewiedzieć i nieprzyznać. Teoria owego *Jenerała* o obowiązkowem przeczeniu, bardzo być może, że na tym gruncie wyrosła; a sądząc po tem co się widzi, przypuszczać trzeba, że stała się politycznym programem naszych *Jenerałów*, dość ściśle nawet i statecznie wykonywanym.

Uważając pilnie, widzi się, że pomiędzy nami a naszymi przeciwnikami niema sprzeczności znacznych, co do bieżących kwestyj praktycznych. Czy zmieniliby, gdyby mogli ogólny kierunek zasadniczy polityki polskiej w państwie austriackiem? Conajwięcej nachyliby się bardziej ku liberalnej lewicy Rady Państwa, choć i to mimo pociągu nie byłoby łatwem, ze względu na centralistyczne, krajowi przeciwne i wstrętne dążności i zasady tej lewicy. Zgody z państwem naruszyłoby zapewne nie chcieli? konieczność dostarczenia mu warunków bezpieczeństwa i obrony rozumieliby, sądzymy, tak jak my. W różnych sprawach, które się przez ten czas w Sejmie czy w Radzie Państwa toczyły, wierzymy, że

mogą mieć inne od naszych zapatrywania, ale nie mogą dowieść, iżby sprawy te prowadzone były źle, ze szkoda kraju. Nie bez znacznych i ciężkich z jego strony na rzecz państwa ofiar (nieuniknionych zresztą), ale i nie bez pożytków, nie bez uwagi rządu na potrzeby kraju. Zkądże więc ta zacięta i systematyczna walka z ludźmi, których nazwano stronnictwem rządzącem? Zkąd się bierze i na czem zasadza ta potrzeba czy namiętność podejrzywania i podawania ich w podejrzenie, udawania za złe wszystkiego co oni robią? Jest w tem wiele zapewne tego nieszczęsnego wrodzonego nam podejrzliwego usposobienia, które jak dawniej tak i dziś posądzać lubi o zdradę ojczyzny; ale to usposobienie jak dawniej tak dziś jest narzędziem tylko albo warsztatem, na którym tkają swoją przędzę wprawni i biegli tkacze. W pewnej mierze jest zapewne u niektórych i zazdrosne znane *ôte toi de là pour que je m'y mette*, ale z jednym i drugim łączy się, jednym i drugim może kieruje: pasya i zasada przeczenia.

Znajdziemy w tem działaniu negacyę wszystkiego co jest warunkiem życia i ładu w społeczeństwie.

Religii niby nie prześladowuje się otwarcie; częścią przez roztropność, żeby nie spłoszyć i nie zrazić do siebie ogółu, zawsze jeszcze religijnie usposobionego, częścią przez uczucie polskie, żeby Rosyi i Prusom nie pomagać w prześladowaniu Kościoła. Ale nie opuszcza się żadnej sposobności, żeby nieznacznie i krytym sztychem uczucia i przekonania religijne osłabiać i podkopywać. Szanuje się i napozór wyznaje wiarę, ale Kościół wystawia się jako coś podejrzanego, szkodliwego. W przeszłości, jak w sprawach dzisiejszych, on nigdy nie ma słuszności i dobrej sprawy; mają ją zawsze jego

przeciwnicy i nieprzyjaciele. Książki historyczne uczą nas, że Luter i Voltaire byli dobrodziejami ludzkości, papieże jej nieprzyjaciółmi i ciemżycielami; książki filozoficzne uczą, że Objawienie jest urojeniem, wiara przesądem, a chrześcijaństwo mythologią jak każda inna. Dzienniki pojmują wolność wyznań i sumień tak, że żyd lub bezwyznaniowiec nie może być ograniczonym w swojej wolności, ale katolik być nim musi, bo jego wolność byłaby krzywdą dla wolności tamtego. Niema się nigdy jednego słowa nie już oburzenia, ale choćby łagodnej nagany dla Izb i Rządów francuskich i włoskich, za ich zachowanie względem Kościoła; jeden jest republikański, drugi rewolucyjny, oba bezwyznaniowe, więc oba mają słusność. Ale równocześnie bierze się wiarę i Kościół w obronę przeciw papieżowi, za to że nie może zmusić Rosyi, iżby zaprzestała tępić Unię (do czego bez wojny nikt jej nie zmusi); za to, że zmuszony obowiązkiem ratowania Kościoła w wielkiej części Europy, zada ból naszemu uczuciu polskiemu. W ten sposób i wilk jest syty, i koza cała: nienawiść Kościoła zaspokojona, bo dzieło podkopywania go posunięte, a wpływ na katolika łatwowiernego lub lekkomyślnego nietknięty, skoro ten się nie spostrzegł, że mu się jego wiarę nieznacznie, ale systematycznie wykrada. Różnice i odcienie między różnemi naszymi liberalnemi pismami, są bardzo znaczne. W Warszawie naprzykład, gdzie niedojrzała postępowość kwitnie bujniej może, a przynajmniej liczniej niż u nas, i gdzie pisma anti-katolickie cieszą się szczególnymi względami cenzury (kiedy katolickie oczywiście nie mogą odpowiadać im swobodnie), przeczenie religii występuje śmielej i jawniej niż u nas, w powieściach, poezyach,

pismach peryodycznych i dziełach niby naukowych, niekiedy nawet w istotnie (choć nie dlatego istotnie) naukowych. Nasze pisma galicyjskie nad rozkładem Kościoła pracują także, nie wszystkie z jednaką świadomością i zaciętością; ale kiedy jedno — najniższe i obrzydliwe — robią to w sposób tak obelżywy, że pojąć nie można, dlaczego władze nie zakazą im takiego zachowania się względem papieża lub biskupa, jakie względem rabina uchodziłoby za obrazę uczuć religijnych ludności starozakonnej to inne mądrzejsze i zręczniejsze, same niby uczuć katolickich nie obrażają, ale zachwalają i wynoszą anti-katolickie dążności, czyny lub dzieła; a trzecie mniej złe i szkodliwe, ale zato też i mniej rozumne, pomagają im dzielnie i skutecznie przez to, że sądzą same i czytelników swoich utrzymują w błędnym przesądzie, iż można szanować i wyznawać wiarę, a zachowywać się obojętnie, nieufnie, niechętnie względem Kościoła. A jakże się dziwić, że świeccy nierozważnie idą na lep takiej propagandy, kiedy duchowni, księża, którzy w tych rzeczach powinni mieć i sumienia czulsze i umysły więcej oświecone, demokratycznymi jakimiś sympatjami złudzeni, trzymają, czytają, popierają (wbrew biskupim zakazom) pisma szerzące nienawiść tego Kościoła, którego oni mają być pierwszymi sługami i obrońcami.

Drugim przecezeniem, jest przecezenie i nienawiść społecznego składu i ładu. Każdy człowiek myślący wie, a każdy miłujący swój naród czuje, że zgoda i równowaga między wszystkimi pierwiastkami składowymi społeczeństwa, jest rdzeniem i podstawą jego siły i pomyślności; że w miłości ojczyzny, nie może być zawiści do żadnej z osobna części narodu. U przy-

wódców naszego mniemanego postępu jest, a przez nich szerzy się między rzemieślnikami, między ludem, między młodzieżą, nienawiść szlachty i wogóle wszystkich, którzy bądźto majątkiem, bądź stanowiskiem i urzędem, bądź nawet osobistą zdolnością i zasługą wzniesli się cokolwiek nad poziom mierności. Wszystko to razi ich pojęcia demokratycznej równości, i wszystko dlatego systematycznie podawane jest w podejrzenie, a w szacunku i ufności ogółu podkopywane. Tymczasem rzecz jest pewna, że gdzie rozkładowy socjalizm szczepi i krzewi społeczną nienawiść, tam patryotyzm rozumny, choćby najbardziej demokratyczny, powinien całemi siłami pracować nad tem, żeby wzmocnić, skupić, związać to wszystko, co w społeczeństwie jest i ma jakąś siłę. W naszych pismach dzieje się inaczej. Zawsze prawo, dobro, korzyść szlachty czy większej własności, odróżnia się starannie od praw korzyści lub interesu miast lub wiejskiego ludu; zawsze one wystawione są jako oddzielne, a często jako sprzeczne; zawsze broni się dobra ludu i ten lud bierze się w opiekę przeciw szlachcie; zawsze odróżnia i odszczególnia się siebie od ogółu narodu, jako jego inteligencyę. Czy ta inteligencya jest istotnie rozumniejszą i lepszą od innych, w to się nie wchodzi, przyjmuje się jako rzecz daną z góry i pewną, z której wynika prosty już wniosek, że *inteligencya* jako wybór i kwiat społeczeństwa, ma prawo i powołanie za całość myśleć, stanowić i działać. I znowu jest w tej mierze różnica między pismami postępowemi w Galicyi a pod rządem rosyjskim. U tamtych nienawiść do szlachty jest o wiele jawniejsza, wyraźniejsza, sądzimy że silniejsza i bardziej namiętna, affirmuje się częściej i otwarciej; u nas mniej słów, ale dążność

tasama do ograniczenia jej wpływów, do osłabienia jej stanowiska; nie dodatnia, obywatelska, patriotyczna dążność, żeby rozwinąć i pokrzepić pierwiastek, który jest jedną z sił w polskim społeczeństwie, ale żeby go nadłamać, zwałić, doprowadzić do uschnięcia. Niedawno zjawił się całkowity, urzędownie ogłoszony program polityczny, którego duszą i zasadą jest ta właśnie dążność. A jak niebaczni duchowni popierają bez swojej wiedzy i woli dążności bezwyznaniowe, taksamo ludzie świeccy (szlachta w pierwszym rządzie) pomagają do szerzenia nienawiści społecznych, do podcięcia nóg sobie samym, kiedy złudzeni pozornym patriotyzmem i liberalizmem (jak księża patriotyzmem i demokracją), służą tym pismom i wpływom, które pod nimi dolki kopią, a nawet ich już dość dużo i dość głębokich wykopały.

Liberalizm pod rządem rosyjskim ma jedną jeszcze nienawiść, z którą występuje otwarcie i przy każdej sposobności, nienawiść Austrii. Pochodzi to w znacznej części z jego politycznych pojęć i planów. Rosya liberalna, demokratyczna, postępową, a w niej także Polska: pojednanie w imię demokracji i religijnej obojętności, przy ulgach w rzeczach politycznych i narodowych, oto program, któremu stosunek Polaków do Austrii, oczywiście wadzić musi. Ztąd te szyderstwa, przekąsy, napaści, nieraz potwarze, jakie się tam czyta o Galicyi, o wszystkim co się tu myśli lub robi, a przedewszystkiem o Sejmie. Ale oprócz tego politycznego ideału, jest i wrodzona, zasadnicza nienawiść Austrii jako takiej. Monarchia, dynastia, która przez wieki była opiekunką katolickich interesów i do dziś dnia mimo wszystkiego być nią nie przestała; cesarz, którego osobista

powaga nader wiele znaczy i może; silne jeszcze w Węgrzech i w krajach niemieckich stanowisko bogatych wielkich panów; wszystko to musi być nieznośnem dla francusko-rosyjskiego liberalizmu, zaszczeplonego w niektórych głowach polskich. A gdy jeszcze ta Austria jest jedyną widomą zaporą i siłą przeciw idealnemu zjednoczeniu całej Słowiańszczyzny, w jakiejś idealnej (a nigdy niemożliwej, utopijnej), liberalnej Rosyi, rzecz prosta, że powstaje tam nienawiść Austrii i nastaje systematyczne przeczenie Austrii.

Nasz liberalizm galicyjski, choć musi mieć swoje wrodzone antypatyje do Monarchii jako takiej, nie sądzimy, iżby je miał do Monarchii habsburskiej: w czem znowu działa właściwy jemu, od tamtego odmienny, rodzaj patriotyzmu polskiego. Ale jest za to inne przeczenie, które u nas występuje wyraźniej i silniej niż tam, to przeczenie i nienawiść władzy, urzędu, zwierzchności jako takiej. Tam, gdzie od gubernatora do wóznego, władza, urząd, urzędnik, jest wrogiem narodu i kraju, uczucie ludności całej względem nich musi być jedno i to samo. U nas, gdzie urząd i władza jest w rękach polskich, najczęściej godnych, a nieraz wprawnych i biegłych, do nienawiści powodu niema: a jeżeli ona się pokazuje, to może być jedynie nienawiścią i nieznośnieniem władzy, przeczeniem zwierzchności jako takiej, dlatego że jest zwierzchnością. Kto czytuje nasze dzienniki z uwagą, ten nie może niewidzieć, jak zawsze i stale każdy stopień niższy, podszczuwany jest do nieufności i niechęci względem stopnia wyższego. Stopnie, urzędy, zakresy władzy lub wpływu, wreszcie i dochody, muszą być różne, i zawsze każdy musi mieć nad sobą kogoś wyższego, któremu podlega; w tem

zaś sekret społecznej harmonii i równowagi, zatem zdrowego stanu ogółu, żeby każdy tę konieczność rozumiał, uznawał, przyjmował, i nie czuł się przez nią nieszczęśliwym. W tem obowiązek rozumu i patryotycznego sumienia, żeby tę równowagę pielęgnować i utrzymywać, a nieufność i niechęć między temi różnemi stopniami niszczyć i tępić. Czy tak zaś dzieje się u nas? Mamy to nieszczęściem w naturze (ludzkiej i polskiej), że wyniesienie lub wyższość drugiego częstokroć wy-daje nam się krzywdą własną; mamy z natury i z dawnego nałogu butność i niesforność — nie względem obcego — względem własnego przełożonego; a jeżeli to prawda, co mówi Tocqueville, że *l'envie est la passion la plus éminemment démocratique*, to wiek obecny nie mógł tej skłonności w nas poskromić, ale mógł ją owszem jeszcze rozwinąć. Widzimy też nieustanne i powszechne rozsiewanie nieufności i zawiści do ludzi, którzy jakieś stanowisko zajmują, i do zwierzchności jako takiej. Zdarzy się przykład niekarności w urzędzie, zaraz winny i ukarany niższy, będzie ofiarą niesprawiedliwości ciemniźcyela przełożonego; upomni biskup proboszcza lub wikarego o to lub owo (czasem ciężkie) wykroczenie, będą skargi i uzalania nad uciśnioną wolnością osobistą podwładnego; leniwy lub zuchwały uczeń odbierze karę, będzie oburzenie na nauczyciela albo dyrektora. Karność wystawi się jako niesprawiedliwość i ucisk, kara jako okrucieństwo, opór i nieposłuszeństwo jako dowód godności i jako prawo osobistej wolności. A wszystko razem jest przeczeniem zwierzchności, przeczeniem naturalnego, koniecznego, społecznego związku i ładu: którego przeczenia skutkiem jest, że zaczynamy stopniowo tracić coraz bardziej świadomość każdy swego

osobistego stanowiska, obowiązku, zakresu praw i powinności; że zamiast mieć jeżeli nie przywiązanie i zamiłowanie do nich, to przynajmniej spokojne i rozumne na nich przestawanie, nabieramy do nich niechęci i wstrętu, jak do swojej krzywdy; pożądamy innego stanowiska i zakresu, zazdrościmy temu, który ma taki jaki nam się właśnie podoba, i zamiast czynnie, zgodnie, równym krokiem iść naprzód każdy w swoim zakresie, a przez to organicznie rozwijać i wzmacniać zasób wspólnych sił i nabytków, szarpiemy się w marnych gniewach i dąsach, targamy się w mniemanych więzach, zatruwamy się wzajemnymi zawiściami. Zdaje nam się, żeśmy wielcy ludzie, do większych rzeczy powołani, a tylko przez zawistne losy zmarnowani, kiedy naprawdę przez to szarpanie się bez celu i skutku psujemy się i marniejemy sami — marnujemy i psujemy nieraz więcej niż siebie.

Jest jeszcze jedno i nie najmniej złe, a w naszym publicznym życiu może najbardziej i najczęściej widoczne: przeczenie ludzi. Znowu rzecz jasna jak słońce, że im więcej w społeczeństwie zaufania do uczciwych i rozumnych, tem większa rękojmia jedności i skuteczności działań. Ztąd obowiązek dla wszystkich takim ludziom do znaczenia i stanowiska pomagać, popierać ich jeżeli do niego doszli. U nas dzieje się wprost przeciwnie. Od lat dwudziestu pięciu niepamiętamy prawie człowieka, któryby się był odznaczył, a nie był stał się celem pocisków i potwarzy. Potoccy, Adam i Alfred, byli okrzyczani przez liberałów za oddanych rządowi serwilistów, przez konserwatystów za demagogów i socyalistów, za braci Milutynów (to ostatnie z powodu, że obstawali za gminą zbiorową). Prawda, że

ledwo umarł, stał się Adam Potocki, jak później jego polityczny i osobisty przyjaciel Mann, hasłem, którem wojowało się z jego towarzyszami i pomocnikami. On był znakomitym i pełnym zasługi obywatelem, tamci zato podejrzanymi, jeżeli nie łotrami. Później *Stańczyków* ogłoszono za zdrajców Ojczyzny. Zyblikiewicz nazywał się długo *ogonem arystokracji*: a kiedy został marszałkiem, szarpano go między innymi rzeczami nawet o nadużycia krajowych funduszków (bo na swoje dwa konie postawił w dziedzińcu sejmowego budynku stajnię — nawet drewnianą). Ks. Leon Sapieha — nie chcemy już nawet wspominać, czego o tym nie pisano! Grocholski jeden uniknął osobistych napaści, dzięki temu, co było jego najsłabszą stroną, brakowi inicjatywy: ale działanie jego i Koła polskiego w Radzie Państwa, któremu przewodniczył było podziurawione jak sito od systematycznych oskarżeń i potwarzy. Pan Dunajewski odkąd został ministrem, został celem i przedmiotem szczególnej nienawiści, którą podżęgać i szerzyć było tem łatwiej, że przez podniesienie podatków narażał się każdemu, kto musiał płacić. Jego brat, Książę Biskup Krakowski, czy mamy przypominać, jak bywał rysowany w piśmiłkach wystawianych za oknami sklepów tabaczných, a opisywany w pismach, które chcą niby zachowywać pozory powagi i honoru? Książdz *Kalinka* był nader podejrzanym i o ultramontanizm, i o zdradę kraju, jak zresztą przed nim *Kajsiewicz* i *Semenenko*. Czasem dochodzi ten brzydki zwyczaj do okrucieństwa podłego i okrutnej podłości, jak na przykład kiedy Szujskiemu, już bardzo choremu, posłano jakiś humorystyczny dziennik, żalujący w nader dowcipnym wierszu, że on jeszcze nie umarł. Prawda, że nie wyszedł rok

od jego śmierci, a znowu tłumaczono nam i zaręczano, że nie należy Szujskiego łączyć i mieszać ze Stańczykami, bo on Stańczykiem nigdy nie był. Co zresztą sam przepowiedział, kiedy mówił: „jak ja umrę, to ze mnie zrobią zaraz kij, żeby nim bić was pozostałych“. Czasem znowu dochodzi ten zwyczaj do komicznej śmieszności, naprzykład kiedy się słyszy, że wszystko w kraju byłoby dobrze, gdyby nie sześciu ludzi, którymi są podobno minister Dunajewski, Kazimierz Badeni (podówczas jeszcze nie namiestnik), Ludwik Wodzicki, Koźmian, Artur Potocki i — Bobrzyński. Co za szkoda, że nie ma u nas prawa ostracyzmu! i jak byłoby dobrze, gdyby ich można gdzieza granice kraju wyrzucić! Ale ostatni, Bobrzyński jest od lat kilku szczególnie umiłowanem dzieckiem, Benjaminem naszych politycznych przyjaciół; z żadnym tak nie lubią się pieścić, jak z nim. — Młody, zdolny, śmiały, ze zmysłem organizacyjnym a temperamentem politycznym, zasłużył przez te przymioty właśnie na nienawiść i zemstę tych, którym ich nie poniósł w ofierze. Zdawałoby się, że jak się zdarzy człowiek ze wszechmiar tęgi, to należałoby mu pomagać? owszem, przeciwnie! trzeba go neutralizować i paraliżować, zmniejszyć, trzymać jak się da najniżej i najdalej od znaczenia i wpływu. A więc, jeżeli zrobi wniosek w Sejmie, to ten wniosek odrzucić, bo przyjęty mógłby mu dodać powagi; jeżeli napisze książkę, to ją przekreślić, sfałszować jego myśl, wyprowadzić sztucznie myśl jakiej nigdy nie było, i szkodzić nie już stanowisku autora, ale jego uczciwości i dobrej sławie. Na to, czy pisać artykuły a nawet książki, czy dowodzić, że autor *Historji Polskiej w zarysie* nie powinien obecnością swoją przyćmiewać god-

ności Rady miejskiej krakowskiej (czemu wierzą i czego słuchają ludzie, którzy oskarżonej książki naturalnie nigdy nie czytali), to wszystko jedno: wszystko jest godziwe, pozwolone, owszem, wyższym obowiązkiem nakazane, bo przecież obowiązkiem jest przeczenie wszystkiego co jest, poniewieranie wszystkich, którzy są, i czemś być, coś zrobić mogą.

Nie mnożymy tych przykładów. Moglibyśmy przytaczać ich więcej, ale poco? Te wystarczą, a sto i tysięcy nie wystarczyłoby na to, by złą wiarę i wolę przemienić na dobrą. Stwierdzamy tylko fakt i wskazujemy skutki, jakie z niego wyniknąć mogą. Kiedy Szujski mówił, że społeczeństwu konieczne jest starszeństwo powag moralnych, ludzi wiekiem, doświadczeniem, zdolnością i charakterem szanownych, których głos ważyłby w radzie ludu, a oko czuwało nad przypadkami, które mu grozić mogą, Szujski miał słuszość zupełną; ale do wściekłości poruszył gniew i złość takich, którzy może niejednym w swoim kraju zostać zdolają, tylko nie moralną powagą. Naturalnie! społeczeństwo, które takie powagi uznaje i na nie się ogląda, najtrudniej da się prowadzić pochlebcom i wyzyskiwaczom: trzeba więc wszelkimi siłami pracować nad tem, żeby nikt powagi nie miał, zaprzeczać każdej jaka jest. Sposoby potemu są różne: potwarze na godnych i zdolnych, sztuczny rozgłos nadany ludziom lub dziełom pozbawionym istotnej treści, są jednym z najczęściej i skutecznie używanych. Ale po jakimś czasie okazują się jawnie skutki: panowanie małych umysłów i małych charakterów, w życiu publicznem, w literaturze, w nauce; panowanie mierności, której już żadna wyższość nie zawadza i nie ćmi: a w dalszem następstwie obni-

żenie umysłowego i moralnego poziomu społeczeństwa, jego godności i powagi nazewnątrz. Przykład wymowny stawia nam przed oczy Francya. Po dzielnem, świetnem, statecznem pokoleniu Guizota, Villemaina, Kazimierza Perrier, starego księcia Broglie, Montalemberta i tylu innych we wszystkich kierunkach życia, systematyczne przeczenie wydało *progeniem vitiosiore*m ludzi r. 1848 i pierwszego Cesarstwa. Ale w tem jeszcze była jakaś myśl, jakaś siła, jakaś szlachetność popędów, i tu i owdzie zdolność do czynu: przeczesano ją więc tak długo i zawzięcie, aż ją obalono i ster losów narodu ujrzano w rękach Grévy'ch i Wilsonów, Floquetów, Freycinetów i wszystkich innych. A na te rządy mierności rady już niema, przynajmniej nierychło. I kiedy społeczeństwo chciałoby się instynktem honoru i zachowania życia z pod nich wydobyć, osłabłe i obniżone nie może już zdobyć się na człowieka, ale zbawcę widzi w teatralnym pajacu, klin wybija klinem, mierność nową miernością; byle się otrząsnąć z republiki Wilsonów, gotowo poddać się dyktaturze Boulanger'a.

Takie są skutki przeczenia w kraju niepodległym i tak potężnym, w narodzie tak oświeconym i dzielnym, jak francuski: po Sebastopolu Sedan, po Guizocie Wilson. W kraju słabym i podległym, w społeczeństwie pozbawionem zupełnego normalnego życia, proces próchnienia i rozkładu musiałby postępować szybciej.

Ale jakież cel tej ustawicznej, systematycznej negacyi? Czy może chodzi o zmianę polityki, austryackiej naprzykład na rosyjską? albo chociażby o zmianę systemu w Austryi? Woleliby zapewne gabinet radykalny i bezwyznaniowy, niż w gabinecie hr. Taaffego (a zwłaszcza pana Dunajewskiego), ale takiego określonego,

praktycznego celu nie mają. Mają za to głębszy, zasadniczy: sztuka dla sztuki, zasada dla zasady, negacya dla negacyi, a zatem dopiero w uroczej perspektywie ukazuje się cel praktyczny i ostateczny, zapanowania nad społeczeństwem otumanionem, i ujęcia go w swoje ręce. Cel ten jest, żeby za kraj przemawiało, o nim radziło i nim rządziło nie to, co prawnie do tego jest powołaniem, a działa jawnie i otwarcie — ale coś innego, pobocznego, pokątnego. Żeby nie Sejm uchodził w sumieniu i przekonaniu ludności za jej reprezentację, ale żeby prócz niego, po za nim i nad nim był jakiś nieuprawniony dozór wyższy i powaga wyższa, słowem uzurpacya; żeby ukonstytuowane na mocy ustawy rady miejskie, nie były jedyną i zupełną reprezentacją miast, ale żeby oprócz nich była jakaś inna; żeby obok wszystkiego co jest, a jawne i na ustawach oparte, było coś drugiego, równoległego, przeczącego; żeby życie społeczne i polityczne nie płynęło jednym otwartym i prostym prądem i korytem, ale żeby mu otwierać jakieś łożyska poboczne, nibyto lepsze, silniejsze, prawdziwsze. Słowem o to chodzi, żeby osłabić jawną legalną władzę, a mieć jakąś swoją; żeby społeczeństwa nie dopuścić do uznania tamtej i normalnego harmonijnego z nią działania, a trzymać je w zależności i podległości od siebie zapomocą sztucznej agitacyi, i mniej lub więcej zręcznie upozorowanej organizacyi. Chodzi o negację władzy i prawdziwego politycznego życia, a o afirmację starego ukochanego *Liberum Conspiro*. Czy na to może, żeby wywołać jakie powstanie? Nie sądzimy. Dawno już, w ostatnim swoim piśmie politycznej treści, w *Liście otwartym do L. Bilińskiego*, 1882, odpowiedział na to pytanie Szujski: „tyle honoru im nie impu-

tujemy, iżby do tak ryzykownych przedsięwzięć mieli się osiągnąć.“ Ale chcą trzymać społeczeństwo w zależności od siebie: a dlatego chcą, żeby nie stało się nigdy świadomem siebie, wolnem, samodzielnem i zdrowem społeczeństwem. Zdrowem zaś, świadomem siebie i samodzielnem, niezdolna łatwo stać się takie, które karmić się będzie przeczeniem, podejrzeniem, nieufnością i zawiścią. Niech nikt nikomu nie wierzy i nikt nikogo nie szanuje; niech każdy niższy z zawiścią patrzy na wyższego, każdy podwładny widzi wroga w przełożonym; niech praktykant niecierpi komisarza, komisarz starosty, starosta namiestnika; niech uczeń nie wierzy profesorowi, wikary proboszczowi, proboszcz biskupowi; niech mieszczanin i chłop widzi przeciwnika w szlachcicu, a uboższy wroga w bogatszym, a wtedy każdy z nich uwierzy łatwo temu, kto mu z boku coś podszeptnie. To jest ostateczny cel systematycznego przeczenia; skutkiem zaś jego, gdyby miało skutki swoje wydać, byłaby anarchia i rozkład społeczeństwa. Skutki zaś częściowe, niezupełne, byłyby zawsze praktycznie bardzo szkodliwe; opiszemy je słowami Szujskiego, wyjętymi z tegosamego tylko co przytoczonego *Listu*: „Byliśmy i jesteśmy przekonani, że wszelkie przeprowadzenie przez nich jakiejś tak zwanej organizacyi, narazi kraj na tysiące głupstw i nieprzewidzianych awantur, które, jeżeli nie uniemożliwią, to utrudnią niezmiernie wszelkie działanie i dla sprawy narodowej i dla prowincyi, a przede wszystkim przeszkadzać będą naturalnemu i normalnemu rozwojowi pracy narodowej, zarażając kraj nieustanną polityczną gorączką.“

II.

Opisane wyżej usiłowania wzmagaly się stopniowo w ciągu tych ostatnich lat sześciu. Rozumie się samo przez się, że nigdy nie były ustały, ani ze swojej drogi nie zeszły; ale kiedy w lat zaledwo kilka po klęskach przez nie sprowadzonych w roku 1863, zaczęły nanowo wydobywać się na wierzch, próba się nieudała. Społeczeństwo było pod świeżem wrażeniem i wspomnieniem, i w walce podówczas stoczonej oświadczyło się w ogromnej większości przeciw polityce reprezentowanej podówczas przez krakowski *Kraj* i parę dzienników lwowskich. Nas nazwano Stańczykami i ogłoszono zdrajcami ojczyzny (oprócz satysfakcyi, przynosiło to zawsze jakiś praktyczny pożytek) — ale uznano, że roztropniej będzie przycichnąć i zahamować, duch statku i ład u był za silny, walka z nim nie obiecywała skutku.

Czekano zatem cierpliwie. Czy przebrało się w końcu cierpliwości, czy jakie nam nieznane powody nakazały próbować nanowo, dość, że pierwsze widoczne oznaki ponownych energiczniejszych usiłowań rozkładowych, zjawily się wkrótce po podróży cesarza do Galicyi w roku 1880, i po równoczesnem wstąpieniu pana Dunajewskiego do rządu. Czy jakie niedobitki rządów narodowych, kryjące się gdzieś w Szwajcaryi lub Francyi, uczuły się zagrożonemi w swoich prawach przez podróż cesarską? czy może tryumf statku i ład u stał się już nie do zniesienia wielkim, kiedy dochodził do praktycznego wyrazu, a jeden z ludzi wyobrażających najdzielniej ład i statek, wchodził do rządu? dość, że wkrótce potem zaczęła się stopniowa, systematyczna, coraz czynniejsza, a poniekąd nie bezskuteczna podja-

zdowa wojna ze statkiem i ładem w społeczeństwie. Nie przypuszczamy — jak sądzi wielu — iżby rozbięcie dawnego Klubu Reformy było z planu przedsięwziętym pierwszym krokiem na takiej drodze; ale to pewna, że posłużyło wiele tym dążnościom, dostarczyło im pożądaną sposobność. Stronnictwo sejmowe nieliczne, ale dobrze złożone i śmiałe we wskazywaniu i wnoszeniu reform istotnych (przedewszystkiem społecznych), rozpadło się pod bardzo nieusprawiedliwionym zarzutem zdradliwego zamachu na autonomię kraju, którą właśnie zamierzało uczynić rzeczywistą, żywotniejszą niż jest. Została się garstka ludzi liczebnie za słaba, żeby w Sejmie mogła już występować z inicjatywą, osłabiona w opinii kraju i w swoim z nim związku, skoro wypowiedzieli jej przymierze tacy, na których ludność kraju, a przynajmniej szlachta, patrzyła z ufnością i sympatją. Jeżeli Jaworski, Męciński, Eustachy Sanguszko, a cóż dopiero bliscy osobiści przyjaciele, jak Baum, Cezar Haller, Edward Jędrzejowicz, odłączają się od takich, jak Wodziccy, Paszkowski, Szujski, Jan Stadnicki i tym podobni, to nie może być inaczej, tylko, że ci ostatni coś złego zrobili, albo zrobić chcieli! Jądro tej sejmowej i krajowej siły, która była i zachowawczą i wstępnie naprzód idącą, było rozbite; zatem chwila była sposobna, żeby rozbitych ściagać i znosić.

W tej też chwili powstał w Krakowie dziennik nazywany *Reformą*, a po jakimś czasie i przejściu z założycielem, *Nową Reformą*. Co i jak miała reformować, i po czem poznać istotę lub prawdziwość jej reformowania, nie umiemy poznać ani powiedzieć. Ale ogłosiła się organem demokratycznym, o demokracji prawiała dużo, a zręczniejszą była od swoich kolegów dzienni-

ków lwowskich. Jak już powiedzieliśmy wyżej, nie może być inaczej, tylko że kto o ludzie i demokracji dużo mówi, ten musi podobać się tym, od których wiele doświadczenia i zastanowienia nigdy wymagać nie można. Podobała się też i *Reforma*: podobała się, bo wedle znanej odwiecznej recepty wyrzekala na *serwilizm*, na *koteryjne* cele i widoki, przybierała postawę orędowniczki i opiekunki praw ludu i narodu, lekceważonych, zaniedbywanych (dawało się do poznania *przeszachrowywanych*), przez tak zwaną *koteryję rządzącą!* Kogo przez nią rozumiano? Faktycznie należała do takiej koteryi (!) większość Sejmu i Koła polskiego w Wiedniu z Grocholskim na czele, namiestnik Alfred Potocki, minister Dunajewski, marszałek Zyblikiewicz, zatem nie *koteryja* to była, tylko zbiór najlepszych i najistotniejszych sił w kraju. Niewymieniając nikogo, podkopywało się stanowisko wszystkich: a wojnę otwartą prowadziło się tylko ze Stańczykami. W dość krótkim czasie stała się *Reforma* punktem środkowym, około którego osadzały się różne niezdrowe pierwiastki. Ksiądz, za złe prowadzenie się źle widziany przez biskupa, stawał się ofiarą swego patriotyzmu, a prześladowań niecej *rządzącej koteryji*; uczeń ukarany przez władzę szkolną, stawał się ofiarą, stawał się bohaterem, nadzieją narodu, filarem jego przyszłości, kiedy w szumnych mowach stawał mniej lub więcej zamaskowane polityczne programy; skrzywdzony geniusz, który był tylko niższym urzędnikiem albo profesorem szkół średnich, był znowu ofiarą partii rządzącej, bo po słuszności należałoby mu być czemś więcej. Klientela i popularność rosły, a z niemi śmiałość i zakres agitacji. Kraków, dobrze i silnie broniony oddawna, od roku 1848 jeszcze,

rozumniejszy od wielu miast, dlatego może że mały i spokojny, był solą w oku i kością w gardle dla *postępowych* jako *zacořany* i *wsteczny*; stał się też punktem, na który zwróciły się skupione wyteżone usiłowania naszych *negacyi*; należało rozpalić w nim ducha gaszonego przez Stańczyków! Okoliczności pomagały do tego same i szczęście naszych postępowych *generałów* było istotnie rzadkiem; w mniejszym zakresie i na mniejszej scenie, ale prawie tak rzadkie, jak szczęście Bismarcka. Przyjazne wiatry dęły w żagle i pechały łódkę tak gładko, jak niegdyś łódź z Cezarem i jego fortuną. Alfred Potocki ustąpił z namiestnictwa, zachwianem zdrowiem zmuszony; to pierwsze pomyślne a niespodziewane wydarzenie. Przy całej łagodności natury i postępowania, miał on stanowczość w przekonaniach, i zmysł bardzo czujny na wszystko co załatwyało rządem w rządzie. Rząd wiedeński zaś trzymał się hasła *über den Parteien*, które było narazie może koniecznem, ale nie bez pewnego dodatku i zastrzeżenia. Korona w państwie konstytucyjnem powinna istotnie stać nad stronnictwami: ale rząd nie może stać na wszystkich stronnictwach zarówno, ale na najpewniejszych tylko. Stary król belgijski, Leopold I, miał (*si fabula vera*) dawać synowi taką naukę: „masz w Belgii dwa stronnictwa: katolickie i liberalne; trzymaj się zawsze liberalów, bo katolicy i tak nigdy cię nie zdradzą.“ Rząd austriacki miał w Galicyi dwa odcienia jednego w gruncie stronnictwa, z których o jednym mógł być pewien, że mu położenia niezamąci i nieutrudni, kiedy drugie, więcej oglądające się na bieżącą dziennikarską opinię, mogło przez to krajowi jak rządowi gotować niewielkie zapewne, ale nieprzewidziane i niepotrzebne zawikłania

i szkody. Już przy wyborach roku 1883, zjawily się niektóre charakterystyczne oznaki takiej możliwości, mianowicie usiłowania do złożenia nowego stronnictwa. Że zaś stronnictwo to, w podstawnych swoich zasadach i widokach nie mogło różnić się istotnie od swego mniemanego przeciwnika, a różnić się od niego czemś musiało, skoro miało być stronnictwem osobnem i innem: przeto musiało tych różnic szukać, wytwarzać je cokolwiek sztucznie, bo one nie tworzyły się naturalnie same z siebie. Takie zaś tworzenie i szukanie kierunków, choćby bliskich ale odmiennych, może łatwo doprowadzić ludzi nieznacznie do znacznego zboczenia od kierunku, który dla wszystkich był wspólny i dla wszystkich konieczny. Było zatem rzeczą wskazaną i potrzebną zabezpieczyć ten kierunek wspólny i konieczny, zabezpieczyć politykę Koła polskiego w Wiedniu i jego stosunek do gabinetu, od możliwych zmian i zboczeń. Było to tem potrzebniejsze, że stanowisko Koła w Wiedniu zmieniło się zasadniczo przez przyjście do władzy hr. Taaffego. Z opozycyi opartej na zasadzie równego prawa dla wszystkich, Koło musiało przejść do roli nierównie trudniejszej: musiało stać się częścią większości popierającej rząd, który jego zasadę właśnie wywieszał i w znacznej części urzeczywistniał. Rola zaś stronnictwa rządowego jest trudniejszą od roli opozycyi; nie tylko dlatego, że trudniej jest działać niż mówić, ale dlatego zwłaszcza, że w większości różnorodnej, jak większość parlamentu austriackiego, żadna część swego programu w zupełności dopiąć nie może; żaden rząd nie może spełnić wszystkich jej żądań, ale każda z tych części musi nieraz robić ofiarę ze swoich interesów i dążeń, żeby nie wejść w spór i z interesem

i dążnością jakiejś części innej, lub też całości państwa. Ta konieczność dostarcza naturalnie krajowej opozycyi sposobności i materiału do coraz nowych oskarżeń o lekceważenie dobra kraju, o zbytnią względem rządu uległość, o własne widoki wreszcie. Gdy więc odzywać się zaczęły takie hasła czy programy niby opozycyjne, a nieokreślone, niejasne, niedające zrozumieć czego chcą i co myślą, przeto do skrzywienia i nadużycia łatwe, mogła a raczej musiała zrodzić się naturalna obawa, by dotychczasowa polityka Koła polskiego nie została ze swego toru na jakiś boczny zepchniętą.

Ta obawa spowodowała połączenie resztek dawnego Klubu Reformy, z Podolskim klubem Grocholskiego, w klub jeden, który był prawicą ostatniego Sejmu. Że to połączenie było potrzebne i miało swoje dobre skutki, nie potrzeba dowodzić. Stworzyło ono w Sejmie zastęp liczny i pewny, nieoglądający się na krzyki negacyi, świadomy swego kierunku i jemu wierny, zatarło terytoryalne różnice między podolskimi i krakowskimi posłami; zbliżyło ich nie tylko mechanicznie w jednym klubie, ale moralnie w lepszej znajomości wzajemnej i w wielu zapatrywaniach. Spełniła zatem prawica swoje zadanie i odpowiedziała potrzebie; ale miała z urodzenia pewne słabe strony, które się obróciły znowu na korzyść przeciwników. Posłowie krakowscy mieli za swoje główne zadanie w Sejmie dążyć do zmian i reform, a przede wszystkim do gminnej; pojmowali ją zaś tak zasadniczo inaczej od Grocholskiego i jego zastępu, że porozumienie w tej mierze nie było możebnem, a zjednoczenie tych żywiołów było możebnem jedynie kosztem wyrzeczenia się na lat sześć wszelkiej w tych sprawach inicjatywy. Względ chwili-

lowo ważniejszy musiał wziąć górę nad drugim doniosłym, ale obecnie mniej nagłym; jednak rzecz jest jasna, że stronnictwo, które na cały czas sejmowej kadencji przyjmuje stanowisko odporne tylko i bierne, przeciwnikowi zostawia szerokie pole i wszelką łatwość działania, a swój własny wpływ ogranicza i ścieśnia. Nawet skazuje się samo w dalszem następstwie na opieślność, bezwładność, brak żywotności i zaufanie we własne siły, przez brak czynności, brak ćwiczenia tych sił i wywierania ich nazewnątrz.

Z tej postawy Prawicy, przeciwnicy mogli byli łatwo skorzystać. Dlaczego nie skorzystali? Lewica dlatego zapewne, że nie była liczebnie dość silną; Centrum dlatego, że zajęte głównie szukaniem i określaniem różnic pomiędzy sobą a Prawicą, w ostatecznym rezultacie dowiodło tylko wszem wobec, że w naszym kraju i Sejmie, może być miejsce na politykę przeczenia i politykę organiczną, ale nie ma miejsca na dwa różne programy tej polityki organicznej.

Niemniej ten rozdział na różne kluby i niby stronnictwa, te rozlegające się po kraju echa ich hasel i dyskusyi, jak Sejmowi wiele czasu zmarnowały i dodatnią pracę utrudniały, tak służyły wybornie w kraju polityce przeczenia i rozkładu, przez to, że utrzymywały go w rozdrażnieniu i podejrzliwości, w niechęciach, nieufnościach, w jakimś niezdrowym niepokoju bez celu, bez powodu; a z tym skutkiem, że wielu szło na lep przeczenia, i stawało się łatwowierną zdobyczą przeczących.

Nie tu koniec sprzyjających warunków. Zdaje się, że to nawet co od woli ludzkiej najmniej zawisło, cholera i śmierć, weszło w przymierze z zamierzoną *reformą*. Szujski, ten najgorętszy płomień naszego publi-

cznego ducha i światło naszego publicznego rozumu, zgasł przed otwarciem ostatniej kadencji sejmowej. Baum, regulator roztropny i sędzia prawy naszych popędów i kroków, zeszedł z nim prawie razem. Grocholski, ledwo wziął ster połączonej Prawicy, powalił się pod ciosem choroby i pozbawił nas tej powagi, którą miała w sobie jego zasługa i jego wola. Zastąpił go Alfred Potocki, ale i ten wkrótce zasłabł, i czasem tylko, dorywczo mógł skupiać, wyobrażać, prowadzić nasz zastęp. Ubył Paszkowski, któremu sumienie najczujniejsze, rozsądek najpewniejszy, charakter najstateczniejszy, nadawały stanowisko jedno z najpoważniejszych w Sejmie; a zaraz po nim Henryk Wodziecki przez lat z górą dwadzieścia jeden pierwszych w Sejmie, przez trzydzieści jeden z pierwszych w kraju. Nie ma na świecie stronnictwa, któremu ubytek tyłu i takich głów naraz mógłby nie dać się we znaki. A na tem jeszcze niedość. Umarł ksiądz Kalinka, który do Sejmu nienależał, ale był jedną z najtęższych głów politycznych, jedną z najmędrszych rad politycznych w Polsce; Zyblikiewicz z natury i przekonania wróg zacięty i poskromiciel surowy wszystkiego co negacyjne, odśrodkowe, rozkładowe; wreszcie umarł i Grocholski, a teraz przed kilkoma dniami Alfred Potocki! Dla tych co niecierpią i uczą niecierpieć powag w społeczeństwie, co za szczęście niespodziane i szalone, ubytek tyłu zasług, tyłu rozumów, tyłu enót, które tych ludzi otaczały istotną wielką w kraju powagą.

A kiedy oni marli tak jeden za drugim, same okoliczności sprzyjały robocie rozkładowej.

Taką okolicznością był niezaprzeczenie (dziś po latach i śmierciach, można mówić otwarcie o rzeczy

powszechnie wiadomej), brak dobrego porozumienia między ówczesnym Marszałkiem krajowym a ówczesnym Namiestnikiem, co ani jednej, ani drugiej władzy, ani społeczeństwu na dobre wychodzić nie mogło. O ileż mniej dopiero ta dwoistość kierunku, która czuć się dawała w samym rządzie centralnym, w gabinecie, i z niego dwoma różnemi prądami spływała na władze zależne, na grupy posłów, na kraj i społeczeństwo! Podwładny urzędnik nieraz miał prawo myśleć, że to co mu jego przełożony poleca, to jest osobistem zdaniem czy zachceniem tego przełożonego, ale nie myślą i zamiarem rządu, jako takiego. Jakże się dziwić, że nieraz prosty obywatel niewiedział jaka jest naprawdę ta myśl i ten zamiar, albo że wyrozumieć ich nieumiał.

Do tego wszystkiego dopiero przyszły okoliczności dla naszej opozycyi i negacyi najsposobniejsze, najpożądańsze, najłatwiejsze do wyzyskania: pana Dunajewskiego skarbowe reformy. Minister usiłujący skarb państwa doprowadzić do równowagi, musiał podnosić podatki; zwiększenie podatków, rzecz dla każdego dotkliwa, stawała się prawdziwie groźną dla kraju ubożego i zadłużonego, którego główne źródło dochodu gorzelnictwo i nafta, miały być obciążone podatkiem nierównie wyższym. Nie też dziwnego, że pan Minister skarbu stał się naraz celem pocisków wyrachowanych, to znowu bezmyślnych. Na szczęście, nie potrzebujemy go przed niemi zastawiać; stanął bowiem tak, że go one doścignąć nie mogły.

Ile krajowi i narodowi zależy na tem, by państwo miało siłę, obronę i bezpieczeństwo, których bez pieniędzy mieć nie może, to rozumiemy wszyscy; zatem musimy rozumieć i to, że placąc więcej, płacimy dla

siebie także. A i o tem zapominać nie byłoby słusznie, że z milionów płaconych na cele obrony państwa, część znaczna wydana bywa w Galicyi, i jej ludności, jej krajowemu gospodarstwu przynosi pożytek. W szczególności tych spraw finansowych wdawać się nie tu miejsce: przypominamy tylko, że w sprawie nafty, Minister skarbu wzięty we dwa ognie, między niesłuszne ale nieprzelamane *non volumus* węgierskiego egoizmu tak przemożnego w państwie, a *non possumus* producentów galicyjskich, zdołał jednak ów węgierski upór o tyle przelamać, że się do warunków przez Koło polskie stawianych przeciw zachylił. W sprawie podatku gruntowego, groziła nam najcięższa krzywda, pochodząca głównie stąd, że poprzednie oszacowania przykładały tę samą miarę do wartości naszej ziemi, co do ziemi w innych bogatszych krajach. To zrozumiał i uczuł minister Dunajewski, i w ostatniej jeszcze chwili złamał opór centralistycznej biurokracyi, i usunął ile tylko mógł niesprawiedliwości, które bez niego byłyby na kraju zaciężyły nierównie bardziej niż podatek od nafty i spirytusu. W sprawie podatku gorzelnianego wreszcie, widzimy i słyszymy dziś właściciele gorzeln przynajęcych otwarcie, że gdyby wyższa cena wódki (która w tym roku jest nienaturalnie niską z powodu nagromadzonych po tańszej cenie zapasów przeszlorocznych, a może także z powodu źle w Węgrzech wykonywanej kontroli), to zysk mieliby z gorzeln swoich nie gorszy, raczej lepszy, niż przy dawnym o tyle niższym podatku.

Ale nie o to nam tu chodzi co robił Minister skarbu, tylko o to, cośmy robili w obec jego finansowych wniosków. Żeśmy się chcieli bronić wszelkiemi siłami od podniesienia ciężarów, to pojąć można. Ale że nie-

zawsze umieliśmy należycie rozpoznać istotną doniosłość i rzeczywiste następstwa reformy podatkowej, następstwa nie już polityczne, ale ekonomiczne, gospodarskie, tego także w zupełności wyprzeć się nie możemy. A prócz tego, bronić się wszelkimi siłami, to nie znaczy wszelkimi sposobami: a sposoby użyte czy były wszystkie roztropne i wiodące do celu? Szczyście, że ci którzy byli legalnie do tej obrony powołani, jaśniej rzecz rozumieli, i licząc się z daną koniecznością, umieli przecież znaleźć odpowiednie wyjście.

Ale te wszystkie sprawy były znowu nieocenioną nieprzebraną żyłą złota, z której nasza partya postępowała była zdawkową monetą agitacji i oskarżeń. „*Serwilizm* jednych,“ „*bezwzględność* drugich,“ „*niedbałość* wszystkich“ o *dobro kraju*, rozległy się z wielkim hałasem po dziennikach, i rozdrażnionych już samemi sprawami podatkowemi utrzymywały łatwo w coraz większem naprężeniu, od którego do rozprzężenia droga zwykle niedaleka.

Korzystała więc polityka przeczenia z bieżących okoliczności i spraw politycznych i administracyjnych, a nadmiar szczęścia nasunęły jej się jeszcze sprawy religijne, środek do pochwycenia ogółu za uczucie narodowe, ze szkodą uczuć katolickich tak ściśle z polskimi złączonych. Względy, które Papieża zmusiły do wielkiego dla Prusaków w Wielkopolsce ustępstwa, osobista zacność nowego arcybiskupa¹⁾, korzyść, jaką Wielkopolska bądźco bądź z tej nominacji odnosiła, bo wychodziła ze stanu rozprzężenia Kościoła, to wszystko było wiadome i zrozumiane, ale rzecz niemniej była

¹⁾ Dindera.

bolesna. Żeśmy ją tak zniesli po mężku, z wytrwalością i spokojem, to dowodzi, żeśmy w mocy nad sobą, w politycznym rozumie, i w świadomości katolickiej postąpili wiele. Ale dla nieprzyjaciół Kościoła a samozwańczych obrońców narodu, sposobność była dobra, żeby między jednym a drugim szerzyć rozdrażnienie, choć narazie nieśmiało jeszcze i ostrożnie.

To była jedna sprawa służąca do podkopywania użuć i przekonań katolickich, z pozorną ich obroną właśnie; drugą było prześladowanie Unii na Podlasiu. Gwałty, okrucieństwa, infamie, na które nie ma nazwy w ludzkim języku, a oburza się wszystko w ludzkiej naturze: tymczasem Papież, Ojciec Wiernych patrzy na to i mileczy! Że krucjaty ogłosić nie może, bo niktby za jego głosem nie poszedł; że nie może nawet upominać się i skarżyć, grozić sądem Bożym, a choćby po cichu prosić, bo każde jego słowo sprowadziłoby tylko gorszą wściekłość i sroższe prześladowanie, jak to istotnie się stało po przyjęciu deputacyi Unitów, to się wie doskonale: ale się tego nie mówi, tylko się lud, i wiarę, i krew męczeńską bierze niby w opiekę przed tym niby niedbałym pasterzem! na to, by owce z owezarni wyprowadzić i bezbożnym wilkom oddać łatwowieczne pod opiekę. Cóż dopiero, kiedy przed rokiem rozeszła się wieść o układach Stolicy Apostolskiej z rządem rosyjskim, na podstawie niby wprowadzenia języka rosyjskiego do katolickich kościołów i nabożeństw dodatkowych. Wieść miała takie łudzące pozory, zdawała się pochodzić ze źródeł tak pewnych, że w pierwszej chwili zaniepokoiła wszystkich. Ale też jak zręcznie wyzyskać ją umieli ci, co przeczą wszystko, ale nie z taką nienawiścią jak wiarę i Kościół, to pamiętamy z nieda-

wnych dziejów pielgrzymki do Rzymu na jubileusz Leona XIII. Kiedy w Krakowie słyssało się głosy oburzenia ze strony ludzi nawet godnych i myślących, to *Reformy* włoskie odrzucały polskim jak piłkę kłamstwa i obelgi na Papieża, a różne polskie reptilia pełzały pośród włościan i małych mieszczan polskich w Rzymie, ucząc ich, jak dawny Papież był dla Polaków łaskawym, prawdziwym ojcem, a dzisiejszy obojętnym twardym ojczymem! Kiedy dzień audyencyi polskiej, z powodu zajęć i zdrowia Papieża musiał być odłożonym, żalowało się tych nieszczęśliwych, że tyle trudu i kosztu podjęli nadarmo, bo Papież ich nie przyjmie! Łudzą ich tylko i z dnia na dzień spychają, a audyencyę jeżeli wyznaczają, to z urąganiem i pogardą na dzień jakiś po terminie ich wyjazdu! Kto zaś temu winien? Nikt, tylko niecna „rządząca koterya.“ Ludzie zupełnie rozumni i oświeceni mówili, że Biskup Krakowski i Artur Potocki pracowali, intrygowali nad tem, żeby osobnej audyencyi polskiej nie było! Cóż dopiero myśleć mogli i czemu mogli wierzyć ciemni?

Przeszło to wszystko, prawda wyszła na wierzch jak oliwa i te potwarze musiały ucieknąć. Ale wszystkie razem wywarły i wywierają swój wpływ i skutek: spustoszenie religijne w sereach, jeszcze nie ludu mamy nadzieję, ale pomiędzy tak zwaną intelligencyą i młodzieżą. Połączone usiłowania galicyjskich *Kurjerów*, *Reform* i *Dyabłów*, warszawskich *Prawd* (!) i *Przeglądów Tygodniowych*, petersburskiego *Kraju*, poparte przez takiesame usiłowanie znacznej części piśmiennictwa, belletrystyki, poezyi, książek naukowych, nie mogły zostać bez skutku: i ze wszystkich nieznośnych powag najnienawistniejsza, bo największa i pierwsza,

powaga Kościoła, jest w sumieniach i przekonaniach wielu, zwłaszcza młodych, podkopana i zachwiana. Jakim będzie, co zrobi to nowe pokolenie Polaków w tem przeczeniu wzrosłe i wychowane? Mamy nadzieję, że Bóg nie dopuści, iżby ten zasiew wydał cały swój plon; ale logicznie plon musiałby być takim, że rola uprawiona pod bezwyznaniowość i ateizm zapomocą przeczenia katolickiej wiary i Kościoła, w drugim polu zrodziłaby prawosławie.

Rozkład społeczny przez nieufność i niechęć wszystkim przeciwko wszystkim, rozkład religijny przez nie-nawiść Kościoła, anarchia polityczna przez przekręcanie spraw, a podkopywanie władz i ludzi, a wszystko naturalnie pod maską patriotyzmu i postępu, oto do czego prowadzi polityka przeczenia. I do jednego skutku jeszcze: do tego, żeby młodych psuć pochlebstwem lub fałszem, nie dać im wyrósć na pokolenie zdrowe, jędrne, zdolne czynnie żyć i rozumnie działać na pożytek swojej sprawy. Młody chłopiec, który szanuje rodziców, ich nauki, słowa i rozkazy, który rośnie w uczuciu i przekonaniu, że jego przełożony czy nauczyciel chce jego dobra; który wie, że młodość jest porą wychowania i przysposobienia się, a wiek dojrzały dopiero porą działania: taki młody chłopiec wyrośnie prosto, nieskrzywiony na duszy i umyśle, i nie da się podchwycić za lepsze, ani za gorsze swoje uczucia, i poprowadzić gdzie zechcą przebieglejsi od niego. Ale jeżeli uda się wmówić w niego, że przesądem jest wiara, której go matka uczyła, a on sam śmiesznym, jeżeli się z niej nie śmieje — że wszelka zwierzchność nad nim jest od niego głupszą, a do tego przewrotną, pełną złej woli względem niego i względem kraju; że jest prócz

tęgo jego krzywdą, bo ogranicza jego wolność osobistą; że podcina jego skrzydła, a gasi jego najszlachetniejsze uczucia, bo żąda, żeby robił to, co jest dziś jego pierwszym obowiązkiem; jeżeli się w niego wmówi, że on powinien nie tylko swoją ojczyznę i sprawę kochać, nie tylko o niej myśleć, ale że ma prawo i obowiązek przy każdej sposobności ogłaszać co myśli i głos w radzie o niej podnosić; — jeżeli mu się wmówi (a to dopiero łatwo!) że on mędrszy od starszych, wtedy zepsuje się go zawczasu, podleje się latorośl kwasem i trucizną zamiast zdrowych soków żywotnych, i młodzieniec wbity w pychę i zarozumiałość, próżny a zawistny, w sobie jedynie zakochany, choć myśli, że kocha ludzi i ojczyznę, często zepsuty, częściej zmarnowany, zawsze w niezgodzie ze światem, stanie się doskonałym materiałem i narzędziem dla ukrytych jakichś władz i celów: — ale dla narodu i jego przyszłości człowiekiem bez treści i wartości, purchawką wyдутą brzydkim kurzem próżności, albo jadowitym grzybem, a nie czerstwym jędrnym owocem, którego i pozór piękny, i smak ożywczy, i ziarno zdrowe a szlachetne.

A czyżby takich znaleźć i w ten sposób wychować ich nie można? Między młodymi jak między starszymi, lub jeszcze łatwiej, znaleźć niedoświadczonych, łatwowiernych, a skłonnych do zarozumiałości. Takich się tedy upatruje, wyszukuje między ogółem młodzieży, i hoduje na przyszłych *jenerałów*. Uczy się ich, że oni są nadzieją ojczyzny, a widomą głową i reprezentacją młodzieży; uczy się, że oni, z otoczeniem pewnej liczby kolegów, są młodzieżą całą: że mają prawo i obowiązek za nią przemawiać, występować i niby działać. Że tak nie jest, że z młodzieży uniwersyteckiej mała część

tylko w ten sposób chce występować i postępować, to nieszkodzi, owszem, to tem lepiej: bo już zawczasu włożą się młodzi ludzie do udawania czegoś, czem nie są, do narzucania się drugim, do teroryzowania i do uzurpacyi.

Takiego psucia młodych, takiego podcinania samych korzeni drzewa przyszłości, takiej herodowej prawdziwie rzezi, nie niemowląt, ale niewinnych i dobrych, stają się winnymi te pisma warszawskie i nasze, które młodzież uczą niewierzyć w Boga i niewierzyć ludziom, które w niej zaszczipiają zazdrość — najbrzydszą z ludzkich wad — pod formą niby miłości ludu nienawiść bogatszych: które zaszczipiają pychę — najpierwszą, najniebezpieczniejszą z ludzkich wad — pod formą miłości ojczyzny i obowiązku tej miłości. Oszukańcy i zwodziciele, postępują z młodymi tak, jak handlarz z murzynem, kiedy go błyskotkami nęci i ludzi, a ze złudzonego robi sobie niewolnika, narzędzie. A cóż łatwiejszego, jak mówiąc o postępie, o szczęściu ludzi i ludów, otworzyć sobie przystęp do młodego serca, które bywa zwykle szlachetnych popędów pełne? co łatwiejszego, jak umysł niedoświadczony oszukać i wpoić mu mniemanie, że mądrym być nie zdoła, jeżeli wiernym zostanie? Pod tym względem doszliśmy tu — a dopieroż w Królestwie, gdzie rosyjska szkoła i rząd troskliwie ten rodzaj postępu pielęgnuje i szerzy — do skutków bardzo smutnych.

Że one mogły być jeszcze gorsze niż są, że stosunkowo jeszcze bardzo mała liczba otumanić się dała, a ogromna większość zapowiada na przyszłość tęgich i rzetelnych żołnierzy swojej sprawy, a nie *generałów* własnego autoramentu, to dzięki Bogu prawda i wielkie szczęście. Ale niemniej żal nam bardzo tych uwiedzio-

nych i nadpsutych, którzy mogli także wyjść na dzielnych i godnych ludzi, a po tej edukacyi Bóg wie czy na takich wyjdą. Bo jakże to odbywało się to niby postępowe i patriotyczne ich wychowanie na przyszłych obywateli? Kiedy dawali nauki lub przytyki starszym, klaskało się im na zebraniach a pisało szumne pochwały po dziennikach, winszując, że dają znaki życia; kiedy sobie urządzali niewinne i dobre, ale oczywiście nic nie znaczące wycieczki, przypisywało się tym wycieczkom polityczną wagę; kiedy się odzywali z bezwyznaniowemi a nawet socyalnemi hasłami, chwaliło się ich jeszcze, bo tym hasłom towarzyszyła niegrzeczność i brak uszanowania względem starszych i przełożonych. Wkładało się ich przytem do omijania przepisów lub do otwartego przekraczania formalnych zakazów, bo to oczywiście w ich wychowaniu punkt bardzo ważny, to wprawa w praktycznem przecezeniu, i w tej niekarności, która jest cechą i powinnością niezależnego człowieka, dobrego obywatela! Skłoniono ich żeby w pięćdziesiątą rocznicę zawiązania emigracyjnego Towarzystwa demokratycznego, podali adres do jednego z jego nie założycieli, ale dziś żyjących epigonów (znać że Towarzystwo to jeszcze żyje). Adres ten, wstrzymany zakazem rektora, posłany nie był, (albo jeżeli był, to ukradkiem, krytym sztychem); ale fakt jest niemniej ciekawy. Ta młodzież nie zastanowiła się, i może nie wiedziała, że Towarzystwo to ma połowę winy w klęsce i sromocie roku 1846, i mogła mniemać, że dobrem musiało być Towarzystwo, które się *demokratycznym* nazywało. Ale ci którzy ów adres wywołali, wiedzieli to dobrze. Nie chcemy posądzać, że rzeź roku 1846 uważają za szczęśliwą i dobrą dlatego, że była rzezią szlachty; ale nie

możemy niewiedzieć, że chcieli adhezji młodzieży do tajnych związków, milczącego wyznania z jej strony, że takie związki za dobre, takie rządy za swoje uważa. O to chodziło, do tego prowadzono ich podchlebstwem, odwodzeniem od dzisiejszego zadania i obowiązku, uczeniem, że mają rwać się do spraw, i swój właściwy zakres przekraczać (zawsze pod godłem i formą niby nauki i pracy). Ale z tego systematycznego uwodzenia młodzieży skorzystali inni, mędrsi uwodziciele. Duch antyspołeczny i anti-narodowy, ruski, zakradł się między młodzież polską we Lwowie i ofiarował jej niby Uniję Rusi z Polską, na podstawie socjalistycznych zasad i socjalnych nienawiści. Szumnym programom, obejmującym wiele rzeczy praktycznych, jak naprzykład wpływ uczniów na rozdawnictwo stypendyów, aż do fantastycznych, jak żądanie dymissyi ministra oświaty, towarzyszyły grube wybryki na ulicach a później nawet w samych murach uniwersytetu. Jednak to wszystko, z jednym wyjątkiem owej dymissyi, (którą pobłażliwie nazwano młodocianem niedoświadczeniem), wszystko zresztą, a naprzód naturalnie otwarta afirmacya bezwyznaniowości czyli bezbożności, było witane i chwalone jako pożądany objaw życia u młodzieży, brane w opiekę przeciw wstecznikom, którzy ganić śmieli: przeciw młodzieży samej, która protestowała przez zarząd swojego stowarzyszenia. Dopiero kiedy (wskutku zapewne uchwały owego lwowskiego zebrania), ukazało się w Krakowie pismo mieniające się organem młodzieży, a w programowym artykule wypierające się nie już takich przebytych przesądów, jak religia lub własność, ale nawet historycznej ojczyzny, uznając tylko jakąś etnograficzną; dopiero wtedy nasi postępowi przelękli się takiego po-

stępu czy szczerości, uderzyli na alarm i zaczęli wołać na młodzież żeby protestowała! Wołanie było niepotrzebne, bo do tego obowiązku byłaby się poczuła sama; ale było praktyczne, bo tym sposobem konfiskowało się dla siebie inicjatywę i zasługę tej protestacyi. Ale wołanie było niepotrzebne. Obeszła się bez niego młodzież lwowska i bez niego protestowała przeciw dążnościom owego wiecu; krakowska z popędu własnego serca i rozumu, wyparła się programu owego *Ogniska*. Chwalić jej za to nie myślimy, bo pewno nie żąda pochwał za to, że swoją powinność spełniła. Niemniej przecie miło jest i błogo zobaczyć coś dobrego, choć to dobre jest spodziewanem, a tak naturalnem że stać się musiało.

Że się nasi reformatorowie przestraszyli takiego objawu, w to wierzymy: ale przestraszyli się trochę zapóźno. Można było wiedzieć z doświadczenia, że w licytacyi pochlebstw i obietnic kresu niema, i zawsze znajdzie się ktoś taki co wyższą ofertę ukaże; można było wiedzieć, że kto drugich wstecznymi lub śpiącymi nazywa, ten sam pod sobą dolki kopie, bo zawsze znajdzie takiego, któremu on z kolei wstecznym się wyda, a ten ostatni zupełnie, rzetelniej, doskonalej, niby postępowy, znajdzie u łatwowiernych posłuch i wiarę przeciw niemu, tak, jak on znalazł ją przeciw tym, których podkopywał. Można było wiedzieć, że kiedy się zachęcało młodych, by nie szanowali wiary, bo jest przesądem, to niebawem kto inny powie jej, że i ojczyzny niema co szanować, bo i ona jest przesądem. Kto nie chciał żeby młodzi i niedoświadczeni zrobili ten krok do postępu, ten po pierwszym kroku na zlej drodze powinien był ich nauczyć a nawet zgromić, a nie pochlebiać; wstrzymywać ich a nie zachęcać, kiedy pierwszy raz

dali się słyszeć z bezbożnymi lub anti-społecznymi uczuciami; nie ośmielać ich i zachęcać, iżby się za ogół młodzieży uważali i udawali, ale powiedzieć wręcz, że są częścią tylko. Tymczasem zamiast zganić, chwaloło ich i oklaskami obsypywano, bo objawom niepatriotycznym towarzyszyły niereligijne, a jednym i drugim towarzyszył brak uszanowania dla przełożonych, przeczenie władzy i powagi; bo wreszcie chciano ich tym sposobem dostać pod swoją moc.

Dziwić się prawie można, a w każdym razie cieszyć bardzo, że ta systematyczna a zręczna taktyka nie odniosła większych skutków, bo w Krakowie jak we Lwowie mała tylko część młodzieży dała się uwieść i porwać. A że o tej mniejszej a głośniejszej słyszy się więcej niż o liczniejszej a cichszej, to rzecz naturalna. Pomiedzy nami dorosłymi i starymi taksamo jest przecieć; *Jenerałowie* biją w kotły, i bębny i surmy, a my liczniejsi szeregowi robimy pocichu co do nas należy; jedni mają pozór gorliwości i zasługi, a drudzy jej istotę i rzeczywistość. W młodem pokoleniu odbija się tosamo; cichsi są ale liczniejsi ci, co naprawdę i rzetelnie gotują się do rzeczywistej, do skutecznej służby.

W jakim celu te usiłowania rozstroju? Nie w zamiarach, któreby z kodexem karnym i sądami mogły wejść w nieprzyjemne sprzeczności; nie chodzi o przekroczenie tego paragrafu kodexu karnego, który mówi o zbrodni stanu, ani tego, który wyznacza kary na „zaburzenie spokoju publicznego“. Widzieliśmy wprawdzie odezwy, powołujące do składek na rzecz skarbu narodowego, i wydane w tym duchu w Paryżu broszury, ale wiemy, że naszym *Jenerałom* i ich adjutantom nie chodzi o nic innego, jak o przeczenie; o to, by coś nie-

znanego, bezimiennego, zawsze w społeczeństwie było, i niem o ile się da rządziło, iżby (bez myśli o powstaniu lub wojnie) miało swoje stosunki i wpływy, swoje zaufane agentury, z pomocą których mogłoby zaprzeczać temu co jest, a przeszkadzać temu, co się robi. I to jest sam rdzeń i jądro różnicy pomiędzy nami a przeciwnikami. Wiedzą oni doskonale, że nie jesteśmy ani wsteczni, ani zdrajcy Ojczyzny; że pod wszystkimi względami społecznego i politycznego postępu my ich wyprzedzamy, nie oni nas; i kiedy nas o to wszystko oskarżają, robią to dla łatwowiernych, którzy na te pozory łapać się dają. Naprawdę zaś ta jest różnica i ten główny powód nienawiści, że oni lubią *liberum conspiro*, a my tajnych działań i władz nie chcemy; że oni wierni swojej filozoficznej zasadzie przeczenia, mają w praktyce pociąg do rewolucyi, niekoniecznie wybuchającej i działającej, ale ukrytej, anarchizującej i demoralizującej; kiedy my wszystko co niejawnie, mamy za nieprawne, a anarchię, gdziekolwiek ona ma swoją kwaterę główną i sztab, i czy się mniej czy więcej narodowym polskim sztandarem zasłania, mamy za śmiertelną chorobę społeczeństw i ojczyzn.

Jest różnica druga, najgłębsza ze wszystkich: religijna; bezwyznaniowość czyli bezbożność, którą jedni protegują i szerzą (choć ją sami dla siebie niezawsze wyznają), a drudzy mają za śmierć nie już polityczną lub społeczną, ale za śmierć moralną każdego społeczeństwa, każdego narodu.

Jest i trzecia jeszcze, w pojęciu społeczeństwa samego. My, wsteczni i zacofani niby, a naprawdę postępowi, pojmujemy społeczeństwo jako organiczną całość, której każda część ma swoje przeznaczenie, swoje prawa,

swoje obowiązki, a każda o tyle całości dobrze służy, o ile drugiej nie zazdrości, nie nienawidzi, o ile drugiej szkodzić lub jej opanować nie zamierza. Demokracja zaś tych panów niby postępowych, w istocie swojej i zamiarach swoich, jest zapewne miłością warstw mieszczańskich ludności, może jest (teoretyczną) miłością wiejskiego ludu, ale jest nienawiścią szlachty, i otwartym zamiarem zniszczenia jej znaczenia doreszty.

Dążność ta objawiła się wszem wobec (może przedwcześnie i niezręcznie) w tak zwanym wiecu wyborczym miejskim, odbytym we Lwowie, który zamierzył aż dwie pieczenie upiec przy jednym ogniu, dwie rzeczy podkopać i obalić, dwie swoje zasady wprowadzić w życie. Naprzód, występując jako komitet wyborczy drugi, oprócz i obok tego, który jest wybrany przez Sejm, choć obiecywał niby działać z nim w porozumieniu, zaprzeczał go i obalał już przez to samo, że stawał jako jemu niby równy; zaprzeczał prócz tego rzecz ważniejszą, bo jego pochodzenie i źródło, jego charakter i powagę. Pokazywał, że nie Sejm, ale ktokolwiek na ochotnika, ma prawo i powołanie zawiązywać komitety wyborcze. Przez to wszystko osiągał jeden swój cel, negacyjny, rozkładowy, anarchiczny. Przez to zaś, że zamierzał uchwycić ster wyborów nietylko w miastach, ale w miasteczkach, należących do wiejskich okręgów wyborczych, że we wszystkich powiatach chce mieć swoje komitety wyborcze, oprócz tych, które tam zwykle były z ramienia komitetu sejmowego, chce osiągnąć cel drugi, wpływ na wybory włościańskie, taki, iżby jaknajmniej wyszło z nich szlachty, a jaknajwięcej takich, którzy daliby się prowadzić przywódcom przyszej sejmowej lewicy. Rozprawy i mowy na wiecu, artykuły dzienni-

karskie po nim, dowodzą zbyt wyraźnie, że cała ta agitacja wyboreza zwrócona jest przeciwko szlachcie, że ma być jej stanowiska w kraju i działania zaprzeczeniem. Wystarczy stwierdzić, że ta polityka śmiała na owym wiecu otwarcie ze swoim programem wystąpić; a przytem dodać należy, że było kilku ludzi rozumnych i statecznych, którzy powinni byli wskazać otwarcie co to jest i do czego zmierza, a znalazło się zaledwo dwóch, którzy to choć cokolwiek zaznaczyli i wytknęli; że burmistrz miasta Lwowa otworzył salę radną dla wiadomego wiecu studentów, a wiecu miejskiego nikt nie zganił tak ostro jak należało. To wszystko dowodzi, że polityka przeczenia zrobiła postęp przez te lata.

A my jaką przeciw niemu stawiliśmy obronę? Niedostateczną. Nie mówimy o tych chwiejnych, którzy sami dobrze nie wiedzą jakie mają przekonania i zasady; ani o tych łatwowiernych, którzy mając dobre, dopomagają i służą bez swojej wiedzy i woli krzewieniu i zwycięztwu fałszywych i zgubnych; ani o tych lękliwych, co niebezpieczeństwo czują, ale wskazać go i nazwać nie śmiają, żeby się nie narazić; ani wreszcie o tych nieszczęsnych — jacy w każdym kraju znaleźć się muszą — co do wszystkich umizgać się umieją i lubią, byle jakoś na jakiś bodaj niski wierzeh się wydobyć. O to pytamy, czy ogół ludzi oświeconych i dobrych czuł, widział i odpierał to wzmaganie się złych dążności? a odpowiedzieć musimy, że ani dość wcześnie, ani dość energicznie. Nie myślimy oszczędzać ani siebie, ani najbliższych nawet przyjaciół, i wyznajemy z góry, że nie jesteśmy bez winy.

Znamy dobrze, a poniekąd nawet tłómaczymy i uniewinniamy ten fakt powszechny, że ludzie rozważni i sta-

teczni nie są nigdy tak zręczni, obrotni, przebiegli, jak ci, którzy do celów swoich dochodzą przez niepokój i nieporządek. Ta różnica, która napozór zdaje się tkwić w większej lub mniejszej, jednych czy drugich zdolności, energii i czynności, tkwi naprawdę w środkach tylko, jakich jedni i drudzy używają. Nie mamy my ani mniej rozumu, ani mniej wiadomości, ani pośród siebie mniej talentów jak tamci, a mamy więcej od nich charakteru, publicznego ducha, i miłości sprawy. Z tego wynika, że mamy skrupuły i zachowujemy względy, jakich oni nieznają; z tego to ogromne ułatwienie dla nich, a utrudnienie dla nas, że jedni w środkach nie przebierają, kiedy drudzy nie używają takich, które mają za niemoralne i szkodliwe społeczeństwu, albo za krzywdzące osoby. Przed laty zdarzyło nam się rozmawiać o morderstwach politycznych z jednym fanatycznym zwolennikiem tak zwanych rewolucyjnych środków. Zapytany czy nie boi się odwetu, bo przeciwnikom także ostatecznie nie brakłoby ani elokwencji, ani pieniędzy, by jakiego skrytobójcę namówić i najać; odpowiedział prosto, że się tego nie boi, bo wie, „że wy tego nie zrobicie, choćbyście mogli“. Otóż, w stosunkach powszedniejszych, dziennikarskich, sejmowych i tysiącznych innych, jest wiele rzeczy, których my „nie zrobimy, choćbyśmy mogli“. Nie będziemy naprzykład chwalić i wystawiać za dobre czegoś, co wiemy, że jest złem, choć taka pochwała mogłaby nam posłużyć do popularności; nie będziemy ludzi ucziwych ogłaszać za łotrów, zdrajców, albo złodziei (raczej o złych ludziach powiemy zaledwo małą część tego, co o nich myślimy); nie będziemy rozsiewać fałszywych wiadomości, przekręcać spraw i zmieniać ich natury, bo wiemy, że to kłam-

stwo, a kłamstwo jest brzydkie. Nie będziemy jątrzyć umysłów i uczuć, i utrzymywać ich w stanie sztucznego rozdrażnienia, bo nam na to nie pozwala miłość Ojczyzny, szacunek dla społeczeństwa, i wzgląd na jego dobro. Wskutku więc tej różnicy używanych środków, jesteśmy zawsze w położeniu gorszem i trudniejszym od naszych przeciwników, bo zawsze łatwiej i prędzej trafi do swego celu ten, który działa na złe strony ludzkiej natury i przez nie, aniżeli ten, który odzywa się do stron dobrych, za te chce swego słuchacza uchwycić, i za ich szlachetną pomocą podnieść go wyżej. Tem się tłómaczy, że najczęściej i najpowszechniej lepsza połowa społeczeństwa jest pobita, a gorsza górą. Francya z pewnością nie jest cała taka, jak jej Izby i jej niezliczone ministerya, a jednak ta brzydka i licha mniejszość, udaje się za Francję całą i władnie nią, bo się udaje i odwołuje zawsze do niższych gorszych skłonności ludzkiego umysłu i ducha.

Ale oprócz tego ogólnego prawa, które nas w pewnej mierze usprawiedliwia, oprócz tego szczęśliwego przypadku, jakim dla naszych przeciwników była śmierć tylu dzielnych i tęgiech z pośród nas, są i inne powody ich sukcesu, z których już rozgrzeszyć się nie możemy.

Niedawno jeden ze znakomitych publicystów francuskich wyrzucał tamtejszym tak zwanym konserwatom, że są opieszali. My Polacy do milego wczasu zawsze skorzy, moglibyśmy słusznie zarzut ten wziąć do siebie. Nie robimy w naszym stronnictwie nic złego, owszem, robimy i staramy się robić dobrze; ale grzechów opuszczenia mamy na sumieniu niemało. Prawda, że skład i stanowisko sejmowej prawicy — którą powtarzamy, że za bardzo potrzebną i dobrą narazie uwa-

żaliśmy — krępowaly nas we wstępnem początkującym działaniu; ale mimoto mogliśmy byli dojść do lepszego, silniejszego, bardziej wpływowego stanowiska, a nie zajęliśmy go z własnej winy. Gdyby naprzykład przy ostatnich wyborach do Rady państwa wszedł był w skład Koła polskiego choćby mali zastęp kilku ludzi młodych, rozumnych, zdatnych, a połączonych między sobą wspólnością przekonań i dążeń, byłoby to wyszło na dobre obradom i stanowisku Koła i krajowi samemu, bo byłoby mu zgotowało zawiązek sił zwartych, zdolnych do ataku równie jak do odporu, ludzi zdolnością i powagą wyższych, których nam bardzo potrzeba. Oprócz takiego grzechu opuszczenia dobrej sposobności — a sposobności utracone niełatwo się wracają — popełniliśmy i grzechy niezręczności. Oto jeden dla przykładu. Gdyby przy uzupełniającym wyborze do Rady państwa z miasta Krakowa, był stanął z naszej strony kandydat ogółowi sympatyczny, kandydat przeciwny albo nie byłby się wysuwał, albo (co dla nas jeszcze lepiej) byłby odniósł smutną porażkę. Zamiast tego, żaden z nas nie zdobył się na to poświęcenie, jakim jest istotnie poselstwo w Radzie państwa; postawiliśmy kandydata, który miał niechętnych wielu ¹⁾ i dowiedzieliśmy tyle, że ten kandydat przy największych wysileniach przeszedł małą większością, przeciwnik ²⁾ małą większością upadł, czyli miał niespodziewany tryumf, który mu stworzył stanowisko i znaczniejszy wpływ w mieście, którego dalsze skutki praktyczne okazały się przy następujących nieco później wyborach do Rady miejskiej. Inny nasz grzech, to niechęć i ociąganie się ludzi młodych

¹⁾ Machalski. ²⁾ Romanowicz.

a rozumnych do spraw politycznych. Znamy ich wielu i bardzo ze wszech miar dobrych, którzy garną się do prac naukowych, lub z konieczności pracują w urzędzie, ale żaden nie czuje tego popędu czy zapалу, żeby się mieszać do spraw politycznych, żeby zabrać głos w dyskusyi, pisać w takich materyach, i wprawiać się do walki, do obrony swoich przekonań. Czy nie czują potrzeby, czy energii nie mają? dość, że przeciwnicy mają zawsze świeży (choć nieszczególny) przyrost nowych sił publicystycznych, a my obchodzimy się starymi. A jak tych zabraknie, to co będzie? kto je zastąpi, jeżeli młodzi nie będą zawczasu wprawiać się i przygotowywać?

Albo nasze zachowanie się względem dziennikarstwa? Że wielu szlachty na wsi trzyma *Reformę* i wierzy jej, a nie widzi, że sobie przez to nogi podcina, że trzyma ją (nieraz mimo zakazu biskupów) wielu księży, a nie widzi, że popiera przez to, pismo przeciwne religii i Kościołowi, to się tłómaczy lekkomyślnością i łatwo-wiernością, a poczęści sympatją do liberalizmu i demokracji. Ale ludzie zupełnie wytrawni i rozważni, zdolni rozumieć i rozumiejący niebezpieczeństwo złego dziennikarstwa, jak zachowują się względem dobrego, względem swego własnego, a przynajmniej względem tego, które za swoje własne uważać powinni? Naprzeciw propagandy jaką sobie ze skutkiem robią dzienniki złe, zdawałoby się rzeczą naturalną robić propagandę dobrym, zasłaniać je i bronić kiedy są szarpane, wymawiać i tłómaczyć jeżeli nie doskonale. Zamiast tego my narzekamy tylko między sobą, a nawet przed nieprzyjaciółmi, że *Czas* nudny! Znamy najlepiej jego usterki; a zwłaszcza ten, że monarchista wielki sam żyje w republikańskiej konstytucyi, i choć ma jedność moralną,

niema jedności i organiczności technicznej. Ale gdyby nawet prawdą było co o nim mówią, gdyby miał sto razy mniej zalet a więcej wad niż ma, to jeszcze wobec systematycznego poniewierania i szkalowania, którego on jest celem, wobec tego usuwania i wypierania go, które zamyka przystęp do ludzkich głów naszym własnym przekonaniom i dążnościom, należałoby nietylko z pobłażaniem znosić i po przyjacielsku poprawiać jego usterki, popierać go swoim wpływem, zdaniem i współpracownictwem, ale trochę się rozgrzać, trochę się oburzyć, trochę wpaść w zapał w obronie tego obrońcy własnej sprawy. Niespodzianie znalazł się drugi. Człowiek długo pogrążony we wszystkich uprzedzeniach i niedorzecznościach naszego *postępu*, ale uczciwy i dobrej wiary, nareszcie poznał się na wszystkich nierzetelnościach zasad i ludzi, przejrzał, zbrzydził się do nich, i z otwartością tem dla nich przykrzejszą, że opartą na doskonałej ich znajomości, zrobił ich fotografię wierną w *Listach do Przyjaciela*. Jakie niegodziwe oskarżenia i prześladowania musiał za to znosić pan Masłowski i jego *Przegląd*, to wiemy. Że nieraz brakło mu taktu, to być może, ale to nie powód i nie racya, żeby go bez obrony zostawić. Tymczasem, kiedy napadały na niego wszystkie pisma przeciwne, od najrozumnijszych jak petersburski *Kraj*, do najostatniejszych jak *Kuryer Lwowski*, my znosiliśmy to z obojętnością i filozoficzną flegmą, jak żeby chodziło o najgorszego nieprzyjaciela właśnie. Kiedy dzienniki przeciwne znajdują się w kłopotach pieniężnych, to niemal każdy z tych co im sprzyja i ma je za dobre, przychodzi im w pomoc, małemi kwotami, jak kto może, ale licznie. My składamy się nieurodzajem, niskimi cenami, biedą, i zapewne nie bez

racyi. Ale paręset ludzi, którzyby mogli dać po dwadzieścia lub trzydzieści reńskich na to, by złe wpływy tamować, a dobre szerzyć, jeszczeby się przecie znaleźć mogło. Zamiast tego, zamożni, bynajmniej niezadłużeni, na potrzeby takiego dziennika zamykają uszy i kieszenie. Niechże się potem nie dziwią i nie skarżą, że najbardziej czytany w kraju dziennikiem jest *Kuryer Lwowski*; ale niech się także zapytają sami siebie, czy swoją obojętnością nie przyczyniają się do rozszerzenia złych pojęć i dążeń?

Moglibyśmy takich grzechów własnych, uczynkowych czy opuszczenia, przytaczać wiele; naprzykład nasza zakorzeniona wygodność (jeżeli się tak wyrazić można), albo ten zły zwyczaj, że przez grzeczność czasem, czasem przez marne wyrachowanie, dopuszczamy do znaczących stanowisk politycznych ludzi, którym nie ufamy, których niebardzo szanujemy. Ale to co już powiedziano, wystarczy, by nas przekonać, że naszą powolnością zbyt dużą względem przeciwników, a podejrzliwością względem ludzi własnych przekonań, dopomogliśmy tym przeciwnikom bardzo. Widząc nas tak powolnych i dobrodusznych, prosta rzecz, że nas mają za słabych, że wszystko sobie pozwolonym sądzą, a po wielu powodzeniach sięgają po większe. Zwolują wiece miejskie, choć ich żadne miasto do tego nie wybierało ani nie upoważniało; ogłaszają zasadę, że każdy ma prawo zawiązywać komitet wyborczy (jak niegdyś konfederacyę); po wsiach zawiązują komitety z włościan, żeby wyboru szlachcica nie dopuścić, choćby przytem dawne przygasłe nieufności i zawiści rozdmuchać, zabliznione rany rozjątrzyć...

Jednak przerachowali się trochę panowie *Jenerałowie*, a to ostatnie powołanie pospolitego ruszenia nie wyszło im na dobre. Spostrzeżono się dość powszechnie, a spostrzeżono nawet na samym owym przez nich zwołanym wiecu, jak dowodzą głosy panów Serafińskiego i Fruchtmana. *Gazeta Narodowa*, z którą, jak wiadomo, niezawsze bywamy w zgodzie, pojmuje tę sprawę taksamo, jak my, jak *Czas*, jak *Lwowski Przegląd*. Znak to wyraźny niemalej zaiste w kraju jednomysłności. Teraz więc chodzi o więcej baczności, mniej powolności na przyszłość. Ta przyszłość zaś, niech nam to wolno będzie powiedzieć, zależy głównie od tej ogromnej większości kraju, od tego ogółu ludzi dobrej wiary i dobrej woli, ludzi porządnych, którzy mają i rozumu i patryotyzmu dosyć, by przewidywać przyszłość, a terażniejszości nie marnować; ale mają zarazem (niech nam wybaczają), mają czy to na wsi, czy po miastach, za wiele w sobie bierności i powolności. Ci przeczenia i rozkładu z pewnością nie chcą, a jeżeli dotąd byli względem niego zbyt pobłażliwi, to ufamy, że na przyszłość w wyborze dróg się nie pomylą, bo ostrzeże ich instynkt miłości Ojczyzny i zabezpieczenia jej przyszłości. Dróg tych jest dwie, a bodaj czy nie przybliżamy się nieznacznie do punktu, na którym one się rozechodzą. Jedna idzie przez przeczenie do rozkładu, druga przez działanie do społecznego ładu, siły i postępu.

III.

Nie układając horoskopów ani programów dla przyszłego Sejmu, można przecież z tego co się widzi i wie, wnosić, co w nim być może, albo co być powinno. I tak

przypuszczać łatwo, że rozszerzona po powiatach agita-cya wiecu miejskiego, może wzmocnić szeregi lewicy, bądź to posłami z tak zwanej intelligencji, bądź włościanami, którzy się przez lewicę dadzą prowadzić. Wiadomo bowiem, że wydane jest dla stronników tej partyi hasło: gdzie się nie da przesadzić swojego, tam popierać wybór chłopu przeciw szlachcicowi, czyli kandydata, który się łatwiej da opanować i wyzyskać przeciw myślącemu i oświeconemu, demokratycznego przeciw świadomie narodowemu. Dalej wiedzieć można, że ta (jakkolwiek liczna) lewica będzie dążyła do zmiany ordynacyi wyborczej, i że będzie działała w porozumieniu i przy-mierzu z (liczniejszymi może także) posłami ruskimi. Wszystko to wiadome, bo urzędownie przez ów wiec zapowiedziane i ogłoszone.

Alians lewicy z posłami ruskimi jest naturalny i logiczny; sympatye, które żywiły te zbliżają i łączą, są silniejsze od uczuć i dążeń, które je rozdzielać mogą. Dzieli bowiem jedno tylko, uczucie patryotyczne, które nie wątpimy, że u naszych *Jenerałów* jest, ale nie może przeważać całej sumy uczuć i dążeń wspólnych obu stronom. Rusini sejmowi, jeżeli nawet nie ciągną do Rosyi (a niektórzy ciągną do niej oczywiście i bardzo), to w każdym razie nienawidzą Polski jawnie i za-wzięcie: to prawda, to szkoda, i to w doskonałym po-rozumieniu zawsze przeszkoda. Ale niemniej ci Rusini są żywiołem nawskroś demokratycznym; ich sprawa nie jest tylko narodową, ale jest razem i agraryjną, i so-cyalną, i religijną — jakże więc nie mieć do nich po-ciągu i z nimi się nie łączyć! Szlachty nie cierpią, to pewna, nienawistną większą własność radziby chętnie rozdrobili, choć dziś o „lisach i pasowskach“ nie mó-

wią; a choć przez wzgląd na obecnych w Sejmie biskupów swoich, poczęści na rząd austryacki, Kościoła otwarcie wypierać się nie mogą, to przecie przy każdej sposobności dają wyraźnie do poznania, że go niecierpią taksamo jak my liberalni i postępowi! Wszakże ksiądz Kaczała był księdzem, a nie wahał się mówić o „tak zwanej Unii“ jako o ucisku i nieszczęściu, które naturalny rozwój Rusi wstrzymało. Jest więc styeczności zbyt wiele na to, iżby nie miało być porozumienia i często jednakowego głosowania. Będzie ono naturalnie podszyte i upozorowane mnogiemi i szumnemi zastrzeżeniami na rzecz patryotyzmu polskiego, będzie może tłómaczone jako torowanie drogi do pożądaney zgody i miłości między obu stronami, ale będzie zawsze w kwestiach obchodzących nasz organizm społeczny: zawsze ile razy interes narodowy znajdzie się w sprzeczności z demokratycznym.

Do tego odłamu przyszłego Sejmu zbliżać się będą niezawsze ale często, naprzód ci, którzy woleliby umrzeć, niż narazić się na posądzenie, że nie są liberalni i postępowi, cóż dopiero na naganę ze strony *Reformy* lub *Kuryera lwowskiego*, na niepopularność! Dalej ci, którzy niespokojnie szukają jakiegoś odznaczenia się, jakiegoś politycznego stanowiska i pilnie upatrują takiej w Sejmie grupy, któraby do ich talentu i charakteru wiarę miała, albo ją przynajmniej grzecznie udawała. Z temi więc siłami będą mieli do waleczenia ludzie stateczni, zwolennicy statecznej polityki, którym nie o to chodzi by przeczyć, ale aby robić; nie o to, by o postępie mówić, ale o to, by go dokonać; nie o to, by społeczeństwo drażnić, rozstrajać i rozpręgać, ale o to, by je

organicznie rozwijać i wzmacniać. Jakże ci mają urządzić się w przyszłym Sejmie i w nim występować?

Sześćoletnie doświadczenie musiało nas dostatecznie nauczyć, na dziejach i losach Centrum a nawet i Prawicy, że ostatni nasz rozdział na kluby dokonał się na fałszywej sztucznej zasadzie, która jako fałszywa i sztuczna dobrych zdrowych skutków wydać nie mogła. Prawdziwych różnic politycznych lub społecznych między temi dwoma klubami nie było; różnice w pomowaniu kwestyj szczegółowych, nie wystarczają na to, by na nich oprzeć dwa różne stronnictwa. Niechęci lub nieporozumienia między ludźmi, drażliwości, próżności, lub inne wady osobiste, mogą za to sprawić ten skutek, że ludzie w przekonaniach siebie bliscy, będą się unikać i podejrzynwać wzajemnie, patrzeć na siebie jak na przeciwników lub nawet nieprzyjaciół. Taka była historia Prawicy i Centrum, a obie strony źle wyszły na tej swojej postawie. Prawica choć miała rzeczywisty silniejszy powód bytu i fundament, dlatego tylko, że była odporna, musiała tracić na żywotności i wpływie: a dlatego znowu, że była klubem osobnym i *Prawicą*, nie mogła nigdy prawie ani swoich wniosków przesażdzić, choć były słuszne i dobre, ani szkodliwych odwracać. Centrum znowu w niejasności i chwiejności swojej racyi bytu i postawy, nosiło swój defekt organiczny i chorowało na niego do końca: układało statuta i programy, wybierało coraz nowych prezesów, ale w końcu spostrzegło się samo, że nie ruszyło z miejsca, i straciło wiarę w siebie, żywotność, wreszcie po kolei i najtęższych swoich zniechęconych członków. Ci zaś znowu, którzy w najlepszej myśli i chęci utrzymania równowagi między tymi dwoma klubami, utworzyli trzeci,

(tak zwaną Grupę), nie znajdowali okazji do wywierania tego wpływu w rzeczach zasadniczych ale tylko w drobnych i podrzędnych, i znowu zadania naprawdę spełnić nie mogli, istotnej silnej racyi bytu nie mieli.

Czy to samo ma się powtórzyć i w przyszłym Sejmie? Nie trzeba. Nie trzeba tembardziej, że naprzeciw siebie będzie się miało prawdopodobnie silniejszego i śmielszego przeciwnika. Ten przeciwnik, sądzimy, nie będzie wybiegał po za szranki austriackiej polityki, raczej będzie się w niej trzymał, w nadziei, że i on kiedyś dostanie się do rządu. Ale w tych szrankach będzie działał we Lwowie w tym duchu, w jakim działał w Wiedniu lewica Rady państwa; będzie swojemi siłami i środkami dążył do tegosamego celu, to jest do urzędzenia społeczeństwa i państwa podług przepisów swojej doktryny, do wtłoczenia ich w swoje niby liberalne a naprawdę despotyczne formy; w kraju wreszcie, będzie utrzymywał tęsamą negacyę i tęsamą agitacyę, tesame równoległe i niby równorzędne swoje organa i władze, obok jawnych i prawnych.

Przeciw tym odśrodkowym dążeniom trzeba ześrodkowania; przeciw tym dezorganizującym organizacyom prawdziwie organicznego skupienia się około stalego istotnego środka ciężkości. Takim jest oczywiście stosunek do Monarchii, stosunek do dzisiejszego gabinetu, a jego wyrazem polityka i stanowisko Koła polskiego w Wiedniu. To powinno być regulatorem i drogowskazem naszego postępowania w Sejmie. Że zaś w rozprószeniu klubowem nietylko we Lwowie zatracą się potrzebna jedność kierunku, ale rozstrój i rozsypka przenoszą się do Wiednia, i nieraz dają się uczuć w Kole tamtejszem, przeto byłoby rzeczą wskazaną i roztropną

zaniechać klubów, a szukać pola do pozasejmowych obrad i przygotowań, środka do znacznej i silnej większości w Kole sejmowym, które zaniechanem nie było nigdy, ale przez kluby właśnie wiele na znaczeniu i powadze straciło. Zdajemy sobie sprawę doskonale z trudności i niedogodności obradowania w wielkiej liczbie ludzi, a zupełnie swobodnie i otwarcie; ta to trudność sprawiła, żeśmy się kiedyś podzielili na kluby. Ale skoro te niewydały tak dobrych skutków jak nam się zdawało, skoro silniejsza niewątpliwie postawa przeciwnika nakazuje i nam przybrać podobną, skoro stała i pewna większość jest nietylko praktyczną potrzebą Sejmu, ale kraju i społeczeństwa, którego podstawami przeciwnik chwiać próbuje, to użyjemy najsposobniejszego potemu środka, wrócimy do Koła. Niech Koło polskiemu w Wiedniu odpowiada Kolo sejmowe we Lwowie; niech te dwie reprezentacye kraju będą jednolite i związane, połączone nietylko tym samym duchem i celem, ale stałym związkiem jednakowego postępowania; niech to będą dwie części czy formy tego samego doskonale jednego organizmu. Jako wyraz zaś dowód i rękojmia tej jedności, niech stoją obie pod jedną i tą samą głową; niech przewodniczącym Koła sejmowego we Lwowie, będzie prezes Koła polskiego w Wiedniu — pan Jaworski.

Oto co uważamy za najlepsze, do czego przystąpić bylibyśmy gotowi.

Gdyby jednak to okazało się niemożliwym, gdyby mianowicie żywiły sprzeczne i przeczące połączyły się w jakiś klubowy związek lewicy, to strona druga musiałaby z konieczności zrobić to samo. Związek taki nie mógłby oczywiście mieć cechy terytoryjalnej ani szla-

checkiej, ale musiałby ściągać do siebie i objąć wszystkie te żywioły, które w dobrej wierze mają się za powołane i obowiązane do działania, a nie do przeczenia. Nie mógłby też stać na obronem, odpornem stanowisku dawnej prawicy. Było ono w swoim czasie potrzebne, zatem na pewien czas dobre; ale na długo wystarczyć nie może. Teraz trzeba być z sobą w porozumieniu na to, by to co się za dobre uważa, śmiało w Sejmie wnosić, i energicznie ile się da do uchwały doprowadzać.

Jakie są najbliższe zadania przyszłego Sejmu? każdy odpowie, i my, jak każdy, że pierwszym zapewne jest zabezpieczenie przyszłej równowagi w budżecie, która wskutku nieuniknionego wzrostu wydatków, musiałaby runąć w niedługim czasie, gdyby się nie oparła na pewnej i silnej podstawie. Tą podstawą, tym środkiem do celu wiodącym, jest stanowcze i korzystne załatwienie wiszącej sprawy indemnizacyjnej. Nad tą nie ma się co rozwodzić; wszyscy rozumiemy jej wagę, jak wszyscy łatwo zgodzimy się na to, że sposób załatwienia wypadnie przyjąć najkorzystniejszy, ale dziś wskazywać go i przewidywać zawcześnie. Nie będziemy również rozwodzić się nad stosunkiem do posłów ruskich i sposobem załatwienia ich wniosków. Nie wiedząc jakie one będą, możemy tylko przewidywać, że w znanym duchu i kierunku będą może występowały liczniej i śmielej; wiemy też także, że nasze względem nich stanowisko zmienić się nie może dopóki nie zmieni się ich stanowisko, czyli, że trzymać się będziemy dawnej zasady: wszystko co prawo przepisuje i przyznaje, bez złudzeń i sentymentalnych rozczuień. Wiemy jeszcze i to, że w dniu, kiedy zmieniona postawa Rusi-

nów pozwoli nam zająć serdeczniejszą, będziemy bardzo szczęśliwi.

Na wybór Wydziału krajowego zwrócić wypadnie baczną uwagę. Czynności jego rozszerzają się, a przez lepsze lub gorsze, szybsze lub powolniejsze ich sprawowanie wpływają znacznie na ogólny stan spraw krajowych. Wydział złożony z ludzi rzeczywiście czynnych, sprężystych, oddanych zupełnie jego sprawom (dość zaiste licznym i ważnym by zapelnąć i wyczerpać mogły czas i siłę sześciu ludzi), jest istotną potrzebą kraju, przed którą względy podrzędne choćby bardzo szanowne, winny ustąpić.

Że sprawa organizacji gminnej stanie na porządku dziennym obrad sejmowych w ciągu tej nowej kadencji, nie wątpimy, a z niejednej bardzo pocieszającej w przeszłym Sejmie oznaki wnosimy, że może pójdzie łatwiej i lepiej niż dotąd. Jakie będzie nasze wobec niej stanowisko i zachowanie, mówić nie potrzebujemy. Dwadzieścia z górą lat poselskiej i publicystycznej przeszłości wskazuje i świadczy dostatecznie za czem jesteśmy i będziemy: za tem co gminie jedno może nadać żywotność i rzeczywisty byt, a różnym pierwiastkom społeczeństwa lepsze zbliżenie i związek, za połączeniem dworów i gromad w jedność, której terytorjalne rozmiary rozumiemy, że muszą być większe od granic jednej wsi, a nazwa jest nam obojętną.

O szkołach pewno będzie mowa w Sejmie i nie-raz; niechże nam wolno będzie w tej sprawie najważniejszej, bo rozstrzygającej o wartości i oświacie przyszłego społeczeństwa, powiedzieć słowo, niewesołe, ale prawdziwe.

Domagamy się wszyscy szkół dla ludu, i słusznie: słusznie domagał się Szujski, żeby one były do potrzeb i życia ludu zastósowane, zatem sześćoletnie; słusznie Zyplikiewicz, żeby były zastósowane do możności pieniężnej ludu i kraju, zatem tanie ale liczne; słusznie wreszcie domagają się różne kraje państwa austriackiego, a rząd sam wnosi, iżby wpływ religijny w wychowaniu był silniej zabezpieczony i skuteczniejszy. U nas, prawda, wyznajemy to z radością, ustawy szkolne nie nadały dotąd szkole bezwyznaniowego charakteru, ale i u nas więcej pod tym względem bacności i ścisłości nie zawadzi. Świeże wnioski rządowe w sprawach szkolnych, nieprędko zapewne odbiją się w obradach naszego Sejmu; zawczasie więc byłoby pytać, jak one wpłynąć mogą na nasze szkoły, i jak się względem nich mamy zachować. Ale jest kwestya inna, kwestya nauczycieli z przyszłością społeczeństwa tak związana, że o niej nigdy dość myśleć nie można, a niezależna od bieżących i przemijających wniosków czy stosunków.

Chcemy mieć szkoły, chcemy, żeby były dobre: nie słuszniejszego. Ale szkoły bez nauczyciela być nie może. Im więcej szkół, tym większy wydatek na nauczycieli, których gminy wszystkie własnymi środkami rzadko tylko mogą opłacać; zatem tem większy ciężar na krajowym budżecie. Ciężar ten z pomnożeniem szkół i wzrostem ludności musi naturalnie wzrastać. Jak zdolamy go udźwignąć? jak nauczyciele sami przy swojej nader niskiej płacy zdołają się utrzymać? a przy utrzymaniu złem, obarezony rodziną zwłaszcza, czy nie stanie się gorzkiem, rozżalonym, przez to gorycz i zawiść szerzącym? Zrozumiał to niebezpieczeństwo Sejm ostatni, i byt nauczycieli poprawił znacznie. Nauczyciel

wiejski zaczyna od płacy bardzo skromnej, ale przez pięcioletnie dodatki dochodzi do takiej, jakiej nie mają niżsi urzędnicy pocztowi lub telegraficzni, a ma oprócz tego mieszkanie i prawie zawsze kawalek gruntu. Człowiek dobrego charakteru i zdrowego umysłu, może na takim utrzymaniu poprzestać i nie czuć się nieszcześliwym; na usposobienia zawistne i przewrócone głowy rady nie ma, bo takie zawsze bywać na świecie muszą. Tylko to podwyższenie plac nauczycielskich jak zacięży na budżecie? W tym pierwszym roku już spowodowało różnicę około stu tysięcy złotych w krajowych wydatkach. Z większą liczbą szkół i nauczycieli, jak wzrosnie ten wydatek? O tem warto pomyśleć i szukać sposobu na to, by mieć nauczycieli podostatkiem i dobrych, a niedrogich. Takim środkiem najlepszym byłoby bractwo nauczycielskie, takie jak francuskie *de la doctrine chrétienne*, którego członkowie musieliby naturalnie mieć nauczycielskie examina i patenta. Człowiek, który z poświęcenia, z miłości Boga i bliźniego przyjął zawód i obowiązek nauczyciela wiejskiego, potrafi być szczęśliwym w tym zawodzie przy utrzymaniu najskromniejszem; jego potrzeby nie mogą rosnąć, a żądań nie ma.

Z pewnością takie bractwo byłoby doskonale na to, by nam dać nauczycieli dosyć i dobrych dla szkół, a ich utrzymaniem budżet jaknajmniej obciążać. Czy o tem ani marzyć nie można? Prawda, że nie mamy takiego bractwa; ale czyby nie znalazł się kto, co by je zawiązał, czyby nie garnęli się do niego ochotnicy? piękne powołania wychowawcze zdarzają się pośród nas, przynajmniej pośród naszych zakonów. Misyonarze, naprzykład, zaczęli zbierać chłopców najwięcej zaniedbanych, i z nichzego stworzyli zakład niezmiernie

już pożyteczny; może być, że odezwą się i takie powołania ściśle nauczycielskie. Już zaś dziś, bez żadnych nowości ani zmian, mogłyby w niektórych razach wielką być pomocą właśnie zgromadzenia zakonne uczące. Wiemy, jak doskonale prowadzą szkoły Felicjanki na przykład, albo (mniej rozszerzone i znane) Tercyarki Dominikanki. Prosta rzecz, że utrzymanie szkoły musi być tańsze tam, gdzie nauczyciel nie bierze płacy za swoją pracę. W miasteczkach na przykład, albo w tych wsiach, gdzie dwór przyczynia się do utrzymania szkoły budynkiem własnym lub dodanym gruntem, szkoła prowadzona przez zakonnice, kosztowałaby mniej niż zwykła szkoła pospolita. Ale to oczywiście powszechnem być nie może: mogłoby conajwięcej być częstszem niż jest. I to byłoby dobre: tylko na to trzebaby znówu, żeby władze szkolne nie były przeciwne zakładaniu takich szkół, i nie utrudniały go tak, jak się to dotąd nieraz zdarzało.

W niemożności podniesienia płacy nauczycieli, w braku takich, którzy na złem utrzymaniu przestałby radzi cheieli, co możemy zrobić na to, by nauczyciel na swojej posadzie nie czuł się skrzywdzonym i nieszczęśliwym? Jedno tylko: odpowiednio go wychować. Chować go w takich warunkach i trybie życia, iżby późniejsze życie na wsi wśród prostego ludu ani go upokorzało, ani nudziło, ani mierziło; iżby bardziej od zwykłego włościanina wykształcony, ten nauczyciel przecie nie czuł się czem innem jak on, a swoim sposobem życia, nie był od niego zbyt odległy. Prawda, że właściwa miara jest do utrafienia niezmiernie trudna. Nauczyciel nie może być tem czem chłop i żyć jak on, bo musi być obok niego i dla niego przykładem i wzo-

rem wykształcenia i wychowania lepszego. A jednak dalekim od niego być nie powinien. Inaczej może nastąpić ten skutek, że będzie i nieszczęśliwy i nielubiony; wieś będzie go uważała za coś obcego, zewnętrznego, co do niej ściśle nie należy, nie jest jej organiczną częścią, temsamem co ona.

Internaty dla nauczycieli wiejskich, chowanie i kształcenie ich pod ucziwym rozumnym dozorem, jest niezawodnie pierwszym, najpewniejszym i najdzielniejszym sposobem dobrego ich wychowania. Młody chłopak, niedoświadczony, na pół poduczony, przez rodziców oczywiście bardzo mało wychowany, a zostawiony sam sobie, z konieczności i biedy żyjący w otoczeniu nieraz grubiańskim i dzikiem, wystawiony na wszystkie grube pokusy złego towarzystwa, kawiarnianej jeżeli nie szynkowej rozrywki i takiejże literatury, musi się często zepsuć, nabrać złych obyczajów, a wyobrażeń fałszywych i przewrotnych. Przez wzgląd i uszanowanie dla moralnego poziomu wsi i szkoły, w których ten nauczyciel czynnym będzie, baczyc mamy obowiązek na to przedewszystkiem, żeby jego serce i obyczaj były dobre, jego głowa nieprzewrócona. Mądra też i wielkiej zasługi była myśl Pawła Popiela, żeby dla przyszłych nauczycieli zakładać internaty: tych mamy dotąd zamało, ale dzięki Bogu (i dobrym a mądrym ludziom) za te, które są. Tylko potrzebujemy ich więcej; a jeżeli sprawa indemnacyjna przestanie ciężać na naszym budżecie swoją ogromną wagą, jeżeli nią nie krępowani będziemy mogli z większą przedsiębiorczościąłożyć na rzeczy, których przyszłość kraju wymaga, od których poczęści zawisła, to w takim razie sześć lat przyszłej kadencji sejmowej

nie powinny przeminać bez pomnożenia liczby internatów nauczycielskich. Wiemy, że nasza lewica będzie się temu opierała wszelkimi siłami, znamy jej argument: „w zamknięciu nauczyciel nie rozwinie się, nie pozna życia, nie stanie się samodzielnym“ i tak dalej. Odpowiadajmy na to, jak odpowiedziano już przed laty, że z tego zamknięcia nie wyjdzie ani głupszy, ani mniej przysposobiony, a wyjdzie zdrowszy na ciele i umyśle, czystszy na obyczajach, niż z tego wolnego życia bez dozoru i kierunku. Tak odpowiadajmy i róbmy swoje, ile zdołamy.

Ale, jeżeli chodzi nam o to — a powinno chodzić, bo to bardzo ważne — żeby przyszły nauczyciel nie czuł się na wsi nieszczęśliwym, to starajmy się chować go w tem życiu wiejskiem, do którego jest przeznaczony. Wiemy, że niepodobna zakładać internatów nauczycielskich nie tam gdzie są nauczycielskie seminaria, a tych znowu niepodobna zakładać na wsi. Ale zdaje nam się, że w małych miastach byłyby one jeszcze lepsze i skuteczniejsze niż w wielkich, a w małych czy w wielkich, sądzimy, że tryb życia nie będąc grubym, może przecież być do wiejskiego zbliżonym.

Niektórzy uważają dozór i opiekę nad przyszłemi nauczycielkami, internaty dla nich, za rzecz tak ważną jak mężkie, lub może od tych ważniejszą, za jedno z tych przedsięwzięć, które Sejm przyszły wykonać — przynajmniej rozpocząć — powinien. Inni znowu odpowiadają na to, że o ile seminaria nie powinny nigdy przyjmować uczennicy, któraby nie mieszkała przy uczciwej, własnej lub zaprzyjaźnionej rodzinie, o tyle chowanie ich pod dozorem ochmistrzyń, niezawsze rozrotnych, a często suchych i sztywnych, mogłoby źle je

usposobić do przyszłego wiejskiego życia. Z własnem zdaniem się nie odzywamy, nie dlatego, jakobyśmy go wcale nie mieli, ale że się z nim odzywać uważamy za rzecz przedwczesną.

Prawodawstwo w rzeczach szkół średnich, tak niestety, mało do Sejmu należy (a raczej wcale od niego niezależny), że na tem miejscu mówić o tych sprawach jest może prostą stratą czasu. Rada szkolna przez szczęśliwe nominacye, przez staranie o lepsze książki, przez coraz większą pilność, karność i sprężystość, robi na tem polu co może, robi od lat kilku i więcej i lepiej niż dawniej; z Sejmem zostaje ile może w żywym związku i życzenia jego spełnia; a pewnośc jest wszelka, że ten postęp ku lepszemu pod rządami nowego namiestnika nie ustanie, lecz owszem rozwinie się i utrwali. Więcej cóż w Sejmie zrobić możemy? wyrazić jakies życzenie, wezwać rząd do założenia szkoły gdzie potrzebna, i koniec. Jednak, choć o tych sprawach radzić nie stanowczo nie będziemy, pcha nam się gwałtem pod pióro myśl jedna, dawno w głowie i przekonaniu tkwiąca. Niech się raz głośno wypowie: jeżeli w niej jest co dobrego, to może się przyjmie i z czasem skutek jaki sprowadzi.

Niepokoimy się nieraz ogromnym nadmiernym przyrostem uczniów po gimnazyach; slyszeliśmy ludzi bardzo nawet postępowych, przełękniionych tem, co nazywali hyperprodukcją intelligeneyi. Istotnie, nauka obowiązkowa pcha wszystkie dzieci do szkół pospolicznych, a popęd wrodzony ludzkiej, w szczególności naszej polskiej naturze, popęd do wydobywania się ze swego stanu i położenia, pragnienie i nadzieja lepszego losu, pchają wielką liczbę tych dzieci do szkół średnich

i wyższych. Jak często, jak nieraz okrutnie nadzieja ta zawodzi, to wszyscy wiemy. Z wytrwalością nieraz prawdziwie budującą, a tragiczną przez to, że daremną, w ciągłej walce z niedostatkiem, głodem, zimnem, złem zdrowiem, w ciężkiej walce z własną nieraz słabą zdolnością, przebywa nieszczęśliwy chłopiec lata gimnazjalne, potem lata uniwersyteckie, i myśli, że teraz przecie zacznie się lepsze życie. Płynął rozpaczliwie, sto razy omal nie utonął, ale nareszcie dobił do brzegu! Nieprawda! ten brzeg to ruchomy piasek, na którym stanąć, ani kroku postawić nie można, trzeba się zapadać, grzęznąć i ginać. Świat cały niby przed nim otwarty, ale w tym świecie wszystko zamknięte. Starających się o posady więcej niż posad; szczęśliwy ten, co jakąś na całe lata bezpłatną uchwycił, może z czasem znajdzie utrzymanie. Młodzieniec z istotnie nieraz rzadką zdolnością, ginie wreszcie złamany na duchu i zdrowiu; mało zdolny, taki, który tylko pracą i nęceniem przebyć zdołał nauki i examina, jakież ten ma widoki, przed sobą! a takich naturalnie musi być więcej.

Coraz też więcej nieszczęśliwych, zawiedzionych, którym dziwić się nie można, że mają w duszy gruby osad goryczy i żalu, ale którzy przez to tem łatwiej złymi i szkodliwymi stać się mogą.

Ten przyrost zaś jest z każdym rokiem większy: można obliczyć, że z każdym rokiem będziemy mieli większą warstwę takich nieszczęśliwych i marniejących.

Dostrzeżono tego złego, i szukano na nie rady. Znacznie podwyższona opłata szkolna miała być tamą przeciw zbyt niemu napływowi uczniów. Skuteczną się nie okazała, a dla wszystkich niebogatych uciążliwa, sama przez się jest nieprzyjemnym i nieładnym środ-

kiem. Lepszym zdawałby nam się taki, który nie mechaniczną i pieniężną, ale umysłową, naukową stawiałby granicę między młodzieżą lepiej i gorzej usposobioną do wyższych nauk. Taka granica byłaby i naturalniejsza i sprawiedliwsza, i mogłaby wszystkim, społeczeństwu całemu, wyjść na użytek. Mamy giinnazyum niższe i wyższe: ostatnie, prowadzące już do uniwersytetu, i w nim znajdujące swoje konieczne dopełnienie. Ale po skończeniu czterech klas niższych, chłopiec nie jest jeszcze tak wykształcony, iżby koniecznie wyższych nauk potrzebował, jest dość wykształconym na to, by w każdym stanie czy zawodzie był człowiekiem oświeconym: a jest jeszcze tak młody, że każdy stan czy zawód od początku może zaczynać, tak elastyczny, że do każdego jeszcze nagiąć się i przywyknąć zdoła.

Gdyby więc od nas zależało, zaprowadzilibyśmy po pierwszych czterech klasach gimnazyalnych examin, i to ścisły, examin nie dojrzałości oczywiście, ale bystrości i zdatności, po którym uczniowie tężsi przechodziliby do klas wyższych, słabsi musieliby odpaść. Byłby to gatunek młynka, w którym ważne i zdrowe ziarno utrzymałoby się na wierzchu przetaka, odjemne spadłoby na dół. Ale ten chłopiec mniej zdatny, któryby do piątej klasy nie poszedł, w czterech nauczyłby się przecież tyle, że czy w handlu, czy w rzemiośle, czy w fabryce, byłby zawsze jednym z rozumniejszych i więcej cywilizowanych, przez to podnosiłby poziom cywilizacyjny całego swojego otoczenia; sam doszedłby prędzej z mniejszym trudem do utrzymania (nieraz może lepszego), jak jego kolega pasujący się z trudnościami wyższych nauk; bardzo często byłby człowiekiem od tamtego szczęśliwszym. A gdyby też po owych czterech

klasach zechciał do ojca i gospodarstwa na wieś powrócić, jakim mógłby być włościaninem rozumnym, świat znającym, do lepszego gospodarowania usposobionym, może coraz zamożniejszym, skupującym grunta, zaokrąglającym ojcowiznę... Cywilizacya rzemieślników, drobnych handlarzy, włościan, podniosłaby się przez to na wyższy poziom; uniwersytety miałyby mniejszą liczbę, ale zdolniejszych, lepiej wykształconych uczniów, a poziom nauki i wyższej oświaty nie straciłby na tem, ale by zyskał.

A skoro już zapuszczamy się w marzenia i mówimy o rzeczach, których Sejm sprawić nie może, ale których przyszłość może potrzebować, to będziemy już odważni (lub może zuchwali) do końca, i wypowiedzimy się z jednej jeszcze troski, która nam ciąży na sercu jak kamień.

Tą jest przechodzenie ziemi w obce, nie polskie ręce. W Wielkopolsce wykupują ją z pod nas siłą kapitału, praw wyjątkowych i (do niedawna jeszcze) naszej nieopatrności; pod rządem rosyjskim nie pozwalają jej nabywać, a nawet dziedziczyć, i nad każdym z nas, który rosyjskim poddanym nie jest, wisi ta groźba przymusowej sprzedaży, która sprawia, że jego majątek jest jego dożywociem tylko. A my w Galicyi, nie zbytkujemy, nie marnujemy, nie próżnujemy nawet (mówiąc o większości), ale skutkiem dawniejszych przyczyn raz po raz to kmiecią rolę, to szlacheckie mienie oddajemy w ręce Niemca lub żyda. Wieleto u nas powiatów, gdzie obywateli żydów tyle co chrześcian Polaków. Daleka od nas wszelka nienawiść, a jeszcze dalsze jątrzenie przeciw komukolwiek: ale bliska troska, co z nas będzie, jak nam tej ziemi pod nogami i w ręku coraz

mniej zostanie. Był gdzieś kiedyś jakiś król bez ziemi, ale narodu bez ziemi nie było nigdy i być nie może prócz żydów, którzy mają osobne przeznaczenie i bezwiednie mu ulegają. Nie o samą zaś tylko kmiećcą rolę chodzi, choć o nią nie mniej, ale o szlacheckie dobra, bo nie tak polskiego ducha nie trzyma i nie utrzyma, jak ziemia w polskiem, świadomie polskiem ręku.

Indemnizacya propinacyjna może nas bardzo wspomódz i podeprzeć, może nam część długowego ciężaru z ramion odwalić, może zostawić mniejsze raty do spłacenia, a przez to większe bezpieczeństwo przeciw niedoborom wynikającym z nieurodzajów, klęsk, niskich cen i podobnie. Ale jeżeli nas nie poratuje? jeżeli ten środek chybi? jeżeli ją jakoś zmarnujemy i strwoniemy, a nie będziemy mieli tego gotowego dochodu, jaki propinacya dawała na pożyczkowe raty i na prowadzenie gospodarstwa, czy wtedy za lat kilka nie doczekamy się — Boże odwróć — strasznej klęski licytacyj coraz liczniejszych, a już nie do odwołania, nie do odwrócenia.

Pamięci, baczności na to niebezpieczeństwo prosimy, błagamy ze wszystkich sił, i nie naszych tylko, ale ze wszystkich zbiorowych sił przeszłości i przyszłości, narodu i ojczyzny. Ufamy w Bogu, i w naszym własnem sumieniu i honorze, że ta straszna możliwość nie stanie się nigdy rzeczywistością. Ale kiedy widzimy, że jest u nas majątków zadłużonych wiele, że choćby nie więcej, to już te mogą dojść do przymusowej sprzedaży i dostać się w obce ręce, przychodzi nam do głowy nie myśl nawet, ale tylko nieśmiałe pytanie, czy nie możnaby niebezpieczeństwu w pewien sposób zaradzić. W Wielkopolsce założono w takim celu Bank ziemski; czy on jest praktycznie obmyślany i urządzony, na tem

się nie rozumiemy i nie znamy, ale coś podobnego mogłoby i u nas okazać się potrzebnem. O ile możliwem? Czy znaleźlibyśmy potrzebny potemu kapitał i ludzi do zarządu? Nie wiemy, ale to wydaje nam się jasnem, że należy wymyśleć i przygotować jakąś instytucję, której celem byłoby w pierwszym rzędzie ułatwiać zachowanie większych obszarów ziemi w ręku polskiem, a gdzie to nie byłoby możliwem, parcellowanie ich i sprzedawanie włościanom. Byłbyto zawsze jeszcze sposób zachowania ziemi w rękach polskich, a włościanin bogatszy, na większej przestrzeni gruntu osiadły, stałby się z czasem rdzenną siłą nie tylko społeczną, ale i narodową. Przed laty miał i ogłosił myśl tę pan Henryk Kieszkowski, a że nie była utopijną, dowodzi fakt, że się gdzieś przecie przyjęła, i w dwóch powiatach (Jarosławskim i Limanowskim) spółki takie ochronne wydała. Zdaje nam się więc, że trop jest: czy nie możnaby za nim trafić do celu? Czy to możliwe, czy praktyczne, niech sądzą mędrsi; my nie wiemy, a mówimy tylko, co nam uczucie i prosty (w tych rzeczach mało ćwiczony) rozsądek dyktuje.

Dodalibyśmy jeszcze jedno. Produkcya fabryczna, łatwość i taniość komunikacyi, wreszcie niemożność zaprowadzenia ceł ochronnych między nami, a bogatszymi i przemysłniejszymi krajami monarchii, grozi upadkiem naszym rzemieślnikom i drobnym przemysłowcom. Na fabrycznem obuwii i jego składach we Lwowie i Krakowie mieliśmy próbkę i złego, i trudności zaradzenia złemu. W prawie środka przeciw temu niema, w naturze rzeczy jest to, że kupujący ostatecznie zawsze liczniej i częściej uda się tam, gdzie tensam towar kupi za mniejszą cenę. Jednak jak upadek kupiectwa jest

widoczny i dotkliwie czuć się daje, tak upadek rzemiosł grozi i ratować się od niego trzeba. W Warszawie, w warunkach nierównie trudniejszych, znalazły się przecież środki pomocy w założonych kasach, wydanych podręcznikach technicznych sposobów i handlowych stosunków. Nie próbujemy wskazywać środków, przytaczamy tylko przykład; a przypominamy, że środków szukać i bronić się nam należy, bo inaczej i ta gałąź naszego życia może uschnąć, a gdzie wszystkie od mrozów lub posuchy tyle już ucierpiały, tam każdej pilnie strzedz, każdą opatrywać należy, żeby jej się przynajmniej nie gorszego nie stało.

Jeżeli mówimy tu o rzeczach, które nie wchodzą w zakres czynności sejmowych wogóle, lub przyszłego Sejmu w szczególności, to dlatego, że należą one do podstaw społeczeństwa i obchodzą jego przyszłość; nasze zaś — wracamy do założenia — znajduje się w stanie przejścia, przeistoczenia, a cała jego przyszłość może zależeć od tego, czy z obecnego przeobrażenia wyjdzie ono zdrowszem i silniej polskiem, niż jest dziś, albo też słabszem i kosmopolitycznem. Że się ono demokratyzuje, to konieczność, którą rozumiemy i przyjmujemy; ale to znowu jest koniecznością nie już jednego czasu, lecz niezmienną, w naturze ludzi i rzeczy ugruntowaną, że żywotnem i trwałem żadne społeczeństwo być nie może, jeżeli nie jest uczciwem i organicznem. Nie może zaś być uczciwem, jeżeli jest bezbożnem; nie może być organicznem, jeżeli jest anarchicznem. Naszej zaś formującej się demokracji grozi to niebezpieczeństwo, że jak szlachta niegdyś, tak ona dziś popadnie w moc

ludzi, którzy psychologicznie naturalnym sposobem przeprowadzić jej prawie muszą, a warunków i pierwiastków moralnie dobrego i organicznie zdrowego postępu w sobie nie mają. Zaślepieni swoją doktryną, że do wolności sumień i wyznań potrzebna jest negacya wszelkiego wyznania, bezwyznaniowość, mają oni i szerzą nienawiść do katolickiego Kościoła, a o ile jej nie mają, to jej bezwiednie służą. W działaniu zaś swoim używają środków zarówno moralnie złych, jak społecznie szkodliwych i rozkładowych. Oparci na filozofii przeczenia, uważając przeczenie za pierwiastek postępu i swój obowiązek, nurtują i podkopują wszelki społeczny związek i równowagę, kiedy starają się w podejrzenie i ohydę podawać ludzi i zwierzchności, powody znaczenie i skutki spraw przekręcać, a obok jawnego istniejącego porządku władz i rzeczy tworzyć jakiś inny, równoległy, swój, który jest tamtego przeczeniem, i środkiem utrzymania społeczeństwa w niepokoju i zamęciu. Mówią o postępie, ale na czym się ten postęp zasadza, tego pokazać i przekonać o nim nie umieją. We wszystkich kierunkach społecznego i narodowego życia, politycznym, ekonomicznym, naukowym, literackim, my niby zacofani możemy wykazać tęższych ludzi, szersze pojęcia, lepsze dzieła, rzeczywistsze skutki, zatem rzeczywistsze postępy, niż oni. Mówią wprawdzie o potrzebie zbliżenia się do ideału powszechnego głosowania: ale ten ideał, lat temu czterdzieści, mógł w dobrej wierze być uznawanym za wyraz i warunek postępu; dziś, po doświadczeniu poznany w praktyce, jest przestarzałym i przehytem stanowiskiem, bo dziś każdy myślący człowiek wie, że ów ideał jest tylko podwójną komedią. Komedją głosowania powszechnego, bo ono nie jest nigdy

powszechnem; a powtóre komedią woli społeczeństwa, naprawdę zaś tylko narzędziem w ręku mocniejszego. Jeżeli postęp ma oznaczać i wolność i rzeczywistą reprezentację społeczeństwa w rządzie, jeżeli do nich chce naprawdę dążyć, to przedewszystkiem to wiedzieć powinien, że ta zasada jest fałszywa, bo pod pozorami równości przynosi albo despotyzm odrazu, albo despotyzm pośrednio, po anarchii.

Prawda, że te pozory równości są dla takich *generatów przeczenia* droższe nad wszystko: nad wolność, nad siłę, nad sam byt i przyszłość społeczeństwa i ojczyzny. Widzimy to w wielu krajach, stronnictwach lub nawet rządach w Europie, tylko tego nie widzimy, żeby to tym krajom i narodom wychodziło na dobre, żeby dźwigało w górę ich ojczyzny.

Zastanawiamy się głęboko i oddawna nad pytaniem, w czem tkwi sam rdzeń i istota tego postępu, o którym nam tyle prawią, a dojrzeć jej doprawdy nie możemy. Jedną widzimy zasadę, w różnych stopniach i odcieniach przez nasze pisma postępowe wyznawaną, to *bezwyznaniowość, przeczenie i nienawiść wiary*. Jeżeli to postęp, to ten w nich jest: ale z tym wyjątkiem nie dostrzegliśmy zasady żadnej, któraby ten ich postęp wyrażała i stanowiła. Kiedy socjaliści mówią o zniesieniu własności lub rodziny, mówią o rzeczach dla wszelkiego społeczeństwa śmiertelnych; ale można zrozumieć czego chcą i do czego dążą. Ale na czem się zasadza i do czego dąży postęp, jak go pojmują i głoszą nasze niby postępowe pisma, tego doprawdy zmierkować nie umiemy.

Bodajby tą drogą, na którą weszły, nie zaszły w końcu tam, gdzie wierzymy, że zmierzać nie chcą.

Przypadek naprowadził nas na domysły i obawy, które daj Boże by się prawdą nie okazały. Pewien młody człowiek przeczytał jakiś świeżo ogłoszony tomik wierszy i dowodził nam, że wiersze wprawdzie są liche, ale stanowisko autora jest wyższe i oznacza postęp. Dlaczego? dlatego, że nie stoi na przebytem, romantycznym, patryotycznym stanowisku Mickiewicza i innych, ale ma ideał lepszy i wyższy, zajmuje się kwestyami (*sit venia verbo*) „ludzkościowemi“. O tem, że jak służąc w wojsku, można mu służyć tylko w jakimś pułku czy kompanii, tak ludzkości całej służyć można tylko w swoim narodzie i przez niego, mówiliśmy już na początku; ale bodaj czy naiwne wyznanie owego młodzieńca nie oznacza trafnie tego postępu, do którego zmierzamy. Kosmopolityzm lepszy i wyższy od patryotyzmu, demokracya i republika lepsza od ojezyny, to widziało się we Francyi, kiedy postępowi radowali się i tryumfowali nazajutrz po Sedanie, a w obliczu wojsk pruskich podnieśli potem wojnę domową; to w niektórych (prawda, że dotąd tylko w najgorszych) pismach i książkach warszawskich odzywa się nieraz wyraźnie. Wiem, że i to zwała się na karb ludzi statku, a przedewszystkiem Stańczyków! Onito niby, przez surowy rachunek z Polską dawną i dzisiejszą, przez wydobycie na wierzch jej błędów, mieli odjąć jej zaufanie we własną wartość i przyszłość, bo wykazali szkodliwość powstań, zniszczyli ideał patryotyczny. Że zaś naród bez jakiegoś zostać nie może, więc w miejsce tamtego, przez nas niby zgładzonego, wystąpił ten nowy, kosmopolityczny i socyalny. To, moi panowie, wiecie, że jest jednym z waszych wielkich kłamstw, i wiecie dlaczego je popełniacie. Nie pokażecie we wszystkim, cośmy mówili i pisali, ani

jednego słowa, któreby było przeczeniem ojezyny i jej miłości; znajdziecie tylko przeczenie konspiracyi i bezimiennej anarchicznej polityki; i to przeczenie udajecie za tamto, bo ono godzi w wasze osoby, w metodę i nieomylność waszego działania.

Dziś, kiedy je ponawiacie ze świeżą energią, nie w celu powstawania, powtarzamy, ale w celu przeczenia, rozstrajania, anarbizowania społeczeństwa, by je przez to pod swoją władzą trzymać, nie dziwcie się, że powtarzamy wam wszystko, cośmy wam i przeciwko wam mówili od lat dwudziestu i kilku, co wam mówili najlepsi i najmędrsi z Polaków: nie za naszego tylko czasu lub wiekū, ale od chwili, jak wam podobna anarchiczna demokracja zaczęła chwiać podstawami Rzeczypospolitej. „Taki rząd *popularitatis* — mówi Skarga — musi przecie mieć swoje króliki, a o te króliki nietrudno, którzy jadowitemi językami myśli swe zakryte wykonywając, poburzą prostaki i od nich na Sejmach mówią i czynią co chcą, i składają na bracią, a bracia albo o tem nie myśleli, albo zwiedzeni jak dzieci pod płaszczem wolności, krzykiem i wrzaskiem przyzwolili nie wiedząc na co, i szkody, a zguby swej nie bacząc“. Otóż my „królików“ nie lubimy: czy to w staropolskich karmazynach, czy w purpurze dzisiejszej demokratycznej czerwonosci. A że jedni do drugich podobni, że te same mają środki działania i tejsamej natury cele, że jak tamci niegdyś Polskę niepodległą do upadku przywiedli, tak ci dzisiejszej ani się dźwignąć, ani się wzmocnić, ani się naprawić nie dają, więc przestrzegamy przed nimi siły świeże a ucziwe, które na wstępie w swoją historyczną rolę mogłyby tak łatwo dać się podejść i uwieść, jak w swoim czasie szlachta królikom

i demagogom oligarchicznym. Obiecują oni piękną przyszłość i postęp, ale w tę przyszłość i ten postęp jaki oni obiecują nie wierzymy, bo z przeczenia jedna tylko rzecz może wyjść i zrodzić się — nicość.

Widzimy wielu, którym doświadczenia tak liczne, tak ciężkie, tak świeże, nie wystarczyły i oczów nie otworzyły na istotną wartość takich zasad i takiej polityki, i dlatego nie jesteśmy bez obawy o koniec tej kryzys, jaką społeczeństwo polskie przeżywa. Widzimy w niem jednak znaczny przyrost sił, świadomości, rozumu, mocy nad sobą, odwagi cywilnej i publicznego ducha, i mimo naturalnego niepokoju nie wątpimy, że dobra szala przeważy złą. Rzecz jest godna uwagi i bardzo pocieszająca, że kiedy pośród szlachty znajdują się zawsze jeszcze tacy, którzy idą na lep królików dzisiejszych, jak ich ojcowie chodzili na lep królików karmazynowych, to w sferach miejskich odzywa się nieraz instynkt trafny i rozumny zmysł polityczny, i to nie w większych tylko, ale w zupełnie małych miastach i miasteczkach; odezwał się nawet podczas i w sprawie owego wiecu miejskiego. Jedno staje za drugie, jedno dodaje otuchy, kiedy drugie martwi. Są więc warunki i pierwiastki stroju w tym rozstroju; ale mimo tych oznak dobrych, błędem byłoby i zaślepieniem ukrywać sobie, że jesteśmy wystawieni na wznocone szturmy i wpływy *jenerałów* czy *królików*.

Prąd ten wzbiera u nas, tak jak w Królestwie, choć wskutek krajowych stosunków inny ma tu i tam kształt i zakres, i nawet poniekąd inny charakter. Tamten naukowy i literacki więcej, jest szerszy i gorzej kosmopolitycznym; tutejszy więcej polski (tę sprawiedliwość można mu jeszcze oddać), jest więcej poli-

tyczny; tamten więcej filozoficznie, ten więcej praktycznie rozkładowy; tamten łączy głównie do bezbożnych i socjalistycznych myślicieli i pisarzy, ten z legitymizmem tajnych rządów narodowych łączy pociąg do działających praktycznych rewolucjonistów europejskich. Czy jest łączność i obmyślana wspólność w ich działaniu, tego oczywiście wiedzieć nie możemy: ale jeżeli nawet niema jednego nadawanego im z góry popędu, to są jednakowe i wspólne popędy, są podobne dążności i cele, tak, że działanie jednych i drugich obraca się na wspólny pożytek i może wydać tensam skutek: złe przeistoczenie społeczeństwa, zepsucie jego charakteru, zagładę jego moralnej odrębności i istoty, czyli ostateczny rozstrój i prawdziwy *Finis Poloniae*. Przed stu laty, kiedy zdrowa część narodu nie tak skutecznie jakby była mogła, ale przecież zabierała się do wielkiego dzieła organicznej naprawy państwa i społeczeństwa, królikowie ówczesni, królikowie przeczenia, stanęli im na poprzek drogi i rydwan Rzeczypospolitej zepchnęli w przepaść, wiemy jaką. Przez cały wiek XIX królikowie znowu — choć już nie arystokratyczni — lamali do reszty szczątki tego wozu, po którym i poznać trudno, czem był kiedyś, i szczątki te za każdym razem głębiej w przepaść spychali. Dziś, kiedy znowu próbuje się składać, dobierać, sztukować potrzebne kawałki, żeby z nich coś całego złożyć, znowu nie, tylko przeszkody i psucie. Czem dawniej *liberum veto*, tem w naszym wieku jest *liberum conspiro*; czem dawniej konfederacye, tem organizacye; a jedno i drugie jest tąsamą negacyą Pospolitej Rzeczy i publicznego ducha, temsamem rozprzęganiem i rozkładem politycznego i społecznego organizmu.

Czy wiek XIX ma się skończyć tegosamego ducha tryumfem? Byłoby źle, bo w takim razie w wieku dwudziestym mogłoby już o nas nie być mowy wcale. I dlatego przestrzegamy ludzi dobrych przed wrodzoną łatwowiernością i dobroduszością, która zbyt często stawała się i staje u nas szkodliwą pobłażliwością, powolnością lub opieszałością: prosimy o czujność i spójność. Jeżeli jest prawo pociągu i powinowactwa między pierwiastkami chemicznych rozczynników, to jest takiesamo między pierwiastkami dodatnimi, składającymi ciała stałe, niewzruszone zręby i posady, na których osadza się ziemia, a zakwita nasz żywy świat. Jeżeli warstwy tej nowej formacyi mają się odtąd układać horyzontalnie, a nie jak dotąd wertykalnie, niech tak będzie! ale niechże się składają z pierwiastków zdrowych, i niech te zdrowe skupiają się razem w masy granitu i masy humusu. Warstwa, którą one złożą, musi być i silniejsza i rodzajniejsza od tamtej; bo i one lepsze, i kit, który je spaja cięższy. Jedne przylegają i przyrastają do siebie siłą dodatnich uczuć i zasad, drugie łączą się siłą uczuć namiętnych zwykle, ale ujemnych, które z natury mają ruch i moc odśrodkową, i nadlugo skupiać się około jednego środka nie mogą. Wosk, w który pszczoły składają swój miód, ma jakąś spoistość i regularną budowę; to, co budują szerszenie jest napozór kunsztowne, ale rozsypuje się jak popiół, do którego jest z barwy i miąższości podobne.

Ci, którzy życie oddali na to i za swój mają przed Bogiem i ludźmi obowiązek, żeby lepić z wosku komórki a z komórek plastry, którzy miód znoszą i robią jak mogą, nie doskonale zaiste, ale lepiej niż drudzy; ci (czy oni są ze szlachty, czy z miast, czy z chłopów),

którzy się mają za powołanych i przeznaczonych nie do przeczenia, ale do działania i służenia, ci niech swoje robią dalej; a przytem niech pamiętają jedno. Dziś mamy tu jeszcze do tej roboty warunki szczęśliwe, a w tej chwili w skutku zbiegu okoliczności tak szczęśliwe i sposobne, jak nie były dawno. Ale jak długo one potrwają, i czy za drugie sześć lat będą takiesame? Korzystajmyż z tej chwili, i zbierzmy co się da zapasów miodu do naszego ula, bo jakbyśmy te lata bezskutecznie zmarnowali, to nie wiemy, czy po nich nie nastąpią gorsze: a wiemy, że dobra sposobność raz z ręki wypuszczona, nie lubi łatwo ani rychło powracać. Pamiętajmy, że plon i zarobek tych przyszłych lat sześciu, a może wielu dalszych w przyszłości, w wielkiej mierze, od tego zależeć musi, czy my *szeregowcy działania* pośród zamętu i rozstroju jaki sprawić chcą *generałowie przeczenia*, potrafimy być naprawdę *w zamęcie miarą i strojem w rozstroju*.

PRZED TRZECIM MAJA i PO NIM.

Przegląd Polski 1 Maja 1891.

Szczęśliwy, kto sto lat temu był w Warszawie, a umarł dość rychło, by nie widzieć tego, co nastąpić miało. On myślał, że patrzy na początek odrodzenia Rzeczypospolitej, że po tym początku wrócą zwycięstwa godne Wiednia, Chocimia, Wielkich Łuk, Grunwaldu; królowie godni Jana, Stefana, Kazimierza. Kiedy z drugimi wołał w uniesieniu: „Król z narodem — naród z królem,“ myślał, że skończyła się nareszcie ta niejedność i niecałość naszego organizmu, która może już cokolwiek od śmierci ostatniego Piasta, od śmierci ostatniego Jagiellona już z pewnością i na dobre, oddzielała ciało od głowy, za jedno uważać ich nie chciała, przez to ciało i głowę na niemoc i bezwładność skazała.

Taki myślał, że po wiekach walki przyszło nareszcie zwycięstwo publicznego ducha i politycznego rozumu nad przesądami, nałogami i przywarami narodu, że odrodzenie jego już się dokonało. Tego nie widział, co my dziś wiemy, że to odrodzenie było tylko częściowem. Rzeczywiste i silne, ono wtedy praktycznie skutecznem być nie mogło, politycznego bytu nie uratowało. Rzeczywiste i silne w duchu narodu, poprawiające i podnoszące go bardzo, ono zupełnem i powszechnem nie było wtedy i nie jest dziś po stu latach. Zwycięstwo jeszcze dotąd odniesionem nie jest, a stary nieprzyjaciel, stary duch nierządu i fakeyi, odświeżony

w różnych kąpielach i różnemi maściami pomalowany, w zmienionych pozorach po dawnemu do Pospolitej Rzeczy szturmuje.

Pierwsza połowa wieku XVIII jest chwilą bardzo ważną w tej wiekowej walce Rzeczy Pospolitej z Rzeczą Prywatną ludzi czy fakcyj. Jestto ta, w której pod wpływem smutnych wypadków, jakie wszem wobec nacznie pokazywały niemoc Rzeczypospolitej i jakie każały się obawiać ostatecznego jej upadku, świadomość złego zaczyna stopniowo się rozszerzać, a pomału dojrzewa przekonanie, że tak jak idzie, dalej iść nie może; że trzeba albo z gruntu zmienić same podstawy prawa publicznego, albo upaść. Przez całe trzy wieki toczyła się walka pomiędzy faktyczną konstytucją polską, bronioną, rozwijaną do ostatecznych swych konsekwencyj przez ogół szlachty, a z drugiej strony pomiędzy mniejszością, która widziała dobrze i złe samo, i jego przyczyiny, i jego skutki; pomiędzy większością, która nie chciała poddać się żadnym warunkom politycznego życia w państwie, która nie chciała znosić nawet stałych podatków, która poddawała Rzeczpospolitą pod samowładną wolę każdego prywatnego człowieka, która całości kraju narzucała wolę jednego powiatu lub województwa, która tego wszystkiego broniła jako swoich praw i przywilejów, nie rozumiejąc, że z temi przywilejami żadne państwo utrzymać się nie mogło, — a mniejszością, która pytała z rozpaczą, co się stanie z ciałem politycznem pozbawionem systematycznie skarbu, wojska i administracyi, z państwem, w którym prawa nie miały exekucyi, w którym bez Sejmu nic zrobić się nie mogło, a Sejm co dwa lata tylko zbierany, był zawsze na łasce każdego sejmiku, który mu stawiał

warunki lub protestował przez swoich posłów, każdego posła, który przez przedajność, upór, junaństwo lub głupstwo, wyrzekł nad nim fatalne „Nie pozwalam.“ Mniejszość ta była zawsze i zawsze działała; a nie ma wątpliwości, że wszystkie najtęższe charaktery, najpotężniejsze intelligencye, najpiękniejsze postacie, wszystko, co jest chlubą naszych dziejów i skarbem naszych narodowych wspomnień, wszystko to do tej mniejszości należy. Na czele jej stoi ten szlachetny i bystry Zygmunt August, dręczony przecuciem tego co się stać miało po jego śmierci, i z taką wytrwałością pracujący nad stanowczą unią Litwy z Koroną, a z takim smutkiem rozmyślający nad możliwemi skutkami przyszelego bezkrólewia i elekcji. Myśl jego chwytła wielki Batory, który na samym wstępie dostrzega błędów polskiej konstytucji, i powiedziawszy, że *Respublica solo fato regitur*, szuka sposobu, żeby na przyszłość rządzić się mogła prawami i porządkiem. Łańcuch ten nie zrywa się nigdy; naprzeciw zrywaczy Sejmów i rokoszanów, zawsze niestety silniejszych, zawsze znajdujących poparcie u braci szlachty, stoi ten obóz nieliczny, ale wybrany, rozumnych patriotów i polityków. Po Batorym myśl reformy spada dziedzictwem na Władysława IV i Ossolińskiego, potem na Jana Kazimierza i Maryę Ludwikę; można każdemu z nich zarzucać niestósowność środków lub niezręczność w ich użyciu, ale to trzeba im przyznać, że na położeniu poznać się umieli, że przyszłość stwierdziła aż nadto ich obawy i proroctwa.

Prąd ten reformatorski w dziejach odbija się bez przerwy i w literaturze. Jeszcze za pierwszego Zygmunta, w tej epoce, kiedy Rzeczpospolita wydaje się tak zdrową i czerstwą, już wtedy pisarze nasi mówią

o jej naprawie, a mówią o niej nie spokojnym tonem ludzi, którym ten lub ów szczegół zdaje się potrzebować odmiany, ale groźnym i błagalnym głosem tych, którzy przewidują, że wszystko leci do upadku. Od czasu, jak Orzechowski pierwszy powiedział, że sąsiedzi rozedrą Rzeczpospolitą „jak psy flak,“ głos ten nie przestaje dźwięczyć; to przeczucie, ta przepowiednia odzywa się nieustannie, a coraz głośniej i coraz wyraźniej, w miarę jak niebezpieczeństwa bezkrólewioń i elekcij powtarzały się, a za każdym razem objawiały się widoczniej i groźniej. Pisarze nie byli szczęśliwsi od mężów stanu. Jak tamci nie mogli pomysłów swoich wykonać, tak ci nie mogli przekonać massy narodu, uważającej w każdej poprawie napaść na wolność, a pojmującej wolność jako niezależność zupełną od wszystkich warunków politycznego życia, jako wolność od podatków, jako prawo niepoddania się nikomu i nicemu, jako wyższość jednej woli, jednego indywiduum nad narodem i społeczeństwem.

W drugiej połowie XVII wieku, w tej epoce ostatecznego wybudowania indywidualizmu nad zbiorowość, po której niebawem miała nastąpić epoka logicznych skutków tej wybudalności, uciszają się i rzedną te głosy przestrogi i groźby: a tymczasem wypadki biorą na siebie rolę pomszczenia prawdy politycznej, logicznej i moralnej. Tryumf tej dążności, która się ciągnie przez całe dzieje Polski, dążności postawienia części nad całością, a jednostki nad społeczeństwem, stał się w owym czasie zupełnym. Nie ma wolności, gdzie człowiek nie jest swoim panem; ale nie ma społeczeństwa, nie ma państwa, gdzie jeden jest panem wszystkich. Ojcowie nasi rozumieli tylko tę pierwszą prawdę, drugiej nigdy

uznać nie chcieli. Ich historia i ich instytucje wykazują tę dążność do wyzwolenia jednostki z pod wszystkich warunków zbiorowego życia, do pozostawienia wszystkiego na łasce i uczynienia zależnym od woli pojedynczego człowieka. Z tej dążności poszło, że szlachcie stałych podatków znać nie chciał; z tej dążności to, że zbiorowa reprezentacja Rzeczypospolitej i jej uchwały zależały zawsze od instrukcyj sejmików wojewódzkich; z tej dążności to, że jeden człowiek mógł zrywać Sejmy i wstrzymywać prawa. Była to wolność, która przekroczyła naturalne granice, wolność, która sprawiła, że Polska nie mogła nigdy ukonstytuować się jako państwo.

A równocześnie, kiedy zeszła z tej drogi, na której była za Kazimierza Wielkiego i później jeszcze w wieku XV, kiedy sobie postawiła nieprzełamane przeszkody, żeby się stać państwem, równocześnie otoczyła się takimiż przeszkodami, które jej niedopuszczyły wyrobić się na społeczeństwo zupełne, dobrze uorganizowane i rzeczywiste. W tejsamej chwili, kiedy założyła podstawy przewagi jednostki nad narodem, tej nieograniczonej indywidualnej wolności, w tejsamej chwili skonfiskowała Polska tę wolność na korzyść jednej warstwy narodu, i urządziła się tak, że bez stałych dochodów, bez skarbu, bez wojska, bez administracji i bez wykucy praw, nie mogła być państwem: o jednej tylko klasie nie mogła być społeczeństwem.

Druga połowa XVII wieku jest chwilą zupełnego tryumfu tych obu dążności; obie ukazują się w całej pełni i rozwoju. *Veto* praktykowane coraz śmielej i częściej, podniesione do godności żrenicy wolności, jest zwycięstwem jednostki nad społeczeństwem; a coraz

cięższe, coraz wyłącześniejsze panowanie szlachty nad chłopem, coraz dłużej trwające upośledzenie stanu miejskiego, jest znowu zwycięstwem tej dążności, która w szlachcie samej chciała zamknąć całą Polskę i niestety swego dopięła. Obie te dążności razem święcą same tryumfy w owej epoce; rozpuszczone zaciągi Władysława IV, to ich tryumf; schłopienie Kozaków, ich tryumf; zrywane Sejmy, rokosz Lubomirskiego, udaremnione zamysły Jana Kazimierza, wszystko to ich zwycięstwa, po których zostają one samowładnemi, przez nikogo nieprzeznaczonemi paniami Rzeczypospolitej.

Skutek tych zwycięstw nie kazał na siebie czekać, a była nim ta polityczna i umysłowa niemoc w pierwszej połowie XVIII wieku, która nas dziś tak boli i wstydzi. Przez to, że każdy Sejm był zawsze na łasce pojedynczego człowieka, przechodził jeden za drugim bez uchwalenia podatków, bez obmyślenia ratunku i obrony; przez to, że każde województwo mogło się poddać lub nie poddać uchwałom Sejmu, zostawały wszystkie uchwały i prawa bez wykonania. Dopóki jeszcze żył Jan III, dogasał przynajmniej na tej Polsce dawny blask rycerskiej chwały i dzielności; było jeszcze coś, co świadczyło o dawnej wielkości. Ale z jego śmiercią ginie ostatek uroku. Wielka ta postać zasłaniała sobą te smutne gruzy i śmiecie dawnego gmachu; gdy jej zabrakło, okazały się dopiero w całej nagości. Szlachcie zrywa Sejmy, a Rzeczpospolita nie mogąc uchwalić podatków, nie płaci wojska; wojsko robi związki, lub nie robiąc ich nawet, płaci się samo rabunkiem i uciskiem najuboższych; szlachcie nie raczy myśleć o obronie granic i nie dla niej poświęcić, a Moskale i Szwedzi biją się wzajem na gruncie Polski i na jej grzbiecie. Roz-

brojona i bezwładna Rzeczpospolita, zajezdna karczmą, do której kto chce wchodzi, traci *de facto* swoją niepodległość, traci imię i cześć u ludzi, a rozpasane indywiduum nie daje jej nawet marzyć o ratunku, powtarzając swoje *veto*, trzymając wysoko po nad nią swój klejnot szlacheckiej wolności, i cieszy się, że Polska nierządem stoi, dopóki sobie nie powie, że ona „już dawno umarła, tylko przewrócić się zapomniała“.

A w tym samym czasie, kiedy tak Rzeczpospolita rozsypuje się w proch, wśród Europy tracącej coraz bardziej wszelki zmysł moralny, podnoszą się dwa państwa nowe, które miały sprawdzić dawne przepowiednie rozbioru.

Wtedy sam nadmiar złego obudził miłość ojczyzny i pragnienie ratunku. Za Augusta II już poczęte, objawiające się w pismach poważnych (Karwicki, Leszczyński), za jego syna przechodzi to dążenie na pole praktycznego działania.

Plan Czartoryskich, naczelników stronnictwa reformy, zasadał się nad tem, żeby zapomocą Rosyi osadzić na tronie swego człowieka, a potem, z pomocą nowego króla zmienić formę rządu. Plan i zamiar był mądry, środek zły. Przerachowali się zaś w tem, że państwo to, czyhajac na zgubę Rzeczypospolitej, chętnie dało im pomoc w pierwszej części dzieła, ale drugiej położyło tamę nieprzebytą. Słuszność każe przyznać, że kiedy negocyacye z Rosyą były zawiązane, za Elżbiety, niebezpieczeństwo to nie groziło. Wpisać się do cechu państw europejskich sposobem normalnym i zwyczajnym, być przez nie przyjętą i dobrze widzianą, taka była ambicya i polityka Elżbiety, widoczna zwłaszcza w wojnie Siedmioletniej. Być w stosunkach i przy-

jaźni z państwami staremi i statecznemi, wejść w jedną z niemi kolej polityki, oto czego wtedy Rosya chciała. Ale Elżbieta umarła, miejsce jej zajęła Katarzyna, i w tej chwili obalilo się całe dzieło Czartoryskich. Tamta chciała tylko liczyć się do Europy, ta chciała w niej być pierwszą; a polityka gwałtu i kłamstwa, jakiej miała przykład na Fryderyku, prowadziła ją do celu prędzej jak każda inna. Stało więc zaraz porozumienie tych dwóch państw młodych, świeżo powstałych, pozbawionych wszelkiej chrześcijańskiej tradycyi, wszelkiego zmysłu moralnego, a czujących odrazu z najjaśniejszą i przerażającą świadomością, że są wcieleniem zasady *siła przed prawem*. Jeszcze żył August III, kiedy od obu tych dworów przyszło Czartoryskim oświadczenie, że gotowe są popierać ich kandydata, ale na żadną zmianę instytucyj polskich nie pozwolą.

Stronnictwo reformy poznało swój błąd, ale rąk nie opuściło: postanowiło robić swoje zręcznie i ostrożnie, ale wbrew nawet dworom zagranicznym. Na Sejmie konwokacyjnym (pod konfederacją) usypiając czujność Kaiserlinga, a nie dbając na protestacyę opozycyi, przeprowadzają zmiany wielkiej wagi: uchwalają się komisye skarbu, wojny, sprawiedliwości i spraw zagranicznych, wybierane z Sejmu w myśl Leszczyńskiego i Karwickiego, a wymierzone na ograniczenie władzy czterech dygnitarzy; władza hetmańska dostała cios dotkliwy przez przydanie królowi czterech pułków gwardyi, kiedy dotychczas pomnożenie tej gwardyi o jednego człowieka, hetman miał prawo uważać za rokosz i tak traktować; przyznano komisji sprawiedliwości pewną kontrolę nad powinnościami poddanych, słowem wzięto się do dzieła z energią i zawsze w jednym duchu, za-

wsze z dążnością obalenia instytucyj oligarchicznych a zaprowadzenia monarchiczno-demokratycznych. Ale kiedy chciano wziąć się do *Liberum Veto* i zamienić je na większość, zaszła powtórna protestacya, powtórna groźba — trzeba było czekać sposobniejszej pory.

Sejm koronacyjny zatwierdził uchwały konwokacyjnego i poszedł o krok dalej: zaprowadził cło od towarów na wszystkie stany. Sejm następny, 1766 roku, uchwalił prawo poddające uchwały sejmików pod zasadę większości; miał już uchwalić podatek powszechny i powiększenie wojska, kiedy posłowie rosyjski i pruski oświadczyli, że powiększenie podatku i wojska i zniesienie *Liberum Veto* dwory ich uważać będą za *casus belli*. Wreszcie, konstytucya Repninowska z roku 1768, pomiędzy kardynalnemi prawami Rzeczypospolitej, których naród nigdy, ani nawet jednomyślnością znieść nie mógł, położyła na pierwszym miejscu elekcyę królów i *Liberum Veto*.

I to jeszcze nie otworzyło nam oczów! I to nie przekonało, że zgubną być musi ta „żrenica wolności,” skoro nieprzyjaciel strzeże jej jak żrenicy swego oka, tego oka, które pożądliwie na nasze ziemie patrzyło. Przyszła sprawa dyssydentów, przyszły konszachty z Repninem o detronizacyę Pana Stolnika Litewskiego, przyszła sromotna Radomska robota, którą otrzeźwione sumienie Barską naprawić chciało, a niezdolało. Przeszedł pierwszy rozbiór i ohydny Sejm podziałowy.

To skutkowało. Odmiana i poprawa jaka się dokonała u nas od roku 1775 do 1788, była bardzo wielka i bardzo wielostronna. Dostateczną i zupełną nie była, bo ani przytępiony zmysł polityczny, ani zwątlaly duch publiczny, rychło w zupełności podnieść się nie mógł,

a z dziedzicznego złego niejeden pierwiastek tkwił nawet w najlepszych. Tej poprawy dowodem i owocem była ustawa 3-go Maja, tych złych nałogów skutkiem była i długość i w niejednym marność sejmowych rozpraw, była strata dobrych sposobności, były błędy w postępowaniu Sejmu.

Ale była poprawa. Było wyparcie się dawnych błędów, było poznanie i uznanie warunków życia, był rozum i duch publiczny, była zasada społecznego ładu i politycznej siły: zamiast nierządu rząd, zamiast kasty naród.

Wtedy stwierdziły się w naszych dziejach i losach dwie prawdy, widoczne w historii od stworzenia świata. Jedna ta, że fałszywa zasada, której się długo folguje i pobłaża (a myśmy swoją hodowali owszem i czcili) mści się na społeczeństwie, które ją znosiło; druga, że dobre, jakie się zrobić ma, trzeba robić zawczasu i prędko.

Stała konstytucya mądra i sprawiedliwa, dokonała się wielka sprawa polityczna i społeczna, droga odrodzenia była rzeczywiście otwartą. Zapóźno! Przyszła konfederacya Targowicka, przyszła zdrada króla pruskiego, przyszedł drugi rozbiór, czemu wszystkiemu Polska oprzeć się nie mogła. Ludzie Czteroletniego Sejmu mogli powiedzieć, jak Franciszek I: *tout est perdu fors l'honneur*. Cześć narodu rzeczywiście uratowali. Potem, złe jakie było, nie spada na naród: robili je ludzie, ale to, co zrobiła Polska przez swój Sejm, to było mądre i dobre. Gdyby nie Trzeci Maj i nie powstanie Kościuszki, byłaby się sprawdziła obawa Staszycza, wołającego: „Polsko, czyż to być może, żebyś ty nikczemnie ginęła!” A niestety takiego nikczemnego końca nieraz

była bliską. Było już znikczemnienie okropne w roku 1717, kiedy Polska przyjmowała gwarancję Piotra Wielkiego; było później po chwilowem podniesieniu ducha, przez te lata letargu, które upłynęły pod Augustem III; i gdyby rozbiór nastąpił był wtedy, kto wie czy wymazanie Polski z karty Europy nie byłoby pociągnęło za sobą zatarcia zniedołęźniałego, martwego ducha narodu. Na szczęście rozbiór się spóźnił, naród nie uniknął upadku; ale choć upadek jest zawsze wstydem, uniknął wstydu najgorszego, dobrowolnego i obojętnego upadku. Początkowa mrówcza powolna praca Leszczyńskiego i jego szkoły, wydała owoce, wydała ludzi rozumniejszych i lepszych, a światło i cnota tak rosła, tak się szerza, że wzgardzona zajezdna karczma zdobywa się na doskonale zarzysy państwa w Czteroletnim Sejmie, na bohaterstwo w powstaniu Kościuszki. Od roku 1717 do 1787 przebył naród drogę od najgłębszego upadku, do jednego z najwyższych na jakich był kiedykolwiek stopni oświaty i politycznej mądrości. Upadł, bo wychodzący za ledwo z nierządu obronić się nie mógł: ale upadł z dowodem, że mógł żyć, i że żyć był godzien.

Nie można uważać za przypadkowy, ale można śmiało nazwać fatalnym ten zbieg okoliczności, który sprawił, że porozbiorowy byt Polski wypadł właśnie na wiek XIX. Przypadkowym on nie był, bo potrzebował pewnej dojrzałości złego, pewnego stopnia wygładzenia zmysłu moralnego w Europie, który musiał być poprzedzony zachwianiem tego wszystkiego, co było zasadą w polityce i moralności, wiarą w religii. W wieku XVI, kiedy Iwan nosił się z planem rozbioru Polski, był plan ten chimera, bo oprócz tego, że Polska była za silną,

było i uczucie chrześcijańskie zbyt żywym, żeby myśl taka mogła innym wydać się czem innym, jak pokusą do grzechu. Za Jana Kazimierza, kiedy Karol X plan ten wznawiał, uczucie honoru było zbyt jeszcze żywe, a przynajmniej był jeszcze wstyd w Europie. Pokusa działała silnie na niektórych, lecz wstrzymywała bojaźń już nie Boga, ale jeszcze ludzi. Ale w wieku XVIII, kiedy idea państwa podniesiona do najwyższej potęgi przez Ludwika XIV, skwapliwie została podchwyconą przez wszystkie dwory europejskie, kiedy całe panowanie Fryderyka II było jak żeby wyrachowane na to, by zniszczyć wszelką świadomość prawa w stosunkach międzynarodowych i dowieść praktycznie, że żadne państwo nie potrzebuje się troszczyć o prawo publiczne; wreszcie kiedy filozofia tak potrafiła zagłuszyć sumienie w indywidualiach, że Voltaire mógł nazwać rozbiór Polski dziełem geniuszu, a nikt mu się nie sprzeciwił — wtedy owoc był dojrzały! nie było ani Boga, ani prawa, ani opinii, którejby się wstydzić trzeba. Nie przypadkiem więc nastąpił podział w końcu XVIII wieku; ale do tego nieszczęścia fatalnym dla nas dodatkiem było to, że on wtedy nastąpił.

Z tego bowiem wynikło, że wszystkie te przeobrażenia, które stanowią historię wieku XIX, Polska odbywać musi w podległości, nie będąc panią siebie. Usunąć się od nich, nie odbywać wspólnie z innymi tej ciężkiej pracy wieku nie może, to od niej nie zależy. Zbyt jest ściśle i silnie ze światem europejskim złączona, musi, chce czy nie chce, robić z nim wszystkie jego obroty i przewroty, jako jedna planeta w tym systemie. Ztąd wynika, że przez cały ciąg tego wieku jest ona rozdarta pomiędzy własne i europejskie dążno-

ści, że odbywa ruch podwójny, że zamiast oddać się całkowicie i wyłącznie swojej tylko sprawie, ona razem z Europą przeżyła już kilka rewolucyj, z których każda odbiła się w jej wewnętrznych stosunkach, i każda wpłynęła prawie zawsze szkodliwie na stan jej sprawy i na jej siłę. Wyobraźmy sobie Polskę podzieloną, ale podzieloną w wieku jakiegoś stałego politycznego i społecznego porządku, rządzonego zasadami i instytucjami jakimikolwiek, ale ogólnie przyjętymi i wyznawanymi, np. w pierwszej połowie XVIII wieku. Rzecz prosta, że wtedy Polska w tej równowadze ogólnej, posiada i swoją równowagę własną, że wewnętrznie spokojna i jednolita ma tylko jedną sprawę na oku, jednej służy cała i wszystkimi siłami. Ale rozbiór jej wypadł właśnie na wiek XIX, wiek, którego znamieniem jest niestałość a historią walka: niestałość zasad, wier, przekonań, charakterów, rządów — walka wolności z absolutyzmem, porządku z rewolucją, coraz nowej rewolucyi z porządkiem, który przed chwilą sam jeszcze był rewolucją, demokracji z resztkami dawnej arystokracji, demokracji, która jeszcze dąży, z tą, która już stanęła u celu; klas roboczych ze stanem trzecim, walka pracy z kapitałem, proletaryusza z posiadającym, walka narodowości z rządami obcymi lub tylko poddanych z rządami despotycznymi — i to wszystko nieustannie, w nierozwiklanym chaosie, — i to wszystko, co bodaj nie obali najpotężniejszych mocarstw w Europie, odbija się i musi się odbijać także na Polsee, podzielonej, osłabłej, i zwróconej ciągle myślą kiedy nie czynem, marzeniem kiedy nie myślą, do swojej lepszej przeszłości i niewiadomej przyszłości.

Wiek XVIII schodząc ze świata, zostawił nam smutną spuściznę: kraj rozszarpany, stanowisko wydziedziczonych w Europie, w nas samych zarody tych nienawiści stronnicych, tych namiętności społecznych, tego chaosu niejasnych pojęć i sprzecznych aspiracyj, na które my ciągle chorujemy, a które poczęły się w ostatnich latach zeszłego wieku; wreszcie przekazał nam religijną wiarę zachwianą, religijne uczucie stępione, chrześcijaństwo zakwestyonowane. Przyszliśmy więc na świat, my jego synowie, z licznymi organicznymi defektami, które z postępem czasu wyrobiły się strasznie, a pierwiastki wszystkich błędzeń naszej myśli po najrozmaitszych manowcach filozoficznych, naszych sumień po najrozmaitszych manowcach teoryj moralnych, naszej woli po najrozmaitszych a często mylnych drogach politycznych, były w nas już złożone, kiedy się wiek XIX zaczynał.

Nie mogły rozwinąć się za Napoleona: nie dlatego tylko, że on żelazną ręką trzymał wszystkie dążenia, prócz własnych; ale dlatego głównie, że powodzenie zdaje się pewnem a zwycięztwo bliskiem. Po roku 1815, w Królestwie kongresowem, znowu dają się widzieć oznaki wewnętrznego rozdarcia: nie różnic politycznych tylko, ale społecznych podejrzliwości i przeciwieństw.

Jeżeli wypadki roku 1831 były pierwszym polem, na którym te nienawiści społeczne silnie wybuchły (kluby, oskarżenia wodzów lub rządu o zdradę i brak patriotyizmu, wreszcie rozruchy 15 sierpnia), to upadek powstania i emigracya musiały rozwinąć zło do najwyższego stopnia. Naprzód każda klęska staje się płodną matką skarg i nienawiści: każdy winnego szuka,

każdy z siebie winę zwała; smutki i cierpienia tułactwa, musiały drażnić i jątrzyć nawet najspokojniejszych, a zetknięcie bezpośrednie z żywiołem rewolucyjnym zachodnim musiało działać na umysły polskie, tak skore do przyjmowania i naśladowania wszystkiego. Wtedy zaczęły się owe niedorzeczności i zgorzenia emigracyjnego życia, swary o formę rządu przyszłej Polski, dzienniki szkalujące się nawzajem i doprowadzające sztukę potwarzy do wysokiego stopnia mistrzostwa, adepci polscy we wszystkich szkołach radykalizmu, socjalizmu, komunizmu, inni w szkołach mistycyzmu — a to wszystko znowu, jak przed rokiem 1830, obracało się około sprawy powstania. Ruch ten emigracyjny niebawem przeniósł ów kwas społeczny na inne pole. Każdy wiedział, że poddaństwo ludu wiejskiego było jedną z ważnych przyczyn słabości i upadku Polski; emigracja paryska i londyńska zwalając winę poddaństwa na szlachtę, nie już dawną, ale dzisiejszą, która w tem winy nie miała, i mając zawsze w myśli odzyskanie niepodległości i powstanie, zaczęła propagandę między ludem wiejskim; propaganda ta, nie mogła poprzestać na samych tylko przyrzeczeniach, musiała obudzić i nienawiści. Jakie były skutki, to należy do historii; tu dość wspomnieć, że rozstrój społeczny objął wszystkie po kolei warstwy narodu, i że do dziś dnia wypadki i ludzie pracują na to, żeby ten rozbrat utrzymać. Wypadki roku 1863 były jego skutkiem i nowym silnym powodem. Wreszcie ostatnia faza naszego życia, faza wolności i jawności w Galicyi, zamiast jakby z natury rzeczy powinna, wieść do uspokojenia i ustalenia stosunków społecznych, wikła je i jątrzy w sposób mniej

groźny i gwałtowny, niż się działo między rokiem 1831 a 1848, ale nie rozumniejszy, ani moralnie lepszy.

Wszystko to, nie wchodząc kto miał lub ma słusność, kiedy i dla czego ją miał, mówi się tylko dlatego, aby przypomnieć, jak przy takim stanie społecznym życie narodu musi być trudnem i jak słabem. Dodajmy do tego klęski, które każdy dziesięć lat ze sobą przynosi, dodajmy wspólny z całą Europą brak zdolności, energii, silnych przekonań, tę przeciętną mierność, która u nas jak gdzieindziej jest cechą drugiej połowy wieku, a gorszych warunków istnienia trudno będzie znaleźć a nawet pomyśleć.

I w takich warunkach przebyliśmy trzy czwarte drogi tego wieku: przypomina to tę, którą Dant odbył „w połowie drogi swojego żywota“; i jak on nie wiedział gdzie iść, bo gdzie się zwrócił, widział śmierć, tak my między politycznym rozbiorem, społecznym rozkładem, i tym stanem Europy o którym wyżej, jak Dant możemy powiedzieć, że trudno jest opowiedzieć, jak trudną i straszną była ta wędrówka. Jednak był duch wyższy, taki Wirgiliusz, który stał przy nas wiernie i nie opuścił, i tak za rękę prowadził, że z niebezpieczeństw wyszliśmy nie cało wprawdzie, ale z życiem. Tym wyższym duchem była prawdziwa i bądźco bądź zawsze żywa miłość ojczyzny, i niezatraczone uczucie narodowej jedności. W ciężkich warunkach zostawiał nas wiek XVIII, ale należy mu się oddać sprawiedliwość, zostawił nam tę pomoc, bez której musieliśmy zginąć. Nie przeszkodził rozbirowi ojczyzny, ale jej miłość i jej pojęcie podniósł do najwyższej wysokości, odrodził, można powiedzieć, że zatracone nanowo stworzył — oddał nam Polskę podzieloną, ale w sercach ży-

jąca silniej niż dawniej. I to było jego wielką zasługą, dobrodziejstwem Trzeciego Maja, a naszym największym dobrem i ratunkiem. Obok tego zostawił nam ten wiek jeszcze dwie rzeczy dobre, wielkiej wartości i wagi: związek z europejską zachodnią cywilizacją, który on nanowo spoił tak silnie, że w naszym wieku nie zerwać go nie zdołało, oświatę, w myślącej przynajmniej części narodu, tak wysoką prawie jak była w wieku XVI, a wreszcie zostawił nam zastęp niemały ludzi znakomych, polityków, uczonych i wojskowych, których wychował w wielkiej szkole miłości ojczyzny i poświęcenia, którzy się stali żywym ogniwem pomiędzy Polską niepodległą i porzobiorową, a jako głównie działający przez znaczną część obecnego wieku, tak prowadzili historję naszą po rozbiorach, że owa jedność nigdy nie została zerwaną, ani za ich życia, ani, kiedy ich już nie stało, przez następców, których wychowali.

To wszystko pomogło nam, żeśmy te sto lat ostatnich przeżyli, i spełnili to, co niegdyś radził nam Rousseau, co po nim polecała nam książka *O ustano-wieniu i upadku Konstytucji 3-go Maja*: nie dajcie się strawić! Można Polsce XIX wieku wiele zarzucać, można ją słusznie oskarżać, że sama sobie nieraz straszliwie szkodziła; ale zważywszy jej położenie, słusznie tylko będzie zapytać, który jest naród, który w jej położeniu nie byłby błędził jak ona, a pomimo wszystkiego był lepiej od niej utrzymał w sobie życie.

Czyśmy nie mogli błędzić mniej, a tego życia więcej w sobie zatrzymać? — to inne pytanie. A odpowiedź wskazuje, że rozpoczęte i w części odniesione 3-go Maja zwycięztwo nad sobą, dokonaniem jeszcze nie jest.

Przed stu laty przysięgaliśmy na wierność ustawie: przysięgał król — *juravi et non me poenitebit (!)* — przysięgał i naród. Król niedotrzymał. Naród jak wtedy nie cały przysięgał, tak dziś nie cały dotrzymuje. Wtedy część mniemała, że ma prawo odrabiać co zrobiły skonfederowane Stany, i przeciw nim się konfederować, i robić na swoją rękę co innego. Nieszczęsny zwyczaj pozwalający każdemu stanowić swoją głowę o losach Rzeczypospolitej, pozwalający części udawać się za całość, jeszcze raz się odezwał — ostatni!

Ale ostatni w Polsce niepodległej tylko! W porobiorowym wieku odnawiał on się niejedną raz, i trwa ta zgubna tradycja, duchowi i literze ustawy Trzeciego Maja z gruntu przeciwna, że część uznaje i ogłasza się całością, i mówi: „we mnie jest ojczyzna — ja mam prawo nią rządzić — a dla niej prawem ma być moja wola.“

Za Stanisława Augusta toczyły się ostatnie i największe walki między społeczną i polityczną reformą, a wszystkimi pierwiastkami dawnej dezorganizacji; pierwsza zwyciężyła w teorii, drugie w praktyce, a chwila ich zwycięstwa, była zarazem chwilą upadku Rzeczypospolitej. Rozwiązanie okrutne, ale niezaprzeczenie logiczne. Za Stanisława Augusta było właśnie cztery wieki od czasu, kiedy pakt z królem Ludwikiem złożył w łonie naszego narodu pierwsze nasiona walki społecznej i politycznej anarchii, a właśnie trzy wieki od czasu, kiedy pierwszy z naszych politycznych pisarzy, Ostroróg, dopatrywał się, że te nasiona zaczęły kiełkować. Odtąd, pomimo wszystkich usiłowań rozumu i patriotyzmu, czy to na polu czynu, czy na polu piśmiennictwa, anarchia rośnie bezustanku: — *veto* i elek-

cyą robią niemożliwem państwo i politykę, zamknięcie narodu w jednej jego warstwie, z jednej strony wytwarza oligarchię, skutek i karę straszną ale logiczną szlacheckiej kastowości, z drugiej rzuca ziarna tej nienawiści społecznej, która w naszym wieku przybrała w ludności wiejskiej formę zemsty i walki o posiadanie ziemi, w ludnościach miejskich pod wpływem złych i dobrych zasad demokracji francuskiej, gorącą choć często bezwiedną żądzą przodowania i naczelnictwa, politycznego i społecznego znaczenia, którato żądza sama w sobie godziwa, staje się złą, jeżeli i kiedy ma charakter kastowy, charakter walki warstwy przeciw warstwie i nienawiści. Do dziś dnia nasze polskie społeczeństwo jest oplakanyam chaosem; do dziś dnia, w formach odmiennych fermentują w nas tesame pierwiastki, których walka jest historią Rzeczypospolitej, a których równowaga dopiero może się stać pewną podstawą przyszłości. Dzieje przedrozbiorowe zakończyły się logicznie. Przez trzy wieki powtarzano anarchii, że musi doprowadzić do rozkładu; anarchia robiła swoje, i sprawdziło się też, że ostatni jej akt, ostatni jej tryumf, był ostatnim ciosem zadanyam niepodległości. Co smutno, to że w czasach porozbiorowych natura nasza została taką samą i idziemy po tejsamej kolei. Demokracja dzisiejsza, rozszerzona, ma niemal wszystkie cechy rodowe dawnej demokracji szlacheckiej; jej przywódcy i organa wyzyskują ją taksamo, jak dawna oligarchia wyzyskiwała „młodszych braci,“ i przemawiają tymsamym co tamci językiem, używają tychsamych sposobów. Lud wiejski reprezentuje dziś ten element ślepo i uparcie konserwatywny, którym dawniej była wielka massa szlachty; więksi posiadacze ziemi zbliżają się instyn-

ktem bądź do jednej bądź do drugiej strony i są pomiędzy nie podzieleni. Rolę konfederacyi tych części, które się nad całością stawiały, i kazały wierzyć, że w nich jest ojczyzna i prawo zwierzchności, przyjęły tajne związki i ich tajne rządy: a instynkt polityczny, dążność do porządku, harmonii i równowagi, jak dawniej tak i teraz ograniczona na małą liczbę głów, bywa z tego wszystkiego nieraz najsłabszą.

Jakie z tego wyciągaćby można wróżby na przyszłość? Dawna szlachecko-wielkopańska anarchia przyczyniła się do utraty politycznego bytu. Duch Trzeciego Maja, duch politycznego ładu i obywatelskiej karności, który wielu ogarnął i przeniknął, sprawił, żeśmy się dotąd strawić nie dali. Ale tamten drugi, w nowe formy wcielony, jest i swoje robi. Niegdyś podkopał on byt polityczny; dziś tego już nie ma, i do stracenia jedno tylko jeszcze zostało: byt narodowy i moralny. Jeżeli ten zły duch ostatecznie zwycięży, to w spuściźnie po sobie zostawi Polsce na wiek XX proces tego „strawienia,” od którego bronila się przez cały wiek XIX.

Ale do tego, da Bóg, nie przyjdzie, a w wiernej i posłusznej zgodzie z wielkim aktem narodowej skruchy i poprawy, który był zarazem testamentem upadającej Rzeczypospolitej, dobry duch weźmie w nas górę nad złym.

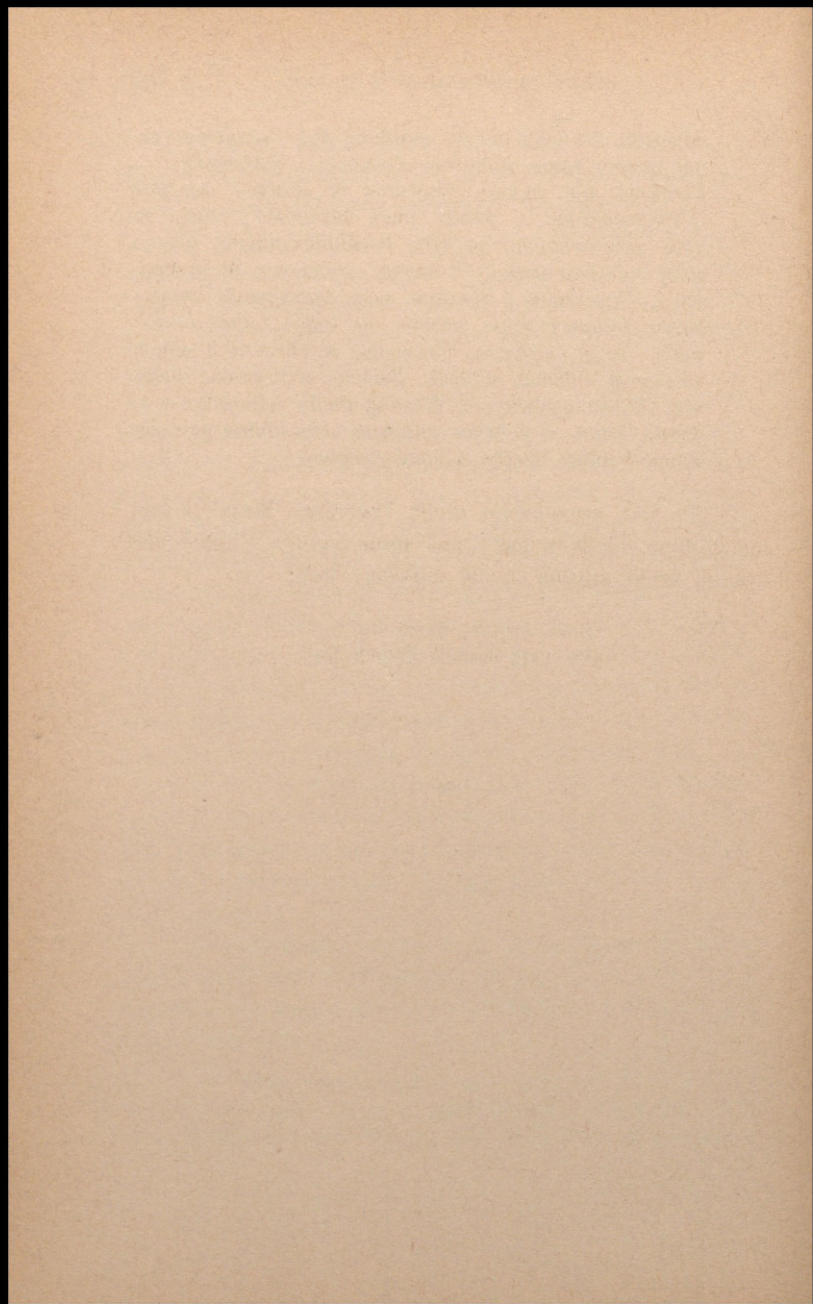
Po ogłoszeniu ustawy 3-go Maja, wydał Naruszewicz List Pasterski do swojej dyecezyi, w którym jej ducha, a obowiązki wiernych względem ojczyzny objaśnia, i tak kończy:

Nie przychylajmy serc naszych do tych, co wam, czego się nie spodziewamy, przeciwne jakie wrażenia czynić mogą, aby spokojność obywatelską

mięszali, i wiedli lud do ostatniej już i niepowetowanej zguby przez domowe niesnaski i zakłócenia. — Przeklął ich dawno Chrystus w obrazie skrybów i Faryzeuszów... Biada temu narodowi, który po tylu przestrojach, po tylu doświadczeniach, zatyka uszy na głos prawdy i wraca się znowu do przepaści... Ty Panie i Stwórco nasz, doprowadź świętobliwe zamiary tego narodu do końca. *Qui dedisti velle, da et perficere*. Ukrzepiaj w zdrowiu i siłach, ukrzepiaj duchem miłości, duchem wytrwania, dodawaj światła prawdy... Wlewaj ducha jedności i w te dusze, które w jednym zapewne celu dobra powszechnego, pójść mogły innemi drogami.

To jest prawdziwy duch Trzeciego Maja! I ten, niech żyje, niech w nas i nad nami panuje, i niech nas takimi zrobi, jakimi chciał żebyśmy byli.

Boże daj — Boże daj
By nam wrócił Trzeci Maj.



Z POWODU PANAMY.

Przegląd Polski, Kwiecień 1893.

Pisarz, który słusznie zwraca dziś na siebie uwagę świata czytającego, a zwłaszcza świata myślącego, Anatol Leroy-Beaulieu, wyobraża sobie w jednej ze swoich prac drobniejszych, że przy okazji wystawy powszechnej z r. 1889 w Paryżu, zeszli się na wspólny bankiet ludzie ze wszystkich narodów świata¹⁾. Stuletnia rocznica naprowadziła ich naturalnie na rozmowę o Rewolucyi francuskiej. Każdy wypowiadał o niej swoje zdanie, a każde zdanie ujmowało cokolwiek z jej chwały, windykowało jakąś jej myśl czy zasługę dla innych. Anglik mówił, że i on także przeżył rewolucyę, aż dwie nawet, i że chwałę wynalazku, aż do ścięcia króla, mógłby przysądzać swojej ojczyźnie, ale nie pyszni się tą chwałą. Anglia rok temu, w 1888, mogła być obchodzić dwóchsetną rocznicę swojej Rewolucyi, ale tego nie zrobiła, bo ten tylko rewolucyę święci i obchodzi ich pamiątki, kto wolność swoją uważa za rzecz tak świeżą, że jej na dobre i na stałe jeszcze pewien nie jest. I w istocie, nie burzeniem zamków i kościołów, nie obnoszeniem głów na pikach, dochodzą narody do wolności. Rewolucya francuska się nieudała, skończyła się na terroryzmie i na despotyzmie, bo w zarozumiałości swojej chciała stworzyć coś geometrycznie regularnego, systematycznego, a zapomniała o tem, że hi-

¹⁾ *La Révolution et le Libéralisme*. Paris, Hachette. 1890).
Le Banquet du Centenaire de 1789.

storia, tradycja, zwyczaj, są daleko pewniejszą dla wolności podstawą, niż teorie i systemy.

Amerikanin dowodził, że francuska Deklaracja Praw była naśladowaniem amerykańskiej, a w Ameryce dzieło udać się mogło, bo tam nie było nic do burzenia. Można było stawiać odrazu, co się podobało i jak się podobało. Francya obaliła monarchię na to tylko, żeby się dostać pod ciężki but wojskowego imperatora. Ogłosiła człowieka wolnym, ale postawiła go wobec wszechwładnego państwa; a z tego wynikło naturalnie, że przez sto lat waha się ona między anarchią a despotyzmem.

Niemiec przypomina, że idee postępu wyszły od jego filozofów i poetów; Włoch, Szwajcar, południowy Amerikanin, każdy ma coś do powiedzenia. Nowy Grek utrzymuje, że on wszystko to już dawno zrobił i powiedział; jak? przez starych Greków ma się rozumieć. Hindus zaręcza, że równość pochodzi od Buddy, Żyd błogosławi Rewolucyę, Chińczyk ją wyśmiewa. Pod koniec rozmowy stary *bourgeois* francuski odzywa się skromnie, prawie nieśmiało, i na wszystkie krytyki odpowiada, że jeżeli w każdym narodzie świata tkwił jakiś pierwiastek zasad, ogłoszonych w r. 1789, to znak i dowód, że muszą w nich tkwić także jakieś powszechne prawdy; ale że rozpowszechnić się one nie umiały, nie mogły, dopóki nie rozlały się na świat kanałem francuskiej myśli i mowy, że pomimo abstrakcyjności i doktrynerstwa przed, zbrodni i ohydy po r. 1789, pojęcia jego przeszły w świadomość, w krew całego świata, w historię i cywilizacyę, jako ich konieczny pierwiastek.

Zdawałoby się, przy nim zostanie ostatnie słowo. Nie; przemawia jeszcze na finał młody rewolucjonista

z nad Newy, i obiecuje, że on dopiero ze słowiańskim światem pokaże taką rewolucję, jakiej jeszcze nikt nie widział, taki potem postęp, o jakim się nikomu nie śniło. Jaki on będzie? nie wie, nie pyta, nie próbuje tem sobie głowy zaprzętać. Ale pije na cześć i powodzenie drugiej rewolucyi, i uniesiony zapalem, po toaście tłucze swoją szklanę.

Nikt mu nie odpowiada, nikt go nie zbija. Dość dziwnie. Czyby autor przyznawał mu słusność? To trudno; ale może słusności nie przyznając, przypuszcza, że sprawdzą się jego słowa, przynajmniej w pierwszej swojej połowie.

Polaka na tym bankiecie nie było. Nic dziwnego, że go nie proszono. Swoją posępną, zmęczoną twarzą, byłby psuł pogodną harmonię wesołego zebrania; co gorzej, byłby nieprzyjemnie raził może gości szczególnie pożądaných i najmilej widzianých. *Trouble-fête, vieux jeu*, przestarzały jak moda z roku 1830, wyglądałby dziwnie w tem towarzystwie *fin de siècle* — prawie tak dziwnie może dla niektórych gości, jak duch Banka przy bankiecie z pewnej przestarzałej także, oddawna niemodnej tragedyi. Nie zaproszono go tembardziej, tem słusniej, że na bankiecie mógłby przypadkiem znaleźć się pan Floquet, prezydent ciała prawodawczego; a byłby brak ostatni najprostszego taktu i smaku, temu przywozić na pamięć chwilową, dawną, gorzko oplakaną, głośno i uroczyście odwołaną pomyłkę¹⁾.

Polak też o zaproszenie się nie starał. Może unikał zabaw i towarzystw, jak człowiek zubożały, któremu

¹⁾ Okrzyk *Vive la Pologne* przed cesarzem Aleksandrem II podczas wystawy paryzkiej w r. 1867.

stan majątku niepozwała zachować w świecie miejsca, jakie niegdyś zajmował; może nie chciał drugich na przykrość, siebie na ledwo grzeczne przyjęcie narażać; może wolał, i on także, nie spotkać się z panem Floquet, bo choć każdemu za dobrą intencję wdzięczny, nie unosił się w swoim czasie nad objawem tej intencji, temniej nad późniejszym *peccavi*. Może miał nerwy drażliwe i nie lubił słuchać pewnych akkordów, któremi brzmiały wszystkie katarynki Paryża ¹⁾; może nie lubił się pchać i dopraszać; dość, że go na *Banquet du Centenaire* nie było.

Za to znalazł się w Paryżu przypadkiem, w trzy lata później. Ale jakże go ujrzął zmienionym!

Zamiast radości i dumy, widział na twarzach przeżalenie i żalność; zamiast święconego hucznie w obliczu świata tryumfu Francji i Rzeczypospolitej, widział jej przed całym światem zawstydzenie. Sławna wieża, przed trzema laty punkt środkowy wszystkich ciekawości i uroczystości, symbol francuskiej śmiałości, umiejętności i chwaly, jaśniejąca wszystkimi kolorami tęczy i blaskami sztucznych ogni, stała teraz nad Paryżem samotna, długa, chuda, jak szubienica, a na niej wisiało, do niej przywrzalo nazawsze imię... oszusta; przywrzalo tak, że choćby je gwałtem odrywano, choćby wieżę sto razy przezwano inaczej, ona już na wieki zostanie wieżą Eiffla. Co się stało z tą chwałą tak wielką, z tą dumą tak słuszną? Stało się, że niespodzianie nastąpił wybuch długo pod ziemią gromadzących się niewidzialnie brzdów, i zalał Paryż i Francję lawą błota, zasypał polem śmiecia, jak niegdyś Wezuwiusz Pompeję.

¹⁾ Boże cara chranij.

Polakowi zrobiło się smutno na sercu, jak smutno uczciwemu człowiekowi, gdy kochankę niegdyś swojej młodości zobaczy w poniżeniu. Zawiódł się na niej, wiedział to, widział ją w objęciu, w które paść nie była powinna; ale uniewinniał, tłómaczył potrzebą. Nie kochał się w niej już dawno: ale z miłości prawdziwej zawsze coś zostanie, w najgorszym razie wyrozumiałość i współczucie. Ze szczerą też, z wielką boleścią, zamysłił się Polak nad pytaniem, co się stać mogło? Jak do tego przyszło?

Przedajność tkwi, jak wszystko złe, w naturze ludzkiej, i była zawsze we wszystkich krajach i wiekach. Wykrzyknik Jugurthy dotąd rozlega się nad gruzami Rzymu; z przedawców i przekupców, oszustów i pieniężnych awanturników, błyszczących złotem i bezwstydem w Rzymie cesarów, nie został ani proch, a wieki przecie nie starły piętna, jakie na ich czołach kiedyś wypalił Juwenal. Przywrócony na tron angielski Stuart, brał pieniądze od Ludwika XIV, współzawodnika swego państwa, przeciwnika jego polityki. Spekulacye Lawa ze swoim orszakiem nieszczęść i rozpachy towarzyszyły godnie zepsuciu Regentowych czasów. Aż do końca prawie XVIII wieku odbywały się w gabinecie angielskich rządzących ministrów targi i licytacye na poselskie wota; Krasicki w energicznych słowach słaWił niby, karecił naprawdę, gorszącą *Szczęśliwość Filutów* swego czasu. Nic nowego pod słońcem! a ze wszystkiego najmniej nowa, zawsze i wszędzie tasama, ludzka natura. I nasz XIX wiek nie został pod tym względem za drugimi w tyle. O jednym w Europie kraju mógł powiedzieć dowcipny cudzoziemiec, że jego formą rządu jest despotyzm, złagodzony przekupstwem; powtarzające się

w różnych stronach tak zwane *krachy*, były skutkiem i oznaką nieuczciwej spekulacyi na cudze pieniądze; a niedawne to czasy, jak dzisiejsi spadkobiercy drugiego cesarstwa we Francyi, zasłaniali sobie oczy i rozdzierali szaty z oburzenia i zgorszenia na jego zbytki i pieniężne zepsucie.

A jednak wszystko to blednie i gaśnie przy ja-skrawym blasku sprawy Panamskiej, przy świetle złowrogiem, jakie ona rzuciła na stan europejskich społeczeństw i na ich przyszłość. Przedsiębiorstwo w kłopotach i trudnościach, chce sobie radzić emisją papierów, które nie mają oparcia, rękojmi, rzeczywistej wartości; rząd podejmuje się wnieść tę sprawę przed Izbę. Izba odrzuca raz, ale po namyśle, przekonana argumentami zręcznych faktorów, zezwala, uchwala... a potem przedsiębiorstwo upada, ten upadek pochłania miliony — w dodatku jeszcze miliony, złożone z drobnych, krwawo zapracowanych oszczędności i zarobków ludzi ubogich — pochłania cześć tych bogatszych i bogatych, pochłania powagę tych rządów, zaufanie do tych smutnych reprezentantów narodu, pochłania wiarę w wiarę publiczną! Naraz otwiera się niezglębiona, bezdenna przepaść brudu, a nad przepaścią stoi to społeczeństwo osłupiałe, nieprzytomne ze zdumienia i upokorzenia, i nie wie co myśleć, komu wierzyć, kogo posądzać! Każdy dzień przynosi nowe odkrycie, nowe oskarżenie; każde oskarżenie rozchodzi się i rozszerza zaraźliwą gorączką podejrzeń i posądzeń! Jest już tylu oskarżonych posłów i senatorów! Tylu byłych czy dzisiejszych ministrów! Nie, to niedosyć; musi ich być więcej — szukać ich, śledzić, wykrywać i karać! Takie zgorszenie we Francyi? wołają drudzy; nie, to niepodobna, to intryga i zdrada

obcych państw i ich poselstw! A tymczasem lada oskarżony ratuje się lub mści się oskarżeniem innych; lada bojący się oskarżenia, chce podejrzenie odwrócić od siebie, kierując je na sąsiada... Powstaje zamęt, chaos, szalony obłęd podejrzeń. Po własnych ministrach, po zagranicznych posłach, przychodzi kolej na pytanie, czy sam Prezydent Rzeczypospolitej jest bez winy. Jakaś komisya śledcza takie przybiera postawy i tony, jak żeby w stuletnią rocznicę miała nadzieję czy ochotę wskrzesić tradycję i osiągnąć znaczenie Komitetu Publicznego Bezpieczeństwa... A tymczasem świat patrzy, dwie półkule patrzą i widzą na piersi giełdowego faktora i oszusta wstęgę, na piersi Żyda *krzyż* Legii Honorowej; widzą proces i w tym procesie starca nad grobem, człowieka, który wielkich rzeczy dokonał, którego Francya nazywała swoją chlubą, któremu świat składał holdy, którego imię przeszło do historii, Lessepsa, skazanego za przestępstwo, którego wymówić przy jego imieniu nie śmie się ze wstydu i z żalu. Świat patrzy i słucha, jak inny człowiek, którego imię unosi się nad Paryżem ze szczytu sławnej żelaznej wieży, Eiffel, przyznaje bez ogródki i ceremonii, że wziął miliony za dostawy, których przedsiębiorstwu nie dostarczył.

Że w pierwszej gorączce oburzenia, w podejrzeniach i oskarżeniach mogła być przesada, to łatwo przypuścić; że w wyroku nieszczęśliwego Lessepsa było ścisłe zastosowanie litery prawa i definicyi prawa ze względu na istotę czynu, bez względu na istotę zamiaru, tak się sądzi i wierzy. Że oddanie pod sąd i śledztwo, że domaganie się surowości, było jedyną i najlepszą rzeczą jaką Francya zrobić mogła, jaką była winna sama sobie, a bezkarność i zamazanie złego, byłoby zgubne dla

jej honoru i dla jej przyszłości, to trzeba przyznać i uznać. Niemniej zostaje pamięć tego wstydu; niemniej zostaje, choć wykreślone, imię Hertza w księgach Legii Honorowej, a imię Eiffła przyrosłe do wieży i do Paryża, zostaje pytanie, wątpliwość, czy to już wszystko? czy pod tem, co odkryto, nie leżą jeszcze nowe, nietknięte warstwy brudu? Zostaje niepewność, wielu jest winnych, którzy są winni, i w jakiej mierze, oprócz tych, co już skazani? zostaje dla Francuzów niedowierzanie do publicznej wiary narodu, dla obcych bolesne pytanie, co się stało z Francją, z tą Francją, którą przywykliśmy uważać za szczyt i czoło naszej cywilizacji, za naród od Wojen Krzyżowych najbardziej rycerski, najbardziej honorowy ze wszystkich?

Nie dla złośliwej uciechy z cudzego nieszczęścia, ani dla brzydkiej przyjemności przyglądania się zgorzseniom i brzydszej passji rozpowiadania o nich, ale dla zastanowienia się i rozwagi, warto jest zatrzymać się z uwagą nad tym przedmiotem. Nie francuska to tylko sprawa i sromota; ludzie wszędzie cisami. Ten zły lub podły uczynek, który się zdarzył u jednego człowieka, może zdarzyć się u drugiego; ten stopień zepsucia, jaki się objawił w jednym społeczeństwie, może rozwinąć się i powtórzyć się w innych. Podobne są do siebie wszystkie, a żadne niema pewności i rękojmi, że zepsuć się lub zepsutem być nie może. Panamska smutna sprawa może więc być przestrożą, nauką, przykładem. Warto przy niej zastanowić się i zadać sobie pytanie, jakim sposobem dochodzi się do takiego nieszczęścia, do takiego zawstydzienia.

Są tacy nieprzyjaciele zawzięci republikańskiej formy rządu, którzy zacierają ręce i mówią z przekąsem: „A widzicie! to są skutki Rzeczypospolitej!“ Upredzenie tylko i nienawiść, albo dziecinny brak doświadczenia i zastanowienia, może tej przyczynie ten skutek przypisać. Kto trzeźwo i rozważnie myśli, ten wie, że każda forma rządu może być dobrą w swoich właściwych warunkach, i każda niestety psuć się może, albo musi. Republika, jako taka, powodem być nie może. Ona tylko straciła prawo uważania się za lepszą od innych; straciła zwłaszcza prawo gorszenia czy natrzęsania się — co z rozkoszą robiła — z zepsucia cesarskich rządów i czasów. Jakiegokolwiek ono było, i jakiegokolwiek stan dzisiejszy przygotować mogło, tak daleko przecież nie doszło. Ze zdzierstw jednego wysokiego wojskowego dygnitarza, ze spekulacyj sławnego przedsiębiorcy Paryża, Haussmanna, z giełdowych nieuczciwych (a licznych) zysków, gorszono się wtedy bardzo; ale choć była nieuczciwość, przedajności w tem nie było. Mówiono o dygnitarzach i ministrach niepewnej, niewiadomej wartości i przeszłości; ale nie słyszano nigdy, żeby który z nich swój głos w gabinecie, swój wniosek w Ciele Prawodawczem ofiarował za pieniądze na usługi pieniężnej operacji czy spekulacji. Teraz jest gorzej, bo część Ciała Prawodawczego i Senatu, czyli tych ciał, w których spoczywa najwyższa władza państwa, podpada wątpliwości co do swojej czei i wiary. Nikomu nie przeszło nigdy przez głowę posądzać Napoleona III, że bierze pieniądze; dziś miejsce Napoleona zajmują te Izby, w swojej znacznej części publicznie o przedajność posądzone. Republika niema prawa o zepsuciu drugich

mówić, bo sama jest nie mniej, lecz więcej od nich zepsuta.

Ale jeżeli nie można rozsądnie mówić, że Republika jest powodem złego, to znowu nie można zaprzeczyć, że ta istniejąca, ta trzecia Republika we Francyi, złego nietylko nie powstrzymała, ale je rozwinęła do niewidzianej przedtem potęgi. Ona, której warunkiem i podstawą miała być, podług Monteskiusza, cnota, ona, która tak chętnie i śmiało głosiła o sobie, że Francję z monarchicznych zgnilizn oczyści i odrodzi — ona formę rządu zwała, ale istoty zepsucia nie tknęła, a formę zepsucia zrobiła wstrętniejszą, ohydniejszą, niż były wszystkie poprzednie.

Dlaczego tak się stało?

Od pierwszej chwili były oznaki, które o niej wróżyć kazały, że tego odrodzenia dokazać nie jest zdolna. Że w wojnie pruskiej nie odniosła zwycięstwa, to nie jej wina; ale narodzona w chwili wielkiego narodowego nieszczęścia, ona się tem swoim narodzeniem zanadto cieszyła. To zapewne legenda przez nieprzyjaciół wymyślona, że nazajutrz po Sedanie, głowy ówczesnej opozycji miały w pałacu Elizejskim nie hamować się wcale w demonstracjach szalonej radości. Ale na murach Paryża stoją widoczne znaki i dowody tej zbytecznej radości w żalobie, tryumfu w pogromie. Jedna z wielkich nowo-otworzonych ulic, nosi nazwę ulicy Czwartego Września. Rzecz to mała; nic. A jednak, choć się Francuzem nie jest, budzi się w duszy jakiś głos patryotycznego uczucia i protestuje przeciw tej nazwie. Ten Czwarty Wrzesień tak bliski Drugiego! Dnie to dla Francyi tak straszne, wspomnienia tak ciężkie; czy można ich pamięć uwiecznić nazwami, jak żeby

były dniami chwały, wspomnieniami chlubnemi? Restauracya miała ten instynkt francuski, tę patryotyczną wstydlivość, i żadnej ulicy, żadnego placu nie nazwała od dnia powrotu Ludwika XVIII. Republika nie miała wahania czy skrupułu nazwać ulicę od dnia swego obwołania, choć w wilię tego dnia był Sedan, przegrana Francyi gorsza, smutniejsza, niż Waterloo. To był zły znak i zła wróżba.

Podobnym znakiem, podrzędnym, ale przecież charakterystycznym, było zburzenie Tuileryj. Spalony przez komunę ratusz, odbudowano starannie — pałac królewski rozebrano, żeby z niego nie zostało i śladu. Nie z obawy kosztów lub trudności, skoro te nie odstręczyły od restauracyi ratusza, tylko by zagładzić pamięć tego przybytku despotów, żeby mury i gmachy świadczyły, iż Francya poczęła się dnia 2 września 1792 r., a narodziła się 4 września 1870 r. Czemu nie odbudować? Mogła w pałacu zająć miejsce spadkobierczyni królów, Republika; mogło w nim zasiadać Ciało Prawodawcze, jak niegdyś zasiadała Konwencya. Nie. Lepiej, bezpieczniej go zburzyć, bo to przypomnienie monarchii. Ale i przypomnienie Francyi, jej dziejów, losów, często tryumfów, od Walezyuszów do Bonapartów! Czy tego nie szkoda? Nie; owszem, to trzeba zacierać, a zamiast dawnego pałacu, niech stanie naprzeciw jego niegdyś miejsca, posąg Gambetty. Czy jedno starczy za drugie? Starczy za wskazówkę, jeżeli nie za dowód, że w uczuciach trzeciej Republiki było partyjnego ducha i jego uamiętności więcej, niż rzetelnego ducha publicznego i patryotycznego zmysłu. W wielkiem środkowym oknie pałacu, przed jego zburzeniem, na zezerniałej, dymem okopconej framudze, błyszczał złożony napis, godło Legii

Honorowej: *Honneur et Patrie*. Wyglądał on w tych ruinach smutno i groźnie, jak upomnienie do Francyi, jak oskarżenie kommuny. Czy Republika brała wyrzut do siebie, czy upomnienie było jej nieprzyjemne, że napis z oknem i z pałacem skazała na zniszczenie? W każdym razie zburzenie Tuileryj znowu kazało myśleć, że ona nie ma w sobie tego ducha i siły, z których wyjśćby mogło odrodzenie prawdziwe.

A inne okoliczności utwierdzały to przypuszczenie. Nie najmniej, głośne w swoim czasie słowa Gambetty: *L'ennemi c'est le prêtre*. Jakto? W chwili, kiedy ks. Bismarek rozmyślał o drugim zamachu na Francję, a wewnątrz tradycya kommuny odzywała się ustawicznie i odgrażała się wszystkiemu co jest, niebezpiecznym, jedynym godnym uwagi nieprzyjacielem był ksiądz? Czy to na żart powiedziano, czy w przystępie umysłowego obłądzenia? Bo przecie żaden człowiek rozsądny, żaden Francuz z prostem i zdrowem patryotycznym sumieniem, nie powie, że między pruskim działem Kruppa a czerwonym sztandarem socyalnej anarchii, lęka się dla swojej ojczyzny najbardziej sutanny czarnej i brewiarza. Przecież to nie był ani żart, ani szaleństwo: to było tylko proste głupstwo. Ale głupstwo, wyrzeczone z przekonania, wyrosłego na zastarzałym namiętym uprzedzeniu — głupstwo tak oczywiste i śmieszne, że pojąć nie można, jak człowiek rozumny, mógł się z podobnym wyrwać. Znowu dowód, że uprzedzenia doktryny i duch partii, głuzyły zmysł patryotyczny i duch publiczny; i dowód, że Republika dzisiejsza (jak niegdyś śmiano się z legitymistów), nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Przed stu laty, świeżo po Voltairze, a za Robespiera, taki okrzyk byłby zrozumiałym; ale dziś,

po stu latach, to samo hasło powtórzone, znaczy, że ta Republika zagrzęzła i skostniała w odwiecznych, dawno zwyciężonych przesądach, że nie naprzód idzie, ale wstecz. A że słowo jednego człowieka wyrażało myśl i uczucie bardzo wielu, więc znowu oznaka i wróżba, że ci ludzie i te stronnictwa, zdrowia i równowagi Francyi nie przywróca.

A ulaskawienie pożarników kommuny! Jeżeli był kiedy oczywisty i straszliwy *crimen lesae patriae*, to była nim ta wojna domowa, podniesiona w chwili, kiedy postronna ledwo się skończyła, kiedy nieprzyjaciel stał jeszcze pod Paryżem i widział, jak Francuzi podpalili go własnymi rękami i zalali go krwią. Większego zaprzeczenia, większej obelgi miłości ojczyzny, nie było chyba nigdy. Skazano tych zbrodniarzy na deportację. Ale gdy przyszła zmiana rządu, osób w rządzie, na więcej niby postępowy i szczerzej republikański, przyszła zaraz amnestya. Amnestya za spalenie Paryża w oczach Prusaków? o zbrodniach i okrucieństwach już nie mówiąc! Amnestya za wojnę domową, nazajutrz po nieszczęśliwej wojnie zewnętrznej? Cóż ona znaczyła i jak ci ulaskawieni musieli ją sobie tłómaczyć? Że każdemu wolno podnosić bunty i wojny, że egzekucye i rzezie są rzeczą naturalną i dozwoloną temu, kto choćby na dni parę dorwie się władzy; że wszystko uchodzi i przebaczy się, byle było popełnionem pod hasłem ludu niby i postępu! Spalili Paryż, prawda; rozstrzelali mnóstwo bezbronnych! zapewne, źle zrobili; ale mieli takie przekonanie, mieli swój ideał Republiki, odmienny trochę od naszego, ale nie podejrzany... Trzeba ich napowrót do Francyi sprowadzić! Trzeba w jej oczach, w oczach całego ludu rozgrzeszyć *crimen lesae patriae*; trzeba

w jej łono, w jej krew, wprowadzić ten pierwiastek anarchii i rozkładu, w jej myśl i sumienie ten dobry przykład. Trzeba! Dlaczego? Dlatego, żeby się wydać parlamentem i rządem postępowym, liberalniejszym, bardziej demokratycznym od dawnego! Nie z miłosierdzia się to stało, ani z politycznej potrzeby czy przyczyny; stało się z wyrachowanego pochlebstwa, z polowania na popularność, z chęci przypodobania się najgorszym i najciemniejszym w społeczeństwie instyktom i warstwom. Zamiast je uczyć, podnosić, poprawiać, dać im do zrozumienia, że ich złe namiętności i złe uczynki nie są zlemi! Nie; taki stan rzeczy, tacy ludzie, takie stronnictwa, to Francji uzdrowić i odrodzić nie mogło.

Nad tem wszystkim dopiero, czy pod tem wszystkim, ten najgłębszy, najsilniejszy pierwiastek złego, to pojęcie równości obywatelskiej, jako równości używania, władzy czy wpływu, jako środków używania. *Ote-toi de là pour que je m'y mette*, to na nieszczęście bardzo powszechne ludzkie uczucie; ale też we francuskich zmianach rządu i przewrotach grało ono rolę przeważną. Równość krzywo pojęta i zazdrość używania, te obniżyły poziom umysłów, a przytępiły zmysł moralny. Z nich wynikły dwa następstwa, zgubne dla przyszłości każdego narodu i dla cywilizacji wogóle. Jednem jest nienawiść społeczna, socyalizm, w dalszym ciągu nihilizm, ubóstwienie nienawiści i anarchii. Drugiem zamilowanie, poszukiwanie, wziętość mierności, na które myślący Francuzi już dziś patrzą z przerażeniem i żalem, pytając, co się stanie z ich polityką i ich stanowiskiem, pod rządami i panowaniem ludzi nieudolnych i płytkich, którzy dla miłości swojej doktryny rozprzegają i psują

administrację, sądownictwo, wychowanie, a samo wojsko nawet zachęcają do politykowania.

Równość krzywo pojęta, znana była już starożytnym; wszak Arystydesa skazała na wygnanie. Ale we Francyi rozwinęła się przez Rewolucyę, a dziś doszła do rozmiarów zadziwiających i niepokojących. Ona tak się wszelkiej nierówności boi, że nawet wyższość zdolności i zasługi, bierze za zaprzeczenie i krzywdę równości. Mierność, średni umysł, zdolność zwyczajna, te są najlepsze i poszukiwane, bo nikogo nierażą, nie upokorzą, nikt od nich niższym się nie czuje. Pierwszym prezydentem Trzeciej Rzeczypospolitej był człowiek całej Europie znany, jako historyk i jako polityk, w wielkich sprawach posiwiwały i z niemi obeznany; drugim był żołnierz, wojenną dzielnością i chwałą słynny. Żaden nie był tym, którego było potrzeba; jeden i drugi zbyt głośny, zbyt zasłużony. Trzeci był we Francyi tylko znany, na wielkich scenach politycznego czy towarzyskiego życia nie występował; miał sławę i postawę zwykłego prostego poważnego człowieka. Ten nie raził nikogo, ten będzie dobry; będzie wyobrazicielem republikańskiej równości jak być powinna, i prezydentem jak być powinien, bez woli, bez inicjatywy, bez władzy i bez ambicji! Niestety, pokazało się prędko, że ten w teorii idealny prezydent, w praktyce nie umiał ani zdołał przeszkodzić nieuniknionym fatalnym skutkom równości źle pojętej, żądzy używania i łatwości z bogacenia się na znacznych miejscach i urzędach. W jego domu ¹⁾, w jego rodzinie, prowadził się systematycznie ten gorszący handel orderami, który był niejako ostrze-

¹⁾ Prezydent Grévy, i jego zięć Wilson.

zeniem, że nieuczciwość pieniężna doszła bardzo wysoko, a honor spadł nisko — zapowiedzią Panamy.

Francya się wzruszyła, oburzyła, zawstydzila. Ale z tego oburzenia skorzystał i wyszedł wstyd nowy i gorszy. Człowiek lichego charakteru, człowiek, który wypierał się dziś tego, co wczoraj napisał, któremu to kłamstwo dowiedzione było na oczy, czarno na białem, który ten swój dowiedziony wstyd znośli z bezczelną zuchwałością, Boulanger, był przez czas jakiś ulubieńcem znacznej części opinii, niemal przyszłym panem Francji, niebezpieczeństwem dla istniejącego rządu. Wilson był wstydem republikanów, Boulanger wstydem tych monarchistów, którzy z nim się wdawali, jego pchali, nim się ludzili, czy przez niego ludzi dali.

Tacy ludzie i takie wstydy są dalszym dowodem i wyraźną już miarą głębokiego upadku. A te dwa imiona nasuwają pytanie, jak się to dzieje, jak to być może, żeby w wielkiem państwie, w społeczeństwie, które się szanuje, tacy mogli dojść do znaczenia, do wpływu, prawie do potęgi?

Dzieje się przez to właśnie, że to społeczeństwo przyzwyczało się niedość szanować siebie, niedość patrzeć i zważać na czystość i pewność ludzi. Tego nie było nigdy i nie będzie, żeby w narodzie jakim weale nie było ludzi podejrzanych, spekulantów, awanturników finansowych czy politycznych i żeby niektórzy z takich, przy zręczności jaką często posiadają, nie wypłynęli na wierzch i nie zrobili sobie miejsce, wpływu i majątku. W czasach niestałości i zaburzeń, tacy ludzie tylko częściej i liczniej występują na scenę i dochodzą szczęśliwie do swoich celów. Rzeczpospolita znowu nie dała początku, ale znowu sprzyjała jego wzrostowi. Kiedy

za cesarów Rzym przestał i nie mógł szanować sam siebie, Rzym roił się od takich ludzi, wychodzących nie-wiedzieć z ką, jak z pod ziemi, a dochodzących do bogactwa i znaczenia niewiedzieć jak i dlaczego,

sacro ne cedat honori
Nuper in hanc urbem pedibus qui venerit albis
Quandoquidem inter nos sanctissima divitiarum
Maiestas...

Kiedy wiek XVIII przez filozoficzny sceptycyzm i lekkość obyczajów stępił w sobie zdolność rozróżnienia złego od dobrego, stracił zdolność do poważnej opinii, zaroił on się znowu od awanturników, a nieraz oszustów, którzy błyszczeli w świecie, wygrywali i trwonili ogromne sumy, zawracali głowy pięknym paniom, a kończyli zwykle tak, jak zaczynali, niewiedzieć jak, znikali, rozplywali się, jak deszczowe bańki, które przez chwilę są a zaraz pryskają.

Nie w tak dzikim już teraz enota jest humorze;
Umić ona, gdy trzeba, zyskowi dogadzać.
Człowiek grzeczno pocziwy, kiedy kraść i zdradzać
Nakaże okoliczność, zdradzi i okradnie;
Ale zdradzi przystojnie i zedrze przykładnie.
A choć zraża sumienie, choć Bóg straszy gromem,
Śmieje się, zdradza, kradnie — i jest galantomem.

Za pierwszego cesarstwa ludzie także bywali różni, ale do stanowiska i znaczenia nie dochodziło się jednak bez służby i zasługi. Niejeden znalazł buławę w tornistrze, ale bez tornistru, przypadkiem, nie chwycił jej nikt; nikt nie podniósł z ziemi, a temmniej z rynsztoku. Za Ludwika Filipa także nie wszyscy byli święci, ale jednak, żeby znaczyć, trzeba było się odznaczyć: mową w Izbie, czy piórem w literaturze, czy odwagą w Afryce,

czy zdolnością w administracyi lub sądownictwie. Drugie cesarstwo, zrobiło pod tym względem wiele złego. Pozbawione stronników statecznych i pewnych, musiało szukać i brać sług swoich gdzie ich znaleźć mogło i jakich mogło. Brało zręcznych, obrotnych, giętkich, wysłużnych, a czego tu i owdzie honorowi brakło, to nadstawiało i zasłaniało honorami, rangami, świetnemi stanowiskami. Było dworem i dworem błyszczącym; jak chwałą wojskową, tak blaskiem towarzyskiego życia chciało olśniewać, działać na wyobraźnię. Zrobiło tem wiele złego. Przyzwyczailo do zbytku i podniosło żądę zbytku; wyostrzyło apetyt i zazdrość w tych, którzy zbytku nie używali; szacunek publiczny i jego potrzebę podkopało znacznie. Jeżeli ten lub ów, o przeszłości niewiadomej, a czasem zbyt dobrze wiadomej, może być wielką figurą i wielkim bogaczem, to dla czego ja nie mógłbym być takim, jak on? a jeżeli on doszedł do swego szczęścia drogami niezbyt jasnemi i prostemi, to znak, że uczciwość i czystość do powodzenia nie są koniecznie potrzebne! Szacunek publiczny, oparty na życiu jasnym, powszechnie widocznym i znanem, stawał się coraz rzadszym, ale i coraz mniej potrzebnym. Cesarstwo wyrobiło i rozpowszechniło pobłażliwość opinii, oswoiło ją z ludźmi niepewnego charakteru, ze znaczeniami i majątkami niepewnego pochodzenia. *Où a-t-il été élevé ce monsieur? que faisaient son père, ses frères, ses soeurs? où a-t-il grandi? où est sa famille? où sont ses traditions, son passé, tout ce qui constitue, tout ce qui établit l'homme moral? Cherchez un peu! Tout est ténèbres dans ce personnage.* Takich personażów, jakie widzi i opisuje Bourget w mieście Cosmopolis, było już dużo w cesarskim Paryżu; ale z cesarstwem

nie znikły. Łatwiej było Orły i Pszczoły na murach zamazać czy zdrapać, niż orły chodować, a tym trutniom nie dać się mnożyć. Mnożyły się też bez przeszkody, bez liczby, i bez miary.

Gdy cesarstwo runęło, zaczęła się na wielką skalę gonitwa za tem wszystkim, czem ono błyszczało i podżegało apetyty i zazdrości. Droga była otwarta, meta dostępnejsza. Teraz na mnie kolej tak znaczyć i używać, jak znaczyli i używali tamci! niech tylko los poszczęści a zręczność dopisze! Każdy w swoim zakresie i według możliwości. Wilson, zięć prezydenta Rzeczypospolitej, mógł więcej zamierzać i osiągnąć, niż prosty deputowany; ale i przed tym droga nie była zamknięta. Gdzieś, na prowincyi, w małym mieście, cóż on miał za widoki przed sobą? Wegetować całe życie w ciasnych i skromnych stosunkach, i umrzeć ani znanym, ani głośnym, ani sytym tych przyjemności życia, jakich pragnął. Mandat poselski otwierał przed nim szersze widoki. Może się nie odznaczy, nie stanie głośnym, ale potrzebnym będzie zawsze, bo jego głos liczy się jak inny; ale znajdzie stosunki, protekcyę, ale schwyce jaką informację, która mu posłuży w grze na giełdzie; i wypłynie, stanie się czemś więcej, niż jest.

Combien au jour de la curée
Combien étiez vous de corbeaux

możnaby zawołać z Mussetem na tych, co po upadku cesarstwa darli się na wyścigi do miejsc i posad, paleni żądzą używania, i zazdrością używania równego? — A rządy? Rządy skrytości serce nie przenikają, a na czystość palców niedość niestety patrzą. Mieć stronników, mieć większość w Izbie, to naturalny ale jedyny

wzgląd, jakim się kierują przy wyborach; i hyle ten kandydat głosował tak jak chce i potrzebuje ministerium będące u władzy, któżby pytał, jaki on jest i co wart! Dla niego poparcie, wszędzie skuteczne ale nigdzie tak jak we Francyi, całej maszyny administracyjnej, która ogromną siłę swoją wywiera na masę wyborców z tem większym skutkiem, im ta massa liczniejsza. Cesarstwo głosowaniem powszechnem zadało śmiertelny cios samodzielności wyborów, rzetelności ich rezultatu; a Rzeczpospolita naturalnie posługiwała się tem narzędziem na swoją korzyść. W ten sposób dostają się do Ciała Prawodawczego indywidua, w których rząd widzi powolne narzędzie, które w swoim poselskim urzędzie widzą środek do jakiegoś własnego celu, a które reprezentują nie wyborców, nie naród, ale brak przekonań i zasad, z ochotą i gotowością do zręcznego wyzyskania swego stanowiska; tem skwapliwiej i spieszniej, że trzeba korzystać z czasu — któż wie, czy na drugą kadencję będzie się wybranym? To gotowy materiał dla spekulantów i faktorów, Artonów, Hertzów i *tutti quanti*. A jeżeli taki deputowany ma dużo zręczności, a choć trochę zdolności, może po szczeblach wychodzić coraz wyżej, aż dojdzie do znaczenia i władzy; a wtedy Arton czy Hertz ma stosunki i układy, już nie z prostym tylko posłem, ale czasem z członkiem rządu.

A kiedy się mówi o różnych powodach i czynnikach obniżenia wiary i czei publicznej, to jakże ten opuścić, który chciwość rozniecał i podzegał najbardziej, przez to, że obiecywał zyski wielkie a szybkie, zbyt często nieuczciwe, a zawsze legalne, bezkarne — giełdę. Nie dziwny się, że w początkach, że w połowie naszego wieku żądza pieniędzy i brak skrupułu w ich

nabywaniu nie były tak powszechne i tak wielkie; pokaźniejsza była i mniejsza łatwość. Ale odkąd przez wszystkie wynalazki wieku rozwinęły się przedsiębiorstwa kolosalne i także kredytowe operacje, kiedy przez łatwość komunikacji największe interesa całego świata prowadzą się w każdej europejskiej stolicy, odkąd na prostym spadku lub zwyżce kursów zarabiają się i tracą miliony, a szczęśliwi i zręczni dochodzą do fortun tak niezmiernych, jak przestrzenie firmamentu i głębokości morza, to nie dziw, że ludziom zwracają się głowy, a sił braknie do oparcia się pokusie. Znadto, zwłaszcza ci, co się wielkimi interesami trudnią, oswoili się z wielkimi cyframi; przerzucają i obracają milionami, jak ziarnami zboża na młynku, i przywykają uważać wielkie sumy za zwykłe, nieledwie za nic. Ludziom, którzy wykopali kanał Sueski i przy tem dziele tyle mieli milionów w rękę — milionów dwadzieścia, czterdzieści, sto, wydawało się rzeczą nieznaczną, obojętną. Dać je lub przyznać warto, jeżeli to zapewni szczęśliwy skutek dzieła; stracić je nie szkodzi, bo ta strata odbije się i nagrodzi stokrotnie przy pierwszym szczęśliwym obrocie koła Fortuny. Tem tłómaczą się rozrzutności, zuchwałości Lessepsa, które doprowadziły do niegodziwości; tem, wiele zuchwałości i nieuczciwości niegłośnych, nieznanych, w mniejszych rozmiarach, ale podobnej natury.

A życie towarzyskie? A dopuszczanie do znajomości, do zażyłości i poufałości, ludzi niewiadomego, a nawet wiadomie wątpliwego charakteru, byle byli bogaci? Co mogą myśleć ludzie młodzi obojej płci, ubodzy, a nawet majątni, tylko niebardzo majątni, kiedy widzą, że ten lub ów nie mniej jak czysty giełdowy

spekulant, na dostawach, na kolejach, na wielkich pożyczkach zubożony w miliony czy miliardy, błyszczy, świeci, króluje? jego rękę ściskają, na jego obiady, bale, polowania cisną się, o jego zaproszenia dopraszają się ludzie, którzy sami mają ręce czyste, i siebie, swoje rodziny i domy, swoje stanowiska powinni szanować i strzedz od zetknięcia z brudem! A tymczasem majątki największe, tytuły najszumniejsze, nazwiska głośne w dziejach, ba, czasem korony same, nie strzegą się, nie wstydzą się, owszem z upodobaniem i pośpiechem szukają takich stosunków? Kiedy nie król Chrystyan II i księżę Citron Daudeta, ale rzeczywiści spadkobiercy najstarszych, najświetniejszych koron, bratają się z podejrzanymi królami szczęśliwej spekulacji? Oczywiście młodzi i starzy, całkiem ubodzy i bogatsi, wszyscy, którzy to widzą i słyszą, czyli społeczeństwa całe, muszą dochodzić do wniosku, że pieniądz jest uniwersalnym środkiem nietylko na znaczenie i używanie, ale nawet na czystość! chemicznym środkiem na wywabianie plam: że niema brudu, któregooby on nie wyprał, raczej nie zasłonił, i że wszystko można kupić, nawet udany szacunek i przyjaźń ludzi uczciwych! Wszystko można zrobić, byle bogatym być, albo nim zostać. Takie wrażenie, jeżeli się powtarza i staje się doświadczeniem, musi psuć społeczeństwo, musi w niem przytępiać uczucie honoru, wstręt do brudu, szacunek nieskazitelności, i w dalszem następstwie szacunek własny.

Prasa wreszcie! Ta stała się wielką potęgą, a kiedy nią się stała, była naturalnie sama wodzona na pokuszenie, i na nie wiodła. Potrzebowano jej pomocy zawsze, codziennie, w każdej sprawie, więc za pomoc ofiarowano zapłatę. Im sprawa ważniejsza, im dziennik

więcej czytany, tem gorętsze prośby i hojniejsze ofiary. Dziennikarze są ludźmi także, i pokusie ulegli; działo im się z tem dobrze i coraz lepiej! Ale od chwili, kiedy stała się płatną, przestała prasa być publicznego ducha wyrazem i stróżem, stała się narzędziem spekulacyi, organem zepsucia. W granicach i w pozorach raz niby obranego i wiernie niby przestrzeganego stanowiska, większość dzienników na świecie chwali i gani, wysławia i szkaluje, ludzi i sprawy raz czarno, drugi raz biało przedstawia, stosownie do potrzeby tej osoby, tej partyi, tego przedsiębiorstwa, lub tej polityki, która umiała zręcznie pozyskać ich względy. Śledztwo sądowe w Panamskim procesie wykazuje ogromne sumy, przeznaczone z góry i wydane na dzienniki — na tak zwaną (brzydkie wstydlive słowo) *reklamę!* Przedsiębiorstwo prawie upadłe, szukające ratunku w oszukańczej emisyi nowych papierów, potrzebuje do tego oszukaństwa pomocy prasy, tę pomoc płaci suto i ją dostaje! A tak jak Panamski, tak każdy inny interes musi się o te względy starać: uczciwy, żeby go nie osławiono, nie podano w dyskredyt, nieuczciwy, żeby go nie odkryto. Rzecz jest powszechnie wiadoma, uważana już za prostą, naturalną, konieczną — i wpływom, powodzeniom takich dzienników nie przynosi to ujmy i szkody! Świat oswojony z płatnością dzienników, oswaja się stopniowo z płatnością wszystkiego; przestaje się dziwić, oburzać, gorszyć. A czy przykłady takie naśladuje, czy w swojej lepszej części znosi je filozoficznie i cierpliwie, zawsze się psuje, staje się mniej honorowym, mniej drażliwym na nikkzemność i brud.

Jest zaś i drugie zło, spowodowane i rozszerzane przez tę rzecz wstrętą, która się zowie reklamą — to

przyzwyczajenie ludzi do nieprawdy i nierzetelności. Przesadne pochwały, kłamliwe zalecania ludzi i rzeczy, interesów, książek, wynalazków, towarów, wszystkiego co jest i co się o taką reklamę postarać umie, sprawia, że człowiek bez zdolności i wartości dochodzi do głośnego imienia, czasem do stanowiska, czy w państwie, czy w literaturze; że lichy towar, wynalazek niepożyteczny, interes niepewny, znajduje wiarę i powodzenie bodaj nakrótko. Złudzona, otumaniona publiczność, albo łatwowiernie słucha i bierze złe za dobre, książki, dzieła sztuki, lub osoby, a wtedy psuje sobie zdolność sądzenia i rozeznawania — albo (złapana nieraz) nie wierzy, a w takim razie staje się nieufną i podejrzliwą w ogólności, traci zdolność wierzenia, ufania, szanowania: i z tej ogólnej nieufności do wszystkiego, przechodzi z czasem w obojętność dla wszystkiego, w sceptycyzm, za którym zwykle chodzi i cynizm. Kto nie może wierzyć głosom opinii swego kraju, ani ich szanować, ten w dalszem następstwie przestaje szanować i opinię, a pomału i stopniowo przestaje szanować wszystko, i nieraz siebie samego.

Te różne powody i wpływy — a wskazujemy tylko główne, znalazłoby się ich więcej — dodane do siebie i działające przez długie lata, sprowadzają obniżenie moralności publicznej, stępienie honoru, przytłumienie publicznego ducha, i sprowadzają w pewnych nieprzewidzianych chwilach takie nagłe odsłonięcia korupcyi, taki wulkaniczny wybuch brudu, który swoim błotem i śmieciem obryzga i wala wszystko, rząd istniejący, formę tego rządu, dobrą sławę państwa; szkodzi jego zamiarom, jego polityce, jego stanowisku. Wszystko jest pod wstydem, wszystko jest zachwiane w opinii świata

i własnej. I wtedy smutek, narzekanie, lament. Wtedy wołanie o surowość i kary, wtedy oburzenie namiętne, wywołuje znowu gorączkową, łatwowierną pochopność i przesadę w podejrzywaniu i oskarżaniu. Ludzie uczciwi nie mogą znieść tego upokorzenia, pilno im z niego wyjść, oczyścić, ratować honor narodu, honor ojczyzny, honor każdego człowieka z osobna... Dobrze robią niezaprzeczenie, ale robią zapóźno! Trzeba było zacząć dawniej, patrzeć czujniej; nie zamykać oczów na interesa nieczyste, nie pobłażać nieczystym ludziom i nie dopuszczać ich do wpływu i znaczenia, a wtedy nie byłoby Artonów i Reinachów, Hertzów i Baïhaut, i wszystkich innych, nie byłoby Panamskiego skandalu. Mądrze powiedział Szujski, że za znaczenie i uczynki ludzi nieuczciwych, za szkody i wstydy, jakie przez nich na kraj i naród spadają, odpowiedzialni są w wielkiej mierze ludzie porządni w tym narodzie, którzy nieporządnym znosili, a uprzejmą i cierpliwą tolerancją pomagali im do wpływu i znaczenia.

Łotr rządzi? — Bo uczciwy puścił go do sprawy.

A tymczasem przekupstwo nie jest bynajmniej smutnym przywilejem Francyi. Wszędzie są ludzie nieuczciwi, wszędzie podobne pokusy i czynniki zepsucia, a niema zapewne w Europie kraju, któryby na mniejszą skalę nie krył w sobie elementów swojej, małej, Panamy. We Włoszech już taką wykryto; a że gdzieindziej głośnie zgorszenie nie wybuchło, to nie znaczy i nie dowodzi, żeby się ciche nie znajdowało. „Kto mniema, że stoi, niech patrzy, żeby nie upadł;“ a ten francuski smutek i wstyd, powinien każdemu krajowi posłużyć za przestrożę, żeby u siebie oczy miał otwarte,

na każdy, choćby mały symptom złego. Jeżeli go niema, to Bogu dziękować, ale nie myśleć iżby ono nigdy przyjść nie mogło, tylko zawczasu i bacznie strzedz, żeby nie przyszło; a jeżeli pokażą się jakie jego zarody i oznaki, to wskazać je śmiało i wczesnie, bo tylko wskazaniem wstrzymuje się postęp zarazy.

Nie żywot w naszym ręku, ale żywych zdrowie —

a za to zdrowie narodu on sam jest odpowiedzialny. Prawda, że jeżeli trudno jest zagrozić drogę fizycznej zarazy, i cholera rozchodzi się po świecie mimo wszelkich środków ostrożności, to z zarazą moralną walczyć, tę wygładzić, tę powstrzymać, jest nierównie trudniej. Jednak jak tam, tak i tu, środki ostrożności, zupełnie bezskuteczne nie są: jak tam czyste powietrze, czysta woda, prosty i zdrowy sposób życia, są wcale znacznym zabezpieczeniem, tak i w rzeczach moralnych jest pewna higiena, którą zachowując, pewna atmosfera, którą oddychając, można się w zdrowiu utrzymać.

Mikrobem, który wytwarza zło różnego rodzaju i przedajność także, jest bezkarność nieczemności i jej powodzenie — atmosferą, która go hoduje i rozwija, jest zbyt duża pobłażliwość. Atmosferą, w której ten baccillus wyżyć i mnożyć się niezdolna, jest poważna i surowa opinia. Gdyby Napoleon III był Haussmanna ze wstydem skasował z urzędu, może Wilson nie byłby śmiały handlować orderami, a Hertz szachrować z posłami i ministrami. Ale w sukcesie jednych, jest zachęta dla drugich, w pobłażliwości i bezkarności, jest otucha dla zuchwalstwa i bezczelności, które dochodzą czasem tak daleko, że Wilson naprzykład, po swoim procesie, teraz jeszcze śmie ubiegać się o mandat poselski, a może

zdobyć miejsce w Radzie Generalnej jednego departamentu, wbrew wszystkim, zbyt słusznym zabiegom obywateli uczciwych.

Ale mówić i żądać jest łatwo, wykonać trudno. Jakże stworzyć i jak utrzymać tę czujność opinii, kiedy złe (wszelkiego rodzaju), choć wiadome, nie jest zazwyczaj jawnie dowiedzionem, publicznem; kiedy tak łatwo w sądzie się uprzedzić i pomylić i bliźniego skrzywdzić surowością niezasłużoną, niesprawiedliwą; kiedy skrytości serce przeniknąć nie można, a pozory tak przyzwoite; kiedy wreszcie rola mizantropa i cenzora, rola bociana polującego na żaby i gady, jest nietylko niemila, ale bezskuteczna, bo to najczęściej aktor jeden, prawiący nudny monolog, a nie towarzystwo artystów, które połączonemi siłami sztukę gra i z zajęciem widzów doprowadza ją do rozwiązania; kiedy wreszcie — w życiu publicznem przynajmniej — człowiek charakteru niepewnego, jest czasem pożytecznym, koniecznym, nieuniknionym, i nie do zastąpienia, przez swoją zdolność, energię, rozum, sprawność...! Talleyrand był bardzo nieszczególny jako człowiek, a jednak polityka francuska, za Napoleona, czy za Bourbonów, bez Talleyranda trudniej byłaby sobie dała radę. U nas Kollątaj był bardzo nieszczególny, a czy bez Kollątaja Konstytucya 3-go maja byłaby przyszła do skutku?

W życiu publicznem, przynajmniej w naszych parlamentarnych czasach i rządach, nie dobiera się ludzi, ale się takich przyjmować musi, jakich inni wybiorą; życie publiczne zresztą ma swoje konieczności, od woli naszej niezależne, narzuca nam kompromisa bolesne

1) Arneth.

i upokarzające, zmusza często przechodzić pod różne kaudyńskie jarzma. Marya Teresa, jak dowodzi jej znakomity najnowszy historyk ¹⁾, nie pisała nigdy do pani de Pompadour sławnego listu, zaczynającego się od słów: *ma chère cousine* — ale cesarz Franciszek oddał córkę Napoleonowi, nieprzyjacielowi i zwycięzcy; a król Wiktor Emanuel gorzej, bo oddał swoją księżkę Napoleonowi, o którym cały świat wiedział, że tchórz w ogniu, a w ucziwości podejrzany. Ażeby pozostać przy raz obranym przykładzie, tensam Talleyrand, jakim był upokorzeniem dla tych, którzy się z nim wdawać, którzy mu rękę podawać, którzy się do niego uśmiechać musieli: dla Ludwika XVIII, a dopieroż dla Papieża! Pius VII musiał widywać i przyjmować biskupa-wywłokę, który infułę i sutannę zrzucił, a jakąś niby żonę pojął jakimś niby ślubem! Musiał grzecznie przyjmować cesarskiego ministra, kiedy dawny biskup podpadał exkomunice!

W życiu publicznem i urzędowem, niepodobna jest unikać zetknięcia z ludźmi najrozmaitszej wartości. To prawda; a jednak człowiek ucziwy może się starać nieraz i skutecznie, żeby „łotra do sprawy nie puścić,“ żeby życie publiczne od łotra strzedz.

Jakim sposobem? Tym, że ta zdrowa atmosfera, o której wyżej, życie publiczne ogarnia i na nie działa, ale nie w niem głównie się wyrabia. Instytucye, prawa, zależą od niej daleko więcej, niż ją wytwarzają: a stan i zdrowie opinii jest w rękę nie rządów, ani parlamentów, ale społeczeństwa samego. To pole, na którym każdy obywatel występuje, a występuje bezpośrednio i bez żadnych ograniczeń, życie prywatne, stosunki towarzyskie, obyczaje i zasady w tym zakresie zachowy-

wane i przestrzegane, oto, co stanowi opinię, co ją tworzy, co ją życiu publicznemu narzuca bez głosowań i uchwał, ale stanowczo i despotycznie. Prawa i władze mogą wkroczać tylko w dziedzinę uczynków, dochodzić i karać, kiedy coś złego już się stało — społeczeństwo i jego opinia, mogą złe uprzedzać i zapobiegać, żeby się nierozwinięło. Przypuśćmy, że w jakim mieście są niedbałości, nieporządki, nawet nadużycia (u nas podobno zdarzyło się to parę razy). Cóż może na to poradzić władza? Wysłać komisarza, zawiesić taką radę gminną w jej urzędowaniu, zawiadować przez pewien czas majątkiem i sprawami gminy; ale społeczeństwo, jeżeli ma wyrobioną i czujną opinię, może urzędników tej gminy trzymać w karbach, w zbawiennym strachu, tak, że będą się bali nadużycia popełniać, choćby nawet mieli chęć i sposobność potemu. Gdyby było widocznem i wiadomem, że mniejsze nieuczciwości nie uchodzą, gdyby jedna i druga, skoro się zdarzy, była należycie ukarana, i gdyby człowiek, który ją popełnił, widział, że niema już dla niego miejsca na świecie, przykład jego odstraszyłby innych, a nieuczciwości większe zdarzałyby się nie śmiały, przynajmniej nie tak często. Ale pobłażanie zapewnia im powodzenie, powodzenie wzrost, zaraźliwe rozpostarcie się po świecie, i coraz głębsze zepsucie. A odpowiedzialność w ostatecznym obrachunku spada na tych, którzy pobłażali początkom złego, którzy zdrowia i czci swego społeczeństwa strzedz nie umieli, czy nie mieli odwagi. Na tem zdrowiu zaś, na tem, żeby „łotr nie rządził, a uczciwy nie puszczał go do sprawy,“ zależy zarówno wszystkim. Tak jak zepsucie nie zna różnicy stanów i majątków, i może toczyć największego pana, jak najędźniejszego żebraka, tak cześć

i zdrowie moralne jest potrzebą i powinnością, zarówno tak zwanych postępowych, jak tak zwanych wsteczników; w obliczu tej powinności jak i w obliczu zepsucia niestety, równość jest zupełna, obowiązek tensam. Tylko kto więcej do swoich przekonań i zasad jest przywiązany, im silniej przekonany, że w tych zasadach jest przyszłość i siła jego narodu, im rzetelniej kto kocha swój naród i swoją ojczyznę, tem żywiej będzie ten obowiązek czuł, tem czujniej i troskliwiej będzie go przestrzegał i pełnił.

Jak najwięcej porządných, prawych ludzi, jak najmniej podejrzanych i nieczystych, we wszystkich kierunkach i czynnościach życia — oto cała kwestya i sposób jedyny na wszystkie możliwe większe czy mniejsze Panamy. A do tego dochodzi się tylko przez czujną, śmiałą, zdrową, niepobłażliwą! opinię. Czy może we Francyi więcej jest łotrów, niż ludzi uczciwych? Przeciwnie! sto, milion razy przeciwnie. Tylko, że uczciwi, za spokojnie, za cierpliwie, zadługo znosili nieuczciwość tamtych, aż się w końcu doczekali Panamy. Ta cierpliwość na złe, ma swoje różne powody. Jest czasem małodusznością i obawą, czasem obojętnością i niedołężnością, czasem wyrachowaniem miłości własnej (a wtedy już oczywiście winniejsza), czasem (i może najczęściej) tą

Miłą dobrocią, co strzela do własnej stodoły.

Łotrom znanym, o których szept chodzi złowrogi,
Dobrze, jeśli ostrożnie chciałbyś schodzić z drogi.

Ale nie! Dłoń uczciwą podajesz bez sromu.

Ten łotr, lecz patriota! Tamten blaskiem domu

Brud zasłania! Bezczelnie się inny wyspina

Gdy mówisz: Jam nie bocian, niech żyje gadzina!

Czyścić świata nie będę, zwykła rzecz hultaje:
 Inni dłoń mu podają, więc i ja podaję.
 Tak w soki zdrowe, miękkość, dobroć przyrodzona
 Do społecznego jady zwykła puszczać łona;
 Aż złych większość uczciwych z widowni wystraszy,
 A my wszczynamy lament przeciw nędzy naszej! ¹⁾

Gdyby te wiersze przełożyć na francuski język,
 czyby uczciwi Francuzi nie poznali w obrazie siebie,
 Panamy, jej powodów, i swego dzisiejszego wstydu?

Wszystko dobrze i słusznie, ale jakże przeciw
 temu prewencyjnie działać? Prawić morały i pisać sa-
 tyry łatwo: ale jak zachować się w życiu, praktycznie?
 Tego nie wiemy, i dlatego wszystkie na świecie satyry,
 od Juwenala, aż do Szujskiego, nie zdały się na nic.

Jak się zachować?

Dłoń uczciwego człeka, brudnej nie dotyka,
 Gdy nie chce sprosnyim czynom dostarczyć współnika.

A różne są „czyny sprosne“ i różne brudy, nie-
 tylko pieniężne; przeciw wszystkim

Sumienia w mysiej jamie nie chowa człek prawy.

Tego „podania ręki“ nie trzeba, rozumie się, brać
 dosłownie, w materyalnym znaczeniu. Piękny ten sym-
 bol szacunku, nie da się nigdy niestety zachować w zu-
 pełnej, w należnej sobie czystości. Trzeba zgorszenia
 jawnego, dowiedzionego, żeby przed drugim człowiekiem
 rękę cofnąć. Dziś niktby swojej nie podał Hertzowi;
 ale jeszcze przed trzema miesiącami, sam Bayard nie
 czułby się w prawie cofnięcia swojej żelaznej rękawicy

¹⁾ Szujski. Satyry. *Rozmowa z Quidamem.*

przed człowiekiem, na którego piersi widział Legię Honorową, choćby nawet się domyślał, że ta odznaka nie była tam na swoim miejscu. Podawanie ręki jest dziś zwyczajem tak powszechnym, że cofnięcie jej jest już oświadczeniem pogardy; a to w niektórych tylko razach jest godziwym i koniecznym. Bez takiego powodu, można ręki nie wyciągać do ludzi, których się nie szanuje, lub mało szanuje, ale się jej nie cofa, gdy oni swoją podadzą, bo inaczej zapytania, tłumaczenia, urazy, może pojedynki. W znakomitej komedyi Augiera, w *Effrontach*, dziwi się bankier podejrzaney prawości, że stary markiz, sam czysty jak szkło, ścisła rękę wyszarzanego, sponiewieranego dziennikarza. Markiz na to z ostentacją bierze rękę bankiera, wstrząsa ją silnie, i mówi: „Katonie! nie jestem takim purytaninem, jak ty!”

Jak się zachować z ludźmi niepewnymi, dają nam przykład, praktyczny i łatwy do naśladowania, poważne niewiasty. Goethe ma słuszość:

Willst du genau erfahren, was sich ziemt,
So frage nur bei edlen Frauen an.

Jak się zachowują poważne żony i matki rodzin z innemi, do siebie niezupełnie podobnemi? Nie są ani niegrzeczne, ani harde, ani sztywne, zachowują wszystkie przyjęte formy znajomości i grzeczności; tylko strzegą się zażyłości i jej pozorów nawet, spotkania nie unikają widocznie, ale go nie szukają, w swoim domu przyjmują, ale do ścisłego towarzystwa dobrych znajomych i przyjaciół nie dopuszczają. Po takim przykładzie mogą się spodziewać, że ich córki kiedyś będą miały tensam takt i tosamo zabezpieczenie od niepotrzebnych

poufalości i przyjaźni. Ten rozum i ta postawa najgodniejszych, wyrabia i utrzymuje opinię w świecie kobiecym, i ma skutki doskonałe, służy całemu społeczeństwu.

Przykład ten, my, mężczyźni, powinniśmy naśladować, trzymać się go w naszym zakresie, a widzieliśmy równie dobre skutki. Ale jeżeli postępujemy inaczej, prosta rzecz, że nieznacznie, samoświadcząc wchodzimy w stosunki niepotrzebne, a naszą pozorną zażyłością, naszą uprzejmością zbyteczną, osłaniamy niejedną postępek mniej dobry, niejedną reputację mniej pewną, pomagamy takim ludziom do dobrego imienia i stanowiska, i bałamucimy sąd publiczny, który potem nie wie co ma myśleć o nas samych i o tamtych, o czystych i o przybrukanych, i dochodzi do wniosku, że wszyscy są mniej więcej jednakowi, i wszystko mniej więcej wszystko jedno.

Dajmy na to, na przykład, że będzie człowiek, któremu pod względem pieniężnym niemożna nic zarzucić, ale który oprócz tej, popełnił niejedną nieuczciwość, albo nieszlachetność: wypierał się przypuszcmy publicznie dziś tego, co wczoraj publicznie powiedział, albo przekręcał prawdę i na ludzi rzucał podejrzenia lub oskarżenia kłamliwe. Nie robił tego dla pieniędzy, tylko z innych powodów, z partyjnej namiętności może, albo partyjnej zależności lub partyjnego interesu. Jakże ja się z takim mam zachować? Nie cofnę przed nim ręki, jeżeli mi swoją wyciągnie; ale pokażę przecież, że szacunku dla niego nie mam. Spotkam go, gdy potrzeba w życiu publicznym, będę grzecznym, gdy przypadkiem spotkam w życiu prywatnym, ale nigdy nie będę go szukał; nie będę uczęszczał tam, gdzie on jest poufałym, mile widzianym towarzyszem, czy gościem. Obowiązuje mnie

do tego cześć prawdy, szacunek lub przyjaźń dla ludzi przez tamtego szkalowanych; i obowiązuje ta część odpowiedzialności, jaka na mnie spada za zdrową, uczciwą opinię mego kraju. Bo jeżeli zachowam się inaczej, jeżeli się do niego zbliżam, lub tylko znoszę jakieś pozory zbliżenia, to temsamem potwierdzam niejako to, co on mówi czy robi; ogół upoważniam do mniemania, że on mówił prawdę, że jego zdania podzielam a przynajmniej tłómaczę, że jego dążności pochwalam, jego postęпки uważam za dobre i szlachetne. Widząc to, ogół nie widzi różnicy między prawdą a fałszem, między złem a dobrem, którą mu zawsze wyraźnie należy pokazywać i dać uczuć. W jego pojęciu mięsza się jedno z drugim, zlewa się i spływa, i — w dalszej konsekwencyi, opinia ogółu się mąci, nie może się wyrobić, a ja... ja przyczyniłem się do jej zamącenia i niedojrzałości. Na ogół zaś, zwłaszcza na ludzi młodych, przykład taki nie może nie działać źle: wpaja w nich praktycznie i faktycznie to wrażenie, że nie ma stałych zasad, na których się szacunek ludzki opiera, stałych warunków, pod któremi się oddaje.

Abstineas igitur damnandis: huius enim vel
 Una potens ratio est, ne crimina nostra sequantur
 Ex nobis geniti: quoniam dociles imitandis
 Turpibus ac pravis omnes sumus, et Catilinam
 Quocumque in populo videas.

Jak Panamski skandal w swoich rozmiarach, tak i Catilina w swoich, nie zdarza się co dnia; zdarza się owszem, na szczęście, rzadko. Ale jak mniejsze nadużycia i przemieszanie, tak wszędzie znajduje się ten mały Catilina, który jak go opisał Mickiewicz:

Wpół jest Żydem, wpół Polakiem,
 Wpół jakobinem, wpół żakiem —
 Wpół cywilnym, wpół żołdakiem —
 Lecz za to całym — łajdakiem.

Wszędzie może się znaleźć ksiądz pół-klubowy,
 pół-szynkowy, który

Woła: Jam kapłan prawdy! — fałszujemy i lżyjmy!

Woła: Jam kapłan zgody! — kłóćmy więc i bijmy!¹⁾

Jam zrobił ślub czystości! — walajmy się w błocie.

A dziś niemniej takich, jak w r. 1832, i niemniej oni bezczelni, bo niemniej pewni leniwego, tchórzliwego milczenia ludzi uczciwych, poklasku i osłony tych, co znają ich dobrze, a szanując podług wartości, udają szacunek i wiarę, bo myślą, że im są do ich polityki potrzebni. Jakoż do polityki nienawiści i rozkładu, istotnie czasami przydać się mogą. Taki więc Catilina mikroskopijny, taki Panameczyk o skromnych ambicyach i środkach, intrygant, czy oszust, czy awanturnik, szukając sobie miejsca na świecie, chwytą za wszystko, co mu pod rękę podpadnie: przedsiębiorstwo finansowe, życie publiczne, literaturę, dziennikarstwo, w miłej nadziei, że przy wrodzonym sprycie wydrapie się po tych szczeblach aż na jakieś, pozornie (czasem istotnie) poważne miejsce, bezpieczne, a zwłaszcza zyskowne. Nie inna jest historia wszystkich Wilsonów, Artonów i Hertzów, z których żaden nie byłby mógł celu swego dopiąć, gdyby w poważnej opinii był znalazł zapórę na swojej drodze. Na takich jest jedna rada: strzedz się ludzi niewiadomej, niejasnej przeszłości, a jeżeli tylko

¹⁾ Władysław Mickiewicz: *Żywot Adama Mickiewicza*. Poznań, 1892. Tom II, str. 199—203.

było w niej co nieczystego, nie „dopuszczać ich do sprawy,“ chyba po długiej, dowiedzionej, niezawodnej poprawie. Przypomina się tu jeden z takich, który zamłodu popełnił prostą kradzież, a w pewien czas później, starał się o uczestnictwo w pracy jednej poważnej. — „Ależ panie — odpowiedziano mu — przecież pan jesteś tensam, który...“ — „Tak, ale od tego czasu zrobiłem (czy odziedziczyłem) majątek, i teraz już jestem porządnym człowiekiem.“ Szczęśliwie dla niego, że sobie na ten zbytek mógł pozwolić: ale dziwna jednak pobłażliwość tych, co o przeszłości zapomnieli, i miejsce mu między sobą, między uczciwymi ludźmi zrobili. Trzeba przecież, trzeba koniecznie, żeby wszyscy, żeby zwłaszcza młodzi, wiedzieli dobrze, i na całe życie, że niewszystko da się zmasać, wyprać, zapomnieć!

Szczególniej zaś, bacności w tym względzie słusznie jest wymagać od dziennikarstwa, i zrobić je takiej czujności przedmiotem. Ono przez to, że jest zawodem każdemu otwartym, nie potrzebującym (niestety!) żadnych przedwstępnych studyów i przygotowań, najbardziej ze wszystkich zawodów narażone jest na napływ takich indywiduów, częścią niedokształconych, częścią wykolejonych, którym spryt ma stanąć za rozum, frazes za przekonanie, pewność siebie za charakter. Ono zaś, przez to, że codziennie do tysięcy ludzi przemawia, bardziej, niż każdy inny czynnik dzisiejszego społecznego życia, może i musi się przyczyniać do umysłowego i moralnego podniesienia społeczeństwa, lub do jego obniżenia i zepsucia. Ono, jeżeli ma miłość swojej ojczyzny, sprawy i swojego powołania, które tak łatwo mogłoby być wzniosłem i błogosławionem, winno jest społeczeństwu i sobie samemu szczególną czujność i su-

mienność, gdy mówi o ludziach i sprawach, ale nie mniejszą w swoim własnym łonie i gronie. Ono także z tegosamego powodu, powinno czuć nad sobą, zawsze otwarte, baczne oko opinii. Gdyby tak było we Francyi, nie byłyby miliony należące do akcyonaryuszów Panamskiego kanału, poszły na płacenie kłamliwych, oszukańczych *reklam* dziennikarskich. Nie dopuszczać ludzi niepewnych do dzienników, nie pozwalać, żeby w takich rękach był wyraz, czy ster opinii, to także środek, i jeden z najskuteczniejszych, ustrzeżenia społeczeństwa od mniejszych czy większych Panam.

Owo zaś jeszcze rozdymanie do wielkich rozmiarów ludzi małej naprawdę zdolności i wartości, które się w partyjnych widokach i celach (zawsze z pomocą nieszczęsnej *reklamy*) praktykuje, niebezpiecznem jest także, a w dzisiejszem francuskiem nieszczęściu, daje się i ono, jako jeden z powodów, odszukać. Jaki-taki byłby nieszkodliwie w należytym sobie nicości wiek swój przebył, ale interes partyi chciał, żeby go za znacznego człowieka udać i ogłosić. Więc wychwalać, trąbić, pisać o nim przy każdej sposobności i bez sposobności! Jeżeli to pisarz, wynosić talent i mierne dzieła robić wielkimi; jeżeli kandydat na posła, lub poseł, sławić rozum, i sprawność i dzielność, aż ludzie uwierzą, i sam uwierzy, że on czemś jest naprawdę. Z miernego pisarczyka nie zrobi się wielki pisarz, z miernego człowieka nie zrobi się dzielny: ale zrobi się reputacya, figura, i... narzędzie partyjnych widoków i planów. Tylko czasem zawodzi. Czasem uroczyście wszem wobec okaże miałość i płytkość swego rozumu, a wtedy narazi na śmieszność siebie (mniejsza o to), przy sobie tych ludzi, te partye, które udawały, że go biorą za poważnego człowieka;

a przytem i sprawom ważnym może przynieść szkodę. Czasem zaś bywa gorzej: bo jeżeli charakter niepewny, to taka sztucznie do znaczenia rozdęta wielkość, czy zręczność, może zechcieć i dla siebie szczęścia próbować, i stanie się dogodnym materyałem dla Artona i Hertza.

Czujna opinia, powiedzmy więcej, pewna wyłączość w stosunkach towarzyskich, przystęp niełatwy do zażyłości z poważnemi domami, okrzyczane są często za przesadę, za arystokratyczną hardość i sztywność, przez dzisiejsze pokolenie *fin de siècle*. Mają one jednak swoją stronę dobrą, są bardzo potrzebne. U nas, gdzie niema wielkich miast, a wielkich majątków bardzo mało, gdzie nie skupiają się wielkie interesa pieniężne, a tak zwany wielki świat, nawet gdzie najbardziej niby błyszczący, jest w porównaniu do zagranicznych, wcale cichy i skromny, ostrożność taka i wyłączość, jest prawie potrzebniejsza rodzinom średnich i małych majątków, niż tym bogatszym, w których mężczyźni mają piękne zaprzęgi i wyścigowe konie, a panie brylanty i suknie od Wortha czy Redferna. Ten świat błyszczący jest tak nieliczny, i tak mało naprawdę błyszczący, że wielką pokusą być nie może dla awanturników na wielką skalę. Do Krakowa, do Lwowa, taki nawet nie zajrzy; i w samej Warszawie pozna, że niewiele ma do roboty, bo korzystnych widoków mało. Od obcych tego rodzaju ludzi, świat polski zabezpieczony jest samą siłą rzeczy. Dla miejscowych i własnych wytartych i sponiewieranych indywiduów, bywa czasem należyte surowy i drzwi przed nimi zamyka — czasem zbyt pobłażliwy, a wtedy tłómaczy się powodem istotnie ważnym, że zasłużona surowość względem męża, czy ojca, byłaby niezasłużo-

nem okrucieństwem względem żony i dzieci. Ale zdarza się także, że Polak, który zagranicą sławę swoją wyszarzał i sterał, wraca do domu z gęstą miną, i przyjęty jest tak, jak żeby nie był zrobił nic złego. Przetak, na którym nasz tak zwany wielki świat przesiewa swoje znajomości i stosunki, mógłby być gęstszym; ale ogółem wzięwszy, dla bogatych, czy bogatszych, niebezpieczeństwo jest — u nas — mniejsze, niż dla średnio zamożnych i niezamożnych. Do tych awanturników zagraniczny nie zapuka; ale w braku potrzebnej ostrożności, wciśnie się łatwo do domu awanturnik domorosły, samozwańczy dziennikarz, literat, kandydat na cokolwiek bądź, nieznan, bez poręczycieli, przyjęty na wiarę własnego rezonu i swady, nieraz lubiony za układność lub spryt, i zagnieżdzi się w kółku towarzyskiem; z czego potem przykróść, jeżeli nie nieszczęście, gdy się pokaże że układny i sprytny młodzieniec, był podejrzanym człowiekiem. Czy nie mieliśmy nigdy takich przykładów, takich bolesnych doświadczeń rodzin, doprowadzonych do nieszczęścia przez to, że łatwowiernie, nieostrożnie, przyjmowały nieznaną Panameczyków, których środki i cele były małe, ale niegodziwości wielkie?

Jak życie domowe, tak i te męskie towarzyskie zebrania, które pod nazwą klubów czy stowarzyszeń, skupiają większą liczbę ludzi, powinny dawać szczególną bacność na swoich członków; a jeżeli który zrobi co nieładnego (zwałę naprzykład, a cóż dopiero burdę), usuwać go czempredzej. Inaczej, cień z jego postępuku spadnie na całe stowarzyszenie, a stosunki towarzyskie staną się dzikie, grubiańskie, nie do zniesienia. Ludzie poważni i dobrze wychowani będą mieli w takich razach tylko dwie rzeczy do wyboru: albo usunąć się,

a przez to dać świadectwo niezaszczytne temu stowarzyszeniu, albo pomagać i przyczyniać się do zdzieczenia obyczajów, a przez to szkodzić społeczeństwu. Cóż dopiero, jeżeli w stowarzyszeniu takim pokaże się jaka sprawa karciana, niezupełnie czysta!

Przechodząc tak w myśli różne objawy i różne powody tego złego, które rozpostarte wszędzie, we Francji wybuchło jaskrawym fajerwerkiem brudów, przypomina się Krasickiego już stuletni *Świat zepsuty*.

Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ściska,
 Sameś sprawcą twych losów. Zdrożne obyczaje,
 Krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki, gubią kraje.
 Próżno się ten mniemaną potęgą nasrożył,
 Który na gruncie cnoty rządów nie założył:
 Próżno sobie podehlebiał. Ten co niegdyś sływał,
 Rzym cnotliwy zwyciężał, Rzym występny zginął.

Prawdą było to zawsze i zawsze będzie; ale czy zawsze i w każdym wieku musi znaleźć swoje smutne, a słuszne potwierdzenie i przystosowanie? Ufajmy, że tak nie będzie; ale to pamiętajmy dobrze i weźmy do serca, że im większa jest liczba ludzi przypuszczonych do praw politycznych i do publicznego życia powołanych, tem większa potrzeba, tem świętsza powinność tej czujności społeczeństwa, tej roztropnej ostrożności, tej surowej opinii nad ludźmi i uczynkami, bo im więcej ludzi, tem szersze pole dla pokus do różnego złego, tem szkodliwszy przykład bezkarności złego, a wskutku tego tem większe niebezpieczeństwo dla narodowego honoru i dla publicznego ducha.

Mógłby Polak rozmyślać na ten temat bez końca o Francji i o sobie, dochodzić coraz innych powodów

złego i wysnuwać z niego coraz dalsze wnioski, kiedy otwarta książka pana Leroy-Beaulieu przywołała go do porządku, i myśli jego do punktu wyjścia zwróciła. Ten bankiet! Gdyby Polak na nim był, coby on mógł być dodać do wszystkiego, co mówili inni? jak byłby siebie do Rewolucyi francuskiej przymierzał?

Na wielkie zapewne zdziwienie słuchaczy, obojętnych i nieświadomych jego historii, byłby mógł powiedzieć, że niejedno, że wiele z tego, czem się nowa Francya chlubi jak swoim wynalazkiem i zasługą, on wiedział, praktykował, wprowadzał w życie. Francuz na bankiecie mówi, że Rewolucya sprawiła uznanie, dała poznać zasadę narodowej wolności, prawo każdego narodu do stanowienia o sobie i rządzenia swoim losem; ale żałuje Francuz, że w wykonaniu zasada została skrzywioną, i narzeka, że z tego skrzywienia wynikły różne nieszczęścia późniejsze. Otóż Polak, zasadę znał, a w wykonaniu jej nie skrzywił. On jeden podobno na świecie, dotrzymał święcie co mówił; i kiedy myślał, że zezwolenie ludów potrzebne jest do łączenia krajów, on dawno już, bo w XV i XVI wieku rozwiązał zagadkę, dał przykład, pokazał sztukę dobrowolnego zjednoczenia ludów i krajów. Chwali się rok 1789, że on dał początek religijnej wolności sumień i wyznań? Z jednym przecie w Europie wyjątkiem. Był w niej ktoś, co potrafił i swojej wiary się nie wyprzeć, swego Kościoła nie odstąpić, ani tego do serca i prawa swego nie przypuścić, iżby państwo i społeczeństwo bez Boga i wyznania być mogło, a przecież różnowiercy nie wolność wyznania tylko, ale i równość świeckiego, obywatelskiego prawa przyznał i zapewnił. On i w wolności się kochał, i wszystkie jej warunki i rękojmie odkrył,

znał, posiadał, zachowywał troskliwie w swoim parlamentarnym systemie. Ideał republikański miał on także i dawniej niż wszyscy; i z tą może nad niektórymi wyższością, że nietyle formę i nazwę Republiki cenił, ile wierzył (czasem naiwnie), że mu o istotę samą Rzeczy-pospolitej i jej dobro chodzi. To wszystko, prawda, w zakresie szlacheckiego narodu tylko; ale kiedy przyszedł czas na rozbitcie tej kastowej obręczy, zrozumiał, że obywatelska wolność i równość szlachecką być ani powinna, ani może, i zrobił także — i w tym samym czasie, co Francya — swoją wewnętrzną rewolucyę; ale w tej rewolucyi jednej kropli krwi nie przelał, jednego prawa nie zgwałcił, jednej ruiny na swojej ziemi nie sprawił. Roztropniejszy w tem był od Francuza, a miłosiwy, jak chrześcianin. I w tem jeszcze był dobry i szlachetny, że kiedy wolności i równości chciał i do niej dążył, to w tem dążeniu zazdrością się nie unosił. Kiedyś, w wieku XVI, śnił mu się jakiś ideał rzymskiej republiki (z którą, prawda, rzymska *virtus* niezawsze była do miary), ale, kiedy się cieszył i chlubił, że na zagrodzie równy jest wojewodzie, to mu naprawdę o równe prawo chodziło, choćby do korony samej, ale nie o równe używanie. Zazdrości było mało w jego równości — w jego wolności dużo braterstwa.

Dlaczegoż, z tyloma, i takimi przymiotami, tak podupadł i zeszedł, że dziś, wy szczęśliwi jego imienia między Chińczykami nawet i Kleftami wymienić nie racycie? Dlaczego? Bo łatwowiernie w ideale swoim zakochany, losy swoje, ster spraw swoich, złożył w ręce wielkiego mnóstwa ludzi, które ich należycie znać i rozumieć, o nich roztropnie sądzić nie mogło. Bo on i to znał, w czem wy dziś kres i cel wolności widzicie,

i wszystkich was na tej drodze wyprzedził; on w obrębie szlachty samej, prawda, ale znał i w życie wprowadził głosowanie powszechne. A to, nie rozumiało na sejmiku, nie rozumiało na Sejmie, że Batoremu trzeba koniecznie dać możność szybkiego, stanowczego zakończenia zwycięskiej wojny z Iwanem; że za Władysława, zaczepna wojna z Turkiem, mogła być obroną i zabezpieczeniem nazawsze; że bez dużego wojska i dobrze zaopatrzonego skarbu, bezpieczeństwa być nie może. Tego nasze głosowanie powszechne rozumieć nie mogło, że jeżeli źle jest zostawiać obywatela bezbronnym naprzeciw wszechwładnego państwa, to równie źle zostawić państwo bezradnem i bezwładnem wobec wolnego, wszechwładnego obywatela. A za tem poszły i dobre sposobności zmarnowane, i wojny ciągłe, a bez jednego stanowczego skutku, i granice niestrzeżone, i kolejna utrata prowincyi — i od wszystkiego groźniejsza łatwo wierność głosowania powszechnego względem łowiących w mętnej wodzie ambitników i wicherzycieli (arystokratycznych podówczas naturalnie), i zagraniczne intrygi, i fałszywe polityczne hasła i maksymy: „Słabość jest siłą“, i „Polska nierządem stoi“ — i wreszcie upadek publicznego ducha, aż do tej ostatniej, najsmutniejszej jego oznaki, do przedajności. Mieliśmy i my, niestety, swoje Panamy: małe, na sejmikach, wielkie, na Sejmach i elekcyach. Aleśmy się opatrzyli i zawstydzili! a kiedy od wieku karze nas Bóg, pomagamy Mu w dziele poprawy, bodaj niektórzy, przyznając się do dawnych grzechów, i usiłując je zwyciężyć.

U was? czy przyczyny podobne, nie sprowadzą podobnych skutków? Broni was szczęśliwe geograficzne położenie, i bronie wrodzona dzielność i energia. Jednak,

gdyby zamiast trzech słabych: Belgii, Szwajcaryi, Hiszpanii, mieliście koło siebie trzech sąsiadów mocniejszych, kto wie, jaki byłby was spotkał koniec w r. 1870. Macie zaś jeszcze dar jeden, czy błąd fatalny, wprost przeciwny naszemu wrodzonemu instynktowi przeczucia, macie pociąg i słabość do nieprzyjaciela — jutrzejszego! Nie macie spokoju, ani wytchnienia, dopóki jemu do przyszłej potęgi nie dopomożecie. Że Richelieu trzymał z niemieckim i szwedzkim protestantem za Wojny Trzydziestoletniej, to było nieładnie, ale nie było nieroztropnie, bo na tak daleko przewidywać, jest zbyt trudno. Pracować w wieku XVIII nad wielkością i potęgą Prus w Niemczech, to było już rzeczą krótkiego wzroku. Pierwsza Rzeczpospolita powtarzała na wszystkie tony, że to naturalny sprzymierzeniec Francyi, że żadnych sprzecznych interesów niema i być nie może: ofiarowała bez rachuby terytoryalne zaokrąglenia. Napoleon czuł, że kiedyś może być źle, choć nie mógł wiedzieć, jak źle: cios wymierzony wstrzymał dzisiejszy sprzymierzeniec i przyjaciel. Lepiej od Napoleona rozumiał, wyraźniej widział to Talleyrand na Kongresie wiedeńskim. Że za Napoleona III, Francya nierozumiała, czem się skończyć musi przegrana Austrii w Niemczech, że na wojnę duńską, na wojnę czeską, patrzyła z przyjemnością, to już żadną miarą wytłómaczyć się nie da! Dziś Francuzi dziwią się tym swoim rewolucyjnym pradziadom, co naturalnych sprzymierzeńców widzieli w Prusakach. Co o nich za sto lat powiedzą prawnuki? Może będą gorzko żałować ich dzisiejszej polityki; może katarynki przyszłości wygrywać będą na rogach ulic hymn jaki nowy, którego nuta dorobiona będzie do słów: „*Boże chroń* — nas od naszych przyjaciół!“

Jest zaś w tej Francyi jeden pierwiastek, jeden *virus* zły, zaszczerpiony przez pierwszą rewolucyę, a z niej dziedzicznie przechodzący z pokolenia na pokolenie, coraz szerzej rozpostarty, coraz głębiej zagnieżdżony. Mimo szlachetnego popędu, łatwowiernego idealizmu, w jakim poczynął się rok 1789, ona się poczęła w przeczeniu, w ujemnem, nienawistnem uczuciu. Nie to mamy na myśli, że wyszła z filozoficznych rozumowań i abstrakcyi, że teoretyczny system stworzony dla teoretycznego człowieka, chciała wtłoczyć na żywy organizm, jak żeby on był drewnianą figurą: to spowodowało tylko jej faktyczne zawody i rozczerowania. Ale, że pod sentymentalną tkliwością i marzycielstwem Roussa, pod zbyt słusznemi często twierdzeniami i żądaniami innych, krył się zabójczy pierwiastek przeczenia, nienawiści. Nawet gdzie nie było zupełnego przeczenia Boga, tam była nienawiść Objawienia, przeczenie Jezusa Chrystusa — a pod kwiatami idealnej miłości i ludu i abstrakcyjnego człowieka, była rzeczywista nienawiść rzeczywistego bliźniego, jeżeli on bogatszy, szczęśliwszy. Ten jad zatrul tamte kwiaty, ten zatrul nie samą Francyę tylko. Jak to co w roku 1789 słuszne i dobre, tak i ta nienawiść, ta zazdrość, rozeszła się z Francyi po świecie, ona także stała się uniwersalną. Ona, zamiast do wolności i do postępu, wiedzie nas przez socyalizm i anarchię do barbarzyństwa. Doszła ona i do nas, i po pięknym naszym roku 1791, rychło puściła pierwsze swoje żdźbła; a w wieku obecnym paraliżowała nasze siły, tępiła rozумы, udaremniała zamiary i usiłowania. Tam zaś, we Francyi, zamieniła rychło rok 1789 w 1793, i sprawiła, że żywy organizm do teoretycznego systemu dotąd się nie nagiął; dotąd

one wspólne, jednego środka ciężkości znaleźć sobie niezdoląły, dotąd równowaga się chwieje, a organizm pełen sił żywotnych, jednego tylko organu naturalnie sobie wytworzyć nie może — głowy!

Zrządzenie dziwne, a może historycznej, czy opatrnej sprawiedliwości wyraźna nauka, lub wyrok! Przed trzema laty święciła się hucznie, tryumfalnie, stuletnia rocznica 1789 roku: cały świat był wezwany, cały się stawiał. Dziś mamy także stuletnią rocznicę. Wszak to w 1793 roku dnia 21 stycznia zaczęło się panowanie gilotyny? Tej rocznicy nikt obchodzić nie myślał. Przypomniawszy ją los, przypadek, ale przypomniawszy złośliwie — z ironią, jak równej szukać i znaleźć trudno. Zbliżenie może przypadkowe, ale myślącemu człowiekowi następczący przedmiot do zastanowienia. W sto lat po potokach krwi, potoki błota; w sto lat po nienawiści, nیکzemność; po zazdrości używania, oszustwo i kradzież; w sto lat po zbrodniach, wstyd; w sto lat po gilotynie — Panama!

Czy jedno nie jest może naturalnym, logicznym skutkiem drugiego...

A tymczasem gmach, zaczęty w roku 1789, dotąd nie stoi pod dachem; plan jego się zmienia; czasem wali się część wyciągniętych murów; równowaga się chwieje, budowa nieskończona; a wszystko wychodzi podobno na stwierdzenie starego adagium: *Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laborat qui aedificat eam.*

Tak dumiał Polak pod zawstydzoną, od dworaków opuszczoną wieżą Eiffla. A w końcu zapytał: „Za drugie sto lat co będzie? i czy będzie jaki bankiet? Kto

z nas tych drugich stu lat doczeka, i w jakim świecie? Czy do Zjednoczonych Stanów Europy zjadą się wszystkie ludy świata na dwóchsetną rocznicę Rewolucyi francuskiej? Czy z Europy zrobi się jakaś środkowa Azja, opustoszała, zamierająca, skostniała i skamieniała? Czy Francya wynajdzie jakie łożysko naturalne i rozumne dla tego prądu, który raz puszczony zwrócić się wstecz nie daje, lub też czy przez głosowanie powszechne dojdzie do utraty swojej siły, swojego stanowiska w historii i cywilizacji? Ja sam, czem będę w końcu XX wieku? Czuję w sobie czasem coś, jak przybytek sił, i wtedy myślę, że po długiej niemocy zaczyna się powolny powrót do zdrowia. Ale czy się nie ludzę? Choroba strasznie długa i ciężka; moi lekarze nieraz leczą mnie źle; a — Śmierć — położyła na mnie rękę, i mówi, że nic mnie jej wydrzeć nie zdoła!... Może umrę. Wtedy, po moim pogrzebie, będzie zapewne jedna wielka stypa, pijana, szalona, wściekła... ale po niej długo, długo, wesołych bankietów nie będzie“.

„Ale jeżeli nie umrę, a za sto lat zjadą się ludzie ze wszelkich krajów na wspólną międzynarodową biesiadę — a to wtedy, da Bóg, nie będziecie mogli udawać, żeście zapomnieli mnie zaprosić. I będziecie słuchali z uwagą tego, co będę miał do powiedzenia! A znalazłyby się może w moich dziejach od Kazimierza i Jadwigi do Trzeciego Maja, w moim rozumie od Morzewskiego i Skargi do Krasińskiego i Szujskiego, takie idee i prawdy, które, gdybyście znali i brali do serca, nie mielibyście może dziś w waszych dziejach ani Sedanu, ani Panamy!“

II.

ROZPRAWY W RZECZACH KOŚCIELNYCH.

PRZEŚLADOWANIE UNII NA PODLASIU.

Przegląd Polski. Kwiecień 1875.

„Oderwani przemocą, połączeni miłością,“ pisał cesarz Mikołaj na medalach, bitych na pamiątkę zniesienia Unii na Litwie: tej miłości apostołem był Siemiaszko, narzędziem knut, żywym przez długie czasy w Europie pomnikiem Makryna Mieczysławska.

Dziś miłość tasama, tumsamym sposobem „*navróciła na łono jedynie prawdziwego prawosławnego kościoła*“ czterdzieści pięć parafij, pięćdziesiąt tysięcy ludności unickiej na Podlasiu, i takiesame śpiewa *Te Deum* na widok tego nieszczęśliwego ludu, który „oderwany niegdyś od wiary swoich ojców gwałtem, krwią i żelazem przez polskie barbarzyństwo i okrucieństwo katolickie, przez trzy wieki chowając w sercu pamięć i miłość swojej dawnej prawdziwej wiary i do światła jej wzdychając, stracił wreszcie cierpliwość, gdy bezcelne rzymskie kłamstwa i nieograniczony papieski despotyzm doprowadziły go do rozpacz: i dobrowolnie z własnego popędu, ze łzami i na kolanach błagał, aby mu wolno było zbawiać swoje dusze i być jednej z jego ukochanym „Białym Carem“ wiary!“ Biały Car długo kazał ludowi czekać, niepewny, czy to prawdziwy popęd duszy i łaski, czy też chwilowe może i nietrwale pragnienie: czekał roztropnie, bo ani pozoru religijnej propagandy, nacisku wywartego na sumienia znieść na

sobie i nie chciał i nie mógł. Ale kiedy ten lud prosty a gorący, przez lata całe prosił i prosił, kiedy nie z namowy rządu, ani za przykładem swego duchowieństwa, ale sam z własnego popędu, z najwnętrznějších swoich instynktów religijnych i patryotycznych powrotu na łono prawdziwego kościoła pragnął, wtedy naczelnik kościoła i państwa, przekonany wytrwaleścią, rozrzewniony prośbą, otworzył proszącym wrota kościoła i nieba, i odbyła się dnia 24 stycznia 1875 r. ta wzniosła uroczystość (tem wznioślejsza, że w Białej, że w kościele i na grobie wielkiego wroga i prześladowcy prawosławnej wiary, Józafata), uroczystość, w której miłość zjednoczyła nanowo rozdzielonych niegdyś przemocą!

Oto, jak brzmi w urzędowej historii zniesienie Unii i ostatnie prześladowanie na Podlasiu, oto jak opisują je dzienniki rosyjskie, jak przedstawi się rzecz w Europie, która o ile o tych sprawach wiedzieć raczy, to uda, że wierzy; oto powtórne wybicie medalu cesarza Mikołaja z roku 1839.

Ale każdy medal musi mieć stronę odwrotną. Pokazując ją nie wyciągnie się tej fałszywej monety z obiegu, bo świat wie, że ona fałszywa i umyślnie ją za dobrą bierze (wię przynajmniej od księdza Lescoeur, co ma myśleć o nawróceniach przez tę miłość); ale wskazując dziś ślady krwi na tym Judaszowym pieniądzu, może się choć to sprawi, że potomność weźmie ten podrobiony medal pod swój chemiczny rozbiór, a znalazłszy w składzie jego kruszcu fałsz i krew, oskarży go kiedyś przed ludźmi, jak dziś oskarża go przed Bogiem wylana krew, ta rzecz, która na ziemi tylko wola tak cicho, że jej głos stłumić się daje. Im więcej dziś takich słów zapisanych o prześladowaniu Podlaskiem,

tem większa nadzieja, że choć niektóre z nich doniosą prawdę do ludzi późniejszych. A więc zobaczmy tę stronę odwrotną, zobaczmy tę miłość, jak ona działała i co zdziałała.

I.

Sprawa, której jeden akt zakończył się świeżo oficjalnem przejściem czwartej części Podlaskich i Chelmskich Unitów na schizmę, nie dziś się rozpoczęła: nie jest ona jednym z tych środków „obrusienia nadwiślańskich gubernij“ wymyślonych przez rząd rosyjski po roku 1863, sięga ona początkami swemi dalej. Za ledwo bowiem skończyło się dzieło „nawrócenia przez miłość“ na Litwie, zwrócił cesarz Mikołaj uwagę na kościół unicki w Królestwie Polskiem, a zagładzenie tego ostatniego śladu Unii w jego państwie, postanowione z góry, zapewne jeszcze za Katarzyny, miało nastąpić teraz, kiedy część największa apostołskiej pracy była już dokonaną. Uporawszy się z Unią na Litwie, jak niegdyś na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, z kolei przedsięwziął rząd rosyjski nawrócenie ostatniej dyecezyi unickiej.

Na stolicy Chelmskiej siedział podówczas biskup Szumborski. Ten wydał się przydatnym jeżeli nie na drugiego Siemiaszkę, to przynajmniej na powolne w rękę rządu narzędzie. Plan był oczywiście petersburski i dawny, sięgający jeszcze czasów Katarzyny, a teraz prowadzony dalej z tą konsekwencją, która stanowi największą może siłę polityki rosyjskiej; ale w szczegółach, w sposobach wykonania, rząd centralny zbyt odległy od miejsca działania, inspirowany był przez miejscowe władze, a plan jego wykończony i do szczegółów zastosowany

w Warszawie. Co do dyecezyi Chełmskiej, mianowicie i spraw unickich, głównie działającym miał być naczelnik Wydziału wyznań w administracyi Muchanowa, Siodorski, unita podobno z pochodzenia, a odstępcą i syzmatyk z wyrachowania. On to kierować miał pierwszymi krokami rządu, mianowicie nauczył go, że trzeba działać pomału i ostrożnie, nie żądać odrazu zmiany wiary, tylko „powrotu do pierwotnej czystości obrządku“ — i wskazał biskupa Szumborskiego jako człowieka słabego, który łatwo da się użyć do celów rządu, byle go zręcznie przestraszyć, trochę a nie zanadto: nie żądać od niego odstępstwa. Plan, dobrze ułożony, udał się podług żądania. Wezwany do Petersburga biskup spotkał się tam z przełożeniami, że obrządek unicki zlatynizowany znacznie przez synod Zamoyski traci coraz bardziej swoją właściwą, przez Stolicę Rzymską nawet aprobowaną cechę, i z żądaniem, żeby przez pewne zmiany w rytuale, tę pierwotną cechę obrządkowi swojemu w dyecezyi swojej przywrócił. Chodziło o rzeczy małe, o dzwonki, organy, o tesame rzeczy od których rozpoczęło się ostatnie prześladowanie; tesame, od których zaczyna się propaganda syzmatycka wszędzie, gdzie jest jeszcze Unia. Biskup ustąpił, przyrzekł oczyszczenie obrządku z łacińskich dodatków, i wrócił do Chełmu; zdawało się, że wypadki odbywające się dziś przed naszymi oczyma, rozpoczną się pomiędzy rokiem 1840 a 1850. Na szczęście znalazł się na miejscu ktoś dość silny, by i zmian nie dopuścić i biskupa zwrócić z błędnej drogi, na którą wszedł był zbyt łatwo. Kanonik Szymański (początkowo Bazylianin podobno), przed rokiem 1830 nauczyciel, a przez czas jakiś, jeżeli się nie mylimy, i dziekan wydziału teolo-

gicznego w Warszawie, autor obszernej *Historji Unii* (której wszakże nigdy nie wydał, jeżeli ją nawet ukończył), poznał odrazu, do czego te małe początki miały prowadzić, i tak szczęśliwie umiał wpłynąć na biskupa, że ten nie tylko żądanych zmian w rytuale nie wprowadził ale wszystkie przyrzeczenia odwołał i sam otwarcie do winy się przyznał.

Co potem rząd uczynić z nim zamierzał? niewiadomo; czynnie nie przeciw niemu przedsięwziąć nie mógł, bo rychło nastąpiła śmierć biskupa, który dycę swoją zostawił w takim stanie, w jakim ją był objął.

Ale działanie rządowe nie ustało: zwróciło się na przód do tego, co było najpilniejszym, do usunięcia człowieka, który świeżo okazał się najczynniejszym wyznawcą i obrońcą Unii. Ksiądz Szymański oddalony, a pod nowym biskupem Taraszkiewiczem, obowiązki regensa seminarjumu pełnił ks. Wójcicki kreatura Muchanowa.

Postępowano zwolna i nieznacznie: agent miał na miejscu wychowywać młodych duchownych tak, żeby w danej chwili łatwo zmienili rytuał, a następnie wiarę. Naczelnik spraw wewnętrznych przygotowywał w Warszawie i w Petersburgu oddzielenie spraw unickich od łacińskich, co w dalszej konsekwencji skończyć się miało poddaniem ich pod jeden zarząd ze sprawami „Prawosławnego kościoła.“ Jeszcze wygodniej dał się ten plan wykonywać, kiedy po śmierci biskupa Taraszkiewicza, Wójcicki z ramienia rządu i bez upoważnienia z Rzymu zarządzał przez lat parę opróżnioną dycę.

Opróżnienie jej przeciągało się długo, dlatego, że Rzym wahał się przyjąć proponowanych przez rząd kan-

dydatów na biskupstwo, i nawzajem rząd nie chciał tych, których zalecała kurya. Zgodzono się wreszcie na księdza Kalińskiego, proboszcza z Konstancynowa. W Rzymie wiedziano o nim, że prawowierny i pewny: w Petersburgu sądzono, że człowiek cichy, skromny, spokojny, okaże się powolnym i słabym.

Stało się inaczej. Pierwsze lata przeszły spokojnie dla Unii. Biskup Kaliński nominowany był w roku 1861 (konsekracyi podobno nie odebrał do końca), a w tych czasach już inne sprawy w Królestwie zbyt zajmowały uwagę Petersburga, żeby mógł zwracać jej wiele na Unię; jak długo zresztą stał na czele rządu margrabia Wielopolski, rzecz naturalna, że propaganda syzmatycka prowadzoną być nie mogła. Ale zaledwo po katastrofie rząd wziął się do urzędzenia Królestwa na nowy sposób, wystąpiły zaraz i sprawy unickie. W tem dziele zniszczenia one pominiętymi być nie mogły, a tym, który je podniósł nanowo i dał pierwszy popęd dzisiejszemu prześladowaniu, był pamiętny organizator *nadwiślańskiego kraju*, ksiączę Czerkaski.

Zaczął od biskupa. Wezwano go nagle do Warszawy. Ile tam wysłuchał gróźb i obelg, to on tylko jeden wiedział: ale oto jak odbyło się jego wywiezienie. W czasie pobytu swego w Warszawie, odprawiał on mszę w dawnym Bazylikańskim kościele; jednego dnia wszedł do kościoła podczas tej mszy Czerkaski, został do końca, przypatrywał się, a skoro była skończona, napadł na biskupa, zelżywie i wściekle gromił, że nie umie mszy odprawiać, nie zna rytuału, kazi swój obrządek, że jest buntownikiem przeciw cesarzowi, wrogiem i odstępca swego kościoła, i natychmiast wywieźć go

kazał do Wiatki, gdzie biskup tylko co dowieziony, czy też dojeżdżając, umarł.

Z jego ubytkiem ubyła ostatnia przeszkoda: można było instytuować jaką się chciało władzę kościelną, i z jej pomocą, przez nią, *legalnie* przeprowadzić uniów na prawosławie. Taka władza znalazła się w osobie Wójcickiego, który został zarządcą dyecezyi, a jemu do pary dobrano godną władzę świecką. W objazdach swoich po Królestwie, upatrzył Czerkaski prezesa komisyi włościańskiej w Radomskiem, *Gromekę*, poznał w nim człowieka wedle swego serca, i posunął (w roku 1865) na gubernatora siedleckiego.

Zaczął się pierwszy okres prześladowania, jego prolog. Wójcicki wziął się do oczyszczenia obrządku sprofanowanego łacińskimi wymysłami: dzwonki, organy znikać miały z cerkwi; różańców i pieśni polskich śpiewać zabroniono; kazania (które zawsze mówiły się po polsku), miały odtąd być ruskie. Księża, którzy zmian tych przyjąć nie chcieli, wywiezieni. Naraz objawił się opór tam, gdzie zapewne spodziewano się go najmniej, a obawiano najbardziej. Lud nie dawał wynosić organów, niechciał chodzić do cerkwi *oczyszczonych*, śpiewał i modlił się jak dawniej. *Liberalność* rosyjska, naiwna niekiedy, myślała, że jej się uda olśnić i podbić chełmskiego chłopca: patronat lub zarząd kościoła przez plebana, to wsteczne, barbarzyńskie obyczaje — wolność sumienia i wszechwładztwo ludu wymagają, żeby każda gmina sama zawiadowała swoim kościołem. Naznaczono więc w każdej, w niektórych wybierac kazano gospodarzy kościoła, którym uroczyście oddano jego klucze.

Ale cóż! ciemny lud nie poznał się na swojej korzyści, *liberalność* nie zmieściła się w jego ciasnem po-

jęciu; nowi gospodarze cerkwi używali swojej powagi i swoich kluczy na to, żeby nie dać ruszyć w kościele. A to wszystko spokojnie, cicho, ale stanowczo.

Na opór, gwałt. Zaczęło się na małą skalę to, co w ostatnich czasach powtórzyło się na wielką. Przyszło wojsko (kozacy), rozłożyło się po wsiach, w każdej chacie po kilku; gospodarz musiał ich żywić. To zawsze pierwsze, i to nie kończy się nigdy: sceny krwawe rysują się na tem tle od czasu do czasu, ale tłem, stałym sposobem postępowania jest ogłodzić chłopa, zniszczyć mu dobytek, doprowadzić z żoną i dziećmi do ostatniej nędzy, żeby zmuszony głodem poszedł do rządowej cerkwi. Tak jest dziś, tak było przez dwa lata od 1865 do 1867. A na tem tle, dopiero szczególne akta prześladowania; bicie, wpędzanie całych gromad do stawów, i pędzenie ich w wodę coraz głębiej, żeby strachem utopienia wymódzić odstępstwo: w niektórych wsiach, jak Kołombród, Geś, Rudno (powiatu *Radzyńskiego*) był i rozlew krwi, zabito kilku ludzi.

I wszystko na nic: przez dwa lata nikt nie osłabł, nikt nie ustąpił.

Cóż począć? Wysyłać tłumnie na Sybir, katować, zabijać? tak świeżo po powstaniu i po uwłaszczeniu, niewypada. Odgłos pletni i strzałów mógłby dostać się i zagranicę Chełmskiej dyecezyi, lud wiejski dowiedziawszy się, że rząd nie samą tylko krew lacką, szlachecką i buntowniczą umie przelewać, mógłby pomyśleć, że rząd niezawsze jest dobroczynnym i *liberalnym*: w każdym razie przeciwieństwo między umizgami do włościan, które były podówczas na porządku dziennym, a prześladowaniem krwawem było zbyt wielkie, jedno i drugie do prowadzenia razem za trudne. Sfol-

gowano więc: nie dano rzeczom dojść do ostateczności, a przedsięwzięto szukać innego środka, któryby do tego samego celu doprowadził cicho, a napewne. Zgodzono się nań łatwo: znaleźć nowego Siemiaszkę; jak przejście na schizmę biskup i jakaś część duchowieństwa, ludność sama o tem niewiedząc da się oszukać i pociągnąć przykładem. Ale między duchowieństwem miejscowym Siemiaszki nie było; zapisano go z zagranicy, sprowadzono z fabryki najgorszych odstępców i prześladowców Chełmskiej i Podlaskiej Unii, od św. Jura ze Lwowa. Przyjechał Popiel. Temu do odegrania roli Siemiaszki nie brakło na niczem: chytryść, bezczelność, stanowczość w postępowaniu, wola najlepsza, wszystko było; miał tylko jedną wadę, raczej jedno nieszczęście, był zbyt znany w Rzymie jako skryty schizmatyk, i nie mógł on, czy rząd, ani marzyć o tem, by ten dostał kanoniczną instytucję na biskupstwo. A chciano koniecznie biskupa.

Wtedy stanęła kandydatura ks. Kuziemskiego, o którym Rząd rosyjski przypuszczał, że spełni jego zamiary, Rzym, że może przecie wiernym zostanie. Nowy biskup zawiódł oba te oczekiwania: pomiędzy apostazją a wiernością wynalazł drogę pośrednią, sam Unii nie odstąpił, ale ją pozwolił i pomógł znosić. W Galicyi przed swoim wyświęceniem na biskupa, uważany za zupełnego, choć tajnego syzmatyka, pokazał, że dla siebie jednak apostazyi nie chciał, ale aż do tej granicy zrobił wszystko złe, jakie tylko mógł. Ciekawa jest psychologicznie i moralnie smutna rola tego księdza, który coś wiary i sumienia przecież mieć musiał, skoro przed materyalną zdradą się cofnął, ale w swojej nienawiści do Polski był tak zaciekły, nieubłagany i za-

ślepiący, że byle jej dogodzić, popełnił zdradę moralną i rzeczywistą na swojej wierze i swoim kościele.

Przyjazd jego do Chełma miał się stać hasłem uspokojenia, pojednania, dobrodziejstw; prześladowania zaprzestano, Kozaków ze wsi pościągano; naturalnie, po cóż używać przymusu, gdzie akcja legalna doprowadzi pewniej do tegosamego skutku. W nienawiści do Polski i do łacińskiego obrządku, poczęte były wszystkie kroki nowego biskupa, bardziej w myśl rządu działać było niepodobna. Zaczęło się *oczyszczanie* obrządku greckiego radykalne, na wielką skalę; żeby zaś przyłożyć odrazu siekiere do korzenia obrzydłych łacińskich nałogów, ksiądz Kuziemski zaczął od najsurowszego zakazu wszelkich stosunków między duchowieństwem unickim a łacińskim. Dotąd księża unicy odprawiali nabożeństwa w kościołach łacińskich, łacińscy naodwrot w cerkwiach; jego (pierwszy zaraz podobno) list pasterski oznajmił, że ksiądz unicki, któryby nie już mszę odprawiał, ale tylko znajdował się w kościele łacińskim, będzie karany. Żandarmi odebrali zarazem rozkaz czuwania nad posłuszeństwem księży. W nabożeństwach posypały się zmiany, schizmatyczne obrzędy i zwyczaje zalały kościół unicki jak potop, a najgorszem ze zgorzeń był oczywiście język polski, ten przedewszystkiem musiał być rugowanym. Obok tego assimilacya Unii do prawosławia. I tak, rozporządził biskup, że na odpustach zamiast mszy tylu, ilu jest księży (jak się to dzieje u katolików wszelkiego obrządku), ma się odprawiać jedna tylko msza, *Soborna*, jak ją nazywa prawosławny kościół i język. Innym razem rozkazał dyecezyanom swoim służącym w wojsku, żeby tam spowiadali się przed duchownymi schizmatycznymi.

W seminaryum rządził samowładnie komisarz włościański chełmski, Kakoszkin, z pomocą i pod zasłoną księdza Krynickiego. Bo oczywiście potrzebował pasterz pomocników do swojej pasterskiej pracy, i sprowadził ich ztamtąd, z kąd i sam pochodził; oprócz dawniejszego Popiela znalazł się w Chełmie Krynicki, Dyaczan, Liwczak, wszyscy zaraz mianowani kanonikami, a wszyscy bez masek nawet, wszyscy otwarcie, śpieszno, czempędzej rwali się do prawosławia tak niecierpliwie, że nawet pozorów znosić nie chcieli. Biskup Kuziemski odprawiał jeszcze mszę po unicku, ale wszyscy ci kanonicy zupełnie podług schizmatyckiego rytuału. Że przeciw księżom opornym, to jest wiernym, używano całej surowości władzy kościelnej i całej energii ramienia świeckiego, to rozumie się samo z siebie, więziono, wypędzano, wywożono na Sybir. Wreszcie przystąpiono, i niestety zawsze podobno za zgodą biskupa, do reorganizacji (dezorganizacji), unickiego kościoła. Zniesiono naprzód prawo patronatu; naturalnie, zostawić go w rękach katolików i Polaków, byłoby błędem do niedarowania. To byłoby jeszcze mniej straszne: ale niebawem zawsze jeszcze za rządów i jak mówią z wiedzą i zgodą ks. Kuziemskiego, sprawy unickie dotąd należące do wydziału obcych wyznań (w ministerstwie spraw wewnętrznych) od tego odłączone, dodane zostały do atrybucyi *świętego Synodu* zarówno z prawosławiem.

Zrobił więc, lub dał zrobić wszystko co mógł, żeby zniszczyć obrządek, organizację i odrębność swego kościoła. A jednak wzdrygnął się przed apostazyą formalną i osobistą. Jakiej natury były te zatargi z Gromeką, które spowodowały jego powrót do Galicji? Niektórzy twierdzą, że duchownej, nawet dogmatycznej, że

gubernator sprowadził z Moskwy *Trebniki* (rytuał sakramentów schizmatyczny) i żądał rozesłania go po parafach, wprowadzenia w praktykę; biskup zaś miał odmówić: inni przeczą, mówią, że powody były osobiste: jakkolwiekby biskup opatrzony dwoma wsiami pod Chelmem, które niebawem sprzedał, odjechał do Galicji.

Człowiek ciekawy i exemplarz dość rzadki w historii kościoła. Był istotnie lepszym niż o nim mnimano, skoro sam na schizmę przejść nie chciał; ale dobrym pasterzem, który daje życie za owce swoje, nie był także. Owszem, był jak ten pasterz najemny co ucieka; a choć wolimy sądzić, że uciekał dla ratowania nie życia swego, lecz sumienia i wiary, to zawsze źle. Bo prosty człowiek i świecki zrobił może wszystko, do czego był obowiązany jeżeli swoją wiarę i duszę zachował, ale biskup inaczej: i jak kiedyś przyjdzie do rachunku, jak go zapytają co zrobił ze swoją owczarnią, cóż odpowie? „Panie wszak ja zostałem wiernym, ja się Ciebie nie wyparłem.“ A owce? te owce powierzone do paszenia św. Piotrowi, przez niego biskupom, co się z nimi stało? czy je od wilka obronił? czy próbował bronić? nie, otworzył wszystkie wrota do owczarni, rozgrodził i rozwalil wszystkie płoty, żeby wilki łatwy miały przystęp, sam się schronił i myśli że *salvavit animam suam* Mercenarius! co powie kiedy go zapytają o krew tych ludzi i o ich dusze? co? że „nie chciał tego co się stało, najlepszy przecież dowód w tem, że tam nie przeszedł, tylko tak nienawidził Polski, Polaków, ich przeszłości, że wszystko co oni zrobili, to burzył, wszystkie ich ślady zacierał, on nie Unią chciał znieść, tylko obrządek przez Lachów zeszepecony oczy-

ścić. Taka nienawiść polityczna nie jest przecież religijną apostazyą, on katolikiem przecież został, a że rząd rosyjski przemocą i prześladowaniem dyecezyą jego od Kościoła oderwał, to nie jego wina.“ Czy ta nienawiść będzie dostateczną wymówką, nie wiemy; ale to wiemy, że ten przykład mógłby i powinienby być dostateczną nauką. Dla kogo? dla tych tak już nielicznych niestety ostatnich pozostałych unickich biskupów, którzy sami Kościołowi wierni i wiernosci swojej pewni, myślą, że ich prawowierność wystarcza, a w ciasnej swojej nienawiści do Lacha nie umieją czy nie chcą widzieć tego, że swoim dyecezyom gotują los Chełmskiej: którzy wprowadzie nowości w obrządku zakazują i wierność Kościołowi w listach pasterskich zalecają, ale otoczeni ludźmi, którzy dla schizmy pracują, przez takich działający i wszystko im robić pozwalający, wierzą i dają się powodować praecursorom przyszłego Siemiaszki, i nie widzą w nich nienawiści Kościoła, bo ich zaślepia nienawiść Polski, jedna rzecz wspólna między nimi a temi schizmatyckimi duchami. Tacy biskupi niech popatrzą na księdza Kuziemskiego i niech jego przykład rozważą: on apostatą być nie chciał, materialnie prawowiernym pozostał. Ale przez swoją nienawiść Polski, przez swój tak zwany patryotyzm ruski złożył i cierpiał koło siebie konsystorz z Popielów, Liwczaków i Krynickich, którzy pod jego powagą a częścią i bez jego wiedzy gotowali drogi prawosławiu i czynili proste ścieżki jego. I na czem się skończyło? Do czego pomimo prawowierności biskupa doszedł on sam i jego dyecezya? Polecamy te uwagi zastanowieniu tych, w których rękę i na których odpowiedzialności są ostatnie resztki Unii na świecie.

II.

Po wyjeździe ks. Kuzińskiego rządził dyecezyą Popiel; dzieło postępowało naprzód swoim torem, nieustannie, systematycznie, ale cicho. Coraz nowe zmiany w rytuale, i coraz tych zmian więcej: ze strony ludności tensam zawsze opór spokojny ale stanowczy, trzymanie się zdala od cerkwi i nabożeństw *oczyszczonych*: gwałtu, prześladowania, przymusu przecież nie było. Trwał taki stan dwa lata, do roku 1874.

Teraz, z samym Nowym Rokiem, wyszedł rozkaz, żeby stanowczo raz z tą sprawą skończyć. Zkąd wyszedł? czy od ministra oświecenia, nader gorliwego apostoła prawosławia hr. Tolstoja? czy cesarz o nim wiedział? czy go pochwalał? Niektórzy opowiadają, że zmarły namiestnik hr. Berg, za ostatniego swego pobytu w Petersburgu miał robić pewne uwagi i przedłożenia, i na te usłyszeć tylko odpowiedź: *laissez faire Tolstoy*: ale do takich opowiadań zbyt wiele wiary przywiązywać nie można, bo trudno przypuścić, żeby hr. Berg był powtarzał treść swojej rozmowy z cesarzem. Pojąć zaś prawie nie można, żeby człowiek w tak wysokim stanowisku zniżał się aż do polecenia takich środków, jak te, któremi nawrócono Unitów. Często się zresztą zdarza, że panujący wiedzą tylko to, co otoczenie do nich dopuści: w każdym razie żadnego rozkazu jawnego, ogłoszonego nie było. Pojmuje się dlaczego: rozkaz taki byłby oczywistym dowodem prześladowania. Ale to pewna, że opinia miejscowa nie wie komu przypisać inicjatywę tych zmian, które teraz nastąpiły: waha się między hr. Tolstojem, a otoczeniem cesarzo-

wej (panna Błudów, spowiednik Bażanów), najmniej padają domysły na cesarza samego.

W skutku więc tego tajemniczego rozkazu, wzięły się teraz władze duchowne i świeckie do wprowadzania stanowych zmian w rytuale. Księży, którzy ich przyjąć nie chcieli uwięziono lub wywieziono: powolnych i zgodnych zastępców dostarczała niewyczerpana w ten produkt Galicya. Zaraz w początkach wywieziono tak dwudziestu czterech księży. Ale na tem niekoniec: zaczęła się dopiero sprawa z ludem. Ten nie chciał chodzić do cerkwi, ani przyjmować nowych księży: gdy jednych siłą zbrojną na parafiach instalowano, a drugich bagnetami do cerkwi wpychano, zdarzył się pierwszy znaczniejszy rozlew krwi: w Drelowie (powiat Radzyński) zabitych było ośmiu, w Pratulinie (powiat Konstantynowski, dawny Janowski) ośmnastu.

Tak stały rzeczy, kiedy po śmierci hr. Berga nastąpiła administracya hr. Kotzebue. Lud się dawał bić i zabijać, protestował o swojej wierności dla cesarza, ale nie ustępował; opozycya jego, nawet kiedy stawała się czynna, nie przechodziła nigdy w gwałty. Najczęściej kończyło się na tem, że się chłopci zbierali, naradzali, i spokojnie rozchodzili. Kiedy im narzucano księży nowych, ładowali ich z rzeczami na wozy, i wywozili do najbliższego miasteczka, nie im zresztą złego nie robiąc. Parę razy miało się zdarzyć, że wyrzucili księdza przez okno, ale że nie z piętrowego domu, więc bez szwanku, ani w zamiarze, ani w skutkach. Nie przyjętych księży odprowadzało wojsko napowrót do wsi i oddawało im kościół: ledwie odeszło, tasama operacya powtarzała się znowu. Najwięcej wypadków takich zdarzyło się w powiecie Włodawskim; a gdy nie

ustawały, rząd zaczął się niepokoić, ujrzał się na drodze otwartego buntu z jednej strony, do krwawej represyi z drugiej. Wtedy generał-gubernator hr. Kotzebue, uznał za potrzebne rozpoznać stan rzeczy na miejscu, wybrał się na objazd gubernii Siedleckiej. Od początku źle usposobiony dla miejscowego gubernatora Gromeki, musiał w tej podróży nabrać o nim gorszego przekonania, skoro nawet ludzie do sfer rządowych nie należący, uważali w jego obejściu z Gromeką wyraźne niezadowolenie; musiał w roznowach upominać go surowo, skoro ten aż podał się do dymisyi; musiał w Petersburgu słuszność mieć, nie Kotzebue lecz Gromeka, skoro dymisyja ta dalszych skutków nie miała. Usposobienie rządu charakteryzuje najlepiej odpowiedź dana deputacyi włościan Podlaskich do cesarza, w czasie jego pobytu w Warszawie. Myśleli oni w prostocie ducha, że wielkomyślny oswobodziciel trzydziestu milionów poddanych, nie może ludzi zmuszać do odmiany wiary, że jak tylko się dowie czego od nich żądają i co z nimi robią, natychmiast przymus ustanie. Natomiast Generał Gubernator obwieścił im tylko najwyższą wolę, żeby do swojej prawdziwej wiary prawosławnej wrócili.

Lud tymczasem trwał w swoim oporze. Co go w nim utwierdziło bardzo, to Encyklika Papieska do Metropolity lwowskiego Sembratowicza, która niepojętym jakimś sposobem doszła do każdej wsi i w każdej była czytana. Raporta i dzienniki rosyjskie mówią, że to pismo dopiero spowodowało Unitów do przejścia na prawosławie: przekonali się z niego dowodnie, co to jest arrogancya i *posiahatelstwo* Rzymskiego kościoła! poznali jego nienawiść do wschodniego obrządku, a gdy tego ducha pychy i samowładzy porównali z miłością,

która każde słowo i każdy krok kościoła prawosławnego otacza takim światłem wyższości i świętości, musieli ujrzeć różnicę, poznać prawdę, i zażądać przyjęcia na łono prawdziwego kościoła! Istotnie Encyklika zrobiła wrażenie wielkie, tylko zupełnie inne. Przekonała lud, że nie chodziło tu o zmiany w obrządku, ale o wiarę samą: że księża rządowi nie są w jedności z kościołem: że przy prawdzie, przy wierze, stoją ci, co się opierają nie ci co ulegają. Zabawnie nawet przekreślili niezrozumiałe dla siebie słowo *pseudo administrator* odnoszące się w Encyklice do Popiela, i powtarzali, że nie mogą słuchać tego, o którym sam Papież mówi, że jest *pies administrator*.

Cóż z nimi robić? zdusić! ale o ile być może cicho, żeby odgłos tej sprawy do innych włościan i do zagranicy nie doszedł (jeszcze rząd ludził się, że zdoła skończyć tę sprawę cicho, bez tego rozgłosu donośnego, a koniecznego, opatrzonego prawdziwie, jaki krew rozlana ma zawsze, od czasu pierwszego jej rozlania przez Kaima). Zdusić cicho, a więc naprzód zniszczyć i ogłodzić ludność. Zesłano wojsko. Cztery najbardziej na wschód posunięte powiaty Podlasia, Bialski, Konstantynowski, Włodawski i Radzyński zapełniły się kozakami, których w miarę potrzeby przerzucano z miejsca na miejsce i z powiatu do powiatu, koncentrując znacznie większe masy tam, gdzie opór był większy. W takiej wsi stawali żołnierze kwaterą u chłopów, i to nie pojednemu lecz po kilku w jednym domu, a dom ten musiał żywić ich i konie; wszystko co miał, to było na ich usługi. Chęć dokuczania szła na wyścigi z chęcią zniszczenia; zabierano naprzykład chłopu pszenicę, wszystką jaką miał naturalnie, i dawano ją koniom kozackim, zarzy-

nano jego krowę, jego wołu, i dawano żołnierzom, a ci niewybredni, zwykle i niezbyt dobrze żywieni, tam dostawali po trzy funty mięsa dziennie i tylko najlepsze części jeść mogli, gorsze rzucali w błoto, w wodę, albo psom... i to nie w jednym miejscu tak, nie w jednym wypadku, to wszędzie i ciągle, to podstawa całej operacyi, która się nie zmienia: to trwa od przeszłej jesieni do dziś dnia. Wkrótce naturalnie przyszyła nędza straszna i powszechna, całe okolice są zniszczone, ogłodzone, jak po Tatarach; gorzej, bo tatarskie najazdy nie trwały nigdy tak długo. A kto zna przywiązanie chłopca do zbioru, do dobytku, ten sobie wyobrazi, że prócz nędzy znosił on cierpienie i innej natury, że to marnowanie jego mienia, musiało go boleć bardzo, że zarznięcie każdego bydłęcia było prawie nieszczęściem dla rodziny. Jednak nic nie pomagało; nędzę, głód, ucisk swój, znosił lud tak, jak my cywilizowani i mądrzy my katolicy z przekonania i zasad, daj Boże, żebyśmy lżejsze próby w danym razie tak wytrzymać zdołali. Żadnych odstępstw ani żadnych ustępstw; żądano od nich przyjęcia nowych księży, chodzenia do cerkwi, lud kiedy inaczej poradzić sobie nie mógł, wynosił się tłumnie do lasów, tam przez czas jakiś koczował, ale zgodzić się nie chciał.

Naraz ukazał się niespodziany ukaz, odłączający sprawy unickie od Ministerstwa Oświaty i wyznań, a poddający je pod władzę ministra spraw wewnętrznych: jakaś nadzieja, choć słaba, wstąpiła w serca wszystkich. Przydzielić te sprawy do Ministerium, które ma wydział *obcych wyznań*, to zdawało się oznaczać, że rząd zechce nadal uważać Unię za jedno z takich, że więc zaprzestanie prześladowania lub w niem popołguje. Niestety,

skutek pokazał, że te domysły były mylne; że jeżeli oddano nieszczęśliwy kościół pod władzę ministra spraw wewnętrznych, to nie w tej myśli, iżby kościół ten za obcy uznać, ale dlatego, żeby w drodze administracyjnej jak najprędzej z nim skończyć, żeby go ze swoim połączyć i za połączony ogłosić.

Okrucieństwa spełniane już w początkach roku, powtórzyły się teraz tylko liczniejsze i sroższe.

„Możnaż uwierzyć, żeby rząd, który szanuje i w zupełnej zostawia wolności wyznania Protestantów, Lutrów, Izraelitów, Mahometanów, który w łonie samego kościoła prawosławnego niedawno uznał poniekąd sektę staro-wierców, zmuszał Greko-Unitów do przejścia na prawosławie?„ Tak pisał *Nord* z 16 stycznia w korespondencji swojej z Petersburga, podanej przez *Czas* (Nr. 15 z 20 stycznia b. r.). Naturalnie, któżby temu uwierzył! to polskie brednie i katolickie fałszy; unicy dobrowolnie wrócili do dawnej wiary! Na dowód tej dobrej i wolnej woli, parę faktów znanych już publiczności naszej z opisów codziennych (głównie z *Czasu*), ale których nigdy nadto powtarzać i przypominać nie można.

Żądano od gromad podpisów, niekoniecznie że przyjmą prawosławie, ale że przyjmą nowych księży i zmienione nabożeństwo. Kiedy nie chcieli, bito ich, a bito tak, że nawet nam Polakom uwierzyć trudno; po dwieście kijów, to miara dla mężczyzny zwykła, ale byli tacy, co ją dwoma nawet trzema nawrotami dostawali. To już wiadome, że ojciec jednego z ludzi zabitych pod kijami, patrząc na niego, mówił, że nie płacze i nie żałuje, bo Bóg synowi tej męki i tej śmierci zapomnieć nie może. Albo ten drugi, co po dwustu kijach wstał, mówiąc, że to każde dziecko wytrzyma, cóż

dopiero człowiek dorosły, któremu idzie o duszę i wiarę. Ale oto fakt inny dowodzący do jakiego stanu świętości i exaltacji, doszedł ten lud wiarą i gotowością na śmierć podobny do pierwszych chrześcian. Kobięcie jednej (w Kornicy) zabili syna jedynaka. Płakała nad ciałem: wtedy z otaczającej gromady wystąpił jeden starszy człowiek i zgromił ją, że narzeka, kiedy powinna Bogu dziękować i śpiewać pieśni pochwalne, że miała szczęście dać niebu męczennika. Kobieta zrazu osłupiała; powoli, owładnięta tym rozkazującym tonem przestawała płakać, w końcu usłuchała, i widziano, może poraz pierwszy na świecie, matkę śpiewającą nad ciałem syna, i śpiewającą jakieś wiejskie *Te Deum*, „Twoja cześć chwala“ czy coś podobnego.

Innym razem chłop zbity na śmierć prawie, odniesiony był do szpitala. Naczelnik żandarmów, któremu przecie żal go było, poszedł zobaczyć czy jeszcze żyje. Zastał go śpiewającego godzinki. Na jego wejście śpiewanie się przerwało, skatowany unita zapytał czy przychodzi bić go znowu, ale tak spokojnie, tak łagodnie, tak słodko, że komendant sam nie mógł ukryć zdziwienia, że nie widział żadnego do siebie żalu. „Kiedy to nie twoja wina, robisz co ci kazali, ale jeżeli jeszcze mnie bić musisz, to przynajmniej bij tak, żebym już skończył“. Inny, raz zbity, a wiedząc, że go czeka nowa egzekucya, niedowierzając sobie czy wytrzyma, radził się czy nie lepiej odebrać sobie życie: „Wszak to mniejszy grzech niż odstąpić wiary?“ Upomniany, że życie tylko Bóg odbierać ma prawo, odstąpił od swojej myśli i poniósł męczeństwo. A takie rzeczy jak wpędzanie ludzi do wody, po kolana, po pas, po szyję, trzymanie ich w wodzie całemi godzinami, w zimie, na mrozie,

powtarzały się nieraz. Nowym pomysłem, odmianą w okrucieństwie było to co zrobiono z kobietami w Kornicy. W największe mrozy kazano im (boso) odrzucać śnieg z gościńca na pole: zrobiły. „Podpiszecie?“ — „nie: Żadna“. „To znóście śnieg napowrót z pola na gościńiec“. I zniosły.

I w tem wszystkim ten lud nie miał żadnego kierunku, żadnej znikąd pomocy, żadnej rady. Księży własnego obrządku uległych słuchać nie chciał, innych już nie miał, byli wywiezieni; dwory: ze drżeniem, zdaleka słuchały jęków i razów — zbitym i konającym niosły ratunek kiedy pozwolono, więcej zrobić nie mógł nawet ktoby był chciał odważyć się na wszystko, a nie jest dziś tak niebezpiecznem jak podejrzenie o jakiegokolwiek z prześladowanym ludem stosunki. Łacińscy księża, rzadcy naprzód w tych stronach, bardziej niż ktokolwiek musieli trzymać się na boku. Najmniejsza pomoc z ich strony, najmniejsza styczność z prześladowanymi, byłaby użyta zaraz za pozór prześladowania: księża łacińscy utwierdzają Unitów w buncie, a więc wziąć się do obrządku łacińskiego. Lepiej więc że zostali na boku, bo tak przynajmniej nawet rząd nie będzie mógł mówić, że wpływ duchowieństwa łacińskiego utwierdzał Unitów w oporze, a przez to przyczynił się do ich nieszczęścia. Owszem, jeżeli wpływ taki był, to raczej przeciwny, zniechęcający, odejmujący odwagę. Mianowicie nie bez skutku miał być okólnik ks. biskupa lubelskiego oznajmujący, że Unitów, którzyby na obrządek łaciński przejść chcieli przyjmować nie ma prawa i nie będzie. Czy był autentyczny, czy zupełnie lub przynajmniej w części nie sfałszowany? jeżeli autentyczny, z jakich powodów i w jakiej myśli wydany?

ksiądz biskup Baranowski jest człowiekiem zbyt znany i szanownym, żeby jakiegokolwiek złe posądzenie paść na niego mogło, ale ten okólnik, drukowany i rozlepiony na wszystkich cerkwiach z rozkazu rządu, miał osłabić ducha w Unitach, przejąć ich strachem, że nigdzie i w niczem nie ma dla nich ratunku.

Nie osłabieniu tego ducha zresztą, ale jego bohaterskiej wytrwałości dziwić się trzeba. We wsi *Grudy* (powiatu Bialskiego) cała gromada wyszła na spotkanie wojska, które do niej wysłano, a zapytana co robi na drodze, odpowiedziała, że „wszystko co mieli zostawili we wsi, niech się z tem stanie co chce, a sami wyszli z życiem tylko i proszą, żeby z nimi prędzej skończyli“. To znaczy pozabijali. Komendant wojska tak był tą postawą i tą odpowiedzią zmieszany, że nie zlego nikomu nie zrobił, a wojsku z Grud cofnąć się kazano.

Zdarzały się i straszne czyny rozpaczy i fanatyzmu. I tak, w *Kłodach* (pow. Bialski) — nie w Horbowie ani w Szpakach jak pisano — chłop, którego zmuszono, aby ochrzcił dziecko podług nowego rytuału, spalił siebie, żonę i dzieci. Przed tym czynem rozpaczy zebrał co miał zboża i rzeczy i złożył w jednej izbie, żeby po jego śmierci było na opłacenie kontrybucyi: ubrał się jak na święto, żonie i dzieciom kazał zrobić to samo, potem poszedł z nimi do stodoły, zaparł wrota od wewnątrz, żeby mu nikt nie przeszkodził, i podpalił. Ci którzy śmierci z cudzej ręki czekali byli zapewne wyżsi i świętsi od niego, ale jest wielkość w tej rozpaczy i w tej odwadze; jest jakaś dziwna a prosta pogarda życia i dziwne a dumne zarazem poszanowanie ziemskich obowiązków w samej chwili porzucenia ziemi, widoczne w tem, że zostawił z czego opłacić kontrybucyę,

jak żeby chciał był powiedzieć, nie chcę wam być nie winnym oddam cesarzowi wszystko co jest cesarskiego, ale Bogu to co tylko moje i boskie, duszę. Nie podobna myśleć, żeby to samobójstwo, choć samobójstwo, nie znalazło miłosierdzia i przebaczenia. Ale są inne fakta w których już nie ziemskiego, nie niedoskonałego nie ma, tylko czysta świętość. Kobieta jedna, nazywała się *Krajczycha*, nie chciała podpisać jednego akcesu. „Podpisz bo pójdziesz na Sybir“. — „To pójdę, a nie podpiszę“ — „Nie?“ — „Nie“. — „To ci zabierzemy dziecko“. Ta nie zabiła ani siebie ani dziecka, święta jak najświętsza męczennica wiedziała odrazu choć się długo nie zastanawiała, że śmierci trzeba czekać, posłuszna jak Abraham wiedziała, że trzeba się poddać i zrobić ofiarę choćby z Izaaka: wierząca i ufna jak wielcy wyznawcy, pomyślała, że Bóg nie może opuścić dziecka, które matka opuszcza żeby nie opuścić Boga. Powiedziała tylko „Bóg o nim nie zapomni“ przeżegnała dziecko, i oddała. Doprawdy matka Machabeuszów nie była większą, a była mniej nieszczęśliwą. Miała ich siedmiu wprawdzie i patrzyła na śmierć wszystkich, jednego po drugim, siedem mieczów boleści przeszło jej serce; ale wiedziała że ze śmiercią skończy się ich męka, i wiedziała, że ją samą śmierć zaraz z dziećmi połączy. Ta miała jedno, i oddała nie na śmierć, ale na życie — jakie? może na nędzę, może na głód, na bicie, może na zepsucie: sama nie miała umierać, i przyjęła całe życie Bóg wie jak długie bez tego dziecka, wyrzekła się nietylko jego widoku, ale jego serca, bo to dziecko małe, zapomni, musi zapomnieć: tamta poddała się męczarni krótkiej i śmierci, ta przyjęła całe życie męki; krwi swojej nie przelała, ale łez wyleje więcej niż tamta.

Nad Abrahamem ulitował się Bóg, przestał na chęci, spełnienia nie żądał; nad matką Machabeuszów zlitowała się śmierć: nad tą widocznie nikt, nikt nie widział aniołów zbierających jej łzy i niosących jej ofiarę do nieba jako jedną z największych na ziemi... Zobaczy ich dopiero Antyoch kiedy jego czas przyjdzie.

A my, ludzie rozumni, oświeceni, my dla których wiara nie jest uczuciem tylko, ale zasadą, przekonaniem, my co tyle o Bogu i Kościele mówić umiemy, czybyśmy umieli znieść nie to co oni znieśli, ale mniej, choćby daleko mniej, i wytrwać? Odpowiedzi dać sobie nie możemy, ale pytanie sobie postawmy i stawiajmy często a może nam wyjdzie na dobre.

Że nie wszyscy wytrwali, że głodni, zniszczeni, zbici, wygładający napróżno cudu z nieba lub ratunku z ziemi, niektórzy dali się złamać, cóż dziwnego: wszak i w katakumbach bywali tacy co w końcu zapalili kadzidło przed fałszywym bogiem. Nie było ich dużo: na ceremonii przejścia w Białej było wszystkiego od stu do dwóchset ludzi, tak zwanych delegatów, którzy reprezentowali niby swoje parafie, a których nikt nie wybrał i nie umocował. Ale to nie potrzebne; akt się odbył, i oficjalnie pięćdziesiąt tysięcy Unitów „wróciło na łono swego dawnego prawdziwego kościoła, z którym połączyła ich nanowo miłość i pragnienie zjednoczenia się w wierze z Białym Carem“.

Oto w jaki liryzm i natchnienie wpada korespondent *Głosu* z Białej (nr. 16 z dnia 12 (24) stycznia):

„Właśnie na dniu dzisiejszym, 12 stycznia, dokonało się owo przyłączenie. Wezwano do Białej deputatów z 45 parafij, które podały prośby o przyłączenie,

by im oznajmić najwyższą wolę i zezwolenie Synodu. Punkt o 10-tej rano przybył J. Ekscel. Joanicysz do cerkwi, gdzie go już oczekiwał miejscowy gubernator, wszyscy deputaci parafij unickich i 26 duchownych unickich, którzy życzyli sobie przejść na prawosławie. Kiedy arcybiskup przyodział już na się szaty pontyfikalne, kiedy zatem wszystko już było gotowe do wielkiego aktu nawrócenia, naczelnik gubernii głośno, tak aby wszyscy słyszeć mogli, przeczytał ogłoszenie, że Najjaśniejszy Pan przychylił się do prośby unitów o przyjęcie ich do wiary prawosławnej; najdostojniejszy Joanicysz zaś zakomunikował ludowi uchwałę i błogosławieństwo Najświętobliwszego Synodu“.

„Poczem zaraz w miejscowej naszej cerkwi parafialnej, przedtem unickiej, a odtąd prawosławnej, arcybiskup odprawił solenne nabożeństwo przy ogromnym natłoku ludności. Kazanie, wygłoszone przez niegdyś unickiego, dopiero co nawróconego dziekana bialskiego, protojereja Liwczaka, wywarło głębokie wrażenie na słuchaczach; w oczach wielu obecnych dostrzedz można było łzy. Po skończeniu liturgii najdostojniejszy Joanicysz udzielił błogosławieństwa nowonawróconym, braterskim pocałunkiem obdarzył duchownych, i wręczył deputatom każdej z nawróconych parafij po dwa obrazy stojące. Trzeba było patrzeć na zachwyty tych prostaczków, co tyle wycierpieli w walce z wątpliwościami, tyle sił wyczerpali w szukaniu prawdy; lecz opisać ten spokojny, duchowy, wewnętrzny tryumf, przebijający się na ich twarzach — niepodobna! Z uczuciem uwielbienia brali oni z rąk arcypasterza obrazy, żegnali się, całowali obrazy i z jakimś uroczystym tryumfem pokazywali ten święty dar biskupa, niby zwyciężką chorągiew, zdo-

bytą wysiłkami własnego ducha i serca w walce z potwarzą i kłamstwem. Widziałem te obrazy: niewielkie one, w srebrnych pozłacanych ramach, jeden przedstawia Chrystusa, drugi Bogarodzicę“.

„Z cerkwi arcybiskup, gubernator, deputaci i obecni przy uroczystości goście udali się do gmachu gimnazyalnego, najpiękniejszego w mieście, gdzie zastawiono braterską ucztę. Kiedy J. Ekscelencyja wniósł na początku uczyły toast za zdrowie Najjaśniejszego Pana, długo nie ustawało głośnie „hura“ łącząc się z ujmującym za serce wyrażaniem radości i szczęścia ze strony nawróconych, którzy ze łzami w oczach prosili gubernatora, aby doniósł Najjaśniejszemu Panu o nieograniczonej ich wdzięczności za to, iż dał im prawo wyznawania „jednej wiary z Białym Carem“. Potem nastąpiły toasty za zdrowie arcybiskupa warszawskiego najdostojniejszego Joannicyusza, generał-gubernatora hr. Kotzebue, ministra spraw wewnętrznych generał-adjutanta Timaszewa, naczelnika gubernii siedleckiej Gromeki, nawróconych duchownych i deputatów, oraz innych obecnych na śniadaniu osób“.

„W końcu, nie mogę pominąć milczeniem, że w czasie liturgii, kiedy djak zaintonował: „pomódlmy się do Pana i za połączenie kościołów“, wielu z obecnych upadło na kolana. Zdaje się też, iż nikomu i nigdy nie zdarzyło się doświadczać podobnie uroczystej, iście prawosławnej chwili ¹⁾“.

¹⁾ Dla ciekawości i na wieczną rzeczy pamiątkę umieszczamy tu całą historję sprawy unickiej, jak ją opowiada *Golos*. Zdawało nam się, że po medalu cesarza Mikołaja, po manifestach podziałowych Katarzyny, nie nas już zdziwić nie zdoła. Jednak taki opis faktów, których ledwie

W numerze z dnia następnego poświęca *Gołos* swój już własny artykuł *tryumfowi prawdy*, raduje się tem zwłaszcza, że ten powrót do prawosławia wyszedł czysto z inicjatywy ludu, a zatem że jest tem prawdziwszy i trwalszy, a wreszcie tak kończy lirycznie:

małą część, same próbki podaliśmy wyżej, wprawie musi w zdumienie nawet nas Polaków, przywykłych do eufonii urzędowego języka. Te podburzania ludu przez księży wygnanych, ten zdrowy rozum, który mu wskazał źródło zdrady ukryte w Breve Papieskiem, ta roztropność i prawie niechęć rządu, który proszących do kościoła swego przyjąć nie chce, i dopiero zwalczony błaganiem, dostatecznie przekonany, pozwala, bo sumieniom przeciw gwałtu zadawać nie może, to jest w swoim rodzaju wielkie: kłamstwo, podłość, mogą także dojść do ideału — oto jest:

Piszę do was na dniu zakończonej przed chwilą uroczystości religijnej, pod świeżem jeszcze wrażeniem, jakie wywarła na mnie ta ceremonia kościelna, która do małego miasteczka naszego ściągnęła tłumy ludu ze wszystkich zakątków gubernii. Domyślcie się już zapewne, iż mówię tu o dokonaniem dziś zjednoczeniu 50,000 greko-unitów, którzy już dawno wyjawili żądze wyznawania — według własnego ich wyrażenia — „jednej z Białym Carem religii“.

W jednym z ostatnich numerów *Gołosu* z ubiegłego roku, wzmiankując w artykule wstępnym („Polityczne znaczenie unii religijnej“ Nr. 356, r. 1874) z powodu spraw unickich w diecezyi Chełmskiej, o breve papieskiem *Omniem sollicitudinem*, wydanem 13 maja, przytaczaliśmy między innymi zdanie gazety wiedeńskiej *Neues Fremdenblatt*, która mniemała, iż breve to, podniecające naszych greko-unitów do zespolenia się z rzymskimi katolikami, musi wywrzeć skutek wręcz przeciwny temu, którego spodziewają się w Rzymie, ponieważ nie pozostawia ono unitom innego wyjścia, prócz przyjęcia prawosławia. Przepowiednia gazety wiedeńskiej ziściła się najdokładniej, i to prędzej

„Dziwne to losy unii na ziemi rosyjskiej! Całe wieki zabiegów, podstępów, jawnego nawet kłamstwa i potwarzy na prawosławie rzucanych, nie zdołały nakłonić unitów do katolicyzmu i zaprowadziły ich nie

nierównie, niż spodziewać się było można; urzeczywistniłaby się ona nawet wcześniej, przed kilku jeszcze miesiącami, gdyby administracya nie opóźniła sprawy nieodzownemi może, w każdym atoli razie tamującemi tok wydarzeń formalnościami. Opowiem wam przebieg tego ciekawego wypadku podług wiadomości, które powziąłem z najwiarogodniejszych źródeł, świadczących jasno, iż dzięki indyferentyzmowi naszemu, oziębialiśmy sami zapal ludowy, nie pośpieszywszy okazać swej rozgłośnej gościnności „synom marnotrawnym“, kołatającym oddawna już do drzwi, których tak długo nie otwieraliśmy.

Niebawem po wydaniu breve papieskiego z dnia 13 maja 1874 r., przetłómaczono je na język polski i wydrukowano we Lwowie w ogromnej liczbie exemplarzy. Mimo wszelkie usiłowania straży pogranicznej, przekład ten breve papieskiego dotarł i do naszej dyecezyi chełmskiej. Nie dość na tem: w maju jeszcze dwaj w r. 1872 wydalenii z Rosyi do Galicyi księżu unicy naszej gubernii, O. Siniewicz, były proboszcz parafii Swory, i jeśli się nie mylę, O. Bojarski, były proboszcz parafii radzyńskiej, przebrani w odzież włościańską, dostali się tajemnie z Galicyi przez gub. Lubelską do naszej Siedleckiej, przywiózłszy ze sobą znaczną ilość exemplarzy breve papieskiego w przekładzie polskim i kilka broszur treści podlegającej, również w języku polskim. Dwie te osoby, Siniewicz i Bojarski, zwołały do lasu w pobliżu Międzyrzecza najzagorzalszych wieśniaków, przeczytały i wytłumaczyły im breve, rozdały przywiezione broszury, odebrawszy od obecnych w lesie przysięgę, iż zachowają w tajemnicy wszystko, cokolwiek tam zaszło. Pobyt Siniewicza w lesie potwierdzają zupełnie wiarogodne zeznania osób, które były na tej konspiracyi międzyrzeczekiej; udział O. Bojarskiego w rozpowszech-

do kościoła katolickiego, lecz do prawosławnej świątyni do tej właśnie świątyni, pod sklepieniem której spoczywały relikwie niedawno kanonizowanego Jozefata Kuncewicza, wroga prawosławia. Nigdy może jeszcze Ne-

nianiu edyktu papieskiego w języku polskim nie ulega również najmniejszej wątpliwości; lecz czy był on wspólny z Siniewiczem w lesie międzyrzeckim — powiedzieć z pewnością nie mogę. Policya nasza — niech jej to nie obraża — wykryła wszystkie szczegóły „tajemnicy międzyrzeckiej“ wtedy dopiero, kiedy już Siniewicz i Bojarski, spełniwszy swe zadanie, umknęli napowrót za granicę, rzuciwszy ziarna zaburzeń, które też wybuchły niebawem w 33-ch parafiach dekanatów: białskiego, włodawskiego i radzyńskiego. Rzecz godna uwagi, iż drukowane i pisane exemplarze breve papieskiego przesyłane były pocztą, rozrzucane po wsiach, przyklepane w karczmach i kancelaryach zarządów gminnych, uchodząc pomiędzy ludem, za „spadłe z nieba listy papieskie“. „Niebieskie“ te „papierki“, według zeznań samegoż ludu, były przyczyną całego nieszczęścia; one to podnieciły kobiety i młodzież do wszystkich gwałtów, burd i zaburzeń. Sfanatyzowany lud prosty wypędzał z parafij swych proboszczów, uległych rozporządzeniom konsystorza dyecezyi chełmskiej, wyrzucał z domów kościelnych ich dobytek, a w tych wsiach, gdzie księży nie było, rzucał się na djaków i nauczycieli wiejskich, nie szczędząc bolesnych razów nawet ich rodzinom. *A wszystkie te zawichrzenia odbywały się jedynie z poduszczenia tych osób, które czytały i tłómaczyły ludowi breve papieskie i broszury polskie, bez wszelkiej innej widocznej pobudki, w tym właśnie czasie, kiedy konsystorz chełmski nie wydał żadnego nowego rozporządzenia, lecz nawet nie zmuszał do wypełniania znanego przeszłorocznego swego okólnika, wytłómaczonego fałszywie ludowi przez stronników katolicyzmu, i poprzestał na mianowaniu nowych księży do tych parafij, których proboszcze odmówili posłuszeństwa konsystorzowi i byli z tego powodu wydaleny z zajmowanych przez siebie*

mezys dziejowa nie wystąpiła w takich wydatnych kształtach i z taką nieubłaganą logiką!⁴

Nemezys? odwet? dobrze, gotowiśmy zdać się na tę historyczną sprawiedliwość, ufni i pewni, że nic o nią

stanowisk. *Sumienie samo i zdrowy rozsądek ludu naprowadziły go na myśl, że zawichrzenia te, spowodowane przez nic innego, tylko przez obłąd, który wywołało breve papieskie, winny być już ostatniemi, i że bezład, gwałcący osobiste oraz wyjątkowe prace niewinnych zgoła kaptanów i naruszający spokojność w kraju, rozwiąże dawno już budzący w narodzie wątpliwości dylemat, że nastąpi jedno z dwojga: albo powrócenie unitom, według breve papieżkiego, poprzedniego ich, skażonego przez łacinników obrządku; albo stanowcze i bezpowrotne oczyszczenie tego ostatniego z wszelkich naleciałości.*

Lud prosty zrozumiał, że zaburzenia, do których go podniecano, cierpieniem być nie mogą, i z tej przyczyny zwrócił się z wyrażeniem swych życzeń) do naczelnika kraju, hr. P. E. Kotzebue, prosząc go o załączenie takowych przebywającemu podówczas w Warszawie Monarsze. W dodatku nadzwyczajnym Dziennika Warszawskiego z d. 30 lipca ubiegłego roku wydrukowaną została następująca odezwa w imieniu generał-gubernatora warszawskiego, generał-adjutanta, hr. Kotzebue:*

„W czasie obecnego pobytu Najjaśniejszego Cesarza w Warszawie, przybyli deputowani kilku parafij unickich z gub. Siedleckiej w zamiarze podania prośby o zniesienie rozporządzeń władzy dycieczalnej, dotyczących się obrzędów religijnych greko-unickiego wyznania. Jego Cesarska Mość, dowiedziawszy się o tem, polecił mi raczył, abym oświadczył powtórnie ludności greko-unickiej powierzonego mi kraju, iż prośbom jej w tym względzie zadosyć uczynić niepodobna i że Jego Cesarska Mość przekonany być raczy, iż ludność greko-unicka, od wieków ruska i wierna

*) A więc były jednak życzenia?

tak głośno i skutecznie nie woła jak przelana krew: a słysząc te „salwy na *Te Deum*,” któremi „zwycięztwo swoje uroczyste święcą” mamy w myśli i w sercu te pełne wiary słowa poety:

„Czy sobie myślą, że Bóg ślepy? głuchy?”

zawsze tronowi, uwolniwszy się od nieszczęsnych błędów i wrogich poduszczeń, sprowadzających ją z właściwej drogi, nie omieszka umocnić się w swych starożytnych, prawidłowych obrzędach religijnych i okazywać się nadal pokorną i spokojną, jaką Najjaśniejszy Pan przywykł ją widzieć do chwili obecnej“.

Ta nieobfita w słowa, lecz wielce doniosła treścią odezwa stanowiła już sama przez się fakt, którego oddawna pragnęli, o którym jednakże w ciągu lat dziewięciu marzyć jedynie mogli ludzie, śledzący zbliska za przebiegiem Unii w gubernii Siedleckiej. Albowiem pomiędzy ludnością unicką powszechnem było fałszywe mniemanie, jakoby wszelkie środki, dążące do oczyszczenia ich obrządków, przedsiębrane były przez władze miejscowe bez wiedzy, a nawet wbrew woli władzy wyższej. *Teraz zaś lud pojął, iż przewodnicy prowadzą go drogą błędną i występłą, iż zatem biorący udział w zawichrzeniach stają się przestępcami woli monarszej. Mimo wrażenia, jakie na lud wywarło breve papieskie, mimo wszelkie usiłowania takich agentów, jak pp. Siniewicz i Bojarski, unicy zrozumieli, że ich oszukują, i pragnęli naprawić swą omyłkę. „Car życzy sobie, abyśmy byli posłuszni rozporządzeniom konsystorza; Biały Car tego pragnie! — oto myśl przewodnia, przenikająca ludność unicką i, jak dowiodły następstwa, będąca szczerym wyrazem uczuć, które taż ludność żywiła na dnie sumienia. Parafia za parafią jęły wyrażać żal swój i, na dowód jego szczerości, unicy sami poczęli przywracać naruszony porządek, naprawiać uszkodzenia w domach kapłanów, znosić napowrót wyrzucone z nich sprzęty, nagradzać wyrządzone straty; sami też wysłali deputowanych do gubernatora, S. S. Gronieki, z wyrazi-*

i mówimy spokojnie, „tryumfujcie, czyńcie sobie gody,“
czekając dnia, w którym

ze złości waszych pełną miarą
Zstępując Pańscy aniołowie zniosą
Wielką moc gniewu

i wiedząc, że ten dzień prędzej lub później, ale koniecznie, przyjść musi.

niem pokory i posłuszeństwa, a niektóre nawet parafie dołączyły oraz prośbę o niezwłoczne przyjęcie ich na łono prawosławia, oświadczając, że parafianom znudziło się już być igraszką propagandy łacińskiej, i że oni, należąc ustawicznie całą duszą i całym sercem do Białego Cara, pragną i wiarą zjednoczyć się z nim nazawsze. Rzecz godna uwagi, iż nie tylko miejscowe, lecz oraz i wyższe, jak wieść niesie, władze zapatrywały się w pierwszej chwili na ten fakt niespodziewany z wielkiem niedowierzaniem i wątpliwością. Postanowiono naprzód sprawdzić oświadczenie deputowanych przez zbadanie przekonań wszystkich parafij, i, nie wdając się w żadne spory religijne, przeświadczyć się tylko, co rozumieją proszący przez wyraz prawosławie i o ile szczerem i świadomem jest ich życzenie. Śledztwa tego kazano dokonać dopiero po wyprowadzeniu załóg wojskowych) z tych parafij, które pragnęły przyjąć prawosławie, ażeby w ten sposób każdy miał zupełną swobodę w wypowiedaniu swego zdania i swych przekonań religijnych. Wynikiem pierwszego zaraz posiedzenia było ułożenie, w ciągu dni około dziesięciu, piętnastu blisko piśmiennych, własnoręcznie przez każdego parafianina podpisanych i przez świadków potwierdzonych rezolucyj parafialnych, w których wyrażono stanowczy zamiar rozerwania sztucznego związku z Rzymem, tudzież otwartą prośbę o przyjęcie unitów na łono kościoła prawosławnego. Pierwszy krok w tej mierze uczy-*

*) A więc wojsko było przedtem? cóż tam robiło, skoro środków przymusu nie było?

III.

Tymczasem? tymczasem oficjalnie przeszli na prawosławie „nawróceni miłością“: czwarta część mniej-więcej ludności unickiej w dyecezyi Chełmskiej już jest zapisana na prawosławną i taką zostanie dopóki się

niła parafia Jabłeczno w dekanacie bialskim, za nią poszły inne; i ruch ten ludowy szparko się rozszerzał, spotykając, jak dawniej, niedowierzenie w administracyi świeckiej i duchownej. Zdaje się, iż niezwykle powodzenie tego ruchu stało się nowym powodem większego jeszcze powątpiewania ze strony władzy wyższej, która obawiała się zapewne, czy powodzenie to nie jest przypadkiem rezultatem zbytycznej i niewłaściwej tym razem gorliwości administracyi miejscowej — dość, iż władze miejscowe otrzymały rozkaz przerwać zupełnie rozpoczęte badania, nie mieszać się do niczego i pozostawić całą sprawę jej naturalnemu przebiegowi.

Zdawało się, że na tem wszystko powinno było się skończyć. Niepodobna było nawet przypuszczać, żeby pozostawiony sobie samemu prosty i ciemny lud, rozrzucony po wsiach, otoczony wrogim dla prawosławia żywiołem — lud, na który nawet zwykłego wpływu nie mogli wywierać pasterze duchowni, gdyż jedni z nich przed niedawnym dopiero czasem znieważeni i zelżeni przez tensam lud zaledwie zdążyli powrócić, drugich zaś wcale po parafiach nie było: trudno było, powtarzamy, w istocie przypuszczać, ażeby ten nieszczęśliwy lud, po usunięciu nań wpływu nawet miejscowej administracyi, jedynej w kraju inteligencyi rosyjskiej, umiał zjednoczyć swe siły dla dania należytego odporu wrogim wpływom, dla zniesienia kryzysu, jaki przechodził w swym żywocie dziejowym, i żeby zdołał wy dostać się z tego chaosu przeciwnych sobie uczuć, przekonaniań, które wślizgnęły się w jego duszę, i niedorzecznych myśli oraz potwarzy, które brzemieniem gniotły mu mózgi. By wam dać pojęcie o stanie ludu w tej krytycznej chwili,

Bóg nie zmiłuje. W powiecie Bialskim większość, w Włodawskim także, w Konstantynowskim dotąd trzy parafie, a między temi *Pratulin*, który niedawno jeszcze okupił swój opór śmiercią ośmnastu ludzi. W powiecie Sokolowskim, i w Radzyńskim, dotąd prześladowanie krwawe nierozpoczęte, ale oczywiście dojdzie do nich

wspomnę tu, iż pomiędzy unitami rozpuszczono podobnego rodzaju nedorzeczne pogłoski: opowiadano, jako za przejście na prawosławie nałożona będzie znaczna, specjalnie *ad hoc* ustanowiona kontrybucya; że każdy, „kto się zapisze na prawosławie,“ będzie musiał zapłacić 30 rubli; że akt połączenia rozpocznie się od zniszczenia po kościołach obrazu Matki Boskiej, jakoby nieczczonej w kościele prawosławnym, i t. p. nedorzeczności. Wszystkie te strachy jednakże nietylko że nie zyskały upragnionego powodzenia, lecz doprowadziły do wręcz przeciwnych wyników; lud, kierując się zdrowym chłopskim rozumem, zrozumiał kłamliwość podobnych wieści, odwrócił od nich twarzę, i tem śmieiej, z tem większą stanowczością poszedł witać światło prawdy! Wbrew powszechnym oczekiwaniom, naród nie stracił głowy; nie wprowadziło go w zamęt ani nagle zawieszenie czynności miejscowego zarządu, ani wpływ nedorzecznych pogłosek: prócz 15 wzmiankowanych powyżej parafij, 30 innych jeszcze — w ich liczbie parafia bialska i kodeńska — ułożyło dobrowolnie i podpisało własnoręcznie uchwałę o przyjęciu przez się prawosławia, bez żadnego udziału, a nawet w nieobecności w nich jakiegokolwiek władzy.

Wszystkie te uchwały podali oddzielni deputaci od ludu naszemu gubernatorowi z prośbą, aby wyrażoną w nich wolę ludu przedstawił do rozpatrzenia najwyższej władzy. By należycie ocenić te wyrazy woli ludu, niezbędną rzeczą przytoczyć następujące cyfry, powzięte przezemnie z niewątpliwie wiarogodnego źródła: z pomiędzy 26 parafij, które osadzono załogami wojennemi, 12 tylko wyjawilo chęć przyjęcia prawosławia, reszta 14 ograniczyła się do

niebawem; dzieło ukończone w trzech powiatach przeniesie się do innych, ceremonie takie jak w Białej 24 stycznia powtórzą się w innych miejscach (już podobno było w Janowie), a gdy na Podlasiu oficjalnie przynajmniej już śladów Unii nie będzie, przyjdzie propaganda na południe; w Chełmskiem do dzisiaj względnie spokojnie.

oznajmienia swej uległości i posłuszeństwa dyecezyi chełmskiej; prócz tego, z ogólnej liczby 45 parafij, które wyraziły życzenie przyjęcia prawosławia, w 25-ciu wcale nie było zaburzeń, i dlatego w nich nie uciekano się do środków surowości. Wreszcie, rzecz szczególnie uwagi godna, w kilku parafiach niewielka liczba pojedynczych osób, a w jednej cała wieś (Stasiówka w parafii leszczyńskiej) wcale nie chciała podpisać uchwały i oznajmiła życzenie pozostania przy unii. Nawet w naszej Białej pięć domów mieszczkańskich nie zechciało przejść na wiarę prawosławną, a nikt za to nie okazał im swego niezadowolenia; owszem surowy wydano zakaz, aby nikt im żadnej nie czynił krzywdy, wyrzutów, i wogóle niczem nie zamącał im sumienia.

Macie fakta; za ich prawdziwość zaręczam. I otóż, dopiero po półroku od czasu podpisania pierwszej rezolucyi, kiedy już poczet takowych uchwał urósł do 45-ciu i kiedy blisko 50.000 unitów *ustawicznie i nalegające* zanosilo prośby o usankcjonowanie postanowienia ludowego, teraz dopiero — powtarzam — rząd zwrócił oczy na ten ruch religijny między greko-unitami. Rezolucye ich przedstawiono Najjaśniejszemu Panu, a ten, przychyłając się do prośb unitów o przyłączenie do kościoła prawosławnego, najwyżej oznajmić rozkazał, iż zabiegi ich uwzględnionemi zostaną. Ze swej strony Synod najświętobliwszy udzielił arcybiskupowi warszawskiemu Joanicyszowi swego błogosławieństwa na przyjęcie do prawosławia wszystkich parafij grecko-unickich, które wyjawily chęć przejścia na „wiarę Białego Cesarza.“

Że się w położeniu nic nie zmieniło, że lud opiera się zawsze, a miłość nawraca go temisamemi środkami, dowodzą następujące szczegóły:

„Od paru tygodni nie nowego: zawsze tylko nahajki i nahajki. W samym ostatku zaczęli żądać podpisów od mieszkańców Janowa i wsi okolicznych; bito bez miłosierdzia, Kutanin (naczelnik powiatu) jest krwi i chwały nienasycony. Ze służby księcia Mszczerskiego aresztowali trzech mastalerzy i kamerdynera z dwoma synami. Ojca przez wzgląd na księcia nie bili w Janowie tylko w Siedlcach¹⁾. Synowie zaś dostali po dwieście nahajek, lecz dotąd ani ojciec ani synowie nie podpisali; zapewne pójdą na Sybir. Z mastalerzy pewien *Wawrzyńiak* dostał na pierwszy raz dwieście nahajków; wstawszy, uderzył tak silnie kozaka który go bił, że mu trzy zęby wybił, a za drugim kulakiem prawe oko. Wtedy go znowu położyli i dali drugie dwieście. On jeszcze nie chciał podpisać. Powieźli go więc do Siedlea, a żonie naczelnik powiedział, że mu dom i grunt zabiorą. Przestraszona żona póty go prosiła żeby podpisał, aż się zgodził, a wtedy zaraz go wolno puścili. W Łościcach taksamo się obeszli jak w Janowie. Do Kornicy przywieźli onegdaj dwoje ludzi starych, męża i żonę, którzy przed kilkoma tygodniami uciekli byli do lasu, i tam zmarzli. Znalazł ich chłop jadący po drzewo. W przyszłą niedzielę ma się odbyć w Janowie

¹⁾ Ten rodzaj względu na księcia M. Rosyanina, jest charakterystyczny, i dowodzi, jaka musi być zaciekłość a jak surowe rozkazy, skoro powaga człowieka zajmującego wysokie stanowisko w społeczeństwie rosyjskiem tyle tylko otrzymać zdoła, że nie katowano sługi księcia w jego oczach.

takiesamo nabożeństwo jak było w Białej, już przygotowują trybuny na rynku i mają spędzić masę chłopów.“

A więc wszystko jak było, i bicie i chronienie się po lasach, tylko zalew prawosławia postępuje dalej. Ale oto szczegół godzien wzmianki: „W dzień bicia Unitów w Janowie, odbył się bal składkowy, na którym się podobno bardzo wesoło bawili. Szczególnie unicki a teraz już prawosławny pop Honytkiewicz, który w swojej księżej sukni całą noc tańczył. Ale Rosyanie sami, gdy się zaczął przechwalać, że już jest prawosławnym, odpowiedzieli mu, że jest tylko podłym.“

Wogóle zauważano pewną sprzeczność pomiędzy rozkazami rządu a usposobieniem wykonawców. Są indywidua okrutne z upodobania lub z wyrachowania, jak wspomniany już Kutanin, jak jego pomoenic Klimanko, jak Turr, naczelnik powiatu Włodawskiego, a nade wszystko gubernator Gromeka; są jednak i tacy, którzy spełniają rozkazy posłusznie jak zawsze ale bez zapachu, i nieraz odezwą się z zapytaniem „po co?“ To tajone współczucie nie zmienia losu prześladowanych, ale dowodzi przynajmniej, że prześladowanie nie pochodzi z powszechnego uczucia, nie z narodowego rosyjskiego popędu, ale z woli i rozkazu rządu.

Lud, pomimo wszystkich odbytych z nim ceremonii, za prawosławny nie uważa się wcale. Podpisy zwołanych do Białej delegatów, których ani wybierał, ani upoważniał, uważa za żadne, wiążące conajwięcej osoby podpisujących ale nie ich wsie lub parafie. W niektórych miejscach wracający delegaci przyjęci byli jako odstępcy, a niepokój znać nie ustawał, skoro przed niedawnym czasem posłano tam wojsko w tesame powiaty. Co będzie dalej? trudno przypuścić żeby opór

mógł się przeciągać? postrach jest rzucony, władze ostrzegają, że ktoby z „nawróconych parafij chciał się jeszcze czy opierać, czy tylko nieuważać za prawosławnego wywiezionym będzie na Sybir, na zaludnienie.“ Dodawszy do tych groźb przykład straszego prześladowania, a żadnej nadziei znikąd pomocy i ratunku, obliczyć łatwo, że pozostali Unicy, mówiąc po ludzku, muszą stracić wszelką odwagę i poddać się w końcu. W duchowieństwie swojem podpory nie znajdują; księża prawdziwie dobrzy dawno są na wygnaniu, najgorsi przeszli już na schizmę, a ci, którzy bądź z obawy i uległości, bądź w złudzeniu że oddają usługę narodowości ruskiej, przyjmowali rządowe zmiany w obrządku, ale o apostazyi nie myśleli, dziś widząc o co istotnie chodzi, sami opuszczają parafie i uchodzą czy zagranicę, czy w łacińskie okolice królestwa, w tej myśli, że pomódz i ocalić nic już nie zdołają, a siebie przynajmniej od prześladowania i od pokusy odstępstwa uchronią. I to złe: bo na każde miejsce opróżnione po księdzu średnim przychodzi zły, z góry gotowy przejść na rządową wiarę, jakich dostarcza zawsze w wielkich ilościach, szkółka przyszyłych apostołów założona i starannie hodowana w Galicyi.

Nic smutniejszego jak patrzeć na takie rzeczy i nie módz nic! Miejscowi nic: chyba czasem i to ukradkiem opatrzyć rannego, zmarłego pochować, płaczącemu ścisnąć rękę kiedy nikt nie widzi. Duchowieństwo łacińskie nie, bo każda rada, każda pomoc, każde słowo nauki, a choćby tylko współczucia z jego strony, spowodziłoby nowe zamachy i zemsty na kościół, który i tak już z trudnością tam żyje. Dalsi, nie, tylko mówić, tylko wołać, a to próżno! bo któż słabszemu uwie-

rzy. W Galicyi, gdyby nawet propaganda schizmatycka naraz ustala co być nie może, to protegowana i hodo-
wana skrzątnie od roku 1848; jako środek przeciw Polakom, wydała już tyle złego, że ona odrobić się nie da; duchowieństwo unickie z Galicyi przyczyniwszy się najdzielniej do oderwania części dyecezyi Chełmskiej od kościoła, reszty choćby chciało uratować już nie zdoła, a jeżeli się upamiętało i poprawiło, to dziś już jedno nam tylko zostało zadanie, strzedz siebie i dyecezyj galicyjskich od nieszczęść podobnych w przyszłości. Zatem żadnej rady, żadnego możliwego ratunku. Patrzymy na to z takim uczuciem z jakim stary Wajdelota pokazywał młodemu Alfowi łąki nadbrzeżnej kobierce:

„Już je piasek obleciał. Widzisz te ziola pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:
Ah daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra.
Białe pletwy roztacza, łądy żyjące podbija
I roztacza do koła dzikiej królestwo pustyni.“

A ten żwir jak zasypie wszystko, wtedy być może, iż da dowód wielkiej swojej tolerancyi, liberalnej wolności sumień, i swobody zupełnej z jaką Unici Podlascy, bez inicjatywy i pomocy rządu sami przeszli na prawosławie, może niektórym, wyjątkowym, pozwolonem będzie przejść na obrządek łaciński, coby się wtedy rozgłosiło po wszystkich stronach świata jako oczywiste zaprzeczenie, „polskim kłamstwom i mniemanym prześladowaniom!“

Ale czy rząd rosyjski robi mądrze, dla siebie samego dobrze, to napozór tylko może się wydać niewątpliwem. Napozór nic lepszego jak skorzystać z chwili zupełnej swobody działania, dokonać dzieła rozpoczętego przed wiekiem blisko, zaprowadzać jedność wiary

wszędzie, gdzie jest język do rosyjskiego mniej lub więcej zbliżony i złamać to, co wiara grecka uważała zawsze za niebezpieczną i przeciw sobie zwróconą broń w rękę Rzymu, Unię. A więc, czemuż tego nie zrobić, kiedy można? Kto wie, czy w tym razie namiętność nie zaślepiła rządu rosyjskiego i nie podsunęła mu tego pozornie dobrego rozumowania, które w przyszłości może jeszcze okazać się mylnem. Czy rząd mniema naprawdę, że ci ludzie oficjalnie na prawosławie przeprowadzeni są prawosławnymi w duszy z przekonania, z wiary? oczywiście nie, tego myśleć nie może, artykuły dzienników i raporta oficjalne mogą złudzić wszystkich, tylko nie rząd. Unicy Podlascy choć podpisali, choć będą chodzili do cerkwi, mają się jak przedtem za katolików, swoją nową wiarę za narzuconą gwałtem i fałszywą; a pamięć głodu, nędzy, więzienia, bicia i śmierci, nie zapali ich odrazu wielką miłością do prawosławia.

Cóż więc będzie? oto, że prawosławni napozór, w gruncie będą nienawidzili rządowej religii, gardzili księżami, że ukradkiem chodzić będą do kościołów łacińskich; wszakże rząd wie, nie może niewiedzieć tego, co wiedzą wszyscy, że na Litwie dawni Unicy schizmatykami naprawdę nie są dotąd, że pociąg do katolickiego kościoła i nabożeństwa, a niechęć do prawosławnej cerkwi, i wstręt do prawosławnego popa zostały w nich zawsze, i że katolikami być nie mogąc, schizmatykami nie chcąc, często obchodzą się bez żadnych księży i nabożeństw, a raczej sami je sobie jakoś zastępują. Taksamo będzie tutaj; owszem gorzej, bo i prześladowanie było sroższe, i sąsiedztwo bliższe z obrządkiem łacińskim odżywiać musi zawsze pamięć dawnej wiary. Co rząd widzi za korzyść w mnożeniu ludności,

która żadnej wiary szczerze wyznawać nie będzie?
„Mniejsza o to: nie chodzi tu o względy religijne, nie o to, czem oni są lub będą, tylko o to, żeby nie byli katolikami, unitami, a tem nie będą już z pewnością; dzisiejsze pokolenie może będzie pamiętało Unię, ale wymrze niezadługo, a przyszłe już o niej wiedzieć nie będzie, zapomni.“ Prawdopodobnie: ale jeżeli zapomni, to tylko katolickich artykułów wiary i obrzędów; nie zapomni sposobów jakimi ojców i dziadów do prawosławnej cerkwi spędzano, i do tej cerkwi nie przylgnie. Będzie jak na Litwie; zostanie niejasna pamięć jakiejś dawnej lepszej wiary, niechęć do tej którą się oficjalnie wyznaje, a po domach praktyki religijne własnego wynalazku. Dziś wydaje się to niczem: ale rząd powinienby zważyć, że ludność taka pozbawiona wszelkiej religii, niezaspokojona w swoich instynktach i potrzebach religijnych, bardzo łatwo da się pociągnąć i nadużyć każdej agitacyi, każdej propagandzie czy religijnej czy politycznej pod formą religijną, która w jakiejś chwili osłabienia rządu (a to każdemu rządowi zdarzać się nietylko może, lecz musi), chciałaby ją do siebie przeciągnąć. W Rosyi zwłaszcza, gdzie kościół oficjalny jest zupełnie z rządem zidentyfikowany, gdzie zatem każdy ruch religijny musi być zarazem i anti-rządowym, i gdzie pod pozorami jedności kryje się tyle sekt głęboko zakorzenionych, potężnych, a rządowi nieprzychylnych, mnożyć niepewnych schizmatyków, to nieostrożność, której rząd kiedyś pożałować może. Nie mówiąc więc o prawie boskiem czy ludzkim, o ludzkości i cywilizacyi, ale czysto ze względów politycznych, ten podlaski tryumf może nie być taką korzyścią jak się wydaje.

A prócz tego jest z innych powodów bardzo widocznym błędem. Rząd rosyjski po usamowolnieniu włościan zajął pozycję niezmiernie szczęśliwą i silną; podstawa siły, liczba, była w jego ręku. „Podlasie jest tak małym i odległym kątem ziemi, że co się tam dzieje, do niczyjej wiadomości nie dojdzie; że ludności wiejskie z innych stron, czy Polski, czy Litwy, czy nawet Rusi, nigdy o przesładowaniach nie usłyszą, nie dowiedzą się że ten rząd, w którym widziały swego opiekuna i dobroczyńcę, umie bić i mordować, i ta pozycja przez to nie osłabi się wcale?” Otóż na to tak śmiało liczyć nie można. Odgłos nahajek i kijów rozchodzi się daleko, a lud wiejski ma jakieś swoje niedostrzeżone niewyśledzone drogi, któremi (bez swego zamiaru) odbiera wiele wiadomości. Powiaty, w których się przesładowanie odbywa graniczą z innemi, które muszą wiedzieć co się dzieje, bo na to patrzą; czy rząd może się spodziewać, że takie widoki nie zrobią wrażenia żadnego, lub, że zrobią dobre? czy na jarmarkach, na odpustach, na wszystkich punktach, gdzie się spotykają ludzie z różnych okolic, o tem nie będzie mowy wcale? czy rozszerzając się po kraju, wieści te nie będą przybierały coraz większych rozmiarów, i nie urosną wreszcie w legendy o okrucieństwach, męczarniach i śmierciach? i czy lud wiejski (którego logikę rząd zna zapewne) nie wyciągnie z tego wszystkiego wniosku, że rząd może nie jest tak sprawiedliwy i dobry jak się zdawało? A wątpliwości i niedowierzania ludu, raz obudzone niełatwo usunąć się dają. Może nie było warto dla korzyści pozornej, dla dogodzenia namiętności, narażać na szwank tego dobrego mniemania i zaufania, jakie rząd w ludności wiejskiej sobie był zdobył.

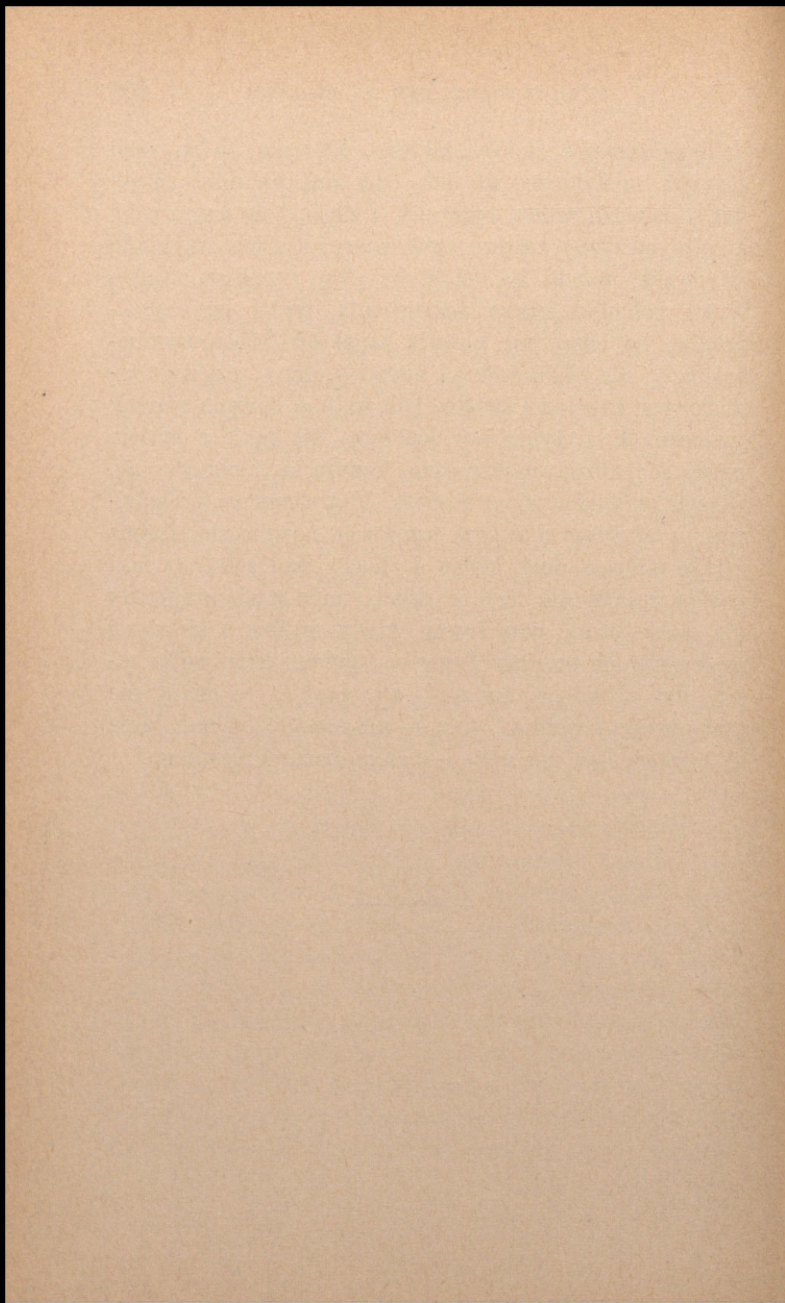
A wreszcie, wspomnijmy jeszcze i o tem, co wprawdzie do przewidzenia najtrudniejsze, ale zdarzyć się przecież może, jak wszystko na świecie. Przypuśćmy, że kiedyś prędzej, później, jakieś względy, jakieś zmiany w położeniu, jakieś polityczne konieczności, doradzą rządowi rosyjskiemu starać się o dobre stosunki z Polakami? co dziś wydaje się zupełnie niepotrzebnem, jutro może stać się pożądanem. Czy wtedy rząd nie żałowałby, że między nami a sobą otworzył nową przepaść? czy sądzi, że przyszłoby mu łatwo obudzić w nas ufność po tym świeżym rozlewie krwi? Jeżeli w Petersburgu zastanawiano się nad takim obrotem wypadków, (a przecież sądzić trzeba, że tam umieją patrzeć daleko, i zanim krok jaki postawią, przewidują skutki jakie on sprowadzić może), to zapewne uspokojono się argumentem, że opinię polską zawsze będzie można dla siebie pozyskać, byle ją trochę pogłaskać; i że znajdą się zawsze tacy, dla których prześladowanie religijne będzie najmniejszym i najłatwiejszym do przebaczenia ze wszystkich grzechów rosyjskiego rządu. Przyznając nawet, że na jedno jak na drugie do pewnego stopnia liczyć można, sądzimy przecież, że zbyt szczerze liczyć byłoby niebezpiecznie, i że rząd, który nas wszelkimi siłami od siebie odstręcza, kiedy nas niepotrzebować mniema, może zebrać owoce tego postępowania, w chwili kiedyby uznał że nas potrzebuje.

Ze stanowiska rosyjskiego zatem, chociażby i czysto praktycznego, trudno przyznać, żeby prześladowanie podlaskich unitów było mądrym.

A mówiąc po chrześcijańsku, trudno znowu wierzyć, żeby mogło być daremne: „*Blut ist ein besonderer Saft,*“ którym skropiona ziemia wydaje plon zawsze,

a często nie ten, którego siewca pragnął i wyglądał. Na dziś wszystko zdaje się być skończonem: czwarta część ostatniej dyecezyi unickiej pod rządem rosyjskim odpadła od kościoła; pozostałe, gdy na nie przyjdzie kolej nie dłużej zapewne opierać się zdołają. Ale historia uczy, że zły koniec jednego prześladowania nie jest jeszcze stanowczym tryumfem prześladowających. Cezarowie rzymscy wszyscy po kolei może winszowali sobie, że skończyli z chrześcijaństwem, a przecież... Dlatego i teraz, nie zmniejszając sobie bynajmniej nieszczęścia, jakie spadło na kościół i na naszą sprawę, nie możemy rozpaczać. Ludzie są ludźmi; że wielu zwątpiło w ratunek, osłabło, że nie wszyscy zamęczyć się dali, któżby się temu dziwił. Raczej tem można się krzepić na duchu, że tylu wytrzymało aż do śmierci, a wszyscy trwali tak długo. W naszych czasach, kiedy wszyscy we wszystko wierzyć przestają, widok ludzi, którzy dla wiary poświęcają co mają najdroższego, życie, jest wielkim dowodem, że życie i dusza jeszcze są w tym świecie. Czasy są straszne dla kościoła, a najstraszniejsze może w Polsce, bo tu, i tylko tu schodzą się pruskie zdrady z rosyjskimi gwałtami; ale dzięki Bogu, stałości jest wiele, a zdarza się świętość, wyznawców całe zastępy, a są i męczennicy i to nowego rodzaju. Ginęło dotąd z rąk rosyjskich Polaków bez liku, zaludniał się nimi Sybir, więzienia nie mogły ich pomieścić; ale dotąd byli to w ogromnej większości ludzie oświeceni, właścianie chyba tylko jako żołnierze, ale osobno na własną rękę, jako tacy, nie. Dziś oni zaczynają cierpieć to samo co my, od tychsamyh: a choć nie za to samo, bo za coś wyższego jeszcze jak ojczyzna, to zawsze takie połączenie w ucisku wiedzie nas może opatrnie

do połączenia w miłości takiego, któremu żaden rząd rosyjski medalówby nie bił. Oby oni na dnie swojej wiary znaleźli miłość ojczyzny, i obyśmy na dnie naszej miłości ojczyzny zawsze czuli wiarę, a z ich przykładu skorzystać umieli. Bo oni kiedy giną, wyżsi są od nas, wyżsi pobudką swego poświęcenia, wyżsi jego zupełnością; im ofiary nie ułatwia zapał od dzieciństwa rozniecany, nie zdoła śmierci nadzieja sławy, czystość zamiaru jest zupełna i święta. Oto wejście nowych warstw społecznych w życie i w historię, nie takie o jakim prawi socyalizm, nienawistne, zazdrosne i chciwe, ale poczęte w duchu wiary i cnoty, błogosławione prawdziwie: a tak idącym w górę warstwom nowym stare zaraz zrobią miejsce obok siebie i choćby nad sobą. O taki postęp w górę dla nich, o skorzystanie z ich przykładu dla siebie prosić nam trzeba, kiedy myśląc o świeżych męczeństwach prosimy Tego, co „przelał krew najświętszą dla zbawienia świata“, aby przyjął tę ofiarę nie „tak świętą i wielką“, lecz — nie *równie*, bo co ludzkie to *równem* być nie może — „lecz bardzo niewinną.“



RZĄD PRUSKI I KSIĄDZ PRYMAS LEDÓCHOWSKI.

Przegląd Polski. 1874.

Kiedy się czyta w historii wieków średnich o wielkich walkach władzy świeckiej z duchowną, o cesarzach lub królach ciągnących wyprawą na Rzym, o papieżach zagrożonych, zmuszonych do ucieczki, albo do przeniesienia stolicy swojej tam, dokąd przenieść ją chciał taki władca świecki dla własnej wygody, żeby ją mieć pod swoim okiem i ręką, trudno jest wyobrazić sobie, jak świat europejski mógł wyglądać w takim rozdarciu sumień, w takiej sprzeczności obowiązków, w takiej walce zasad. Nasze walki polityczne lub społeczne, w wybuchach swoich gwałtowniejsze zapewne i krwawsze, o ileż są w powodach swoich płytsze, a do ukończenia łatwiejsze. W najstraszniejszych nawet, jak francuski *Terror* lub *Komuna*, walczą ze sobą tylko dwie zasady jednego porządku, dwa pierwiastki, dwie siły tej samej natury: którakolwiek zwycięży, choćby gorsza, to po zwycięztwie siła rzeczy sprowadzić musi równowagę, spokój, prędzej lub później, ale niechybnie normalny stan i byt społeczeństwa. Ale kiedy do walki staną dwie zasady, dwie siły, z których każda ma inny początek, inną naturę i inny zakres, wtedy przewidzieć koniec i spokój przywrócić trudniej, bo powodem starcia jest zawsze i bez wyjątku nieznanomość swojej natury i swego zakresu u jednej ze stron wojujących, celem jest zmiana tego zakresu, a on właśnie zmienić się nie może. W wal-

kach politycznych i społecznych cel może być osiągniętym. Przypuśćmy, że w całej Europie zwycięża naraz socyalizm i urządza ją po swojemu; przypuśćmy, że ten stan rzeczy przyjmuje się i trwa: a bez logicznej nie-dorzeczności będziemy sobie mogli wyobrazić, że ludność zmieniła wprawdzie wszystkie formy i warunki swego życia, ale w tych nowych znalazła jeszcze możność życia i równowagę. Inaczej kiedy państwo wdziera się w zakres władzy kościelnej. Wtedy garnie ono pod siebie porządek rzeczy od niego niezależny, odmienny pochodzeniem i naturą: władza kościelna nie może z niego ustąpić nie, bo ustąpiwszy cokolwiek, straciłaby wszystko, zaprzeczyłaby sama sobie, podpisałaby sama na siebie dekret niewoli i śmierci. Cel przez władzę świecką dopiętym tu być nie może. Wyobraźmy sobie potęgę Aleksandra, Cezara i Napoleona dodane do siebie, pomnożone dziesięć, sto, tysiąc razy: taka potęga zdoła prześladowaniem wymusić na słabszych posłuszeństwo wyjątkowe i pozorne, zapędzić kościół do katakumb; na swoim nie postawi, spokoju i równowagi dla swego porządku rzeczy nie przywiedzie, bo nad sumieniem i umysłem ludzkim nie panuje. To jest punkt jedyny na świecie absolutnie wolny, do którego rozkaz ani szpieg nie ma wstępu, nad którym bagnet i działo Kruppa nie ma mocy; mileżeć i znosić może długo, ale nie podda się nigdy, protestować będzie zawsze, a poczekawszy na sposobność podniesie nową walkę. Władza świecka, która chce przykazywać ludziom jak mają wierzyć, jak religię swoją pojmować, a wynikające z niej obowiązki praktykować, która pod siebie chce zagarnąć rzeczy wiary i sumienia, lub to co jest ich koniecznym narzędziem, kościelną organizację, jej niezależność i zakres

jej praw i obowiązków, może na chwilę ludzię się że do celu swego trafiła, ale opór sumienia przekona ją zawsze, prędzej czy później, że pokusiła się o to czego ani zatrzymać ani nawet dosięgnąć nie może. A jak natura sił walczących tak i ich broń jest różna, i dlatego koniec tem trudniejszy nierównie niż w świeckich zapasach. Siłą zbrojną można zagładzić wszystkie zewnętrzne znaki przeciwnika, zamknąć, zabrać, lub zburzyć kościoły, niedopuszczyć publicznych nabożeństw, sprawić, że ksiądz nie będzie ubiorem różnił się od świeckiego, to można; ale tensam ksiądz w świeckiem odzieniu, nocą przekradać się będzie do domów, nauczać katechizmu, chrzczyć, spowiadać, odprawiać mszę, podawać komunię, wszak nieraz już tak było; ale gdzieś, choćby w katakumbach, będzie prawnie obrany Papież, będą rozproszeni po świecie, ukryci, przez niego ustanowieni biskupi, a ludzie będą im wierzyć, kiedy powiedzą, że państwo nie ma prawa wtrącać się w sprawy Kościoła, będą ich słuchać kiedy powiedzą *non possumus et vos non potestis*, i będą myśleć, wierzyć, i robić jak tamci żądają.

A taka walka bez wyjścia, dlatego, że bez wyjścia tak trudna do zrozumienia, do wyobrażenia sobie, kiedy się o niej czyta w historii, toczy się dziś, w naszych oczach, w oświeconej, postępowej i wolnej Europie. Nie widać wprawdzie wielkich dramatycznych scen średniowiecznych: Grzegorza umierającego na wygnaniu, bosego Cesarza ze stryczkiem na szyi w Canossie, Aleksandra III deptającego po hardym niemieckim karku w portyku św. Marka; ale każdy z nas może powiedzieć: *vedi in Alagni entrar lo fiordaliso e nel vicario suo oltraggiar Christo*. Tego tylko nie ujrzymy, żeby papież złożył tyarę jak Celestyn, albo żeby się dał zawieść

do jakiego niemieckiego Avinionu. Ale z tą różnicą scen efektowych i malowniczych, dzieje się w naszych oczach to samo i gorzej; gorzej, bo przedmiot sporu sięga dalej w zakres władzy kościelnej i głębiej w samą istotę religii; gorzej, bo wtedy chodziło o poddanie władzy kościelnej pod świecką (a do tego świecką katolicką), dziś o zupełną dezorganizację Kościoła; gorzej bo wtenczas żaden świecki monarcha nie przyznawał sobie prawa sądenia kto jest katolikiem, a kto nim nie jest; gorzej, bo nawet w sławnej sprawie inwestytury chodziło cesarzom o utrzymanie charakteru świeckiego wasalstwa biskupów, ale o tem żaden z nich nie pomyślał, żeby mógł złożyć biskupa z jego kościelnego urzędu, żeby przez swoich urzędników mógł sam sprawować wykład i naukę religii, żeby on sądził o tem kto ma lub nie ma być wyświęconym na księdza, żeby księdza, którego biskup odsunął a *divinis*, on mógł na urzędzie zatrzymać i dać mu pozwolenie do odprawiania mszy i udzielania Sakramentów. Niekrwawe dotąd i ciche, jest to prześladowanie dzisiejsze najgłębsze i najprzewrotniejsze jakie Kościół w ciągu swej historyi w prześladowania podobno dość obfitej, miał do zniesienia.

A chwala wynalazku, miło to pomyśleć, należy się Prusom! Bo czy to nie pociecha dla polskiego serca, że Prusak gorszy, zawziętszy wróg Boga niż był niegdyś rzymski Cezar? i czy myśląc o tem, w tej strasznej chwili, stósownej tylko do śpiewania *Miserere* albo i *de Profundis*, mimowolnie nie dobywa się z piersi radośnie, tryumfalne *Magnificat*, czy zdaleka nie widzi się chwili, w której danem nam będzie ujrzeć i powiedzieć: *fecit potentiam in brachio suo, dispersit superbos, deposuit potentes de sede.*

Koniecznością było logiczną i historyczną żeby to prześladowanie Kościoła, najcięższe, wyszło od nich: od tego rządu i państwa, które z protestantyzmem na świat przyszło, protestantyzmem rosło i żyło, i protestantyzm, przynajmniej na stałym lądzie Europy, w siebie pochłonał, strawiło i przeistoczyło. A nie mówimy tego w uczuciu goryczy, niechęci, fanatycznej nienawiści do protestantów, temniej w chęci ubliżenia im; bynajmniej; jeżeli co dla nich czujemy, to współczucie. Wiemy dobrze, że nie protestanci nas prześladowają lecz państwo, a widzimy, że kiedy my w naszej wolności tylko i w naszych prawach, to protestantyzm zagrożony jest przez to samo państwo, choć nie tak widocznie, w samej swojej istocie, w samym pierwiastku swego życia. Ale kiedy protestantyzm wyłamał się z jedności i z pod powagi Kościoła, wtedy fatalnie skazał się na supremację państwa: sprzedał mu prawa starszeństwa, oddał mu się w niewolę, i zasiał ziarno tej pokusy panowania nad sumnieniami, której dziś uległ rząd pruski. Nie dlatego tylko, choć także i dlatego, że zwierzchnictwo kościelne i świeckie zostawił w jednym ręku panującego: ale dlatego głównie, że zachował pozorną, materyalną, zewnętrzną jedność swego Kościoła, a zniósł jedność rzeczywistą i prawdziwą, jedność wiary. Dopóki trwały walki religijne XVI i XVII wieku, utrzymywała się ta jedność dogmatyczna protestanckiego Kościoła siłą antagonizmu z Kościołem powszechnym; ale odkąd te ustały, umysł ludzki, wyswobodzony (jak chcą protestanci) z pod wszelkiej władzy nauczającej i wykładającej wiarę, musiał tę jedność zatracić. Powstało tyle w nim kościołów ile jest ludzi, z których każdy myśli i wierzy jak chce. Zewnętrzna jedność pod świecką zwierzchnością ani

mogła ani potrzebowała temu przeszkadzać; o jedność wiary, o niezmiennosc nauki nie chodzilo jej, chodzilo nie moglo; o tem w wyznaniach protestanckich nie moze byc mowy. Kazdy zas wierny zosobna, przestajac na tem, ze wolno mu wierzyc i mysliec jak chce, znosil obojetnie jakas pozorna jedność i wladze, ktora mu nigdy ciezyć nie mogla. Powstal wiec z tego rozklad zupełny protestanckiego Kościoła; jedności wiary i nauki w nim, wladzy duchownej, wyzszej, od Boga pochodzacej i jemu tylko odpowiedzialnej nie bylo. Zostala wiec w protestanckiej Europie jedna tylko wladza, i jedna zorganizowana sila: Państwo. Widzac się jedyną u siebie wladzą, nie wierzac i nie wiedzac, w moc swego protestanckiego wychowania, ze moze byc obok niego, a w rzeczach wiary nad niem, wladza inna od Boga samego pochodzaca i postanowiona, państwo takie protestanckie musialo wreszcie dojsc do pojecia siebie jako wladzy jedynej i nieograniczonej, to jest: ograniczonej prawami i konstytucyą, ale nie natura swojā i nie co do zakresu i co do pojecia siebie jako najwyzszej na swiecie zasady. Calā historia Prus od wzmozenia się brandenburskiego Margrabstwa w wojnach religijnych, myśl w swoich dociekaniach i konkluzjach, czyn w swoim dazeniu i w swoich srodkach, filozofia Hegla i polityka Fryderyka, wszystko swiadczy, ze to państwo ma się za najwyzszą zasadę, za idee absolutną, i nie pojmuje, ze cokolwiek innego moze się uważać za zasadę nie już wyzsza ale tylko równā: ze moze celom państwa stawiac opór, naprzeciw jego prawom stawiac prawa swoje, i wladzy jego zwierzchniczej, zupełnie, absolutnie, we wszystkich życia kierunkach i stosunkach nie uznawac. To pojecie i to dazenie do absorbeyi

wszystkiego przez państwo, było w Prusiech zawsze; a jeżeli dotąd nie wystąpiło nigdy tak stanowczo i groźnie, jeżeli mianowicie na polu religijnem, pomimo starć chwilowych władzy rządowej z kościelną, nietylko nie przyszło do otwartej wojny, ale owszem był spokój i zgoda z Kościołem katolickim, to nie dlatego jakoby dążność do opanowania Kościoła była czemś nowem i świeżem, ale dlatego naprzód, że w dwóch królach ostatnich, zwłaszcza we Fryderyku Wilhelmie IV było wiele zmysłu moralnego, wiele uczciwości, wiele wierności zaprzysiężonym prawom drugich i obowiązkom królewskim: powtóre dlatego, że liberalizm ówczesny (przed rokiem 1848) wierzył jeszcze w to co mówił, że wolność w dobrej wierze szanował, a co za jej rękojmie uważał tego i przestrzegał; i kiedy uznał za taką „wolność wyznań i opiekę prawa nad niemi“, to gwałcić tej wolności nie chciał. Wreszcie i dlatego, że Prusy wówczas były słabsze, widziały dokoła siebie państwa potężniejsze od siebie, i nie były się jeszcze nauczyły patrzeć na siebie jako na siłę pierwszą i jedyną w Europie, żądać żeby ją wszystko uznawało, wszystko przed nią ustępowało.

Ale przyszła chwila, że Bóg historyczny Hegla, wcielony w Prusy, obejrzawszy się około siebie mógł powiedzieć jak Farys, „oprócz mnie nie było nikogo na ziemi“. Od Karola V. nie było w Europie takiego dnia żeby w niej jedna tylko stała potęga. Karol V, pan Niemiec, Hiszpanii, Włoch, Flandryi i Ameryki miał współzawodników, których się lękać musiał; Napoleon zdeptał całą Europę, ale z dawnej jej równowagi tyle przecie zostało, że mogła przeciw niemu złożyć się koalicja. Dziś Europy niema, jak powiedział jeden z dy-

plomatów współczesnych, i pruski Farys „wyciągnawszy przeciw światu ramiona nie uprzejme“, mógł mówić sam do siebie: „zda się, że go ze Wschodu na Zachód obejmę“. I w tej chwili to państwo dążące zawsze do apo-teozy własnej, musiało dojść do niej ostatecznie i zupełnie, i dać jej wyraz. Niemiecka duma i pruska idea wszechmocy państwa, upojona tryumfem, nie mogły po-jać, przypuścić, pozwolić, żeby oprócz nich było coś jeszcze na ziemi

Wyteżyło się ich oko
Tak daleko tak szeroko,
Że więcej świata zasięga
Niż jest w kole widnokręga,

a za tem okiem pożądlivem myśl żarłoczna i chciwa leciała, wyżej, wyżej i wyżej, aż do „niebios szczytu“, aż tam dostrzegła punktu jednego wolnego, który jej mówił: mnie nie dosiężesz! siły jednej, która mówiła: mnie nie zwalczysz! dalej nie pójdziesz, ziemię zmocujesz, może i zwojujesz, ale od „niebios szczytu“ wara! To ujrzawszy, Prusy wydały wojnę.

I.

Bo to nieprawda co mówi rząd, i parlament i dzien-nikarstwo niemieckie, jakoby Sobór watykański był dał powód do walki i konieczną ją uczynił. „Nie nasza wina“ wołają Prusy głosem swcich ministrów, swoich liberalnych mowców, swoich dzienników, i swojego kanclerza — „my-śmy zaczepki ani zerwania nie szukali: dowód najlepszy naszego umiarkowania, naszej sprawiedliwości, naszej dobrej woli względem wszystkich, w tym długim a blo-

gim pokoju, którego Kościół katolicki pod skrzydłem naszej opieki używał. Ale odkąd Papież przez Jezuitów popchnięty, zażądał nieograniczonej władzy nad sumieniami i umysłami, a Sobór mu ją przyznał, dekretując *Nieomyślność* i ogłaszając ją za dogmat, odkąd temsamem zmieniła się i natura i zakres władzy kościelnej i stosunek jej do katolików, odtąd musiał się zmienić i nasz stosunek do niej. Żadna bowiem władza świecka jeżeli chce być i zwierzchnicze swoje prawa wykonywać, nie może pozwolić na to, by jej liczni poddani mieli gdzieś, po za nią, zwierzchnika innego, który się nieomylnym mieni, przez to zupełnego posłuszeństwa wymaga, a nakazać im może, jeżeli mu się spodoba, rzeczy z naszym porządkiem, zamiarem i prawem niezgodne. Dogmat nieomyślności nie tylko zmienia konstytucją katolickiego Kościoła, bo znosi samodzielność biskupów i oddaje ich wraz z dyccezjami pod absolutną władzę papieża, ale nie zostawia władzy świeckiej najmniejszej rękojmi, że jej zwierzchnictwo będzie szanowaniem, a jej prawa przestrzeganiem; owszem i ją także wraz z wszystkim innem poddaje pod wolę czy kaprys nieomylnego papieża. Dla własnego więc prawa, bezpieczeństwa i niepodległości, ale i dla naruszonych praw i organizacyi samego katolickiego Kościoła, my przeciw tym zmianom wystąpić i niezależność swoją zabezpieczyć musimy: i skoro władza kościelna zmieniła naturę, zmienić nasz stosunek do niej, a zmieniony obwarować nowemi prawami poręczającemi naszą zwierzchniczą władzę, prawami których konieczność, wywołana przez Rzym sam i dogmat *Nieomyślności*, wynika z położenia rzeczy“.

Tak tłumaczy rząd pruski swoje stanowisko, a rzecz dziwna, znajduje się wielu, wielu katolików nawet, którzy mu niezupełnie może, ale trochę przecież uwierzyli. „Istotnie, mówią, przy nieomyślności papieża, żaden rząd, żadna konstytucya, żadne stanowienie ani wykonywanie praw, słowem żadna niepodległość państwa, nie może być pewną ani trzech dni istnienia. Jeżeli państwo na przykład konstytucyą swoją uznaje i gwarantuje wolność druku, a nieomyślny papież ogłosi ją za rzecz złą i bezbożną, wypadnie chyba stósować konstytucyę do jego woli i zdania; jeżeli podstawą wolności jest równouprawnienie wyznań, a papież postawi przeciw niemu swoje nieomyślne *veto*, cóż wtedy? czy odbierać różnowercom prawa polityczne, żydom prawa posiadania ziemi? Nie mówiąc już o tem, że władza kościelna może katolickim obywatelom państwa zakazać poprostu przestrzegać tych lub owych jego praw, lub też nawet nieposłuszeństwo tym prawom im nakazać. Istotnie, trudno państwu w takich warunkach żyć i utrzymać się, i dziwić się nie można, że pruskie chciało się przeciw nim zabezpieczyć“.

Wszystko to polega na sofistycznym przekręceniu pojęć, na umyślnem przeniesieniu kwestyi z jej właściwego pola na inne: co jedni ze świadomością zręcznie wykonali, czem drudzy, pozorami złudzeni, łatwowiernie omamić się dali. Bo nie przecząc, że rozgraniczenie zakresu praw między Kościołem a państwem i dobre określenie ich wzajemnego stosunku, jest sprawą najtrudniejszą i najzawilszą na świecie; nie przecząc iż i władzy kościelnej może się zdarzyć, że przestąpi swój zakres, a wkroczy w koło praw i zwierzchności władzy świeckiej, i że w takim razie władza świecka bronić

się ma prawo i obowiązek, powiedzieć tylko trzeba to, że przez ogłoszenie dogmatu Nieomyślności papieża, ten wzajemny stosunek państwa i Kościoła w niczem się nie naruszył i nie zmienił; w zakresie, w praktyce, w skutkach, pozostał jakim był przedtem. I nie wchodzimy tu wcale w teologiczną stronę rzeczy, nie będziemy nawet przypominać, że ogłoszenie tylko a nie rzecz ogłoszona, dekret Soboru, a nie przedmiot nauki i wiara w tym względzie, jest rzeczą nową. Owszem, dajmy na to przez chwilę, że o Nieomyślności papieża w rzeczach wiary nikt dotąd w Kościele katolickim nie słyszał, że to wymysł zupełnie nowy, wynalazek zdradzieckich Jezuitów, ambitnych kardynałów i papieża ubóstwiającego swoją zasadę, a choćby i osobę, postawmy się wbrew historyi i prawdzie, zupełnie na stanowisku przeciwników: to i cóż? czy nam to co pomoże? czy zdołamy wtedy dowieść, że przez ten dogmat nowy, Kościół zmienił zakres swojej władzy i swój stosunek do państw? Bynajmniej. Czy była kiedy w Kościele katolickim chwila, w którejby papież nie był widomą głową tego Kościoła, namiestnikiem Chrystusa? Nie. Czy kiedykolwiek można było papieża za głowę Kościoła nie uznawać, a pomimoto katolikiem zostać? Nie. Czy uznając go za głowę Kościoła, godziło się kiedy katolikowi być mu nieposłusznym, wierzyć inaczej jak on wierzy i naucza, nie robić tego co on nakazuje? Nie. Czy jedność katolickiego Kościoła, która jest nietylko jego cechą, ale jego samą istotą, nie zasadzała się zawsze na tem, że miał papieża, który tę jedność wiary i nauki przechowywał i utrzymywał, a tę jedność Kościoła w sobie skupiał i wyrażał? Czy nie wynikało z tego, że papież, głowa Kościoła, następcą

Piotra, namiestnik Chrystusa, mając w swoim ręku klucze i urząd „pasienia owiec moich“ w moc nieprzerwanej sukcesji apostolskiej władzy, sam jeden tylko miał moc udzielania łask boskich, którą na biskupów przelawał? Czy nie zawsze tak było, że ten tylko mógł odprawiać mszę, spowiadać, dawać śluby, kazać, udzielać komunii, słowem być księdzem, kogo na księdza wyświęcił biskup prawnie przez papieża postanowiony? Czy nie zawsze papież, pośrednio czy bezpośrednio, miał prawo przyznawać przedstawionemu władzę biskupią, nawet w tych pierwszych czasach, kiedy zgromadzenie wiernych wybierało kandydatów na biskupów? Czy bez papieża lub jego zastępcy, można kiedy było być katolickim biskupem a pośrednio (przez biskupa) bez papieża być księdzem? czy można było bez niego katolikowi być ochrzczonym, bierzmowanym, rozgrzeszonym, ożenionym i tam dalej? Nie; nigdy, przed ogłoszeniem dogmatu Nieomyślności jak po niem, nigdy! A z tego wynikało, że skoro papież był Głową Kościoła i szafarzem łask sakramentalnych, więc do niego należało wybierać i mianować te organa i kanały, któremi one do świeckich wiernych się dostawały; z tego wynika, że nikt inny w to jemu się mięszać nie miał prawa, i że wszystkie te dalsze organa transmisji łask, jemu podlegały i winne były posłuszeństwo.

Taka była wiara, nauka i praktyka Kościoła katolickiego zawsze, na takiej się opierał stosunek Kościoła do wszystkich państw świeckich. Po ogłoszeniu Nieomyślności wiara i nauka pozostała jaką była zawsze, praktyka takąż pozostać musi, a wynikający ztąd ów stosunek także zmienić się ani potrzebuje ani powinien, i Kościół zmian nie zaprowadza i nie wszeczyna.

Nie o tę mniemaną też a państwu niby tak groźną *nowość* Nieomyślności chodzi rządowi pruskiemu w prześladowaniu dzisiejszem; to pozór, wykręt i fałsz. Ale chodzi mu o to, że w chwili swoich zwycięstw i wszechmocności, nie chce i nie może znieść obok siebie zasady i potęgi innej, która śmie się zasadą wyznawać, śmie twierdzić, że ma swój byt i swoje prawa, których odstąpić ani zaprzeczyć nie chce i nie może: że ma swoją przyrodzoną z bożej łaski władzę, która może jemu posłuszeństwa odmówić a sobie je nakazać, która jednym słowem śmie być, chociaż Prusacy pokonali Austryę i Francyę i założyli Cesarstwo niemieckie.

„Oprócz mnie miało nie być nikogo na ziemi“, a ktoś się jeszcze znajduje! ktoś mówi, że z ramienia bożego ma prawo nauczać, działać, nawet rozkazywać? Na to nie pozwolę! Historyczna idea Prus, od reformacyi po szczeblach coraz wyższych idąca do urzeczywistnienia, wewnątrz pochłonęła wszystko, wszystko sobie służebnem uczyniła, zwyciężyła wszystko co jej wewnątrz rozprężyć i rozpierać się nie dawało: została tylko jedna zasada, jedna siła, bezbronna, bezcielesna, czysto moralna, ale odważna, karna, zorganizowana, a w swoim boskim początku czerpiąca i ducha, i przekonanie, że nic ze swego ustąpić nie może. Tą ostatnią, jedyną dziś w Europie zasadą i siłą był Kościół katolicki; tej Prusy obok siebie znieść nie chcą. Rozprządz ją, dezorganizować, żeby zniweczyć i żeby naprawdę „oprócz mnie nie było już nikogo na ziemi“, oto powód i cel dzisiejszego prześladowania. A we wszystkich prawach, na których ono się wspiera, jest myśl nie zabezpieczenia zwierzchności państwa od zbytnej przewagi Kościoła, ale myśl dezorganizacyi, rozkładu i śmierci Kościoła.

Zaczęło się to równocześnie prawie z wersalskiemi tryumfy lub wkrótce po nich. Ksiądz jeden w dyecezyi warmińskiej, Wollmann, a do tego nauczyciel religii, jak Döllinger, odszczepił się od Kościoła, nie przyjął dekretu Soboru, nie chciał uznać Nieomyślności. Temsamem wylał się z pod władzy i wystąpił z jedności Kościoła. Księżę biskup Kremenz nie mógł odszczepieńcy uważać za katolika, ani pozwolić, żeby religii katolickiej nauczał człowiek, który inaczej wierzy jak papież i Kościół. Zawiesił go i z katedry usunął. Zdawało się dotąd, że do katolickiego biskupa należy sądzić, kto w jego dyecezyi jest wiernym a kto nie, i kto może wiary katolickiej prawowiernie nauczać; zdawało się także, że jeżeli nauczyciel taki wierzy i naucza dzieci katolickie katolickiej religii inaczej jak katolicki Kościół, to biskup ma prawo nauczania tego mu wzbronić, nie przeszkadzając bynajmniej, żeby młodym protestantom udzielał nauki religii według protestanckiej wiary. Ale rząd pruski zdecydował inaczej. Co za zgroza! co za ograniczenie przyrodzonej wolności człowieka, karać go za jego religijne przekonania! Co za zuchwałe wdzierstwo władzy kościelnej, usuwać z posady nauczyciela, który przecież jest przydzielonym do szkoły rządowej, przez rząd płatnym jego urzędnikiem! To oczywiste prześladowanie, oczywiste pogwałcenie praw państwa! I za co jeszcze? Czy za to może, że ofiara sprzeniewierzyła się swojej religii? Bynajmniej, za to owszem, że jej wierną została! Wollmann pozostał katolikiem prawdziwym, takim, jak niedawno jeszcze byli wszyscy, a Papież, Sobór, Biskup warmiński i wszyscy inni odszczepili się, stworzyli sobie nową religię: oni to heretycy, apostaci, neo-katolicy, którzy

gwałtem i prześladowaniem chcą katolików prawowiernych do swojej wiary przymusić. Państwo takiego zgorzienia dopuścić nie może; sprawiedliwość, konstytucya, wolność poręczona wszystkim wyznaniom, nakazują mu wziąć prześladowanego w opiekę i zasłonić go od okrucieństw świętej inkwizycyi?

I w poczuciu tego prawa, tej misyi i obowiązku, rząd pruski nietylko rzeczzonego Wollmanna na nauczycielstwie religii zachował, ale co więcej ministeryalnym ukazem (jak słusznie nazywa deputowany Reichensperger w mowie swojej na sesyi z 10 grudnia 1873 roku) polecił, żeby dla wszystkich uczniów katolickich wykład religii przez Wollmanna był obowiązkowym, pod zagrożeniem wszystkich zwykłych kar aż do wydalenia ze szkoły. Jest więc, na początek, młodzież katolicka zmuszona uczyć się swojej religii od człowieka, który jej nie wyznaje a naucza innej! Jest więc z jednej strony najoczywistsze prześladowanie sumień, jest ze strony drugiej najzuchwalsze wdarcie się w prawa władzy kościelnej, skoro rząd oświadcza, że człowiek przez biskupa za odszczepieńca uznany, katolikiem jest i religii katolickiej nauczać może i ma. A kiedy biskup zrobił użytek ze swego prawa i apostatę z Kościoła wykluczył, ekskomunikował, rząd wytoczył Biskupowi proces, uznał go winnym, i za karę przestał mu wypłacać dochody! Naturalnie! Biskup, kiedy ogłasza, że ktoś katolikiem być przestał i ze swojej owczarni go wyklucza, wykracza przeciw wolności sumień i wyznań, gwałci konstytucyę: „przecież każdemu wolno myśleć i wierzyć jak mu się podoba!“ — „Z pewnością wolno, tylko katolikiem być nie może kto wierzy inaczej jak papież i Kościół!“ — „Nie. Katolikiem jest każdy, jakkolwiek

wierzy, jeżeli tak chce i mówi on i rząd pruski; a biskupom o tem rezonować i rozstrzygać wara.“

Za tym pierwszym krokiem poszły inne, równie samowolne, równie zaprzeczające prawom Kościoła, a stawiane systematycznie i sięgające coraz głębiej w samą istotę katolickiego Kościoła i życia. — Najmniejszym jeszcze z tych gwałtów nazwalibyśmy wypędzenie Jezuitów. Wypędzić zakon, który choćby tylko jako stowarzyszenie, ma przecież swoje prawa: wypędzić go, kiedy nic złego nie zrobił, praw krajowych w niczem nie przestąpił: wypędzić bez sądu i wyroku: wielu obywateli pruskich skazać przez tosamo na wygnanie bez innej winy, jak, że byli Jezuitami: to i przesładowanie religijne i ograniczenie wolności ludzkiej straszne, i nawet haniebne pogwałcenie własnej konstytucyi, własnego kodeksu nawet, który przecież nie pozwala usuwać obywateli z kraju bez winy, bez oskarżenia, bez procesu, bez wyroku. Ale ten gwałt choć straszny, dla Kościoła był jeszcze ciosem najmniej niebezpiecznym: nigdy jeden zakon, choćby najpożyteczniejszy Kościołowi do życia niezbędnym nie jest. I wypędzenie Jezuitów było szkodą dla Kościoła, bezprawiem i gwałtem na nim dokonany, ale zostawiało mu jeszcze możność życia i pełnienia jego funkcyj. Lecz skończywszy z zakonem, który ma tę chwałę, że w przeszłym jak w naszym wieku, bezwyznaniowość i wszechwładne państwo zaszczycają go szczególną swoją nienawiścią, i że od niego swą walkę z Kościołem zaczynają, rząd pruski sięgnął dalej i przyłożył siekiere do korzenia katolickiego życia. Jeżeli we wszystkich szkołach księża będą naukę religii wykładać lub ją nadzorować, jeżeli po wiejskich szkołkach,

ochronkach i t. p. te lub owe religijne stowarzyszenia wychowywać będą dzieci w wyobrażeniach katolickich, rzecz prosta, że w przyszłych pokoleniach będziemy znowu mieli katolików uznających papieża za Głowę swego Kościoła, nie zaś dobrych obywateli pruskich, absolutnie posłusznych i poddających wszystko, nawet wiarę i sumienie pod wolę i władzę państwa. Na to znowu przystać nie można. Więc naprzód, znosi się sek-sya katolicka w ministeryum wyznań, która wprawdzie z protestantów była złożona, ale była osobna, a do rady wzywała podług zwyczaju niektórych katolików, (tak-zwanych mężów zaufania), z głosem nie stanowczym, lecz tylko doradczym. Potem następuje zakaz utrzymywania szkółek lub uczenia po szkołach, dla zgromadzeń zakonnych mężkich czy żeńskich, których celem właśnie jest uczenie po szkółkach (Schulbrüder und Schulschwestern). Wkrótce znów nowe prawo oddało naukę religii w szkołach świeckich pod wyłączny dozór państwa; wreszcie, rzecz najdalej sięgająca, najbardziej zasadnicza, samowolne złożenie biskupa z urzędu (a raczej mówiąc po katolicku samowolne niedopuszczenie go do pełnienia jego praw i obowiązków, bo złożonym z urzędu przez państwo przecież być nie mógł). Ksiądz Namszanowski, biskup agatopolski *in partibus* i naczelny kapelan armii, za trzechedniową nieobecność urlo-pem nieusprawiedliwioną (jeździł podobno na zjazd biskupów do Fuldy i ztąd kara i zemsta), rozporządzeniem ministeryalnem z urzędu swego złożony. Ależ wojskowego kapelana, który wojskowej karności przestrzega, władza świecka ma wszelkie prawo oddalić? Nie samowolnie, nie bez porozumienia z właściwym biskupem,

nie bez zgody papieża, jeżeli armia uważa się jako dycezya, a ten kapelan pełni obowiązki biskupa.

Ograniczenie więc katolickiego wychowania przez zakaz szkółek zakonnych i odjęcie władzy duchownej dozoru nad nauką religii; ograniczenie wolności katolickiego życia i Kościoła przez wypędzenie zakonu; pierwszy atak na organizację i hierarchię Kościoła przez takzwanę złożenie biskupa z urzędu; dalej pogwałcenie już najbezcenzuralniejszej wolności praw Kościoła i wdarcie się państwa najoczywistsze w atrybucyę władzy kościelnej, przez uznanie, wbrew tejże, odszczerpięcia Wollmanna katolikiem, i przez pozostawienie go na katedrze religii; ucisk sumień katolickich prawdziwie bezprzykładny przez nakaz dzieciom katolickim uczenia się religii katolickiej od apostaty i wyklętego: oto kroki przeciw Kościołowi, któremi się bawił rząd pruski przez ciąg roku 1871 i 1872. A doprawdy można powiedzieć, że on się dopiero bawił; w porównaniu z tem co miało nastąpić, była to igraszka, droczenie, sprzeciwianie się Kościołowi, nie jego prześladowanie; rekonensans, lub conajwięcej pierwsze tyralierskie strzały, nie bitwa.

A do takiej bitwy, i to do walnej, regularnej, stanowezej, gotował się tymczasem rząd pruski: gotował swoje takzwanę *prawa majowe*, które są atakiem najsilniejszym i najmądrzej, najsystematyczniej obmyślanym na samodzielność, wolność i organizację Kościoła, które to wszystko z gruntu niweczą, a najważniejsze, najbardziej duchowne sprawy Kościoła oddają pod jedyną i najwyższą władzę państwa. I od uchwalenia tych praw dopiero rozpoczęło się nadobrze to prześladowanie religii, którego uprzywilejowanym

teatrem jest dotąd Wielkopolska, a pierwszą i najchłubniejszą ofiarą ksiądz prymas Ledóchowski.

Jest tych praw cztery, że o ostatnich, tegorocznych nie wspomnimy. Jedno orzeka o *kształceniu księży i obsadzaniu posad duchownych*, drugie o *władzy dyscyplinarnej kościelnej i o ustanowieniu królewskiego trybunału do spraw kościelnych*, trzecie o *granicach i użytku kar kościelnych*, czwarte wreszcie o *wystąpieniu z Kościoła*. To ostatnie, wyrachowane oczywiście na to, żeby katolikowi niewiernemu przejście na inne wyznanie lub na bezwyznaniowość uczynić jak najłatwiejszem, najwygodniejszym, najprzyjemniejszym, bo wymaga od niego tylko oświadczenia przed miejscowym sędzią, doniesienia władzy kościelnej i formalnie spisane-go protokołu (nie żądając nawet ani pełnoletności, ani przyzwolenia rodziców lub opiekunów od małoletniego) jest jeszcze najmniej szkodliwe: czy w ten czy w inny formalny sposób odszczepi się człowiek, który się odszczepić chce, to dla Kościoła rzecz najubożniejsza.

Inne znoszą zwierzchność papieża, znoszą wolny zarząd dyecezyi przez biskupów, znoszą karność kościelną, i dążą do tego, żeby z Kościoła katolickiego w Niemczech zrobić inny, pod względem artykułów wiary nie rzymski i powszechny, ale narodowy niemiecki, a pod względem organizacyi poddany państwu tak jak każda gałąź spraw świeckich, jak skarbowość, administracya lub policya.

Nie wdając się w obszerny i gruntowny praw tych rozbiór, tylekrotnie już w Izbie pruskiej wyświeconych, musimy przecież niektóre ich postanowienia przytoczyć, żeby czytelnikowi przypomnieć co to jest za zamach na prawa i na samo istnienie Kościoła.

I tak naprzykład, prawo o kształceniu księży i obsadzeniu posad duchownych rozporządza w paragrafie 4, że do objęcia jakiegokolwiek duchownego urzędu potrzebne jest świadectwo dojrzałości z jednego z gimnazjów niemieckich, trzy lata studyów teologicznych na uniwersytecie niemieckim, i wreszcie examin rządowy. Napozór troskliwość chwalebna o naukowe wykształcenie duchownych: naprawdę zaś dążność widoczna, żeby ich kształcić po za wszelkim wpływem duchownym i katolickim, żeby dostać księży, którzy w duchu anti-katolickim uczeni a do zależności od władzy kościelnej zamłodu nie przyzwyczajeni, nie mieliby świadomości ani poczucia kościelnej jedności i karności, nie byłiby w żywym związku ze swymi przełożonymi a temniej z Rzymem, a przez to staliby się powolnemi w rękę rządu narzędziami, gotowym materiałem na zamierzony Kościół narodowy. Dowodzą tego wyraźnie paragrafy następne (6, 7 i 8), które orzekają: że przez czas trwania tych trzechletnich studyów teologicznych na uniwersytecie, żaden kandydat nie może być w seminaryum; że w wyjątkowych razach nauki teologiczne pobierane w seminaryum mogą zastąpić studia uniwersyteckie, jeżeli Minister oświecenia uzna wykształcenie seminaryjskie za dostateczne, a wyjątek ten stanowi się dla seminaryów istniejących w miejscu, gdzie nie ma uniwersytetu lub przy nim teologicznego wydziału, i tylko dla uczniów urodzonych w okręgu, dla którego seminaryum było założone. Examin rządowy ma dowieść przedewszystkiem czy kandydat obeznany jest należyście z filozofią, historią i literaturą niemiecką. Teologia katolicka wykładana na uniwersytetach protestanckich, ów minister decydujący czy seminaryum może taką teo-

logiczną naukę zastąpić, wkońcu examina państwowy, który sam jeden mógłby odjąć powołanie duchowne, gdyby ono komuś po tak długich stydyach antichrześci-
ańskich zostało: wszystko to obrachowane na to, żeby kandydata wyzwolić z pod dozoru jego duchownej wła-
dzy, a następnie, żeby go uczyć i zmusić do nauczania się historii ze stanowiska rządowego i protestanckiego, żeby znał Hegla zamiast św. Augustyna, Büchnera, Vogta i Moleschotta zamiast Tomasza z Akwinu. Żeby zaś zgubne katolickie wpływy zgoła już nieszkodliwemi uczynić, a wychowanie duchownych oddać ze wszyst-
kiem pod światły i zbawienny kierunek rządu, oto co prawo stanowi: (§ 9): „Wszystkie zakłady służące do wychowania duchownych (konwikta, seminarya czy to dla młodzieży, czy dla kleryków, czy dla kaznodziei, czy dla księży) stoją pod dozorem państwa. W zakła-
dach tych odbywają się rewizye przez komisarzy rzą-
dowych wyznaczonych na to przez naczelnego prezy-
denta prowincyi. We wszystkich tych zakładach (§ 10) taki tylko nauczyciel nauczać może, którego nominacyi rząd się nie sprzeciwia.“ A w jakich to razach i na jakich zasadach rząd sprzeciwić się ma prawo, to zaraz zobaczymy. Wkońcu, zakazuje prawo (§ 14) odtąd, zakładania wszelkich konwiktów i seminaryów mniej-
szych, i przyjmowania nowych uczniów do zakładów takich już istniejących, i grozi odebraniem funduszków lub zamknięciem zakładu w razie nieposłuszeństwa.

Może kto powie, że państwo żąda tu tylko słu-
szenie sobie należnej miary wpływu na wychowanie księży i ich mianowanie na posady? że nie jest to obu-
rzające, owszem naturalne i sprawiedliwe, żeby władza duchowna nie mianowała na urzędy kościelne osób, któ-

rym się rząd jako niechętnym i niebezpiecznym sprzeciwia? Druga część tegosamego prawa, ta która mówi o obsadzaniu posad duchownych, objaśnia tę sprawiedliwość i to umiarkowanie:

„Władza duchowna (§ 15) obowiązana jest donieść naczelnemu prezydentowi o każdym kandydacie, którego na jakąkolwiek posadę przeznacza. Prezydent ma prawo sprzeciwić się nominacyi w przeciągu dni trzydziestu.“ Sprzeciwienie to jest prawnem, jeżeli proponowany kandydat nie posiada prawem przepisanych warunków, albo *„jeżeli zachodzą okoliczności, które przypuszczają pozwalają, że tenże kandydat może nie działać w duchu praw państwa i rozporządzeń rządowych, i porządek publiczny zakłócać“*...

Skutki praktyczne tego niewinnego paragrafu mogą być takie, że ksiądz będzie znany z gorliwości i wierności a prezydent dlatego właśnie uzna go niebezpiecznym; ksiądz da się słyszeć naprzykład ze zdaniem, że Reinkens nie jest biskupem katolickim, a prezydent znajdzie, że on stanął przez to w sprzeczności z duchem i prawami państwa i niedopusi go do plebanii. Nie mówiąc o prawie, nie mówiąc o wolności Kościoła, ale tylko o stronie praktycznej, to tak niejasno i elastycznie sformułowane prawo sprzeciwienia się nominacyi, zdaje dycieczę zupełnie na łaskę samowolę i kaprys urzędników.

Jeżeli to pierwsze prawo ogranicza wolność Kościoła i zarząd spraw jego czyni wprost niemożliwym, to drugie, o *władzy dyscyplinarnej*, wyrachowane jest na to, żeby rozprządz i rozłożyć zupełnie organizację Kościoła. Postanowione jest ono naprzód na to, żeby ludzkość, a zwłaszcza księży zabezpieczyć *„od straszego*

despotyzmu Kościoła,“ od klątw naprzykład, z których biskupi robią użytek „*tak częsty i tak niesprawiedliwy,*“ żeby takie nieszczęsne ofiary jak Wollmannu naprzykład, zasłonić od prześladowania, od wykluczenia z Kościoła!

W tym celu stanowi prawo (Tyt. II § 10), że od wyroku władzy duchownej służy skazanemu na karę księdzu prawo apellacyi do władzy świeckiej. Naprzykład zawiesi biskup księdza dla herezyi, dla złego życia, zabroni mu ołtarza, konfesyonału, ambon: ksiądz apelluje do trybunału dla spraw kościelnych, który jeżeli zechce znosi wyrok biskupa, a winowajcy pozwoli odprawiać mszę, kazać, i spowiadać. Ksiądz się ożeni dajmy na to (śluby cywilne zaprowadzone będą wkrótce a sakrament kapłaństwa ich nie obchodzi), biskup go usunie i ekskomunikuje: trybunał uznaje, że biorąc żonę nie popełnił uczynku opisanego w kodeksie jako karygodny, i każe mu nadal pozostać księdzem, proboszczem i t. d.

Wyroki zaś władzy kościelnej, o ile potrzebują władzy rządowej do wykonania, otrzymają takową tylko w takim razie, jeżeli rząd uzna to za stosowne (§ 1). Niedosć na tem: zdarzyć się może, że ksiądz chociaż grzeszny, ale jeszcze wierzący, podda się swojej władzy i od wyroku jej apellować nie zechce. Czula troskliwość rządu bierze go w takim razie w opiekę, mimo jego woli i zaślepienia, i w takim razie apelluje za niego prokurator. Ale nietylko w sprawach sądowych ma państwo prawo wtrącania się w zakres i postanowienia władzy duchownej: ma ono poprostu prawo złożenia księdza z urzędu kiedy mu się podoba. „Na wnioszek właściwych władz rządowych, mogą duchowni (§ 24) być złożonymi z urzędu przez trybunał dla spraw ko-

ścielnych. O rozpoczętem postępowaniu uwiadomić należy przełożoną władzę, ażeby ta ze swojej strony rozpoczęła postępowanie celem złożenia go z kościelnego urzędu.“

„Jeżeli oskarżony (§ 25) nie ma nad sobą żadnej władzy przełożonej duchownej w obrębie państwa niemieckiego (naprzykład jeżeli jest arcybiskupem podległym już tylko papieżowi), w takim razie ma być wezwany do dobrowolnego złożenia swego urzędu.“

A jeżeli go nie złoży? Jeżeli powie, a to jest właśnie przypadek arcybiskupa Ledóchowskiego, że dobrowolnie biskupstwa swego opuścić nie może, tylko jedynie na rozkaz papieża? To nic: to wtedy prawo późniejsze skaże takiego opornego biskupa na wygnanie po odbyciu kary, stolicę jego uzna za wakującą, a rząd obsadzi ją kim innym, katolickim biskupem Reinkensem naprzykład.

Tytuł czwarty, *o ustanowieniu trybunału dla spraw kościelnych*, trybunału złożonego z jedynastu członków, (z których sześciu przynajmniej sędziów w czynnej służbie, wszyscy mianowani przez króla, między którymi nie ma ani jednego duchownego, może nie być ani jednego człowieka świeckiego tego wyznania, którego sprawy będą się tam sądzić), uzupełnia to prawo i koronuje je, bo tworzy urząd, któremu Kościół podlegałby musiał daleko bardziej aniżeli podlega w Rosyi tak słusznie osławionemu katolickiemu kolegium petersburskiemu, nie mówiąc już o tem, że w owem kolegium zasiadają przecież, chociaż, nieprawnie i księża katolicy.

Ale z całego prawa najciekawszy jest paragraf pierwszy. Stanowi on, że „władzę dyscyplinarną nad księżami sprawować może tylko władza kościelna nie-

miecka.“ Jakaż być może ta władza kościelna nie niemiecka? Nie biskupi oczywiście, ci są lub uważają się za duchownych niemieckich. Taka władza po za obrębem Niemiec jest tylko jedna, papieżka: i o niej to mówią, ją ma na celu rząd pruski. Stanowi on, że papież nie ma prawa strofowania lub ukarania księdza (a zapewne nikogo innego) w obrębie niemieckiego państwa. Odtąd czy Luter założy nową religię, czy Döllinger odszczepi się od dawnej, czy jaki nowy Gebhardt Truchsess pojmie żonę, papież nie może żadnego upomnieć, żadnego ukarać, jemu do tego nie! Odwieczny despotyzm Rzymu, pod którym świat jęczał w ucisku i ciemnościach, w Niemczech przynajmniej zniesiony: parlament uchwalił a król podpisał, że papież nie ma władzy nad katolikami w Niemczech!

Trzecie prawo, *o użytku kar kościelnych i jego granicach* zawiera także niektóre postanowienia godne uwagi, jak na przykład, że kar czysto kościelnych, które skutków cywilnych za sobą nie pociągają, nie wolno jest nakładać za czynności, które się prawom pruskim nie sprzeciwiają; a nie sprzeciwia im się ani herezya, ani nieposłuszeństwo władzy kościelnej. Więc księdza dajmy na to, któryby w herezyę popadł, a przez biskupa suspendowany, dalej swój urząd sprawował, nie wolno ekskomunikować. Nie wolno także kar kościelnych, nawet tych, na które prawo pozwala, publicznie ogłaszać. Zaprawdę, każde z tych postanowień, kiedy się nad niem zastanowimy, wystarcza, żeby dowieść jak daleko wymierzony jest zamach na Kościół, i jakim w skutek tego musi stać się jego położenie pod rządem pruskim.

Ale zastanowienie to pozostawiając czytelnikowi, nim przejdziem do tego, co jest właściwym tej pracy przedmiotem, chcemy jeszcze wyrazić tu jedno zdziwienie; oto zdziwienie, że są ludzie, którzy wierzą lub myślą, naprzód, że Kościół sam wywołał wszystkie kroki rządu pruskiego przeciw sobie; powtóre, że kroki te nie są prześladowaniem, lecz tylko konieczną i należną miarą wpływu państwa na sprawy kościelne; wkońcu, że Kościół w tych warunkach i prawach doskonale i swobodnie żyć może.

Co do wywołania walki przez Kościół sam naprzód, powtarzają to Prusacy wszyscy bez końca, od wielkiego Bismarcka począwszy, a skończywszy na ostatnim parlamentarnym mowcy i ostatnim pokątnym publicyście. Ale powtarzając bez końca co mówią, jakież fakta przytaczają? Oto wszyscy zgodnie, na dowód że byli przez Kościół do walki zmuszeni wymieniają rzecz jedną, wszyscy tęsamą, i wszyscy tylko jedną: *agitacyę wyborczą!* Przy wyborach do parlamentu i do Sejmu pruskiego katolicy starają się przeprowadzić jaknajwięcej swoich kandydatów, my się musimy bronić! Jak żeby staranie to nie było każdemu dozwolonem? jak żeby walka wyborcza nie była rzeczą powszednią i konieczną tam, gdzie jest system reprezentacyjny? Jak żeby ona była buntem, rewolucyą, wojną domową? A gdyby nawet ta walka wyborcza przez katolików prowadzona wiodła do zajęć i bójek, czego nigdy nie było, to uprawniałaby rząd do użycia przeciw niespokojnym, policyjnych ostrożności i środków, wreszcie środków karnych, ale nie do gwałcenia własnej konstytucyi, nie do prześladowania ich religii, nie do rozprzegania ich Kościoła. To, że i rząd, i parlament pru-

ski, chcąc koniecznie powód walki na katolików zwalić, innego powodu wynaleźć nie mógł i nie umiał i tym jednym tylko wojuje, to dowodzi najlepiej, że katolicy nie dali żadnego.

To jedno. A drugie, czy Kościół istotnie nie wziął rzeczy zbyt gorąco? czy nie mógł praw tych przyjąć może, postarawszy się o częściowe ich zmiany? czy nie mógł wynaleźć jakiegoś pólśrodka, jakiegoś *modus vivendi*, i zostać w spokoju? Czy musiał wystąpić tak szorstko i ostro i gotować sobie położenie tak ciasne a bez wyjścia?

Na to odpowiemy w dwóch słowach. Król saski albo król bawarski, albo którykolwiek inny panujący w Rzeszy niemieckiej, jest dziś tylko wasalem króla pruskiego, który reprezentuje go zagranicą, dowodzi jego wojskiem i t. d. wszak prawda? A gdyby teraz parlament niemiecki uchwalił, że temu królowi bawarskiemu lub saskiemu niewolno jest mianować lub usunąć urzędnika, administracyjnego, sądowego, policyjnego, jakiegokolwiek, bez poprzedniego doniesienia o tem rządowi pruskiemu, bez jego zgody i pozwolenia; gdyby taki urzędnik saski lub bawarski przez swój rząd do odpowiedzialności pociągnięty, ukarany, oddalony, miał prawo apellacyi do Berlina i wbrew swemu królowi mógł być na swoim urzędzie utrzymanym; gdyby minister który go ukarał lub oddalił, sam za ten swój krok odpowiadać miał przed sądami pruskimi i mógł przez nie złożonym być z urzędu, a król jego odbierał uprzejme wezwanie iżby mu władzę odebrał: — pytanie, czy wtedy ten król bawarski i saski nie krzyknąłby, że mu wydzierają resztki jego samodzielności, że w takich warunkach ani on królem, an-

jego kraj niepodległym krajem być nie może? Czy nie zebrałby co mu jeszcze zostało honoru, godności i siły, żeby zaprotestować, wyjść w pole, i zginąć raczej, niż takie poddaństwo przyjąć? Czy w całej Europie nie rozległby się krzyk oburzenia na gwałt, bezprawie i nieznośną sytuację, nieznośniejszą chciwość władzy i arrogancję Prus?

Albo, weźmy inne porównanie. Gdyby jaki rząd katolicki — w czasach kiedy takie jeszcze były — wydał przeciw różnowiercom prawa takie, jakie dziś przeciw nam są wydane: gdyby rabina naprzykład, który się ochrzczył, ogłosił prawdziwym żydowskim rabinem? gdyby duchownym protestanckim zabronił uczyć się teologii w protestanckich seminariach, ale zmuszał słuchać jej po swoich katolickich uniwersytetach, gdyby protestanckim dzieciom pod karą wypędzenia ze szkoły nakazał uczyć się religii protestanckiej od protestanta, który przeszedł na katolicyzm?... Nie podobnego nigdy nie było, ale gdyby, — czy nie krzyczelibyście wszyscy, że w tym katolickim ucisku i prześladowaniu wytrzymać, ba — żyć nie można? że ono gwałci naturę rzeczy i wszystkie prawa sumienia, natury, rozsądku, narodów i Boga?

A od Kościoła katolickiego żądacie, żeby się tym prawom poddał, żeby szukał w nich jakiegoś *modus vivendi*? Otóż sprawiedliwość! Nie! żadna społeczność, choćby najbardziej świecka, jeżeli ma niezależność w najskromniejszym zakresie, jeżeli ma do niej prawo, jeżeli ją i cześć i godność swoją chce zachować, na takie warunki życia zgodzić się nie może; walczyć musi, w walce choćby zginąć miała, to zginąć zawsze lepiej niż zabić się własną ręką, i tą ręką podpisać

nietylko swoją śmierć, ale swoją hańbę. Tak byłoby, gdyby Kościół był społeczeństwem świeckiem, gdyby był Bawaryą lub Saksonią: cóż dopiero kiedy jest czem jest! Że rząd pruski zapomina, że liberalizm europejski nie wie i nie wierzy, to nie dziwnego: ale ci, którzy żądają od Kościoła poddania się i *modus vivendi*, że ci zapominają o jego pochodzeniu boskiem, to dziwniejsze. „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je i t. d.... Co wy rozwiązacie będzie rozwiązaniem“... „Ty jesteś opoką“ i „Paś owce moje“ — do kogo to było powiedziane? Do Tyberyusza może? do Heroda? do starosty Piłata? Do państwa? do władzy świeckiej? Nie: do apostołów! I oni jedni mają prawo boskich rzeczy nauczać i boskie łaski wiernym podawać, a po nich, w moc apostołowskiej sukcesyi, papież, biskupi i kapłani: i dlatego biskup, który nie jest z mocy papieża postanowiony, nie jest prawnym biskupem i jurydykeyi nie ma żadnej; dlatego przez takiego biskupa udzielona kapłanom władza jest żadna, bo on sam jej nie mając, nie mógł jej udzielić; dlatego przez niego lub przez księży przezeń wyświęconych sprawowane nabożeństwa, msze, sakramenta są bluźniercze i świętokradcze. Dlatego także, dlatego że ta sukcesya apostołowskiej władzy od papieża tylko wychodzi, z niego na biskupów spływa, a przez tych pośrednio na kapłanów przechodzi, dlatego papież tylko ma prawo instytuowania biskupów, tylko biskup prawo wyświęcania księży i przeznaczania ich na kościelne urzędy. A jeżeli i papież i biskupi znoszą się w takich razach z rządami świeckimi, to nie dlatego żeby rządowi przyznawać mieli prawo, ale że chcąc żyć w zgodzie i porozumieniu, wybierają ludzi obu stronom przyjemnych i posiadających zaufanie obu.

Ale tę rzecz boską, jaką jest transmisya władzy apostołskiej zwracać z jej odwiecznego prostego koryta, a chcieć ją przeprowadzić na władzę świecką, i mówić: odtąd, choć was Bóg posłał byście nauczali narody, wy u mnie i odemnie macie się uczyć tego co ich będziecie nauczali; odtąd bez mego pozwolenia żaden z was drugiemu łask Ducha świętego nie przeleje; odtąd macie mi zdawać sprawę ze wszystkich waszych czynności a ja rzeczy waszej wiary i karności sędzią będę; odtąd, ja, który żadnego z was księdzem ani biskupem zrobić nie mogę, będę mógł was z waszych kościelnych urzędów składać: — to jest prześladowanie jakiego jeszcze nie było. Wszakże ten tylko ma prawo kto posłał: a Chrystus mówi wyraźnie „*Ja was posyłam!*“ On posyła, a odwołuje król pruski. Owszem, i posyła także: czyż nie posłał Reinkensa? nie ogłosił go biskupem katolickim? nie udzielił mu Ducha św.? To nie żart i nie przesada, że głębszego prześladowania nigdy nie było. Rzymscy Cezarowie zabijali, ale nie decydowali nigdy przynajmniej kto jest katolikiem i biskupem a kto nie. Po rzymskich, najsroźsze w dziejach Kościoła prześladowania były w Irlandyi angielskie a w Polsce rosyjskie: ale tak Anglia jak Rosya gwałtem tępiąc wiarę katolicką a swoją szerząc, nie przysyłały przecież nigdzie swoich anglikańskich lub prawosławnych biskupów mówiąc: „oto jest biskup katolicki.“ Kto nam nie wierzy niech posłucha świadków niepodjezrzanych, protestantów mówiących przeciw tym prawom w Izbie berlińskiej, albo najmniej już dla religii katolickiej stronniczego, nieprzyjaciela bóstwa Jezusa Chrystusa, Renana. — Renan mówi (*Revue des deux Mondes*. 15 lutego 1874 str. 767 *La Crise religieuse en Europe*):

„Prawa majowe z roku 1873 ograniczają biskupa w wolnym wyborze księży, nakładają mu przepisy, o jakich Kościół nigdy nie słyszał, utwierdzają wdzieranie się państwa (i to państwa heretyckiego!) w kształcenie i wychowanie księży, i za nic nie mają nauki o udzielaniu łask sakramentalnych, która jest samą podstawą katolicyzmu. Ksiądz katolicki nie jest urzędnikiem, którego można złożyć lub innym zastąpić. On ma misję, ma władzę, których mu udziela biskup, a przez związek biskupa z papieżem otrzymuje prawo rozdawania sakramentów, udzielania łask, których skarbnicą jest Kościół. Taka jest nauka katolicka... Domagamy się dla siebie, dodaje Renan, prawa nie wierzenia w nią, walczenia z nią sposobami, które uznajemy za stosowne: ale domagamy się niemniej stanowczo dla katolików prawa wierzenia w to, co im ich Kościół do wierzenia podaje, i stosowania się w praktyce do wiary, którą wyznają.“

Oto człowiek nieuprzedzony przecie, nie katolik, nie chrześcjanin nawet, który wyznaje, że prawa pruskie krępują wolność Kościoła, przewracają jego organizację. Czyż wobec tego znajdują się jeszcze katolicy, którzyby twierdzić mogli, że Kościół powinien był postąpić inaczej, łagodniej, ustąpić? Nie: ustępując byłby on sam na siebie podpisał wyrok śmierci, gorzej, bo byłby się zaparł sam siebie. Kościół, któryby dobrowolnie poddał się zwierzchnictwu państwa, pozwolił mu chować, mianować i usuwać księży, któryby przystał na zerwanie związku z papieżem, zeszedłby na drogę, na której końcu zostałby kościołem narodowym co do dogmatu, urzędem administracyjnym czy policyjnym co do stanowiska, ale kościołem katolickim pod jednym

czy drugim względem byłoby przestał. Historia uczy, że ilekroć Kościół dopuszcza państwu wtrącać się w zakres spraw duchownych i zbytecznie ulega, tyle razy fatalnie, jak żeby za karę i na przestrożę schodzi na niegodne jego stanowisko. Za Józefa II, Kościół poddał się takiemu *modus vivendi*, a co się z niego stało, to niech odpowiedzą jego dzieje i stan w Austrii, w Galicyi między innymi, w pierwszej połowie naszego wieku i dziś jeszcze!... A czemu są prawa józefińskie w porównaniu z dzisiejszemi pruskimi? Tamte chciały Kościół poddać pod kontrolę państwa, ale obalać go, zmieniać jego natury nie myślały. Jeżeli tamte o tyle mniej złe, przyniosły w skutku religijny, moralny i umysłowy upadek i poniżenie Kościoła, to dokądże zaprowadziłby go *modus vivendi* z temi? Dokąd? do zerwania z Rzymem, do zmiany wiary, do stanowiska policyjnego urzędu, do kościoła narodowego z katolickimi formami nabożeństwa i z królem pruskim za widomą głowę, czyli do zaparcia się siebie, swego boskiego pochodzenia i posłannictwa, do odstępstwa, do hańby, do nicstwa.

Tego Kościół zrobić nie mógł. Zmuszony do walki musiał ją przyjąć, jak ją tylekrotnie przyjmował.

II.

Biskupi niemieccy zrobili co byli powinni i co jedynie zrobić mogli. Uprzedzając uchwalenie praw, ułożyli na zjeździe w Fuldzie dwa akta, memoriał do rządu, i okólnik do wiernych (2 maja 1873). W obu tych dokumentach tłumaczą powody, dla których prawom tym poddać się nie mogą, objaśniają ich naturę i skutki, do rządu zanoszą prośbę, żeby projektów swo-

ich zaniechał, wiernych zaś upominają, cokolwiek się stanie, o wierność, ale i o spokój, o cierpliwość, o uległość władzy świeckiej we wszystkim, gdzie się jej ta należy. Odwaga i powaga tych oświadczeń jest wielka, i wielkie też wrażenie jakie one robią. Bo nie może tu chodzić o rzeczy małe, jeżeli zebrany episkopat całego państwa przemawia do wiernych tak, jak żeby nie był pewnym czy drugi raz będzie mógł do nich mówić, jak żeby im w ostatniej chwili przed prześladowaniem zostawiał nadługo może ostatnią naukę, ostatnią wolę: „Odkąd Konstantyn W. — mówią biskupi — „nawrócił się do chrześcijaństwa... nie było czasów, w którychby Kościół tak wszelkiej pomocy był pozbawiony i tak wszelkimi zagrożony niebezpieczeństwami, jak w chwili obecnej. A tu nietylko mamy na oku dzisiejsze uciski, lecz i to, co nam w przyszłości zagraża. Jeżeli Kościół Chrystusów obrany będzie z przynależnej mu wolności, jeżeli życie publiczne, prasa, i piśmiennictwo tehuąc mają samą niemal niewiarą i lekceważeniem albo nienawiścią przeciw chrześcijaństwu i Kościołowi, jeżeli młodzież kształcić się ma w szkole i nauce co rozbrat uczyniły z chrześcijaństwem, jeżeli pod naciskiem tych okoliczności duchowieństwo coraz bardziej będzie wymierało, albo też i ono owiane i porwane duchem czasu popsuje się — naówczas i wiara chrześcijańska, miłość i zgoda chrześcijańska, obyczaj chrześcijański, muszą upaść i zniknąć nawet i tam, gdzie wszystko to dotąd tak silnie stoi, jak wśród naszego ludu. A wtedy nie już nie wstrzyma owego zepsucia i zniszczenia, o którym bez zgrozy pomyśleć nie możemy. Musielibyśmy chyba nie mieć żadnego rozpoznania, żadnej wiary, żadnej miłości, owszem musielibyśmy zapomnieć zupełnie przestróg

i rozkazu naszego boskiego Zbawiciela, gdybyśmy w tym tak ciężkim czasie nie uciekali się do modlitwy i t. d.“

Memoryał zaś do rządu, obszerniejszy daleko, biorący pod rozbiór wszystkie po szczególe postanowienia praw projektowanych i ich skutki, tłómaczący w czem one wolność Kościoła i sumienie katolickie obrażają i dlaczego Kościół przyjąć ich nie może, tak kończy: „Z głębi serca prosimy, tak w interesie państwa jak Kościoła, tych wszystkich, którzy znajdują się u steru rządu, jako też tych, którzy na sprawy państwa wpływają, prosimy i zaklinamy, aby Kościołowi katolickiemu tak w Królestwie pruskim jak i w Cesarstwie niemieckiem wrócili pokój, bezpieczeństwo prawa i powszechnej wolności, i ażeby nam gwałtem nie narzucali ustaw: *których wykonanie nie da się pogodzić z zaprzysiężonemi obowiązkami urzędu biskupiego, ani też możliwem jest dla jakiegobądź kapłana i wiernego katolika dlatego, że stoi w sprzeczności z sumieniem.*“

W ciągu osnowy tłómaczenie bardzo gruntowne i wymowne, że wszystko co rząd mówi o przeciwieństwie Kościoła katolickiego z dobrem państwa, o jego niechęci i niebezpiecznych celach jest czystym fałszem, wymyślonym dla upozorowania prześladowania. Nigdy Kościół państwu pruskim na zawadzie nie stawał, owszem pełnił jego prawa, popierał jego dążności jak długo mógł, katolicy byli wiernymi i uległymi poddanymi, a w patriotyzmie protestantom wyprzedzić się nie dali. Jeżeli więc rząd twierdzi, że dlatego musi objąć ster wychowania księży, żeby im dać narodowego ducha, to niewłaściwie rzecz nazywa. Nie o narodowe wychowanie też idzie, bo takie księża katolicycy mieli zawsze i mają, ale o przeprowadzenie ich (dają

biskupi do zrozumienia choć wyraźnie nie mówią) do narodowego kościoła.

Po tym akcie, położenie stało się bardzo dramatycznym. Biskupi zapowiedzieli, że praw projektowanych, gdyby uchwalonemi zostały, słuchać nie mogą i nie będą: rząd wniosków nie cofnął. Ze strony katolickiej dyskusya, w której głównym mówcą był pan Reichensperger, była świetna, bardzo poważna i godna, wolna od namiętności, wykazywała jak na dłoni, że prawa wniesione gwałcą nietylko prawa Kościoła i sumień, ale coś jeszcze nadto co w oczach rządu i parlamentu jakąś wagę przecież mieć powinno, konstytucyą pruską. Ale większość odpowiadała z tą arrogancyą lekceważącą, jaką często odznaczają się parlamentarne większości, a która mówi: „wszystko jedno, prawnie czy nie, uchwalimy bośmy większością.“ A gdy uchwalili, wtedy już tylko patrzeć było, gdzie nastąpi pierwsze zderzenie, gdzie pierwszy grom uderzy.

Naturalnie w ten konduktor, do którego wszystko złe zawsze ciągnie, w Polskę! — Polski biskup pierwszy musiał stawić czoło rządowi; z duchowieństwem i dyecezyą swoją pierwszy poniósł prześladowanie.

Kiedy nuncyusz Ledóchowski miał obejmować arcybiskupią Stolicę gnieźnieńską i poznańską, był między Polakami strach i smutek z powodu, że jak dość powszechnie mniemano, w tym rzymskim dygnitarzu i dyplomacie nie zostało nic polskiego. Istotnie przybył on z widocznym zamiarem strzeżenia kościelnych tylko interesów, a uczucie narodowe nieraz nawet mimowolnie zadrasnął. Nie rozumiał naprzykład, i prywatnie dyecezanów swoich wypytywał dlaczego Polacy stronią od dworu pruskiego; zakazał księżom, a pamiętamy

wszyscy ile mu to zaszkodziło, wpływać na ruch wyborczy (zakaz, który o ile do samej polityki się stosuje, jest zupełnie usprawiedliwiony, a dziś kiedy rząd pruski mniemanami agitacyami wyborczymi usprawiedliwia prześladowanie katolików, wydać się musi tym nawet, co nań powstawali bardzo szczęśliwem wydarzeniem, bo odbiera rządowi ostatni i jedyny pozór). Wreszcie, on także jeździł do Wersalu z tym adresem, który nowemu niemieckiemu Cesarzowi sprawę Papieża polecał, a byliśmy z tych, którzy krok ten Księdza Prymasa najbardziej uczuli. Zdawało nam się, czytelnicy *Przeglądu* może to sobie przypomną, że naiwność była za wielka żądać pomocy dla Papieża od protestanta, dla dobrej sprawy od króla pruskiego. Zdawało nam się wreszcie, że Polakowi lepiej było w domu pozostać, a tam posłać, jeżeli już ktoś jechać musiał, którego z biskupów niemieckich. Ksiądz Prymas sądził inaczej. On widział przede wszystkim ucisk i niebezpieczeństwo Ojca Chrześcijaństwa; on czuł się jedynie i wyłącznie biskupem; i od tego rządu, pod którym go Bóg postawił, a który wówczas nie dał był jeszcze jawnych dowodów swej nieżyczliwości dla Kościoła, on uważał za swój obowiązek żądać pomocy dla Namiestnika Chrystusowego. Z tą wiernością, z jaką dzisiaj broni Kościoła, nie ważąc, co go za to spotka od rządu, on bronił Kościoła i wówczas, nie ważąc co go spotka od opinii. I jeżeli o tym jego kroku wspominamy dzisiaj, to dlatego, żeby przypomnieć i pokazać tem jaśniej, jak dalece byli w błędzie ci wszyscy, i my z nimi, którzy księdza Prymasa mieli za charakter uległy i władzy hołdujący; a powtóre, żeby w tem przypomnieniu znaleźć dowód jak opór Kościoła musiał być koniecznym i nieuniknionym, kiedy on, tak

do ostatka powolny, musiał stanąć oporem. O jego stałości i godności nikt już dziś wątpić nie może, nawet nieprzyjaciele, nawet potwarcy; ale dla jego chwaly u Polaków było zrządzeniem potrzebnem i szczęśliwym, że w walce obecnej stałość jego i godność objawiła się naprzód w sprawie i obronie polskiego języka. Prawdziwa i błogosławiona solidarność interesu katolickiego i polskiego stwierdziła się raz jeden więcej samą siłą rzeczy, która wskazała jasno i wyraźnie, że kto jeden z nich prześladować zacznie ten na prześladowaniu drugiego skończy: a kto jednego z nich chce bronić, ten i drugiego bronić musi.

Prawa majowe były dopiero projektem, a już rząd pruski zajął się troskliwie religijnem wychowaniem nie tylko księży ale i świeckich poddanych; odsunął proboszczów nietylko od dozoru nad szkołami, ale nawet nauki religii udzielać i dozorować im zabronił w Wielkopolsce, a do tego nakazał uczyć się religii po niemiecku. Rząd roztropny i zręczny umie przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie: w tym razie błogi skutek rozporządzenia miał być ten, że dzieci nie będą umiały katechizmu, a będą miały sposobność i po polsku więcej zapamiętać i po niemiecku więcej się nauczyć. Na punkcie tego rozporządzenia stanął ks. Prymas po raz pierwszy w otwartej sprzeczności z rządem. Dotąd podpisał był tylko z innymi biskupami pospółu dwie protestacye Fuldajskie; teraz wystąpił sam przez się, w sprawie swojej dyecezyi jako jej zarządca, i nie tylko rozkazowi ministryalnemu się oparł, ale ogłosił rozkaz wprost przeciwny. Dnia 23 lutego 1873, wydał Arcybiskup okólnik do księży nauczycieli religii w obu swoich archidyecezyach. W okólniku tym, tłumaczy na-

przód dlaczego nauka religii udzielaną być winna w języku dla dzieci najzrozumialszym: „Religii uczymy dzieci — mówi — „aby religię poznała, nie zaś dlatego aby jej wykład miał ułatwić nabycie znajomości języka niemieckiego. Używać tej nauki w tym ostatnim celu byłoby z naszej strony świętokradzkim ubliżeniem najwyższej powadze i godności, do których ma prawo wiara i moralność?“ Donosi dalej, że przedstawiał i prosił, nawet samego króla, ażeby religii i młodzieży krzywdy tej nie wyrządzano, ale odpowiedzi nie odebrał. Wreszcie stawia się na gruncie swojego prawa: on jeden stanowić ma o tem jak religia ma być nauczana w jego dycezyi: „Sposób, w jaki nauka wiary katolickiej powinna być katolickiej dzieci udzielaną, w katolickim Kościele, nie cywilne lecz duchowne władze określają i stanowią, ponieważ Zbawiciel powierzył obowiązek nauczania ludzi w wierze Apostołom swoim i ich następcom biskupom, nie zaś świeckim osobom, gdy rzekł: *Euntes docete.*“ Po tem wszystkiem następuje konkluzya energiczna, jasna, stanowcza w myśli i w słowach, aż miło:

Na podstawie poprzedzających przeto uwag i powodów, przesyłam Wam następujące objaśnienie co do rozciągłości udzielonej Wam przezemnie koniecznej misyi, i nakazuję zarazem niniejszem, abyście tej misyi granice uszanowali, i w żadnym razie, pod żadnym pozorem przekroczyć ich się nie ważyli.

Wolno Wam przeto w moc odebranej kanonicznej misyi, po pierwsze: udzielać młodzieży szkolnej nauki religii we wszystkich klasach, począwszy od najniższej aż do sekundy wyłącznie, nie inaczej jak tylko w tym języku, w którym dotąd jej udzielacie, to jest w ojezystym języku większości uczniów.

Dalej, jeżeli w zakładach, w których po polsku tę naukę wykładacie, znajduje się także nieznaczna liczba dzieci katolickich po niemiecku z domu mówiących, wolno Wam, w moc tejże misyi, pouczać te ostatnie dzieci w ojczystym ich języku, jakoście to dotychczas wszędzie czynili.

Nakoniec, ponieważ młodzież polska, gdy do sekundy dojdzie, już tyle po niemiecku umie, że jest wstanie bez wielkiego bardzo wysilenia wykład niemiecki zrozumieć, a zkądinąd, gdy do sekundy dojdzie, już najważniejszych rzeczy do nauki religii należących wyuczyć się mogła, a nadto zmuszona obecnie do składania examinu dojrzałości w przedmiocie religii po niemiecku, nieco wyćwiczenia potrzebuje: oświadczamy Wam, że tymczasowo i dopóki smutny, a nader dla wolności sumień uciążliwy prąd dzisiejszy się nie zmieni, czego za łaską Bożą z wielką ufnością prędko oczekujemy, w moc tejżesamej misyi kanonicznej, wolno Wam będzie, ulegając bolesnej konieczności, od Wielkiejnocy w sekundzie i w prymie przedmiot Waszego wykładu w niemieckim języku uczniom podawać.

Co się zaś tyczy odjętego proboszczom prawa udzielania a nawet nadzorowania nauki w szkołach, naucza i rozporządza Arcybiskup, że skoro nauczanie to, pomimo wszelkich przeciwnych rządowych nakazów czy zakazów, nie może przestać być obowiązkiem pasterza, przeto winni księża nauczać religii po za szkołą. Oba te postęпки zyskały najzupełniejszą i najchwalebniejszą aprobację w papieżkiem Breve do Prymasa z dnia 24 Marca 1873 roku.

Ten pierwszy opór, zapisany głęboko w pamięci rządu i przytoczony jako akt otwartego nieposłuszeństwa między motywami w wezwaniu Prymasa do złożenia arcybiskupstwa, narazie kroków przeciw niemu nie wywołał. Był wprawdzie proces już wytoczony przez prokuratorję, jednak z Berlina polecono odstąpić od

niego, zachowując się na później. Ale prześladowanie choć nie na osobie Prymasa, rozpoczęło się zaraz. Kiedy bowiem nauczyciele religii przez rząd zapytani, czy chcą się trzymać rozkazu świeckiej czy duchownej władzy, oświadczyli się z posłuszeństwem tej ostatniej i natychmiast wszyscy zostali usunięci, nauka religii i nabożeństwa szkolne zawieszono, a dyrekcje szkół otrzymały polecenie starania się o nowych nauczycieli religii. Jacy to mogą być nauczyciele, którzy religii uczą z ramienia rządu pomimo woli Biskupa i wbrew jemu, tego tłumaczyć nie trzeba. Zaczęło się więc, tu i owdzie przymusowe nauczanie religii przez ludzi, którzy jako oporni Kościołowi, w zgodzie z tą religią być i prawdziwie wedle jej ducha nauczać jej nie mogli, lecz w duchu innym, temsamem fałszywym. A jeżeli to prześladowaniem nie jest, to cóż nim będzie? Ale niebawem nadszedł maj, z nim sankcya wiadomych praw, i co zatem szło, konieczność dla biskupów sprzeciwienia się albo boskiemu albo pruskiemu prawu.

Zaledwo prawo „o kształceniu duchownych“ dostało sankcye, zaraz wszyscy Biskupi odebrali wezwanie (27 maja 1873) od prezydentów prowincyj, żeby zdali sprawę ze stanu swoich seminaryów, ich funduszów, planu nauk, domowego porządku, liczby młodych kleryków i t. d. Biskupi, stósownie do wszystkich swoich oświadczeń, stósownie do swego sumienia i obowiązku, musieli odpowiedzieć, że do wykonania praw majowych ręki przyłożyć nie mogą. Arcybiskup gnieźnieński i poznański odpowiedział (10 czerwca), że dla seminaryów swoich potwierdzenia nie żąda i nie potrzebuje, bo „urządzenie ich i byt w Prusiech wyraźnie poręczonemi zostało przez ogłoszenie Bulli *de salute animarum* z dnia

6 lipca 1821 roku, za najwyższym rozkazem z dnia 23 sierpnia 1823 roku w zbiorze ustaw, jako prawomocny statut Kościoła katolickiego w Prusiech, zamieszczonej.⁴ Skoro więc w zakładach tych kandydaci stanu duchownego mają być przysposobieni do prawdziwie budującego religijnego życia, żeby następnie biskup mógł im spokojnie powierzyć część swoich obowiązków, zatem urządzenie tych zakładów, współnauczyciele, i t. d. muszą zależeć wyłącznie od biskupa, a wszelkie na tem polu ograniczające rozporządzenia władzy świeckiej miałyby ten skutek, że Kościół nie mógłby całkowicie i sumiennie posłannictwa swego pełnić. Z tego wynika, że Arcybiskup ze względu na niepodległość Kościoła żądaniu prezydenta zadośćuczynić nie może, i wymaganych informacyj o swoich dwóch seminariach odmawia.

Może kto pomyśli, że w tym razie mógł postąpić inaczej? że nareszcie rządowi dziwić się nie można, jeżeli chce wiedzieć kto w seminariach naucza i jak i czego: więcej zaś rząd nie żądał. Był więc w postępku biskupów opór i przesada, był brak pojednawczego ducha, przy którym możeby rzeczy niebyły zaszły tak daleko? Doprawdy? Tak sądzą niektórzy. Na szczęście są dokumenta, z których jasno pojąć mogą, o co rządowi chodziło: że nie o proste uwiadomienie, ale o zupełne, w duchu przeciwnym nauce i karności kościelnej, przekształcenie seminariów. Dnia 24 lipca 1873 r. odpowiada znowu prezydent Günther na streszczone powyżej oświadczenie Prymasa, i donosi mu, że seminarium poznańskie w swoim dzisiejszym stanie pozostać nie może. Dlaczego? Nietylko ze względu na prawa majowe, ale choćby tylko przez filantropię, przez zdrowe zasady pedagogiczne, przez litość wreszcie nad bie-

dnymi uczniami. „Nadewszystko przepisy, które zabraniają uczniom swobodnych stosunków między sobą i ze światem zewnętrznym, czynność i żywotne jej objawy pod ciągłym dozorem trzymają, i poddają ich ćwiczeniom duchowym w takiej mierze, że duchowna i moralna samodzielność wychowawców musi być na szkodę narażona, te są do zatrzymania nadal niepodobne.“ Naturalnie: skupienie wewnętrzne, surowa czujność nad sobą, ściśle przestrzeganie godzin, cześć Bogu oddawana w kościele i cicha modlitwa w seminaryjskiej celi, to musi młodego człowieka przytłumić i ogłupić. Ani umysł, ani charakter, ani nawet nabyty rozum rozwinać się nie mogą, jeżeli ten młodzieniec będzie zawsze tak samo i między tymisamymi ludźmi żył, to samo zawsze słyszał, oddychał dusznem zamkniętem powietrzem, wciągał w siebie same ciasne kościelne pojęcia, modlił się godzinami i czytywał to tylko, co mu przełożony da do ręki. Zatem wolność: otworzyć bramy seminaryum, niech młodzież duchowna wyjrzy na świat szeroki, nie krępować jej godzinami, nie przeszkadzać czytać co chce, niech poznaje życie, wszędzie gdzie ono jest, od parlamentu do knajpy, niech się uczy filozofii od Büchnera lub Vogta, teologii od Straussa, niech literaturę niemiecką, estetykę, sztukę, poznaje wszędzie gdzie można, w teatrze naprzykład: wtedy będzie jakaś nadzieja wyrobić księży z umysłem oświeconym, i wytrawnym samoistnym charakterem. I czyż te korzyści niewięcej warte od regulaminów, pedantycznych przepisów? i cóż szkodzi, że kleryk czasem przetrzyma godzinę i zapóźno wróci do seminaryum, jeżeli tego czasu nietylko nie stracił ale użył tak dobrze!...

Oto jest sens słów i cel myśli rządu pruskiego. Zdezorganizować, otworzyć seminaria, żeby młodzież wyprowadzić na wszystkie pokusy niebezpieczne dla wiary i dla obyczajów. Czy na to miał arcybiskup pozwolić? czy przesadził gorliwością, czy działał pod wpływem uporu i fanatyzmu kiedy pozwolić nie chciał?

Ale jak Kościół tak i rząd przy swoim obstawał. Prusacy nie ustępują, *sila przed prawem* się nie cofa, a czas już dawno przeszedł, kiedy bywali „sędziowie w Berlinie“. Prymas odmówił tak zwanej reformy seminarium w duchu rządowym i seminarium zostało zamknięte; 21 sierpnia zawiadomiono Prymasa, że od końca wakacyj, od 23 września 1873, zakład ten przestaje istnieć, iż odtąd w dyecezyi jego, nowi księża kształcić się i święcić nie będą. Prymas w krótkim piśmie oświadczył tylko, że powiedziawszy już tyle razy dlaczego ustąpić nie może, powtarzać powodów swoich nie widzi potrzeby.

„Ograniczam się przeto na przesłaniu uroczystej protestacyi przeciwko temu nowemu gwałtowi Kościołowi katolickiemu, moim obu archidyecezyom, gnieźnieńskiej i poznańskiej, owieczkom moim i mnie wyrządzonemu, zastrzegając sobie i moim archidyecezyanom prawo upomnienia się o wynagrodzenie za szkody i za krzywdy, jakicheckmy doznali.

„Ponieważ zaś nie godzi się Chrześcianinowi używać gwałtu naprzeciw rozporządzeniom rządowym, nawet gdy się czuje uciśniony i dotknięty w najświętszych prawach swoich, dlatego oświadczam, że po upływie wakacyj, seminarium duchownego w Poznaniu nanowo nie otworzę, pełen otuchy, że Bóg, który w dniu swoim przychodzi z wszechmocną pomocą uciśnionemu swemu Kościołowi, i te czasy ciężkich dopuszczeń i nawiedzeń w miłosierdziu swoim skrócić raczy.

„Przyszłość jest w ręku Boga, a sprawa Kościoła jest Bożą sprawą; więc w ręce Najwyższego z ufnością składam sprawę mojego seminaryum, tej szkółki przyszłych sług Jego.“

Czy trzeba tłumaczyć czem jest zamknięcie seminaryum i że jest skazaniem duchowieństwa na wymarcie, jak nieraz skazywano na wymarcie w niektórych krajach zakony, zamykając im nowicyaty? że i rzeka wyschnęłaby musiała gdyby jej źródło zatkać lub osuszyć? A takim źródłem właśnie dla Kościoła są seminarya, bez których nie może być księży, bo żaden prawowierny biskup nie wyświęci kleryka wychodzącego z uniwersytetu z rządowym patentem na teologa, jeżeli przez kilkoletni pobyt w seminaryum nie da mu dostatecznej rękojmi. A zatem, wskutku tego zamknięcia seminaryum, w przyszłości parafie bez księży, ludzie rodzący się bez chrztu, rodziny bez ślubu, umierający bez wiatyku, żyjący i umierający bez spowiedzi. Prawda, że straszno jest czytać w dziejach rewolucyi francuskiej o tych latach bez biskupów, księży i sakramentów; prawda, że czytając mówi się, dzięki Bogu że nas na takie próby nie wystawił? Jest jakaś powieść czy poemat francuski na tem osnuty, że stary Biskup uwięziony i umierający, wyświęca młodego kleryka, któryby wolał księdzem nie zostawać, ale jest jedynym, który wyświęconym być może, i poddaje się. Ta dramatyczna sytuacja wiele lez w swoim czasie wycisnęła w Europie. A dziś ta poetyczna fikcja, dziś ta straszna przeszłość opowiadana w historii może się stać rzeczywistością. Seminarya zamknięte, biskupi po więzieniach, kościoły w przyszłości albo zamknięte albo oddane samozwańcom, których wierny katolik za księży uznać nie może,

kanoniczna misya przerwana, a zejście łask boskich z nieba na ziemię przez sakramenta zatamowane. Sakrament kapłaństwa jest kamieniem węgielnym całej budowy, bez niego, z wyjątkiem chrztu, ustają wszystkie. Oto jest doniosłość zamknięcia seminaryów, oto jego cel. Oto zarazem i dowód i miara jak głęboko sięga pruskie prześladowanie. A zważyć warto i pomyśleć jak to jest naturalnem, że terror rządowy niemiecki upojony swoim tryumfem i siłą, robi to samo z Kościołem co robił rozszalały krwią terror rewolucyjny francuski. Dowód to jeden więcej, że rewolucya, czy we frygijskiej czapce czy w koronie, z jednego wychodząc punktu, ubóstwienia siebie, do podobnych dojść musi rezultatów.

Zamknięcie seminaryum było najsroźszym skutkiem prawa o kształceniu duchownych, ale niejedynym, i dla rządu pruskiego wcale nie dostatecznym. Księża jeszcze są, sprawują sakramenta, nauczają, a więc wiara katolicka pomimo wszystkiego, gotowa się jeszcze, czas jakiś może i długi utrzymać. Jeżeli ma być od niej pokój, to trzeba coś wymyśleć, iżby ona wcale nauczaną nie była. Wprawdzie po szkołach uczą religii nauczyciele rządowi, wprawdzie księżom do tej nauki wtrącać się niewolno: ale cóż z tego, kiedy po za szkoła, po kościołach, po zakrystiach, po domach, dzieci uczą się katolickiego katechizmu? Na to państwo pozwolić nie może! to uwłacza jego zwierzchniczemu prawom. Jeżeli chcą się uczyć swojej religii, dobrze, ale niech się jej uczą w moich szkołach i od moich ludzi.

Widzieliśmy, że kiedy rząd nakazał uczenia religii po niemiecku i władzy duchownej wszelki wpływ na tę naukę odebrał, ksiądz prymas Ledóchowski po-

lecił proboszczom, ażeby prywatnie religii nauczali¹⁾. Teraz (17 września) zostało to zakazanem, a każdy uczeń, któryby po za szkołą nauki religii słuchał, ma być wypędzonym ze szkoły. Skutki tego gwałtu, położenie nim zgotowane dla dzieci i rodziców, ocenia *Dziennik Poznański*:

„Cóż wobec podobnego postępowania powiedzieć i zrobić? Dzieci nasze nie mogą wzrastać bez nauki religii, która jest zarazem nauką i podstawą moralności praktycznego życia. Dzieci nasze nie mogą być zmuszane, prawnie i konstytucyjnie przynajmniej, bez dopuszczenia się gwałtu, jakiego się dopuszczała Moskwa pędząc nahajką unitów Litwy i Rusi do cerkwi — pobierać naukę religii od nauczycieli, którym nie władza duchowna, lecz niekompetentna w tej mierze władza świecka kwalifikacyę do tego przyznaje. Trzeba więc i nie pozostaje nic innego, jak obmyśleć dla dzieci naszych sposób udzielania nauki religii przez kwalifikowanych do tego od władzy swej przełożonej duchownych na innej drodze. To wyraźny i pierwszy obowiązek względem naszych dzieci.

„Wobec władzy świeckiej natomiast, przekraczającej według najsumienniejszego przekonania naszego, ludzkiego i prawnego, swe atrybucye, wkraczającej niepowołanie podobnemi reskryptami w dziedzinę zagwarantowanej względami ludzkości i konstytucyą wolności sumienia, cóż nam pozostanie? Szczerze powiedziawszy *żaden skuteczny środek* aż do zmiany systemu naczelnego w rządach państwa, zmiany, której dotąd oznaczyć trudno, ale która jest nieuniknioną jako naturalne następstwo panującej dziś gorączki“...

¹⁾ Dodać i tu wypada, że ksiądz arcybiskup w przeczności swojej wydał zawczasu dla duchowieństwa instrukcyę, w której pouczał, że tam gdzieby dziatki nie mogły być należycie, dla przeszkód zewnętrznych, w religii kształcone, trzeba wyszukać osób pobożnych, któreby w wio-

Postępowanie zaś księdza Prymasa w całej tej sprawie tłómaczy najlepiej własna jego, bardzo energiczna i stanowcza odpowiedź Prezydentowi Güntherowi.

„W swoim szanownem piśmie z dnia 17 b. m. doniosłeś mi JW. Pan, że w porozumieniu z p. Ministrem rozporządzone zostaje, by tak nazwane szkoły prywatne, przezemnie zalecone dla wykładania religii uczniom katolickim wyższych zakładów szkolnych, zamknąć, jak równie przymusowe postępowanie przeciw duchownym, którym powierzyłem wykład religii, zaprowadzić, i wzbronić uczniom pod zagrożeniem wydalenia z gimnazyów uczęszczania na rzeczne lekcye religii. Z najgłębszym smutkiem widzę z tych rozporządzeń, że królewskie władze nie nabyły jeszcze dotychczas przekonania, iż nauczanie wiary katolickiej i bliższe oznaczenie, w jaki sposób wykład ten ma się odbywać, Kościołowi nie zaś świeckiej zwierzchności Boski Założyciel Kościoła powierzył. Tego prawa Kościół katolicki nigdy złożyć nie może, inaczej samby zniweczył żywotność swoją i zdradziłby swoje wzniesłe powołanie; dlategogo udzielał on zawsze tym, którym powierzał nauczanie prawd zbawienia, osobnej misyi, niezbędnej do tego urzędu. Prawda, królewskie prowincjonalne Kolegium szkolne postawiło w piśmie swoim ostatniem z d. 9 sierpnia b. r. nr. 3105 twierdzenie, że dopiero w nowszych czasach zwierzchność duchowna występować zaczęła z uroszczeniem, że *missio canonica* jest potrzebna, i że nie można bez uszczerbku dla praw państwa, uznać konieczności zezwolenia kościelnych zwierzchników na mianowanie nauczycieli religii. Owóż, aby odeprzeć takie pojmowanie rzeczy, wystarczy, jak sądzę, gdy zwrócę na to uwagę, że *missio canonica* jest tak dawna, jak sam Kościół, albowiem opiera się ona na słowach Zbawiciela:

skach i osadach zwłaszcza odleglejszych, działwę zbierały i katechizmu uczyły. Warto także zapisać, iż okólnik ten wielkie gniewy w sferach rządowych wywołał.

Idźcie nauczajcie wszystkie narody, a także: jako mnie Ojciec posłał i ja was posyłam i t. d.

„Skoro tylko księży przezemnie do udzielenia religii w wyższych zakładach naukowych obu moich archidiecezji umocowani, zostali oddaleni z posad, a wykład ten innym, świeckim nauczycielom, którzy takiego upoważnienia odemnie nie otrzymali, w części powierzono; byłem w sumieniu zagniony i biskupią moją powinnością zniewolony, zaradzić istniejącej potrzebie w taki sposób, aby młodź katolicka owych zakładów naukowych, miała sposobność kształcenia się w prawdach zbawienia za pośrednictwem jedynie do tego uprawnionych posłanników Kościoła. Uważałem za mój obowiązek zwrócić na te nieuniknione następstwa bacność rządu w mojem bezpośrednim przełożeniu do J. C. K. Mości z d. 31 grudnia r. z.; po kilkakroć też razy wracałem do rzeczonoego przedmiotu w pismach, jakie miałem sposobność wymienić w tejsamej sprawie z król. prow. Kolegium szkolnem. Z tem większą przeto stanowczością widzę się zmuszony odeprzeć, jako całkiem nieuzasadniony zarzut, jakoby obmyślane przezemnie środki nie wypływały z rzeczywistej potrzeby, lecz przeciwnie miały na celu ubezwładnienie rozporządzeń rządowych. Zkądinąd, gdyby rzeczywiście, jak to pismo, które mam obecnie przed oczyma, nie przytaczając szczegółowych faktów, wzmiankuje, księży wykładający po za godzinami szkolnemi religię, próbowali na uczniów zgubny, karności zagrażający wpływ wywierać, zaraz, jak o tem JW. Pan może być przekonany, skorobym otrzymał zawiadomienie i skoroby mnie doszły jakieś bliżej oznaczone fakta, nie omieszkałbym stósownie do potrzeby złemu zaradzić. W każdym jednak razie podobne wypadki, przypuszczając, że rzeczywiście zaszły, nie mogą na żaden sposób posłużyć ku usprawiedliwieniu rozporządzeń, wydanych przez JW. Pana, a tak krzywdzących prawa Kościoła i moich dyecezan.

„Wychodząc z tego wszystkiego, co poprzedza, nie mogę przyznać wysokim Władzom prowincjonalnym prawa

zakazywania księżom, by młodzieży w prawdach wiary nie ćwiczyli, również nie mogą przyznać im prawa zakazywania dzieciom i to pod zagrożeniem kary, by na wykłady nauki religii uprawnionych przedstawicieli Kościoła nie uczęszczały, gdyż przez to zmusiłoby się rodziców, albo do pozbawienia całkowicie dzieci swoich nabycia nauki religii, albo do zezwolenia, aby ją pobierały od osób, które do tego przez zwierzchność duchowną nie są umocowane i temsamem nie dają żadnej rękojmi, że ich nauczanie z nauką Kościoła całkowicie się zgadza.

„Tego rodzaju postępowanie ze strony władz rządowych pociągnęłoby za sobą koniecznie nieznośny ucisk dla sumień, i muszę przeto stanowczo wymagać, aby mi nadal w należącym do mego obowiązku pielęgnowania wykształcenia religijnego katolickiej młodzieży szkolnej moich obu archidiecezyi, żadnych nie stawiano przeszkód“.

Ale pierwsze z praw majowych nie o samem tylko mówiło wychowaniu duchownem. Widzieliśmy jakie w tej jego części kryły się zamiary i jakie z niej wyniknęły kroki rządu, odjęcie władzy kościelnej wszelkiej kontroli nad nauczaniem religii w szkołach, zakaz nauczania jej po za szkołą, zanknięcie seminaryum; widzieliśmy także ile razy Arcybiskup gnieźnieński i poznański musiał się tym postanowieniom nowego prawa sprzeciwić. Ale była jeszcze druga jego połowa, mówiąca o obsadzaniu posad duchownych, a ta niemniej od pierwszej i z nią równocześnie, musiała stać się źródłem obfitem coraz nowych między władzą kościelną a świecką kolidyj. Prawo pruskie mówiło, że biskup nie ma prawa przeznaczyć księdza na żadną posadę bez opowiedzenia się prezydentowi i bez pozwolenia tegoż; prawo kościelne mówiło, że w wyborze swoich podwładnych i pomocników biskup nie może być ograniczonym; oczywiście

każde wakujące probostwo musiało stać się powodem starcia, każde obsadzenie probostwa przekroczeniem *prawa*, powodem do oskarżenia i procesu. Wszyscy biskupi pod rządem pruskim musieli koniecznie prędeż czy później znaleźć się w tej kollizyi — na pierwszy ogień miał pójść Arcybiskup gnieźnieński.

Zawakowało probostwo w starym sapieżyńskim Wieleniu, o którym długo zapomniano, a który odtąd stał się głośnym i będzie nim, w historyi polskiego Kościoła, jako powód pierwszego wydanego Prymasowi procesu, a zatem pierwszy powód jego uwięzienia. Prawo majowe nakazywało żeby imię kandydata doniesionem było prezydentowi, żeby przez sześć tygodni parafii nie oddawać nikomu, ale czekać czy nie nadejdzie *Einspruch* (veto) pana prezydenta, a dopiero gdyby to się nie stało, instalować księdza na probostwie. Ksiądz Prymas, który wspólnie ze wszystkimi biskupami przed ogłoszeniem praw zapowiadał, że nie będzie mógł ich się trzymać, który po ich ogłoszeniu również wspólnie z innymi oświadczył, że się do ich wykonania przyłożyć nie może, bez opowiedzenia się rządowi, przyjął prezentę udzieloną księdzu Arendtowi i *instytuował* go na to beneficyum. Nareszcie! Nareszcie był fakt materialny, dotykający, podpadający doskonale pod paragraf i pozwalający sformułować oskarżenie; nareszcie doczekał się rząd pruski upragnionej sposobności, mógł wystąpić przeciw arcybiskupowi z tą energią i bezwzględnością, która mu jest właściwą, mógł dać Kościołowi naukę, pokazać mu co to znaczy opór, i złamać go!

Pierwszy ten pozew ciekawy jest przez swoją niezręczność, oskarżając usprawiedliwiał Prymasa, sam przyznaje, że on inaczej postąpić nie mógł, kiedy mówi, że

księdzu Arendtowi instytucji kanonicznej na probostwo sam ze swojej władzy udzielał, *bo tak chcą kościelno-prawne zasady.*

Prymas wezwany, żeby się przed sądem stawił w oznaczonym dniu i godzinie, oczywiście nie stanął, bo jurydyceki sądu świeckiego w rzeczach duchownych nad sobą uznawać nie mógł: skazany więc zaocznie na karę pieniężną, a prócz tego wezwany, znowuż pod zagrożeniem takiejże kary, żeby innego kandydata na probostwo wieleńskie przedstawił. Na takie to wezwanie odpowiedział Ksiądz Prymas pismem z 25 sierpnia 1873, które i stanowisko Kościoła w tej sprawie, i jego własną nieuległość i powagę, najlepiej objaśnia.

„Mam zaszczyt odpowiedzieć uprzejmie JW. Panu na pismo z d. 9 b. m., że probostwo w Wieleniu stósownie do przepisów prawa kanonicznego, które każdego biskupa, każdego kapłana i każdego wiernego w sumieniu obowiązują, w należyty sposób przezemnie obsadzone zostało. X. Arendt był przez patrona kościoła na rzezzone beneficyum przedstawiony, przezemnie za uzdolnionego do sprawowania obowiązków proboszczowskich uznany, i w następstwie instytuowany na toż probostwo. Na podstawie tej instytucji, która jest czynem czysto kościelnym, nabył wymieniony wyżej X. Arendt prawa do wykonywania pasterskich obowiązków w obrębie powierzonej mu parafii; z drugiej zaś strony podjął odpowiednie zobowiązanie, tak, że ma powinność dla gminy powierzonej jego kierownictwu i jego pieczy wszystko czynić, usilnego dokładając starania, czego potrzeba dusz wymaga. Powinnością jest jego, urząd swój osobiście sprawować, przyświecać swojej gminie nauką i przykładem, nabożeństwo urządzać, święte sakramenta rozdzielać, i za swoje owieczki ofiarę świętą sprawować. Każdej z tych powinności odpowiada prawo rzeczywiste. Jakoż do niego tylko należy rozporządzać wszystkim, co urząd pasterski stanowi, tak, że jak to

przepisują ustawy kościelne, żaden inny ksiądz bez jego wiadomości i przyzwolenia nie może w obwodzie parafii jakiegokolwiek czynności parafialnej wykonywać. W końcu wypływa ztąd, że na wszystkich parafianach ciąży obowiązek niedopuszczyć, żeby jakikolwiek inny ksiądz, krom ich prawego pasterza, urzędowe czynności duchowne przedsiębrał i wykonywał.

„W takim położeniu rzeczy i gdy rozdawnictwo urzędów kościelnych niewątpliwie do władzy kościelnej należy, ciężkobym naruszył obowiązki mojego biskupiego urzędu, zawiniłbym bardzo przeciw przynależnej Kościołowi Bożemu samodzielności w sprawach odnoszących się do wyłącznego jego zakresu, gdybym bez istotnej kanonicznej podstawy, jedynie, aby życzeniom władz świeckich zadośćuczynić, X. Arendta za pozbawionego dobrze nabytych praw uznał, i zaprzeczył mu uprawnienia do wypełnienia przyjętych względem gminy wieleńskiej zobowiązań, albo mu stawiał w tej mierze przeszkody.

„Kiedy Chrystus Pan rozsyłał Apostołów swoich, aby w Jego imieniu i z Jego ramienia opowiadali ewangelią, chrztu świętego udzielali i sprawowali sakrament pokuty, nie udał się On do ówczesnych świata mocarzy, aby ich prosić o przyjęcie i zatwierdzenie dla owych wysłańców. Podobnież gdy Pan Jezus dał Kościołowi swemu pełnomocnictwo wysyłania bezustannie robotników do winnicy swojej, nie uczynił tego powołania zależnem od przyzwolenia ludzkiego. Kiedy państwo uznaje prawną udzielnosć Kościoła i szanuje Boskie przepisy, zajścia, jak zajście obecne, wydarzyć się nie mogą; oprócz tego porozumienie między państwem i Kościołem we wszystkich okolicznościach, w których obie strony rzeczywisty mają interes, łatwe jest bardzo do osiągnięcia, jak tego najbliższa przeszłość ostatnich lat dwudziestu dostatecznie dowodzi; jednakże, skoro tylko państwo wszechwładzę swoją rozciąga nawet na rzeczy, które do najwewnętrzniejszej istoty Kościoła, do jego Boskiego ustroju, do dziedziny wiary i do karności duchownej należą, skoro tylko państwo rozporządzenia swoje, wdzierające się we właściwy obręb praw ko-

ścielnych, opatruje sankcją kar i środków przymusowych, wtedy zaiste nie pozostaje nic innego biskupom, jak w pokorze i zaufaniu w pomoc Bożą powtarzać ciągle: *non licet*.

„Taksamo widzę się obecnie zmuszony na pismo JW. Pana z d. 9 b. m. odmowną dać odpowiedź, albowiem jak to już wyżej wyłożyłem, nie godzi mi się pełnego prawa, przysługującego X. Arendtowi, prawa na podstawie kanonicznej instytucji opartego, do probostwa wielńskiego, nadwierać i odejmować mu pełnomocnictwo do wykonywania wszystkich duchownych czynności urzędowych i praw przysługujących mu w obrębie parafialnego ustroju, aby w następstwie, odpowiadając życzeniu JW. Pana, do innego obsadzenia rzeczzonego miejsca przystąpić. Raczej muszę oświadczyć, że X. Arendt jest i pozostanie jedynym prawnym pasterzem w Wieleniu i że jego oddalenie z tego urzędu tylko na drodze przewidzianego przez prawo kościelne postępowania i tylko z kanonicznych powodów nastąpić może.

„Jeżeli zaś rząd cesarsko-królewski mniema, że biskupi się mylą, kiedy obstają przy wyłącznej kompetencji Kościoła w niektórych sprawach, to niechaj opór ten wytoczy przed Głową najwyższą Kościoła katolickiego. Skoro zaś Święta Stolica Apostolska rozstrzygnie, biskupi chętnie i z wszelką gotowością poddadzą się najwyższej dla każdego wierzącego katolika i w rzeczach wiary i moralności nieomyślnej powadze“.

Dokument ten przytaczamy w całości dlatego, że określa on stanowisko i postępowanie Księdza Prymasa w wielu wypadkach podobnych. Oczywiście, za każdą najmniejszą zmianą w jego dycecyjach musiała nastąpić taka *nieprawda*, przez niego dokonana nominacja: za tą nowe oskarżenie, nowy proces, nowe kary pieniężne, które skazany obłożony sekwestrem płacił, albo raczej za niego sobie płacono zabierając mu i sprzedając na licytacji sprzęty, konie i t. p. W ciągu tego, zdobyl się rząd na kroki energiczne i przeciw księżom *nie*.

prawnie instytuowanym. Rozporządzeniem swoim z dnia 24 października 1873, polecił minister wyznań wszystkim prowincjonalnym urządóm, ażeby „każda czynność urzędowa, bez różnicy czy się do niej odnoszą następstwa cywilne lub nie, stanowiła istotę przekroczenia przewidzianego w § 23 ustawy z dnia 11 maja r. b. Chcąc zatem zmusić owych duchownych bezprawnie ustanowionych do zaprzestania swych czynności, trzeba żeby każda ich czynność urzędowa stawała się natychmiast przedmiotem śledztwa karnego, i żeby duchowni byli nieustannie trapieni coraz nowemi karami, dopóki nie poddadzą się ustawom... Niezbędna zachodzi potrzeba dla utrzymania prawnego porządku, dać uczuć owym duchownym całą surowość prawa“.

Rząd pruski jest logiczny: prześladowanie nie mogło zatrzymać się na biskupach ale musiało spaść na wszystkich księży im posłusznych, i ścigać ich z jakąś szczególną, krzyżacką zaciętością. Ale to wskazuje zarazem nietylko rozciągłość, ale i głębokość tego prześladowania; bo w logicznem następstwie takiego rozporządzenia w krótkim czasie może nie zostać ani jednej parafii, której proboszcz nie byłby skazanym i uwięzionym, ani jednego kościoła, przy którym ksiądz mógłby zostać i nabożeństwo w nim odprawiać.

Rozpatrując się w aktach należących do tej sprawy, mniema się prawie widzieć dramat ręką biegłego mistrza ułożony; tak w miarę trwania sporu i zbliżania się katastrofy, mnożą się zajścia, tak wzmagają się zawziętość napaści z jednej strony, a siła i stałość z drugiej, tak wciąga się w sprawę coraz większa liczba wpływów, interesów, uczuć, obowiązków, namiętności i osób. Ze strony pruskiej, im więcej przypadków wy-

święcenia, mianowania, lub przeniesienia księży, tem większa zaciekłość landratów, sędziów, dyrektorów policyi, prezydentów i ministrów; tembardziej jedni drugim dodają ducha i ochoty wmawiając w siebie, że ustąpić nie mogą: tem silniejsze domagania się opinii o energię i złamanie oporu, tem głośniejsze krzyki niemieckiego dziennikarstwa przeciw Prymasowi wołające na rząd: *Tolle, crucifige!* Z katolickiej strony tem liczniejsze składają się Prymasowi oświadczenia czci od duchowieństwa, wiernych jego dyecezyi, od katolików obcych (stowarzyszeń i prywatnych), od biskupów niemieckich i zagranicznych, tem silniejsze słowa poparcia i pociechy od Ojca św. Rząd pruski, wierny zawsze jak się pokazuje swoim tradycyom, a holdami temi rozdrażniony i upokorzony, jak niegdyś sam przez policyę swoją wymyślił konspiracyę w Poznańskim, tak i teraz, nie gardząc środkami godnemi Bärensprunga i Posta, przejmował i zatrzymywał korespondencyę księdza Prymasa. Ciekawy jest pod tym względem list jeden arcybiskupa mechlińskiego ks. Déschamps, w którym tenże skarży się Arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, że pisał do niego wiele razy, ale odpowiedzi nie odebrał, *znać listy zaginęły*. Rzecz to znana, że w godności i szlachetności używanych środków, żadne plemię pod słońcem Prusakom nie wyrówna. Zatrzymywano listy, bo naprzód, te oznaki uszanowania i współczucia guiewały rząd, a powtóre, bo sądzono naiwnie, że one mogą utwierdzić Prymasa w jego *zaślepieniu i uporze*. Próżne złudzenie. Nie potrzebował ani utwierdzenia ani zachęty ani rady, ten co w swoim sumieniu i charakterze znajdował niemylną wskazówkę jak mu postępować należało. Wiedząc co go czeka, gdy zobaczył ten długi szereg wyto-

czonych sobie procesów, z których każdy oczywiście musiał się skończyć skazaniem, gdy obliczył, że na kary pieniężne, których dobrowolnie płacić nie chciał, nie było już ruchomości, żeby koszta tych kar opędzać, bo wszystkie sprzedane na licytacji wpłynęły do kas rządowych (złoto do złota!) i gdy widział bliską chwilę, w której zamkniętym będzie w więzieniu, rozporządził wszystko w obu dyecezyach, mianował zastępców, w szczególnych postanowieniach zapowiedział, że nie chce żałoby kościelnej, zakazuje demonstracyi i zajęć burzliwych, zaleca spokój, słowem, zostawił jak żeby testament, i czekał.

Ale przed uwięzieniem zaszedł jeden jeszcze wypadek, gorszy, zuchwalszy, bezczelniejszy od wszystkich poprzednich. Kiedy przed sądem w Poznaniu toczył się proces o mianowanie księdza Arendta proboszczem w Wieleńiu i bliski był końca, naczelny prezydent prowincyi poznańskiej Günther, przed innym sądem wytoczył inny proces: proces przed trybunałem świeckim o złożenie biskupa z duchownego urzędu. Przezorność pruska, która stanowiąc prawa majowe nie przepomniała i o trybunale dla spraw kościelnych, któryby procesa ze spraw tych wynikłe po myśli rządowej sądził, poraz pierwszy stwierdzić miała swoją praktyczność.

Prezydent wezwał Prymasa do złożenia arcybiskupstwa, Prymas odmówił: wezwanie i odmowa najlepiej znamionują i walkę samą, i środki waleczenia, i walczące potęgi.

Język, którym rząd pruski przemawia dziś do Kościoła, przypomina bardzo ten, którym przemawiał niegdyś do Rzeczypospolitej polskiej; tensam duch umiarkowania i sprawiedliwości, tesame wysokie pojęcie swo-

ich obowiązków względem Boga i sumienia, i własnych poddanych, tasama niewinność i smutna konieczność występowania przeciw krnąbrnym i niebezpiecznym, tasama hypokryzya bezczelna, która w notach Buechholza i w manifestach Fryderyka Wilhelma II mówiła z przystojną wielkiemu państwu powagą a państwu chrześcijańskiemu przystojną słodyczą: „Baranku, mącisz mi wodę“. — „Biskupie mącisz mi wodę — pisze pan prezydent Günther — *podobało ci się* zająć względem praw obowiązujących stanowisko, którego ścierpieć nie mogę; *podobało ci się*, kiedy rząd wyzwolił naukę religii w szkołach z pod nieznośnego dozoru władz duchownych, a powierzył ją ludziom oświeconym i na wysokości umiejętności stojącym, w liście pasterskim ten krok dobroczynny naganić; *podobało ci się* krytykować wypędzenie Jezuitów, *podobało ci się* pasterzu najemny i niewierny, pozabawić trzodę sobie powierzoną nauki religii, może i samego dusznego zbawienia, bo kiedy rząd dobroczynny urządził wykłady religii, chciał katolikom dać sposobność poznania jej, tyś się uparł, żeby uczoną była po polsku, i tą zuchwałością sprawiłeś, niestety, że tysiące młodych dusz kształci się i dojrzewa bez znajomości Boga i wiary! A za to podstępnie, chytrze, złośliwie, nakazałeś uczyć religii po kościołach i prywatnych domach, *żeby nią swoje osobiste cele* (sic) osłaniać i młodzież wciągać w zamęt stronnicych politycznych zapasów.

„Cóż dopiero gdy wyszły prawa majowe. Niedość żeś przeciw nim bluźnić sobie pozwalał, aleś się im nieraz i uczynkiem sprzeciwił! Kiedy rząd chciał seminarjum twoje wziąć pod swoją najmiłościwszą opiekę, a krnąbrnością swoją zmuszony zamknął je, nazwałeś

to *gwałtem!* Gwałtem także rewizyę domu demerytów w Osiecznie? Cowięcej, ty biskup mianowałeś plebanów, przenosiłeś księży z miejsca na miejsce, święciłeś ich, choć wiesz, że z króla i praw majowych łaski, atrybucye te należą do mnie prezydenta! I ci księża przykładem twoim do buntu wciągnięci, śmiały msze odprawiać, chrzczyć, dawać śluby, spowiadać, jak żeby ślub przez nich dany był ważnym, jak żeby dzieci z takiego mniemanego małżeństwa zrodzone mogły być dziećmi z prawego łoża? Nie: dzieci rodziców, których związek był pobłogosławiony przez ciebie herszta i tobie podwładnych buntowników, to pokureze i podrzutki, które ani do nazwiska ojca ani do spadku po nim prawa nie mają. A ty, patrz co robisz; rozprzęgasz rodzinę, rozwalasz wszystkie podstawy społeczeństwa, państwa i Kościoła! Biskupie, macisz mi wodę, i dlatego wzywam cię, żebyś swój urząd pasterski do ośmiu dni złożył“.

Z pod tych zdradzieckich sofizmów i bezczelnych kłamstw wygląda taka otchłań nieszczęść jak niegdyś z groźb, które Prusy w świętem oburzeniu rzucały polskiemu *Jakóbinom* i polskiemu *fanatykom*. Żeby nic, tylko to oświadczenie, że śluby przez księży biskupowi posłusznych zawarte, będą w oczach państwa i prawa nieważne: że jeżeli katolik ożeni się tak jak mu nakazuje jego wiara i sumienie, to jego dzieci nie będą dziećmi prawemi! To jest poprostu zakaz żenienia się, bo tak jak chce rząd, przed jego księżami katolik ożenić się nie może: wtedy, wobec swego Kościoła i swego sumienia on żyłby w nierządzie, jego żona nie byłaby żoną, dzieci nie prawemi. I to jeden tylko szczegół, jeden drobny skutek praw pruskich, które prześladowaniem nie są, nie! są wolnością sumień, są równością

wyznań w obliczu prawa i równą dla wszystkich opieką, są sprawiedliwością, ludzkością i cywilizacją!

Ale co za straszne położenie biskupa, który taką przyszłość przewiduje, wie, że wiernych dyecezyi swojej na takie skutki naraża, a przecież oszczędzić im tego nie może! A czyż mógł złożyć swój urząd biskupi, złożyć go królowi pruskiemu, kiedy go od Boga odebrał: wyznać przez to, że władza biskupa nie ze sakramentu płynie, ale z urzędu, nie apostolską jest sukcesją, lecz gabinetową nominacją? Czy mógł powiedzieć: oto ja Biskup katolicki, wierzę, że mam łaskę od Boga a obowiązek i prawo od jego Zastępcy, łaski tej Bożej i władzy nie tracę, choćbym sto razy stracił łaskę króla pruskiego, i zaraz potem, dlatego, że tak wierzy, jedno i drugie u stóp króla złożyć? Czy takie *accipe Rex quae non dedisti* nie byłoby nie już bojaźnią niegodną, ale odstępstwem wiary i zdradą Kościoła? Rycerskiemu wojownikowi bito medale i stawiano posągi za to, że „honor Polaków od Boga mu powierzony jemu jednemu chciał oddać“ — a miałżeby biskup powiedzieć: „Bóg powierzył mi honor i zbawienie tych ludzi, a ja oddam je królowi pruskiemu!?” Nie: odpowiedź jego na wezwanie rządu jest wspaniała, spokojna, poważna, jasna jak sama prawda: a jeżeli dla długości swojej na medalach i posągach pisaną nie będzie, tę ma zaletę, że całe stanowisko i naukę Kościoła w tej mierze zwięzłe, jasno i zupełnie tłumaczy.

Zaczyna Prymas swoje pismo do naczelnego prezydenta od tego, że tylko rząd, który religii katolickiej nie rozumie, może żądać od biskupa, żeby urząd swój złożył:

„Pismo p. naczelnego prezesa z dnia 24 b. m., jeżeli z jednej strony wielkim mnie napelniło smutkiem, bo nowe zapowiada Kościołowi w-dyeczyach moich ciosy i ciężkie zwiastuje wiernym Chrystusowym mojej pasterskiej pieczy powierzonym, cierpienia i krzywdy; to z drugiej strony wielkiego we mnie wzbudzić nie mogło podziwienia. Od czasu bowiem wypowiedzianej przez rząd królewski wojny przeciwko świętej katolickiej wierze w krajach poddanych berłu Najjaśniejszego naszego Monarchy, stokrotną już miałem sposobność przekonania się, że urzędnicy obecni państwa nie pojmują czem jest wiara święta, którą my katolicy wyznajemy, i rozumieć nie są w stanie, jakie ona na swych wyznawców nakłada obowiązki.

„Ztąd też tylko wynika, że pan prezes naczelnny w wyżej wzmiankowanej odezwie wzywa mnie do złożenia arcybiskupiej mojej godności, i dodaje, że jeżeli tego w ciągu ośmiu dni nie uczynię, o złożenie z arcybiskupstwa postara się u trybunału świeckiego w Berlinie.

„Urząd biskupi z przywiązaniem doń obowiązkami i prawami, od Boga przez ręce Jego Namiestnika na ziemi, odebrałem. Władzą więc przez samego Boga mi udzieloną (*Spiritus S. posuit Episcopos regere Ecclesiam Dei*) rządzącą częścią Kościoła św., która mi naznaczoną została przez Ojca św. Tego posłannictwa żadna świecka potęga zniweczyć nie jest zdolna. Może bezwątpienia przemoc potężnych uniemożliwić biskupowi swych obowiązków świętych wykonywanie, może mu uczynić niepodobnem używanie praw jemu przysługujących: ale zrzucić go z duchownego urzędu, tego dopiąć nie jest w stanie, bo człowiek władzy kościelnej od Boga pasterzom dusz nadanej, zniweczyć nie jest mocen.

„Nie może więc być mowy o złożeniu mnie z arcybiskupstwa przez jakikolwiek trybunał państwowy, i wszelkie tego rodzaju zakuszenie nie będzie miało przed Bogiem, przed Kościołem i przed katolickim światem znaczenia. Potrafiono tylko materyalnie uniemożliwić mi obowiązków moich wypełnienie, i pozbawić mnie używania mych praw, które jednak nigdy prawami mojemi nietykalnymi być nie

przesaną. Podobnież żaden trybunał państwowy uwolnić mnie nie jest w stanie z obowiązku wypełniania powinności kościelnego mego urzędu.“

Przyznaje potem, że dobrowolnie i za przyzwoleniem Papieża wolnoby mu wprowadzić było biskupstwo złożyć, ale oświadcza, że tego nie uczyni, i tłumaczy dlaczego:

„Co się tyczy dobrowolnego mojego ustąpienia z arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i poznańskiego, to chociażby takowe w danych okolicznościach za zezwoleniem Ojca św. nastąpić mogło, sądzę jednak, że i pan prezes naczelny i rząd królewski dostatecznie poznać mnie mogli, aby powzięli przekonanie, iż takiego czynu w obecnych stosunkach nigdybym nie miał czoła się dopuścić. Niegodnym był dostojenstwa duchownego, którem mnie Bóg obdarzył, gdybym dobrowolnie opuszczał mą trzódkę w chwili, gdy jest na łup niedowiarstwa, herezyi i schizmy wystawiona. Obowiązkiem moim jest bronić duchownych dóbr dyecezyan moich, ale nie usuwać się przed groźbą cierpień wszelkiego rodzaju, a chociażby i utraty życia. *Bonus Pastor animam suam dat pro ovibus suis. Mercenarius autem et qui non est pastor — vidit lupum venientem et dimittit oves et fugit.*

„To panu prezesowi naczelnemu oświadczam, co do ustąpienia mojego z arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i poznańskiego i co do rzekomego złożenia mnie z mej arcybiskupiej godności. A jakkolwiek uważam za rzecz zbytęczną, zajmować się szczegółowo punktami, przez p. prezesa naczelnego dotkniętymi w piśmie z dnia 24 b. m., ponieważ wyczerpujące już z mej strony odebrał w tych sprawach odezwy, to jednak pozwolę sobie uczynić niektóre ogólne uwagi nad ostatnimi wywodami p. prezesa naczelnego.“

I tutaj, w zakończeniu odzywa się prawdziwie, jak który z dawnych ojców Kościoła, św. Ambroży do Teo-

dozysza naprzykład, kiedy dziękuje za wyliczenie zarzuconych sobie przestępstw, widząc w nich tyleż świadectw, że obowiązek swój pełnił sumiennie, i kiedy z uczuciem pokory dla siebie, tryumfu dla sprawy Kościoła mówi: „Bóg wybiera maluczkie, aby zawstydził potężne“.

Zestawia pan prezes naczelny niektóre z ważniejszych czynności pasterstwa mojego, spełnionych od września r. z. aż do obecnej chwili, i w nich znajduje dostateczne powody do umotywowania dziwnego zaprawdę wniosku, skreślonego w końcu jego odezwy. Nie byłbym się nigdy odważył sam wyliczyć te szczegóły, dające świadectwo o sumienności mojego biskupiego działania. Jestto owoc łaski Bożej, pokrzepiającej słabe siły człowieka i dopomagającej mu do wypełnienia trudnych często powinności jego stanu. Dziękuję jednak panu prezesowi naczelnemu za to świadectwo dane wierności mej względem Boga i względem przepisów Jego prawa. To świadectwo i całkiem zasłużone, a nadzwyczaj zaszczytne daje pan prezes naczelny całemu duchowieństwu mojemu i wszystkiemu ludowi mej pasterskiej pieczy powierzonemu. Takie świadectwo zawarte w urzędowym piśmie pana prezesa naczelnego, chlubą okryje przed całym światem kapłanów i wiernych obu moich archidiecezj. Z pierwszych bowiem, dwóch zaledwie swej wiary się zaparło, a może nawet bez całkowitej świadomości o tem co czynili, a z pomiędzy świeckich ludzi nie wiem, czy wielu więcej wiarołomnych swemu Bogu i swemu Kościołowi się znalazło.

Prawda, że pan prezes naczelny inaczej się na to zapatruje i widzi wadę w tem, co wierzącego człowieka przed Bogiem i przed ludźmi najwięcej uszlachetnia; aleć to jego zapatrywanie, natury rzeczy nie zmienia. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa ówczesni urzędnicy pogańscy za buntowników uważali tych, co oddając cesarzowi co jest cesarskiem, pierwaj Bogu, co jest Boga, oddawali; smutno widzieć, że i teraz niepojętem dla mnie rozumowa-

niem, pan prezes naczelny uważa za niebezpiecznych dla państwa nas katolików, jeżeli obowiązków naszych względem Boga i Kościoła gwałcić nie chcemy, aby nie wystawiać dusz naszych na wieczne potępienie.

W inny jeszcze i bardzo wielki błąd popada pan prezes naczelny, gdy mniema, że stałość duchowieństwa i wiernych w zasadach katolickiej prawdy i niezłomna ich wytrwałość na drodze obowiązku pomimo niesłychanego ucisku, jakiemu podlegają i najdotkliwszego prześladowania, że ta stałość, mówię, i ta niezłomna wytrwałość, dziełem jest mych wpływów i mej przewagi. Nie, panie prezesie naczelny; są to owoce wielkiej łaski i miłosierdzia Bożego; żaden bowiem ludzki przykład i żadne ludzkie zachęty tak wielkich i wspaniałych skutków sprowadzić nie są zdolne. Bóg tylko jeden to sprawia, bo stoi napisane: „*Infima mundi elegit Deus, ut confundat fortia.*“

To słowo (oby prorocze!), to ostatnie jakie przed uwięzieniem swoim wyrzekł do swoich prześladowców, do swoich wiernych, do Papieża, do Kościoła i narodu. Zanim bowiem proces o złożenie z arcybiskupstwa wytoczony przez prezydenta prowincyi przed trybunałem dla spraw kościelnych mógł się rozstrzygnąć, uwinął się sąd poznański z wyrokiem za *nieprawne obsadzenie posad duchownych*, i skazał Księdza prymasa za nominacją księdza Arendta i rozmaite inne, na około 30.000 talarów kary, albo na dwa lata więzienia.

Nie będziemy tu powtarzać znanych szczegółów tego uwięzienia: te rozstawione warty, ten doktor w pogotowiu przyprowadzony, żeby zeznał czy stan zdrowia skazanego nie sprzeciwia się wywiezieniu i uwięzieniu; to pomieszczenie więźnia między złoczyńcami (*równouprawienie*, z którego tak się cieszyły niemieckie dzienniki), cała ta piękna *poprawność i ścisłość* postępowania posunięta tak daleko, że arcybiskup przez czas długi

nie mógł mszy św. odprawiać a sam sobie musi pokój zamiatać, to wszystko dowody *sprężystości*, którejby głupi Polak lub płochy Francuz wstydził się jak nikiemości, ale które od Prusaka nikogo zadziwić nie mogły. Przypomnijmy więc tylko, że w tym pamiętnym czasie rząd pruski posunął prześladowanie Kościoła tak daleko, jak przedtem nie było przykładu, zażądał dla państwa zakresu władzy, jakiego ono dotąd nie żądało nigdy. Bo że biskupów wypędzano, zamykano po więzieniach, zabijano, że biskupów heretyków na katolickich stolicach osadzano, to prawda. Ale tego nie było nigdy ani w cesarskim Rzymie, ani w sekiarskim Bizancyum, ani w *świętym* Petersburgu, żeby trybunał świecki biskupa z jego kościelnego urzędu składał, ani żeby rozkaz królewski człowieka innej wiary katolickim biskupem kreował i ogłaszał. „Argumenta i sofizmata“ jak mówi Pius IX w encyklice z 21 listopada 1873 r., „wydobyte są ze starej heretyków spiżarni“, ale fakt jest nowy i pruski, i będzie pamiętny. Prusacy wiedzą zapewne, bo to naród czytający i oświecony, że „kiedyś, mieszkaniec Nowej Zelandyi usiądzie na złamanym łuku londyńskiego mostu i będzie ztamtąd szkicował ruiny kościoła św. Pawła, to Kościół katolicki wtedy jeszcze żyć i trwać będzie“; otóż Zelandczyk ten, zwiedzający ciekawie ruiny Europy, jak my dziś zwiedzamy Teby lub Palmyrę, jeżeli z wyspy, która dziś jest Anglią, przejedzie na ląd stały, nie znajdzie nad Spreą tyłu szczątków wielkości co nad Tamizą, ale to im zaręczycie możemy, że usiądzie na stopniach zwałonego posągu Fryderyka lub nowo wzniesionego monumentu wojny francuskiej, popatrzy na Berlin, pomyśli i wspomni: „to tu był ten król co heretyków mianował katolickimi bi-

skupami, a biskupów prawdziwych wyrokami swoich sądów składał ze stolicy!“ a co niegdyś mówił św. Chryzostom, co dziś za nim powtarza Pius IX (encykl. 21 listopada 1873), to w myśli doda ten człowiek zrodzony w czasach, kiedy nie będzie Prus ani może Europy, ale Kościół będzie: „Gdzież są owi nieprzyjaciele? Milczenie i pustynia po nich. Gdzie Kościół? Bardziej niż słońce jaśnieje. Co było ich, znikło: co do niego należy, jest nieśmiertelne“.

Po uwięzieniu księdza prymasa Ledóchowskiego okrzyk tryumfu w obozie pruskim i bezwyznaniowym: otośmy pokazali naszą siłę, oto my górą, oto się nas przelekną choć niektórzy, i ustąpią, i zrobi się raz przeciwko koniec z tym Kościołem, i „oprócz nas nie będzie nikogo na ziemi.“ Z tem hasłem zgodna konsekwencya i energia w dalszem postępowaniu. Z oficyałów przez Prymasa jako zastępców zostawianych a Kościołowi wiernych i wstępujących w ślady swego pasterza, jeden uwięziony (gnieźniński, ksiądz Wojciechowski) drugi (poznański, ksiądz biskup Janiszewski), obłożony mnogimi karami lada dzień do więzienia pójdzie¹⁾. Po parafiach księży niedopuszczani do pełnienia obowiązków, oskarżani, sądzeni, skazywani: kilka kościołów już zamkniętych, nauka religii ustala, a jeżeli jest, to tajemna, a w Berlinie kują na krnąbrnych nowe coraz prawa. Zeszłoroczne okazały się niewystarczającymi: cóż z tego, że prymas Ledóchowski w więzieniu? Nie ustąpił ani on ani nikt inny: wiecznie go trzymać w Ostrowie nie można, bo choć prawo skazuje na sto blisko lat więzienia, on i w więzieniu jest arcybiskupem gnieź-

¹⁾ Pisane w roku 1874.

nieńskim i poznańskim, urzędu nie złożył, a katolicki upór i bunt zawsze go za duchownego zwierzchnika uważać gotów. Pokazuje się z tego jasno, że jest potrzeba praw nowych, któreby nadużyciu temu położyły koniec. I uchwała się tedy, że duchowny, skazany przez trybunał dla władz kościelnych, jeżeli jeszcze prawo swoje wykonywać zechce, po odbyciu kary, ma być za granicę odwiezionym, wygnanym i obywatelstwa pruskiego pozbawionym. Podpalacz, morderca, kiedy w kryminale czas swój odsiedział, nie przestaje być obywatelem kraju; wolno mu iść i mieszkać, gdzie chce, urząd któryby go bez innego powodu i wyroku z kraju wydalili, dostalby nagane za pogwałcenie prawa, liberalna opinia niemiecka krzyczałaby w niebogłosy na nieludzkość i niesprawiedliwość: ale czego przeciw podpalaczowi i mordercy uczynićby się nie godziło, to przeciw księdzu a zwłaszcza biskupowi wolno, wymaga tego prawo, sprawiedliwość, wolność i cywilizacya.

Ale jeżeli z jednej strony energia pruska nie folguje, to z drugiej nie słabnie także katolicka stałość. Na radosne krzyki dzienników odpowiadają akcesy, i zbiorowe oświadczenia wszystkich dekanatów gnieźnieńskich i poznańskich do kapituł, wyrażające wierność, posłuszeństwo, i gotowość do wytrwania. Na kłamstwa i sofizmata rządowe i parlamentarne, jest prawda we wspaniałym okólniku podpisanym przez wszystkich biskupów niemieckich w miesiącu lutym 1874. Akt ten ułożony zaraz po uwęzieniu arcybiskupa Ledóchowskiego jest naprzód protestacyą przeciw temu gwałtowi, jest poleceniem do katolików jak się zachować mają jeżeli więcej biskupów i kapłanów, lub wszyscy, ulegną po-

dobnemu losowi¹⁾), jest wreszcie jeszcze raz opowiedzeniem całej sprawy, oświadczeniem przed Bogiem i ludźmi, że nie Kościół walkę wywołał, że nie on sięga po to, co nie jest jego. Wreszcie na prawa cesarskie jest pa-

¹⁾ „Mogą rychło nadejść czasy, a dla wielu z was już nadeszły, w których wy czcigodni kapłani pańscy dowieść musicie, że rzeczywistymi jesteście kapłanami, którzy nie tylko tajemniczą ofiarę nowego testamentu spełniać, lecz również gotowi są na wzór swego boskiego mistrza sami siebie oddać w ofierze za prawdę, nauki i wolność Kościoła bożego.

„Mogą nadejść czasy, w których ustanowieni przez Ducha św. prawowici biskupi lub wyznaczeni przez nich zastępcy, nie będą mogli rządzić Kościołem Bożym. Tak jest, mogą nadejść czasy, iż gminy katolickie będą bez duszpasterzy, bez nabożeństwa. Dopóki wtedy jeszcze ukochani dyecezyjanie będziecie mieć sposobność słuchać Mszy świętej u prawowitego kapłana i otrzymać św. Sakramenta, czyncie to tem gorliwiej i nie lękajcie się żadnych utrudnień, ani powinności. Od kapłana zaś, który z waszym biskupem i najwyższym pasterzem Kościoła nie ma wspólnictwa trzymajcie się zdaleka.

„Jeżeli bez waszej winy pozbawieni będziecie świętej ofiary i świętych Sakramentów, ale w wierze stać będziecie niezłomni, wtedy łaska Boża zastąpi wszystko. Umacniajcie się wtedy nawzajem w wierze. Wychowujcie i ćwiczcicie wtedy chrześcijańscy rodzice wasze dzieci z podwójną gorliwością w wierze katolickiej, aby w tejże wierze wytrwały, i wy sami mogliście po czasach próby spojrzeć na nie bez żalu.

„Drugie nasze napomnienie, nasz wyraźny rozkaz w imię Boga, naszego Zbawiciela, jest ten: żaden ucisk, żadna krzywda, jakie znosić musicie, niepowinny was nigdy poruszać do grzesznego gniewu, nigdy was skłaniać do naruszenia choćby w najmniejszej części czci i winnego posłuszeństwa dla władzy, i chrześcijańskiej miłości dla wa-

pieskie *non possumus* odzywające się coraz głośniej i coraz groźniej: a fakta mu świadczą kiedy mówi, że ten pruski *modus vivendi*, który mu ofiarują, to jest *modus nocendi* i *modus auferendi*, *modus destruendi*, *modus occidendi* (Allokucya z dnia 19 czerwca 1874), a da Bóg, że stwierdzą fakta i ostatnie jego słowa. „Jak wsparł Bóg jednego Piusa w zniweczeniu pychy tureckiej, jak wsparł innego Piusa w rozechwianiu wielkiej dumy cesarskiej, tak niech teraz wesprze mnie najmniejszego Piusa; i jak zwyciężył *apud insulas Echinadas*, jak zwyciężył *apud Savonam*, tak niech nadejdzie dzień, w którym zwycięży *apud Sanctum Petrum*“.

To przypomnienie Savony musi brzmieć nieprzyjemnie w uszach tych, którzy dziś stoją na takim szczycie potęgi, jak w swoim czasie pierwszy Napoleon. Kiedy

szych współobywateli. Odznaczajcie się owszem właśnie teraz przedewszystkiem wiernością dla obowiązku, gdyż teraz najukochański nadszedł czas, gdzie czynem dowieść musicie jak szczerze i naprawdę trzymamy się obowiązków naszych nietylko względem Boga i sumienia, lecz i względem państwa i władzy świeckiej. Tak powinniśmy, napomina nas apostoł, odpierać obwinienia tych, którzy się z nas naigrawają, i raczej krzywdę znosić, niż krzywdę czynić.

„Wkońcu — jest to nasze ostatnie i najważniejsze napomnienie: Nie bądźcie nigdy chwiejni w waszej ufności w Bogu i wszystkie wasze nadzieje pokładajcie w modlitwie. Uciekajcie się w tym czasie, gdy w świecie żadnej nie znajdujemy pomocy do Boskiego serca waszego Zbawiciela, który świat zwyciężył i nieopuszcza nas; jest ono niepokonaną twierdzą i zawsze otworem stojącą ucieczką w każdej potrzebie. Temu Boskiemu sercu, pełnemu miłości i zlitowania oddajmy i ofiarujmy siebie samych i wszystkie naszej pieczy poruczone dusze nazawsze i po wszystkie czasy, docześnie i wiecznie. — „*Okólnik z lutego 1874*“.

ten był panem Europy, a papież więzieniem, ktoby był przypuścił, że jeden z nich umrze w swoim Watykanie, drugi na wyspie św. Heleny? W tych snach wszechmocnej potęgi, któremi rozkosznie odurzają się pruscy mężowie stanu, myśl o Piusie VII i Napoleonie musi czasem odzywać się jak fałszywy złowrogi akord, zjawiać się na chwilę jak nagła, dręcząca zmiana w scenach ich widzenia. Ale któżby zważał na takie przestachy i przeczucia: to niegodne umysłów celnych, wielkich ludzi, niepokoić się widziadłami przeszłości, kiedy przyszłość do nich należy! Bo i gdzież prawdopodobieństwo, gdzie możliwość zmiany i upadku? Kto dziś ma taką armią, kto strategiczną głowę Moltkiego, dyplomatyczną Bismarcka i jego żelazną wolę, kto dziś silny jak Prusy? Za Napoleona była jakaś Anglia, jakaś Ausrya, jakaś Rosya, i przeciw niemu wielki duch germański; dziś „oprócz Prus nie ma nikogo na ziemi!“ I im bać się o przyszłość dlatego, że jakiś starzec nad grobem grozi sądem bożym, lub że jakaś rozmarzona głowa polskiego poety, dziecinnego jak jego naród, pociesza się upadkiem Rzymu i nowym Cezarom w oblężeniu swoim podobnie prorokuje?

I tu chadzali w purpurze i złocie
 Niesprawiedliwości,
 A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie
 Nad prochem ich kości.
 I tu mawiali: „Wytracim narody,
 Roma jedna będzie.“
 — Patrz po ich cyrkach jak pasą się trzody
 I bluszczy pelza wszędzie.
 A teheri jednak tą siłą bez granic
 Co światu przykładem;
 Ale przepadli, bo struli się na nic
 Własnych zbrodni jadem.“

I na to zważać? W sam raz dla dzieci lub starych kobiet: mąż godzien tego imienia, swego wieku i narodu, nawet gardzić tem nie raczy, *guarda e passa* i idzie naprzód, na przebój, *siła przed prawem, przez krew i żelazo!* Co się dziś dzieje w Wielkopolsce, przypomina zupełnie stosunki kościelne jak je uporządkowała Rewolucya francuska, z tą różnicą, że dzięki Bogu, księży *assermentés* dotąd nie ma. Ale jak wtedy, innych, to jest prawdziwie katolickich, rząd nie uznaje. Wszyscy młodzi księża wyświęceni już po ogłoszeniu praw majowych, są podług nich nieważni, bo uczyli się teologii w seminaryum nie na uniwersytecie; którykolwiek z nich idzie na parafię, czy jako proboszcz czy jako wikary, dostaje się i do więzienia, z czego wynika, że już dziś są miejsca pozbawione księdza, nabożeństwa, sakramentów, są kościoły zamknięte. A co będzie dalej? Co będzie jak rząd jeszcze księdza biskupa Janiszewskiego uwięzi? jak naśle jakiegoś biskupa czy administratora ze swego ramienia? Wtedy zmienia się role, i jak dziś rząd, tak wtedy katolicka ludność i księży przez niego święconych i instalowanych uznawać nie zechce, nie będzie mogła. Wtedy przyjdzie czas, jak mówi okólnik biskupów, że wierni zostaną bez mszy, bez spowiedzi, bez komunii; że do tego idzie, że rząd na drodze swojej się nie wstrzyma, na dowodach nie brak. Wszakże kiedy trybunał berliński *złożył* prymasa Ledóchowskiego z arcybiskupstwa, wezwał rząd kapituły, by wybrały Wikaryuszów. Kapituły odmówiły, *non possumus*: a wszystkie dekanaty obu dyecezyi pospieszyły z oświadczeniem, że stoją przy nich wiernie, i zostawionych przez Prymasa zastępców słuchają. Co się stanie, przewidzieć nietrudno: wszystko na co patrzymy

to dopiero *Initia malorum*. Oporne kapituły pójdą do więzienia, rząd *zmuszony ich oporem*, sam zamianuje nowego mniemanego arcybiskupa, a jeżeli między katolikami nie znajdzie się (co daj Boże) ani jeden tak podły, słaby i niewierny, któryby się na świętokradztwo takie odważył, to znajdzie się zawsze jaki *stary katolik prawdziwy*, to Reinkensa przyśle rząd, z biskupstwa posuwając go na arcybiskupstwo. Dlaczegoż nie? Wszakże rząd, dawno postanowił, że on jest biskupem katolickim. Tylko wtedy katolicki lud, pamiętny upomnienia biskupów prawdziwych, trzymać się będzie zdala od takich, którzy nie są w jedności z Kościołem i jego głową; wtedy co będzie, to niech rządowi pruskiemu powie nie Polak, nie katolik, ale zacięty wiary i Kościoła wróg, tensam raz już przytoczony Ernest Renan:

„Wypędzać proboszczów i biskupów, to nie prowadzi do niczego, jeżeli rząd nie przyzna sobie prawa mianowania innych na to miejsce. Ale tacy księża (czy rząd pruski o tem pomyślał?) dla wiernych księżami nie będą. Msza przez nich odprawiana będzie świętokradztwem: rozgrzeszenie przez nich dane grzechem. Narzucać katolikom takich księży, których ich sumienie odrzuca jako odstępców, to znaczy nawodzić ich do złego, do grzechu; rzecz najgorsza, błąd najgrubszy, jaki państwo popełnić może. Czy rząd pruski zapomniał o konstytucyjnem duchowieństwie francuskim, o tych urzędowych kościołach, które wiecznie pustką stały, a o tych księżach opornych, do których wierni skradali się nocą, w tajemnicy, z niebezpieczeństwem, ale licznie, żeby się przed nimi spowiadać, od nich przyjąć komunię? Któż może nie wiedzieć i nie rozumieć, że na mszy rządowego księdza nie będzie nigdy nikogo?

Wierni będą od niej stronić jak od zgorzenia i grzechu, bezwyznaniowi ani protestanci na nią nie pójda. Pojąć trudno jakim sposobem politycy tak zręczni i przenikliwi jak pruscy mogli popełnić błąd tak grubym. I dodaje jeszcze, że „nigdy Ludwik XIV w najsurowszych swych rozporządzeniach przeciw protestantom nie posunął się tak daleko. Był twardym, nawet okrutnym, ale nie chciał rządzić protestanckimi konsystorzami, ograniczać ich w wyborze ministrów, lub gwałtem narzucać takich, którzy przeszli na katolicyzm. Oczywiście jest rzeczą, że w sprawach religijnych, a zwłaszcza katolickich. Prusacy nie mają ani takiej bystrości, ani takich dokładnych wiadomości, jak w sprawach dyplomatycznych lub wojskowych. Jest to odrębny porządek rzeczy, który im jest zupełnie obcy, o którym nie mają dokładnego wyobrażenia“.

Bodaj czy te ostatnie słowa nie trafiają w sam środek rzeczy. Gdyby rząd pruski, w chwili kiedy się zabierał do walki z Kościołem był sobie jasno zdawał sprawę z rozmiarów i z doniosłości oporu, jaki przeciw sobie musiał wywołać, kto wie, czy przy swojej rozwadze i przezorności nie byłby się zatrzymał w zapędzie. Są wskazówki, które wnoszą pozwalają, że rząd radby, nie wahając się, ani cofając, podniesioną walkę uśmierzyć, Dowodzi tego ogromna różnica w jego postępowaniu z duchowieństwem polskim a niemieckim. Prawa majowe i dodane do nich nowelle są dla wszystkich, ale tu inaczej, tam inaczej stosowane; nieublagane w Wielkopolsce, łagodnieją w Niemczech. Powaga państwa, jego prawa, jego zwierzchność, jego władza, wymagały koniecznie, żeby trybunał dla spraw kościelnych złożył arcybiskupa gnieźnieńskiego ze stolicy, żeby ka-

pituly wezwać do wyboru Wikaryuszów, żeby wraze oporu kogoś nowego narzucić. Arcybiskup koloński jest także w więzieniu, i za to samo co tamten, a przecież dotąd trybunał jego nie składa, kapituła nie odbiera rozkazu, żeby wybierała zastępcę. Czegóż to dowodzi? Oto że w krajach niemieckich rząd uląkł się jednak tego co zrobił, że nie chce posuwać rzeczy do ostatecznego kresu, że myśli spuścić cokolwiek z bezwzględnej sprężystości, w nadziei, że katolików uspokoi z czasem, uspi, przejedna. Ale, tu, gdzie oprócz sprawy Kościoła z państwem jest także i sprawa narodu przeciw narodowi, i pruska nieśmiertelna nienawiść, tu prześladowanie wytężone jest jak może być najbardziej, bo prześladowuje się nie księdza tylko i nietylko katolika, ale i Polaka; bo rozprzęga się i rozkłada nietylko Kościół, ale i narodowość.

To więc powód, dla którego nasz Prymas i nasze duchowieństwo pierwsi i najsrożej są ścigani. Ale w wyrachowaniu swoim rząd pruski się pomylił, i musi, choćby już i nie chciał, prześladować zarówno wszystkich katolików w swoim państwie. Cofnąć się, odwołać prawa majowe, ustąpić? Tego on zrobić nie może; zrobi kiedyś, zwyciężony, złamany, upokorzony, bo i na niego da Bóg przyjdzie kiedyś dzień Canossy a przynajmniej Fontainebleau. Ale teraz nie; teraz już jego powaga, jego władza istotnie jest stawiona na kartę, i dla niej rząd musi prawa swoje utrzymać i wykonywać. A czy je ostrzej czy łagodniej wykonywać zechce, dopóki ich nie cofnie, z oporem biskupów, z ich niezłomnem *non possumus* spotka się koniecznie na każdym kroku. Zawsze odpowiedzą mu to, co już powiedzieli, że gdyby nawet „Kościół miał zginąć w ich kraju, to lepiej żeby zginął

od obcej przemocy, niż gdyby miał zginąć odstępstwem i podłością sług swoich“. „Zmartwychwstaje się z pod gromu — nie zmartwychwstaje z pod sromu“.

Wdał się więc rząd pruski w walkę bez wyjścia, raczej z jednym wyjściem, którem jest jego, prędzej czy później, przegrana. Bo i ta nadzieja, na której on dziś rachuby swoje opiera, i ta go zawiedzie. „Pius IX jest stary, tak rozumuje duch pruski, i długo już pożyć nie może; po jego śmierci ogłosimy zaraz że wybór następcy jest nieważny, bo dokonany był wbrew dotychczasowej praktyce, na podstawie zleceń zmarłego (czy tak będzie lub nie, wszystko jedno, ale tak się powie). Cesarz niemiecki więc nie uzna papieża wybranego przez kolegium kardynałów, król włoski zrobi zapewne to samo; a żleby już było na świecie, gdyby ani prośbą, ani groźbą, ani próżnością, ani słabością ani ambicyą ani pieniądźmi nie dało się choć kilku, choć najmniej kardynałów odciągnąć i do innego wyboru nakłonić; historia Kościoła uczy, że bywały wybory przeciwne i bywali anti-papieże: czemuż co udawało się dawniej, nam dziś udaćby się nie miało? Kandydata na anti-papę, który z góry przysięże, że nas słuchać będzie, przecież znajdziem? i biskupów, którzy mu się poddadzą: a lud katolicki częścią gwałtem zmuszony ulegnie, częścią się przyzwyczai, i rzecz będzie skończona“.

Rachuba piękna, lecz mylna niestety, bo oparta znowu na gruntownej nieznamomości tego porządku rzeczy, o który właśnie chodzi. Że się znaleźć mogą niewierni kardynałowie i biskupi, że się znajdzie anti-papież, to być może. Ale cóż ztąd? Przypuśćmy, że schizmę rząd pruski potrafi wywołać, ale tego nie sprawi,

żeby sumienie katolickie między temi dwoma wyborami i temi dwoma papieżami pomylić się mogło, żeby mogło uwierzyć, iż sukcesya apostolska schodząc z jednego następcy św. Piotra na drugiego, przechodzić powinna przez ręce króla pruskiego. I wtedy więc walka się nie skończy, wzmoże się tylko; i wtedy nie otworzy się wyjście, i Prusy poznają po czasie, że wydając wojnę Kościołowi zapchały się same dobrowolnie w wąwóz ze wszechstron zamknięty, z którego nikt jeszcze zwycięzko nie wyszedł.

A więc tryumfujmy? Intonujmy *Hosanna i Te Deum*, bo choć długo to potrwa, i wielu z nas zwycięztwa nie doczeka, to ich zguba na końcu pewna i niechybna? O nie tak śmiało! Ich zguba, to prawda, choć może daleka, ale konieczna, bo „*bramy piekielne nie przemogą go*“ i „*Ja będę z wami aż do skończenia świata.*“ Ale tryumf Boga i Kościoła choć naszym tryumfem być może, to nim być nie musi: a czy naszym będzie, to zależy od naszego zachowania się w walce.

Jest się już dziś czem cieszyć, jest z czego zaczerpnąć odwagi i nadziei, to pewna: bo znaki zmiłowania boskiego i rządów Opatrzności są nad naszym europejskim światem widoczne bardzo. Zdawało się, że ten, „Boga nieprzyjaciel stary“ wszystko już pokonał, wszystko zdeptał, że nikt mu się nie oprze, i odtąd on sam w księdze dziejów ryć będzie krwią i żelazem, „że ród człowieczy ma być w więzy kuty.“ Polskę rozebrał, austryacką potęgę nadszarpał zrazu, potem ją cicho toczył pokryjomu aż stoczył, obalił, i za bramy Niemiec wyrzucił; Rzeszę pochłoniął; wreszcie ten miecz,

którym się działy gesta *Dei* w Europie z omdlałej ręki Francuza wytrącił; i jak Attyła, któremuby się za-
chciało być Cezarem Augustem, żadnym Leonem nie
wstrzymany, włożył sobie cesarską koronę na głowę.
Taki przed nim strach, że nikt się ruszyć, nikt w Euro-
pie z drugim naradzić się nie śmie. Z ogłupiałym usmie-
chem podziwu patrzy na jego postępy Anglik, ze swej
wyspy, ciesząc się, że do niego pożar przez morze nie
dojdzie: „I car patrzy błady z po za lodów“; a ten
przeczuwa przynajmniej, biorą go jakieś dreszcze niepo-
koju. Wszyscy inni na ziemi powaleni. I w tej chwili,
kiedy żadnej już na niego siły ni rady nie było, on
sam dobrowolnie, wypowiedział wojnę tej sile, która
jedna jeszcze była, która będzie zawsze, a której nikt
jeszcze nie zwyciężył. Czy to nie wyraźne zrządzenie
boskie? czy w tem dobrowolnem, niepotrzebnem, nie-
pojętem wyzwaniu Kościoła przez państwo pruskie, nie
znać tego zaślepienia i oblędu, które Bóg zsyła na
przemożnych i hardych, *cet esprit d' imprudence et d' er-
reur*, który w tym razie tak słodko jest powitać jako
de la chute du Roi funeste avantcoureur. I czy nie
wyraźna także, bardzo wyraźna, palcem bożym dla nas
wszystkich pisana wskazówka, jaką siłą i bronią wal-
czyć z nim, *in quo signo* zwyciężyć go można?

Jest się więc czem cieszyć: i nietylko z katoli-
ckiego, nietylko z ogólnego europejskiego stanowiska,
ale i z naszego polskiego także. Byliśmy na ziemi jak
jeszcze nigdy, na samem dnie przepaści. Przegrana
Francyi, nie dlatego, żebyśmy na nią liczyć mieli, ale
dlatego, że Prusy po niej zostały jedyną w Europie
i wszechmoącą potęgą, była dla nas strasznym ciosem.
Przywaleni całym ciężarem ich nienawiści posługującej

się ich siłą, przez wszystkich odstąpieni i zapomnieni, byliśmy skazani na śmierć cichą przez uduszenie. Naraz, oni wydali wojnę Kościołowi, a pierwszym placem boju był nasz kraj, pierwszą ofiarą nasz Prymas. W nas Kościół cały ujrzał się prześladowanym, i cały w nas bronić się musi. Przez tego Biskupa, którego za nieswojego uważała, którego jak służalca i Prusaka lżyła, przez jego stałość i prześladowanie, Polska zwróciła na siebie oczy i znalazła przymierze katolickiego świata, który się w niej zagrożonym zobaczył. I ta jedyna siła, jaka jeszcze w świecie została, musi uznać wspólność interesu swego z naszym, wspólność nieprzyjaciół, musi siebie broniąc bronić i nas, musi nam być wierną — jeżeli my jej wierni będziemy. O jakże wobec tego miżerne i głupie, jak nie polskie wydają się te liberalne niby polityki, te półśrodkowe restrykcyje, te półgębkiem wyjąkane obrony Prymasa i Kościoła, w których pół tylko jest obrony, a pół oskarżenia, temsamem pół tylko oskarżenia a pół usprawiedliwienia Bismarcka! Jak smutno wydają się te dzienniki, liberalne niby i wolności chciwe, które na prześladowanie śmiało i głośno krzyknąć się boją, bo to tylko prześladowanie katolików, które do prześladowanych się przyznać, przy nich otwarcie stanąć nie mają odwagi, bo to księża i biskupi, ultramontanie, obskuranci, niepostępowi; albo jak smutno (i jak lichy!) wyglądają te niby polityczne konsydera-cye, których dowoli naczytać się można w niektórych pismach poznańskich. „Nie należy nam wdawać się w tę sprawę i za Kościołem obstawać, bo Kościół prędzej czy później pogodzi się z państwem, a nasz narodowy interes poświęci.“ Nie mówiąc już o tem, że fakta zaprzeczają tej napozór patryotycznej ostrożności, bo z po-

wodu języka polskiego właśnie ksiądz Prymas wszedł w pierwszą kollizję z rządem, to jak krótki trzeba mieć wzrok w rzeczach politycznych (krótki, jeżeli nie umyślnie krzywy), żeby nie widzieć tego, iż zgoda między Kościołem a państwem zrobić się może chyba wtedy, jak państwo będzie bardzo osłabione i upokorzone, bo przedtem ono nie ustąpi, a Kościół też ustąpić nie może. Kto więc tak płytko rzeczy oblicza, ten pozbawia się sprzymierzeńca i jego obrony na czas walki, na to, żeby po walce znaleźć się w bardzo oziębłych stosunkach z moniejszym, a na słabszym przecież nic nie wskórać.

Gdyby więcej było nam zostało polskiego ducha, zmysłu i tradycyi, widzielibyśmy gdzie nasze dobro, wiedzielibyśmy gdzie wolność, a gdzie ucisk, i wszyscy, katolicy czy protestanci, byle uczciwi, byle Polacy, stali byśmy jak jeden przy Kościele przeciw Prusakom. Gdyby trochę w nas zmysłu politycznego, uczuli byśmy, że nasze miejsce i nasz zysk tam, gdzie nasz jedyny możliwy sprzymierzeniec, interes katolicki w całej Europie. Ale my jesteśmy jedni wychowani w biurokracyjnych zasadach Józefinizmu, drudzy w demokratycznych teoriach roku 1846, jeszcze inni w dzisiejszym bezwyznaniowym wiedeńskim lub berlińskim liberalizmie, a przez te wszystkie wpływy takeśmy już stracili tradycję i zmienili naturę polską, że instynkt patryotyczny już nam dość wyraźnie nie wskazuje gdzie jest interes polski, a sam instynkt zachowawczy nie ostrzega gdzie życie a gdzie zguba.

I otóż dlaczego zawczasu się cieszyć, dlaczego z ufnością winszować sobie nie mamy odwagi. Nie jesteśmy pewni naszego własnego zachowania się w tej walce, z której Kościół zwyciężcą w Prusach zwyciężo-

nych wyjść musi, a my zwycięzcami wyjdziemy wtedy tylko, jeżeli będziemy odważni, wytrwali i wierni. A nie o to strach czy ten lub ów, prześladowany, wystraszony, korzyścią ujęty, sprawy wiary i Kościoła nie odstąpi; odstępstwa takie smutne są ale niemal konieczne, i trudno sobie podchlebiać, żeby się bez nich zupełnie obejść mogło; one też, o ile wyjątkami zostaną, na koniec sprawy nie wpłyną. Ale obawą przejmuje nas właśnie ogół, stan opinii i przekonań, tak u nas w Galicyi jak i w Wielkopolsce, o ile z pisanych i drukowanych symptomatów poznać go można: ta trwożliwa ostrożność, żeby prześladowanych broniąc nie narażać się postępowym i liberalnym, żeby się nie wydać wstecznym i ultramontańskim, ta bojaźń żeby się z katolicyzmem zbyt mocno nie wiązać, nie solidaryzować; te błędne zdania jakoby Kościół żądaniom pruskim akomodować się mógł i był powinien, a obstawał przy swoim przez opór i fanatyzm tylko: to są znaki niewiedomości i obojętności, które nam nie pozwalają ufać napewno, że w tej sprawie zachowamy się tak, jak tego wymaga po nas wierność Bogu i wierność ojczyźnie, dobro Kościoła i przyszłość Polski. I nie o tych tylko jednych jesteśmy niespokojni, którzy pierwsi i lada dzień będą wystawieni na próbę, nie o Wielkopolan samych, ale i o tych, na których próba podobna choć później i choć lżejsza zapewne, przyjść może, o Galicyę. Chodzi nam zaś przedewszystkiem nie o duchowieństwo poznańskie, i nie o lud wiejski, ale o nas niby oświeconych i wykształconych, co się sami radzi intelligencyą kraju nazywamy, czy w tem położeniu dość intelligencyi, mieć będziemy. Od tego wiele, niemal wszystko zawisło. Że duchowieństwo poznańskie całe, z nader małemi wy-

jątkami może, próbę swoją wytrzyma świetnie, na to liczyć można z pewnością; ale ta próba właśnie skończy się dla niego więzieniem lub wygnaniem, i bez przesady, trzeźwo, nie strasząc się próżno a umyślnie, przewidywać można, że parafie zostaną wcale bez księży, lub cogorzej, z księżmi przez rząd pruski nasłanymi. I tu dopiero przychodzi rola „Intelligencyi kraju,“ a przede wszystkim szlachty polskiej po wsiach; wtedy skutek, jaki walka religijna wywrze na nasze losy, złożony będzie w jej ręce. Lud wielkopolski jest bardzo katolickim, i nie ze zwyczaju tylko, ale już z przekonania; on rządowych księży nie przyjmie, będzie wolał obchodzić się bez żadnych, do czasu przynajmniej. Ale pozbawiony swoich proboszczów, którym wierzy, nie będzie miał u kogo rady i pomocy szukać, tylko oczywiście pójdzie po nią do dworu. Od tego zaś, co tu zobaczy i usłyszy, zależeć będzie religijna i patriotyczna siła i jedność prowincyi. Jeżeli lud pozna, że dwór tak jak on czuje, myśli i wierzy, jeżeli zwłaszcza ujrzy, że wrazie czynnego prześladowania nie już duchownych, ale wszystkich katolików, (do czego tam prawdopodobnie przyjść będzie musiało), pan na prześladowaniu tyle cierpi co i chłop, i ani siebie oszczędza ani jest oszczędzanym, wtedy bardziej niż dotąd uzna w nim kość ze swoich kości i ducha ze swego ducha, wtedy z ufnością, z przywiązaniem, przystanie do niego jako do starszego, do wyższego, i będzie go słuchał, bo będzie mu wierzył, i będzie go kochał za to, czego dotąd jeszcze w Polsce nie było, lub było zamało, za wspólne cierpienie, za jednaki ucisk szlachcica i chłopca. Tego związku szlachta pod rządem rosyjskim zawrzeć i cierpieniem swoim przypieczętować nie może; tam

prześladują i zabijają chłopą unitę, a szlachcie, innego obrządku, zostaje na boku.

W Wielkopolsce szlachta ma większe pole i większą missyę do spełnienia. Niedługo może czekać, a powtórzą się tam sceny chełmskie, wypędzanie ludu bagnetami z kościołów na zamknięcie skazanych, lub bagnetami pędzenie go do kościołów oddanych nieprawym kapłanom. Jeżeli do tego przyjdzie, i jeżeli wtedy lud wiejski w spokojnym, chrześcijańskim oporze swoim nie będzie opuszczony, jeżeli w gromadzie takiej wojskiem otoczonej będą nie sami chłopci tylko, ale i szlachta, wtedy wróżyć można nie tylko większą dzielność i łatwiejsze zwycięstwo na polu religijnem, ale i wyrobienie, zahartowanie, podwojenie sił narodowych i związanie ich nazawsze religijnym węzłem. Takiego węzła między klasami nie było dotąd, i dlatego byliśmy tak słabi.

I przeciwnie, gdyby broń Boże miało się stać inaczej, wtedy Wielkopolska sama w sobie rozłożona, poszłaby łatwo, i wtedy już bez ratunku, na łup pruskiego żarłocstwa.

Lud wiejski, u którego uczucie religijne jest bądź-cobądź żywsze niż uczucie patryotyczne, gdyby w sprawie Kościoła ujrzał się odstąpionym, opuszczonym przez szlachcica, w którym uznaje bardziej niż w sobie samym reprezentanta polskości, gdyby go widział o Kościół obojętnym, i dlatego wolnym od prześladowania, lub broń Boże rządowi powolnym, wniósłby z tego, że panowie mają swój interes, który nie jest temsamem co interes katolicki, że mu jest przeciwny, i zniechęciłby się nie do swojej wiary, ale do narodowości i jej sprawy.

A drugi późniejszy skutek taki: lud prosty, jakkolwiek wierny i gorliwy, zostawiony sam sobie, długo w oporze swoim nie wytrwa. On braku nabożeństw,

sakramentów, odpustów, długo znieść nie zdoła; tak będzie tęsknił, tak będzie pragnął, że jeżeli go ktoś nie wesprze, nie pokrzepi, on wreszcie znużony, zmartwiony, pójdzie na mszę przez fałszywego księdza odprawianą, zanieśie mu dziecko do chrztu, zwłoki ojca do pochowania, bo bez mszy, bez chrztu, bez kościelnego po-grzebu obejść się nie potrafi, będzie zbyt nieszczęśliwy! A wtedy Prusy wygrają znowu, wtedy założą jakiś kościół z katolickimi formami, ale swój rządowy; a co przy takim kościele stanie się z polskością poznańskiego chłopca, co nadewszystko z jego duszą? Jego patryotyczna przyszłość tak dobrze jak jego religijna wytrwałość i wierność, zawisły dziś od wierności, wytrwałości i gorliwości religijnej Wielkopolskiej szlachty.

A na tę, czy ze wszystkiem liczyć można? o Boże daj żeby tak było! Po raz to pierwszy od lat i wieków dajesz tę sposobność, ten „jeden tylko, jeden cud,“ że „ze szlachtą polską polski lud“ znaleźć się może na jednym polu walki i to najwyższem, znaleźć się może zupełnie, całym sercem, całą siłą, a jak się raz tak spotkają, tak obok siebie ujrzą, to się już i nie rozłączą — bo w Tobie, Panie, będą złączeni! Po raz pierwszy także, kiedy już ziemskiah środków i nadziei zabrakło, zstąpiłeś do walki Ty sam, który zwyciężonym być nie możesz! O daj nam tej sposobności zwycięstwa z rąk nie puścić, daj nam uchwycić się Twojej tarczy i Twojej chorągwi z mocą, ze stałością, z wiarą; daj nam wszystkim razem stanąć przy Tobie i cierpieć za Ciebie; daj nam o Panie, „świętymi czynami wśród sądu Twego, samych zbawić siebie“¹⁾.

¹⁾ Ustęp powyższy był napisany przez ks. Kalinkę. P. A.

Lat temu blisko tysiąc, narodziła się Polska na tejsamej małej piędzi ziemi, która dziś już prawie zalana, ledwo wyziera jeszcze z pod potopu. I wtedy walily na nią z dwóch stron fale tesame, a odparła je i życie sobie na wieki zabezpieczyła niczem tylko krzyżem. Szczerbiec Chrobrego zaszedł daleko na wschód i zachód, ale przedtem musiała spłynąć woda chrztu z głowy Mieczysława, a z ran świętego Wojciecha krew męczeńska na tęsamą ziemię pruską. O gdyby teraz, w tej chwili ostatnich, śmiertelnych zda się zapasów miało się powtórzyć coś podobnego? gdyby tasama ziemia, która niegdyś była gniazdem orła, miała stać się i stosem tego Fenixa, którego przepowiadał ksiądz Marek? Kto wie? jej wróg i ciemiężca wyzwał dziś Boga do walki, a ona choć na ziemi najmniejsza i najsłabsza, ducha prawie oddaje w szponach największego i najmocniejszego, ona walczy przeciw po tej stronie, po której walczy i Ten, co zwyciężyć może późno, ale niezwyciężyć nie może. Niechże tylko ona pamięta, że żyje się tem, z czego się powstało; że jak przed wiekami chrzest Mieczysława dał Polsce możność życia, dziś możność odżycia przyjsć jej może z tego bierzmowania, do którego powołani jesteśmy, byleśmy je tylko przyjęli. Duch św. Wojciecha znalazł się w jego następcy i w całym Wielkopolskim duchowieństwie; oby w nas świeckich znalazł się duch Mieczysława, a wtedy, da Bóg, sprawdzą się ostatnie przed więzieniem słowa prymasa Ledóchowskiego, zostawione nam jak żeby z natchnienia na pociechę, naukę i wzmocnienie ducha: *eligit Deus infirma ut confundat fortia.*



The first thing I noticed when I stepped
out of the train was a warm, humid breeze
that seemed to embrace me. The air was thick
with the scent of tropical flowers and the
soft murmur of a bustling city. I had heard
so much about the place, but nothing could
prepare me for the vibrant energy that greeted
me at every turn. The streets were a kaleidoscope
of colors, with people in traditional attire
walking alongside those in modern clothing.
The architecture was a mix of colonial-style
buildings and modern skyscrapers, creating a
unique urban landscape. I found myself
captivated by the sight of a street vendor
selling fresh fruit from a wooden cart, the
laughter of children playing in a park, and
the rhythmic beat of a drum from a nearby
festival. It was a sensory overload in the best
possible way. I had come to a new world,
and it was everything I needed.

LEON XIII.

KILKA SŁÓW

Z POWODU PIĘĆDZIESIĄTEJ ROCZNICY JEGO KAPLAŃSTWA.

PLATE VII

THE GREAT WALL OF CHINA

Właśnie skończyło się lat dziesięć, jak Pius IX święcił pięćdziesiątą rocznicę swojego biskupstwa. Niebawem potem umierał, a następował po nim ten, który obecnie obchodzi swój jubileusz kapłański, Leon XIII. Jak ten przeciąg dziesięciu lat zapisze się i będzie się wydawał w historii Kościoła, około której od przyjścia Chrystusa obraca się historia powszechna, jak około swojej niezawsze widzialnej, ale zawsze istotnej osi? Odpowiadać na to pytanie nie mamy zarozumiałości, ale zadać je sobie i nad niem się zastanowić, ma potrzebę i prawo każdy człowiek myślący, ma obowiązek każde katolickie sumienie.

I.

Nieraz zdarzy się słyszeć lub czytać, że Kościół nigdy nie przebywał czasów tak złych, jak dzisiejsze; tak nie jest. Najgorsze dla Kościoła są czasy nie prześladowań i ucisków z zewnątrz, ale zgorzeń wewnętrznych; tych zaś nie ma, owszem, Kościół jest dziś tak budujący dla ludzi a odbudowujący siebie, jak nie był dawno, jak w tym stopniu może bywał rzadko. Ale jeżeli powiemy, że nigdy (od Karola W. przynajmniej) nie przebywał czasów tak trudnych i walk tak licznych i ciężkich, to będzie prawdą zupełną. Była Awinijońska niewola, ale większość europejskiego świata uważała

ją za niewolę Papieża i Kościoła; była Schizma Zachodnia, ale w tej znowu jedna (i większa) część tego świata trzymała się Papieża prawdziwego, prawego następcy św. Piotra; Luter oderwał od Rzymu pół Europy, ale drugie pół skupiło się koło niego tem silniej i broniło jego i siebie; rewolucya francuska zniosła Kościół, ale we Francyi tylko, a ze zgrozą wszystkich innych. Napoleon więził Papieża i zabrał jego państwo, ale Europa widziała w tem gwałt, którego narazie odeprzec nie mogła, ale naprawić miała chęć i postanowienie, skoro tylko miałyby możność. Dziś Papież nie ma siły tej świeckiej — narodu czy rządu — u której mógłby szukać pomocy i obrony; nie ma wśród panów chrześcijańskich ani jednego, któryby się ujął za jego prawem; dziś nie ma ani jednego katolickiego państwa w Europie. Doktryny, na których chowają się od wieku wszystkie pokolenia, tak nam przeszły w krew, że wierzymy i przekonani jesteśmy naprawdę, jakoby wolność sumienia i wyznań wymagała państwa bez religii. Jednemu człowiekowi ma być wolno mieć i wyznawać jaką chce; społeczeństwo nie powinno mieć żadnej. Postęp jest znaczny i logiczny: z zasiewów Reformacyi rozwinęła się nauka i wykształciła w zasadę, że państwo i rząd nie podlega prawom moralnym. Z filozofii XVIII wieku i z Rewolucyi francuskiej wyszła nauka i urzeczywistniła się zasada, że państwa i rządy mogą, owszem, że powinny być bez wszelkiej wiary. Nie tu czas i miejsce dochodzić, ile w tym winy katolików samych, że się naczas opatrzyć, siebie bronić, sofizmów tych zbijać od początku, *principiis obstarere* nie umieli, albo umieli niedosyć; tembardziej nie tu czas i nie nasza rzecz dochodzić, czy i o ile ta niemożność dzisiaj-

sza nie jest dla społeczeństw, a zwłaszcza dla dynastji katolickich, skutkiem i karą tej gotowości niesumiennej, z jaką chwyciły się kiedyś owego szczebla pierwszego, owej zasady, że państwo ma swoją moralność osobną, którą jest *racya stanu*. Jednego tylko pominąć nie możemy, bo to miara i dowód szczerości i dobrej wiary tych teoryj o bezreligijności państwa, jej proroków i apostołów. Państwu, które nie jest katolickiem, wolno jest zachować wyznanie, wyznaniowy charakter: to się wolności i sprawiedliwości nie sprzeciwia. Nie mówiąc o Rosyi, bo ta nie zależy od opinii i uchwał parlamentarnych, król pruski, królowa angielska, mogą bez przeszkody afirmować swój charakter protestancki, przyznawać głośno i jawnie, że mają na pieczy interes swojego wyznania, że są jego obrońcami, a nikt im nie przeszkadza, nikt się nie dziwi, ani nie gorszy; cały jak jest liberalizm europejski nie widzi w tem nic złego, żadnej krzywdy dla wolności sumień, żadnej obrazy dla teoryi. Ale gdyby jaki monarcha katolik, chciał afirmować podobnie swoje stanowisko katolickie, zaraz teorya uznałaby się pogwałconą, a wolność i równość wyznań skrzywdzoną. Warto tę okoliczność wziąć za punkt wyjścia do zastanowienia, czy cała teorya o bezwyznaniowej istocie i charakterze państwa, nie jest na to jedynie wymyślona i obrócona, aby społeczeństwa i państwa katolickie religijnego charakteru pozbawić.

Jest więc w Europie jedno mocarstwo schizmatyckie i dwa protestanckie; niema ani jednego (jakiekolwiek są stosunki liczebne i uczucia jego obywateli), któreby było *de jure* i *de facto* katolickiem. To pierwsza wielka nowość w położeniu Kościoła, nowość obfita w skutki.

Drugą jest upadek władzy świeckiej Papieża; wcielenie *patrimonium* w nowe Królestwo włoskie i zabór Rzymu. Gwałty były zawsze w historii, był niejeden spełniony na Papieżu i Papiestwie. Ale gdyby chodziło o fakt, któryby był dał miarę i wyobrażenie moralnego upadku naszego świata, niezdolności czy wyznania swoich przekonań, czy zgodzenia postępów z przekonaniem, to faktem tym byłoby to powszechne milezenie, wśród którego zawałiła się władza świecka. Państwo papieskie, zabrane jak *res nullius* czy *res primi occupantis*: państwo, podstawa i warunek niepodległości tego, którego dwieście milionów nazywa Głową swego kościoła i Namiestnikiem swojego Boga — i nikt na to nie mówi ani słowa! Nie przemawia przez nas ani nienawiść Włoch, ani przeczenie ich narodowych praw i dążeń: ale cokolwiek oni mają za sobą, to przeciw sobie mają połączenie sprawy narodowej, ze sprawą rewolucyi i bezbożności; i dla nich, jak dla całej Europy, sprawa to niezaszczytna wcale, że król włoski wchodzi do Kwirynału wytrychem otwartego, a wszyscy pozwalają, kłaniają mu się grzecznie, i podają mu rękę. Kiedy się spełnił gwałt w prawie narodów największy, rozbiór Polski, protestował przynajmniej Papież i Turek; kiedy Napoleon zabierał Rzym, protestowali choć w myśli i sumieniu wszyscy. Teraz nikt. Wiemy, że za tym królem słabym stały wielkie potęgi; że Prusy, a może i Rosya, byłyby zagroziły każdemu, kto by chciał go wstrzymywać; wiemy, że tego króla wiodła, pchała, zasłaniała cała rewolucya we wszystkich stopniach i formach; wiemy, że pomagało mu nawet złączenie ludzi uczciwych, otumanionych zręcznem połączeniem dążeń narodowych Włoch i niektórych praw

istotnych, ze sprawą zniszczenia Kościoła i wiary. Wiemy to wszystko, i to nadewszystko, że w naszych czasach o moralną stronę spraw pytać niewarto; a jednak mimo tych wszystkich okoliczności, upokarzających raczej niż łagodzących, zaprzeczyć niepodobna, że obojętność, z jaką świat patrzył na zabór Rzymu, jest jednym z faktów najdziwniejszych i najgorzej o sumieniu i honorze Europy świadczących, jakie historia kiedykolwiek miała do zapisania.

Wśląd za tem logiczne następstwa, i odkryte już dążenie do celu. Obalenie władzy świeckiej było wielkim, ale nie ostatecznym tryumfem; celem poniekąd, ale zwłaszcza środkiem, środkiem do rozprzężenia, do dezorganizacji Kościoła. Złudzenie, które nam wszystkim, a przynajmniej wielu pozwalało mniemać, że w sprawie włoskiej celem jedynym było wyswobodzenie się z pod rządów obcych, nie może się ostać wobec szczerze przez Mazziniego, a za nim przez łoże mularskie we Włoszech wielokrotnie przyznanych zamiarów, „że ich cel ostateczny jest tensam, co cel Voltaira i Rewolucyi francuskiej: zagłada zupełna katolicyzmu i samej idei chrześcijańskiej.“ Praktyka zaczęła się kolejno we wszystkich zajętych częściach Włoch, i w tych, które oderwano od państwa Papieskiego: zabór dóbr kościelnych, zniesienie sądów duchownych, poddanie wszystkich zakładów i fundacyj duchownych pod dozór i zarząd świecki, zniesienie zakonów i rozpędzanie zakonników, małżeństwo cywilne; wychowanie bez wpływu i dozoru Kościoła, prasa jednomyślna i wściekła a nigdy nie hamowana w napaściach na Kościół, w bluźnierstwach przeciw wierze; księża kuszeni obietnicami do odstępstwa, a prześladowani, gdy nie odstąpili; wszystko to

(a wymieniamy tylko cokolwiek dla przypomnienia) działo się od pierwszej chwili annexyi. Ale odkąd Francya przestała strzedz Rzymu, a Rzym był zajęty, nie było już na kogo się oglądać i kogo się wstydić, i dzieło szło naprzód śmiało, bez żadnej już obawy i względu. Energia w tej walce była tem łatwiejsza, bohaterstwo tem piękniejsze, obelgi tem szlachetniejsze, że Papież był zupełnie bezbronny i opuszczony przez wszystkich.

We Włoszech więc szturm na Kościół ze wszechstron naraz: najgłośniejszy, najwścieklejszy w Rzymie. Francya, zaledwo opłaciła się Prusakom, pomyślała o tem, że godność i honor nakazują jej iść w ślady wielkiej Rewolucyi; przypomniła sobie dawne hasło Voltaira *écraser l'infâme*, i wzięła się „nową republikę kształcić“ a wolność (!) zabezpieczać zamykaniem klasztorów, rozpędzaniem zakonników, wyrzucaniem religijnych nauk ze szkoły, a religijnych pociech ze szpitala nawet!... postęp i wolność wymagały koniecznie, żeby nie było krzyża tam, gdzie się dzieci uczą, księdza tam, gdzie ludzie umierają. Kiedy Cesarstwo niemieckie zbrojne od stóp do głów stało za Renem, i dwa razy omal go nie przeszło, kiedy barbarzyńska anarchia głośno odgrażała się powtórzeniem na większą skalę tego co zrobiła w roku 1871, osobliwszy patryotyzm republikański powtarzał Francyi przez usta swego trybuna, że jej prawdziwym i głównym nieprzyjacielem jest ksiądz.

W Niemczech protestancka nienawiść Kościoła i pasya owładnięcia go przez państwo, nie mogły niekorzystać z takiego zbiegu okoliczności. Wydały mu też zaraz tę walkę, którą nazwały walką o cywilizacyę!

Że ją podniosły bez potrzeby i bez korzyści dla siebie, spostrzegły się z czasem przebiegłe Prusy, i wycofały się bez zupełnego, bez takiego, o jakim marzyły, tryumfu. Ale swojemi majowemi prawami zburzyły organizację Kościoła: z wyjątkiem dwóch, spędziły wszystkich biskupów ze stolic, ogolociły tysiące parafij z proboszczów, samozwańców nasłaly, seminaria zamknęły, zakony wypędziły, poroniły (mniemając, że urodziły) jakąś nową czy starą niby katolicką wiarę; w tem się tylko pomyliły, że mniemały rozbić Kościół, a one go tylko burzyły. Ale burzyły dobrze, jak one umieją, systematycznie, gruntownie, dokładnie. Prześladowanie nie było krwawe, ale też tylko tego brakło; a było bardziej umiejętne, bardziej sięgające do samych podstaw i istoty rzeczy, niż niejedno krwią oblane i krwią zapisane w dziejach.

Pod rządem rosyjskim nie brakło ani tego. Jeszcze za Mikołaja Rosya bała się opinii; czuła, że nikt w Europie nie uważa jej za równą w cywilizacji; chciała za taką uchodzić i kryła się ze swemi okrucieństwami lub się ich przynajmniej wypierała. Ale odkąd podchlebstwem pozwolono jej grać rolę cywilizacyjnej równości, odkąd z nogą na gardle dławionej Polski, ze zwyciężkami Prusami w przymierzu, stała się bardziej niż kiedykolwiek groźną jednym, a drugim potrzebną, przestała dbać o opinię lub się jej bać, i przestała zachowywać pozory. Prześladowanie religijne, dążące logicznie i energicznie do rozprężenia i rozkładu Kościoła, zaczęło się bez żadnej już osłony zaraz po roku 1863, a z zaborem Rzymu przybyło odwagi. Przyszła myśl, że pora sposobna jak rzadko: i w dyecezyach unickich obficie niż za Mikołaja zaczęła się lać krew. A kiedy

w zmarłą ziemię rosyjską wsiąkała krew Aleksandra II, nie polską ręką wytoczona, kto wie czy nieszczęśliwy nie wspomniał, że są uczynki wołające o pomstę do Boga.

Cztery wielkie mocarstwa w otwartej walce z Kościołem, inne w trwodze i w niemożności obrony; wojna prowadzona nie przez rządy i parlamenty tylko, ale na ochotnika przez społeczeństwa same, przez prasę, przez naukę; — Państwo Kościelne zabrane, Papież w Watykanie jednym bezpieczny i pan swojej woli, ogolony naturalnie z dochodów i środków działania; Głowa Kościoła bez możności nadawania ruchu członkom tego ciała i rządzenia nimi podług woli, bo członki albo skrępowane, albo pokaleczone; oparcia nigdzie, pomocy znikąd: tak było przez ostatnie lata życia Piusa IX i w chwili jego śmierci.

Conclave i elekcya odbyły się spokojnie — nadspodziewanie może spokojnie. Naturalnem było przypuszczenie i troska, że Rewolucya włoska zechce skorzystać ze sposobności i niedopusi do wyboru Papieża. Jednak przemógł dobrze zrozumiany interes własny. Rząd włoski, rewolucyą stworzony i zawsze jeszcze bardzo jej potrzebny, brał przed światem odpowiedzialność za wolność Kościoła i bezpieczeństwo Papieża; dawał jakieś rękojmię, w które nie wierzył nikt, ale on musiał udawać, że sam wierzy; potrzebował wydać się rządem regularnym i przyzwoitym, słownym, silnym przytem i rzeczywistym, rządzącym i kierującym. Przytem rozum i sam patryotyzm włoski wskazują mu, jak wiele zależy na tem Italii, jej stanowisku i powadze w świecie, żeby została zawsze siedzibą Papieża, środkowym punktem Kościoła. Potrzebował rząd zatem, żeby elekcya odbyła się swobodnie; a Rewolucya, która

jego znowu potrzebuje, raczyła być wyrozumiałą na tę potrzebę i nie żądała wszystkiego naraz. Wyjątkowa krótkość conclave i łatwość wyboru, była oczywiście skutkiem roztropności kardynałów, i zrozumienia, że w położeniu tak trudnem nie ma czasu do tracenia; każdy dzień może sprowadzić zmianę w usposobieniu tych co otaczają i pchają rząd włoski, każda zmiana może sprowadzić niebezpieczeństwo.

Kardynał Pecci, który w takiej chwili obejmował rządy Kościoła jako Leon XIII, pochodził z dawnej szlacheckiej rodziny, zamieszkałej w Carpineto (w pobliżu Viterbo) i mającej swoje posiadłości koło tego miasteczka. Był czwartym z rzędu synem a szóstym dzieckiem Ludwika Pecci, pułkownika w gwardyi włoskiej Napoleona i Anny Prosperi-Buzi¹⁾. Urodzony 2-go marca 1810 roku, dostał na chrzcie imiona Joachima Wincentego i tem drugim imieniem wołanym był przez całą swoją młodość. Szkoły odbywał u Jezuitów w Viterbo a następnie w Rzymie, i od najniższych klas odznaczał się pociągami i zdolnością do mówienia i pisania po łacinie. Kiedy uczniowie mieli występować uroczyście z oracyami lub wierszami, łatwość kompozycyi i elegancya stylu małego Pecci sprawiała, że jemu zawsze powierzano rolę oratora. To upodobanie i tę doskonałość w łacinie zachował ówczesny uczeń przez całe życie, na stolicy biskupiej w Perugii i na papieskiej w Rzymie. W roku 1823 (trzynastym życia) stracił matkę, która (jak świadczą ci, co z wła-

¹⁾ Wszystkie szczegóły biograficzne czerpiemy z dzieła Amerykanina Dra Bernarda O'Reilly, we francuskim przekładzie *Vie de Léon XIII*. Paris 1887.

snych jego ust slyszeli), położyła fundament wiary i pobożności w jego duszy, duszy i życiu nadała kierunek. Dalsze nauki w Collegium Romanum (trzy lata filozofii); w roku 1830 poszedł na teologię, za stanowczem już powołaniem, ale nie zakonnem. I kiedy o trzy lata starszy brat Józef (dziś kardynał Pecci) wstąpił do Jezuitów, on choć taksamo wychowaniec zakonu, chciał być księdzem świeckim. W tym czasie przestał używać imienia Wincentego, a zaczął nosić właściwe pierwsze Joachima. W roku 1832 został doktorem teologii, i z tym stopniem już wszedł jako uczeń na lat pięć do Akademii duchownej. Święcenia dyakońskie przyjął w dzień św. Stanisława Kostki, u jego grobu (w Sant-Andrea in Monte Cavallo); 31 grudnia tegoż roku, 1837, z rąk tegożsamego kardynała-wikaryusza (Odescalchi) święcenia kapłańskie.

Zaledwo wyświęcony, w lutym 1838 roku, dostał przeznaczenie na delegata (gubernatora cywilnego) do Beneventu. Małe to terytoryum papieskie, w środku posiadłości neapolitańskich, było do rządzenia trudne i niebezpieczne, bo jako zagraniczne było bardzo wygodne dla neapolitańskich rozbójników i przemytników, którzy tu szukali schronienia i założyli sobie podstawę operacyi. Głowę największej bandy rozbójników, niejakiego Collettę, potrafił zręcznie znienacka z towarzyszami otoczyć i ująć, co innym dało do myślenia. Umiał także (co może było trudniej) zastraszyć różnych miejscowych potentatów, którzy z zamczków swoich dawali opiekę popularnym brygantom, a delegatowi grozili bądź zemstą, bądź zaskarżeniem przed Papieżem. Kiedy przywrócił swojemu kraikowi najpotrzebniejsze jakietakie bezpieczeństwo, wziął się zaraz do

jego dobrobytu: pobudował gościńce, które łączyły Benevent z neapolitańskimi i otwierały produktom większe i liczniejsze targi; wyjednał znaczne niższenie podatków; słowem, w tym swoim pierwszym obowiązku występuje jako organizator i administrator, a w tem uwolnieniu Beneventu od rozbójników, przypomina na małą skalę Syxtusa V.

Trzy lata tylko trwały te jego rządy. Okazał się zdolnym i sprężystym, Grzegorz XVI przeniósł go na szersze pole działania, w tym samym charakterze delegata do Perugii (1841). Późniejszy długoletni biskup, poznawał naprzód swoją przyszłą dyecezyę jako urzędnik cywilny. I znowu jak w Benevecie, wziął się dzielnie do rzeczy. Rozbójników tu nie było, ale było sądownictwo w smutnym stanie zaniedbania i ospałości; sprawiedliwość szybka i łatwa była pierwszą naprawą, o jaką postarał się msgnr. Pecci; a z takim skutkiem, że do roku wszystkie sprawy zaległe były rozsądzone, a przez pewien przeciąg czasu nie było ani jednego podsądnego ani skazanego w więzieniach Perugii. Reorganizował i podnosił szkoły, bił drogi, jak niegdyś w Benevecie (wyjazd pod stromą górę do Perugii, przedtem nader uciążliwy podobno a dziś wspaniały, jest jego dziełem), zakładał kasy oszczędności (pierwszą w Perugii własnym funduszem), kiedy w roku 1843 Grzegorz XVI mianował go arcybiskupem (Damietty *in part. inf.*) i nuncyuszem apostolskim w Belgii.

Ta nuncyatura, to jedyny pobyt Leona XIII za granicami Włoch. Trwał on półtrzecia roku. Głównem zadaniem nuncyusza było w ustawicznej tam (a podówczas już żywej) walce między katolikami a nieprzyjaciółmi Kościoła, pod nazwą liberalnych, bronić jego

praw, i strzedz żeby go o ile się da najmniej skrzywdzono. Głównym przedmiotem sporu było podówczas wychowanie. Nuncyusz nie przyczynił się do założenia katolickiego uniwersytetu w Leodium (prywatnemi środkami założonego i utrzymywanego), trafił już tylko na jego otwarcie. Ale zdołał uratować choć w części naukę religii i katolicki nad nią dozór w szkołach średnich; załagodził spór powstały między uniwersytetem Leodyjskim a Jezuitami (o wyłączne prawo do nauczania filozofii); wreszcie za jego sprawą założonem zostało w Rzymie *Collegium Belgijskie*, najdzielniejszy i najpewniejszy środek ożywienia i utrzymania ducha w młodem duchowieństwie, pomoc jedna z głównych zapewne w tej walce, którą katolicy belgijscy do dziś dnia prowadzić są zmuszeni.

Krótki pobyt w Anglii, gdzie właśnie rozpoczynał się zwrot ku katolicyzmowi, gdzie późniejszy kardynał Wiseman stawiał pierwsze kroki jako wikaryusz generalny (biskupów katolickich wtedy nie było), a jego następcą kardynał Newman tyłkoco był się nawrócił, stosunki zawiązane z tym zarodem akcyi katolickiej, której dalszy postęp Leon XIII miał uwieńczyć przywróceniem hierarehii biskupiej w Szkocyi, to epizod wtrącony, ale ważny zapewne w dziejach tej dyplomatycznej misyi, przerwanej niespodziewanym wypadkiem. Pod koniec roku 1845 umarł biskup w Perugii; dycecyja wysłała deputacyę do Grzeogrza XVI z prośbą, żeby jej dał msgnra Pecci. Papież zrobił to zależnem od woli jego samego, który jako arcybiskup był już wyższym w randze, a jako nuncyusz, miał widoki otwarte na kardynalski kapelus. Zapytany przyjął biskupstwo, a prekonizowany w styczniu 1846 roku, porzucił zawód

dypłomatyczny i Belgię. Po drodze zatrzymał się w Paryżu; do Rzymu trafił właśnie na chwilę, kiedy Grzegorz XVI zapadł w chorobę, z której już nie miał powstać. Śmierć papieża, conclave, elekcya Piusa IX, mianowanie nowego Sekretarza Stanu, przed którym teraz bylemu nuncyuszowi wypadło zdawać sprawę z nuncyatury, wszystko to opóźniło nowego biskupa, tak, że dopiero w lipcu 1846 roku objął tę stolicę, na której miał zostawać przez lat trzydzieści.

Zaledwo objął rządy dyecezyi, wydał w roku 1847 List pasterski, którego treścią była cywilizacya chrześcijańska i społeczeństwo świeckie, który w krótszym wykładzie zawiera tesame myśli i zasady, co sławna Encyklika Leona XIII z roku 1878. W roku 1848 w Perugii, jak w Rzymie, rewolucya wzięła górę; ale kiedy po zwycięztwie pod Nowarrą wojska austryackie przywracały dawny stan rzeczy, i kiedy zbliżały się do Perugii, biskup wtedy wyruszył ze swego miasta, udał się naprzeciw nich, i namową swoją skłonił generała dowodzącego, że się z drogi zawrócił. Nie chciał, żeby obcy żołnierz przywracał porządek; nie chciał jego widokiem upokarzać i odstręczać mieszkańców; nie chciał wreszcie narażać miasta na nieznane ale łatwo przypuszczalne niebezpieczeństwa.

Wypadki roku 1848 rzuciły wprawdzie światło na przyszłość i zapowiedziały to, co się później spełnić miało; ale przeszły prędko jak burza i względny spokój powrócił na lat dziesięć. Synod biskupów umbryjskich, odbyty w Spolecie w roku 1849, zdawał sobie sprawę z tych niebezpieczeństw, i wyraził to w adresie do Papieża, natchnionym (może i napisanym?) przez biskupa Perugii. Ale kiedy spokój nastał, wypadło, zanim przyj-

dzie wybuch^l nowy, korzystać z czasu, żeby Kościół i każdą duszę zosobna umocnić, uzbroić, uzdolnić do obrony. Ten też był charakter i dążność główna rządów biskupich dzisiejszego Papieża. Nie myślimy opowiadać ich tutaj. Wspomnieć tylko możemy jednym słowem, że Jego troską główną było wychowanie dobrych księży i religijne wychowanie ludu, utwierdzenie go w wierze na czasy prześladowań i pokus: czyli seminarya i szkoły wszystkich stopni, a szczególnie książki szkolne. Staranie uwieńczone takim skutkiem, że jego seminaryum miało sławę, jakoby wydawało największą może we Włoszech liczbę zdolnych i światobliwych księży; jego dyecezya miała sławę jednej z najbardziej kwitnących i budujących. Ze szczególną zaś pilnością dbał o gruntowną naukę, o prawdziwe wykształcenie swego duchowieństwa. To odrodzenie filozofii chrześcijańskiej, któremu Leon XIII dał impuls tak potężny i ogarniający cały świat, zaczęło się w Perugii, gdzie biskup wprowadził wielkie studyum świętego Tomasza, w seminaryum zrazu, z czasem w założonej umyślnie osobnej Akademii św. Tomasza.

W roku 1854 został kardynałem. W roku 1859, kiedy się zabierało na wojnę, a roztropni przewidywali, że pod pozorami narodowego wyswobodzenia, kryje się zamiar głębszy, zniweczenia Kościoła, uprzedzał biskup Perugii ten zamiar i wszystkie argumenta przeciwników, Listem pasterskim o Prawowitości i konieczności władzy świeckiej Papieża. Oczywiście, wszystko to zostało bez skutku; wypadki były zbyt dobrze i oddawna przygotowane. W samej Perugii wybuchły w czerwcu 1859 r. rozruchy, narazie łatwo uspokojone, skoro woj-

sko piemonckie było daleko, ale zapowiadające niedaleką przyszłość.

D. 14 września 1860 r. ukazało się wojsko włoskie pod dowództwem generała Fanti, ministra wojny, pod murami Perugii. Słaba załoga bronić się długo nie mogła, ale nie chciała oddać miasta bez obrony. Dla przełamującej siły i dobrej artylerii, wzięcie Perugii było żartem; niebawem wojsko włoskie było w środku miasta, załoga zamknęła się w cytadelli. Rozpoczęto bombardowanie, którego prośby biskupa przerwać nie mogły; nie pozostało mu, jak swoich skłonić do kapitulacji, której honorowe warunki sam układał i otrzymał.

Od tego dnia (15 września) rozpoczął się jego prawdziwy krzyż. Nie mówiąc o istnym zalewie miasta i całej diecezji przez tłumy rewolucyjnych ciurów, ciągnących za armią, bezczelnych w żądaniach jak w przesładowaniach, przez proklamacye, dzienniki i książki bezczelne w obelgach i w potwarzach, a wyrachowane na zepsucie ludności, zaczęło się w październiku zaraz tegosamego roku ogłaszanie ustaw piemonckich. Pierwsza była o małżeństwie cywilnem, i nakładała surowe kary na księży nieposłusznych. Za tem poszedł zabór dóbr kościelnych, nadzór rządu nad seminaryami, poddanie kleryków obowiązкови służby wojskowej, placet królewski przy nominacji proboszczów, administratorów, wikarych — wreszcie zniesienie zakonów... oto, co zapełniło pierwsze lat kilka.

Obrona była dzielna i nieustająca. Rozpoczął ją adres biskupów umbryjskich do Papieża, przyrzeczenie niezłomnej, co bądźby się stało, wierności i stałości; a wślad za tym ogólnym programem (żeby się tak po świecku wyrazić), poszedł szereg protestacyj, zwróco-

nych już wprost do rządu włoskiego. Pierwsza była znowu zbiorowa wszystkich biskupów z zajętych prowincyj (w grudniu 1860), druga samego już biskupa Perugii, wymierzona wprost do króla Wiktora Emanuela, a przeciw (głównie) ślubom cywilnym; ta ostatnia imponująca zarówno śmiałością jak siłą argumentacyi i wymowy. Nie wspominały dalszych; było ich wiele, były zawsze, ile razy zdarzył się gwałt nowy, a skutku naturalnie nie odniosły żadnego. Ale jeżeli bez nadziei skutku, z obowiązku tylko i dla spokoju własnego sumienia, nie zaniedbywał kardynał Pecci starań u nieprzyjaciela: to temmniej mógł zaniedbywać te środki obrony, które zależały od niego i od wiernych, i mogły mieć skutek. Że wiernych, a przedewszystkiem księży, utwierdzał we wszystkich obowiązkach, to rozumie się samo z siebie; ale wierność i żarliwość największa nie wystarczy bez praktycznych i roztropnych wskazówek, jak się zachować w czasach tak trudnych, żeby się nie sprzeniewierzyć, a nieprzyjacielowi nie dostarczyć pozorów do nowych prześladowań. Zmysł praktyczny i zaradność biskupa wzbudzają w tych okolicznościach najżywsze podziwienie. Rząd przyznał sobie dozór nad nauką seminarzystów, oczywiście w tym zamiarze, żeby naukę i examina utrudniać, święcenia opóźniać, a przez to, żeby dyecezyom dostarczać jak najmniej księży. Zaledwo to rozporządzenie wyszło, kardynał Pecci zmienił plan nauk w seminaryum, i tak go zręcznie do wymagań rządowych stosował, tak pilnie doglądał nauki kleryków, że władze rządowe żadnej przyczepki znaleźć nie mogły. To było względnie łatwe, bo zależało w przeważnej części od niego samego. Ale kiedy wyszło prawo rozciągające obowiązek służby wojskowej na kleryków,

albo kiedy wszystkie dobra i dochody kościelne były zabrane, co wtedy? co robić? Zkąd wziąć na to, żeby kleryków wykupować od wojska, albo żeby księży (zwłaszcza starych i chorych) ratować od niedostatku? Biskup zaczął od tego, że dał przykład: z własnych (oczywiście już bardzo szczupłych) dochodów przeznaczył znaczną część na te dwa cele. A potem odwołał się do wiernych, utworzył komitet do wykupowania kleryków, stowarzyszenie miłosierne do wspomagania starych, chorych, na niedostatek skazanych księży. Kiedy znowu za zniesieniem zakonów poszedł wielki ubytek w pracy około dusz (zwłaszcza po wsiach i małych miasteczkach), kiedy spowiedzie, kazania, katechizacje były niezmiernie przez to utrudnione, a niezmiernie na odwrót ułatwione działanie wpływów bezbożnych, związał między księżmi stowarzyszenie kaznodzic, które miało za cel podwojoną gorliwością nadstawić co ubyło, i wszędzie do najmniejszego zakąta szerzyć nieustanną posługę duchowną. Dzienniki, pisma i kluby odwracały wszelkimi siłami ludność (zwłaszcza rzemieślniczą) od wiary i Kościoła; kardynał Pecci spróbował klin klinem wybijać, i zaprowadził w Perugii (za jej przykładem po innych miastach) tak zwane *Ogrody św. Filipa Ne-reusza*, towarzyskie kółka dla rzemieślników, zwłaszcza dla młodych. Kiedy wreszcie rząd zniósł naukę katechizmu po szkołach i szkółkach (bo to oczywiście religijny przymus wykonywany na dziecku i bezprawne ograniczenie wolności jego sumienia), zastąpił ją jak mógł nauką, dawaną częściej i energiczniej przez duchownych przy każdym kościele... Nie przytaczamy wszystkiego, nie mamy ani na to miejsca, ani nawet zamiaru dokładnego opowiadania; cytujemy tylko przy-

klady. Nie przypominamy też, bo niema potrzeby, że od zajęcia Rzymu prześladowanie stało się naturalnie i śmielszem, i otwarszem, i gwałtowniejszem, niż było. Jednem z piękniejszych jego aktów, było prawo o nadużyciach wolności słowa, uchwalone w roku 1877. Obawiano się, że jubileusz Piusa IX może silnie działać na uczucia i na wyobraźnię Włochów; że stosunki włoskie zbliżone widziane, mogą zaszkodzić rządowi w opinii, gdyby liczni cudzoziemcy rozszerzyli po świecie swoje wrażenia i spostrzeżenia. Zagrożono więc surowemi karami każdemu, a zwłaszcza księdzu, któryby sobie pozwolił odezwać się z naganą rządu. Tym sposobem każdy ksiądz, któryby na kazaniu wspomniął o prześladowaniu Kościoła, o zaborze Rzymu, o uciemieniu Papieża, narażał się na niebezpieczeństwo. Odbywał się jednak ten jubileusz jako prawdziwy dla Kościoła tryumf i dowód jego siły; w czerwcu udał się do Rzymu i biskup Perugii, i w imieniu wszystkich biskupów Umbryi, Marchii i Emilii przemawiał do Piusa IX. Wkrótce potem umierał kardynał de Angelis, a na jego miejsce mianował Pius IX (we wrześniu) kamerlingiem (a przez to zawiadowcą spraw świeckich na przypadek papieskiego interregnum) kardynała Pecci, który skutkiem tego musiał przenieść się z Perugii do Rzymu, ale biskupstwa (choć mu ofiarowano Frascati) nie złożył.

W cztery miesiące później sam został Papieżem.

II.

Jakikolwiek będzie koniec tego co Leon XIII rozpoczął, a skutek tego co zamierzył, to już dziś napewno wiedzieć można, że ubiegłe dziesięć lat jego panowania

będą znaczące i zapamiętane w historii Kościoła i świata. Nie będzie to jeden z tych Papieży, jakich było wielu, którzy w Rzymie zostawiają pamięć swoich cnót, w historii kościelnej pamięć swoich starań i zabiegów, ale do wiadomości ludzi świeckich prawie się nie dostają, w zewnętrznych dziejach świata ich nie znać. Tak w wieku XVIII naprzykład, imię Benedykta XIV jest pierwsze, które więcej znamy; o jego poprzednikach mamy zaledwo jakąś ogólną wiadomość. Następców, występujących już coraz silniej w obronie Kościoła coraz bardziej zagrożonego, znamy lepiej, bo ich więcej widzimy we wszystkich sprawach i wypadkach ich czasów. Taki pośredni tylko udział Papieży w historii powszechnej, możliwy jest w epokach, kiedy Kościół ma spokój (przynajmniej względny); dlatego i w pierwszej połowie naszego wieku Piusa VII pamiętamy i znamy lepiej, aniżeli Leona XII lub nawet Grzegorza XVI. Ale o Piusie IX będzie musiała historia XIX wieku mówić nie mniej, jak mówi o Grzegorzu VII historia XI-go, o Inocentych historia XIII-go wieku: i o jego następcy — cokolwiek mu dalej Bóg przeznacza — taksamo. Świat się przeobraża w coś nowego i nieznanego; skutki przeobrażenia odbijają się na Papiestwie, a oni dwaj (może niejeden jeszcze po nich) wyobrażają i ratują w chaosie niewzruszoność Bożego objawienia, stałość Bożego przykazania, jedność i całość tego Bożego ciała, którem jest Kościół, a oni głową. Ta głowa ma za wszystko myśleć, o wszystkim radzić, wszystko poruszać, wszystko jedynym duchem ożywiać a jedną wolą kierować, za wszystko odpowiadać. Większej odpowiedzialności nie było i nie będzie na świecie, jak odpowiedzialność Papieża; ani większej jak jego potrzeby wszystkich darów, wszyst-

kich cnót, wszystkich łask i wszystkich mądrości! a cóż dopiero w czasach jak nasze, kiedy wszystkie bezbożności razem wałą w Kościół tak połączonymi i tak wielkimi siłami, jak jeszcze nigdy. Anioła-by potrzeba, ducha jakiegoś nadludzkiej natury świętości i mądrości, żeby dał radę; a tymczasem Papież każdy jest tylko człowiekiem, naturę ułomną, siłę niewielką przynosi na swoją stolicę każdy, choćby był najświętszym i najmądrszym z ludzi! W tem właśnie dowód oczywisty, w tem środek przekonania dotykającego, że Kościół jest dziełem Bożem i sprawą Bożą, że nie anioł, ani prorok, ni żaden duch wyższy, ale człowiek prosty ze swoją naturą i siłami, daje radę temu nadludzkiemu ogromowi zadań i obowiązków od wieków już dziewiętnastu. Musi mieć pomoc od samego Boga, musi Duch św. dawać mu światło i siłę, bo ludzka mądrość i siła nie wystarczą ani na tak wiele, ani na tak długo.

Ale w granicach ludzkiej natury stopnie są różne: a niezależnie od Boskich łask i pomocy, Leona XIII stopień czysto ludzkich uzdolnień i sił jest oczywiście bardzo wysoki. Cokolwiek jeszcze przyniesie mu przyszłość, lub w czemkolwiek potomność uzna że się zawiodł w nadziejach lub pomylił w rachubach, wszystko, co dokonał i co zaczął przez lat dziesięć swego panowania, świadczy, że na stolicy św. Piotra widzi świat człowieka niezwykłych rozmiarów.

W tem położeniu Kościoła, jakie Leon XIII zastawał, gdzie materyalnej pomocy znikąd być nie mogło a odwoływanie się do prawa i sumienia na nic się nie zdało, jakież on miał punkt oparcia i jaki środek obrony, oprócz siebie i Boga? Miał trzydziestoletnie panowanie Piusa IX i jego skutki. Żadnego Papieża nie zostawił

Bóg tak długo na pasterskim urzędzie, ale też żaden może nie dokonał za swoich rządów tak prędkiej, tak znacznej zmiany w umysłach i uczuciach wiernych. To odrodzenie katolicyzmu, które się w naszych czasach odbywa, nie zaczęło się od Piusa IX; wywołała je bezbożność zeszłego wieku i Rewolucya francuska. Ale w pierwszej połowie naszego wieku szło ono naprzód pomalu, choć nicustannie, wstrzymywane może spokojem czasów (od r. 1815 do 1848), może rodzajem usposobień i rządów Leona XII i Grzegorza XVI. Świadomość katolicka ocknęła się nadobrze i tak powszechnie dopiero za Piusa IX. Zapewne pod wpływem tych niebezpieczeństw, jakie przebywał on i Kościół, ale niezawodnie także i bardzo pod wpływem osobistym Papieża. Czy był w nim ten ludzki gieniusz, co czasem stwarza i zakłada nowy porządek rzeczy, taki jak był w Karolu Wielkim naprzykład? Nie zdaje się: tak jak z tego, co wiemy o Apostołach, nie zdaje się, żeby św. Piotr był wśród nich najpotężniejszy umysłem. Ale jak święty Piotr na trzechkrotne zapytanie „kochasz mnie?“ mógł z czystym sumieniem odpowiedzieć „Panie, wiesz, że Cię nad wszystko miłuję,“ tak w Piusie IX świat czuł instynktem miłość Boga nadewszystko i miłość ojcowską ludzi, miłość, w stopniu którego nikt może w naszym wieku nie dochodził. To była tajemnica jego potęgi, tego wpływu pociągającego i rozkazującego razem, jaki on na ludzi wywierał. Sumienie ludzkie widziało go zawsze doskonałym i niemylnym w wyborze między złem a dobrem; czuło i przekonało się, że on nigdy oczów na żadne zło, a serca na żadne cierpienie nie zamknie, i przez niego rosło zaufanie, rosło przywiązanie do Kościoła. Słuchało i kochało się zrazu Piusa IX, stopniowo

przywykało się słuchać i kochać Papieża, rozumieć, że to posłuszeństwo i to przywiązanie jest obowiązkiem. Jaka zaś była różnica w sile i w rozszerzaniu tych uczuć i przekonań, wskazuje najlepiej znaczenie i urok Papieża przy wstąpieniu na tron Piusa IX, i przy jego śmierci. Że nieszczęścia Kościoła z jednej strony, a z drugiej (jak słusznie niedawno zauważano¹⁾) szybkość i łatwość komunikacyi przyczyniły się do tej katolickiej propagandy, silnej i skutecznej jak rzadko, to pewna; ale jedne i drugie nie byłyby działały tak skutecznie, gdyby ten, który był głową i duszą Kościoła, nie był zarazem wielonem sumieniem i rozplomionem sercem świata. Dość, że nigdy od końca XVI wieku katolicyzm nie poczuł się tak w sobie a nie skupił w Papieżu, jak teraz za Piusa IX i przez niego; a i wtedy jeszcze, po Lutrze, kto wie, czy ta świadomość i to skupienie były tak dobre jak teraz, tak wolne i czyste od ubożnych świeckich rachub i celów.

Świadomość katolicka odrodzona gdzie była przygasła, zrodzona tam gdzie jej przedtem nigdy nie było, ogarniająca coraz szerszym kręgiem wszystkie części świata, a nie przestająca na uczuciach tylko lub przekonaniach, ale znajdująca się do obowiązków, do jawnego wyznania i czynnego działania, to była ta siła jedyna ale wielka, jaką Pius IX zostawiał swojemu następcy. Że jak w trudnym do złamania pęku z bajki wiele prętów, tak w tej sile było sił szczegółowych wiele, zbytecznie mówić: a niema co przypominać ani wzrostu Kościoła w Ameryce, ani przywrócenia hierarchii w An-

¹⁾ Smolka: „Z pobytu w Rzymie“ *Czas* Nr. 244, 245, 247 i 249 z roku 1887.

gii, ani tyłu zakonów i bractw, ani wzrostu katolickiej literatury i nauki, ani bułgarskiej unii, ani wyznawstwa biskupów i duchownych w Niemczech, ani wyznawstwa i męczeństwa biskupów księży i wiernych w Polsce i na unickiej Rusi. Ale jak w owym pęku musiał być w samym środku jeden pręt najtęższy, na którego mocy spierały się wszystkie inne, tak w tem odrodzeniu Kościoła za Piusa IX był jeden fakt, jego wyraz najlepszy i jego rdzeń, to Sobór watykański, jakoby przyływ krwi z całego organizmu do serca, i powrót jej odświeżonej, dzielniejszej, do wszystkich organów i kończyn: a w Soborze dopiero dogmat nieomylności Papieża. Pamiętamy wszyscy, jak wielu on niepokoił i trwożył; jak wielu katolików najgorętszych — ba, znakomitych biskupów, nie mogło się z nim oswoić. Dziś, kiedy dążenie to rozkładu Kościoła objawiło się tak wyraźnie, że nikt go przeoczyć ani zaprzeczyć nie może, dziś zapytajmy, jaki był i czy był inny środek zabezpieczenia jedności Kościoła i jedności wiary, jak wskazać wyraźnie i stanowczo ten środek ciężkości, do którego każdy ze swoim sumieniem i wiarą ma się odnosić i ciężyc. Mojżesz postawił miedzianego węża Izraelowi mrącemu z zarazy i głodu, dla nas tym wężem jest krzyż; ale nam trzeba prócz tego kogoś, coby wskazywał, gdzie on jest i w której stronie szukać go mamy, bo nasza zaraza inna jak tamta, na tem właśnie polega, że już nie wiemy gdzie patrzeć i szukać. A Bóg wie, jak ona się jeszcze wzmoże? jak w przyszłości mogłoby nam być trudno podnosić oczy do tego węża bez pomocy tego, kto zawsze niemylnie wie gdzie on jest, i umie go wskazać.

Silę katolicką brał Leon XIII spadkiem po Piusie IX, i wystąpiła ona jak żołnierz na wojskowym przeglądzie, kiedy po wstąpieniu na tron składała mu pierwszy hold. Ale choć wielka i najpotrzebniejsza ze wszystkich, była ona do użycia trudną. Była ona siłą uczucia głównie; miała naturalnie do pomocy siłę intelligencyi i nawet siłę pieniężną (czyniąc zadosyć w pewnej mierze potrzebom огоłoconych instytucyj kościelnych), ale nie miała tej własności, tego praktycznego skutku, iżby mogła dać Papieżowi wolne wykonywanie jego woli, wolne sprawowanie rządów Kościoła, a Kościołowi swobodne, regularne działanie jego organów. Gdyby Papież, dzisiejszy czy przeszły, był odwołał się do katolickiego uczucia wiernych, choćby był uczucie to rozgrzał do najwyższego, do bohaterskiego zapału, co byłby przez to osiągnął? Nie to czego Kościołowi właśnie było potrzeba: nie możność jakiego takiego rządzenia sprawami Kościoła przez Papieża i biskupów. Może wojnę religijną, może powstanie katolików w obronie Papieża przeciw sektom i prawom bezbożnym, to może Papież byłby zdołał dokazać. Ale tego nie mógł chcieć; a gdyby był chciał nawet, to przez to byłby dochodził do walki tylko, nie zaś do możliwego pełnienia koniecznych funkcyj kościelnego życia. To było rozprzężone zupełnie w Niemczech, w Polsce pod rządem rosyjskim, bardzo we Francyi, najgorzej we Włoszech, gdzie lada rozkaz Rewolucyi, lada uchwała Izb, lada rozruch uliczny wreszcie, mogły jednym zamachem i w jednej chwili zająć Watykan i dokonać rozprzężenia Kościoła przez wygnanie lub uwięzienie Papieża i kardynałów.

Ubezpieczyć jakotako Głowę Kościoła w Watykanie, a członkom jego dać możność regularnego (choć

słabego) oddechu i krążenia krwi, umożliwić materialne organiczne życie Kościoła: oto, co było w chwili śmierci Piusa IX pierwszą, główną, naglącą potrzebą. Życie duchowe było odrodzone i silne, ale jak wszystko na świecie, tak i Kościół ma swoje ciało i swoje fizyczne, żeby się tak wyrazić, warunki bytu. Te zaś były mniej lub więcej, ale wszędzie zburzone lub rozstrojone; trzeba było koniecznie jakoś je trochę naprawić i nakręcić, bo inaczej siłą ducha i uczucia jeszcze to jakiś czas pójdzie, ale niebawem zabraknie biskupów, księży, Sakramentów, nabożeństw, nauk, i wszystko stanie albo rozchwieje się i rozstroi, rozejdzie się, rozlezie, a gdzie-niegdzie może rozbryka.

W tym stanie rzeczy, co miał Leon XIII wybierać, czego jać się naprzód? Rzecz jasna, że skoro Kościół jest powszechny, to uniwersalność musi być cechą prac i starań każdego Papieża. Każdy musi mieć na oku i na pieczy wszystkie sprawy i potrzeby Kościoła, we wszystkich krajach czy częściach świata; i dawno trzebaby szukać w historii takiego, któryby cokolwiek świadomie był spuścił z uwagi lub zaniedbał. Ale w pełnieniu tego zadania są różne miary objęcia i energii; Leon XIII zaś okazuje się przez dziesięć lat niezmiennie jako umysł tembardziej zdumiewający, że łączy najrozleglejsze i najgłębsze pojęcie stanu świata i swego w nim zadania, z postępowaniem, w którym jest stanowczość i energia, ale jest i ostrożność i wyrachowanie. Jest mądry jako myśliciel, jako rządca jest praktyczny: i te dwa przymioty jego umysłu występują we wszystkich jego działaniach od początku, równolegle, a tak, że ani zmysł praktyczny nie przynosi szkody afirmacyi i obronie za-

sąd, ani niezachwiana afirmacja zasad nie przeszkadza wymijaniu lub zwyciężaniu praktycznych trudności.

Od czego miał zacząć? od tego oczywiście, żeby nie ustąpić nie z istotnych praw Kościoła i warunków jego bytu, żeby wystąpić przeciw urządzeniu społeczeństw świeckich na podstawie bezbożności, i żeby przywrócić Kościołowi byt nie już taki, jaki być powinien, ale tylko praktycznie możliwy, jakim w większej połowie Europy być przestał. W tych dwóch kierunkach postawione były pierwsze zaraz kroki nowego Papieża. Kiedy na pierwszym konsystorzu kardynałów (28 marca 1878 r.) pierwszy raz miał przemówić publicznie, oczekiwano z niepokojną ciekawością, co powie o głównych bieżących kwestyach świata i Papiestwa; jak oznaczy swoje stanowisko względem tych kwestyj, a przedewszystkiem względem Włoch. Oczekiwanie zawiodło. Przedmiotem pierwszej przemowy Papieża był wypadek radosny, tryumf Kościoła. Po trzech przeszło wiekach przesładowania, a w najlepszym razie ukrytego nieuznanego bytu, wracał Kościół do Szkocyi jawnie, prawnie, z zupełną organizacją swoich dyccezyj. Nie było to dziełem Leona XIII; rozpoczął je, prowadził i prawie dokonał Pius IX; ostatnie formalności tylko i podpisy zostawił swemu następcy. Ale niemniej było to dlatego dobrą wróżbą niejako i piękną odpowiedzią na dezorganizację Kościoła we Włoszech, w Niemczech i we Francyi, módz obwieścić światu, że on się krzewi i szerzy nawet tam, gdzie jego nienawiść była tak namiętna i fanatyczna; że znać nie przeszkadza on wolności i cywilizacyi, skoro hierarchię jego przywraca społeczeństwo i państwo, dość jednak daleko w cywilizacyi posunięte, a na wolności niegorzej podobno od innych się znające.

Ale niebawem zwrócił się Papież do tych kwestyj głównych, do walki bezbożności z Kościołem na wszystkich polach. Pierwsza Encyklika (*Inscrutabili*) z 21-go kwietnia 1878 r. chwyta właśnie tę samą rdzeń kwestyi, uderza w sam środek, kiedy wykląda, że społeczeństwo świeckie nie może być bez religijnej podstawy i duszy; że kiedy w sobie samem a nie w prawach Bożych szuka źródła i podstawy ładu i moralności, to znajdzie tylko rozkład i ostateczne barbarzyństwo; że kłamią bezbożne sekty i dążności, kiedy mówią, że Kościół nie godzi się z wolnością i cywilizacją, ale jej sprzeciwia.

Po tej Encyklice już świat wiedział, co Papież myśli o teorii rewolucyjnej, w polityce czy w filozofii, w nauce czy w literaturze. Co myśli o Rewolucyi praktycznej, w czynie, i o zaborze Państwa Papieskiego, dowiedział się z tejżesamej Encykliki, w której Leon XIII potwierdzał wszystkie protestacye swego poprzednika.

Stanowisko ogólne było więc wiadome i wyraźnie oznaczone. Osobiste uczucia Papieża względem wszystkich uciemiężonych lub prześladowanych, dały się znów poznać z wyboru Sekretarza Stanu. Został nim kardynał Franchi, polityczny wychowaniec (i jako taki jeden z najszlachetniejszych) Piusa IX, w ostatnich latach jeden z poufnych powierników jego myśli. Niestety wielkiem była jego śmierć, która nastąpiła tak rychło, zaraz w lipcu pierwszego roku panowania Leona. Miejsce jego zajął kardynał Nina: a kiedy objął swój urząd, Papież jak żeby chciał obwieścić światu program polityczny swoich rządów, ogłosił list, który do niego 27-go sierpnia był napisał.

Pierwsza Encyklika dawała poznać jego mądrość w rzeczach ogólnych i niezmiennych; ten list pozwalał

odgadnąć praktyczność w sprawach szczegółowych i przemijających.

Kościółowi trzeba było przywrócić możność bytu, możność oddechu tam, gdzie był dławiony! Papiestwu trzeba było przywrócić nie jego prawa, ale na tę najbliższą chwilę jakieś bezpieczeństwo; coś wynaleźć, co by imponowało włoskiemu rządowi i rewolucyi, i trzymało ich w pewnych karbach. Do pierwszego postanowił Papież dojsć cierpliwością! znosić co tylko i dopóki znosić można, katolików łagodzić i do cierpliwości wzywać, unikać zerwania z jakimkolwiek rządem, bo z zerwaniem stosunków może przepaść ostatek regularnych stosunków i funkeyj Kościoła. Tej polityki trzymał się Papież we Francyi naprzykład, choć ta dawała mu dość słusznych powodów zerwania, choć rwali się i drgali tamtejsi katolicy, niecierpliwie żując wędzidło. Napróżno. Cugle trzymane były krótko w ręku jeźdźca, który umiał taki krok nakazać, jakiego chciał. Ale oprócz Francyi były Niemcy, było nowe Cesarstwo ze swoim kanclerzem, w samym ogniu i w samej wściekłości tej walki niby cywilizacyjnej, nie wiedzieć dlaczego nierozumnie poczętej, ale prowadzonej bardzo rozumnie, to jest bardzo przebiegle a systematycznie.

W liście do kardynała Sekretarza Stanu znajduje się ustęp taki: „Pisaliśmy do potężnego cesarza Niemiec, które są przedmiotem szczególnej naszej troskliwości, z powodu smutnego położenia katolików w tem państwie... Słowa te nasze dały początek niejakiemu wspólnemu porozumiewaniu się i t. d.“ A więc zaraz po wstąpieniu na tron, w pierwszych czasach panowania, już ta myśl, żeby walkę religijną w Niemczech, jeżeli się da, ukończyć.

W jakim celu? gdzie ze wszystkich biskupów dwóch tylko zostawiono na stolicy, gdzie tysiące parafij bez księży, seminarya zamknięte, zakony rozpedzone; gdzie więzienia pełne są księży zamkniętych za to, że odprawiali msze lub udzielali Sakramentów, tam nie trzeba pytać, dlaczego Papież stara się o przywrócenie pokoju, a przynajmniej o folgę w prześladowaniu; jego cel i jego obowiązek jest oczywisty i nieunikniony. Ale że obok tego głównego mógł być drugi podrzędny, to można logicznie przypuszczać. Papież i najwyższy rząd Kościoła był, jak jest dotąd, na łasce rządu włoskiego; jeden jego rozkaz, jedno nawet mileżące zezwolenie przy pozornej neutralności lub niby niemożności hamowania gorących, wystarczy by napaść na Watykan i jedynym zamachem wszystko obalić. Zapewne, że jest przeciw temu niejaka rękojmia, nie w gwarancyach rządu włoskiego, ale w jego interesie i przebiegłym rozumie. Ale ta rękojmia sama jedna, to mało. Trzeba Papieżowi koniecznie kogoś drugiego, kogoby się rząd włoski bał, i z tej obawy nie śmiał ani sam osiągnąć się do zamachu, ani do niego dopuścić. Dawniej była tym kimś Francya, ale dziś być nie może, a choćby mogła, nie chciałby jej rząd i większość jej parlamentu. Dziś kogo Włochy najbardziej potrzebują, bez kogo nie mogą nie zyskać a może niejedno stracić, komu najbardziej się podechlebiają? zatem kogo się najbardziej boją? Oczywiście Prus. Gdyby się udało względem na Prusy, obawą Prus, trzymać je w szachu? To pewna, że nikogo innego w Europie do tego celu znaleźć i użyć nie można. Wziąć odwiecznego nieprzyjaciela, produkt, spadkobiercę, i wcielenie myśli Lutera, filar protestantyzmu na kontynencie i wyobrażenie omnipotencyi państwa przeciw Kościołowi,

wziąć wieczystego zdrajcę a dziś otwartego i zajadłego prześladowcę Kościoła, i nim zasłonić się przeciw nieprzyjacielowi nowemu, doraźnie i materyalnie najbliższemu i najgroźniejszemu, myśl była śmiała a skutek bardzo niepewny. Jednak wyboru nie było; Leon XIII chwycił się tej myśli, chwycił się jej, pomimo, że wiedział dobrze, z kim ma do czynienia; pomimo, że znajomość ludzi i dziejów uczyła go niejednem bolesnem doświadczeniem, że za taką, nawet pośrednią, nie nie kosztującą, owszem korzystną usługę, i swoim zwykle, a jakże dopiero obcym i nieprzyjaciółom drogo płacić przychodzi. Wiedział to wszystko, i przewidywał, że z takich układów bez żadnej straty wyjść nie zdoła. A jednak wdał się w układy, bo nie miał w tej chwili innego sposobu na przerwanie prześladowania w Niemczech, i na zabezpieczenie Papiestwa w Rzymie.

Że nie bez skutku, to wiemy. Ale początek tych układów od ich końca przegradzały długie lata, w ciągu których swoim porządkiem szły inne sprawy, inne prace które tu pokrótce przypomnieć należy. Przypomnieć, nie oceniać, ani nawet wyliczać, bo na to brak nam miejsca czasu. A więc po przywróceniu hierarchii w Szkocyi, przywrócenie jej (raczej po tak długiej przerwie stworzeniem można nazwać) w Bośni i Hercegowinie (1881); szczęśliwe zakończenie sporów między Ormianami katolikami, powrót tych między nimi, którzy się byli oderwali od Kościoła, i Kollegium Ormiańskie założone w Rzymie (1880—1883). Na głębokim wschodzie, załatwienie sporów między katolikami ehaldejskiego obrządku i połączenie ich pod jednym patryarchą; w Persyi wyjednana Kościołowi obrona i swoboda od rządu: do ostatnich krańców wschodu, do Chin i Japonii sięga ta czynność i ta

opieka, i zawiązuje bezpośrednio z tymi cesarzami sto-sunki na obronę misyonarzy. W Ameryce na synodzie w Baltimore (1884), zasiada siedmdziesięciu przeszło biskupów i trzydziestu kilku prowincyałów zakonów; synod biskupów australskich zebrany w Sydney (1885), protestuje przeciw zaborowi dóbr Propagandy i nazywa ten zabór tak po imieniu, jak nie śmiał nikt podobno w Europie... co za rozszerzenie wspaniale i niewidziane, co za zdobycze nie do uwierzenia na morzach i światach, gdzie przed stu laty zaledwo kto o Rzymie i o Papieżu słyszał! nie za naszych czasów poczęte, ale w naszych oczach dokonane i objawiające się! Co zaś w naszych oczach poczynać się zdaje, to pierwsze dreszcze niepokoju lub łaski w łonie odwiecznej schizmy greckiej; co w naszych oczach widoczne już, to pierwsze kroki schizmy słowiańskiej do powrotu, a starania dzielne około utrzymania w jedności tej, która dawno była wróciła: to Bułgaria, to Ruś galicyjska umocniona nowym metropolitą, nową dyecezyą i biskupem, poczętem odrodzeniem Bazyliańskiego zakonu, Internatem ruskim we Lwowie (choć to w porównaniu drobne); wreszcie to Słowiańszczyzna katolicka cała, obu obrządków, wezwana do Rzymu i przyjmująca błogosławieństwo Papieża, to wywyższenie jej pierwszych apostołów w czei powszechnego Kościoła; to wielka pielgrzymka słowiańska na tysiącletnią rocznicę śś. Cyrylla i Metodego.

Ah, a ta Słowiańszczyzna, która znosi prześladowanie, i ta dopiero, co za wierność swoją znosi krwawe męczeństwo, Kościół polski i ruska Unia na Podlasiu i Chełmszczyźnie? Jeżeli można wierzyć temu, w co wierzą katolicy na zachodzie i południu (prawda, że względem Rosyi niekiedy zbyt łatwowierni), to śmierć

Aleksandra II wypadłoby nam uważać za wielkie nieszczęście, bo nastąpić miała w chwili, kiedy na skutek listu Papieża z r. 1880 miał się skłaniać do jakiejś dla polskiego Kościoła, a nawet dla społeczeństwa świeckiego ulgi. Za jego syna, za rządów narodowej i religijnej nienawiści posuniętej do fanatyzmu, za rządów, które prześladowanie i tępienie mają za swoją od Boga niby misyę, od Rosyi Katkowa, Tolstoja i Aleksandra III czegoż można było spodziewać się i żądać? Leon XIII wiedział doskonale, że tam prześladowanie w najlepszym razie zmieni na czas pozory i formy, ale celów swoich nie zrzeknie się nigdy; wiedział, że żaden układ nie będzie zawarty w dobrej wierze, ale każdy ominięty wykrętnie i niedotrzymany; wiedział, że żaden biskup nie będzie mógł ani dyecezyą swobodnie rządzić, ani z nim się znosić, a każdy narażony będzie ustawicznie na uwięzienie lub wywiezienie. Wiedział to wszystko, a jednak układ podpisał, a jednak zgodził się na usunięcie biskupów-wyznawców — (a choć bez rozlewu krwi męczenników) — Felińskiego, Krasieńskiego, Rzewuskiego... Dlaczego to zrobił? Dlatego, że gdyby tych był chciał na ich stolicach utrzymać, nie byłby osiągnął nic; że gdyby ich wierność i stałość był nagroził zasłużonym kardynalskim kapeluszem, to zemsta za to spadłaby na duchowieństwo i wiernych ich dyecezyj; bo myślał i mówił, że choćby biskupi nowi w najgorszym położeniu, z największym trudem i przez czas choćby najkrótszy, tylko część jakąś swego zadania spełnić mogli, to już przez tę pewną liczbę wyświęconych księży, przez seminaria, przez dozór i karność, przez przykład gorliwych i świątobliwych biskupów wzmocni się Kościół choć trochę, a to wzmocnienie pozwoli mu znouu

jakiś czas wytrzymać złe losy, poczem może Bóg się zmiłuje i ześle jaką ulgę. Zawarł więc układ, a skutkiem tego układu obsadził wszystkie dyecezye, pokrzepił cały organizm polskiego Kościoła. Ci biskupi — z wyjątkiem jednego wywiezionego ¹⁾ — są; a choć skrupowani, działają przecie i dają z siebie wielki przykład roztropności i gorliwości. Żyją w warunkach nieznośnych a prawie niemożliwych, ale żyją — i życie w Kościele, w duchownych i świeckich utrzymują i krzepią. W porównaniu z tem czem stanowisko Kościoła być powinno, i w porównaniu z ogromem rosyjskich ucisków i prześladowań, jestto oczywiście smutne *minimum*, ale jest tem co najpotrzebniejsze, i jest *maximum* tego, co bez fizycznej przemocy lub jej własnej fizycznej niemocy od Rosyi otrzymać się dało.

A że jeżeli dla łacińskiego Kościoła nic więcej, to dla unickiego nie mógł Papież otrzymać nic zgoła to jasne. Tamtego Rosya nie popuści, chyba że ją Bóg nawróci cudem, albo ręką jakiego mocarza ukarze i upokorzy. Teraz Papież i Kościół stoją nad tymi Unitami tak, jak stoją czasem rodzice nad dzieckiem konającym, zgubionem... niema rady, niema ratunku, niema ludzkiego rozumu, dziecko musi zginąć, a ojciec nie może mu nic pomódz, tylko stoi bezwładny z opadłemi rękoma i szeptem: „Boże zmiłuj się“.

Czasem się Bóg w takich razach lituje.

Materyalne rozszerzenie wiary i Kościoła, gdzie jest możność potemu, materyalna jego obrona tam, gdzie jest gnębiony, to jedna połowa zadania i dzieła Papieża. Ale jest druga nie łatwiejsza; to obrona Kościoła w każ-

¹⁾ Biskupa wileńskiego ks. Karola Hryniewickiego.

dym umyśle, w każdym rozumie, w każdym sumieniu zosobna; to wprowadzenie nanowo jego zasad i nauk w świadomość, w krew, w szpik kości naszych społeczeństw; to katolickie odrodzenie świata przez oświecanie rozumów i prostowanie przekonań; walka z bezbożnością o przekonania, o rozumy, o sumienia ludzkie, a przez to o ludzką wolę; przygotowanie lepszej przyszłości świata przez lepsze zrozumienie istoty społeczeństwa i warunków jego bytu. To druga połowa dzieła, i ta, w której Leon XIII okazuje się może większym, niż w pierwszej.

III.

W tem wstrząśnieniu wszystkich pojęć człowieka o sobie samym i wszystkich swoich stosunkach i związkach, za którem poszło wstrząśnienie wszystkich tych stosunków i praw, a które jest wielką chorobą wieku i źródłem jego cierpień; w tem zamieszaniu powszechnem, gdzie każdy człowiek i każde społeczeństwo na swój sposób szuka i pyta, jakie są prawdziwe podstawy i warunki jego bytu, i na swój sposób pojmuje i opisuje wolność, władzę, własność, rodzinę, społeczeństwo i państwo; gdzie każdej z tych podstaw i form bytu człowieka na ziemi każdy przypisuje inną treść, inne granice i inny początek, a skutkiem zamieszania w pojęciach jest i zamieszanie w dążeniach i sprzeczność, a następnie namiętność i mienawiść, nie ma ważniejszego i bardziej dobroczynnego zadania, jak rozjaśnić te ciemności, a w tym labiryncie wytknąć prostą, prawdziwą drogę. W trzęsieniu ziemi żyje nasz wiek, podobnem ale gorszem od tego w jakim chwiał się i kołysał wiek XVI. Gdzie jest miejsce bezpieczne i stałe?

gdzie jest równowaga pewna? i jaka jest ta prawda o człowieku i społeczeństwie, o wolności i o władzy, o prawie i o obowiązku, o porządku i nierządzie? jaka ich natura, jak i dlaczego jedno w drugie przechodzi? kto by tę prawdę wskazał, nie zdołałby zapewne światu równowagi przywrócić odrazu, ale wskazałby jej warunki: a te zrazu choć przez niewielu tylko zrozumiane, z czasem może dałyby się zrozumieć powszechniej i rzetelniej, i znalazłoby się lekarstwo na wielką chorobę, ustaloby trzęsienie, a powierzchnia ziemi ustawiłaby się do równowagi.

Kościół, który sam w sobie, w swojej naturze, tych sprzeczności nie nosi i tym walkom nie podlega, ale od początku swego patrzy na wszystkie sprzeczności i walki wynikające z natury ludzkiej, a naturę ludzką zna lepiej niż ktokolwiek, bo w tej znajomości pomaga mu i przyświeca Ten, co człowieka stworzył; Kościół w tych wszystkich kwestyach, które nas rozpalają do namiętności a mięszają aż do obłędu, ma tę mądrość spokojną i jasnowidzącą, która ujmuje i trzyma, pojmuje i wyklada niezmiennie, to, co w każdym prawie, w każdym stosunku, w każdej formie jest istotne, przyrodzone i konieczne. On zna istotę i naturę wolności, zna początek i granice władzy, zna wszystkie prawa i wszystkie konieczności jak obowiązki wynikające ze wspólnego społecznego życia ludzi; wie, że ich istota może się zgodzić z każdą formą zewnętrzną, i że wszystkie te formy mogą być dobre, byle istoty nie naruszały i nie gwałciły. Ale istotę rzeczy pojmuje zawsze jednako, zawsze jasno, poprostu, zrozumiale. Jak w wiekach średnich kościelne definicje praw władzy zwierzchniej i poddanych i ich wzajemnego stosunku,

były najprostsze i najmędrze, bo na naturze ludzkiej i naturze rzeczy oparte, tak do dziś dnia zachowały tę samą jasność, tę samą praktyczną mądrość, tę samą psychologiczną, polityczną i moralną prawdę. W chaosie naszych wyobrażeń i walk — zwłaszcza społecznych — przypomnieć te proste i niezienne ale zapomniane prawdy, wyłożyć zasady i warunki organizacyi społecznej, wynikające z natury ludzkiej, a przeto jak ona niezienne w swojej istocie, choć zmienne w formach, to było powołaniem i obowiązkiem Kościoła, ale zarazem i wielkiem jego dla ludzkości dobrodziejstwem.

Papieżem-dyplomata nazywano Leona XIII, kiedy go widziano w układach z nieprzyjaciółmi Kościoła; nam zdawałoby się, że on jest raczej Papież-myśliciel i doktor. Przez całe życie musiał w wielkiej pracy ducha rozmyślać nad kwestyami, które dręczą nasz świat; aż kiedy z powołania wypadło mu do całego o nich mówić, przemówił tak, że tych jego nauk zbiór z pewnością stanowić będzie niespożyty i niewyczerpany dla Kościoła *corpus* nauki o stosunku Kościoła do społeczeństw świeckich. Żaden może Papież nie był w takiej jak ten konieczności zgruntowania i wyłożenia tej kwestyi: ale też żaden może nie przedsięwziął tego tak systematycznie i na tak wielką skalę. I z pewnością na Encyklikach tłumaczących tę kwestyę, oprze się kiedyś powaga i sława Leona XIII jako wielkiego w Kościele doktora, tak, jak dziś już z nich powstała sława wielkiego myśliciela, wielkiego zuawcy współczesnych społeczeństw i natury ludzkiego społeczeństwa w ogólności; sława wielkiego uczonego, przytem wykarmionego i wyostrzonego filozofią, i pisarza, który szlachetnością i pięknnością formy przypomina najświetniejsze czasy humanizmu.

Encyklika pierwsza (*Inscrutabili*) była jakoby ogólnym wstępem do tego wykładu: za nią poszły jak rozdziały szczegółowe tegosamego dzieła, Encyklika z 28 grudnia 1878 roku. (*Quod Apostolici Muneris*), której przedmiotem jest socyalizm, jego skutek anarchia, i jego związek z wolnem mularstwem, zawsze przez Kościół potępianem. Wszystkich wyliczać nie możemy; przypominamy tylko, że w roku 1880 Encyklika *Arcanum Divinae Sapientiae Consilium* rozbierała kwestyę innej podstawy społeczeństwa, rodziny, a mianowicie małżeństwa kościelnego i cywilnego, i rozwodów. Encyklika z 29 czerwca 1881 roku *Diuturnum illud* zdawała się brać pochop ze śmierci Aleksandra II, żeby panującym przypomnieć, czem grozi im samym społeczeństwo wychowane w negacyi Boga i Kościoła, a w widoku bezprawi i gwałtów. Pomijamy niejedną, żeby wspomnieć najbardziej tylko uderzające, jak *Nobilissima Gallorum gens* (1884) z nauką dla katolików francuskich (i wszystkich), jak się zachować mają pod rządem przeciwnym ich uczuciu i przekonaniu, i pod rządem prześladującym: i *Humanum Genus* (1884) z nowem potępieniem mularstwa, z wykładem jego istoty i celów. Ostatnia z rzędu, a może najważniejsza, *Immortale Dei* (z 1 listopada 1885 r.), miała za przedmiot początek i prawo władzy, i stosunek państwa do Kościoła; kwestya od wieków średnich na porządku dziennym historyi i politycznej filozofii, kwestya przez średniowiecznych doktorów obrabiania zawsze. Dziś niemniej pałaca, niemniej złączona ze wszystkimi wypadkami współczesnej historyi, niemniej klucz do rozwiązania wielkiej zagadki równowagi i spokoju. Wyłożona zaś ze znajomością rzeczy i jasnością tak niezwykłą,

że w rządzie tych wielkich myślicieli, co od Aristotelesa poczynawszy, zajmowali się filozofią praw i warunków bytu ludzkich społeczeństw, historia będzie musiała wspominać Leona XIII — tak, jak wspomina św. Tomasza — będzie musiała uważać go za spadkobiercę tego doktora i jego następcę; za jednego z głównych reprezentantów katolickiego systemu socjologii.

Ale jeden wykład zasad choćby najznakomitszy, nie wystarczy; potrzeba praktyki i potrzeba wychowania w tych zasadach. Tę praktykę ma Papież na oku: i w swoich Encyklikach (naprzykład *Auspicato Concessum* (1882) albo *Supremi Apostolatus* (1883) przykazuje miłosierdziem, nauczaniem, ubóstwem dobrowolnem, działać przeciw nienawiściom i pokusom socjalizmu; tę praktykę zwłaszcza ma na oku, kiedy zaleca i gorąco bierze w opiekę wszystkie stowarzyszenia i bractwa, zawiązujące się dla oświecania, kształcenia ubogich (zwłaszcza wyrobników), ale w chrześcijańskim duchu, w uczuciach zgody i życzliwości, a nie zawiści względem materialnie szczęśliwszych. Niejeden umysł głębszy patrząc na dzisiejszy stan świata, przewiduje, że on się skończy jak świat rzymski zalewem barbarzyństwa, ale nie z nieznanych krajów, tylko z głębi naszych własnych społeczeństw. Zalew ten zburzy wszystko co jest, a potem dopiero jak średniowieczne niegdyś, tak w przeszłości to barbarzyństwo Kościół weźmie i do nowej lepszej cywilizacji wychowa. Przewidywanie bardzo logiczne. Ale ta praca przeszłości, ta praca cywilizacji chrześcijańskiej, zaszczipianej w ciemnych i wydzie dziczonych, zaczęła się zawczasu, przed katastrofą, i prowadzi się już przez zakony i misye (Misyonarze, Salezianie, Siostry Miłosierdzia i wszystkie ich naślado-

wania, polskie Felicyanki i t. d.), przez stowarzyszenia katolickie rzemieślników, przez literaturę za granicą (nie u nas niestety) bardzo rozwiniętą i czynną. Że nie prowadzi się bez skutku, dowodzą choćby tylko te deputacye francuskich rzemieślników, które Ojcu św. przyjeżdżają składać hołdy; a słusznie jemu, bo dzieł takich był od młodości członkiem i inicjatorem, jest dziś gorliwym patronem. Jednym z pierwszych aktów jego po wstąpieniu na tron, było pismo do jednego z takich stowarzyszeń we Francyi (*Société Olivaint*); najbardziej wszakże znaczącem jest stanowisko zajęte przez Rzym względem amerykańskich *Rycerzy Pracy*. Potężne to stowarzyszenie rzemieślnicze, z katolików złożone, liczące do miliona już członków, ma za cel obronę pracy przeciw kapitałowi. Biskupi w Kanadzie osądzili stowarzyszenie za socyalistyczne, zakazali go i zagrozili klątwami. Ale biskupi Stanów Zjednoczonych ujęli się za stowarzyszeniem. Kardynał Gibbons dowiódł w obszernym memoryale, że ten związek nie ma nic wspólnego z pogańskim i przez Kościół potępionym socyalizmem, i w Rzymie *Rycerze Pracy* wygrali sprawę przeciw kanadyjskim biskupom.

Wychowanie? Z gruntu fałszywych pojęć wyrosły wszystkie nasze dzisiejsze obłądki i nieszczęścia. Dawne pogaństwo i nowoczesny racjonalizm połączyły się z sobą chemicznie, i wydały jako produkt filozofię, która rozmaicie ale zawsze fałszywo uczy człowieka pojmować siebie, swoją istotę, i swoje przeznaczenie. Odkrywa się zawsze z czasem nieprawda i czezość każdego systemu, ale w miejsce odrzuconego występuje inny niemniej fałszywy, a wszystkie razem wytworzyły powszechną nad światem atmosferę paradoxu, którą

wszyscy oddychamy — nawet ci, co nie chcą — a z nią wciągamy wyziewy mgliste i odurzające, które nam jasność myśli mącą, i do prostych prawd prostą drogą rozsądku dochodzić nie dają.

To także jeden z korzeni złego, do którego siekierę trzeba przyłożyć; trzeba wykształceniu powszechnemu, oświacie powszechnej, dać podstawę pojęć filozoficznych, prostych, zgodnych z rzeczywistością, z naturą człowieka i z Bożą o nim myślą. Naprzeciw wszystkich filozofij pogańskich lub po niemiecku racjonalistycznych, materyalistycznych i nihilistycznych, trzeba postawić filozofię chrześcijańską, i w tej przyszłe pokolenia chować. O marności tantych przekonało się wielu, a to przekonanie przygotowało ich dobrze do przyjęcia czegoś rzeczywistego i rzetelniejszego. I widzi się niespodzianie to, czemu od trzech wieków nikt nie byłby wierzył. Filozofia średniowieczna, ta zapomniana i wzgardzona, ta niby ciemna i śmieszna, ta mumia zachowana dla ciekawości w gabinecie archeologicznym filozofii, kryła w sobie jednak prawdy, do których nam trafić tak trudno? Zdawała z nich sprawę jasno i określała je dobrze? W tejsamej chwili, kiedy filozofia bezbożna dochodzi do negacyi ostatecznej, i staje się „filozofią nieświadomości“ a zaprzeczeniem wszelkiej godziwości lub niegodziwości, wstaje naprzeciw jak zmartwych filozofia chrześcijańska, nie spowita jak dawniej ciasno w formułki i subtelności, ale wyostrzona i zbogacona wszystkimi zasobami i sposobami, jakie wieki przyniosły, i dopomina się, domaga się swego prawa i swego miejsca między naukami, mówi: że ona jest także (i ona jedna naprawdę) *causarum cognitio*. A nie to dziwne, że ją jedni przyjmują z zapalem

i czią, ale to, że drudzy tego miejsca zaprzeczyć i odmówić jej nie mogą.

W tem odrodzeniu chrześcijańskiej filozofii, Leon XIII ma część największą zasługi i inicjatywy. Przed czterdziestu laty, kiedy nikomu ani się śniło jeszcze, on w swoim seminaryum, później w swojej akademii w Perugii, wskrzesił to studyum, a z papieskiego tronu on uczynił je powszechnem w całym katolickim świecie. Encyklika *Aeterni Patris* (5 sierpnia 1879 r.) dała hasło; a jeżeli z czasem pokolenia na takiej filozofii chowane, będą rosły prościej a żyły szczęśliwiej, bo ich pojęcia będą jaśniejsze, a wola więcej niż nasza poddana sumieniu, do Leona XIII jako do początku tego dobra, tego prawdziwego postępu, będą miały zwracać się z dziękczynieniem.

Ale na filozofii niedosyć. Historia także zarażona duchem niechrześcijańskim, sama wielorako sfalszowana, fałsz szerzy i do jego panowania się przyczynia. I jej drogi trzeba sprostować, i ona musi się exoreyzinować z fałszu, sama, własnymi rękami i siłą historycznej prawdy. Innej obrony dla Kościoła w historii Leon XIII nie szuka, nie potrzebuje; na tę liczy z ufnością i pewnością. I śmiało odrazu jedną ręką otwiera światu przystęp do watykańskich archiwów, a drugą (w piśmie do kardynała Hergenröthera 18 sierpnia 1883 roku, do arcybiskupów i biskupów piemontckich i lombardzkich z 25 stycznia 1882 roku) wskazuje naukę historii jako konieczność dla Kościoła, jako środek obrony przed potwarzą, jako środek walki z przeciwnikiem, tarczę i oszczep zarazem. Wspaniałe te pisma godneby były przytoczenia w całości: ale kiedy niestety nie przytaczać nie możemy, to powiemy tylko, że od wieków nie

widziało się Papieża, któryby był takim dzielnym patronem, takim miłośnikiem, takim prawdziwym odrodzicielem nauk. Nie ma mocy ni środka podnosić je w zakładach świeckich: ale tam, gdzie może, od duchownych, żąda ich koniecznie, i wiele, i wszechstronnie. Czy dlatego tylko, że jak jego poprzednicy z czasów humanizmu, rozmiłowany jest w piękności i zacności nauki jako takiej? Jest nim zapewne, ma upodobanie nawet w ozdobnych formach, cóż dopiero w mądrej treści. Ale nie o to chodzi mu głównie. On wie, że Kościół w walce potrzebuje zbroi; że napadany przez wszystkie nauki razem, musi ich własną bronią napaść odpierać; że jeżeli chce walczyć ze skutkiem, to musi być tak uczony jak przeciwnicy, żeby zawsze przejrzeć i zbić zdołał, co w ich nauce blahe albo fałszywe. Prostaczków uczyć katechizmem i przykładem, to wiele, ale to niedosyć: bo oprócz prostaczków są wykształceni i są uczeni, którzy mają także dusze do zbawienia, sumienia do naprostowania; i umysł nie ćwiczony względem tych swego obowiązku pasterza i apostoła nie wypełni. A nadto wyrób myśli i wiedzy tych właśnie wykształconych i uczonych, dostaje się do ogółu stopniowo, przenika go, pojęcia i sumienia wszystkich aż do prostaczków krzywi albo prostuje, wedle tego, czy sam jest krzywy lub prosty. I dlatego księża potrzebują przynajmniej tyle nauki co świeccy; dlatego Leon XIII przykazuje w rzezonem piśmie, żeby się stan duchowny nauką i wykształceniem (*doctrinarum cognitione*) odznaczał, żeby nawet dobrem wychowaniem (*urbanitate*) świecił; żeby pamiętał, że wielki wróg Chrystusa, Julian Apostata, dobrze wiedział co robił, kiedy chrześcianom zakazywał ćwiczyć się w naukach wyzwolonych.

Wielkie rzeczy ten Papież rozpoczął i wiele ich dokonał; będzie go znać, będzie o nim słyhać w historii.

Czy zakończenie sporu religijnego w Niemczech jest, jak niektórzy twierdzą, jego dziełem największem? Nikt tego dziś wiedzieć nie może, bo nikt nie zna ani skutków, ani nawet przebiegu tej sprawy we wszystkich jej przejściach i czynnikach. Kiedyś dopiero historia powie i osądzi z aktów, czy można było w tej lub owej chwili postąpić inaczej; czy można było otrzymać lepsze warunki ugody. Dziś wiemy tylko, że zawieszenie broni było konieczną potrzebą Kościoła, ze względu na stan jego w Niemczech; że było wskazane i przydatne ze względu na stan jego we Włoszech. Zniważenie zwłok Piusa IX i zabór majątku Propagandy, objawiły wszem wobec, jaka jest wartość rękojmi włoskiego rządu, i jakie każdej chwili niebezpieczeństwo Papiestwa.

Niemniej jasne, że potrzebował ugody rząd pruski także; a kiedy się opatrzył, że bez powodu i celu nieodrzecznie sprawę tę wywołał (może do tego zastanowienia pomogły mu zamachy na życie cesarza Wilhelma?) chciał się z niej wycofać. Że był przebiegły i zręczny jak zawsze, że słowa dotrzymał i „do Canossy nie poszedł,” to prawda; i naturalną jest troska, czy on nie odniósł większych korzyści z ugody, aniżeli Kościół. Ale nie trzeba przebierać miary w troskliwości i obawie, zwłaszcza, jeśli jest ją czem uspokoić. Kato-licy niemieccy pod pierwszem wrażeniem tego frasunku mieli złorzeczyć wyspom Karolińskim, jakoby one, jakoby spór o nie między Niemcami a Hiszpanią, poddany polubownie pod sąd Papieża, był zręcznym w ręku księcia Bismarcka podstępem, obrachowanym na podejsście

i złudzenie Leona XIII, na ujęcie a prawie przekupienie go temi pozorami wielkiego stanowiska Kościoła, jako rozjemcy i arbitra między panami chrześcijańskimi. Że zamiar był taki, to wszyscy wiedzą, a nikt nie wątpi. Ale, że mimo zamiaru i wiedzy, ks. Bismarck stworzył tym sądem polubownym położenie dla Kościoła nadspodziewanie korzystne, to także prawda. Naprzód przed całym światem wyznawał przez to Cesarz nie-niecki Papieża jako monarchę; powtóre, poddaniem swojej sprawy pod jego powagę i sąd, uznawał i w oczach świata podnosił tę powagę. Sam w nią nie wierzył i chciał ją podejść tylko; sprawy, o którą naprawdę dbał, nie byłby puścił niepewny los polubownego sądu? tak jest oczywiście. Ale niemniej oczywiście zaszedł fakt, że Papież był arbitrem w sporze państw świeckich, arbitrem wezwanym i uznanym przez pierwsze z państw protestanckich i głowę protestanckiego wyznania. Po tym fackie nie mogą przeczyć, że Papież ma górujące w świecie stanowisko, że ma charakter królewski a urząd jakiś osobny, jedyny, wyjątkowy. Nie powoływali go na arbitra jako panującego, bo mu panowanie zabrano; nie jako sprzymierzeńca, bo z nim właśnie walczyli; nie jako świeckiego księcia, bo tego nie potrzebowali szukać tak daleko; powołali go dlatego, że jest Papieżem, a przez to niechęący, nie wiedząc co robią, oddali świadectwo jego stanowisku, wyznali jego powagę, wskazali jego w świeckich sprawach znaczenie i przeznaczenie. Że nie to zrobić chcieli, to się rozumie: ale *mentita est iniquitas sibi ipsi*. A w tym stanie naszego świata, gdzie Papież właśnie pozbawiony jest określonego, materyalnego i prawnego stanowiska, gdzie jest jakoby zawieszony w powietrzu,

takie przyznanie i stwierdzenie jego powagi wyjść musiało i wyszło na jej utwierdzenie i wzmocnienie.

Co zaś do samych warunków ugody z Prusami, niedziw, że katolicy niemieccy i inni patrzali na nie z obawą i frasunkiem; że pytali: czy państwo (a protestanckie do tego) nie dostało w rękę narzędzia, którego dziś z rozwagi i planu nie używa, ale które przykręci skoro zechce, i Kościół niem ściśnie jak w kleszczach. Potem ta troska druga, czy za tym przykładem inne państwa po kolei nie zechcą domagać się przywilejów podobnych dla siebie: a jak odmówić drugiemu, co się już jednemu przyzwolilo? Dalej obawa, czy większa niż dawniej zależność księży od rządu, nie wpłynie źle na słabszych między nimi, i różnemi pokusami nie doprowadzi do powolności i uległości większej, niż się należy i godzi? Bolesny także widok tych biskupów wiernych i dzielnych w obronie, jak piękniej nie można, silne filary Kościoła i jego świetne ozdoby, odsuniętych od dyecezyj, które przykładem i rządem swoim wynieśli do rządu najlepszych w Kościele. Ludzka wreszcie, ale niemiała boleść i upokorzenie tych katolików świeckich, którzy dziś są z pewnością zastępem wyborowym, prawdziwymi tryaryuszami armii walczącej przeciw bezbożności, zmuszonych złożyć broń, której im nieprzyjaciel nie złamał ani nie wytrącił, i przyjąć kapitulację, której warunki są twarde, a im wydają się niecałkiem bezpieczne. Frasunków takich powstaje wiele, a zupełnej na nie pociechy i uspokojenia nie ma. Ale są częściowe wprawdzie, jednak wielkie. Ta pierwsza, że cokolwiek nam się wydaje, Papież lepiej od nas wie, w czym i o ile ustąpić może, a my swoje zdanie pod jego uznanie poddać nietylko powinniśmy, ale mo-

żemy z zupełnym spokojem i ufnością. Ta druga, że ta powinność właśnie, to poddanie się tak niełatwe, było zrozumiane tak powszechnie, a spełnione tak jednomyślnie i doskonale, zwłaszcza przez katolików niemieckich, którzy wszystkim innym dali przykład budujący i prawdziwie wielki. Zawarty pokój może być mniej lub więcej korzystnym; ale ta postawa katolików jest tryumfem Kościoła, i dowodem ile mu przybyło siły. Obsadzenie biskupstw i parafij, otwarcie seminaryów, powrót zakonów (choć nie wszystkich), przywrócona organom Kościoła możność pełnienia funkcji im przyrodzonych i przywrócenie organizmu samego do stanu nie zdrowia zapewne, ale znośnej konwalescencji, to jak było głównym powodem, tak jest i głównym pożytkiem ugody. A co do przyszłości? nie ma tego na świecie układu, któryby nie miał stron złych i z którego jakaś wynikłość zła nie mogłaby się przewidywać lub nawet rzeczywiście nastąpić. Ale kto roztropny, ten naprzód myśli o niebezpieczeństwie najbliższem: nie przypuszczalnem, ale pewnem i niechybnem; nie tem, które przyjsć może, ale tem, które przyjsć musi, i to uprzedza, to usuwa, od tego chroni się naprzód. Dla Leona XIII, który przed Bogiem odpowiedzialny jest za Kościół, takim było niebezpieczeństwo dusz pozbawionych środków zbawienia, i drugie, niebezpieczeństwo rozprzężenia Kościoła. Na to radzić musiał, i zaraz. A jeżeli przyszłość przyniesie nowe niebezpieczeństwa, to przyniesie też rady i środki jak się od nich bronić, jak przyniosła je terażniejsza chwila na dzisiejsze walki i groźby, dla dzisiejszych ludzi.

Czy dla wszystkich? Dotykamy najboleśniejszego i najdrażliwszego razem pytania. Z pod ogólnych wa-

runków religijnej ugody, wyjęte są dyecezye polskie pod rządem pruskim: Gniezno i Poznań nie mają seminaryów, kardynał-prymas Ledóchowski (a więzien z Ostrowa), i jego suffragan biskup Janiszewski, oddaleni od rządów dyecezyi: na stolicy św. Wojciecha, na prymasowskiej stolicy polskiego Kościoła biskup sprowadzony z innego kraju... Rząd pruski chciał, żeby nawet ta ugoda z Kościołem służyła mu do szatańskiego dzieła zagłady polskiego plemienia i ducha, a Papież w tem mu się opierał, ale nie oparł do końca.

Że w rządzie naszych polskich udręczeń i upokrzeń to nie jest najmniejsze, któżby przeczył! owszem, miejmy odwagę powiedzieć to głośno i wyraźnie. Nasze to już przeznaczenie w tym wieku, upośledzenie i wydziedziczenie we wszystkim; na wszystkich się zmiele, ale na nas musi się skrupić. Skrupiło się i teraz, a dalszych skutków boimy się bardzo. Boimy się, że w rozpoczętem, a niedość jeszcze posuniętem i utrwalonem dziele katolickiego odrodzenia Polski, ten fakt może się stać przeszkodą wielką, bo narodowe uczucie jest w nas silne, i za nie może nas kusić niejeden nieprzyjaciel Kościoła, mówiąc: „oto was Papież opuścił i Prusakom wydał na łaskę i niełaskę.“ Znajdą się tacy, co pokusę odepchną i zawstydzą: ale czy wszyscy? czy nikt nie uwierzy? A dalej — czego niech Bóg strzeże — czy tej pokusy, nie zechcą użyć Prusacy sami, i folgą dla języka, schlebianiem narodowości, uwodzić nas do odstępstwa, do swego luterstwa... o tem i mówić strach, żeby im tej myśli czasem nie podsunąć. Strach i o księży, żeby się zwolna psuć nie zaczęli, i z zależności od rządu nie przeszli niektórzy w zbytnią dla niego powolność. Strach wreszcie o to, żeby przez nominacye kanoników

i proboszczów, rząd nie użył ręki Kościoła samego do tego dzieła zagłady, które prowadzi, a wtedy nowy tryumf i nowe ułatwienie dla nieprzyjaciół wiary, nowe pokusy i niebezpieczeństwa... Taki strach, że nie do Papieża już, ale do samego Boga chce się wolać: „czemuś nas opuścił?”

Nie opuścił. W naszym zachowaniu się jest dowód, i z siebie tymrazem mamy czerpać otuchę. Kiedy w r. 1832 Grzegorz XVI w nieznamości wydał sąd jednostronny i uprzedzony o powstaniu roku 1830, wielu z nas przez obrażony patryotyzm zachwiało się w wierze i odstąpiło od Kościoła. Sam ten Mickiewicz, który zrazu jeden umysły łagodził, owszem, dziwił się raczej, że Papież nie był surowszym, nawet on tak tę pomyłkę wziął do serca, że po latach wybuchał z niego żal, i ten żal z pewnością przyczynił się bardzo, jeżeli nie głównie, do jego nieszczęsnego odstępstwa. O Słowackim już nie mówić; innych nie tak znanych, ale liczniejszych, to samo uczucie albo pełnęło do bezbożnej rewolucyjnej negacyi, albo przygotowało do herezyi Towiańskiego. Dziś boleść większą, i rzeczywistszą szkodę, przyjęliśmy z ręki Papieża bez szemrania. Dzienniki katolickie wyraziły ból, ale się nie skarżyły; inne, które zdawało się uchwycą sposobność żeby na Papieża i Kościół uderzyć, jednak nie śmiały. Stańczykom przypisywały winę (!), na Leona XIII się nie zerwały: chyba tylko najostatniejsze, najbrudniejsze już piśmidła. Nietrzeba cieszyć się zbyt, ani zuchwale ufać, że to się zmienić nie może; ale to co jest dotąd, dowodzi, że katolickie przekonania i powaga Papieża musiały w narodzie wzrosnąć i wzmocnić się bardzo, jeżeli w takich przykrych stosunkach zachowanie się ogółu było tak

uległe i poważne. Tegosomego dowodzi przyjęcie i stanowisko wśród nas arcybiskupa Dindera, którego, kiedy przychodził, nie mogliśmy znać wartości i prawości; dziś szanowany jest sam dla siebie, ale wtedy przyjmowany był z uległością i uszanowaniem, bo go Papież przysyłał. To nie jest mało, bo to wszystko dowodzi i rozumu, i mocy nad sobą, i wreszcie dokonanego już znacznego postępu na drodze katolickiego odrodzenia narodu.

I w tem też jest otucha, że złe jakie cierpimy nie przyniesie nam szkody, nie zachwieje naszej wierności ani dla Boga, ani dla Ojczyzny; że nie osłabi naszego ducha, ale go owszem wzmocni. W mądrym postępowaniu, w posiadaniu siebie samego, jest tajemnicza władza wzmocnienia; a większa jeszcze jest w duchowym, religijnem życiu, w związku każdej duszy ludzkiej i samego społeczeństwa z Bogiem. I w tem właśnie jest dowód, że jak Bóg, tak i Papież nas nie opuścił. Nie: nie oddał na łaskę i niełaskę, nie wydał na zagładę Wielkopolski, kiedy pod formą, prawda przykrą (a inaczej nie mógł) przywrócił jej ten oddech duszy, ten pokarm łask, który życie utrzymuje, sumienia prostuje, woli daje hart i tęgość, łączy człowieka z Bogiem, ziemię z niebem, nieszczęście ze zmiłowaniem. Nie opuścił Leon XIII Wielkopolski, ale ją owszem pokrzepił i uzbroił na przyszłość, kiedy jej zapewnił życie duchowe choćby w takich warunkach i formach. Warunki wszelkie zmieniają się z czasem: a gdyby dziś nie było nawet takich jak są, kto wie, czy z czasem sama istota rzeczy nie zaczęłaby ulegać jakiej zmianie.

Biskupi, prawda! Ich usunięcie musi nas boleć bardzo. Nieszczęściem, tak jest zawsze, że kiedy spór

jaki ma się skończyć, muszą ustępować ludzie, którzy w nim mieli pierwsze role i pierwsze najczęściej zasługi. Tak jest w sprawach świeckich, i tak, a jeszcze bardziej, w sprawach rządów z Kościołem. Rząd, który się układa i coś ustępuje, mieści swój punkt honoru, swoją mniemaną godność w tem, żeby nie był zmuszony patrzeć na ludzi, którzy mu się opierali; i od tego najtrudniej, i od tego nigdy nie odstępuje. Kiedy Pius VII zawierał konkordat z Napoleonem, bronił do ostatka biskupów Kościołowi wiernych, a przecie dwudziestu przeszło, i to najwierniejszych właśnie, najdzielniejszych, musiał poświęcić. Leon XIII nie zdołał utrzymać kardynała Ledóchowskiego, ani biskupa Janiszewskiego, jak Arcybiskupa kolońskiego także. Leszek Biały mógł rzekać się panowania dla miłości przyjaciela: ale Papież kiedy biskupa na jego stolicy przeciw przemocy władzy świeckiej utrzymać nie może, nie ma prawa zostawić dyecezyi bez biskupa i zarządu, i musi przyjąć rezygnacyę tego, którego nieraz właśnie ceni i miłuje najbardziej.

Jedno jest jeszcze, czem wedle ludzkiego mniemania w ukrytej a ciężkiej pracy swego ducha zajmować się ma Leon XIII, to pytanie, jak się obróci i skończy dzisiejszy stosunek Papiestwa do Włoch. Zawsze tak zostać nie może, to jasne: a sposobu wyjścia nie widać. Ludzie wymyślają różne jakieś środki i kształty porozumienia, ale to marne wymysły tylko. Dziś to jedno pewne, że to co jest, jest złe, a to co ludzie poddają, niemożliwe. Papież ustąpić nie może, król nie ustąpi. Obok siebie a bez stosunku między sobą, nawsze utrzymać się nie będą mogli. Jest złe w tem (jak niektórzy twierdzą umyślnem, a naprawdę koniecznem)

zamknięciu się Papieża w Watykanie; niemniejszym złem byłby jego wyjazd z Rzymu. Zgoda znowu, gdyby nawet stanąć mogła, czy nie sprowadziłaby Papieża do takiego wobec świeckiej mocy stanowiska, jakie miał niegdyś w Konstantynopolu patriarchy wobec bizantyńskiego cesarza? A wtedy niebezpieczeństwo albo uszczerbku uniwersalnej powagi i władzy Papieża, albo gwałtu i prześladowania. Dla Włoch znowu wyjazd Papieża byłby szkodą z niczem niezrównaną: a jego zależność niebezpieczeństwem, że obcy wdadzą się w te sprawy i wtargną w ich ziemię. Ich własne dobro, ich przyszłość, nie pozwala na żadną Papieża podrzędność, i nie już podległość, ale tylko uległość. Że Leon XIII musi rozmyślać jaki będzie kiedyś koniec tego położenia nieznośnego dla jednej strony, a fałszywego dla drugiej, to jest konieczne; ale żeby kroki jakieś stawiał, lub przygotowywał, temu sam zaprzeczył. Nam zaś w wymysły i kombinacye bawić się ani przystoi, ani potrzeba. Na dziś dość nam wiedzieć, że to jakiś stan przejściowy, który (jak wiele podobnych) należy spokojnie przetrzymać; na przyszłość dość wiedzieć, że jak Bóg wyjście z tego stanu nadarzy, to je Papież — ten lub jego jaki następcą — pierwszy zobaczy i wskaże *urbi et orbi*.

IV.

Kiedy zaś mówi się tyle o odrodzeniu Kościoła i o niebezpieczeństwach jakie mu grożą, to niepodobna i nie byłoby dobrze wstrzymać się od zwrotu myśli na siebie samych, nie zadać sobie pytania, jakie jest naszego narodu wobec jednego i wobec drugich stanowi-

sko i obowiązek? Krótko rozumie się, bo dzieła-by trzeba, żeby należycie zbadać i opisać dzisiejszy stan Polski pod względem religijnym, a na to ani dość znajomości tego stanu nie mamy, ani dość rozumu sobie nie przypisujemy. Ale co sumienie i zdrowy rozsądek podaje, to w dwóch słowach powiedzieć, nie sądzimy żeby było złe lub niewłaściwe.

Nie mamy zaś na myśli tych stosunków i różnic, jakie zachodzą w położeniu katolików polskich w skutku różnicy rządów pod którymi żyją. Stopień, cel, dotychczasowe i prawdopodobne dalsze skutki prześladowania pod rządem rosyjskim i pruskim, zostawiamy na boku. Patrzymy na stan wewnętrzny jedynie, na stan uczuć i przekonań katolickich, a w tym zdaje nam się, różnice nie są wielkie w „Polsce pod trzema rządami“.

Że ku religijnemu odrodzeniu i u nas zrobił się krok znaczny, to pewna. Naiwna wiara i pobożność rzewna, była za dawnej Rzeczypospolitej wśród warstw wykształconych powszechniejsza; dziś u prostego ludu jest zapewne jeszcze taką jak była, choć złe nauki zaczynają przesiąkać aż do niego. Między oświeconymi za to, których kolo rozszerzyło się bardzo co do swego zakresu, a zmieniło co do swego składu, będzie niewątpliwie w stosunku do liczby mniej wiary i pobożności niż dawniej. Ale w tej liczbie mniejszej znajdzie się za to nowość dawno niewidziana: katolickie wykształcenie, znajomość swojej religii i wyrobiona jej świadomość, uczucie podszyte przekonaniem i niem wzmocnione, przekonanie ogrzane uczuciem. Że to jest i że wpływa nawet na nasze postępowanie, rzecz jest widoczna, dowiedziona zwłaszcza na stosunkach i wypadkach kościelnych w Wielkopolsce. Nie próbujemy

wskazywać ile w tem czyjej zasługi, naprzykład duchowieństwa; jak naodwrot nie możemy roztrząsać, w jakiej mierze wpływy książek i dzienników mogły obniżyć poziom religijny u szlachty, lub jak (w Galicyi przynajmniej) wpływy niemieckie i Józefińskie przyczyniły się też znacznie do tego, że ten poziom nie podniósł się wyżej u oświeconej ludności miejskiej.

Uważając wszakże, że jest pod tym względem lepiej niż było, nie możemy zarazem nie uważać, że nie jest tak dobrze jak u innych narodów. Ta jakaś leniwa wygodność, która jest na nieszczęście w naszym charakterze, i była w naszych staropolskich religijnych uczuciach, poprawiła się cokolwiek niezaprzeczenie, ale więcej jej zostało niżeli ubyło; i w działaniach dzisiejszych katolików polskich ona zawsze daje się widzieć. Nie o to nam chodzi, bynajmniej, iżby katolicyzm polski stał się zaczepnym i wojowniczym; niech nas Bóg broni od szerzenia nienawiści do różnowierców i od chęci ograniczenia ich w prawach nabytych. To gdyby nawet było możliwe, byłoby moralnie złe, a praktycznie szkodliwe. Ale więcej czujności, więcej pilności, więcej energii w obronie swojej wiary, swoich zasad i przekonań, oto czego byśmy pragnęli. Nam się zdaje — nam przynajmniej w Galicyi, gdzie dzięki Bogu nie znosimy nietylko prześladowania, ale nawet ograniczenia religijnej wolności — że niema żadnego pod tym względem niebezpieczeństwa. Lud widzimy zawsze w kościele, sami do niego chodzimy, w szkołach wiejskich jest katechizm, a w średnich dogmatyka i etyka; procesye chodzą wolno po rynkach, biskupom ustępuje się kroku przed świeckimi, do Papieża pisze się adresy... czegoż więcej potrzeba, i czegoż się bać?

A tymczasem i trzeba więcej, i bać się jest czego. Nie mówię o tej gwałtownej zagładzie wiary przez dezorganizację Kościoła, którą prześladowanie sprowadzić może, jeżeli go Bóg nie odwróci i nie przerwie; przeciw temu doraźnie skuteczną mogłaby być tylko siła fizyczna, której nie mamy. Ale są niebezpieczeństwa wewnętrzne, przeciw którym doskonale moglibyśmy działać, a nie działamy; bo albo nie umiemy dojrzeć, albo nie chcemy uwierzyć że one są, i że groźne. Dozwalamy więc spokojnie i leniwo, żeby rosły, nie bacząc na to, że one przygotowują nas pomału i nieznacznie, ale niewątpliwie, do zupełnej niezdolności oporu i obrony w razie prześladowania, ba, może nawet do braku chęci takiej obrony: przygotowują grunt czy pod prawosławie, czy pod bezbożność zupełną. Chłop podlaski wytrzymuje prześladowanie nicraz jak bohater i jak męczennik; gdyby rząd rosyjski wziął się taksamo do łacinników, czy szlachcie polski lub oświecony obywatel miasta, miałby podobną odwagę i stałość? Niejeden — wierzę, ale w proporeyi w mniejszej może liczbie.

Ta odpowiedź, którą dać musi każdy z nas, jeżeli zechce być szczerym, prowadzi do wniosku, że nasze religijne usposobienie nie jest tak dobrem i silnem, jak nam się zdaje. Osłabiło je i w osłabieniu trzyma od kilku pokoleń wychowanie jakie odbieramy, książki jakie czytamy, dobroduszną łatwowierność, jaką mamy prawie wszyscy: i ten wygodny wstręt do otwierania oczów na niebezpieczeństwo, bo to widok nieprzyjemny.

A jednak ludzię się nie możemy; nienawiść Kościoła, walka z Kościołem, jest u nas jak wszędzie. Miarkuje się, i rzadko kiedy odezwie się głośniejsz; trzeba stosować się do społeczeństwa, tak jeszcze pod tym

względem zacofanego, że śmiały apostoł bezbożności miałby słabe widoki powodzenia; prócz tego mógłby w czasach prześladowania Kościoła przez Rosyę, obrazić uczucie narodowe, i od siebie odstręczyć gdyby przeciw Kościołowi występował. Wreszcie, powód szlachetniejszy, instynkt polskiego uczucia, które u naszych rewolucjonistów dotąd jeszcze nie znikło, wstrzymuje ich od stanowczych w tym kierunku kroków, obawą działania na korzyść Rosyi. Rzadko się zdarzy, żeby pismo jakie wystąpiło z otwartą propagandą bezbożności, chyba już najgłupsze tylko i... najostatniejsze! (w Warszawie częściej niż u nas). Ile wiemy, raz dotąd zdarzyło się otwarte, tryumfalne oświadczenie, że ktoś umarł bez Sakramentów, i to wtedy dopiero, kiedy wskutek poprzedniego wprost przeciwnego oświadczenia, pogrzeb tego zmarłego już się był odbył po katolicku ¹⁾. Ta potrzeba udawania i kłamstwa dowodzi, że zbyt jawnie i głośno występować jeszcze nie można. Ale choć formy są łagodne, to działanie jest systematyczne i nie bezskuteczne, a postęp w tym kierunku znaczny; i jeżeli u jednych przybywa przekonania, to u drugich ubywa tradycyjnego przywiązania do wiary. Tesame dążności i sekty, które pracują nad rozprzężeniem Kościoła i społeczeństwa świeckiego za granicą, są i u nas, w różnych formach, od gładkiego i eleganckiego liberała aż do dzikiego radykała, a w dwóch głównych odcieniach. Jeden, powszechniejszy w Galicyi, możnaby nazwać nie-

¹⁾ Pogrzeb Kraszewskiego, odbyty w kościele na podstawie zapewnień danych Biskupowi (kard. Dunajewskiemu), że zmarły umarł po katolicku z Sakramentami. Po pogrzebie zaprzeczono tej wiadomości z tegosamego źródła, z którego była udzielona.

mieckim, drugi ma wyraźną cechę rosyjską. Ten pierwszy wychowany na niemieckich książkach i dziennikach, o tyle jest szlachetniejszy, że przez rok 1848 łączy się z dawną rewolucyjną emigracją polską, i zachował pewien zasób uczuć polskich, które w tamtej były istotnie prawdziwe i silne, choć bardzo skrzywione, a nigdy nie kierowane rozumnym względem na dobro i korzyść sprawy polskiej. Jak w schizmie greckiej został pomimo wszystkiego charakter kapłański, tak ten odcień liberałistów i rewolucjonistów, dzięki swojemu choć ubocznemu pochodzeniu od emigrantów z roku 1831, zachowuje jeszcze dotąd jakieś tradycje i jakieś ideały szczerze (choć nie dobrze) polskie. Jak długo jeszcze zachować je potrafi, tego oczywiście wiedzieć nie można; to pewna, że choć najgłośniej o patriotyzmie mówi i wszystkich innych o brak jego oskarża, sam coraz bardziej traci świadomość jego istoty i warunków.

Odcień rosyjski znowu, którego zarody może są dawniejsze, ale wzrost i rozszerzenie nastąpiły już po roku 1863, który zatem nie chował się i nie kształcił na szlachetniejszych, podnoszących, narodowych uczuciach i nadziejach, ale karmił się pierwiastkami zwątpienia we wszystko, prócz fizycznej mocy, ten może także łudzi się sam, że ma polskie uczucia i cele, ale polskiego charakteru i tego wrodzonego instynktu zachowania siebie, jaki narody miewają, on nie okazuje. Jego świadomość polska rozplywa się w jakiejś nieokreślonej, fantastycznej fuzyi demokratycznej i słowiańskiej, która, przypuszczamy, że może przez jakiś czas będzie rzeczywistością, ale nie będzie nigdy ani cieniem, ani zawiązkiem Polski, bo rozpuszcza chemicz-

nie wszystkie składowe istotne pierwiastki narodowego charakteru i bytu.

Że pomimo tych różnic, jest między niemi zgodność w celach, a prawdopodobnie porozumienie w działaniu, to tak prawdziwe, jak i to, że my nie zwracamy uwagi na to działanie, bo jego skutki dotąd nie są rażące. Gdybyśmy jednak chcieli zważać pilnie na dziennikarstwo i na piśmiennictwo niby postępowe, tak w zaborze rosyjskim, jak tutejsze, przekonaliśmy się, że rozkład musi być celem, skoro rozkładające są środki działania. Te skutki zaś, których dziś przewidywać nie chcemy, będą oczywiście rosły w stosunku prostym do czasu swego trwania, i do liczby ludzi (zwłaszcza młodych), na których środki te działają. Łatwo mogą w przyszłości objawić się w sposób jawny wszem wobec i rażący, ale wtedy radzić na nie i bronić się będzie trudniej.

O jakiej obronie, o jakim odpięciu tych dążeń myślimy? Cóż można zrobić pod rządem rosyjskim naprzykład, gdzie nikomu nawet ochrony dla dzieci utrzymywać niewolno? Co można zrobić pod rządem austriackim, gdzie naprzód konstytucya zostawia swobodę każdej opinii i dążności; gdzie powtóre stan społeczeństwa i Kościoła nie wymaga odporu i obrony; gdzie owszem afirmacya silna ze strony katolickiej mogłaby stronę przeciwną raczej zachęcić i wyzwalać do walki?

Powtarzamy raz jeszcze, że nie o zaczepność i wojowniczość nam chodzi, tylko o religijność gruntowniejszą i czynniejszą wśród katolików samych, *pro foro interno*. Że ona jest większa niż bywała, to wiemy; świadczą to zakony po raz pierwszy w łonie społeczeń-

stwa polskiego powstałe, świadczą stowarzyszenia miłosierne (jak św. Wincentego á Paulo), świadczą te misye religijne (a zarazem i społeczne) urządzone dla najuboższych jak dla bogatszych i wykształconych (przez Jezuitów i Misyjonarzy zwłaszcza); świadczy przede wszystkim postawa i postępowanie biskupów i znacznej już części duchowieństwa. Między świeckimi wszakże — choć i w nich znaczny postęp jest dokonany — więcej podobno pozostaje do zrobienia, aniżeli już zrobiono: a zrobić da się wszędzie środkami, które ani czujności rządów, ani wrzawy ze strony przeciwnej obudzić nie mogą.

Przedewszystkiem — a może jedynie — trzeba by większej u katolików zgodności między teorią a praktyką, wyznaniem a postępowaniem. Tej stateczności, tej konsekwencyi u nas jest brak. Niech się godzi opowiedzieć anegdotę, prawdziwą i bardzo charakterystyczną. Lat temu parę czy kilka, jechało dwóch sąsiadów wiejskich na jednym wózku do powiatowego miasta. Przez całą drogę jeden drugiego uczył, że chrześcijaństwo jest odmienną wprawdzie, ale w istocie swojej takąsamą mythologią, jak wszystkie starożytne, i że nowsza nauka już to dowiodła zupełnie i klasyfikowała tę kategorię baśni umiejętnie jako *Myt semicki*. Wśród tej dyskusyi o semickim mycie przejeżdżano przez pewną wieś, obok kościoła i probostwa:

— Znasz pan tego proboszcza? — zapytał mytholog towarzysza.

— Nie.

— To szkoda. Doskonały spowiednik; nie znam lepszego w okolicy. Bardzo go panu zalecam. Pójdź

pan do niego do spowiedzi w Wielki Czwartek, to się spotkamy przy konfesjonale.

Jestto karykatura zapewne, ale typowa karykatura nas wszystkich, przynajmniej nas bardzo wielu: z tą różnicą, że tu praktyka była lepsza od teoryi, a zazwyczaj bywa odwrotnie, w teoryi dobre uczucie a w praktyce niestatek zasad i postępowania. Tu i tam wszakże tensam fakt: nie ma zgodności pomiędzy naszym religijnem uczuciem, a naszym słowem i postępowaniem; bo nie myślimy o tem, że ona potrzebna, a my do niej obowiązani; bo dajemy się złudzić i wierzymy łatwo wszystkiemu co wyczytamy w jakiej gazecie lub książce, a nie zadamy sobie pracy zapytać, czy też to prawda? temniej uzbroić się przeciw fałszom, z którymi każdy spotykać się musi; wykształcić się tak, iżbyśmy je sami choć trochę mogli tylko dla własnego domowego użytku odpierać.

Otóż, co dla dorosłych już zapóźno, to dla młodych jeszcze zrobić możemy: a w tem żaden rząd prześladowczy, ani żadna prześladowcza opinia przeszkodzić nam nie może. Chodzi o to naprzód, żeby dzieci nie rosły w tem wrazeniu i wyobrażeniu, że co katolickie to gorsze; że książka naukowa, napisana w duchu katolickim, musi być tendencyjna i przekręcona; że w terażniejszości postęp i dobro ludzkości reprezentują przeciwnicy Kościoła; że w przeszłości sprawę dobrą mieli znowu zawsze oni, a nie Kościół. Na takich uprzedzeniach, na takich przesądach, chowały się całe pokolenia i tak niemi przesiąkły, że dziś trudno nam wypocić z siebie tego merkuryusza czy jodu. Otóż młodych trzeba zawczasu od nich chronić, i domowym wpływem

wychowania, rozmowy i dostarczanych książek, ten wpływ uprzedzać, a ten przesąd zwalczać.

To co czytamy — można powiedzieć wszyscy, powszechnie — jest dalszym dowodem tej niekonsekwencji, dalszym środkiem propagandy antykatolickiej. Trzymamy, czytamy, rozszerzamy pisma w duchu protestanckim lub wprost bezbożnym pisane, tak bez uwagi i skrupułu, jak pisma szkodliwe w rzeczach społecznych i politycznych. Zdaje nam się, że to nic nie szkodzi: a dopóki nie spłoszy nas grube bluźnierstwo, zamykamy oczy na „małe i nieszkodliwe,“ jak mówimy, zboczenia w dążnościach i opiniach autora czy redaktora. Zupełnie tak, jak żeby w ogrodzie bać się większych zwierząt, które mogą drzewko złamać, ale nie mieć za złe myszy, które podgryzają jego korzenie. Mamy w rękę środek, jeżeli nie do zatamowania, to przynajmniej do tamowania złych wpływów; my tymczasem otwieramy im wszystkie śluzy. Czy przez obojętność? W wielu razach tak. Obojętności religijnej jest wiele między wiejską, więcej między miejską ludnością oświeconą. Ale więcej niż obojętność znaczy tu i działa niezgodność uczucia z myśleniem, podobieństwo do tego pana co do spowiedzi chodził, ale z wysokości umiejętności rezonował o Mycie semickim i brał za dobrą monetę wszystko co o nim wyczytał.

Do obojętnych oczywiście uwag zwracać nie mamy prawa ani zamiaru; ale katolicy powinni by zastanowić się nad tym chlebem powszednim umysłowym, jakim karmią siebie, swoje dzieci, nieraz swoich podwładnych, a który przechodzi z czasem w ich krew i staje się pierwiastkiem ważnym, siłą dodatnią lub ujemną w religijnej świadomości i religijnem życiu narodu.

To zaś, i wiele rzeczy podobnych, to byłoby dopiero zero na termometrze tego życia, a gdzież jeszcze stopnie ciepła? Jak pomyśleć o tym ogromie czynności, jakie rozwijają katolicy francuscy, niemieccy lub amerykańscy, a potem popatrzeć na naszą bezczynność, to doznaje się i wstydu i strachu. Tem się nie tłumaczmy sami przed sobą, że pod rosyjskim rządem nie możemy robić nic, skoro pod austriackim, który nie przeszkadza, nie robimy więcej. Nie możemy jak Francuzi swojemi składkami opędzać *dwóch trzecich części wydatków Propagandy*, i podobno *jednej trzeciej* ogólnych wydatków Papieża? nie możemy jak oni zakładać i utrzymywać katolickich uniwersytetów, ani kształcić setki tysięcy rzemieślników; ani jak Don Bosco wychowywać do pięćkroć sto tysięcy dzieci; ani jak Niemcy w niezliczonych stowarzyszeniach i corocznych zjazdach dźwigać naukę, moralizować i organizować społeczeństwo, apostołować je pokojowemi i dobroczynnemi środkami. W takiej mierze oczywiście nie możemy; ale na mniejszą skalę czy robimy tyle, ilebyśmy mogli. Są zakony, które robią co tylko mogą; ogół świecki jest lekko-myślny i leniwy. Miarą może być choćby tylko świętopietrze. Żeśmy biedni, to prawda. Ale wiemy przecie, że potrzeby Kościoła są niezmierne, a jego dochody ograniczone dziś na to, co mu wierni dadzą; wiemy, co pod tym względem robią inni; wiemy, co nam na utrzymaniu Kościoła zależy. A czy pamiętamy o tem, żeby każdy ze swoich dochodów pewną małą kwotę na to przeznaczył? czy pamiętamy, że z małych i łatwych byle ogólnych datków powstają summy znaczne? Pod tym względem także moglibyśmy powziąć niejakię postanowienia, w których Wielkopolska daje Galicyi przy-

kład bardzo znaczący. A dopieroż uczestnictwo w ogólnem katolickiem życiu: ta chęć, żeby o niem wiedzieć i z niego ciągnąć pożytek? Kto chce ze wspólnego zasobu czerpać, ten go i zasilać powinien; a choć misye naszych zakonów (Zmartwychwstańców w Bułgarii na przykład, ich i Felicyanek w Ameryce) świadczą, że i nasz naród pracuje na pożytek powszechnego Kościoła, to po świeckich takiej pracy znać mało, i mało nawet popędu, żeby z pracy cudzej korzystać. Liczniejsze uczestnictwo w katolickich kongresach uczonych, (których choćby dlatego zaniedbywać się nie godzi, żeby o sobie nie dać zapomnieć tym, co wśród Niemców i Francuzów najmniej jeszcze mają do nas uprzedzeń i niechęci — przyszłej wiosny zaraz odbędzie się taki w Paryżu, i byłoby nader pożądanem, gdyby nas tam widziano i mądrze mówiących słyszano) naśladowanie stowarzyszeń za granicą kwitnących, odkładanie pewnej części dochodu na cele kościelne, choćby nie wydać jej odrazu, ale na gorsze czasy przygotować, wszystko to są rzeczy, które robić możemy, nie obrażając nikogo. A i te gorsze czasy przyjść mogą. Któż nam zaręczy, że w przyszłości jaka parlamentarna większość nie nałoży nam takich warunków wychowania; że nie chcąc, by dzieci chowały się w bezbożności, będziemy musieli sami szkoły wyznaniowe zakładać i utrzymywać?

Kiedy w roku 1850 ksiądz Kalinka był jako korespondent *Czasu* na wystawie w Londynie, ubolewał gorzko, że między narodami i dzielami całego świata, jednej tylko nie znać w żadnym dziale Polski. Jubileusz Leona XIII jest podobną wystawą powszechną katolickiego świata, a na tej jak będziemy wyglądali? Nie o wystawę darów złożonych Papieżowi mi chodzi,

choć i o tej mogliśmy byli pamiętać, skoro pamiętała o niej i miejsce swoje mieć w niej będzie Wielkopolska. To zapomnienie zresztą naprawić jeszcze możemy składaniem obfitszych ofiar pieniężnych, które biskupi w swoim czasie od nas zawiozą i oddadzą. Ale gdyby tak zrobić obliczenie i wystawę katolickich dzieł i katolickiego życia, to na takiej zajmowałibyśmy miejsce podobno wcale podrzędne. Otóż, kiedy będziemy na niej osobami naszymi, zaświećmy na niej przynajmniej jednym, przyrzeczeniem danem sobie samym, że kiedy pierwszy raz w przyszłości zdarzy się znowu taki wielki przegląd katolickich narodów przez Papieża, nasz wtedy będzie mógł przyjść tam z bogatszymi owocami prac i dzieł katolików świeckich. Jeżeli, co łatwo być może, nie stać nas będzie na świetne złoto i kadzidło trzech królów, to niechby były dary skromniejsze, byle własne, ze swego gospodarstwa, jak ten garnek masła i worek gruszek, które Stach i Kuba z kolędy zanieśli do Betleemskiej stajni.

Teraz zaś, choćby najskromniej, ale jak się da licznie (chyba że nas, broń Boże, nie puści ta wojna, o której świat mówi) zajmijmy swoje miejsce między narodami otaczającymi tron Ojca św. Zaniechanie tego obowiązku byłoby występniem zaniechaniem swojego prawa, rodzajem zrzeczenia się swoich praw i odrzekania się swojej wiary. Zabraknąć nas tam nie powinno; nie ma też o tem mowy, czujemy powszechnie, że powinniśmy i dać się widzieć na tej wielkiej uroczystości katolickiego świata, i ją z uszanowaniem i przejęciem oglądać. Wspaniały bo jest zaiste, a od tylu wieków nieznan, że prawie dla Europy nowy, ten widok, jaki dziś z siebie daje Papiestwo. Jego świeckie

panowanie i jego dochody zabrane; jego swobodne rządy mniej lub więcej ale wszędzie krępowane; jego racya bytu, jego sposób bytu, jego prawo i jego prawda, podkopywane w całym świecie przez niechrześcijańskie sekty, których teorye szerzy nauka, literatura i dziennikarstwo, a rządy i parlamenty wszędzie prawie zamieniają to słowo doktryn w ciało praw i urzędzeń. A mimoto nigdy, odkąd Reformacya zburzyła jedność chrześcijańskiego świata, nigdy powaga i władza Papieża nie była tak jawnie, tak powszechnie uznana. Za miarę i dowód brać możemy właśnie sekundacye Leona XIII, na które garnie się do Rzymu świat tak tłumnie, jak niegdyś na Wielki Jubileusz roku 1300. Bogate dary książąt (najmniej nawet chrześcijańskich), choćbyśmy je najbardziej dworską grzecznością chcieli tłómaczyć, mają swoją wagę niemałą i niemało dowodzą, jeżeli porównamy tę, dajmy że grzeczność tylko, jakiej przedmiotem jest Leon XIII, z tą, na jakiej poprzedzali jego poprzednicy. Ale te dary i hołdy oczywiście są niczem w porównaniu z ogromnem znaczeniem tych, jakie płyną od milionów katolickiej ludności, ofiary na potrzeby Kościoła, przyrzeczenia wierności od wszystkich narodów, od duchownych i świeckich, od wielkich panów i wyrobników, od licznych a nieraz potężnych stowarzyszeń, z obudwóch połów kuli ziemskiej. Ta ostatnia okoliczność zaś jest istotnie zupełną dla świata nowością; może, kiedy Krzysztof Kolumb wracał z pierwszą wiadomością o odkryciu Ameryki, może Papież marzył o dniu, kiedy z tych nowych lądów biskupi i wierni przyplyną z hołdem do Rzymu; ale potem wieki przeszły, a nikomu nie śniła się nawet nadzieja tej w Ameryce siły Kościoła, na jaką my patrzymy.

Tylko nie trzeba cieszyć się śmiało, a tembardziej myśleć, że to jest dobro nazawsze nabyte, którego w spokoju mamy używać. Nieprzyjaciel także mocniejszy jest niż kiedykolwiek, i pewno w zamachach swoich nie ustanie. Może zechce sił swoich w walnej bitwie spróbować; a wtedy Bóg jeden wie, jakie czekać nas mogą losy. Niedawno pisarz jeden francuski — jeden ze świetniejszych między młodymi ¹⁾ — zdumiony tą żywotnością i rozprężliwością Kościoła, wróżył mu przyszłość tak wielką, że w tej wielkości mały Rzym, małe Włochy, mała Europa, zejda do nie nieznaczących rozmiarów, tak, że Papież sami ledwo na nie zważać będą. Ta przepowiednia oznacza, że autor musi być dyletantem w katolicyzmie; inaczej czułby, że Papież musi zawsze stale być w Rzymie. Tam, gdzie umarł św. Piotr, tam jest środek ciężkości tej opoki, na której zbudowany jest Kościół. Ale czy jaka przyszła burza na czas nie wyrzuci go z Rzymu? to inne pytanie. Kiedy między temi godłami Papieży, w których świat lubi uważać tajemniczą przepowiednię ich losów, widzi się niedługo po Leonie XIII jakiegoś Papieża, który ma być *Pastor et Nauta*, myśli się mimowolnie, że może z Europy wyrzucony, będzie musiał ten żeglarz przepłynąć Ocean, żeby paść swoją owczarnię ze spokojniejszych lądów Nowego Świata. Kiedy na rok 1300 dążyły do Rzymu tłumy pielgrzymów, przejmował je także dreszcz jakiegoś niepokoju, przeczucia czegoś nowego i nieznanego; przeczucie to nie całkiem było mylne. „*Nous prenons souvent pour la fin du monde ce*

¹⁾ M. de Vogüé: *Les Affaires de Rome. Revue des deux mondes* 15 Czerwca 1887.

qui n'est que la fin de nos idées"¹⁾ — a wtedy miało się właśnie pod koniec tym pojęciom i formom, w których żyły Wieki Średnie, pierwiastki nowszych zaczy-
 nały wydobywać się z pod ziemi nieznacznie jeszcze i zaledwo dostrzegalne, jak słabe źdźbła na wiosnę. Jak średniowiecznemu wtedy, tak dziś ma się pod koniec nowożytnemu światu, i gorzej, boleśniej, bo „wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje,“ prócz jednego tylko. I znowu jak wtedy, a może tak tłumnie, jak od owego czasu nigdy, ciśnie się ludzkość do Rzymu w przeczuciu i strachu czegoś nieznanego, nowego, groźnego...

Czem będzie ten świat nowy, który się w łonie naszego chaosu formuje? Książd Kajsiewicz mówi w jednym ze swoich kazań, że Islamizm był buntem zmysłów przeciw chrześcijaństwu; po tym przyszedł z protestantyzmem bunt ludzkiego rozumu; a teraz jest trzeci i najgłębszy: bunt woli, woli społeczeństw całych, które chcą się urządzić bez Boga, na podstawie nie Jego praw, ale swoich jedynie, z siebie wydobytych, przez siebie wymyślonych. Ten bunt trwa i szerzy i sroży się im dalej tem bardziej, a do swojego najwyższego punktu jeszcze nie doszedł, jeszcze ten potop wszystkiego nie zalał. Ale być może że zaleje, a wtedy?...

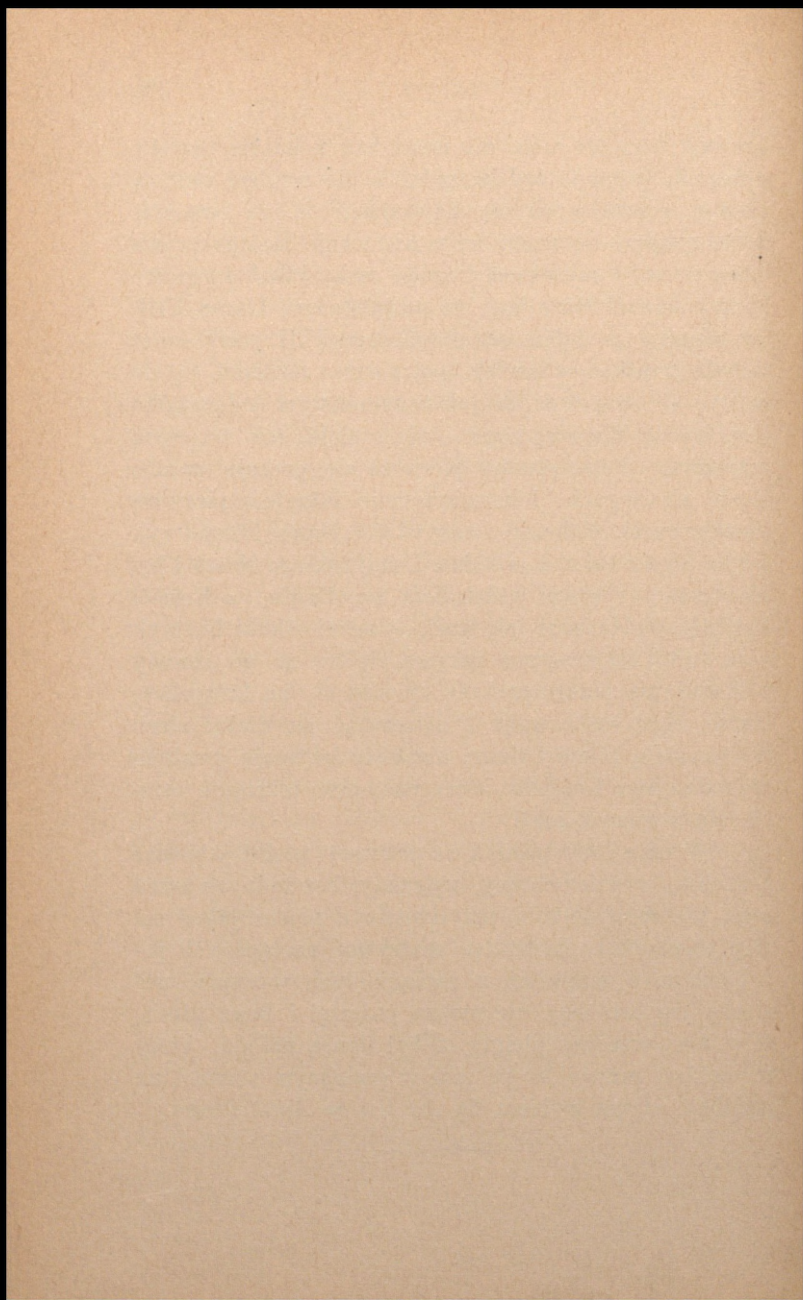
Wtedy znowu nad straszliwem pobojobywką „Nieboskiej Komedyi“ zjawi się krzyż i „z myśli Bożej wysnuje się świat nowy,“ który o naszym powie:

„Pensa che in terra non è chi governi
 Onde si svia l'umana famiglia.“

¹⁾ Klaczko: *Causeries Florentines*.

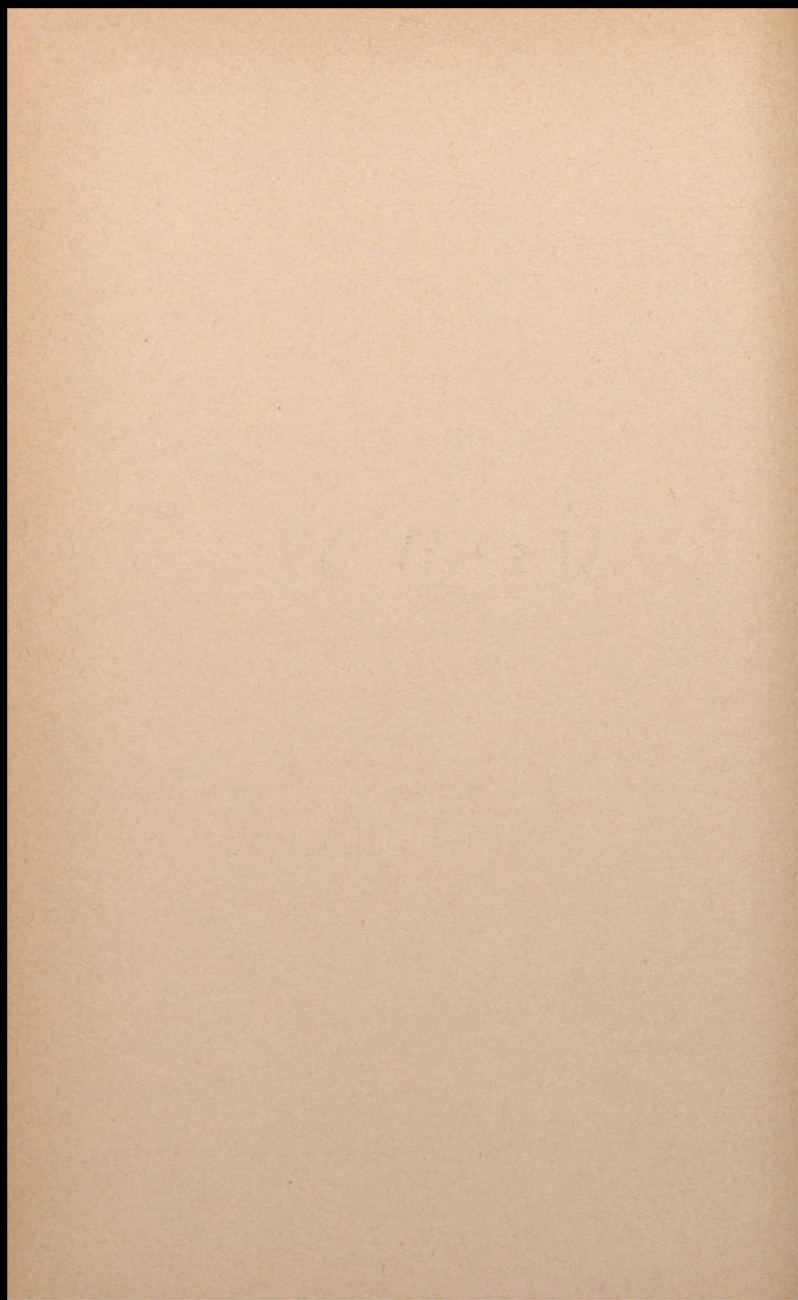
I wtedy uzna, że wola nie może być w buncie przeciw sumieniu, jeżeli ta ludzka rodzina nie ma być rodziną „bestyj pożerających się nawzajem.“ A że sumienie także obłąkać się może, więc potrzebuje Bożego prawa i kogoś, co by miał moc i urząd wskazywać to prawo i przypominać. Może być, że po jubileuszu Leona XIII, jak niegdyś po jubileuszu Bonifacego VIII, stary świat zacznie trzaskać w swoich spojeniach i rozpadać się do reszty; ale to pewna, że jak w tym starym jedno tylko jest, co się nie rozpręga i nie szaleje, tak w owym przyszłym to samo znowu pierwsze się poczuje w sile, stanie na nogach, i bezprzytomnie leżących pierwsze zacznie cucić, podnosić i odżywiać. „Nowo-Zelandczyk usiedzie na zwałonej arkadzie Londyńskiego Mostu i będzie z niej rysował widok ruin św. Pawła, a Kościół katolicki bądźże stał jak stoi“ — mówi wielki historyk protestant. Po naszymu nazywa się to, że go „bramy piekielne nie przemogą.“ O, niechże ci, na których te bramy chcą się zawalić i zatrzaskać na wieki, niech się trzymają pilnie i silnie, niech się trzymają gwałtem w środku tego Kościoła, który wszystkie przemoce ostatecznie przemódz musi.

W roku 1300 chodził na pierwszy wielki jubileusz Łokietek, wydziedziczony, wygnany, bez żadnych przed sobą widoków lepszej przyszłości: a potem jakoś mu Bóg poszczęścił. Nietrzeba upatrywać naciąganych podobieństw, a temmniej z naciągniętych wyciągać porciechę czy wróżbę; ale można pragnąć i Boga prosić, żeby ten ówczesny pielgrzym był figurą narodu, który w sześćset prawie lat po nim w podobnym stanie i na podobny odpust wybiera się *Ad limina Apostolorum*.



III.

M O W Y.



M O W A

na Zgromadzeniu wyborców większej własności okręgu krakowskiego

w dniu 8 lipca 1889 r.

Szanowni Panowie!

Ja od lat dwudziestu trzech piszę, a od dwudziestu dwóch zasiadam w Sejmie. Jakkolwiek piszę — niektórzy mówią, że zbyt otwarcie — jedna rzecz pewna, że piszę jak myślę. Jak w Sejmie głosuję to wiadomo. Mój sposób myślenia jest więc tak znany, że opisywać go nie potrzebuję. Musi zaś być zgodnym ze sposobami widzenia Panów, skoro przed sześciu laty bez moich starań a prawie bez mojej wiedzy, powierzyliście mi Panowie mandat poselski. Za ten dowód zaufania, pozwolicie Panowie, żebym dziś wszystkim razem podziękował z takim uczuciem, jakie się za taki zaszczyt należy.

Jakim byłem przed sześciu laty, takim samym jestem i widzicie mnie Panowie dziś. W moich przekonaniach i postępowaniu nie zmieniło się nic. Jak zaś pojmuję obecny stan naszego kraju, i jak przewiduję położenie i powinności przyszłego Sejmu, to przed bar-

dzo niedawnym czasem podalem do wiadomości publicznej ¹⁾).

Od tego czasu jeżeli zaszła jaka zmiana, to chyba ta jedna smutna, że mój sposób widzenia rzeczy okazał się na nieszczęście prawdziwym. Walka wyboreza dowiodła zbyt oczywiście, że znajdujemy się w stanie przetwarzania się społeczeństwa: walka sama przez się może być rzeczą dobrą i potrzebną, ale sposób w jaki ona u nas się prowadzi, każe się obawiać naprawdę, że z tego procesu przetworzenia się społeczeństwo wyjdzie nie jędrniejszym i bardziej jednolitem, ale słabszym i bardziej rozprzężonym niż jest dziś.

Wszelka walka może być usprawiedliwioną, słuszną, pożyteczną, jeżeli jej przedmiot jest rzeczywisty, rzetelnie i istotnie ten o którym się mówi, w imię którego werbuje się ochotników i zapaśników do walki. U nas zasadniczem, najistotniejszym może złem dzisiejszej walki jest to, że niema w niej tego rzetelnego przedmiotu, niema prawdy. Walczy się niby o coś, co naprawdę walki ani obrony niepotrzebuje. Bardzo wielu, ogromna większość naszych przeciwników nie widzi, nie dostrzega tego braku rzeczywistości i prawdy, treści i potrzeby, w sprawie i w walce do której staje: i działa w dobrej wierze z zamiarem i z przekonaniem służenia sprawie publicznej. Niemniej jest faktem, że przedmiot, za który ona walczyć mniema, albo nie jest ten, który się wskazuje i urzędownie ogłasza, albo niema go wcale.

Mówią nam, że chodzi o zwycięstwo demokracji, a każdy mandat poselski, zdobyty przez naszych przeciwników, wita się jako tryumf demokratycznej i po-

¹⁾ W artykule *Próby Rozstroju*.

stępowej idei. Czy demokracja potrzebuje dopiero zwyciężać? gdzie? w Europie? w opinii cywilizowanego świata? Europa mówi, że zwyciężyła już przed wiekiem, a Francuzi obchodzą właśnie stuletnią rocznicę tego zwycięstwa. Więc może demokracja potrzebuje walczyć i zwyciężać w państwie austriackim? W tem państwie niema przywilejów, niema różności praw, każdy ma drogę otwartą, każdy ma prawo dojść tak daleko czy tak wysoko jak zdoła, i zostać wszystkiem — na co go stać. Więc może w społeczeństwie polskim zwycięztwo to nie dokonane i potrzebne? — To społeczeństwo, jak było niegdyś (w obrębie szlachty) do zbytku demokratycznym, bo przez miłość swojej równości „określał króle — rozminął tyrań“, tak od końca zeszłego wieku stało się demokratycznym rozumnie, a w naszym stało się niem tak skrupulatnie, że szlachta niemal przeprosza pokornie za to że jest szlachtą, a niejedną raz sobie samej zadała istotne szkody, byle tylko nie była posądzoną o wyłączość, o samolubne przywiązanie do swego stanowiska lub dobra, byle się nie wydała zamało demokratyczną i postępową. A dziś? czy który z nas dziwiłby się albo sprzeciwiał, gdyby dzielny i prawy człowiek jakiegobądź pochodzenia został głową kraju, czy nawet narodu? czyby takiego nie słuchał z poddaniem się i z oddaniem zupełnem? Myślę, że za wszystkich obecnych i nieobecnych mogę sumiennie odpowiedzieć *tak*. Ale może pięknej teorii nieodpowiada praktyka? Może gadamy dobrze, a robimy źle? Może wpływów, jakie u ludu mieć możemy, używamy na to, by działać na własną tylko korzyść, a na jego szkodę? może zazdrośnie a obłudnie niedopuszczamy do znaczenia i wpływu żadnego, kto się nie urodził szlachci-

cem? Zyblikiewiczowi mieszczańskie pochodzenie nie przeszkodziło do łaski marszałkowskiej, a *Sprawozdanie z czynności posłów włościańskich*, ogłoszone przez prof. Zolla świadczy przeciw pierwszemu przypuszczeniu, i oczyszcza nas z zarzutu nie już złej woli, ale choćby tylko zaniedbania i braku gorliwości. Nie: socjalizm miałby wiele do żądania i do przewracania w tym kraju: zasada demokratyczna (jak się powszechnie pojmuje, i jak się sama określa) nie ma czego żądać i nie potrzebuje zwyciężać.

A więc o co ta cała wrzawa i walka? czy o nie, o wiatr? Nie o zasady i idee z pewnością. Ale o coś bardzo rzeczywistego przecie: o fakt przewodzenia w kraju. Każde stronnictwo tego chce i ma prawo do tego dążyć, nie przeczę: jak znowu każde drugie ma prawo opierać się i bronić. Ale o to chodzi, czy tę miarę, jeżeli nie władzy, to przewagi i wpływu, jaką się ma, można mu z ufnością powierzyć, albo nie?

To jest prawdziwy powód i przedmiot rzetelny dzisiejszej walki. Nie przeczymy, że jest rzeczywisty; ale jest inny, a nie ten, o którym się mówi. Nie o demokratyczne zasady chodzi, ani o postęp: ale o fakt i o zakres przewagi w kraju, na to, by jego krokami i losami kierować podług własnego widzenia rzeczy.

Wobec tego my mamy prawo się opierać i nie ustępować, ale mamy obowiązek powiedzieć, dlaczego się opieramy.

Oto dlatego, że tę politykę, która się sama nazywa demokratyczną i postępową, znamy z doświadczenia i oddawna: że nieraz ona w kraju przewodziła, ale zawsze prowadziła go źle i przywiodła do szkody. Wszakże demokratyczną i postępową, jak dzisiejsza, nazywała

się ta polityka emigracyjna, która chciała „budzić świadomość narodową“ i miłość ojezyny w wiejskim ludzie, a sprowadziła... wiemy co. Demokratycznym i postępowym nazywał się znowu rok 1848, a sprowadził rządy Bacha. Innych skutków tej polityki nie wspomnę, ale nie zabrakłoby faktów na dowód, że ile razy ona brała na siebie ster spraw narodowych, tyle razy sprowadzała klęski. Po tych doświadczeniach mamy prawo i obowiązek opierać jej się wszelkimi siłami, zwłaszcza kiedy widzimy, że przy celu dziś nie wątpię innym, środki działania ma nie rozumniejsze, ani lepsze, niż dawniej.

Czy naprawdę — jak twierdzą i głoszą przeciwnicy — chodzi nam o miejsca, posady, urzędy? Udają nas za przebiegłą i zazdrosną koteryę: niby za „spółkę komandytową“, która wszystko obsiadła i opanowała i ze wszystkiego ciągnie korzyści dla siebie. Naprawdę jesteśmy tylko czujnymi stróżami i wiernymi sługami rzeczy publicznej, z których każdy stoi i trwa na miejscu, na którym go los postawił, bo się obawia, że gdyby z niego zeszedł, to miejsce jego zajęłby inny, gorszy, mniej pewny. Jeżeliśmy doszli do jakiego-takiego wpływu i znaczenia, to czy kraj wyszedł źle na służbie tych, z urąganiem tak nazywanych, konserwatystów? Jest lat dwadzieścia i parę, jak ich polityka weszła na dobre w życie, a czy kraj był przed dwudziestu laty taki, jak jest dziś? Można by raczej pytać, w którym kierunku życia on nie postąpił; i z mocy dokonanych rzeczywistych postępów my mamy słuszne prawo, nie tamci, nazywając się stronnictwem postępu.

Że zaś nie naprzód do celu, ale wstecz od niego pełnęłaby nas polityka naszych przeciwników (tym razem jak zawsze), mamy wskazówkę niemylną w tem,

co się dziś w naszych oczach przy obecnych wyborach działo i dzieje.

W każdym kraju podstawą siły politycznej jest społeczny ład i spokój: cóż dopiero w kraju, który od siebie wyłącznie nie zależy? Cóż dopiero w takim, gdzie ufność i zgoda między warstwami ludności była gwałtownie zburzona. Przez długie lata mówiliśmy — słusznie — że źródłem i powodem niemocy tego kraju jest podejrzliwość i niechęć wiejskiego ludu przeciw szlachcie. Chłop posądzal lub nienawidził szlachcica, a że w szlachcicu widział Polaka, więc łączył i mieszał te nieufności i niechęci. Uważaliśmy to za nieszczęście, za zawadę główną na drodze prawdziwego narodowego postępu: rozważnie, cierpliwie, stopniowo leczylimy lud z tej choroby. Dobrze użyte środki i czas sprawiły tyle, że się udało może nie doskonale, ale niezłe: nieufność ustępowała, porozumienie zaczęło się tworzyć, najgorsza z chorób naszego społeczeństwa przeszła w stan konwalescencji.

Dziś przychodzi tak zwana postępową demokracja i mówi, że chce budzić lud do „świadomości siebie samego“: a my zazdrośni niby i zacofani do tego przebudzenia dopuścić nie chcemy! „Drżysz, gdy z łona gminu błysnie twarz człowieka“. Ale jakim sposobem budzi się tę mniemaną świadomość? i czy ją naprawdę? Nie: budzi się tylko uśpioną nieufność i niechęć: dmucha się na przygasłą, ale do rozdmuchania zawsze możliwą nienawiść. „Nie wybierajcie szlachcica? dlaczego panowie mają za was w Sejmie siedzieć?“ — Dotąd mówiło się: „nie bójcie, nie wahajcie się wybierać szlachcica, bo on ta krew i ten duch co wy: bo wam na zdradzie nie stoi, jak was przed laty uczyli i zwodzili

nieprzyjaciele. On wie, że własne dobro tylko razem z waszem znaleźć może, i jednego od drugiego nie odłącza. A że przytem na wielu rzeczach może rozumieć się lepiej od was, więc nie bójcie się wybrać go na posła“. I lud wiejski dawał temu wiarę. I nie zawiódł się: bo jeżeli przez ludzką omyłność załatwiliśmy nie tak dobrze jak należało tę lub ową sprawę, która go blisko obchodzi, to z braku doświadczenia albo z łatwości względem naukowych teoryi i liberalnych doktryn (jak w sprawie dzielenia gruntów naprzykład), ale zrobiliśmy też niejedno co mu wyszło na dobre. A czy nam może chodzi o to, żeby włościan w Sejmie nie było? Bynajmniej. Oświecony, poważny włościanin niech tam będzie, niech widzi własnymi oczyma i przekona się, co się tam robi. Tylko na tem zależy nam bardzo, żeby nie wchodził do Sejmu jako nasz przeciwnik, z uprzedzeniem i podejrzeniem z góry powziętem, z przekonaniem, że ta podejrzliwość jest jego poselskim obowiązkiem.

„Postępowa demokracja“ zaś mówi do włościanina: „nie ufaj szlachcicowi i nie wybieraj go, bo on cię wyzyska lub zdradzi. On tylko o swoje dobro dba, a twoje lekceważy i poświęca. Nie wierz mu — wierz mnie, jam prawdziwy Przyjaciel Ludu, i wybieraj mnie; a jeżeli mnie nie chcesz, to siebie samego, jednego ze swoich, tylko nie szlachcica“. Że ten szlachcic ma narodowej polskiej świadomości więcej aniżeli włościanin, że ona będzie dla szlachcica pierwszym względem i pierwszą regułą postępowania — na to się nie uważa. Że w roku 1861 i jeszcze 1865 w tensam sposób do wyborców włościańskich mówili Chomińscy i tym podobni — że w ten sposób na Rusi mówili do

nich i mówią zawsze świętojurcy, to sumienia polskiego tych panów nie niepokoi! Przecież oni mają wyższy cel i wyższą misję, oni są postępem i demokracją! A że poseł nieoświecony na sprawach publicznych rozumieć się nie będzie: to nic nie szkodzi — to może tem lepiej, bo tem pewniej swoim *przyjaciółom* da się prowadzić.

Ale wypierają się i utrzymują, że oni nieufności i społecznych niechęci nie szerzą: nie! oni tylko budzą lud do świadomości siebie. Zapominają tylko, że z ogniem igra i ze świadomością polską tego ludu, kto go w swoich pisemkach społecznej nieufności uczy, kto go w prywatnych listach kusi, żeby swoich tylko wybierał, kto na wyborczych plakatach drukuje „nie wybieraj szlachcica, ale takiego wybieraj, który o twoje nie o własne dobro dbać będzie,“ kto go znieważa, zdrajcą nazywa, i karami boskimi mu grozi, jeżeli szlachcica wybierze.

„Ale to wszystko nie my; my nie możemy odpowiadać za wszystko, cokolwiek kto zrobi lub napisze! My tak nie robimy, my ludzie poważni, i postępowi!“ Właśnie że robią, a jeżeli za ich przykładem ktoś drugi robi więcej i gorzej niżby może chcieli, to zawsze odpowiedzialność ich, bo przykład był ich.

Zresztą jednego przynajmniej wyprzec się nie mogą mimo całej swojej biegłości w tej sztuce, to swoich własnych uchwał. Wice miejski we Lwowie uchwalił:

„Zgromadzeni na wiecu wyborczym miast i miasteczek, dnia 28 kwietnia 1889 r. we Lwowie odbytym oświadczają, iż starać się będą o reformę wyborczą przez zniesienie kuryi wyborczych i zaprowadzenie jeduolitych okręgów wyborczych“.

Znieść kurye, a zaprowadzić głosowanie ogólne? Wierzę, że każdy rząd lewicy w Wiedniu przyklasnałby tej myśli, tembardziej też buduje mnie widok takich pomysłów w polskich postępowych zgromadzeniach. Bo co znaczyłby ten postęp — to jasne. Znaczyłby utopienie polskiej myśli i polskiego interesu w massie, która go dostatecznie czuć nie umie, a należycie zrozumieć nie jest zdolna.

Jeżeli to demokracja, to nie postępową, szkodliwą, i nierozumną.

Nie postępową, bo stan społeczny kraju, który się był poprawił znacznie, cofa w tył i może zrobić go nanow takim, jakim był przed laty czterdziestu, a przynajmniej trzydziestu.

Szkodliwa, bo balamuci i wyzyskuje ten lud, który niby kocha: bo siły polskiego żywiołu chemicznie w swoim kwasie rozpuszcza, bo wreszcie z dobrej sławy ludzi robi sobie niegodziwą igraszkę i środek swojego sukcesu.

A nierozumna wreszcie! Dość przerzucić te artykuły dziennikarskie i te kandydackie mowy, żeby się zadziwić i zasmucić nad ubóstwem myśli i ciasnotą pojęć. Kiedy się czyta naprzykład, że rządząca „koterya otwiera dla swych prozelitów salony (!) i robi z nich ludzi dobrego tonu, wydaje dyplomy na mądrość i cnotę“ nie chce się doprawdy wierzyć własnym oczom. Uczono nas dawniej i wierzyliśmy dobrodusznie, że człowiek który ma własną wartość, ma prawo, żeby się przed nim każde drzwi otwarły. Taka była dawna naiwna, głupia demokracja. Dziś ona postąpiła, i mówi, że kto niema herbu lub dziewięciu palek na koronie, ten do tak zwanych salonów niech nie wchodzi, bo inaczej zaprze się swego pochodzenia, sprzeniewierzy się demo-

kracy! Doprawdy trudno tym panom dogodzić! Dawniej kiedy między nami było prawda dużo próżniaków, nie słyszało się nie tylko skargi, że szlachta próżnuje: dziś kiedy próżniaków bardzo mało, skargi znowu, że pracujemy, bo pracując zabieramy miejsca drugim! Cóż mamy robić, gdzie się podzić? chyba przez grzeczność wynieść się gdzie za morza, żeby tym panom nie zawadzać? Dawniej były skargi — nie wiem czy słuszne — że szlachta, a dopieroż niecna arystokracja! zamyka się w swoim kółku i najzasłużeńszym ludziom nie daje przystępu do swoich zaczarowanych pałaców — czy salonów. Zdaje mi się, że słusznem nie było to nigdy. Ludzi rozumnych i cywilizowanych było dzięki Bogu zawsze w Polsce dosyć. Ale dziś przy postępie demokracji znać nie powinno być przyjaźni, zażyłości, nawet towarzyskiej znajomości między szlachtą a nie szlachtą, bo jeżeli one są, to oczywiście jedni „za kielich trunku, ukłon białutny“ kupują sobie niewolników, a drudzy zaprzędają się w niewolę! Nie wie się doprawdy co to jest, i gdzie się jest. Czy w kraju cywilizowanym i wśród cywilizowanej demokracji, albo na tej francuskiej komedji, gdzie postępowy klub rzuca śmiecie i paszkwile do ogrodu księcia, a pożądliwie spogląda na jego „salony“, i serdecznie zazdrości temu swemu prezydentowi, który się do nich dostał i zachowuje się w nich tak uprzemie i gładko.

Kortyna zapada w chwili, kiedy bohater wychodzi z pałacu i rządu księcia Monaco. Co dalej robił? Zapewne wrócił do klubu, i mścił się.

Ale gdyby na takich rzeczach ograniczał i kończył się nierozum tej mniemanej demokracji, byłoby jeszcze pół biedy. Gorsze są skutki tego fermentu, który wpuściła

w nasz społeczny organizm. Nieufność i niechęć rozbudzona, może rósć i wzmacniać się: ale plon z tego zasiewu może zebrać kto inny, nie ten co siał. Zawsze tak bywa, i we własnych doświadczeniach mamy na to dowody. Kiedy emigracyjna demokracja budziła w ludzie „świadomość siebie“, okazując mu równość posiadania i używania, z jej przygotowań skorzystał kto inny. Dziś podobnie z rozpoczętej wśród ludu agitacji skorzystałby nie ci co ją rozpoczęli, ale skorzystałby albo socjalista obiecujący więcej, albo agent jakiego potężnego mocarstwa, które wie dobrze, że nieufność i nienawiść między warstwami społeczeństwa jest najpewniejszym środkiem do rozłożenia i strawienia narodu.

Bez swojej wiedzy i chęci, wbrew jej, ale dla tego to *Przyjaciela Ludu, i Narodu!* pracują wszyscy, którzy nienfności i niechęci szerzą; i dlatego to głównie powiedziałem, że taka demokracja jest nierozumna, bo robi co innego jakby sama chciała, sprowadza skutki przeciwne swoim zamiarom.

A ludzi się podobno bardzo, kiedy wierzy i nam zapowiada, że na gruncie demokratycznym nastąpi pojednanie Rusi z Polską: „do Polski demokratycznej, Rusini zasadniczej nienawiści żywić nie mogą“. Tylko czemu się stała ta Polska w ruskich województwach, gdyby tylko demokratyczną została? Mielismy wskazówkę we Lwowie tej wiosny, kiedy jakaś młodzież, nadużywająca imienia i tytułu uczniów, święciła to pojednanie, i szyderczym śmiechem przyjęła śpiew *Jeszcze Polska nie zginęła*. Pojednanie możeby nastąpiło: ale jego formuła brzmiałaby w takim razie *Czerń i Czerń*. Demokratyczna ona jest niezaprzeczenie, zrównanie do-

skonałe! Tylko w tem zrównaniu zostawałaby jedna wartość niewiadoma: Polska.

Oto powody dla których takiej demokracji opierać się musimy. Nie dlatego że jest demokracją, ale dlatego że jest złą i nierozumną i nieprawdziwą. Prawdziwa pomagałaby ale nie przeszkadzała do społecznego ładu i zgody; ta jest tylko chęcią przewodzenia w kraju, na to, żeby w nim prowadzić politykę niewiadomą, a z dotychczasowych działań sądząc, szkodliwą. Mówi nam ten mniemany postęp że „wykreśliliśmy ze słownika słowa miłość ojczyzny, wolność i postęp a zastąpiliśmy je słowami: rozum stanu, polityka, porządek i karność“. Jak żeby miłość ojczyzny wykluczała rozum! jak żeby porządek sprzeciwiał się wolności? jak żeby mógł być postęp bez karności! Nie — nie wykrzykujemy tych słów po placach i rynkach, nie wołamy na ludzi, „patrzcie jak ja kocham ojczyznę, i o ile ja lepszy od tego podłego celnika — konserwatysty!“ ale nie wykreślamy tych słów ani ze słownika ani z sumienia polskiego. Sądziimy tylko, że lepiej o tej miłości i tej ojczyźnie mniej mówić, a tak robić, iżby je nikt inny ani ze słownika, ani z sumienia, ani z karty geograficznej nie mógł wykreślić. Jeżeli zaś obok nich zapisać chcemy te drugie: rozum stanu, porządek i karność, to nasza zasługa. I to cecha, po której rozróżnia się obywatela od wicherzyciela, ducha publiczny od prywaty czy staropolskiego oligarchicznego czy dzisiejszego niby postępowego demagoga.

Różnica między nami nie jest ani we krwi, ani w demokracji czy arystokracji: jest w pojęciu publicznego ducha i w pełnieniu jego obowiązków, jest w patryotycznym sumieniu.

I dlatego to tak trudno nam się zrozumieć! Ale dlatego znowu zrozumieć i zjednoczyć się winni wszyscy, bez różnicy, którzy uznają, że w patriotycznym sumieniu obok słów ojczyzna, wolność i postęp, mają być zapisane słowa: rozum, porządek i karność, bo inaczej tamte zostaną zawsze brzmieniem bez treści, a nie staną się nigdy rzeczywistością. Czy to połączenie tak trudne? Przeciwnicy gniewają się i gorszą bardzo, że do stronnictwa ładu i statku należą ludzie wszelkiego stanowiska lub majątku! Nie pierwsi zrobili to spostrzeżenie. Cicero już dawno powiedział, że „optymatami są nie tylko senatorowie i patrycyusze, ale włościanie, kupcy, przemysłowcy, nawet wyzwolenicy; optymatami są wszyscy, którzy rady swoje do dobra Rzeczypospolitej stosują, którzy nie są ani szkodliwi, ani z natury źli i przewrotni, ani burzliwi i zaciekli“. Tak, wszyscy tacy jesteśmy optymatami: i wszyscy równi pojęciem obowiązku i służbą publiczną. Oprócz nas są (jak zawsze Cicero mówi) „*populares*, którzy to tylko mówią i robią, co myślą, że gminowi będzie milem i podchlebi¹⁾“.

Że tamten prąd wezbrał bardzo, to widzimy. Zwymknie wzbiera on i nie da się wstrzymać aż do chwili, kiedy narobił szkody; wtedy dopiero zaczyna opadać. Do tego dopuścić nam nie należy, bo szkoda nawet mała jest niepotrzebna, a w naszym położeniu każda jest wielką. Dotychczas nie jesteśmy bez winy. Prąd wzbierał, a my zamiast nań radzić od początku, patrzyliśmy flegmatycznie, tak jak to już nieraz bywało. Jedni nie widzą w nim nic złego, lgną do niego; drudzy myślą, że zawsze będzie czas przeszkodzić; inni obawiają się, że oporem

¹⁾ Pro Sextio 35.

sprowadzą gorsze rozdwojenie; aż dopiero, kiedy zle objawi się wyraźnie i silnie, uznajemy, że ono jest.

Principiis obsta jest mądrą maksymą. Gdybyśmy od początku nie byli pobłażali złemu dziennikarstwu, ale zawczasu położyli mu tamę, nie byłoby ono dziś aż do wiejskiego ludu przesiąkło. Gdybyśmy mieli opinię względem ludzi surowszą, nie mielibyśmy takich kandydatur poselskich, które nawet kiedy upadają, są samą swoją możliwością wstydem dla kraju. Gdybyśmy nie byli łatwo pozwalali się demoralizować, nie byłibyśmy tak zdemoralizowani, jak jesteśmy. Straciliśmy już czasu dużo. Ale mamy go jeszcze przed sobą, tylko z niego korzystajmy. Na to potrzeba, żeby w przyszłym Sejmie była większość znaczna, i przekonana że jej obowiązkiem jest być większością stałą, stateczną i stanowczą. Nie sztuczne, na sympatyach, uprzedzeniach, urojeniach, czy współzawodnictwach oparte kluby, ale większość jednolita i prawdziwa. Że dla takiej każdy jakąś ofiarę zrobić musi ze swoich wyobrażeń, czy upodobań, to prawda; a taka ofiara zawsze trochę kosztuje. Ale my jesteśmy do niej zupełnie gotowi i zrobimy ją bez wahania i bez żalu.

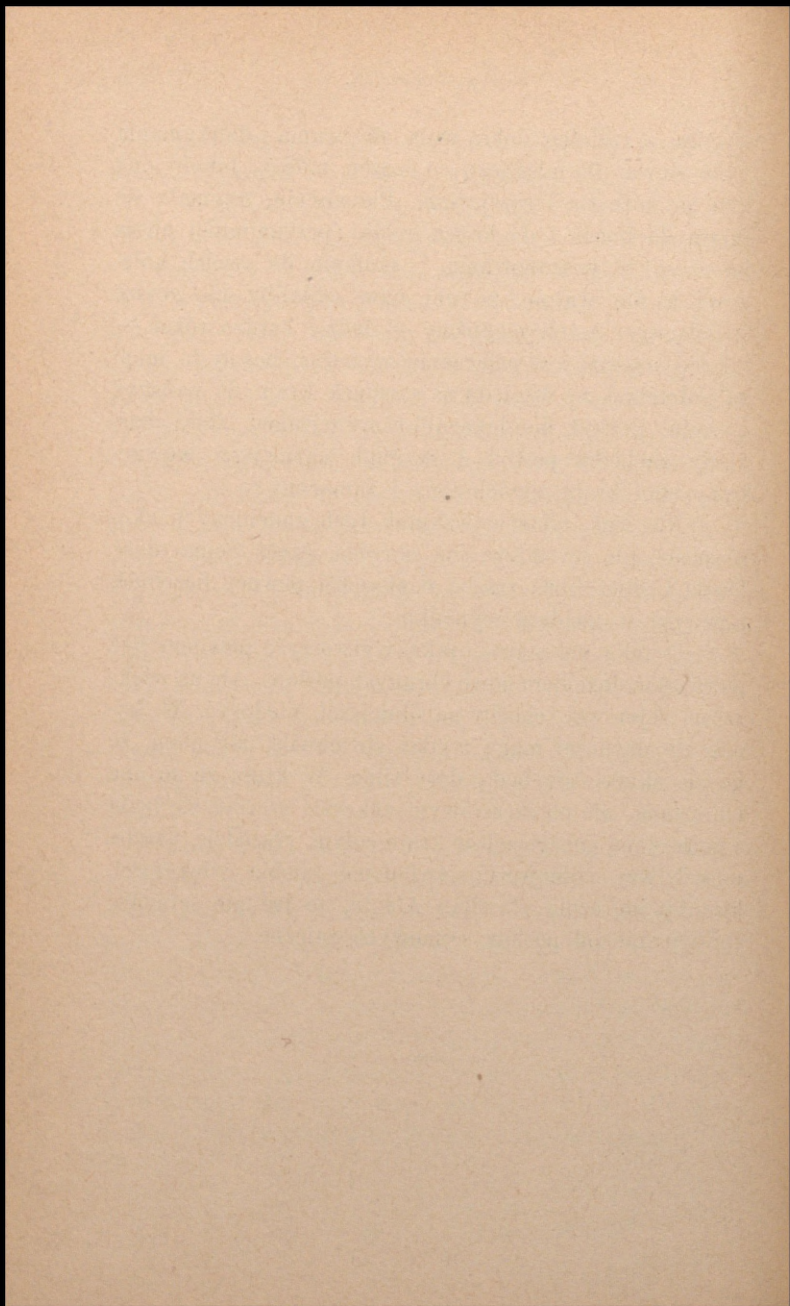
Jest o nas mniemanie, żeśmy skrajni i twardzi, nieugięci w zdaniu, a nieprzyjemni w postępowaniu. Jakim jest każdy z osobna w życiu prywatnem, nie nam sądzić; ale w publicznem umiemy się i poddać, i ze swego ustąpić, i słowa wiernie dotrzymać. Przed sześciu laty złączyliśmy się z dawnym klubem podolskim, nie bez pewnych, ciężkich nawet, z naszej strony ofiar i wyrzeczeń, w prawicę ostatniego Sejmu. Ta prawica przetrwała sześć lat w zgodzie istotnej i coraz większej, bo się zeszła w rzetelnem przekonaniu o potrzebie i obo-

wiązku, z rzetelną dobrą wolą, dotrwania i dotrzymania sobie słowa. Bo fałsz jest, co czasem mówią, jakoby ona była się rozeszła i rozchwiała. Przeciwnie, trzymała się razem do końca i do końca rosła (przynajmniej nasza jej część) w poszanowaniu i zaufaniu do swoich kolegów; a nie wątpię, że oni nam oddaliby nie gorsze świadectwo. Jeżeli mogliśmy — ludzie bardzo różni — tak się złączyć i w połączeniu wytrwać, bośmy to mieli za potrzebne ze względu na stosunek kraju do państwa i rządu, to czyż nie dokazalibyśmy tejsamej sztuki dziś, kiedy zachodzi powód i wzgląd ważniejszy, wewnętrzny stan kraju zawichrzony i zamacony?

Ale dziś, właśnie wskutek tych zmienionych okoliczności, nie wystarcza już prawica, część Sejmu dość liczna i silna; dziś trzeba większości pewnej liczebnie, i pewnej w każdym wypadku.

O taką się starać, taką wytworzyć, powinno być pierwszym dążeniem nowo obranych posłów. Ale na większości sejmowej, choćby najsilniejszej, niedosyć. W Sejmie złe dążności mogą wydać złe chwile, ale ufam, że na złe skutki nie będą dość silne. W kraju za to one nie ustaną, ale po częściowym sukcesie szerzyć się będą z podwojoną energią: i w kraju całym, wszędzie, trzeba prawdziwej, stanowczej, świadomej siebie większości, któraby im czoło stawiała. Ale to, to już nie sejmowe sprawy, nie od posłów sejmowych zależne.





NIEBEZPIECZEŃSTWA

grożące Kościołowi w naszym kraju.

Mowa na wiecu katolickim

dnia 7 lipca 1893 roku.

Jaki jest stan katolickich uczuć i przekonań w naszym narodzie? jaki stopień ich mocy i wytrwałości? Pytanie to rozważa i zgłębia, odpowiedzi na nie szuka każdy myślący Polak-katolik, dbały o wartość swego narodu, troskliwy o jego przyszłość. Jacy jesteśmy pod tym względem, to wie doskonale tylko jeden, ten, który widzi skrytości serc, Bóg. Człowiek z zewnętrznych znaków, z uczynków sądzi, a i te zna nie wszystkie, zna tylko zgrubsza i po wierzchu; wiele może nie dojrzeć, nie widzieć, mylnie ocenić i sądzić. Gdyby zaś chciał to tylko naznaczyć, co każdemu wiadome i widoczne, miałby o czem dzieło napisać, tyle jest rozlicznych zdarzeń, praw, stosunków, które dzisiejszy stan Kościoła u nas wyrobiły, tyle różnych wpływów, które kształciły nasze pojęcia i przekonania, tyle w tych przekonaniach różnic i odcieni. Ktoby zaś chciał dochodzić i mierzyć, czy jesteśmy pod względem religijnym w postępie, albo też w upadku, ten musiałby sięgnąć głęboko

w przeszłość i zbadać stan religijny narodu w kilku minionych jego pokoleniach, żeby mieć podstawę do porównania i wniosku.

Na takie przedsięwzięcie tu nie czas i nie miejsce; pobieżny rzut oka, przybliżony obrachunek, to wszystko co zrobić możemy. Ale to zrobić spróbujemy, kiedy się pierwszy raz zbieramy na to, by o naszych religijnych sprawach radzić. Wszystkie są ważne i do wiedzenia potrzebne; ale wszystkie o tyle dobrze iść i skutecznie rozwijać się mogą, o ile w nas samych jest wiara stateczna, miłość Kościoła rzetelna, i wola stała, hartowna, żeby jednej i drugiej wiernie i bądźco bądź dochować.

A więc zanim się tym razem pożegnamy i rozejdziemy, zapytajmy sami siebie i zastanówmy się przez chwilę, jakimi my jesteście katolikami?

Bóg jeden wie i sądzić ma prawo, kto lepszy, a kto gorszy; ale po ludzku sądząc, możemy chyba z czystym sumieniem powiedzieć, żeśmy między katolikami nie ostatni, że co kiedyś Mieczysław przy chrzcie swoim za swój naród przyrzekł, tośmy dotąd, dzięki Bogu, dotrzymali. Boga i Kościoła swego nie odstąpiliśmy, choć był czas, za Lutera, że nas do tego odstępstwa mnogie i silne pokusy ciągnęły. Od wschodniego muzułmaństwa broniliśmy siebie i drugich, i nie daliśmy mu wdrzeć się w środek europejskiego stałego ładu; pogańską Litwę ochrzciliśmy i utwierdzili w wierze; wschodnie, przeciw Kościołowi zbuntowane, chrześcijaństwo zjednoczyliśmy z Kościołem, a bez gwałtu, bez prześladowań, bez krwi rozlewu, jak daleko granice naszej Rzeczypospolitej sięgały. Odrzekliśmy się na chrzcie czarta i wszystkich spraw jego, i wszystkiej pychy jego — i dotrzymaliśmy, bośmy z pychy ni zazdrości

gwałtem ni zdradą cudzego dobra nie brali, ani go nie pożąдали. Później, gdy wślad za buntem przeciw Kościołowi, Reformacją, poszedł bunt przeciw Bogu, niedowiarstwo i bezbożność XVIII wieku, zaraziły one i nas, ale do szpiku kości, do krwi nam przecie nie doszły. W tym ostatnim już, w tym kończącym się XIX wieku, jedni z nas wytrzymywali prześladowania otwarte i krwawe, drudzy tyle zasługi nie mieli, ale wiernymi zostali; jeszcze inni podnieśli i wzmocnili katolicką świadomość i katolickie życie narodu: świeckich utwierdzili w przekonaniach i miłości Kościoła, powołania duchowne jednoczyli w regułach i zgromadzeniach zakonnych, pierwszych, jakie nasze społeczeństwo z siebie wydało. A wczoraj jeszcze i to z ust, które przed Bogiem samym świadczyć mają prawo, z ust Pasterza dyecezyi, słyszeliśmy chlubne dla siebie świadectwo, że obojętności u nas mniej, katolickiego ducha więcej niż dawniej. — Świecki człowiek uważa tosamo. Gdyby takie zebranie katolickie było zapowiedzianem przed laty trzydziestu, nawet dwudziestu? czy wielu nie byłoby od niego stroniło tylko dlatego, że się katolikiem nazywa? Nie przez niewiarę i niechęć nawet — przez głupi, fałszywy wstyd raczej.

To wszystko świadczy za nami dobrze i wskazuje, że możemy o swojej prawowierności, gruntowności i stateczności swoich katolickich uczuć i zasad nie wątpić: owszem liczyć na nią z niejaką pewnością siebie, a nawet chlubą. Przecież pewność ta byłaby za śmiała. „Kto mniema że stoi, niech patrzy, żeby nie upadł“: a nas do religijnego upadku wieść i pechać może pokus i niebezpieczeństw tyle, że mogłyby — nie daj Boże — odnieść nad nami zwycięstwo, gdy-

byśmy ich ciągle, zawsze, czujnie, czynnie, odważnie nie odpierali.

Jakież one są? Trzy wieki temu, wielki Skarga, kiedy przewidywał smutną przyszłość Rzeczypospolitej, zaczynał swoje sejmowe kazania od słów: „Namienię cokolwiek tych niebezpieczeństw naszych, którycheście wy lepiej niżeli ja świadomi.“ Nie na to te słowa przytaczam, żeby się zuchwale robić podobnym temu, któremu mało kto z Polaków godzien rzemysł u trzewika rozwiązać, ale dlatego przytaczam, że na tem katolików polskich zebraniu to wielkie imię przypomnieć, to słowo odezwać się echem dalekiem, ta święta postać przytomną nam się stać powinna. A prócz tego, wszystko się od tego czasu około nas zmieniło: ale w nas niejedno zostało jak było, i między niebezpieczeństwami jakie on wskazywał, znajdują się i takie, które nam dziś w naszym religijnym i w naszym społecznym stanie grożą.

Dwojakie są: jedne, co z zewnątrz w nas walą, drugie wewnątrz, z naszego własnego serca i charakteru się rodzą, i zwątlenie, rozprzężenie katolickiego uczucia i ducha za sobą prowadzą.

Z tych zewnętrznych, z tych, z których „wyleczyć się nie możemy, byleśmy chcieli,“ pierwsze, największe, najstraszliwsze jest to, którego Skarga nie widział, które przewidywał tylko. „Będziecie, jako wdowa osierociała, będziecie na pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciółom swoim... będziecie bez ojczyzny i królestwa swego... i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze.“ A do tej groźby dodaje Orzechowski drugą, nie mniej sprawdzoną: „będziecie mieć króla w duchownych rzeczach sędziego.“

A kiedy się o stanie i niebezpieczeństwach Kościoła mówi, to pierwsze cisnie się na usta, pierwsze z głębi serca wyrwa się to, co najgorsze, najstraszniejsze, co ziemię zalalo krwią, a wiarę z korzeniem chce z niej wyrwać, co Kościół chytrze do rozkładu chce doprowadzić — to, które wszyscy znamy, które nosimy w duszy jako troskę największą, na sercu jako kamień najcięższy, a o którym opowiadać tu nie możemy.

Nie opowiadać? jakto? o tem, co przed Bogiem i w Kościele zasługa, przed światem i ludzkim prawem gwałt i ucisk: o tem, o prześladowaniu Kościoła nie mówić, i gdzie jeszcze, na katolickim w Polsce wiecu? A wszak jeżeli milczeć będziemy, to jedni powiedziec, drudzy pomyśleć i uwierzyć gotowi, że niema gwałtu, niema prześladowania, że Kościół swobodny, biskup wolny, nauka wiary i nabożeństwo kwitnie pięknie pod pogodnym niebem, że nieprawdą jest skrzepowanie i niewola Kościoła, nieprawdą wygnania za wiarę, nieprawdą samo męczeństwo i krew?

I my mamy tego nie opowiadać?

Tak. Bo każda skarga, podniesiona tu, mściłaby się na nas tam, gorszą niewolą Kościoła. Milczmy więc. Mówieniem samem sobie nie pomożemy, ani ludzie na nasze mówienie nie pomogą. A Bóg naszego mówienia nie potrzebuje: widzi On i bez tego, co się dzieje, widzi i liczy. Nie mówmy o tem, i nie obawiajmy się, że tem milczeniem sprzeniewierzamy się Bogu, prawdzie, własnemu obowiązkowi i czci, bo ten obowiązek właśnie milczeć nam każe. Milczymy więc i Boga prosimy, by czas gniewu swojego skrócił, a siłę wytrwałości, siłę wiary, siłę roztropności, siłę wytrzymania dał.

Inne niebezpieczeństwa, które nam grożą z zewnątrz, przynosi sam czas i jego mniej lub więcej silne prądy i rozpowszechnione błędy. Temi są: nienawiść wiary i Kościoła pod pozorem wolności, przeczenie chrześcijaństwa pod pozorem nauki, wreszcie socjalizm pod pozorem miłości ludu.

Dwa pierwsze, za przykładem Francyi, Niemiec, Włoch, działają u nas głównie na ludzi wykształconych, niekiedy nawet na istotnie uczonych.

Z protestantyzmu poczęta, przez sceptycyzm XVIII wieku utwierdzona i rozszerzona nieprawda, jakoby katolicyzm niedopuszczał ani wolności myślenia, ani wolności wyznań, ani wolności obywatelskiej, opanowała zagranicą większość, u nas wiele umysłów nieraz świątynych, ale niedość mocnych, iżby oczywiste nieprawdy poznać, lub niedość szczerych, iżby je przyznać chciały. Napróżno historya przeczy swemi niezwykłymi argumentami; uprzedzenie o tyle historyi wierzy, o ile ona mu schlebia. Napróżno literatura katolicka zbija i dowodzi: tej się nie wierzy z góry, jako podejrzanej, i nie raczy się do niej nawet zaglądać, uważa się ją za niebyłą. Pokolenia całe chowały się u nas dawniej w bezbożnych wyobrażeniach francuskich, później na książkach (tu w Galicyi) niemieckich, z protestanckiego stanowiska pisanych. Ztąd poszło, że na gruncie uczuć katolickich, nieraz szczerych, ułożyła się u nas warstwa pojęć i przekonań, przeciwnych tym uczuciom, przeciwnych Kościołowi i wierze. Z tych książek, z tych nauk, z tych literatur, osiadło w wielu z nas stale i ślepe niedowierzanie Kościołowi. Cokolwiek robił, w jakimkolwiek czasie, on podejrzany był zawsze: on w skrytości czychał na wolność, on zawsze, gdyby mógł, paliłby here-

tyków a nad społeczeństwem świeckiem chciałby panować. To jest uczucie stałe, zakorzenione, większości tych ludzi, krórczy się nazywają liberalnymi. Że nie mają racyi, że gdyby chcieli rzeczy brać głębiej, sprawiedliwiej, musieliby sami przekonać się o marności i bezzasadności swego mniemania, że zwłaszcza od Leona XIII, od roku 1885, od Encykliki *Immortale Dei*, mają wszelką łatwość przekonania się, a żadnej wymówki, jeżeli w uprzedzeniu swoim trwają, to nie nie znaczy i nie pomaga. Zastarzałe złe nie ustępuje łatwo, ani szybko. Widzimy też to zjawisko dziwne, że ludzie, którzy w uczuciu i sumieniu swoim mają się za katolików, szczerze sympatyą swoją otaczają, a czasem uczynkiem popierają to, co zmierza prosto do rozprzężenia i obalenia Kościoła. Uważajmy naprzykład, jak w naszych pismach tak zwanych liberalnych, nie znajduje się nigdy ani jedno słowo nagany — o oburzeniu już nie mówimy — dla praw, które we Francyi lub we Włoszech wprowadzają wprost odechrześciance społeczeństwa: że dążności anty-chrześcijańskie, a dopiero anty-katolickie, objawiające się w austryackiej prasie, lub Izbie poselskiej, nigdy w takich pismach nie są przedstawione polskiemu czytelnikowi, jako złe. Kiedy chodziło o zniesienie konkordatu z Rzymem, niektórzy posłowie polscy głosowali za niem z zapałem, z przekonaniem, że robią coś mądrego i dobrego; kiedy dziś zjawia się kwestya katolickiego wychowania młodzieży, czy obstajemy za nią tak, jakby nas do tego obowiązywała wiara, sumienie, rozumny wzgląd na przyszłość społeczeństwa, i wierność naszej narodowej, nie już tradycyi, ale istności i sprawie? Kiedy katolicy w Radzie Państwa chcą powiedzieć, że „wychowanie powinno być

„religijnem i moralnem,“ a ich przeciwnicy wyrzucają to słówko religijne, czy my tego słowa bronimy dość dzielnie, a na tych przeciwników czy powstajemy w pismach naszych?

To mylnie, fałszywe i tak już przestarzałe że aż śmieszne, pojęcie wolności, jako niby niezgodnej z religią a przede wszystkim z religią katolicką, grasuje u nas i łatwowiernych ma wielu. I nie w Galicyi tylko; w Warszawie, w Wielkopolsce, nie jest pod tym względem lepiej.

Na takie usposobienie, na tak przygotowany grunt, padły dopiero wpływy naukowe. To tylko prawda, co albo zmysłami, albo rachunkiem, albo dokumentem czarne na białem da się stwierdzić. A zatem tylko to, co naturalne i ludzkie, należy do historyi i prawdziwem być może; zaś to, co nadnaturalne, cudowne, należy do legendy, do poezyi, nie do historyi i do prawdy. Zatem Bóstwo Jezusa Chrystusa, Jego wcielenie, Jego zmartwychwstanie, to mitologia takasama jak indyjska, egipska lub grecka, a ewangelie — lingwistyka przychodziła tu w pomoc — są podrobione i sfalszowane.

A kiedy jeden wpływ godził tak w samą podstawę chrześcijaństwa, drugi, filozoficzny, przeczył duszę człowieka, jego istotę i wartość moralną. Nauka to tylko znać i stwierdzić może, co może widzieć. Duszy nie widział nigdy nikt, a to widzi każdy, że fizyczna natura człowieka jest do natury zwierząt podobna; że wielkość i ukształcenie mózgu i pewien w nim stosunek składowych pierwiastków pociąga za sobą różnicę w zmyślności i uzdolnieniu zwierząt. Z tego wniosek, że człowiek duszy nieśmiertelnej nie ma, tylko dech jakiś i cielesne życie, jak zwierzę, i jak zwierzę z ży-

cia swego rachunku nie zdaje. Jego popędy i postęпки są tylko koniecznym, od niego niezależnym skutkiem jego organizacyi fizycznej. On woli nie ma; robi to co przy swojej organizacyi, przy składzie swego mózgu, robić musi. Z tego znowu wynika, że za to co robi, odpowiedzialnym być nie może; nie ma ani winy, ani zasługi. Dla swego własnego spokoju i przyjemności powinien drugiemu przykrości nie robić; ale ostatecznie cokolwiek robi, nie robi ani źle, ani dobrze. Złego ani dobrego naprawdę nie ma; i nie ma innego prawa, oprócz praw fizycznych.

Taka filozofia ze swojemi pozorami ścisłej rzeczywistości, pewności dowiedzianej, mądrości, która to tylko ma za prawdę co się dotykałnie i naocznie da dowieść, taka filozofia imponowała wielu, tem łatwiej, że osłaniała się wielkimi istotnie odkryciami na polu nauk przyrodniczych. Opanowała też od lat mniejwięcej trzydziestu wiele umysłów młodych, nawet cokolwiek niewieścich. Pomagała do tego i ta nieodpowiedzialność człowieka, to usprawiedliwienie dane z góry jego popędom i jego uczynkom. Że taka nauka obala nie już religię, ale wszelkie związki moralne, wszelkie prawo, wszelkie podstawy społecznego bytu i cywilizacyi, to zbyt jasne, iżby potrzebowało dowodzenia.

Socyalizm jest skrzywieniem i nadużyciem uczuć dobrych; jest ich plodem, ale plodem potwornym, wyrodkiem. Powstał ze współczucia dla ubóstwa, z litości nad nędzą: ale skwasił się w zazdrość i wyrodził się w żądzę. W swoich krańcowych konsekwencyach staje się on rosyjskim nihilizmem, żądzą zaprzeczenia i zwalania wszystkiego co jest, albo zachodnim komunizmem, utopią niemożliwej równości majątków. W swoich sto-

pniach pośrednich, więcej umiarkowanych, nie uwzględnia on zbyt często istotnych warunków i wymagań pewnej pracy, a w następstwie swojem poddaje własność, cowieczej, prawo rodziców do wychowania dzieci, pod władzę niby społeczeństwa, którego podstawy temsamem obala. Czem on jest dla religii, dla rodziny, dla społeczeństwa, to mówiono tu obszernie wczoraj¹⁾. Jak go rozumie Kościół, i jak wskutku tego katolik winien rozróżniać prawa i potrzebę uboższych od teoryj wiodących do anarchii i tyranii, to wyłożone jest dostatecznie i każdemu jasne ob czasu Encykliki *Rerum Novarum*, której zasady i znaczenie objaśnione były przed chwilą²⁾.

Powtarzać byłoby zbyteczne. Dodać tylko potrzeba, że, jak wiemy, złe to szerzy się i u nas, z pewnym jednak miejscowym czy krajowym odcieniem. Socjalizm zagraniczny wyznaje się otwarciem i z pewną chlubą bezreligijnym, bezbożnym: religia nie obchodzi go nic, a on nad nią wyższy. Kto taki głupi, że jakąś mieć chce, niech ją sobie ma; zmańdrzeje z czasem, albo mu się jakoś to głupstwo z głowy wybije. U nas zupełnie szczerym być on nie śmie. Wie, że gdyby odkrył tę swoją stronę przed rzemieślnikiem lub włościaninem, straciłby u niego wiarę, szacunek i wziętość. Tak więc, jak tak zwany liberalizm lubi osłaniać się czasem katolickimi pozorami, żeby uspokoić sumienia jednych swoich zwolenników, a drugich pozyskać, tak samo i socjalizm (tylko w innych sferach ludności) udaje czasem pobożnego i do pobożnych uczuć trafić

¹⁾ Dr. Jordan 5 lipca na pełnem posiedzeniu wiecu.

²⁾ Wykład X. prałata Gnatowskiego.

się stara. Ten katolicyzm pozorny a obłudny, to jest przykra konieczność, której się złe dążności u nas poddają, żeby dobrych ludzi do siebie przyciągnąć i zagarnąć. Poddają się do czasu, obiecując sobie, że kiedyś da się maskę zrzucić, a z religijnem wyznaniem zrobić to, co w danych okolicznościach okaże się dogodniejszym. Społeczeństwo bez Boga, na samym człowieku i jego rozumie oparte, to ostateczny cel. X. Kajsiewicz mówi, że trzy były dotąd wielkie bunty przeciw Bogu i jego prawom. Mahomet i jego muzułmaństwo, to był bunt zmysłów, ciała. Luter i protestantyzm, bunt rozumu. Teraz mamy trzeci i najgorszy, bunt woli. Czem jesteśmy, czem będziemy, co myślimy lub wierzymy, to wszystko jedno, byleśmy nie wierzyli w Boga, byleśmy Jego nie słuchali: nie chcemy Boga, ani z Nim być. To jest treść i kres dzisiejszego przeciw chrześcijaństwu buntu.

Dalsze złe, zewnętrzne także w swoim początku, ale takie, które przez długie trwanie stało się krajowem, jest specyficznie austriackiem. To zabytki, skutki i ślady tak zwanego Józefinizmu. Bez otwartego, a przynajmniej bez krzyczącego gwałtu, bez prześladowania, przetworzyć nieznacznie Kościół na instytucję pozornie tylko żywotną i samodzielną, w rzeczy państwu podległą i od niego zupełnie zależną. Działo się to istotnie tak nieznacznie, tak zręcznie, że Kościół sam, że duchowieństwo, nie zaczepiane, nie prześladowane, przywykało do tego stanu rzeczy, uważało go za naturalny, i nie czując swego upośledzenia, usypiało w błogim spokoju. Skutkiem było wielkie osłabienie powagi i władzy biskupów, nietylko u ludzi świeckich, ale nawet u duchownych. Przebudzenie musiało przyjść; ale wtedy

przyszła reakcyja tu i owdzie nad miarę. Duchowieństwo, przywrócone do żywszej świadomości siebie i miłości Kościoła, uczuło się zarazem upośledzonym przez społeczeństwo świeckie, przez państwo; uczuło się niekiedy w jakimś do niego przeciwieństwie niedobrze zrozumianem. Naprzykład, jeżeli dajmy na to duchowny jest pociągnięty do odpowiedzialności przez sądy świeckie (za świeckie sprawy) zdarzy się czasem słyszeć duchownych, którzy w tem podejrzewają zamach na Kościół i jego prawa: w niewinnieniu takiego oskarżonego widzą nie zwykły wyrok sądowy, ale jakoby zwycięstwo Kościoła nad świeckim porządkiem rzeczy.

U ludzi świeckich znowu, ta długa bierność i zależność Kościoła, spowodowała jego nieznanomość, jego niezrozumienie, jego zapomnienie. Zostawały kościoły, i nabożeństwa, i obrzędy i ich potrzeba nawet; ale świadomość katolickiej jedności i łączności, ale zrozumienie istoty Kościoła, ale znajomość i miłość tego żywego ciała, tego zgromadzenia wiernych, które pod jedną głową do jednego celu dąży, te zatarły się bardzo. Zatarły się nawet w rodzinach rdzennie polskich z krwi i kości — tembardziej w tych licznych i dziś doskonale polskich, które od napływowych urzędników austriackich pochodząc, miały niejako we krwi niedostateczne, mylne pojęcie Kościoła i państwa. Złe to jest dziś mniej rozszerzone, niż pół, a nawet ćwierć wieku temu, jego granice ścieśniają się szczęśliwie: ale są jeszcze dość przestronne na to, by je za zawadę w naszym religijnem życiu słusznie można uważać.

Jest jedno jeszcze niebezpieczeństwo, zewnętrzne, bo nie z naszej krwi i natury pochodzi, ale i wewnętrzne, bo od wieków do nas przyrosłe. Jesteśmy tym na świecie

krajem, który ma w sobie najwięcej ludności żydowskiej. W naszym wieku i państwie, gdzie różnica wyznania nie pociąga za sobą różnicy praw obywatelskich, ta część ludności rośnie widocznie w zamożność, we wpływ, w przewagę. Dopomaga jej do tego wrodzona wieloraka zdolność, zabiegliwość i oszczędność. Ale w tym naszym wieku, którego jedną z cech jest wszechstronna walka z chrześcijaństwem, lud ten — niegdyś wybrany, a kiedyś do przebaczenia przeznaczony — z natury rzeczy, samą logiką i koniecznością swojej wiary musi do walki należeć i w niej wiele znaczyć. W całej Europie też widzi się żydów we wszystkich antychrześcijańskich pismach, stowarzyszeniach, działaniach. U nas, przez ich wielką liczbę, przez ciągle i nienuknione stosunki ze wszystkimi warstwami ludności, kwestya ta może być groźniejszą i trudniejszą, niż gdzieindziej.

Jak ją rozwiązać? Może wskaże to i przyniesie czas. Dziś widzimy tylko i wiemy, jak rozwiązywać nie należy.

We Francji, w Niemczech, poczęści już nawet w Austrii, ludność przestraszona bogactwem i wzmagającym się wpływem żydów, zaczyna ich mieć w nienawiści. Rzecz ciekawa, tesame kraje i społeczeństwa, które pierwsze uwierzyły i ogłosiły, że wyznanie, że pojęcie stosunku człowieka do Boga, nie stanowi między ludźmi różnicy żadnej, te, które pierwsze wprowadziły w życie tę zasadę, że prawnu i państwu nie do Pana Boga, a Jemu nie do nich — tesame, zaledwo zniosły między żydem a chrześcijaninem różnicę opartą na wyznaniu, na wierze w Chrystusa Pana, uczuły żywo różnicę krwi i nienawiść żyda, jako człowieka innego ple-

mienia. Ma to już nawet swoją utartą nazwę: słyszy i czyta się wszędzie o antysemityzmie.

Ten jest zasadniczo zły, a praktycznie niebezpieczny. Zły, bo niechrześcijański, niesprawiedliwy, niemilosierny. Niegodzi się bliźniego nienawidzić za to, że go Bóg stworzył tem czem go stworzył, a czem innym jak mnie. Niebezpieczny zaś w praktyce mógłby ten tak zwany antysemityzm być bardzo: bo nikt nigdy nie wie i nie przewidzi, gdzie się zatrzyma, dokąd dojdzie raz podżęgnięta i rozkielznana nienawiść jednej części ludności przeciw drugiej. U nas zwłaszcza, gdzie żyd, rozrzucony po całej przestrzeni ziemi, zmieszany jest z ludnością wiejską, i jej nieraz ciężki, u nas to niebezpieczeństwo mogłoby być gorszem niż gdzieindziej. Niech nas Bóg broni od antysemityzmu.

A więc cóż mamy robić? Dać się zagarnąć, pochłonać, materyalnie wydziedziczyć, a moralnie i społecznie owładnąć? Jestto jedna z tych spraw, w których społeczeństwo samo sobie pomódz musi: samo tylko pomódz sobie może. Jakiemi sposobami? Temisamemi, uczeiwemi, godziwemi, prawnymi, któremi już pomagać sobie zaczęło. Ograniczenie pijaństwa i lichwy wydało już widoczne, dotykalne dobre skutki. Chrześcijańskie sklepiki i spółki handlowe, choć tak młode, wydają je także. Jeżeli żyd zręczniejszy od nas i prędzej wyzyskał, nieraz na naszą szkodę, te ułatwienia, jakie znalazł w dzisiejszych prawach, to prawa tesame przysługują i nam, drogi tesame stoją i nam otworem. Zaczynamy na nie wchodzić przez sklepiki, przez spółki handlowe, przez stowarzyszenia przemysłowe i rękodzielnicze; na tej drodze, prawda że powolnej ale pewnej i prostej, leży ta równowaga środków pieniężnych, której nam

brak, to zdobycie przemysłu i handlu, któreśmy przed wiekami z rąk wypuścili.

Ale oprócz tego co kiedyś zyskać można, jest to, czego dziś nie utracić, co dziś zabezpieczyć trzeba — przewaga moralna, i ziemia. Jedna z drugą bardzo złączona. Tu jest obowiązek katolickiego i polskiego sumienia, tu jest grzech przeciw jednemu i drugiemu. Tym grzechem — dziś niestety częstym — jest oddawanie, sprzedawanie ziemi, a choćby tylko wypuszczanie jej dzierżawą, w ręce niechrześcijańskie. Kłopotu można się przez to zbyć, można nawet zrobić dobry interes. Ale jakim kosztem, i co się przy tym dobrym interesie traci, a przynajmniej naraża? Samą podstawę religijnej i narodowej przyszłości narodu.

Mniej tu winien, choć i on także, włościanin, długami przyciśnięty, nieraz oszukany, nie wiedzący jak sobie radzić. Ale większy właściciel, ale szlachcic, z ojczyzną i swoim szlacheckim honorem na ustach, ten ma i grzech i wstyd większy. Wiec katolicki, i z katolickiego i z polskiego sumienia i stanowiska, to powiedzieć, to potępić musi.

Ubożsi mają jeden zwyczaj, potrzebą nieraz wytłómaczony, ale zły i niebezpieczny, przyjmowania służby w domach, gdzie dla ich religijnego wyznania i obyczaju nietylko względu niema, ale często jest zły przykład i niebezpieczeństwo. Wszyscy, ubożsi i bogatsi, a znowu bogatszym wybaczyć to trudniej, mamy ten zły zwyczaj, że w kupnach naszych dajemy pierwszeństwo żydom nad katolikami. Wielką, a prawie niezwykłą pokusą bywa tu taniość, niższa cena, a na to już kupujący sam poradzić nie może: tu strona druga, chrześcijański kupiec lub rękodzielnik, musi mu przyjść

z pomocą i tę różnicę ceny, dla kupującego często znaczną, zrobić mniejszą.

Wszystko to i godziwe, i możliwe, od nas zależne środki obrony. A obrona potrzebna jest bardzo, bo jeżeli jej sobie rychło i energicznie nie damy, może być z nami źle pod niejednym względem. Powie kto może, że to środki małe i nieprędko pomogą? a czy mamy skuteczniejsze i prędsze? Tak małe jak są, już sprowadziły pewną zmianę na lepsze: stale użyte, rozpowszechnione, mogą sprowadzić ich więcej. Nie gardźmy małemi środkami, nieraz one duże skutki wydają, byle się nie lenić ich użyć. Żydzi sami mogą nam być przykładem: małemi środkami, z małych początków doszli do swego dzisiejszego bogactwa i znaczenia.

A teraz parę słów jeszcze — krótkich, bo czasu, a słuchaczom cierpliwości nie stanie, o tych niebezpieczeństwach wiary, które my nosimy sami w sobie, w naszych usposobieniach, charakterach, zwyczajach.

Że w ludzkie wiejskim wiary czystej, niewzruszonej, u nas najwięcej, to mówią zgodnie duchowni, pasterze i spowiednicy, zatem najlepsi świadkowie: to świadek świecki z obserwacyi swojej wynosi i stwierdza. Czy i jemu niebezpieczeństwo nie grozi? czy z rozszerzonym zakresem czytania nie będzie narażony na te same pokusy pół mędrkowstwa, które my przebywaliśmy w XVIII i w naszym już wieku, a z których wielu nas dotąd jeszcze nie wyszło? Za to ręczyć nie można; owszem można przypuszczać i obawiać się, że w niejednym umyśle utkwii i przyjmie się źle ziarno, padające z pozornie mądrych ust lub książek. Społeczeństwo, władze, mają obowiązek i w znacznej mierze możność, zapobiegania złemu przez szkołę, przez dobre wycho-

wanie i dobry wybór wiejskich nauczycieli. Ludzie którzy piszą, mają obowiązek dostarczania pism i książek katolickich, uczciwych, zdrowych. Ale to nie wystarczy, i ta ludność wiejska musi się strzedz i zabezpieczyć sama. Jeżeli nie chce, żeby jej przyszłe pokolenia miały głowy przewrócone a sumienia przewrotne, jeżeli chce, żeby zachowały Boga w sercu, Jego przykazania w życiu, a Jego pacierz na ustach, niech baczą pilnie na to co czytają sami, na to co synom i córkom czytać dają, lub pozwalają. Nielatwo to, ale trzeba koniecznie rozpoznać i rozróżnić, co jest rzetelnie, a co obłudnie tylko katolickie i uczciwe.

U nas Polaków zresztą, co się najczęściej dostrzedz daje — z żalem to — przy usposobieniu uczciwym, woli i statku stosunkowo niedosyć; a wskutku tego i w rzeczach religii uczucia raczej dużo, przekonania i zasad zamało. Żyjemy nieraz tak, jak żeby wiara nie obowiązywała nas do zachowywania kościelnych przepisów, do posłuszeństwa: jak żebyśmy na kształt protestantów sami byli sędziami tego, co nam wolno, a co nie.

Czy sobie jasno nie zdajemy sprawy z naszych pojęć, czy ich do jedności i zgody doprowadzić nie umiemy, dość, że nieraz godzimy w naszych umysłach i sercach uczucia i przekonania, które zgodzić się nie mogą, owszem logicznie wyłączać się muszą. Jest zbyt często, niestety (i to nie u świeckich tylko, ale i u duchownych czasem) jakiś katolicyzm na dwóch stołkach, który Pana Boga chwali, ale i dyabłu świeczkę świeci.

„Z Matką Boską i Polski zbawienia nadzieją,
„Gotowiśmy pozwolić, by zamiast Papieża,
„Garibaldi był głową Nowego Przymierza.

Oprócz tej niejasności i chwiejności pojęć, mamy w uczuciu miękkość, która zawiele pobłaża i przebacza, która na złe zamyka oczy i rękę mu podaje, z dobroci serca, jak mniema, z miłości bliźniego i dla miłej zgody: z gnuśności naprawdę, z obawy trudu i walki, którą szczerłość i śmiałość nieraz sprowadza, ale bez której zwycięstwa i prawdy niema nigdy, tylko udany spokój, udana zgoda, udana siła i życie. W charakterze zaś mamy brak odwagi; nie śmiemy się oprzeć, nie śmiemy powiedzieć: nie; nie śmiemy człowieka, który szkodzi, nazwać szkodliwym, dążności i nauki złej jawnie i głośno potępić. Jakie nam ten brak odwagi sprowadził szkody w życiu politycznym, to wiemy: w religijnem i kościelnem strzeżmy, by nie sprowadził podobnych.

Jakąś wrodzoną podejrzliwość względem władzy mamy w rzeczach duchownych także. Jeśli się zdarzy, dajmy na to, że biskup skarci kapłana, nasza opinia stanie instynktowo po stronie skarconego. On musiał mieć słuszność, bo biskup jest jego zwierzchnikiem, a zwierzchnik każdy niepewny i podejrzany. Smutne dziedzictwo po tych przodkach, co tak się bali królewskiego *absolutum dominium*, że aż przez *Liberum veto* z królem i królestwo stracili.

A wreszcie bezczynność: pochopność i skorość do postanowienia, a wykonania brak. Wykonanie gorliwe w pierwszej chwili: jak dziewczyna z *Dziadów* zrazu wspomina swój zamiar co chwila, co godzina, a potem wspomina go co miesiąca, „a potem raz do roku około Wielkiej Noce.“ Natura to ludzka, zapewne: ale bardzo też i nasza. Wiele to myśli i postanowień dobrych w naszym religijnem życiu także, powziętych, poczętych, a im dalej, tembardziej opuszczonych, zaniedbanych, aż

wkońcu poszły w zapomnienie. Ta bierność, ta opieszałość, te grzechy opuszczenia, one w naszym dawnym życiu politycznym zrobiły nam nie mniej, może więcej złego, niż uczynkowe: a w religijnym (które się na narodowym odbiło i odbija) bodaj czy nie taksamo. Słusznie podobno pyta X. Kalinka, czy każdy kościół, każda parafia w krajach zabranych nie byłaby dziś fortecą nie wiary tylko, ale i polskości, gdybyśmy jej założyć nie byli zaniechali. A gdyby tych parafij było wiele, gdyby były gęste, czy te kraje dziś nie wyglądałyby inaczej, jak wyglądają... W bliższych nam czasach były takie myśli katolickie i doskonałe, żeby tylko Helcla „Warownię krzyża“ wymienić, które poszły w niepamięć. Oby to zebranie w skutkach swoich okazało się płodniejszym, obyśmy nie zaniedbali wykonać co postanowimy.

Toby były niektóre skłonności czy zwyczaje złe katolików dobrych. Przełamywać i zwyciężać je trzeba, bo one są bezwiednym, często dobrodusznym, ale przecież rzeczywistym pomocnikiem nieprzyjaciela; a nieprzyjaciel i przebiegły i silny, umie je zręcznie podchodzić i używać ich do swoich celów. A coraz on mocniejszy i groźniejszy. My po jednej stronie lepiej się czujemy i jednoczymy w katolickiej świadomości i czynności, to prawda: ale i on niezasypia swojej sprawy, tylko następuje na nas z coraz większą mocą. Nie wtedy zaś najniebezpieczniejszy, kiedy idzie z podniesioną przyłbicą i otwarciem przeciwko Bogu i wierze bluźni. Słuchają go wprawdzie niektórzy i wtedy, słuchają liczniej i śmielej niż dawniej: ale dużo takich przecie nie ma, a poznać i osądzić go wtedy łatwiej. Gorzej jest, kiedy się zaczają i nieznacznie skrada, bo wtedy może oszukać, a sposoby potemu ma różne.

Jednym mówi, że on Pana Boga i wiary nietyka — tylko złych katolików, złych księży wykrywa i wytyka i ludzi od nich broni. Ale to stara i znana sztuka. Zaczyna się od nagany — czasem i słusznej — księdza, a nieznacznie przechodzi się do tego co ksiądz naucza, i podkopuje się wiarę. Tak zaczynał i tak działał wielki burzuciel kościoła Luter. Innych znowu, już mądrych, łapie się na słowo postęp; doprowadza się ich do mniemania, że wiara jest tylko głupich ludzi znamieniem, a oni głupimi wydawać się nie chcą, i przez dopiero prawdziwie głupi fałszywy wstyd, duszą w sobie wiarę prawie gwałtem, a od Kościoła odstają. Do innych znowu przemawia się pięknym językiem miłości ojczyzny, i za dobre uczucie schwyciwszy, doprowadza się ich do zdań i czynów błędnych. Niedowiarstwo, nienawiść Kościoła, lubi czasem przybierać pozór szlacheckiej a nawet pobożnej miłości ojczyzny: nie modli się, ale drugich nawet do modlitwy zachęca. Tylko tej modlitwy używa za środek do świeckich, do politycznych celów. A tymczasem w przykazaniach stoi jasno, jak słońce, zaraz na drugim miejscu: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno.“ Bierze je nadaremno, przestępuje to przykazanie, kto się modli nie na to tylko, żeby Boga chwalił lub prosił, ale na to, żeby ludziom coś pokazać: żeby, jak się mówiło przed laty trzydziestu, demonstrować. Kto wie, czy dzisiejsze prześladowanie i niebezpieczeństwo Kościoła nie jest dla nas karą, żeśmy modlitwy nadużywali i brali Imię Pańskie nadaremno.

Dziś i socjalizm daje sobie czasem obłudnie pobożne i katolickie pozory, z nadzieją, że nas nimi złudzi. On pobożny: on chce tylko rzetelnego, ścisłego wy-

konania praw bożych, on się Ewangelii wiernie trzyma, i niby w imię miłości bliźniego działa. Ale odpowiedzieć mu łatwo, że miłość ani Ewangelia nie działa nienawiścią, ani jej nie szerzy: a kto to robi, tego i miłość jest nieprawdą i wiara udaniem.

A wkońcu, co nam jeszcze katolikom szkodzi i grozi? To, co także Skarga namienia, jako jedno z niebezpieczeństw ojczyzny: „Widzieć rozerwanie wielkie serc ludzkich, powaśnienie stanów między sobą, wiele nieuprzejmości, dla których jeden drugiemu nie dufa, nie życzy, jeden drugiego hydzi“...

Czy słusznie jest i właściwie mówić o naszych słabościach i ułomnościach, zwłaszcza w tej chwili, kiedyśmy się po raz pierwszy zeszli na to, by się policzyć, poznać i porozumieć? Może lepiej byłoby powiedzieć, że nie tylko katolikami jesteśmy, ale pod niektórymi względami lepszymi niż byliśmy dawniej, żeśmy w statecznej wierności i gorliwości postąpili cokolwiek, i na tem poprzestać? Przyjemniej byłoby to może: lepiej? nie. Nie o to chodzi, żeby się chwalić, choćby słusznie, ale o to, żeby się dobrze znać i wychodzić wyżej. Nikt zaś nie może pójść dalej, pójść wyżej, jeżeli nie rozpozna dobrze gdzie jest, w jakim jest stanie, i czego się pozbyć, czego nabyć musi, żeby mógł zajść daleko i wysoko. A my z głębokiego upadku dźwigać się mamy, i droga przed nami długa i trudna.

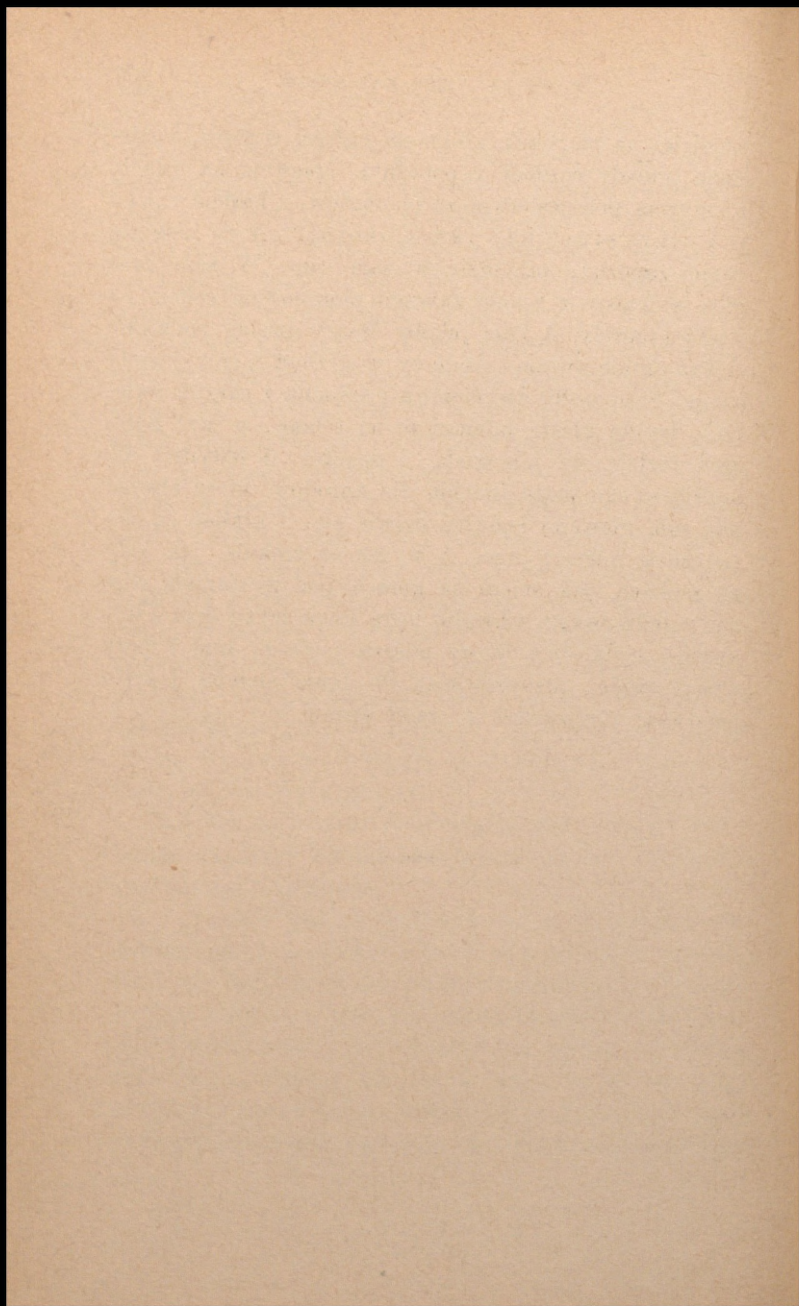
Czy te trzy dni wiecu będą na niej krokiem znacznym naprzód? Da Bóg, że tak. Na tę drogę rzucił on światła wiele, a wędrowcom miał z czego dodać otuchy i ufności. Wiele się pytań w naszych obradach objęło, i roztropnie. Krasiński mówi, że to jest przyszłość, to cel, aby „Pan był wyznany i pochwalony wszędzie,

i w kole wyborców, i w kole wybranych, i w trybunale, i na stolicy władnej, i na rynku pospolitym, i na giełdzie, i w rękodzielni, i w sztuce każdej, i w umiejętności każdej.“ Tym różnym kierunkom i stosunkom życia społecznego odpowiadały różne sekcyje tego wiecu, a wszystkie w tym duchu i celu, żeby życie społeczne było życiem katolickiem. Teraz potrzeba dalszego ciągu, zastosowania, wykonania: trzeba, żeby dobra chęć ustaliła się w dobrą, ale mocną wolę. *Velleitas* w rzeczach religijnych, jak w innych, dzieciom chyba przystoi; człowieka prawdziwego, i społeczeństwa tegoż istotą i cechą jest *voluntas*. Tę stałość i tęgość ma Kościół na myśli, o nią prosić nam każe, kiedy się modli, iżby Bóg czynności nasze natchnieniem swoim uprzędził, ale ciągnął swoją pomocą im towarzyszył. *Adjuvando prosequere* — to znaczy, iść za nimi wślad, nie odstępować ich. Da Bóg, że po tym pierwszym kroku pójdziemy dalej, a ta pomoc będzie miała w czem i poco nas wspierać i nam towarzyszyć, „iżby wszystkie nasze prośby i prace od Boga się poczynały, a z Niego poczęte, w Nim się kończyły.“

A jak od Skargi rozpocząłem, tak niech mi wolno będzie skończyć słowami drugiego po nim, wielkiego kaznodziei: Kajsiewicza.

„Niechże już raz na pobojowisku dymy gęste niedowiarstwa i zepsucia, rozpacz i hardości opadną, niech się Babilon od Jeruzalem rozdzieli: niech sprawa święta, święcie pojęta i broniona będzie. Niech Chrystus, wódz nasz, niewidzialny na niebie, i Namieśnik Jego, widomy na ziemi, niech ujrzą, na kogo wśród nas liczyć można. Niech ujrzą Polaków z przyłbicą żywej wiary na czole, z tarczą mocnej ufności

i nadziei na piersiach, z ogniem miłości w sercu, z mieczem prawdy w dłoni, z pobożnym śpiewem na ustach, z krzyżem podniesionym za chorągiew, z hasłem: „kto jak Chrystus? kto jak Kościół?“ A co nam się zdaje zapóźno, przyjdzie w sam czas. W sam czas głos wiekuisty z Syonu zabrzmie piorunowem echem na wieki i narody. A Pan, jakoby śpiący dzisiaj, podniesie się na tronie swoim, i uderzy w grzbiet nieprzyjaciół swoje. Śród uczyty zwycięztwa i spijania z naczyń świętych, wyjdą głoski tajemnicze na ścianę, a moc Babilonu rozleje się jak woda, i upadnie. I wstydzić się będzie swego złego imienia dla narodów, które chwiać nad nim głowami będą, i dziwić się, i szukać go na próżno w miejscu jego. A wygnanie zniknie, jak lody na rzekach, jak śniegi na górach pod powianiem wiatru południowego. Chwalić będą Boga wyzwoleni i wysławiać będą Ojca, który uderza i pieści, rani i leczy dzieci swoje, przyprowadza do bram śmierci i życie powraca: a wszystko w czasie swoim.“



MOWA REKTORA

przy otwarciu kursu w Uniwersytecie

dnia 6 października 1886 roku.

Panie Prorektorze — Panowie!

Najwyższa w uniwersytecie godność — którą w moje ręce na ten rok składacie, jest do noszenia nietylko najzaszczytniejszą, ale — Polakowi zrozumieć to łatwo — i najmilszą. Czas tyle przewrócił i zburzył, a ona stoi od pięciu wieków bez przerwy. W Kościele chyba, albo na niektórych tronach Europy i to rzadkich, znajdzie się taka wiekowa trwałość, takie nieprzerwane pasmo następstwa ludzi na tensam zawsze niezmienny urząd i obowiązek. Czuć się następcą tych wszystkich co to miejsce zajmowali, od owego pierwszego, co z rąk Jagielly odebrał przywilej fundacyjny, aż do najchwalebniejszego z niedawno zmarłych, Szujskiego — nosić na sobie ten charakter i to dziedzictwo, wyobrażać przez jeden rok zbiorową sumę tych wieków, tych zasług, tych smutków i tych dążeń w górę, to chluba, nad którą słodszej być nie może. Robiąc

mnie jej uczestnikiem, raczyliście Panowie dodać to, co mi ją jeszcze droższą czyni, zaszczyt jednomyślnego wyboru, i chęć zbyt laskawą, przywiązania mojej pamięci do znacznego w dziejach uniwersytetu wypadku, otwarcia nowego gmachu, które oby było wróżbą nowych pięciu wieków jego bytu.

Za ten zaszczyt, za to wspomnienie chlubne nie dla jednego człowieka tylko, ale dla wszystkich przyszłych pokoleń jego rodziny, pozwólcie Panowie złożyć sobie dzięki gorące, które przecież dobrym wyrazem mojej serdecznej i rzewnej wdzięczności być nie zdołają.

Obejmując ten urząd, zapowiadać cokolwiek nie mam ani presumpcyi, ani potrzeby. Że go chcę sprawować uczciwie, to Panowie wiecie i wierzycie; a że sprawować go będę w tym duchu i kierunku, co wy Panowie, których na nim dotąd widziałem, zapewniać byłoby zbyt cieżko. Jestto szczęśliwym przywilejem takich jak nasze działań i rządów, a niemożliwym gdzieindziej, że ludzie mogą bezpiecznie zmieniać się co roku, pewni, że kierunek i zasady zostaną te same. Jeden drugiemu ustępuje miejsca, a wszyscy wiedzą że to nie zmiana: bo każdy taksamo rozumie swój obowiązek, każdy taksamo chce, żeby zostało w uniwersytecie wszystko co w nim dobre, a żeby do tego dodawało się nieustannie więcej, i coraz nowego, coraz lepszego: więcej zasługi, więcej pożytku i — czemu otwarcie nie powiedzieć — więcej sławy i blasku.

Dla siebie każdy z osobna może i powinien go nie żądać: ale dla Uniwersytetu, to co innego. Tu ambicya najwyższa, najśmielsza, jest obowiązkiem, żeby nie dać dogasnąć tym światłom co tu jaśniały; nie dać uschnąć tym wieńcom, które choć stare i przywiedle,

jeszcze stroją i koronują tę szkołę i to miasto z nią i przez nią; żeby temu dziedzictwu zasługi i (nieraz) chwały odpowiedzieć godnie i odwdzięczyć za nie rozmnożeniem skarbu, który się w nasze ręce dostał; żeby cześć, jaką dla tego Uniwersytetu mamy sami, zdobyć u obcych, wyjednać u życzliwych, wymusić na niechętnych. Jakknajwięcej dla niego ambicyi, choćby dlatego że siły ludzkie słabe, a przeto skutek nigdy zamiarowi nie równy. Więc kto chce coś dokazać i spełnić, musi bardzo wiele żądać — nie od ludzi, od siebie — i bardzo mężnie dążyć.

Ambicya bez zarozumiałości. Wiem, że tego blasku o którym mówię, nie damy naszemu drogiemu zakładowi z dziś na jutro. Czas go tylko dać może i nieustanne usiłowanie, którego każda warstwa wczorajsza staje się podstawą i szczeblem dla wyższej, jutrzejszej. W małym mieście zresztą, z małemi środkami, trudno nam tak iść w górę, byśmy innym, szczęśliwszym, odrazu mogli dorównać. Ale w tem właśnie mamy najsilniejszy popęd: niżej od nikogo zostawać nie chcemy, aniśmy powinni, a więc mamy koniecznie piąć się wyżej wszelkimi siłami wiedzy, woli i uczucia.

Czy mamy potemu środki? Oczywiście, a naprzód w sobie. Wskazałeś ten środek Panie Prorektorze¹⁾, tam, gdzie go wszyscy widzimy: „w dążeniu profesorów do wdarcia się na szczyty wiedzy“ — i mądrze bardzo ten warunek położyłeś na pierwszym miejscu, a na drugim dopiero usilność i pracę uczniów. Dlaczego? czy ona może mniej potrzebna? Nie: ona jest naszym najbliż-

¹⁾ Prorektor, Józef Łepkowski, otwierał posiedzenie przemową.

szym celem i bezpośrednim skutkiem usilności naszej, ale ona od tej dopiero zależy i pochodzi. Uczniowie, choćby najpilniejsi i najzdolniejsi, są dopiero drugim elementem żywotności Uniwersytetu: a pierwszym my. Oni się rozejdą w różne strony i różne powołania, a da Bóg, że wielu z nich będzie chlubnym świadectwem i dla nas, że są między nimi tacy synowie, którzy — jak pismo św. mówi — będą koroną tej starej Matki, tej *Almae Matris*. Ale oni się zmieniają, przechodzą, przepływają jak fale: a my zostajemy, i przez to że zostajemy, my tylko możemy utrzymać dążność i charakter naukowy Uniwersytetu, i uczniom naszym ten kierunek nadać, jak tego mamy i u siebie widoczne już a niezmiernie miłe dowody. Oni wchodząc, zastają tu ten stan rzeczy jaki my stwarzamy; wychodząc, zabierają z sobą i roznoszą po kraju jego wpływ i skutki. My tylko możemy w nich wywołać, w nich rozżarzyć ten zapal dla nauki i pracy, tę żądzę i miłość oświaty, których podpałem najlepszym jest przykład.

— To pierwszy, najdzielniejszy nasz środek utrzymania wysoko czei tej szkoły i dojścia do jej blasku. Byłoby podobnych, a w naszej mocy, więcej; wyliczać ich nie ma czasu, napomknąć tylko pobieżnie o styczności naszej z nauczycielami szkół średnich, która zawiązana szczęśliwie za pośrednictwem Stowarzyszenia nauczycieli szkół średnich, może przynieść w skutku ciągle porozumienie i jedność kierunku między temi dwoma szczeblami nauki i wychowania. Albo napomknąć o stopniach doktorskich, które Uniwersytetom dodają wiele blasku, kiedy, jak dawniej rycerskie ostrogi, zdobywają się niemalą odwagą i wypróbowaną dzielnością. Można by wyliczać długo — ale dosyć. Je-

den tylko z wdzięcznością wspomnieć, z ufnością wskazać należy środek podnoszenia tej szkoły: opiekę, łaskę, opatrzność myśl i wspaniałe serce Najjaśniejszego Pana, którą cały kraj zna i słusznie błogosławi, która i ten Uniwersytet pieczę swoją podniosła, prawa mu przywróciwszy — z językiem najdzielniejsze narzędzie nauki, z katedrą historyi polskiej najlepszy dla narodu środek poznania siebie mu podawszy; która Uniwersytet ten dalej podnosi i zabezpieczyć chce, kiedy z nowym gmachem daje mu zakład nowej przyszłości.

Da Bóg zasłużył sobie i ten nowy gmach na taki szacunek, jak stary. Ten miał różne koleje i był czas taki, że słusznie mógł Szujski napisać: „Uniwersytet żył tylko wspomnieniami dawnej chwały“¹⁾. Czy dziś tak jest? Nie nam wypada siebie samych sądzić; przecież ze sprawozdania rocznego, które Panie Prorektorze odczytałeś, zdawałoby się, że nie. A w nas samych, w naszej i uczniów naszych, za których pod tym względem jak za siebie ręczyć możemy, gorącej tego Uniwersytetu miłości, w naszym sumieniu, żywo przejętem tem, cośmy mu powinni, w samem tem dobrze zrozumianem przywiązaniu do wspomnień dawnej chwały, które właśnie dlatego że takie silne, czuje i wie, że samemi wspomnieniami nic i nikt żyć nie może, w tem wszystkim jest nadzieja i rękojmia, że on podupadać nie będzie, ale owszem iść śmiało i pewnie naprzód drogą tego rzetelnego postępu, który dla nauki, jak dla ludzkości wedle pięknego określenia Szujskiego polega w tem, by „nieodpychać niczego co ludzkie, a podda-

¹⁾ „Z dziejów Uniwersytetu“ *Opowiadania i Roztrząsania*, tom I, str. 396.

wać się temu, co Boże“¹⁾ — nadzieja i rękojmia, że po roku ja, po mnie wielu, składając dziś objęty urząd, będzie mogło powiedzieć, jak Skarga mówi o królowej Annie z Rakus: te czcigodne insygnia „czyste i piękne wam, jakom je wziął, oddaję.“

Rok szkolny 1886 na 87 jest otwarty.

¹⁾ *Odrodzenie i Reformacya.*



PRZEMÓWIENIE

przy immatrykulacji uczniów Uniwersytetu

dnia 7 grudnia 1886 roku.

Zwyczaj nam dawny niesie, że Uniwersytet wita przez usta swoich Rektorów nowo wstępujących uczniów, i uroczyscie im prawo obywatelstwa u siebie nadaje. Panowie odbieracie ten indygenat w uroczystszej niż inni, nie formie — bo ta zawsze jednakowo i właściwie skromna — ale w uroczystszej chwili, bo wasze wstąpienie do tego Uniwersytetu przypada na rok dla niego pamiętny. Pięćsetna rocznica ślubu Jadwigi, który był początkiem wielkiej epoki naszej historii, pośrednio także początkiem niewiele późniejszej organizacyi naszego Uniwersytetu, schodzi się z zamierzonym otwarciem nowego przeznaczonego mu gmachu. Przypadkowe spotkanie tych dat przypomina pięciowiekową przeszłość, a upomina, że przyszłość powinna i musi jej być godną; że nowy przybytek, opatrzna dobroczynną ręką Najj. Pana wzniesiony, ma być nie materyalną tylko budową, ale wzmocnioną, utrwaloną, rozszerzoną budową nauki, przez nią cywilizacyi, powagi i siły narodu: że z tego nowego gmachu wychodzić mają ludzie podobni do wszystkich najzasłużeńszych i najchwalebniejszych, ja-

kich wydawały nasze stare Collegia. Ten obowiązek jest tak zrozumiały, ta uwaga tak naturalna, że koniecznie musi nasunąć się każdemu, kto w te progi wstępuje z głową zdolną myśleć, z sercem zdolnem czuć jak należy. To zaś, co ten Uniwersytet w przyszłości wyda, dla przyszłości przyniesie, czy więcej na ilość i na jakość światła w rozumach, powagi w charakterach, dla narodu całego więcej oświaty i siły, albo też ospale przestawanie na małym, które nigdy długo w mierze nie stoi, ale zawsze podupadaniem się kończy: to wiem, że zależy w jednej części od nas, waszych nauczycieli, ale w takiej samej lub większej zależy od was, uczniów.

Mówi się zwykle, że wiek młody dlatego najszczerliwszy, bo jeszcze odpowiedzialności nie dźwiga. To pomyłka; on tylko całego jej ciężaru nie czuje, bo jej skutki nie zaraz lecz później widzi i ponosi, ale ją ma i dźwiga. Młodzież nie odpowiada za dziś, za bieżące sprawy: ale odpowiada za przyszłość, za wartość tych czynów, za mądre prowadzenie tych spraw, za pomyślność tych losów, które na naród przyjdą z latami jej dojrzałości i działalności. Wstępujecie panowie w lata stanowcze, bo ostatecznie, przygotowania się, usposobienia się do przyszłości waszej własnej i społeczeństwa: od tego przygotowania lepszego, lub gorszego zależy lepsza albo gorsza dola wasza, i narodu na przeciąg waszego życia: cofnięcie się w tył, albo posunięcie naprzód, szczebel wyżej, albo szczebel niżej na tej drabinie, na której swoją wartością i zasługą ustawiają się narody, a sądzi je historia i przyszłość. Sądzi z owoców: kwiat waszej młodości ma przez te lata nauki zawiązać się na owoc. W ludzkim, jak w roślinnym świecie, kwiat jest tylko chwilowym środkiem, a owoc spełnieniem przeznaczenia.

Odpowiedzialność tę, ufam, że macie przytomną w myśli i w sumieniu, że wstępujecie tu z dobrą wolą uczynienia jej zadosyć.

Czy mam przypominać, że na to potrzeba wam z czasu korzystać, uczyć się i pracować, umiłować obrany zawód nauki, wiele od siebie żądać, nie opuszczać się nigdy, a patrząc na swoje widnokreśli, na swoją dzisiejszą odpowiedzialność, wykształcić jak który zdoła najwyżej swój umysł nauką, swój charakter ścisłością i stałością w pełnieniu obowiązków? Prawdy to niezmiennie i zawsze doskonale, ale wam, równie jak mnie wiadome. Dlatego nie mówiąc o nich dłużej, wolę zwrócić się w inną stronę, i to wskazać, co młodym zwykle, młodym Polakom w szczególności, a przynajmniej (skoro to jedno znam z doświadczenia), co zdaniem nietylko mojem, uczniom naszego krakowskiego Uniwersytetu utrudnia ściśle, zupełnie dobre pełnienie tego powołania. Wrażenie, jakie młodzież tego Uniwersytetu robi na starszych, zdanie, jakie się o niej między ludźmi słyszy, wiedzieć wam dobrze i przydatnie, a mnie powiedzieć to przystoi, bo w charakterze zwierzchnika tej szkoły jest coś z ojcowskiego obowiązku i prawa, a wiercie, że zawsze dużo i ojcowskiego uczucia.

Gdyby mnie kto zapytał, czy ta młodzież, na którą tu patrzę od lat siedmnastu jako profesor, jest gorsza od tej którą pamiętam — do której należałem przed laty trzydziestu, jako student, mógłbym i musiałbym odpowiedzieć z czystym sumieniem: Nie. Nie jest gorsza. Złe dzisiejsze w niej do ówczesnego bardzo podobne; dobre jest inne, ale pod niejednym względem jest go więcej. Pokolenie, które rosło przed ostatnimi najcięższymi doświadczeniami narodu, w warunkach miejsco-

wych nierównie gorszych, ale w lżejszej, czystszej, nie tak dusznej atmosferze całego europejskiego świata, rozwijało się żywiej, bo miało więcej słonecznego światła. Było lotniejsze fantazyą, ciekawsze, ogólnego wykształcenia może żądniejsze, i było weselsze. Duszą jego myśli, pobudką jego nauki, były pogodne, złote widoki. Młodzieniec dzisiejszy — młodzieniec myślący i szlachetny ma się rozumieć — w swoim popędzie do dobrego nie ma pomocy tych uczuć i widoków, które nas zawiodły, ale były siłą i rozkoszą naszej młodości. On jedyną podporę ma w uczuciu świętem, ale bardzo surowem, w uczuciu obowiązku; on wie od chwili kiedy myśleć zaczął, że nie może wiele się spodziewać, że jego cnotą ma być cierpliwość, wytrzymałość, cnoty wielkie, ale smutne, kiedy nam uśmiechały się jaśniejsze. Dlatego może młodzież dzisiejsza ma skrzydeł mniej, dlatego może jej zdolności i usposobienia nie mają tego śmiałego ufego popędu, jaki nam dawało zaufanie do świata i do wieku. Ale to pokolenie smutniejsze gorszem nie jest: a może właśnie dlatego, że smutniejsze, to lepsze. Cokolwiek mniej błyszczące darami fantazyi i słowa, ale za to — mówię o dobrych tylko i o bardzo dobrych — rzetelnniejsze w swojej pracy, więcej wyrobione w swoich przekonaniach, śmielsze w ich wyznawaniu. Dziś, jak zawsze między ludźmi, dobrych musi być mniej niż mierznych; ale w tych dobrych jest dziś więcej uczucia obowiązku, więcej pracy, więcej rzetelnej i poważnej nauki, aniżeli było wtedy u dobrych, nie mówiąc oczywiście o tak wyjątkowo dobrych, jak Szujski na przykład. Że ta różnica na lepsze jest zasługą i dziełem profesorów, którzy osobistym wpływem i przykładem umieli i zamięłowanie nauki rozpalić, i w seminaryach

swoich nauczyć, jak uczyć się i pracować należy, to mogą wyznać tem głośniejsz, im mniej własnej zasługi w tem upatrują.

Ale jeżeli tak pod wieloma względami jest niegorzej albo i lepiej, więc co i dlaczego nie jest zupełnie dobrze? Czemu niejeden ojciec woli oddać syna na inny, nie na nasz Uniwersytet? Wszak ojciec Polak powinienby owszem mieć sobie za zaszczyt i za korzyść, żeby jego syn z tej szkoły wychodził? Kiedy mówi, że gdzieindziej znajdzie profesorów lepszych, albo, że chce dla syna doskonalszej wprawy i biegłości w języku niemieckim, nie przystoi nam przeciw temu zdaniu występować. Ale kiedy niejeden mówi, że gdzieindziej spodziewa się wychować syna na tęższego, dzielniejszego człowieka? Co w tem jest?

Kiedy przed laty skarżyli się posłowie przed Zygmuntem Augustem (na Sejmie 1563 roku), że Akademia krakowska obraca się w jaskinię łotrów, do której ojcowie boją się synów oddawać, przesadzali oczywiście. Tak źle nie było nigdy. Kiedy później nieco poważny pisarz, biskup, senator (Wereszczyński w *Publice*) upominał młodzież, żeby się nie uczyła „po krakowsku na bruku“ — to przytyk ten do całej młodzieży dzisiejszej zastosować się nie dał. Przecież jest jakiś tajemniczy *genius loci*, nie od dziś, oddawna, niedobry i miękki, który nie wszystkich, ale wielu ogarnia, i pozwala im lekko a łatwo przesliznąć się przez lata nauki, wychodzić z nich bez dostatecznego, bez rzetelnego przygotowania do życia.

Na różnych różnie on działa, i różnie się w nich objawia. Zacznijmy od tych, których odpowiedzialność przed Bogiem i społeczeństwem większa, bo położenie

szczeńliwsze, bo troski żadnej a wygoda wszelka, bo ułatwić wiele w samej domowej od dzieciństwa nauce i w tem staraniu około wychowania, w którym szczęśliwi rodzice nie potrzebują się krępować i oszczędzać. Synowie rodziców zamożnych mają zawsze odpowiedzialność większą a wymówki mniej, kiedy zamłodu nie uczą się i nie pracują tyle, ile należy.

Czy u nas zasługują na ten zarzut?

Jest, i był za mojej pamięci zawsze zwyczaj miejscowy, krakowski, niedobry: ten, że uczniowie zastępują w towarzystwach młodzież dorosłą i usamowolnioną. Słuszne jest i potrzebne, żeby się młody zabawił; a lepiej może, żeby tańczył w domu poważnym, gdzie samo otoczenie przyzwyczajają go do uprzejmości i utrzymuje w dobrem wychowaniu, niż żeby w kawiarnianych rozrywkach i towarzystwach przywykał niezważać na nikogo, i słów czy ruchów swoich nie miarkować. Wszelako to karnawalowanie ma swoje skutki bardzo złe: nie kończy się na karnawale, ale przeciąga się długo, nie kończy się na wieczorach i tańcach (które same już bardzo w lekcjach przeszkadzają), ale obejmuje długi szereg towarzyskich niby koniecznych obligacyj, które zabijają czas i prowadzą do rozpróżnienia, w najlepszym razie do odzwyczajania od pracy. Po kilku tygodniach (lub paru miesiącach) takiego życia włożyć się do niej już trudno, a choć zmusi wkońcu egzaminowa konieczność, to przecie wydaje się ona koniecznością smutną, której pozbyć się tylko chcemy czempredzej. Dodajmy do tego, że łatwo tą drogą dochodzi się do fanfaronady, albo do zbytnej pewności siebie i przedwczesnej dojrzałości, albo do próżności w ubraniu, albo do innych nabytków czasem zdrożnych, czasem śmie-

sznych: a przekonamy się, że złe skutki są, najgorszym zaś ze wszystkich nie jest sama strata czasu. Folgowanie sobie w codziennym obowiązku, zwyczaj zaniedbywania go i lekceważenia go, to jest najgorsze, bo działa wprost na charakter, bo mu się wyrobić przeszkadza, bo się w sprawach i obowiązkach późniejszego życia jako zły nałóg odzywa.

Trudniej jest stawiać żądania lub robić wyrzuty młodzieńcowi ubogiemu, który chcąc nauki nabyć, musi na chleb codzienny w pocie czoła zarabiać. Ten, kiedy się w naukach zaniedbuje lub opuszcza, bo musi zarabiać na życie, ma wymówkę gotową i tak dobrą, że na nią odpowiedzieć trudno. A przecież trzeba powiedzieć, że to zły zwyczaj i praktyka w godzinach lekcji robić co innego: gorzej być gdzieindziej, nieraz daleko, spędzić całe czasem półrocze w innem zajęciu i obowiązku, spuszczać się na to, że poświadczenie frekwencyi i tak się dostanie, a examin i tak się jakoś przejdzie. Zapewne, jeżeli tylko o świadectwo chodzi, a nie o prawdziwe nauczenie się rzeczy. Mówi się często „po co chodzić na lekeye? są skrypta, są książki, z których zawsze do examinu przygotować się można“. Gdyby examin był jedynym celem! Jest i powinien być celem, skoro on otwiera zawód, zapewnia przyszłość. Ale kto nie o tem jedynie myśli czy jaką posadę dostanie, ale i o tem, jakim na tej posadzie będzie, temu świadectwo nie wystarczy: ten musi żądać od siebie prawdziwej, gruntownej znajomości rzeczy i nauki, a tej mu ten luźny, dorywczy sposób nauki nie da. Jest mniemanie — ufam, że niesłuszne — o uboższej młodzieży naszego Uniwersytetu, że większość jej o naukę i biegłość w obranym zawodzie dba mało,

a uczy się w znacznej części dla posady, dla chleba. Ten cel jest jej potrzebą i jej prawem, ale dostateczny nie jest. Bo jakim będzie urzędnikiem, czy sędzią, lekarzem czy profesorem, młodzieniec, który tyle tylko umieć i pracować będzie, ile wymagają examinacyjne i służbowe przepisy, a w zawód swój wstąpi bez wysokiego pojęcia i głębokiego jego zrozumienia i zamiłowania?

A w nawiasie wtrączę i tę uwagę, że jednym jak drugiem wydaje się to rzeczą naturalną i nieszkodliwą opuszczać lekeye. Pó co czas tracić, mówią jedni, po co się nudzić, mówią drudzy, kiedy i tak z książek czy skryptów dowiem się tego, co on wykladał. Naprzód tak nie jest. Przypuściwszy nawet, że uczeń jest we wszystkim od profesora mądrzejszy, to w swoim przedmiocie profesor zawsze wie więcej od ucznia, i ten zawsze na jego leceyi czegoś nauczyć się może. A prócz tego jest coś ważniejszego: nasze Indexa mówią, że uczeń *rite professus est* chodzić na te wykłady, na które się zapisał, że zapisanie się jest obietnicą, a więc opuszczanie leceyj jest niedotrzymaniem obietnicy. Z tem zaś oswajać się, do tego się przyzwyczajać jest źle, bo człowiek każdy tyle jest wart, ile warte jego słowo, ile rzetelność i pewność jego obietnicy. Ale może to nas uniewinnia, że wszędzie robią taksamo: że w Wiedniu, w Gracu, a podobno i w sławnych Berlinach i Lipskach lekeye opuszczają się jeszcze bardziej, niż u nas. A czemu, pytam, uczniowie w Krakowie nie mają być lepsi jak w Gracu, młodzież polska lepszą od niemieckiej? co jej wzbrania lub przeszkadza być lepszą? kiedy owszem wszystkie uczucia serca i wszystkie głosy sumienia żądają, wymagają, każą jej, żeby koniecznie

lepszą być się starała? Co przeszkadza i wzbrania? Ta miękkość, to folgowanie sobie, o którym mówiłem. Przed laty, kiedy się tu widziało wielu rannych, zrobili spostrzeżenie ci co ich pielęgnowali, że w porównaniu do Warszawiaka albo Litwina, Krakowiak jest niewytrzymały na ból, miękki. Gdyby przypomnieć sobie energię, z jaką uczeń warszawski walczy ze srogimi przeszkodami, a wytrwale i skutecznie je zwycięża, to pokazałoby się, że i nasza natura moralna jest miększa; nie u wszystkich ma się rozumieć, ale dość powszechnie, i u różnych, uboższych czy bogatszych, szlacheckich czy miejskich czy włościańskich synów. W najlepszych naszych uczuciach i popędach bywa czasem ta miękkość. Ona to siedzi w nas naprzykład, kiedy mniemamy coś robić i działać, a naprawdę odrywamy się od rzeczywistego, od przeznaczanego nam i jedynie przystępnego działania, a bawimy się myśleniem o takim, którego wykonać, do którego ręki przyłożyć nie mamy sposobu, ani praktycznej możliwości. Wiem, że pod tym względem jest u nas pewien postęp; przynajmniej widzę jego pocieszające oznaki, ale niemniej dla samego utwierdzenia w dobrem, nieźle jest wskazać naturę złego i jego skutki.

Przy wielkich wrodzonych zaletach, dobroci serca, bystrości umysłu, łatwości w uczeniu się częstej, a wysokiej zdolności nierzadkiej, naród nasz powinienby zdaje się być jednym ze świetnych i potężnych, ma wiele potemu. Czemu takim być przestał? Brak mu było za jego czasów szczęśliwszych woli, jej tęgości i stałości. Zamiany boskie są nieprzeniknione, ale czasem zsyła Bóg na narody, jak na ludzi, twarde losy na to, by je w tej szkole wyrobić. Naród rosyjski uciskom swoim za ta-

tarskiej niewoli winien jest te przymioty cierpliwości, roztropności i spójności, w których jest jego siła i tajemnica jego powodzeń. Cokolwiek nam przeznaczono w przyszłości, to pewna, że na hartowaniu się, na gimnastycznym, że tak rzekę, ćwiczeniu woli nigdy stracić, a zawsze tylko dobrze wyjść możemy. Do tego ćwiczenia zaś, jak do każdego, wiek młody najspсобniejszy; później moralna natura tężeje jak fizyczna i niełatwo się przelamuje, niełatwo nabywa. Dlatego tak nade wszystko proszę i upominam, byście ścisłem pełnieniem obowiązków wyrabiali w sobie wolę, hartowali charakter, jeżeli chcecie wyjść na hartowne i poważne, zatem na pożyteczne i chwalebne pokolenie.

Jest także mniemanie, że wasze wzajemne koleżeńskie stosunki nie są zupełnie takie, jak należy. Rzecz naturalna, że w wielkiej liczbie rówieśników i towarzyszy muszą się tworzyć ściślejsze związki przyjaciół, których każdy dobiera sobie wedle pociągu swego serca i wedle wspólności wyobrażeń i upodobań. W miarę zaś, jak wzrasta ogólna liczba uczniów na Uniwersytecie, muszą się mnożyć i te oddzielne, ściślejsze związki, oparte na uczuciach i sympatyach. Ale nie żądając niemożliwej jednakowej między wszystkimi przyjaźni, można przecież zapytać, czy nieuniknione są wzajemne podejrzliwości i niechęci? Wiem, że niestety są do uniknięcia trudne. Jesteście dziećmi wieku społecznych waśni i zawiści, i to zatrute powietrze wciągacie w siebie z oddechem od dzieciństwa. Ale pamiętajcie, że jeżeli niema środka doraźnego i stanowczego na tę chorobę wieku, straszną dla wszystkich a najstraszniejszą dla narodów słabych, to jest środek łagodzący i uprzedzający bardzo dobry, w was właśnie, w waszem wycho-

waniu, w waszem koleżeństwie. Już starożytni wiedzieli, a nasi starzy Polacy powtarzali zawsze, że to cel i pożytek niemal główny szkół publicznych, że przyszych obywateli chowają razem, uczą żyć razem, w zbliżeniu, w znajomości, w dobrej woli wzajemnej. W młodem sercu nie powinno być miejsca zda się na złe, gorzkie uczucia, niechęci, nieufności, podejrzzenia lub zawiści. I ci, co zgodnie żyli, znali i cenili się jako młodzieńcy, będą się cenić, ufać sobie, zgodnie żyć i działać, gdy dojrzeją. Jeżeli lata nauki w szkołach i w Uniwersytecie, zamiast do tego zbliżenia w dobrej woli wieść i służyć, chodują u was i rozwijają takie uczucia ujemne, to może być źle z wami i z waszą przyszłością, może być źle z nami. Ujemne, przeczące, złe namiętności rosną w stosunku swego przedmiotu, a w życiu późniejszym znajdziecie przedmioty ich większe, ważniejsze, jak dziś. Jeżeli truciznie tej dacie przejść w swoją krew i zakażać ją, kiedyście młodzi, trudno będziecie zdrowi i silni w wieku męskim; a wy, to przyszłe społeczeństwo; wasze moralne zdrowie, to jego zdrowie, to jego siła, to jego przyszłość i zbawienie.

Wszędzie i zawsze są bogatsi i ubożsi, szczęśliwsi i mniej szczęśliwi; na te różnice za murami tego gmachu, na świecie, jedna jest rada: chrześcijańska cnota u jednych i drugich. Między wami zaś rada jest w dobrej woli, w życzliwości i uprzejmości wzajemnej. A tu znowu na bogatszych i szczęśliwszych odpowiedzialność większa: i źle robią, bardzo źle ci z pośród nich — jeżeli są tacy — którzy te różnice położenia uczuć dają lub je jeszcze zachowaniem swoim powiększają. Czy niedość twemu koledze ubogiemu przykrości i upośledzenia, że mu Bóg odmówił dostatku, a ojciec nie mógł

go tak troskliwie chować, jak twój ciebie? czy w samem, choćby tylko lepszem, ładniejszym ubraniu, różnica nie jest dosyć i boleśnie widoczna? A jeżeli do niej dodasz obejście się sztywne i niemile, jeżeli trzymasz się zdaleka, milczenia pierwszy nie przewiesz, jeżeli popisujesz się językiem, który jemu jest obcy, jak mu wszystkim tem przypominasz, że on nie taki szczęśliwy jak ty, jakie może uczucie żalu do siebie naprzód, ale i do świata, do społeczeństwa, do samego może Boga rozniecasz? Jeżeli już nie te względy przyśzości, których niedoświadczona młodość może nie znać, to samo dobre wychowanie powinno cię było nauczyć, że trzeba robić inaczej, bo przecież to jedna z jego zasad kardynalnych i cech szlachtetnych, jeżeli się ma cokolwiek nad drugim, nigdy mu tego nie dać uczuć. Cóż dopiero, jeżeli to, co mamy lepszego, nie jest naszą zasługą. Ubożsi są w takich razach mniej winni; ale nie są i oni bez winy, jeżeli odwet biorą słowem szorstkiem, posądzaniem niesłusznem, umyślnem drażnieniem przekonani i uczuć. Nie wiem, czy takie stosunki u nas zachodzą, i spodziewam się że nie; ale gdyby zachodziły, byłoby źle, bo z niechęci młodych wyrasta później starszych nienawiść, a z tej często zguba rzeczy publicznej.

O uprzejmości jeszcze, o grzecznem i przyjemnem obejściu się z ludźmi chciałbym wspomnieć. Nie samej nauki ale przy niej i oglądy ma młody człowiek nabyć na Uniwersytecie, tej szlachtetnej *urbanitas*, która jest cechą oświeconego człowieka i narodu. Obyczaj gruby, przeciwne zdanie, które się hukiem i wrzaskiem objawia, brak uprzejmości dla rówieśnika, a uwagi na starszego lub przełożonego, wszystko to przystoi tylko na-

rodom grubym, jeszcze z dzikości niewyszłym, lub zestarzałym i dziejącym nanowo. Nasz przecie nie jest ani jednym, ani drugim, i u nas mniemam takie rzeczy się nie zdarzają.

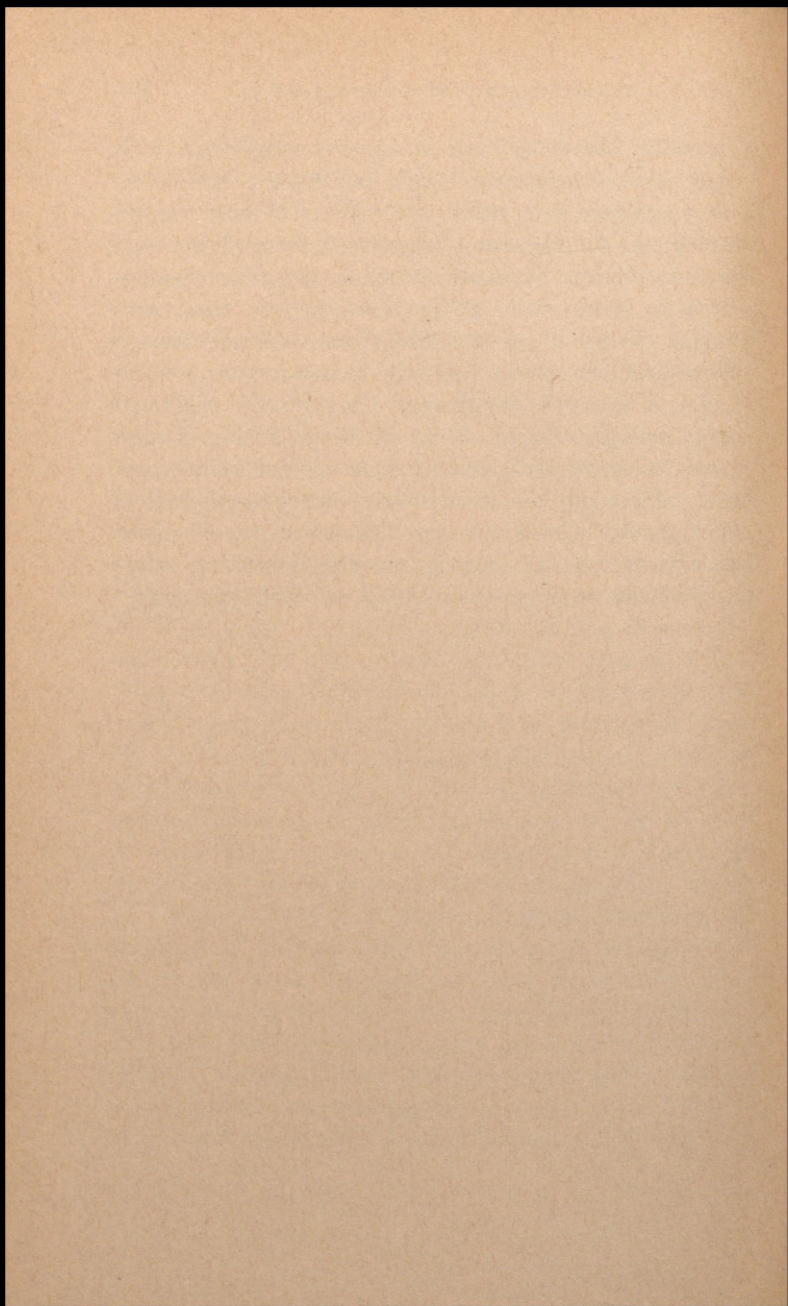
Czy będziecie Panowie mieli do mnie żal za to, com mówił? ufam że nie; dobry zamiar uczujecie i wyrozumiecie, otwartość obowiązkowa w mojem tegorocznem stanowisku was nie urazi. Pochlebstwo przynęca, ale otwartość służy. Za dawnych czasów wszysey moralisci uczyli wszystkich królów, żeby tych tylko mieli za przyjaciół wiernych, którzy im mówią prawdę. Dziś nie wiem czy królowie mają jeszcze podehlebców — zapewne mieć ich muszą, bo ten ród brzydki jest i będzie zawsze — ale mają podehlebców wszysey, ogół, ma ich i młodzież. Niech więc pamięta, że to nie jej przyjaciele, że bajka o lisie i kruku jest wieczną prawdą: że lis od kruka zawsze czegoś chce, czasem serca, czasem tylko głosu, ale zawsze tylko czegoś dla siebie, zawsze, żeby kruk bezwiednie i powolnie jemu do jakiegoś celu służył.

Przeciw podehlebstwu jest broń dobra: rozsądek, który je przenika; prostota, która w niem nie smakuje. Trudniej walczyć z innem niebezpieczeństwem, z tym duchem przeczenia i nienawiści, który w naszych czasach chce opanować każdego i wszystko. Ale i na to jest rada. Jeżeli nas kuszą nienawiści społeczne, niech zwycięży pokusę miłość ojczyzny tą jedną uwagą, że nie może naprawdę kochać całości, kto nienawidzi części. Jest inne przeczenie, nienawiść jeszcze bardziej niebezpieczna, nienawiść chrześcijaństwa, nienawiść katolickiej wiary i Kościoła, coraz powszechniejsza także, coraz bezczelniej otwarta. Myli się, kto sądzi, że od

tej tylko Bóg bezpośredniem działaniem może człowieka ustrzedz i obronić. Bóg oczywiście, ale przez człowieka i jego wolę. Wiara jest niezależną od nas łaską, ale jest i cnotą: a tą nie mogłaby być, gdyby nie była od naszego starania, od naszej woli zależną. Zachowa ją ten, kto naprawdę zechce; kto spotkawszy na swojej drodze wątplenie czy przeczenie, nie podda mu się potulnie i ślepo, nie uwierzy mu, że ono jest mądrością i prawdą, ale stosując do przeczenia samego tę zasadę wolnego badania, którą ono się zasłania, weźmie je na examin spokojnie, lecz ściśle; kto nie poprzestanie miękko na pozorach i powierzchni, ale przeczenie zbada odważnie i poważnie do gruntu. W naszych zaś czasach tego nie robi się prawie nigdy. Przeciw prawdom Bożym, przeciw zasadom uznawanym przez ludzkość w całym ciągu jej istnienia, protestuje się w imię badania, które się wolnem nazywa, kiedy częstokroć jest tylko swawolnem. Ale kiedy jeden umysł ludzki wystrzeli z pomysłem lub domysłem i za prawdę go głosi, my nie mamy odwagi tego pomysłu poddać wolnemu i umiejętnemu badaniu, któreby jego błahość wykryło: w imię wolnego myślenia poddajemy się w niewolę przeczenia, które zbyt często dlatego nam się mądrzem wydaje, że jest zuchwałem. A tak go wszędzie pełno, że sposób na nie znać trzeba. I trzeba pamiętać, że działania w przeczeniach i nienawiściach poczęte, choć się czasem udają, to nigdy nadługo, nic trwałego zbudować, nie zabezpieczyć, nie zbawić nie są zdolne.

„Ze słabością łamać uczmy się zamłodu,“ powiedział w wierszu, który nad wszystkie może lubicie, wielki poeta, którego śmierci rocznicę obchodziliście przed kilkoma dniami. Dobrze powiedział: „łamcie się

z wszelką słabością,“ ale i tej nie dajcie nad sobą wziąć góry. Pamiętajcie, że ta powolność i łatwowierność względem przeczenia jest także słabością umysłu niezdolnego do istotnego, sumiennego, wszechstronnego zbadania rzeczy, poprzestającego na pozorach: wiotkością woli, która walki podjąć i stoczyć nie śmie, albo się leni. Weźcie te słowa Mickiewicza na drogę waszego uniwersyteckiego życia i miejcie je zawsze w sercu zapisane, a w myśli przytomne. Do słów zaś wielkiego poety, dodajcie drugie słowa wielkiego króla, którego znowu śmierci trzechsetna rocznica za dni kilka przypada. „*Disce puer* — miał mówić Batory — *faciam te Mości panie.*“ Te słowa, przetłómaczone na dzisiejszą polszczyznę znaczą: „ucz się chłopcze, nie na to, żebyś ty, ale żeby twój naród wyszedł na wielkiego pana.“



MOWA PODCZAS UROCZYŚTOŚCI
poświęcenia i otwarcia Collegii Novi
w dniu 14 czerwca 1887 roku.

Panie Ministrze! ¹⁾

Obejmując w imię naszego Uniwersytetu to nowe Kollegium z rąk W. Ekscellencyi, idę tylko za wewnętrznym popędem naszych najgłębszych uczuć i spełniam pierwszy nasz obowiązek, prosząc W. Ekscellencyę, abyś raczył przyjąć wyraz naszej najgorętszej wdzięczności. — Zwraca się ona przedewszystkiem ku J. C. Mości Dostojnemu Monarsze, dobroczyńcy tego kraju i Uniwersytetu, lecz obejmuje zarazem wszystkich tych, których życzliwość i opieka umożliwia nam rozwój działalności naukowej, zapewnia byt zakładu i otwiera mu piękną przyszłość. Że między tymi imię Waszej Ekscellencyi w pierwszym rzędzie pozostanie nazawsze w naszej pamięci i w dziejach tego Uniwersytetu, mówić nie potrzebuje. Nie oddawna objąłeś W. Ekscellencya kierownictwo oświaty, a już daje się czuć pewna ręka kierownika, jego stanowcza, samowiedna wola we wszyst-

¹⁾ Minister oświaty Gautsch.

kich kierunkach publicznego wychowania, i pozwala spodziewać się nowego jego wzrostu. Uniwersytet nasz jest szczególnie uprawnionym i obowiązany uważać działalność W. Ekszelleney jako zbawienną, doznawszy wielokrotnych dowodów żywej, głęboko sięgającej pieczołowitości około jego dobra. Do najświetniejszych należy to nowe Kollegium, które właśnie otwieramy. Niech nam wolno będzie widzieć w tem dobrą wróżbę dla przyszłości, rękojmię nieustającej pieczy ze strony rządu, i gorliwych usiłowań z naszej strony, aby działalnością naszą zasługiwać na coraz większą życzliwość i szacunek.

Odpowiedzieć życzeniu W. Ekszelleney, abyśmy Uniwersytetowi piękną zapewnili przyszłość, spełniając jego zadania i cele, nie jest rzeczą trudną pod rządem, który uwzględnia w rozumnym pojęciu interesa oświaty, jak wszystkich czynników zbiorowego życia w społeczeństwie. Ktoby porównał obecny stan Uniwersytetów austriacko-węgierskiej monarchii i znaczenie ich dla umiejętności i cywilizacyi z tem, czem były przed mniej więcej trzydziestu laty, ten musi podziwiać rozrost jaki one obecnie przybrały, i ujrzeć w tem znak tych szczęśliwych skutków, jakie wydaje prawdziwie żywotna zasada, zasada wolności i sprawiedliwości we wszystkich kierunkach życia w państwie. Nie przystoi nam wypowiadać zdania o naszym własnym Uniwersytecie; byłoby jednak niewdzięcznością i rzeczą niesłuszną, gdybyśmy głośno i publicznie nie wypowiedzieli, że od czasu, odkąd język nasz odzyskał szczęśliwie należne mu przyrodzone prawa, odkąd utworzono wiele ważnych katedr, w pierwszym rzędzie katedrę historii polskiej, wstąpiło w ten zakład nowe, ruchliwsze życie. To samo powiedzieć można słusznie o tak nam bliskim Uniuwer-

sytecie lwowskim: to samo każdy bezstronny świadek również o wszystkich Uniwersytetach monarchii przyznać musi.

Zgodnie z naturą umiejętności, wierni jej przeznaczeniu, jesteśmy ożywieni słusznym życzeniem i silnem postanowieniem prowadzić działalność naszą w ciągłym i żywym związku z działalnością innych Uniwersytetów i na równym stopniu rozwoju: wiedza bowiem musi być uniwersalną, jeżeli ma być istotną, rzeczywistą. Zachować charakter ogólnej cywilizacji, zatrzymując właściwość charakteru i ducha narodowego jest naszym zadaniem i obowiązkiem, ale i naszą nadzieją.

Na tej drodze, wierni temu hasłu, spoglądać możemy z ufnością w przyszłość i spełniać to, co winni jesteśmy umiejętności, krajowi i państwu. Tym sposobem ziściłoby się życzenie pomyślności, jakie nam W. Ekscellencya przy wstępie do nowego Kollegium z tak delikatnem odgadnieniem naszych uczuć wyraził, odwołując się do owego życzenia, jakie niegdyś przy otwarciu najdawniejszego Kollegium naszej szkoły głównej wyrzekł jego założyciel: *Sitque ibi scientiarum praevalentium margarita* ¹⁾.

„Niechże tu będzie umiejętności przeważnych perła, aby wydawała mężę dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót uwieńczone, i w różnych naukach biegle. Niech będzie źródło bijące, z którego pełności mogliby czerpać wszyscy chcący się wyzwolonemi napoić naukami.“

¹⁾ Wstęp ten zwrócony do Ministra oświaty mówiony był po niemiecku, tłumaczony w Redakcyi *Czasu*.

Słowa te wypisał Kazimierz Wielki w dokumencie erekcyjnym tego zawiązku Akademii krakowskiej, jaki tu w roku 1364 zakładał. Powtórzył je za nim dosłownie Jagiello, kiedy nazajutrz po św. Jakobie roku Pańskiego 1400, uzupełnioną przez siebie szkołę nowo otwierał i wieczysty przywilej jej nadawał. My zanim je — jak chcemy — wypiszemy na tablicy fundacyjnej tego nowego gmachu, żeby z niej nam i następcom naszym świeciły jak upomnienie królów założycieli, i jak ich błogosławieństwo, my dziś chcemy, jak nam każe słusność, wdzięczność, przywiązanie i cześć, żeby pierwszemi jakie w tym nowym przybytku z ust naszych wyjdą, były słowa Kazimierza i Władysława; a to na znak, bodajby Im w wiekuiestej jasności wiadomy i miły, że Ich pamięć i to nam przez nich dane przykazanie wiernie w sercach chowamy: na dobrą wróżbę nowemu Collegium, które się dziś, nowemu okresowi w życiu naszej szkoły, który się z niem otwiera. A że nas ten dzień dzisiejszy w dawne założenia czasy przenosi, że ich wspomnienie własną odpowiedzialność żywiej uczuć nam daje, niedziw, i żeby było, gdyby było inaczej.

Sławna jest przemowa tego wodza co żołnierzy swoich zagrzewał do boju wspomnieniem czterdziestu wieków patrzących niby ze szczytu piramid. Na nas nie tyle: na nas z otaczających murów starych Collegiów i miasta, kościołów i Zamku, patrzy szereg wieków nie tak długi, lecz nie tak odległych. Nie czterdzieści zapomnianych, zastygłych, obojętnych: pięć tylko, ale takich, które były naszym własnym życiem. A te mury, to nie kolosy gmachów Bóg wie przez kogo i kiedy w górę piętrzone, to także pamiątki żywe: nie martwy

kamień, ale perły łez i zasług jaśniejące brylanty. To zaś co z nich patrzy, to nie bezimienna masa wspomnień, w której się głów i imion ludzkich nie rozoznaje, ani o nie pyta: to głowy najdroższe, to imiona największe, serca bohaterskie i święte, to, „Jadwigi poświęcenie, Zygmunta mądra miłość, Batorych hart, Żółkiewskiego zgon, Czarnieckiego trud, Sobieskiego europejski czyn“¹⁾, wszystko czem byliśmy i z czego jesteśmy patrzy na nas i pyta: Jacy będziecie, co zdołacie, czy warto było na to żyć i za to umierać, byście wy czemś byli? czyście godni i usposobieni snuć dalej pasmo dziejów i ciężarów dźwigając, pechać naszym śladem, w naszej myśli, która się z Bożej myśli poczęła, i jej była wierna, do jej urzeczywistnienia dążyła?

Na to pytanie jak odpowiemy?

Jaka młodzież, taka przyszłość społeczeństwa: młodzież taka jak jej nauki i wychowanie. Dla tych co ją uczą rachunek zawsze ciężki do zdania przed Bogiem i ludźmi: a w naszych czasach zadanie trudniejsze niż kiedy było, trudniejsze przez wzrastającą liczbę uczniów, trudniejsze zwłaszcza przez to, że każda z nauk rozszerza swój zakres, podwaja swój zasób, schodzi coraz głębiej do dna i jądra swojej istoty. Jak temu ogromowi podoleć! Zwłaszcza, że w naszym wieku powtarza się, co się niegdyś w XV i XVI wieku widziało, że te rozbudzone i rozszerzone nauki nieraz występują przeciw sobie, i jedna drugą nawzajem zaprzeczają się zdają — a czas jeszcze nie przyszedł, kiedy nad pozornymi różnicami wrodzona im i przeznaczona zgodność

¹⁾ Krasiniński.

objawi się i zapanuje. A dopieroż ważniejsze i trudniejsze zadanie, na którego spełnieniu każdemu społeczeństwu zależy najwięcej, ale naszemu jeszcze więcej niż każdemu: „Wydawać męża nie tylko w naukach biegle, ale dojrzałością rady znakomite i enót ozdobą uwieńczone.“ Widzieć tu w przeszłości na katedrze Pawła i Wojciecha z Brudzewa, Sakrana, Górskiego, Sokołowskiego, św. Jana Kantego, Royziusza, Petrycego, Brożka, w ławkach Kopernika, Kochanowskiego, Sobieskiego — a potem spojrzeć na siebie! to trwoga bierze na myśl, jak się tę spuściznę udźwignie i co się z nią stanie. A jednak terażniejszości naszego Uniwersytetu wartość i zasługa w tem się pokaże dopiero — jeżeli jego przyśłość będzie świetnych chwil przeszłości godną.

Jak to potrafić? Zkąd potemu wziąć otuchy i siły? W Boskiej i lasce i pomocy naprzód: tego domu jak każdego „jeżeli Pan nie zbuduje, nadarmo budować chce człowiek“: ale po tej pomocy, która ludźmi i w ludziach, a nie cudami działa, są ludzkie środki, wskazane istotą i przeznaczeniem nauki samej, wskazane rozsądkiem, samieniem, miłością powszechnego dobra, wskazane doświadczeniem, wskazane i naszego Uniwersytetu dziejami.

Z wielkiego pragnienia światła powstał: światła wiary i wiedzy, które wzajem się wzmagać, wzajem się wspomagać miały. Miał tak objętą króla Władysława Koronę i dziedziczną jego Litwę (mówi tensam jego przywilej) oświecać „jak Paryż Francją objaśnia i zdobi, Bolonia i Padwa Włochom przydaje sławy, Praga Czechy podnosi.“ — W tem pragnieniu poczęty i niem przejęty, był Uniwersytet naprawdę, jak mu jego pierwszy Rektor wróżył: „ozdobą nie tylko miasta, ale całego Sarmackiego świata, a nawet Chrześciana-

stwa.“ On jeden był ogniskiem światła, którego promienie daleko na wschód dochodziły, on cywilizację zachodnią posunął do granic Chrobrego, a w Polsce tak ją podniósł, że mogła wydać Maciejowskich dla Kościola, Zamoyskich dla Senatu, posadzić Kochanowskiego na Parnasie, Kopernika na szczytach nauki, Hozyjusza na czele Soboru.

Ten popęd gdy ustał, gdy naród mniej o to dbać zaczął, by mu Uniwersytet świecił jak Paryż Francyi a Bolonia Włochom, osłabło i w nim samym to uczucie obowiązku dorównania, współzawodnictwa. Naprózno ostatni jego wieley miłośnicy i nauczyciele — Jakób Górski — nawoływali społeczeństwo i Akademię samą do czujności i czynności; łatwość używania w domu a passya politykowania po za domem, zaczęły przed końcem XVI wieku to, czego w XVII wieku dokonało długie pasmo wojen, klęsk, rozprzeżeń — Uniwersytet podupadł. Nie on jeden zresztą: na jego obronę przypomnieć należy, że w owym wieku upadły wszystkie w Europie. Wiek XVIII już musiał dopędzać tych, co nas wyprzedzili i daleko odbiegli, czas stracony odbijać; tak wiele miał do zrobienia, że wszystkiemu niepodolał. Ale początek dał: zrozumiał, że w odosobnieniu i zasklepieniu oświata wędnie i usycha, we wspólnem tylko umysłowem życiu cywilizowanych ludów żyje i kwitnie. A to zrozumiawszy, związku tego zapragnął, dawno zerwany podjął i nawiązał, przeto oświatę, naukę, piśmiennictwo, odrodził nanowo: a tak silnie, że od tej chwili już nie słabły, owszem szły ciągle naprzód i w górę. Wziął się on i do odrodzenia Uniwersytetu także, dał mu reformę, która obiecywała wiele... skutków już wydać nie mogła!

Wiek XIX starał się: robił co mógł. Zrobił co mógł malemi Wolnego Miasta siłami... Starał się i później mimo ciężkich przeszkód, a od lat dwudziestu, odkąd Uniwersytet ma przywrócony sobie język i prawa, starania te, śmiemy tuszyć, nie ustają i więcej przynoszą skutku.

W dziejach tych zawarte jest nauk wiele. Czem kto powstał, tem tylko żyć i rósć może; prawda to ogólna, w której doświadczenie mało wskazuje wyjątków. Z pragnienia światła powstał, pilnem jego strzeżeniem jaśniał Uniwersytet Jagielloński: dzieje go uczą, że ten jest pierwiastek jego życia i siły, warunek godnej świetnej przyszłości. Zamknięciem się w sobie, zobojętnieniem na resztę świata, tracił on jędrność i żywotność, wkońcu ufność w swoje siły, znaczenie u ludzi i nawet szlachetną obowiązkową żądzę znaczenia: a więc, jeżeli nowych upadków dożyć nie chce, niech zbiera na zapas i skupia wszystko co nauka w świecie objaśnia, odkrywa, zdobywa, niech się tem zasila nieustannie, żeby mógł drugim i kroku zawsze dotrzymać za nikim nie zostając w tyle, i sam dla drugich nowe w nauce odkrycia i zdobycze robić, żeby na niego z uszanowaniem patrzeć musieli. Tego zaś wtedy tylko dokaze, jeżeli nawskróś przejęty tem co winien Bogu i ludziom, własnej przeszłości, czei i powołaniu, pamiętać będzie, że w samej jego nazwie wyrażone jest jego przeznaczenie, jego obowiązek i jego jestestwo samo. *Universitas Litterarum*, to znaczy ogół, całość, powszechność nauk: nie jedna nauka, lub gałąź nauki przed innymi z zamilowaniem szczególnem, ale wszystkie zarówno uprawiane, z tem przekonaniem, że żadna zosobna nie wystarcza na podniesienie i utrzymanie cywili-

zacyi w społeczeństwie: wszystkie muszą na to równo pracować i wszystkie stać wysoko.

A pod tym względem wyszliśmy daleko po za zakres nietylko wiedzy, ale pojęć, w jakim obracali się nasi poprzednicy. Rozrosło się to drzewo szeroko i puściło konary bujne, potężne, o jakich im się nie śniło. Od tego czasu wzięła nauka w posiadanie cały świat fizyczny, co wtedy zaledwo było zaczęte: i rozdzieliła się na nauki tyle, ile w nim jest zjawisk, tak, że one same niemal świat osobny dla siebie składają. Od tego czasu wzięła w posiadanie, jak fizyczny, tak umysłowy i moralny świat, dzieje ludzkości we wszystkich ich zjawiskach i przemianach: jedno jak drugie z pamięcią o tem, że zadaniem i obowiązkiem pierwszym nauki jest *causarum cognitio*, za którą dopiero iść może skutków i praw znajomość. Z kanonicznego, a conajwięcej rzymskiego prawa wyszła cała rodzina nauk prawnych: w miejsce domowej ekonomiki nastąpiła ekonomia społeczeństw i państw, a cała ta mnogość nauk zda się coraz bardziej od pnia swego oddalać, dążyć do osobnego w sobie zupełnego życia. Zupełnem ono być powinno: oddzielenem być nie może! i swój charakter jak skutek powszechny zachowuje nauka wtedy tylko, kiedy wszystkie nauki z osobna wspólnego pnia się trzymają, i wiedzą, że w połączeniu tylko stanowią jedność i całość. Jak niegdyś mądre były Wieki średnie, kiedy osobne szkoły lekarskie lub prawnicze złączyły w *Universitas Litterarum*, tak dziś, ktoby tę *Universitas* rozbijać chciał na odrębne zawodowe szkoły, ten rozłożyłby naukę, aleby jej nie rozwinął, a rozprząglby oświatę, bo poświęciłby i zatracił jej warunek i jej cechę, ogólne wszechstronne humanistyczne wykształcenie.

Potrzeba dalej, żeby Uniwersytet był Uniwersyte-tem, przybytkiem nauki, Szkołą. Niech wie, że on sam jest środkiem tylko: ale ten środek ma swój cel określony, i innym pośrednim o tyle dobrze służy, o ile temu bliższemu jedynie się oddaje. Tylko robiąc swoje, zdobywa się wpływ a oddaje rzetelne usługi: — Uniwersytety — nauczyciele i uczniowie — przez naukę. Czy to ma znaczyć, że nie mają o niczem myśleć, do niczego się zapalać prócz oderwanych teoretycznych naukowych kwestyj? Broń Boże! „Biada wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu“ — biada tej, która nie nie kocha, niczemu nie służy, prócz siebie. Po za naszą *Universitas Litterarum* jest dopiero *civitas*, do której nauka przygotowuje i wprowadza: i o tej przedewszystkiem myśleć i pamiętać mamy, pamiętać, że ona nie jest, ale powinna być *civitas Dei*, społecznością wedle bożej myśli i woli, a nasze życie na to ma być poświęcone, żeby się taką stawała. Ale właśnie jeżeli tego chcemy, to w tych murach nauką tylko i przez nią społeczności służyć będziemy, bo inaczej nie wykształcą się tu „ludzie w naukach biegli,“ a temniej „dojrzałością rady znakomici.“

Nie wykształcą się też na obywateli i sług społeczności wedle myśli bożej, gdybyśmy, nauczyciele i uczniowie, do zdobycia prawd naukowych dążąc, o tem zapominać mieli, że są Boskie prawdy i prawa nad nami. Kiedy się Uniwersytet ten zakładał, nikt przedtem nie przestrzegał, bo nikt nie przypuszczał potrzeby — nikt nie pojmował, iżby między wiarą a nauką mogła być sprzeczność, i szkoła jak kościół, nauka jak modlitwa, była innym tylko, ale zgodnym tonem w hymnie Bożej chwały. Przyszły rychło czasy inne, i po-

wtórzyły się znowu. Dziś jak w wieku XVI „w prze-
czenia dreszczach drży świat chrześcijański“¹⁾. W tych
sprzecznościach i rozdarciach, jaka jest nasza powin-
ność i droga postępowania? Znowu wskazówka w na-
szej przeszłości. Kąkol zmieszany z dobrem ziarnem
w posiewie humanizmu widzieli nasi poprzednicy, i prze-
widzieli, że chwasty zejść mogą. Ale chybili, kiedy
w tem przewidzeniu trafnem od zasiewu się bronili.
Kąkolowi nie przeszkadzili puścić się na naszej roli,
a pozbawili się plonu pszenicy. To, choć niedługie,
osłabienie, w jakieśmy popadli w końcu wieku XV;
to drugie, dłuższe i gorsze w końcu XVI wieku, kiedy
z wielkiej obawy, żeby złych pierwiastków w siebie
nie naciągnąć, Uniwersytet odpychał wszystko co nowe
i co obce, i w sobie się zasklepiął, niech nam stanie za
naukę, że nie unika się złego przeczeniem, ani zamy-
kaniem oczów czy drzwi; że prawdę brać trzeba nawet
kiedy jest w zmieszaniu z fałszem podana: a rozumu
i nauki trzeba mieć tyle, żeby rozpoznać — i dowieść —
co fałsz, a co prawda.

Do tych doświadczeń przeszłości dodajmy obo-
wiązki względem niej, wierność i cześć wszystkiemu
co w niej było dobrem. Niedość rozrzewniać się nad
poświęceniem Jadwigi i zwycięstwem Jagiełły: ale pa-
miętać, jakich uczuć, jakich przekonań, jakiego zwią-
zku z Bogiem drogą dochodzi się do zwycięstwa nad
sobą, do zwycięstwa nad drugimi, do takich wzniosłych
i świętych tryumfów, jak chrzest i przyłączenie Litwy.
W tych uczuciach z przeszłością się łączyć i dochować
jej wiarę, dla terażniejszości mieć miłość (cierpliwą

¹⁾ Szujski.

i wyrozumiała, jeśli tego potrzeba), i wreszcie robić w Imię Boże, co do każdego należy: oto sposoby, nie żeby dorównać świetnym chwilom przeszłości i na oczekaniu drugiego Kopernika wychować, ale żeby być najświetniejszych chwil przeszłości może nie bliskim, ale nie niegodnym. I żeby się ziściło, co przy otwarciu naszego starego pierwszego budynku mówił nasz pierwszy Rektor Stanisław ze Skarbmierza: „Oto w małym domu mądrość jest zamknięta. Pojrzyj na Polskę, a patrz na to miejsce, gdzie jest roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie, gdzie cnota, bojaźń Boża i miłość bliźniego, gdzie prawo, gdzie rozum, gdzie zbiegowisko ludzi biegłych w naukach, gdzie zbawienie, gdzie życie, gdzie bezpieczeństwo, gdzie zaszczyt — tego wszystkiego nauczyć się można w tym domu, który jest tronem Bożym. Dobre dzieło rozpoczęte, dali Bóg, weźmie swoje dokonanie. Co niech sprawić raczy sam Pan nasz Jezus Chrystus, jako kamień węgielny domu.“

Jest jedno jeszcze, co do kwitnącego stanu Uniwersytetu potrzebne, to społeczeństwa dla niego miłość. Nasi poprzednicy skarżą się nieraz gorzko na jej brak; zaniedbaniu, opuszczeniu swojej szkoły przypisują w znacznej części jej upadek. My skarżyć się nie mamy prawa, owszem dziękować powody. W życzliwości powszechnej zdarzają się jak wszędzie wyjątki, ale nieliczne i — zwłaszcza, małe! Naród zaś w swoich dawnych uczuciach przywiązania i uszanowania wierny jest tej szkole, jak ona jemu zawsze wierną była i jest. Tych dobrych uczuć, tego odwiecznego związku, dowód zaszczytny i miły mamy dziś, i za niego z głębi serca dziękujemy gorąco wszystkim. Tobie naprzód Najprze-

wielebniejszy Pasterzu ¹⁾, co na stolicy św. Stanisława siedzisz, a dziś ten dom poświęcasz i błogosławisz jak przed wiekami Twój poprzednik, nasz pierwszy kanclerz, Piotr Wysz: a kiedy tak naprzeciw siebie stoją dwa żywe jedyne owych czasów świadki, ta dyecezya, i ta Akademia, Biskup krakowski, dobrodziejów naszych i oświaty polskiej wogóle, Zbigniewów i Tomickich następcą, i krakowski Rektor: zda się, że patrzą na siebie wieków oczyma, i że przez Twoje usta, Twoją ręką jeszcze tamci wszyscy nam błogosławią. Niechże to błogosławieństwo Twoje szczęście nam przyniesie, niech razem na Ciebie i Twoją dyecezyę spadnie, i niech będzie nowym na wzmocnienie wszystkich dawnych węzłem, łączącym naszą szkołę z Twoją stolicą.

Panowie Ministrowie, których opiece i dobrej woli zawdzięczamy i ten gmach, i prócz niego wiele: a z których jeden ²⁾ niegdyś towarzysz zostanie w dziejach tej szkoły zapisany jako jej chluba; Panie Namiestniku ³⁾, którego życzliwości doświadczamy i polecamy się ufnie; Panie Marszałku ⁴⁾, w którym witamy niejako nieobecny Sejm krajowy i hołd mu składamy; Panie Rektorze ⁵⁾ i Dziekani najbliższego bratniego Uniwersytetu lwowskiego, którego pomyślność i świetność obchodzi nas szczerze i gorąco; Panie Prezesie Akademii Umiejętności ⁶⁾, były kolego i Rektorze nasz, a w złych czasach tak dobrze zasłużony; Panie Prezydencie Krakowa ⁷⁾, tego miasta, do którego przywiązaliśmy serdecznie, bez któ-

1) Biskup krakowski, później kardynał Albin Dunajewski.

2) Julian Dunajewski, podówczas Minister Skarbu.

3) Filip Zaleski. 4) Jan Tarnowski.

5) Tadeusz Pilat. 6) Józef Majer.

7) Feliks Szlachtowski.

rego nie byłoby nas, ale którego bez nas także wystawić sobie nie można: wszystkim dalszym czy bliższym, wyższym czy niższym, w imieniu profesorów i uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego podziękowanie za obecność przy naszej uroczystości, i zaręczenie, że Wam dobrze, uczciwie, jak zdołamy najlepiej, służyć będziemy.

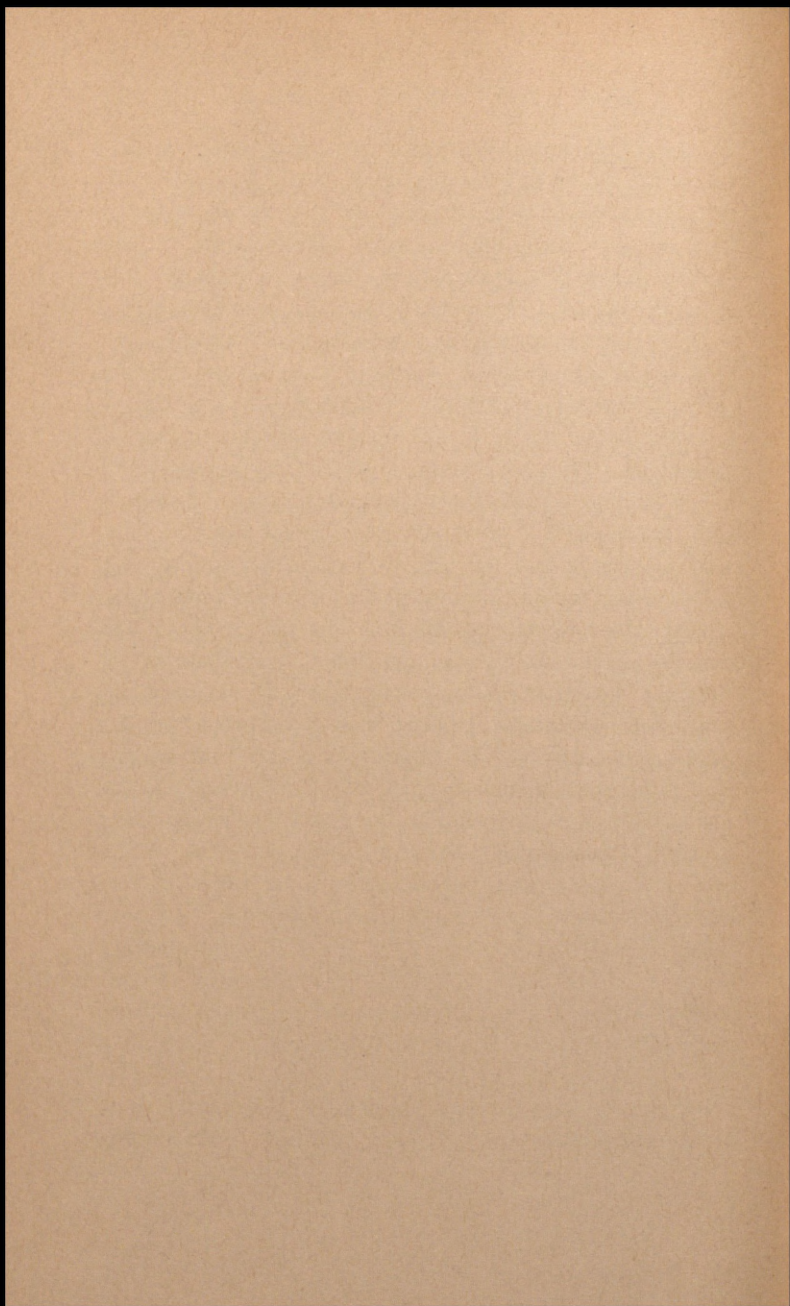
Zostaje jeszcze jeden: Ten, któremu przed wszystkimi i bardziej niż wszystkim wdzięczność się należy. Nie za ten gmach tylko, potrzebny, konieczny, ułatwienie, skupienie, ubezpieczenie, zatem dobrodziejstwo wielkie. Ale za to nierównie, nieskończenie więcej, co w gmachu samym: za ten język, który w nim brzmi, za te katedry, które się w nim mnożą, za te dzieje polskie, które tu po raz pierwszy za jego sprawą głoszą swoje prawdy i nauki: i za więcej jeszcze! za całą tę budowę praw, którą wznosił, za tę podstawę bytu, którą założył, za ten przytułek i przybytek życia, który stworzył i opieką swoją trzyma — za to wdzięczność, przywiązanie i wierność Jemu, Domowi Jego, Monarchii Jego od nas wszystkich. Za to należy mu się i wszystkich naszych zmarłych ojców błogosławieństwo, że dla osieroconych dobry i jeden na świecie dobry. I nie ma w tem udania ani podchlebstwa, tylko szczerą, z głębi serca do nieba wzniesioną prośbą, kiedy się na tej ziemi woła: „Najjaśniejszy Cesarz i Król, Franciszek Józef niech żyje!“

*Do młodzieży akademickiej odbierając pamiętnik
przez nią na tę uroczystość wydany.*

Z radością witał Senat akademicki i grono profesorów piękną i dobrą myśl, którą wiedzieni uczniowie

Uniwersytetu chcieli pamiątkę dnia dzisiejszego utrwalić wydaniem zbioru swoich własnych prac. Spelniony ten zamiar witamy z radością niemniejszą. Świadcetwo to najlepsze, jakie dać możecie sobie samym i nam także: dowód i nauki, jaką już macie, i trafnego poj-mowania waszego dzisiejszego powołania i obowiązku. Wobec tych dostojnych świadków, którzy nas otaczają, tych wizerunków, które pomnieć każą o wszystkim, co nasz Uniwersytet dobrego i wielkiego wydał, przy-jmijcie naprzód nasze bardzo szczere podziękowanie za tę książkę, jak za wszystkie dobre i miłe wspomnienia, które wielom z pomiędzy was zawdzięczamy: następnie przypomnienie, że jak wspólnie dźwigamy odpowiedzial-ność za dalsze losy tej szkoły i kraju po za nią, tak wasza część tej odpowiedzialności może nie większa od naszej, ale cięższa, bo dłuższa: bo przed wami jest jeszcze całe życie ze wszystkimi jego zasługami lub błędami, błogami lub zgubnymi skutkami. A wreszcie przyjmijcie życzenie, iżbyście byli godni tych wszyst-kich, co na nas z tych obrazów patrzą, i dotrzymali szlachetnem rozumnem życiem, co dziś dobrem serdecznem słowem przyrzekacie. W czem niech wam Bóg pomaga i błogosławi.





ODPOWIEDŹ NA TOAST UCZNIÓW

na ich wieczornem zebraniu w Ogrodzie Strzeleckim
w dzień otwarcia Nowego Collegium.

W imieniu Senatu i grona profesorów Uniwersytetu, przyjmuję, dziękuję: a choć bez porozumień i narad, sądzę, że w ich myśl odpowiadam.

Jesteśmy wszyscy, starsi jak młodzi, pod wrażeniem dnia dla Uniwersytetu ważnego: mamy żywo przytomną w myśli całą jego przeszłość, a w sercu swój względem niego i przyszłości obowiązek. W takiej chwili umysły i serca bywają bliższe sobie i rozumieją się łatwiej. Chciałbym też z tej chwili skorzystać, i w tej nie pieśni wprawdzie tylko zwykłej prozie „całe swe, jak mówi poeta, nie wyśpiewać ale otworzyć serce“, i zamknąć w tych słowach wszystko, co się dla was mieści w naszych uczuciach i pragnieniach, co w naszych doświadczeniach dla was przydatnem być może. Ale gdyby tak wiele zamierzyć nie zdołałoby się wykonać: na mnogie przedmioty i długie słowa nie mamy czasu. Więc w krótkich tylko parę uwag, parę rad, parę życzeń, które starszemu przystoją, a wy młodzi dobrem sercem przyjmiecie.

Nie myślę równać siebie z wielkimi ludźmi: ale kiedy patrzę na was tu zgromadzonych i myślę jaka

będzie wasza przyszłość, i jacy wy w przyszłości, staje mi w pamięci Aligier Zygmunta Krasińskiego i jego prośba za młodzieńcem powierzonym jego pieczy. „Pora jego niewinności przemija, serce mu wkrótce rozedrze walka dobrego i złego. Nie proszę Cię Ojczy Niebieski, byś mu ujął co z trudów życia, jedno zbaw go od wiecznej nocy Ducha.“ O was taksamo można być pewnym, że „zaród wszelkiej piękności, iskra Boża, pali się w głębi tych dusz“ — i taksamo się bać, że „mgła wielka może obejść tę iskrę.“ Nie jest to mała rzecz ta walka dobrego i złego, która dla was zacznie się niebawem — dla niektórych może się już zaczęła — a która kończy się dopiero z życiem: ona jest życiem samem, jego treścią, jego celem i jego wartością. Żaden z nas nie jest Herkulesem: ale Herkules na rozstajnych drogach jest wyobrażeniem nas wszystkich, bo każdy, a najczęściej zamłodu, ma taką chwilę wyboru, która o jego życiu stanowi. Czy chce być szlachetnym naprawdę i nawskróś, albo tylko napozór i dla oka świata? Służyć Bogu i ludziom, ojezyźnie i sprawie swojej rzetelnie i skutecznie: albo pozornie tylko im, a naprawdę sobie służyć? Do tego ostatniego sposobu ciągną wszystkie pokusy, i największa ze wszystkich pokusa łatwego powodzenia: pierwszy sposób wybiera sumienie, wybiera charakter, wybiera miłość prawdziwą.

Między Cnotą a Rozkoszą wystawiają zwykle Herkulesa: ten wybór jest nieledwie łatwiejszy, aniżeli wybór między rzetelną prawdą, a udaniem, między prostą a krętą drogą. A każdy niemal musi raz w życiu wybierać, czy chce i ślubuje iść za swoim sumieniem i przekonaniem *si totus illabatur orbis*: albo też z sumieniem i przekonaniem wchodząc w kompromis, pod-

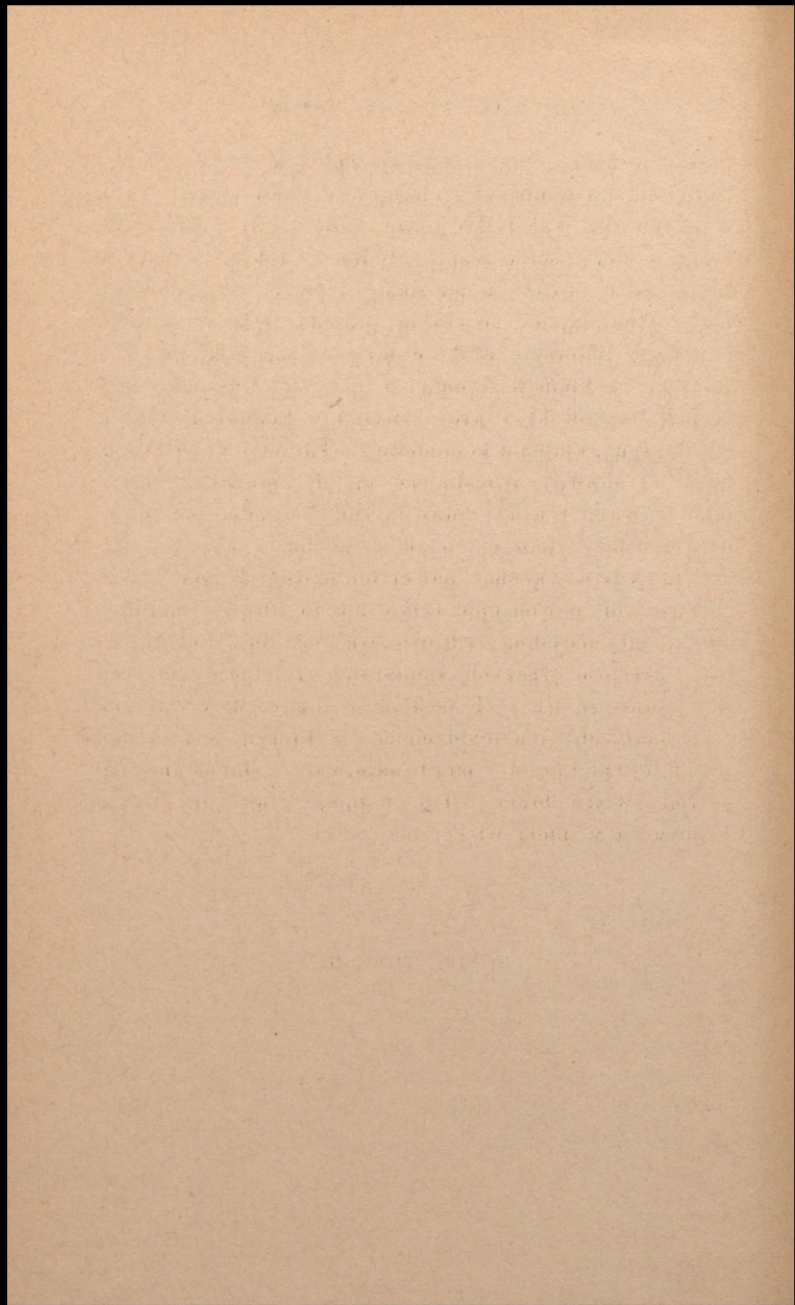
chlebiać drugim na to, by jemu podchlebiano. Łatwa to i przyjemna droga: wiedzie do powodzeń, do wpływów, do znaczenia nieraz: a tem łatwiejsza i miłsza, że niby nie wymaga całkowitej ofiary z przekonania, rażącej z niem sprzeczności. Wystarczy tylko czasem je utaić, czasem trochę nagiąć, czasem patrzeć przez szpary, pozwolić: na dnie w sercu wszystko przecież zostaje niby nietknięte! Tembardziej nietknięta nasza reputacya, a nasza wziętość owszem wzrasta i kwitnie. Własny szacunek nawet zostaje; bo sumienie zrazu czujne ostrzega, ale im dalej, tembardziej tępieje, i wkońcu zagłuszone ostrzegać, albo i czuć przestaje. I tym sposobem z próżności napozór niewinnej wyrasta wielkie zło: ludzie bez odwagi, bez zdania, bez niepodległości; niewolnicy własnego nałogu i cudzego impulsu, dający się zawsze prowadzić, byle się napozór zdawało, że oni prowadzą: niby miłujący swoją sprawę, a zdolni robić to co jej szkodzi lub na to pozwolić, bo prawdy choć ją czują, powiedzieć nie mają siły.

Tego się trzeba strzedz, i pamiętać, że człowiek tyle wart ile jego słowo: ile godzien wiary. Bez tej pewności naszego słowa i wiary możemy mieć stanowisko, znaczenie, zaszczyty, rangi, wszystko: prócz uczciwości. O to mi też chodzi, żeby kiedy przyjdzie chwila tego wyboru, nie wybraliście zło. Wierzę, że „iskra Boża pali się w głębiach waszej duszy“: ale mgła może tę iskrę otaczać i gasić. Jest takich mgieł wiele, a najgorsza kłamstwo. To jest ten wielki nieprzyjaciół, który gasi i niszczy zaród wszelkiej piękności: który naprzód nas oszukuje, a gdy oszukał, psuje. Taktyka jego ta, że zasiewa nieufność i niedowierzanie do wszystkiego, od Boga począwszy, do ludzi ufności go-

dnych, do zamiarów zbawiennych, do praw, wszystko w duszy człowieka podkopie, żeby ją chwiejną i rozprężoną opanować. Dlatego o niem mówię, że jest go na świecie wiele, spotkać go trzeba koniecznie, a poznać niezawsze łatwo. Niech was Bóg broni, żebyście się nie stali jego ofiarami, a dopieroż naśladowcami. To jest ta „hańba“, o której mówi Aligier: to jest ta siła, co „każdą ideę z nieba na świat zesłaną odpycha w tył nicenie jej służąc, bo nie jej ale sobie służy.“ Zuchwały często, nigdy odważny: pyszny często, nigdy godny: kłamca jest taksamo podły „jak królów pochlebcy, jak szpiegi i donosiciele“: łąsi się albo kąsa wedle potrzeby, ale wzroku unika, bo wie, że kłamie i mimo bezczelności przecie się wstydzi: mówi, że „budzi“ — a naprawdę ludzi tylko albo judzi — i na jedno pytanie nigdy odpowiedzieć nie może „czy wierzysz temu co mówisz.“

Można tą drogą zejść daleko i wysoko, prawda: „Orzeł Romy — mówi tensam poeta — wylął się na bagnach, nie na szczytach gór“ i niejeden inny orzeł prócz niego! Ale nasz nie był taki, i takim stać się nie powinien. Przysłowie zaś dobrze mówi „kłamstwem świat przejdziesz — ale nie wrócisz“; więc kto wracać chce, kto zdaleka wrócić powinien zwłaszcza, ten niech na tę drogę nie wchodzi. Nie co innego tylko duch kłamstwa zgubił dawną Polskę, kiedy ją łudził, że nierząd to wolność: nie co innego tylko zwycięstwo nad tymsamym duchem w formach innych, może jej zdrowie i siły przywrócić. Prawda w uczuciach i słowach, prawość w postępowaniu: wstręt i opór wszystkiemu co kłamie i kłamstwo szerzy, niedowierzenie temu co podchlebia: oto są czynniki charakteru i praktycznej mą-

drości w życiu. Społeczeństwa zaś tyle mają zdrowia i siły, ile tej mądrości i charakteru mają ludzie. Tych wam, nie dla was tylko życzę, żeby kiedy „walka dobrego i złego serce wam rozedrze“, żebyście przeciw złemu mieli tarczę, a na służbę i zwycięstwo dobrego broń. Pamiętajcie, że czysta prawda była w słowach i czynach Batorego, Żółkiewskiego, Czarnieckiego i Kościuszki: a kłamali sejmowi i elekcyjni kusiele, kłamał Radziejowski i król szwedzki, kłamał Fryderyk i Katarzyna, kłamała konfederacya Targowicka. Obyście fałsz od prawdy rozeznawać umieli, prawdzie służyć mieli odwagę i wolę; prawdą tylko i godnością prawdziwie usłużyć możecie temu co kochacie, a czego inaczej prawdziwie kochać nawet nie można. Z tem, wasze zdrowie! nie powodzenie tylko, ale to zdrowie moralne, co daje siłę narodom; zdrowie waszych dusz i charakterów, czystość waszych zamiarów, rzetelność waszych słów, prawość waszych postępów, stateczność waszych przekonań, aby ten młodzieniec, w którym jest „zaród wszelkiej piękności“ mógł naprawdę „stać mężem pośród swoich braci.“ Tak pojmuję, tak piję wasze zdrowie, a w niem więcej niż wasze.



SPIS TREŚCI.

I.

Rzeczy krajowe.

Próby rozstroju	1
Przed Trzecim Maja i po nim	89
Z powodu Panamy	113

II.

Rozprawy w rzeczach kościelnych.

Prześladowanie Unii na Podlasiu	163
Rząd pruski i Ksiądz Prymas Ledóchowski	211
Leon XIII. Kilka słów z powodu pięćdziesiątej rocznicy jego kapłaństwa	297

III.

M o w y.

Mowa na Zgromadzeniu wyborców większej własności okręgu Krakowskiego w dniu 8 lipca 1889 r.	369
Niebezpieczeństwa grożące Kościołowi w naszym kraju. — Mowa na wiecu katolickim dnia 7-go lipca 1893 roku	385
Mowa Rektora przy otwarciu kursu w Uniwersytecie dnia 6 października 1886 roku	409

Przemówienie przy immatrykulacji uczniów Uniwersytetu dnia 7 grudnia 1886 roku	415
Mowa podczas uroczystości poświęcenia i otwarcia Collegii Novi w dniu 14 czerwca 1887 roku	431
Odpowiedź na toast uczniów na ich wieczornem zebraniu w Ogrodzie Strzeleckim w dzień otwarcia Nowego Collegium	447





x 2

8986 /

7